Karol May
"Krol naftowy"

Zakłady

Na drodze wiodącej do El Paso del Norte poprzez rzekę Kolorado do Kalifornii, na dziesiątej mili przed stolicą Arizony, ‘Iiicson, leży stara misja San Xavier del Bac. Założona w roku 1668, stanowi tak wspaniałą budowlę, że podróżny z podziwem spogląda na to przepy-szne świadectwo cywilizacji w sercu pustkowia.

Z każdego rogu wznosi się wysoka dzwonnica. Front jest bogato ozdobiony fantastycznymi ornamentami. Na głównej kaplicy spoczy-wa wielka kopuła, a ciężkie gzymsy i piękne sztukaterie ozdabiają mury. Budowla ta mogłaby zdobić każde wielkie miasto, a nawet stolicę.

Misja jest otoczona wioską, zamieszkałą w swoim czasie, do które-go odnosi się nasza opowieść, przez plemię Indian Papago, liczące mniej więcej trzysta dusz. Było to i jest jeszcze dotychczas spokojne, pracowite i przyjazne wobec białych plemię, które doskonale użyźniło swoją glebę sztucznym nawodnieniem i uprawiało pszenicę, żyto, dynie, granaty oraz inne owoce i ziemiopłody.

Niestety, ci dobrzy, pracowici ludzie wiele musieli wycierpieć od wszelkiego rodzaju białej hołoty, która grasowała w Arizonie.

Wszak ten wielki obszar, otoczony górami i pustyniami, nie miał

podówczas prawie żadnych władz; ręka sprawiedliwości sięgała tylko

$

do jego granic. Nadciągały więc setki skłóconych z prawem, zewsząd, z Meksyku i ze Stanów Zjednoczonych, aby pędzić tu życie, które było jednym, długim szeregiem aktów bezkarnego rozboju. Wprawdzie w stolicy stało wojsko, którego zadaniem była piecza nad bezpieczefistwem publicznym. Atoli dwie kompanie były, oczy-wiście, posterunkiem niewystarczającym na obszar trzystu tysięcy kilometrów kwadratowych. Umundurowani bohaterowie, zadowole-ni, że zgraja łotrzyków im samym nie zagraża, nie mogli nikomu służyć pomocą. Zdając sobie z tego sprawę, amatorzy rozboju okazywali niezrównaną, niepohamowaną zuchwałość. Szajki ich ważyły się za-puszczać pod samą stolicę Ti~cson. Nikt nie śmiał się oddalić o kwa-drans drogi, nie uzbroiwszy się uprzednio w cały arsenał broni. Pewien podrbżnik amerykański opisuje ówczesne stosunki w ten, bynajmniej nieprzesadny sposób: Najzuchwalsi szubrawcy z Meksyku, Teksasu, Kalifornii i irtnych stanów znajdowali w owej Arizonie schronienie prced kanącą ręką sprawiedliwości. Część ludzi rekrutowała się z morderców i z~Odziei, zbójów i szubrawców Wsryscy musieli być uzbrojeni; krwawe sceny stanowi~y bieżącą kronikę dnia. O rządzie mowy nie byfo, co dopiero o wojsku, cry policji. Załogi w Tiicson oddawaly się pijaństwu i pozwala~y wsrystkiemu iść swoją koleją. Tak więc Ańzona byta może jedynym pod egidą cywilizowanego państwa krajem, gdzie każdy mógł sprawiedliwość naginać’ do swej osobistej korryści. Wówczas to w San Francisco zabrało się grono ludzi dobrej woli, a także dzielnego charakteru i założyło Komitet Bezpieczefistwa Publicznego, który rozpoczął ż początku działalność na terenie Kali-fornii, ale wkrótce rozszerzył ją na sąsiednią Arizonę. Dziarskie postacie śmiałków wyłaniały się tu i ówdzie, pojedynczo i oddziałami, oczyszczały kraj z plagi przestępców i znikały, zostawiwszy wyraźny ślad swej dobroczynnej interwencji.

Wśród Indian Papago w San Xavier del Bac mieszkał pewien Irlandczyk, który przybył do Arizony z pobudek nie nazbyt uczciwych. Nowy obywatel otworzył sklep, gdzie według jego twierdzenia można 6 było wszystko nabyć. W istocie nie było tu nic poza gorzałką, której produkacja i sprzedaż pozyskała Irlandczykowi przydomek truciciela. Cieszył się w ogóle taką opinią, że uczciwi ludzie wzbraniali się z nim zadawać.

Był wyjątkowo piękny dzień kwietniowy, kiedy szynkarz siedział przy jednym ze skleconych z grubsza stoiów, stojących przed jego chatą. Zdawał się być w złym humorze, stukał pustą szklanicą w stbł. Nie doczekawszy się nikogo, zawołał w kierunku otwartych drzwi wściekłym głosem:

- Hola, stara wiedźmo! Czy nie masz uszu? Brandy chcę mieć, brandy! Prędzej się uwijaj, bo ci pomogę!

Z chaty wyszła stara Murzynka z butlą w ręku i nalała trunku do szklanki. Wypróżnił ją jednym haustem, kazał znów nalać i rzekł:

- Przez cały dziefi ani jednego gościa! Czerwoni hultaje nigdy nie nauczą się pić. Jeśli nie zjawi się jakiś obcy, sam będę siedział i wypalał sobie dziury w żołądku.

- Nie sam siedzieć - uspokoiła go Murzynka. - Goście przyjść.
- Skąd wiesz?
- Ja widzie~.
- Gdzie?
- Na drodze do 'Iiibac.
- O, naprawdę? Któż to?
- Nie wiedzieć. Stare oczy nie poznać. By~ to jeźdźcy, wiele jeźdźcy.

Irlandczyk zerwał się na równe nogi i stanął w progu chaty, skąd roztaczał się widok na drogę do 'Iiibac. Wkrótce wrócił i zawołał do starej:

-~'Ib są finderzy, zrozumiano, finderzy. I to cała dwunastka!

Umieją oni żłopać, co się zowie. Prędzej, trzeba napełnić flaszki! Oboje znikli w chacie. Po kilku minutach ukazało się dwunastu jeźdźców. Zatrzymali się przed chatą, zeskoczyli z koni i puścili je wolno. Dzikie postacie o zuchwałym wyglądzie. Wszyscy byli dobrze uzbrojeni. Niektórzy nosili meksykafiskie ubiory, inni, jeśli sądzić po strojach, pochodzili ze Stanów Zjednoczonych. Jedną mieli wspólną cechę: nie było wśród nich ani jednego, który wyglądem swym budził-by zaufanie.

Krzyczeli i hałasowali wszyscy naraz. Jeden z nich podszedł do otwartych drzwi, wyciągnął rewolwer, wypalił do wnętrza i w ślad za kulą posłał okrzyk:

- Halloo, Paddy! Czy jesteś w domu, stary trucicielu? Wychodź ze swoją siarką; jesteśmy spragnieni!

Paddy, jak wiadomo, jest żartobliwym przezwiskiem Irlandczyków. Gospodarz ukazał się z pełną butlą pod każdą pachą i dwunąstoma szklankami w ręku. Stawiając je na stole i nalewając, odpowiedział:

- Już jestem, messurs! Zameldowano mi o waszym przybyciu; moja stara widziała, jak przyjechaliście. Pijcie i bądźcie błogosławieni w moim pałacu!

- Zachowaj błogosławiefistwo dla siebie, stary rozbójniku! Tb raczej przygotowanie do śmierci! Kto pije twoją lurę, dopuszcza się samobójstwa.

- 'Ij~lko chwilowo, mister Buttler. Następna flaszka wskrzesza martwych. Od wielu tygodni nie widzieliśrny się. Jak wam idzie, sir? Interesy dobre?

- Dobre? - odezwał się nazwany Buttlerem z przeczącym gestem i wychyliwszy do dna szklankę, w czym naśladowali go kamraci, dodał:

- Okropnie nam szło. Skąpo, jak nigdy dotychczas. Nie zrobiliśmy ani jednego interesu, godnego wzmianki.

- Ale dlaczego? Wszak nazywają was finderami i sami się tak nazywacie. Czy~cie nie mieli otwartych oczu? Sądziłem, że ubiję z wami dobry targ.

-‘Ib znaczy, spodziewałeś się odkupić zrabowany łup i jak zwykle nas oszwabić. Ale tym razem nie ma nic, naprawdę nic. Na czerwo-nych nic już nie można złupić, a jeśli spotkasz białego, jest to prze-ważnie ptaszek, który śam chętnie zagląda do cudzych kieszeni.

8

Dodajmy~do tego ten przeklęty Komitet Bezpiecze~stwa, niech ich licho porwie! W jakim celu te draby wścibiają nosy do naszych inte-resów? Co to ich obchodzi, że zbieramy tam gdzie nie siejemy, ale gdzie i oni nie sieją. Naprawdę, trzeba teraz w każdej chwili by~ przygotowanym na to, że spoza krzewu wyjrzy dubeltówka! Ale oko za oko, ząb za ząb! Przysięgliśmy sobie wieszać bez litości każdego, kto wyda nam się członkiem Komitetu. Czy nie zauważyłeś takich szubrawców w okolicy, Paddy?

- Hm - odburknął gospodarz. - Czy sądzicie, że jestem wszech-wiedzący? Czy można gościowi z nosa wyczytad, czy jest safandułą, czy tak jak wy, uczciwym rabusiem?

- Nie blamuj się, Paddy! Kundla chyba łatwo odróżnić od psa rasowego, nawet kiedy to się tyczy ludzkich kundli. Daję słowo, że poznam z pięćdziesięciu kroków każdego, kto należy do tego Komi-tetu. Ale tymczasem pogadajmy o czy innym! Jesteśmy głodni. Czy dostaniemy mięsa?

- Nie tyle, aby można było wzią~ na ząb.
- Jajek?
- Ani jednego. Możecie tu godzinami szukać, a nie znajdziecie ani jednej sztuki bydła, ani jednej kwoki. Któż jest winien, jeśli nie ludzie waszego pokroju, którzy wszystko sprzątnęli.

- Ale chleba?
- Tylko placki kukurydziane, a i te dopiero muszę upiec.
- A więc niech twoja Murzynka piecze. O świeże mięso sami się już postaramy.

- Wy? Powiedziałem przecież, że nic nie znajdziecie.
- Pshaw! Znaleźliśmy już!
- ~?
- Wołu. ~
- Dziwne! Niemożliwe! Gdzie?
- Po drodze, w dolinie Santa Cruz. Tb znaczy, że wół ten należy do karawany, którą śpotkaliśmy, a raczej którą wyminęliśmy.

9

- Karawana? Zapewne osadnicy?
-‘Ihk. Cztery wozy; każdy zaprzężony w cztery woły.
- Ilu ludzi?
- Nie wiem dokładnie. Poza woźnicami widzieliśmy kilku jeźdźcbw. Nie mogliśmy zauważyć ilu siedzi w wozie.

- Ale rozmawialiście z nimi?
-‘Pdk. Chcą się przeprawić przez Kolorado i dziś w nocy rozbiją tu dbóz.

- ‘Iir? Hm! Mam nadzieję, że nie zdarzy się nic takiego, co mogłoby okryć niesławą to dobre miejsce, sir!

Mówiąc to, gospodarz zrobił porozumiewawczą minę.

- Nie troszcz się! - odpowiedział Buttler. - Umiemy oszczędzać naszych przyjaciół. Oczywiście, karawana będzie nasza; ale dopiero po tamtej stronie ‘Iiicson. ‘Iii zafasujemy sobie tylko wołu, ponie-waż potrzebujemy mięsa.

- Chcecie kupić? Osadnicy nie sprzedają zwierzęcia pociągowe-go!

- Smalone duby gadasz! Co ci do głowy strzeliło, Paddy? Bierze-my, ale nigdy nie płacimy. Wiesz o tym dobrze. Z tobą to inna sprawa. Ty jesteś naszym paserem i tobie nie tylko płacimy, ale nawet pozwa-lamy się oszwabiać. Wrócimy po rzeczy! Nie będziemy mieli z osad-nikami ciężkiej przeprawy. Jest tam czterech poganiaczy wołów, moż-na ich nie brać w rachubę, dwóch chłopców na koniach i wynajęty przewodnik. Tylko z nim trzeba się liczyć, ale w dwunastkę damy sobie spokojnie radę. Pierwszą kulę przeznaczyliśmy dla niego. Nie wiem, kto siedzi na wozach, ale kto się chowa pod plandeką, ten chyba nie jest zdolny do poważnego oporu. Poza tym na końcu jechała jeszcze jedna postać, o której doprawdy nie mogę powiedzieć, czy jest męż-czyzną, czy kobietą, aczkolwiek nosi na plecach strzelbę, a pod płasz-czem szablę. Zagadnąłem to indywiduum, ale otrzymałem krótką i niezrozumiałą odpowiedź. O ile się nie mylę, mówi po niemiecku.

- Co za głupota! Człowiek, noszący tutaj szablę, jest ńa pewno wariatem, lub przynajmniej nieszkodliwym oryginałem. A zatem zamierzacie napaść na karawanę?

- A jak myślisz?
- Mam nadzieję, że będę miał w tym swój udział?
- Naturalnie. Zaraz usłyszysz warunki.

Ponieważ w tej chwili wyszła z chaty ~l~Iurzynka, obaj zbliżyli do siebie głowy i kontynuowali rozmowę szeptem. Pozostali członkowie bandy nie zważali na to i głośno rozmawiali, nie skąpiąc sobie gorzał-ki, wskutek czego wkrótce na stole pojawiły się nowe butelki. Czer-wonoskórzy mieszkaficy wioski, spostrzegłszy z dala wesołą kompa-nię, nadkładali drogi, byle nie przechodziE koło szynku. Lękali się wrzaskliwych białych, którzy wzbogacili ich o niejedno smutne do-świadczenie.

Irlandczyk określił dwunastu jeźdźców mianem findersi. Nazwę tę nosiła siejąca lęk zgraja rzezimieszków, którzy od dłuższego czasu plądrowali południową Arizonę. Ukazywali się to tu, to gdzie indziej, czasem nawet w rozproszeniu, działając rbwnocześnie w rozmaitych miejscach. Dzięki dobrym wierzchowcom banda odznaczała się nie-uchwytnością, z którą nie mogli sobie poradzić nawet członkowie Komitetu Bezpieczefistwa. The finder oznacza właściwie znalazcę; byli to znalazcy, groźni znalazcy łupu, gdziekolwiek się nadarzył. Naraz wrzask ucichł i oczy wszystkich mężczyzn skierowały się ze zdziwieniem ku trzem nowym przybyszom.

Ze zdziwieniem, zupełnie usprawiedliwionym i zrozumiałym ze względu na wygląd tej trójki. Przybysze zeskoczyli z wierzchowców i podeszli do pustego stołu, nie racząc, jak się przynajmniej zdawało, obdarzyE wesołego towarzystwa spojrzeniem.

Pierwszy był małym, niepospolicie grubym mężczyzną. Pod zwisa-jącą kresą kapelusza filcowego, którego kolor, wiek i kształt stanowiły nie lada zagadkę dla najprzenikliwszego obserwatora przez las roz-czochranej, czarno-siwej brody spoglądał potężny nos o zgoła zastra-szających rozmiarach, nos, mogący służyć za wskazówkę każdemu zegarowi słonecznemu. Wśrbd gwałtownego zarostu uwydatniała się, oprócz owego zbyt rozwiniętego organu powonienia, para drobnych, małych oczu, obdarzonych niezwykłą ruchliwością. Z wyrazem żar-tobliwej przebiegłości oczka obrzuciły chatę Irlandczyka na pozór obojętnym spojrzeniem, w istocie zaś zbadały dokładnie postacie dwunastu finderów.

Opisana głowa spoczywała na ciele, okrytym prawie do kolan wiekową kurtką myśliwską z koziej skóry, przeznaczoną dla znacznie wyższej osoby, składającą się z łaty na łacie i nadającą cudakowi wygląd dziecka, które dla psoty przebrało się w szlafrok dziadka. Z tego bardziej niż swobodnego okrycia wyglądała para chudych, za-krzywionych w kształt sierpa pałąków, sterczących z wy&endzlowa-nych, sędziwych legginsach, z których mały człowiek wyrósł przed dziesiątkiem lat, a które uwidaczniały parę indiańskich butów takiej pojemności, że mógłby się w nich zmieścić od biedy cały właściciel; stopy jego miały niezwykłe rozmiary. W ręku trzymał flintę, wygląda-jącą jak kij. Innej zaś broni, która, według wszelkiego prawdopodo-biefistwa, tkwiła za pasem, niepodobna było zobaczyć, gdyż zakrywała ją skórzana kurtka.

A kofi? Tb nie był kofi, lecz muł z wyglądu tak stary, że jego rodzice musieli chyba pamiętać czasy potopu. Długirni łysymi uszami machał niczym skrzydłami wiatraka. Po grzywie od dawna nie było już śladu. Ogon składał się z nagiego koniuszka, w którym tkwiło dziesięć, czy dwanaście włosków. Dodajmy do tego zastraszającą chudość. Ale ślepia kłapoucha były jeszcze, jak u młodych źrebiąt, tak żywe i wyraziste, że budziły respekt znawców.

Drugi przybysz był, niemniejszym oryginałem. Nieskoficzenie dłu-gi, straszliwie kościsty i wyschnięty, był tak przegięty, że zdawało się, iż oczy jego nię mogą dojrzeć nic poza stopami. Na tych stopach opierały się tak wydłużone, że aż budzące postrach, koficzyny dolne. Na mocnym myśliwskim obuwiu tkwiła para skórzanych getrów, po-krywającasporyjeszcze kawaluda.'Iiiłów siedział w ciasnej koszuli 12 myśliw- skiej, przepasanej szerokim pasem, gdzie z nożem i rewol-werem sąsiadowało wiele innych ruezbędnych drobnostek. Na szero-kich kanciastych barkach wisiał wełniany pled o włóknach, rozbiega-jących się we wszystkich możliwych kierunkach. Na ostrzyżonej gło-wie siedziało coś, nie chusta, nie czapka, ale także nie kapelusz, coś, czego nazwać niepodobna. Na plecach wisiała stara, długa strzelba, która z dala wyglądała jak miech na kiju.

'Ii~zeci i ostatni był niemal równie długi i szczupły. Głowę okrywała wielka ciemna chusta związana na kształt turbanu. Odziany był w czerwoną kurtkę huzarską, która niepojętym zrządzeniem losu zabłą-kała się aż na Daleki Zachbd i w długie spodnie płócienne, a na nich buty z potężnymi ostrogami. Przy pasie sterczały dwa rewolwery i nóż; strzelba była jedną z owych z Kentucky, które w rękach dobrego strzelca nigdy nie pudłują. Jako osobliwość twarzy należałoby wymie-nić bardzo szerokie usta; oba kąciki zdawały się odczuwać pociąg do uszu i zbliżały się do nich bez nieufności. Na ogół cechowała tę twarz naj uczciwsza dobroduszność. Był to na pewno człowiek, w którym nie doszukałbyś się fałszu.

Ci obaj dosiadali koni, które przebyły wiele trudów, a mogły znieść jeszcze więcej.

Skoro trójka dziwacznych gości usiadła, mały odezwał się do go-spodarza, który do nich podszedł:

- Czego tu można się napić?
- Brandy, sir - odpowiedział gospodarz.
- Daj trzy szklanki, o ile nie masz nic innego.
- Co tu można mieć? A może chcielibyście szampana? Nie wyglą-dacie mi na ludzi, których stać na to.

- Niestety - skinął ze skromnym uśmiechem przybysz. - Pan przeciwnie wyglądasz tak, jak gdybyś w piwnicach miał kilka tysięcy butelek. A może się mylę?

Szynkarz odszedł, przyniósł trunek i przysiadł się do dwunastu zbirów. Mały przysunął szklankę do warg, skosztował, wypluł i wylał 13 napój na ziemię. Jego towarzysze nie dali się ubiec, przy czym ten, który nosił huzarską kurtkę, żachnął się, rozszerzając usta ponad miarę:

- Zdaje się, że ten irlandzki rozbójnik chce nas wytruć swoją brandy! Jak myślisz, Samie Hawkens?

-Yes - odpowiedział zapytany. - Ale się zawiedzie. Strawimy tę truciznę, ponieważ nie będziemy jej pili. Skądże ci przyszło na myśl nazwać go irlandzkim rozbójnikiem?

- Skąd? Well! Kto w nim nie rozpozna na pierwszy rzut oka Irlandczyka, ten jest idiotą.

- Słusznie! I właśnie dlatego dziwię się, żeś ty go rozpoznał, hihihihi!

'I~n śmiech był osobliwy. Niejako śmiał się do wnętrza. Oczy ciskały wesołe błyski i znać było, że jest to jednak śmiech najszczerszy.

- Czy chcesz przez to powiedzieE, - podjął drugi - że poniekąd jestem idiotą?

- Poniekąd? Dlaczego poniekąd? Nie, całkowicie, całkowicie, Willu Parker! Już od piętnastu lat wbijam ci w głowę, że jesteś green-hornem, jakiego w życiu nie widziałem. Czy uwierzysz mi wreszcie?

- Nie - odpowiedział Will, nie tracąc spokoju. - Po piętnastu latach nie można już być greenhornem.

- Na ogół, tak. Ale kto w ciągu tych piętnastu lat niczego się nie nauczył, ten zawsze jest greenhornem i zawsze będzie, jeśli się nie mylę. Hihihihi! I to właśnie, że oponujesz, świadczy o twojej przynależności do rodu najbardziej zatwardziałychgreenhornów. Co mniemasz o tych dwunastu gentlemanach, którzy nas ciekawie oglądają?

- Nic dobrego. Czy widzisz, jak się śmieją? 1ó z ciebie, stary Samie.

- Jak to? Ze mnie?

- Ponieważ nie ma człowieka, który, patrząc na ciebie, mógłby się powstrzymać od śmiechu.

- Cieszy mnie to, Willu Parker, cieszy mnie niezmiernie. Tb

14 jeszcze jedna moja nad tobą przewaga. Kto rzuci na ciebie okiem, musi płakać gorzko, gorzko szlochać. Jesteś smutnym, ponurym dzia-dem! Hihihihi!

Widać było, że Sam Hawkens i Will Parker lubili się żartobliwie sprzeczać. Nie brali sobie za złe tych wzajemnych docinafi. 'Itzeci towarzysz dotychczas milczał. 'I~raz podciągnął opadające getry, wy-sunął przed siebie długie nogi i rzekł z ironicznym uśmiechem na szczupłej twarzy:

- Ci gentlemani nie wiedzą, co o nas myśleć. Kiwają głowami i nie mogą się domyślić. Dobra kompania, co, Samie Hawkens?

- A jakże! - skinął zapytany. - Niech im głowy pękną, Dicku Stone! Za to my wiemy co o nich myśleć. Rzezimieszki, co, stary Dicku?

- Yes. Zdaje się, że zamienimy ze sobą słóweczko.

-'Pdk. I nie tylko ci się zdaje! Uważam to nawet za rzecz pewną, że uraczymy ich swoimi pięściami. Tb właśnie ten tuzin, którego ślad napotkaliśmy.

- I który następnie pojechał za karawaną, aby z ukrycia ją obser-wować.

-'Ikk, a potem jeden z nich pomknął naprzód i wypytywał które-goś z osadników. 'R~ podejrzane, bardzo podejrzane! Powiedz mi, Willu, czy słyszałeś coś o finderach?

- Czy słyszałem? - odparł Parker. - Czy zgubiłeś pamięć, stary szopie? Wszak wielokrotnie zanudzałeś mnie opowieściami o nich.

- Well, wiem bardzo dobrze. Pytałem tylko, aby się dowiedzieć, czy, mimo żeś greenhorn, nauczyłeś się cenić słowa doświadczonych ludzi. A czy wiesz, ilu ma być tych finderów?

- Dwunastu.
- A ile osób widzisz tutaj, drogi Willu?
-'Ii~zynaście - roześmiał się Parker.
- Wyrzuć gospodarza, barania głowo!
- Jak go ma wyrzucić? Czy pozwoli się rusżyć?

- Jesteś i zostaniesz greenhomem z krwi i kośći! Nie mam nic przeciwko temu, abyś sam siebie wyrzucił! Nie nauczyłeś się jeszcze wyrzucać z rachunku Irlandczyka; dlatego wyręczę twój słaby rozum i powiem ci, że bez niego siedzi tam dwanaście osbb. Czy pojmujesz mnie?

- Yes! Znam cię na wylot, wiedziałem więc, że chętnie go sam przepędziesz. Dlatego właśnie udawałem, że nie znam prawideł ode-jmowania. A więc jest ich dwunąstu; nieźle tym razem liczyłeś, mój synu. Mam nadzieję, że na przyszłość potrafisz zrobić z tego użytek. Dwunastu, hm! Tb podejrzane!

- Podejrzane? Czy naprawdę tak sądzisz? W takim razie nasz greenhorn wreszcie wykazuje postępy! No, powiedz, dlaczego podej-rzane?

- Jest ich dwunastu, a finderów też ma być dwunastu - odpowie-dział z niewzruszonym spokojem Parker.

- I co z tego wynika? Dalejże!
- Z tego wynika, że być może, są to finderzy we własnych osobach.
-‘Ihk jest, czcigodny Willu: Podejrzewam, że to oni. Herszt nazy-wa się ponoć Buttler. Dowiemy się wnet, czy któryś z tych przybłędów nie nosi takiego nazwiska.

- Powiedzą ci, oczywiście~
- Bądź pewien! Zaciekawiamy tych gentlemanów. Poznaję po nosach, że wkrótce jeden z nich się zbliży na wywiad. Jestem ciekaw, jak się do tego weźmie.

- Na pewno niezbyt grzecznie - oświadczył Dick Stone. - Nie pozostaniemy im dłużni.

- Dlaczego? - zapytał Sam Hawkens. - Czy myślisz, że potra-ktujemy ich obcesowo?

- Nawet bardzo!
-Ani mi to w głowie! Nasza trójka nosi nazwę Liść Koniczyny. Tb nazwa zaszczytna; nie możemy przynieść jej ujmy. Jesteśmy znani z tego, że sprytem i grzecznością więcej wskóraliśmy, niż przemocą i

16 grubiaństwem. ‘Tkk ma być nadal, tak, a nie inaczej!

- Well. Ale wówczas te draby pomyślą, że się ich lękamy!
- Niech tam, zostaw stary Dicku! Wkrótce się przekonają, że się pomylili i to bardzo, hihihihi! Liść Koniczyny i ttwoga! Mogę przy-siąc, że się poróżnimy. Zamierzają napaść na karawanę, a my na to nie możemy pozwolić.

- Czy unieszkodliwisz ich, o ile się okażą finderami?
-‘1’dk.
- Nie obędzie się bez walki!
- ‘Pdk sądzisz? Pshaw! ‘I~n stary szop - mówiąc to, wskazał z zadowoleniem na samego siebie - ma czasami myśli lepsze niż nóż, lepsze niż kula. Chętnie stroję żarty i jeśli dają przewagę nad nieprzy-jacielem, umiem ją wykorzystać. Niechętnie natomiast przelewam krew. Można zostać panem swych wrogów, nie pozbawiając ich życia.

- A więc podstęp? - wtrącił Parker.
- Yes.
- Jaki?
- Nie wiem jeszcze. Okaże się w chwili stosownej. Musimy nade wszystko udawać niedoświadczonych półgłówków.

- Greenhornów?
- ‘Ikk, greenharnów, co przyjdzie ci, Parkerze z łatwością, gdyż jesteś nim w istocie. Spójrzcie, jak sobie gęby wycierają moją Mary.

-‘Ii~zeba przyznać, że nie jest ślicznotką, Samie!
- Ślicznotką? Brednie! Jest szkaradnym bydlęciem, przepysznie szkaradnym bydlęciem; ale nie zamienię jej na tysiąc szlachetnych rumaków. Jest mądra, doświadczona i rozumna jak ... jak ... jak, no, jak Sam Hawkens, jej pan. Ocaliła mi życie w stu przypadkach. W zamian za to nigdy nie wydałem jej na sztych i życia nie zawaham się narazić, jeśli ona znajdzie się w niebezpieczefistwie. Moja Mary jest, słowem, moją Mary, jedyną, niedoścignioną i nie dającą się porównać z żadnym innym bydlęciem, ale z dTugiej strony upartą, niepoprawną, niegodziwą bestią, którą właściwie powinno się z miejsca położyć trupem.

- Z twojej Liddy - dorzucił Dick Stone.
- ‘Idk, z Liddy - skinął Sam Hawkens z błyszczącymi oczami, gładząc z uczuciem starą, cudaczną strzelbę. - Liddy jest mi równie droga, jak Mary; nigdy jeszcze nie spudłowała. Ile to razy wolność moja i życie zależały od niej, a nigdy nie zawiodła pokładanych w niej nadziei. Wprawdzie i ona ma swoje zakorzenione narowy, ja jednak znam je, przestudiowałem jak lekarz kataraktę. Znam dokładnie jej zalety i wady. I wiem, gdzie ją trzeba popieścić, aby nie straciła dobrego humoru. Nie wypuszczę jej z ręki aż do śmierci, a kiedy skonarn w waszej obecności, proszę, pogrzebcie mnie

wraz z moją Liddy! Nie chcę, by dostała się do rąk człowieka, który jej nie zna i nie kocha! Mary, Liddy, Dick Stone i Will Parker - to czwórka, do której przywiązany jestem całym sercem i poza którą nie mam nikogo na całym bożym świecie.

Przebiegły błysk oczu ustąpił miejsca wilgotnemu odblaskowi.

Szybko przetarł oczy palcami i podjął znowu wesofo:

- Spójrzcie, oto wstaje jeden z dwunastu, ten, który szepce taje-mniczo z gospodarzem. Prawdopodobnie podejdzie tutaj, aby nas pociągnąć za języki. Well. Komedia może się rozpocząć, lecz nie właźcie mi w paradę!

Nie należy się dziwić, ani śmiać, że Sam Hawkens nadał swej strzelbie i mułowi kobiece imiona i że się tak pieszczotliwie o nich wyrażal. Westmani starego pokroju, niestety, tacy już wymarli, prócz niewielu, których można zliczyć na palcach, byli zgoła innymi ludźmi, niż zgraja, która ich zastąpiła. Mówiąc zgraja, nie mam na myśli wyłącznie mętów; to słowo w tym wypadku ma inne znaczenie. Kiedy jakiś milioner, bankier, oficer, adwokat, chociażby sam prezydent Stanów Zjednoczonych udaje się na Zachód, zaopatrzony we współ-czesną automatyczną broń, troskliwie strzeżony przez niezliczoną świtę, baczącą, aby - uchowaj Boże! - komary nie pogryzły go w szyjkę i kiedy z dobrego ukrycia tępi ód razu setki sztuk zwierzyny, 18 bynajmniej nie dla zaspokojenia głodu, taką skądinąd dostojną oso-bistośE prawdziwy westman zalicza do rabble, do zgrai. Dawniej na-potykano na prerii stada mustangów, liczące po pięć tysięcy głów; bizony toczyły się jak fale morskie po dwadzieścia, trzydzieści tysięcy jednocześnie. Gdzie się podziały te niezliczone gromady? Zniknęły! Dokąd sięga preria nie zobaczysz ani jednego mustanga. Wytępione, wyniszczone! W parkach narodowych dziś jeszcze „hoduje" się kilka bawołów; tu i ówdzie można jeszcze zobaczyć je w ogrodach zoologi-cznych; ale z prerii, po której wędrawały tysiącami, zniknęły zupełnie. Indianin ginie, wyniszczony fizycznie i moralnie, a prawdziwego wes-tmana widzi się tylko w książkach z ilustracjami. Winę ponoszą ci, których traper nazywa zgrają. Nie mówcie mi, że istotna przyczyna tkwi w oddziaływaniu cywilizacji! Nie! C~wilizacja nie musi pociągać za sobą zniszczenia. Jakże często, odkąd zbudowano kolej Pacyfiku, zbierały się towarzystwa z setki lub nawet większej ilości „gentlema-nów" złożone i odbywały „wycieczkę myśliwską". Jechano na Zachód, kazano zatrzymywać się w prerii i strzelano z bezpiecznych przedzia-łów do mijających stad bawołów; po czym ruszano dalej, zostawiając naturalnie na miejscu padlinę, uważając się za prawdziwych myśli-wych i chwaląc sobie doznane przyjemności. Na jedno zastrzelone zwierzę przypadało dziesięć i więcej postrzelonych, rannych, które wlekły się dalej w mękach i z wysiłkiem, aby niebawem paść gdzieś trupem. Indianin stał z dala i z bezsilną wściekłością patrzył, jak okrutnie pozbawiano go pożywienia, skazywano na głód i pewną śmierć. Skarżyć się będzie - wyśmieją, bronić - zabiją jak bawoły, które biedny czerwonoskóry uważał za swoja własność i które dlatego oszczędzał.

Zgoła inaczej postępował prawdziwy westman, myśliwy dawnego pokroju. ~n nie strzelał ponad potrzebę. Zdobywał pożywienie z narażeniem własnego życia. Na koniu zapędzał się w sam środek stada bawołów. Mocował się z mustangiem, chcąc go schwytać i oswoić. Stawiał czoła szarym niedźwiedziom; jego żywot był nieustanną 19 rycerską walką z wrogim i sytuacjami, wrogimi zwierzętami i wrogimi ludźmi. Musiał polegać na sobie samym, na swoim rumaku, na swojej broni, o ile nie miał paść „zgaszony". Koń zatem był jego przyjacielem, strzelba - przyjaciółką. Ilu myśliwych narażało życie dla swego konia! I z jaką miłością odnosili się do strzelby, owej martwej rzeczy, którą ich wdzięczna fantazja obdarzała duszą. Nieje-den westman głodził się i usychał z pragnienia, byle by koń miał dosy~ paszy i wody; przedtem myślał o strzelbie, a potem dopiero o sobie. Nadawał im imiona ludzkie i rozmawiał, jak z druhami; gwarzył z nimi, kiedy na ustroniu, samotrzeć, biwakował na trawie prerii lub w mroku puszczy.

Do tego rodzaju westmanów zaliczał się Sam Hawkens. Życie na pustkowiu nie oziębiło jego serca. Był i pozostał dobrodusznym, a przy tym niezwykle chytrym dzieciakiem.

Stało się jak przewidywał. Buttler podniósł się, podszedł, zasiadł wygodnie za stołem, gdzie roztasowali się trzej wesmani i nie ukłoni-wszy się, przemówił szyderczo:

- Jak wspaniale wyglądacie, chłopcy! Przypominacie nader osob-liwe i śmieszne trojaczki.

- Yes, - skinął Sam skromnie i poważnie.

'Ib wyznanie brzmiało tak komicznie, że Buttler roześmiał się głośno, w czym wtórowali mu towarzysze. Wreszcie rzekł:

- Kim właściwie jesteście?
- Ja jestem pierwszy - odparł Sam.
- Ja jestem drugi - dodał Dick Stone.
- A ja trzeci - zauważył Will Parker.

- Pierwszy, drugi, trzeci? Cbż takiego? - zapytał Buttler, stro-piony odpowiedziami.

- No, trojaczki oczywiście! - odpowiedział Sam z niezwykłą szczerością.

Nastąpił drugi powszechny wybuch śmiechu. Buttler był zaskoczo-ny. Niechęć brzmiała w słówach, z którymi zwrócił się do Sama:

20

- Żarty na bok! Mam zwyczaj zmuszać do powagi. Widać, ie nie jesteście trojaczkami. Chcę znać wasze nazwiska. Słucham!

- Nazywam się Grinell - odpowiedział po cichu Sam.
- A ja Berry - oznajmił z obawą w głosie Dick.
- A ja White - wykrztusił trwożliwie Will.

- Grinell, Berry i White - powtórzył Buttler. - Hm. A teraz powiedzcie, czym się trudnicie?

- Zastawiamy sidła - oświadczył Sam Hawkens.

- Zastawiacie sidła? - roześmiał się egzaminator. - Nie wyglą-dacie wcale, abyście w życiu schwytali jednego chociażby bobra lub szopa!

- Tymczasem jeszcze nie - wyznał skromnie Sam.
- Jeszcze nie? Dopiero chcecie zacząć?
- Yes.
- Świetnie, coraz lepiej! Skąd przybywacie?
- Z Castorville.
- Czym się zajmowaliście?
- Mieli~my do spółki sklep z ubiorami.
-'Ihk, tak! Interes szedł kiepsko? Co?

- Yes. Zbankrutowaliśmy trochę; za wiele pożyczaliśmy. Dawali-śmy kredyt, a nie spłacano nam należności.

. - Słusznie, słusznie! Od razu poznałem, że jesteście bankrutami. A więc sprzedawcy ubiorów, może nawet krawcy? 'Ii~zej krawcy, któ-rych niezaradność doprowadziła do bankructwa. I wpadliście na wspa-niały pomysł; szukacie szczęścia w zawodzie trapera. Czyście słyszeli? Pytanie, skierowane do towarzyszy, przysłuchujących się rozmo-wie z ironicznym śmiechem, wywołało trzecią głośną salwę śmiechu.

Sam Hawkens krzyknął z upozorowaną złością:

- Niezaradność? Myli się pan bardzo; sir! Wiedzieliśmy, co robić.

Coś musiało nam kapnąć z tego bankructwa, w przeciwnym bowiem razie nie dopuścilibyśmy do likwidacji sklepu.

Odpiął kurtkę myśliwską i stuknął w szeroki pas, co wywołało 21 metaliczny oddźwięk, po czym dodał dumnie:

-'Iii tkwią monety, sir!

Buttler, chociaż jego twarz przypominała w tej chwili dziób dra-pieżnego ptaka, węszącego zdobycz, zapytał swobodnym tonem:

- Ma pan monety? A więc jesteście sprytniejsi, niż można sądziE z pozorów. Ileż wam przyniosło bankructwo?

- Przeszło dwa tysiące dolarów.
- Macie je przy sobie?
- Yes.
- W podróży, w tych niepewnych stronach?
-Pshaw! Mamybrofi.

- Piekielnie mało się przyda. Gdyby na przykład zjawili się ~nde-rzy, oczyściliby wam kieszenie, zanim choćby jeden z was zdążył wytrzeszczyć oczy. Dlaczego raczej nie złożyliście pieniędzy w jakimś banku?

- Złożymy je, sir. W Prescott.
- Chcecie się tam udaE?
- Yes.
- Jako zastawiacze sideL?
- Yes.
- Czyż macie sidła?
- Nie.
- Skąd chcecie je wziąć?
- Kupić w Prescott.
- Niebiosa! Co z was za ludzie! Co zamierzacie tam złowić?
- Bobry i ... i ... i ... - urwał zakłopotany.
- I ... i ... i ... Cóż jeszcze? - nacierał Buttler.
- Niedźwiedzie grizzly.

Istny homeryczny śmiech zagrzmiał przy drugim stoliku. Buttler śmiał się aż do łez. Ledwie się uspokoił, zawołał:

- Grizzly chcecie schwytać w śidła,.grizzly, z których każdy jest na dziesięć stóp wysoki i waży dziesięć cetnarów! Schwytać w sidła?

22

- Czemu nie? - mruknął Sam. - Jeśli sidła są dość duże i mocne!
- Przecież, jak swiat swiatem, nie ma sideł na grizzly!
- Więc zamówimy je u kowala w Prescott.
- W Prescott? Jakiej to konstrukcji?
- Nad tym już pomyślimy.

- Wy, trzej krawcy? Przestafi, mały grubasie, przestań, bo się zadławię!

Śmiał się na całe gardło i dopiero pochwili mógł podjąć:

- Gdyby nawet nie ten grizzly, to już z tego samego można się na śmierć zarechotać, że jedziecie do Prescott, aby schwytać bobry.

- Właściwie nie do Prescott; tam chcemy tylko kupić sidła. Potem pojedziemy do Gila i do rzeki San Francisco.

- Gdzie woda na dwa cale głęboka. Skądże tam bobry!

- Niech pana głowa nie boli, sir! Wyczytałem to z książek, gdzie wszystko jest wyraźnie napisane o bobrach i podobnych im zwierzę-tach.

- Pięknie, doskonale! Jeżeli swoją mądrość wyssaliście z książek, nic już nie mogę poradzić. Życzę wam tyle bobrów i niedźwiedzi, ile tylko sobie wymarzycie. Ale znajdziecie coś jeszcze.

- Dzikich Indian, którzy w dzień i noc będą was prześladować z ukrycia.

- Będziemy się bronić.
- Tymi grabiami?

- Yes.
-Do piorunów, dokażecie cudów waleczności! Pokażcie te swoje motyki. Musimy je obejrzeć!

Wyjął z rąk Sama strzelbę i podszedł do towarzyszy. Oglądali ją ze śmiechem. Z kolei Dick Stone musiał pokazać swoją flintę, która też doznała podobnego przyjęcia. Buttler, zwracając strzelbę, rzekł:

- All right! Mam nadzieję, że umiecie się odchodzić ze swoimi strzelbami nie gorzej, niż dawniej z igłą.

- Bądźcie spokojni! - odpowiedział pewnie Sam. -Ti'afimy w co chcemy trafić.
- Istotnie?
- Istotnie!
- Zakład, zakład! - podpowiadali towarzysze Buttlera.

Na Zachodzie, gdzie niemal każdy spotkany jest wyśmienitym strzelcem, nie przepuszcza się okazji do zakładu. Strzelcy chętnie ubiegają się o pierszeństwo; sława zwycięzcy rozpowszechnia się szyb-ko. Zakład toczy się nieraz o wielkie sumy. T~raz właśnie nadarzyła się sposobność nie tylko do zakładu, ale jednocześnie do prawdziwej forsy. 'Ii~zej krawcy z pewnością nie uczyli się strzelać. Strzelby ich wyglądały na nie warte funta kłaków. Nie ulegało wątpliwości, że jeśli zgodzą się zademonstrować swoją sztukę, będzie zabawa nie lada. Aby więc zachęcić Sama, Buttler rzekł z powątpiewaniem:

- 'Pdk, igłą trafić w rękaw marynarki potrafi nawet ślepy; ale strzelać to co innego. Czy już strzelał pan kiedyś, mister Grinell?
- Yes - odpowiedział mały.
- Do czego?
- Do wróbli.
- Z tej strzelby?
- Nie. Z procy.
- Z procy! - roześmiał się Buttler - I sądzi pan, że dobrze strzelasz z flinty?
- Czemu nie? Celować to celować!
-'1'dk? Jak daleko pan trafi?
-'Pdk daleko, jak biegnie kula.
- Powiedzmy, dwieście kroków?
- Well.
- Mniej więcej w tej odległości stoi ta sąsiednia chata. Czy sądzisz pan, że trafisz?
- Chata? - rzekł obrażony Sam. -'ii'afi nawet ślepy, podobnie jak igłą w rękaw surduta. 24

- Chce pan powiedzie~, że cel ma być mniejszy?
- Yes.
- Jak wielki?
- Jak moja ręka.
- I myślisz pan, że z tej strzelby zdołasz trafić?
- Yes.

- Absurd! Już przy pierwszym strzale lufa pęknie, a jeśli nawet nie pęknie, to tak się skrzywi, że kula nie pójdzie prostą drogą, lecz skręci za róg domu.

- Spróbujmy!
- Chce się pan założyć? Macie przecież pieniądze. Na ile?
- Na tyle, co pan.
- Dolar?
- Zgoda.
- A więc, zakładamy się. Ale nie będziemy celować w tamtą chatę.

Właściciel jej mógłby wziąć nam to za złe.

- Strzelajcie w moją! - przerwał gospodarz. - Przylepię do tylnej ściany kawałek papieru wielkości mojej dłoni; to będzie cel. Dobito zakładu. Goście wyszli z karczmy; gospodarz przylepił papier.

Buttler odliczył dwieście kroków. Dał dolara, Sam poszedł za jego przykładem. Wylosowano, kto ma pierwszy strzelać. Los padł na Buttlera. Stanął w odmierzonej odległości, wycelował szybko, pociąg-nął za spust i trafił w papier.

'I~raz nadeszła kolej na Sama. Jak najszerzej rozstawił krzywe nogi, przyłożył swą Liddy, przechylił się naprzód i celował długo, bardzo długo. Wyglądał jak fotograf, który się ukrywa pod zasłona, aby nastawić obiektyw. Wszyscy się roześmieli. Wreszcie padł strzał i Sam poleciał na bok, opuściwszy strzelbę na ziemię, ręką chwytając się za prawy policzek. Śmiech przeszedł w istne grzmoty.

- Czy flinta uderzyła pana? - zapytał Buttler.
- Yes, spoliczkowała mnie! - odpowiedział boleśnie mały.
- A więc szarpie. Zdaje się, że jest niebezpieczniejsza dla pana, 25 niż dta innych. Zobaczymy, czy pan trafił.

Na papierze nie było nawet śladu kuli. Szukano długo, bardzo długo, aż wreszcie jeden z gromady, który najbardziej się oddalił, zawołał, dając hasło do ponownego śmiechu:

- Chodźcie tu do mnie! Na myśl mi nie wpadło szukać tutaj, ale ona tu tkwi, tu, kto ją chce zobaczyć? Chodźcie tutaj! Sznapsik wypływa przez dziurę.

Z boku, o dziesięć kroków od doinu, stała pękata beczka gorzałki. 'Iii właśnie ugodziła kula. Napój wypływał z dziury strumieniem gru-bym na palec. Ponownej salwie śmiechu nie było końca. Gospodarz klął i żądał odszkodowania. Uspokoił się dopiero, gdy Sam przyrzekł zapłacić. Irlandczyk zatkał dziurę drewnianym kołkiem.

- A więc nawet nie trafił pan w dom! - zawołał Buttler do oszołomionego Sama. - Powiedziałern, że kule skręcą za róg. Dolar jest mój. Czy chce pan jeszcze jeden zaryzykować, mr. Grinnel?

- Yes - odpowiedział Sam.

Drugim strzałem trafił przynajmniej w dom, ale na dole, w kącie, podczas gdy cel był umieszczony pośrodku ściany, na górze. Strzelał jeszcze cztery, czy pięć razy i stracił tyleż dolarów. Rozjuszony krzyk-nął:

-'Ib tylko dlatego, że zakładamy się o dolara. Sądzę, że gdy stawka będzie większa, potrafię lepiej celować. '

- Słusznie! - roześmiał się Buttler. - Więc ile?
- Tyleż, co pan.
- Powiedzrny, dwadzieścia?
- Yes.

Sam stracił dwudziestkę, trafił bowiem dokładnie w ten sam kąt domu. Buttler zabrał pieniądze i zapytał, ukradkiem spoglądając na swoich:

- A może jeszcze raz, mr. Grinell?
- Yes - odpowiedział Sam. - Przecież w końcu muszę trafić!
- Ja też tak myślę. Ile?

Z6

- Jak pan sobie życzy.
- Pięćdziesiąt dolarów?
- Yes.
- Albo powiedzmy lepiej, sto?

-'Ib za wiele. Wprawdzie jestem przekonany, że teraz wreszcie trafię, ale nie chciałbym zabiera~ panu takiej sumy, mister ... jakże się pan właściwie nazywa, sir?

- Buttler - wynwało się zapytanemu zbyt szybko i nieroztropnie.

Prawdopodobnie wymieniłby inne nazwisko, gdyby nie zaskoczyło go pytanie Sama.

- Pięknie, mister Buttler - dokończył Sam. - A więc nie sto. 'Ib za wiele.

- Nonsens! Jak powiedziałem, tak ma być, chyba, że panu brak odwagi.

- Odwagi? Krawiec nie zna lęku!
- A zatem sto?
- Yes.

Buttler był tak pewnywygranej, iż celował nader krótko, krócej niż poprzednio. A może podnieciła go wysokość sumy, dość że kula chybiła. Utkwiła w murze tuż przy kartce. 1b jednak nie pozbawiło go dobrego humoru, był bowiem przeświadczony, że przeciwnik jeszcze bardziej spudłuje.

Z kolei zaczął celować Sam, ale dokąd? Do kąta muru, gdzie stale trafiał i gdzie, oprócz pierwszej, tkwiły wszystkie jego kule.

- Co panu strzeliło do głowy, mister Grinell! -zawołał zdumiony Buttler. - Celuje pan w kąt!

- Rozumie się - odpowiedział spokojnie Sam.
- Ale dlaczego?
- Dopiero teraz poznałem swoją strzelbę.
- Jak to?

- Strzelba posiada własną wolę i własne kaprysy. Kiedy celuję w papier, ita górze pośrodku, kula trafia na dole w róg. A więc skoro 27 wyceluję w róg, kula przebije papier.

- O~!
-'Ihk strzelby. Uważajcie! '

Opuścił kurek i kula przebiła dokładnie środek celu.

- Widzicie więc, że miałem słuszność! - roześmiał się Sam. - Wygrałem! Dawaj pan sto dolarów, mister Buttler. Stawka nie była jeszcze wyłożona. Buttler się ociągał; wolałby odmówić zapłaty. Ale wpadł na pomysł, który mu się wydał zbawien-nym.

Wyciągnął pieniądze z kieszeni, wręczył Samowi i rzekl:

- Czy PoPrzestajemy?
- Jak pan sobie życzy.
- A może jeszcze raz?
- Zgoda.
- Ale nie sto, lecz dwieście!
- Sir, to za wiele.
- Dla mnie nie. Może się pan lęka?
- Lękam się? Bynajmniej!
- A więc dwieście! Ale trzeba z góry wyłożyć.

- Dobrze! Mój kolega mister Berry jest bezstronny, niech więc przechowuje pieniądze. Przykleimy nowy papier z oznaczonym po środku punktem. Wygra ten, czyja kula utkwi najbliżej owego punktu.

- Zgoda - oświadczył Buttler. - Strzelamy jednak nie z dwustu, lecz z trzystu kroków.

- W takim razie nie trafię!

- Nie jest to konieczne. Naprzód, mister Grinell, czas już dać te dwieście dolarów!

Sam dał pieniądze Dickowi Stone. Buttler nie miał już zapewne własnych pieniędzy, gdyż zaciągnął pożyczkę od swoich towarzyszy. Kiedy zebrał sumę, wręczył ją Dickowi, który wiedział dobrze, dlacze-go Sam wybrał go na arbitra. Po naklejeniu nowej kartki odliczono trzysta kroków i Buttler przygotował się do strźału.

28

- Celuj lepiej, niż poprzednio! - zawołał jeden ze zbirów.

- Milcz! - odpowiedział gniewnie herszt. - Nie pobije mnie byle krawczyk!

- A jednak poprzednio?
-'Ib był przypadek, nic więcej!

Celował tym razem dhiżej i staranniej. Kula tra~ła w papier, acz-kolwiek nie w sam środek.

- Wspaniały,piękny, doskanały strzał! - gratulowali kamraci.

‘I~raz miał strzelać Sam. Przyłożył strzelbę i wypalił. Nastąpił wie-logłośny okrzyk strachu, czy wściekłości; trahł dokładnie w środek.

Dick Stone podszedł doń, wręczył mu pieniądze i rzekł:

- Zabieraj żywo, stary Samie, bo nic nie dostaniesz!
- Well; ale musieliby mi później zapłacić.

Schował pieniądze i zbliżył się do chaty.

- Niepojęte, przeklęte szczęśCie! - zawołał gniwnie Buttler. - ‘I~kiego przypadku jeszcze nigdy nie widziałem!

- W każdym razie, jeśli o mnie chodzi - wyznał Sam, zgodnie z prawdą; był bowiem wyśmienitym strzelcem i nigdy nie liczył na przypadek. Buttler jednak inaczej jego słowa zrozumiał.

- A więc zwróć pan pieniądze!
- Zwrócić? Dlaczego?
- Ponieważ przyznałeś pan, że to przypadek wpakował kulę w cel.
- Pięknie! Ale przypadek posługiwał się moją ręką i moją tlintą.

‘Ii~afił, a zatem wygrał zakład. Do niego należą pieniądze; dam mu je przy najbliższym spotkaniu.

-1ó mają być kpiny, sir? - zapytał groźnie Buttler.

Zbiry natychmiast otoczyły obu zawodników.

Westman nie okazywał lęku. Odpowietiział spokojnie:

- Sir, nie dopuszczam się kpin, kiedy chodzi o pieniądze. Gzy mamy strzelać dalej?

~ Nie. Ghciałbym się z panem założyć, a nie z pana przypadkiem.

Czy zawsze panu sprzyja?

29

Mrugnął ukradkiem na towarzyszy, aby powstrzymali się jeszcze od awantury. Westman spostrzegł jednak to mrugnięcie i odpowiedział z uśmiechem:

-Zawsze, o ile to się opłaci, ale nie kiedy stawką jest nędzny dolar.

W tym wypadku kula moja może trafić w płot.

Mieli właśnie skręcić za róg budynku, aby wrócić do stołów, gdy się na kogoś natknęli. Ową „osobistością” był muł Sama Hawkensa, niespokojnie szukający swego pana. Buttler, który szedł na przedzie, zderzył się ze zwierzęciem.

- Wstrętne bydlę! - zawołał, uderzając Mary w łeb. - Prawdziwy, istny rumak krawca! Nikomy innemu na myśl by nie wpadło dosiadać takiej bestii!

- Słusznie - odparł Sam. - Ale dlaczego?
- Dlaczego? Oczywiście, ze wstrętu!

- Łatwiej powiedzieć, że ze wstrętu, niż z tego prostego powodu, iż dosiąść jej zbyt trudno.

- Jak to? Jak pan to rozumie? Czy pan chce przez to powiedzieć, że ten kłapouch nie pozwoli się ujeżdżać?

-‘I~go nie twierdzę, sir. Chciałem tylko powiedzieć, że jedynie bardzo dobry jeździec może mego muła dosiąść.

Wymówił to takim tonem, że Buttler zapytał szybko:

- Czy mniema pan, że jestem złym jeźdźcem i że nie utrzymam się na tej pokrace?

- Bynajmniej; sir, aczkolwiek należy się spodziewać, że zwierzę strąci pana w okamgnieniu.

- Mnie? Najlepszego jeźdźca od Frisco do Nowego Orleanu?
Jesteś pan szaleńcem!

Sam zmierzył go od stóp do głów ironicznym spojrzeniem i zapytał niedowierzająco:

- Pan, najlepszym jeźdźcem? Nie wierzę. Nie jest pan odpowie-dnio zbudowany; nogi ma pan za długie.

- Nie jestem odpowiednió zbudowany? - roześmiał się Buttler.

30

- Co może wiedzieć krawiec o jeździe konnej! Nadjeżdżając tutaj, siedział pan na tym kłapouchu jak małpa na wielbłądzie, a teraz wypowiadasz się na temat dobrej jazdy? Niech się pan nie ośmiesza! Ścisnę pafiskiego muła nogami tak, że po pięciu minutach runie!

-Albo po minucie pozbędzie się pana! Chce pan iść o zakład?
- Stawiam dziesięć dolarów! - zawołał Buttler, który już nie miał pieniędzy na tak wygórowane, jak poprzednio, stawki.

- Ja również.
- Że mnie muł nie strąci!
- A ja twierdzę, że tak!
- Dobrze. Dziesięć dolarów!
Sam wyjął pieniądze i wręczył znowy Dickowi Stone. Buttler poży-czył od kolegów i również złożył stawkę Dickowi. Wolałby wprawdzie wręczyć jednemu ze swoich, ale nie chciał wzbudzać podejrzeń.

- Straszny zakład! - rzekł gospodarz. - Dla marnych dziesięciu dolarów dosiadasz pan takiej szkarady! Tym razem jednak na pewno wygrasz.

Buttler ujął starą Mary za cugle i wyprowadził na placyk przed chatą.

- A zatem w ciągu minuty pod mułem! - zawołał do Hawkensa.
- Jeśli po minucie będę na nim siedział, wygrałem.
- Czy mogę rażmawiać ze zwierzęciem? - zapytał Sam.
- Czemu nie? Gadaj z nim, gwiżdż albo śpiewaj, jak sobie życzysz!
Utworzyły się dwie grupy. W jednej stał Sam, Dick i Will; w drugiej gospodarz z finderami. Buttler dosiadł muła, który stał spokojnie i nieruchomo, jak rzeźba drewniana. Wówczas Sam rzekł:

- Zrzud go, moja dobra Bucking Mary!
Muł natychmiast zgarbił się jak źbik, wszystkimi czterema kończy-narni podskoczył w górę, wyciągnął się w powietrzu i wreszcie stanął na ziemi. Stanął na tym samym miejscu. Buttler natomiast siedział nie na siodle, lecz na ziemiohok~e~~a~m~~~~.~,~ ‘a-‘~-~~~.~’~ 2 wrażeńia. Buttler zerwał się na równe nogi i zawołał wściekle:

31

- Tb bydlę diabelskie! Z początku stoi potulnie jak baranek, a potem zrywa się jak balon w powietrze!

- Lepiej by pan wyszedł na tym, gdybyś był lotnikiem, a nie jeźdźcem. Stawki są moje - odpowiedział Sam, chowając je do kieszeni.

- Do kata! Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem! Czyż nie powie-działeś zwierzęciu, żeby mnie zrzuciło?

- Yes.

- Sir, wypraszam to sobie!
-Pshaw! Pozwolił mi pan z mułem rozmawiać.
- Ale nie na moją szkodę!
- Nie, zrobiłem to ku pożytkowi pana. Powinien się pan tylko przysłuchać moim słowom, a zrozumiałbyś, co zwierzę uczyni i jak się masz wobec tego zachować, jeśli jesteś tak dobrym jeźdźcem, za jakiego się podawałeś.

- Wel~ w takim razie teraz na pewno wygram. Nie pozwolę się zrzucić! Jeszcze dziesięć dolarów?

- Chętnie.
Buttler pożyczył po raz drugi, wręczył Dickowi i dosiadając muła, zwrócił się do Sama:

- No, powiedz pan teraz tej pokrace, co ma zrobić!
Sam roześmiał się w odpowiedzi i zawołał:

- Pozbądź go się, moja miła Striping Mary!
Mary puściła się w galop, nie zważając na opór jeźdźca. Zakręciła łuk ku krawędzi chaty i przybywszy tam, pomknęia ku drugiej krawę-dzi, ale tak blisko muru, że prawa noga jeźdźca zawadziła o węgło. Aby jej nie złamać, czy zwichnąć, Buttler musiał sam wyskoczyć z siodła. Muł „pozbył się" jeźdźca i usiadł plackiem na ziemi.

- Do stu tysięcy diabłów! - zawołał rozjuszony jeździec, podno-sząc się i pocierając kolano. - 'Pd bestia jest prawdziwie piekiel-nym bydlęciem. Byłem przygotowany na strącenie. Jak mógł mu pan rozkazać, żeby się mnie pozbyła?

32

- Zgodził się pan, żebym z mułem rozmawiał, żebym gwizdał i śpiewał, jak mi się żywnie podoba. Pieniądze są moje! Zabrał obie stawki. Buttler podszedł, kulejąc do gospodarza i szepnął:

- Daj mi dwadzieścia dolarów! Moi ludzie nic już nie mają.
- Chcesz jeszcze raz się założyć? - zapytał Irlandczyk.
- Naturalnie.
- Znowu stracisz!
-'Ihraz nie.
- A jeśli jednak? Kto mi zwróci moje pieniądze?
- Ja, łotrze, ja!
- Ale kiedy?
- Do jutra rana.
- Jutro rano? Kiedy ostatni grosz stracicie?
- Ośla głowo! Tb tylko pożyczka! Moi ludzie nie przyglądaliby się tak spokojnie, gdyby nie wiedzieli, że jutro rano odzyskam swoje pieniądze i dostanę coś ponadto.

- Czyżby te dwa tysiące?
- Yes.
- Miej się na baczności, sir! 'I~n człowiek nie jest wcale taki głupi
,
jak przypuszczaliśmy.

-Pshaw! Los mu sprzyja.
- W strzelaniu tak, ale co do tego muła?
- Nawet w tym wypadku. 'Ib zwierzę jest kupionym za kilka dolarów starym, wytresowanym mułem cyrkowym. Zna tylko te dwie sztuki, nic ponadto. A zatem pieniążki! Chciałbym tymczasem odzy-skać przynajmniej ostatnią dwudziestkę.

Gospodarz przyniósł dwadzieścia dolarów, Buttler zawołał do Sa-ma:

- Czy jeszeze raz?
-'Ihk, ale po raz ostatni.
- Zgoda. Dwadzieścia dolarów? Oto pieniądze. Daję najświętsze

słowo, że pański potwór teraz już mnie nie powali! Dosiadł wierzchowca, ściągnął cugle i ścisnął mu boki nogami, wyczekując, czy Sam każe się go pozbyć, czy też zrzucić. Ale chytry mały nie powtórzył ani jednego, ani drugiego polecenia, lecz zawołał:

- Zwal go, moja droga Rolling Mary!

Muł natychmiast rzucił się na ziemię i potoczył jak walec. Z obawy przed pogruchotaniem, Buttler musiał puścić cugle i wyjąć nogi ze strzemion. Mary, poczuwszy się wolną, skoczyła na nogi, pomknęła ku swojemu panu, wydała triumfalny krzyk i potarła pysk o jego plecy. Buttler podniósł się powoli. Rozwścieczony wielokrotną przegra-ną z trudem powstrzymywał się aby nie wybuchnąE.

- Czy nie chciałby się pan jeszcze raz założyć? - zawołał Sam Hawkens.

- Idź pan do diabła z tą wstrętną bestią! - huknął zapytany, siadając.

- Nie obcuję z diabłem, mister Buttler. Pójdę zatem tam, dokąd zechcę.

- Jedziecie do Prescott?
-- Yes.
-Już dzisiaj?
- Nie. Zostaniemy dzisiaj tu, w San Xavier del Bac.
- Czy znaleźliście już nocleg?
- Będziemy spać pod gołym niebem.
- Macie co jeść?
- Jeszcze nie. Sądziliśmy, że tu dostaniemy.

- 'Ii~ was uraczą tylko kukurydzą. Ale możecie sobie podjeść, jeżeli zostaniecie naszymi gośćmi. Czy przyjmujecie zaproszenie?

- Owszem, sir. Kiedy zasiądziecie do wieczerzy?
- Kiedy mięso nadejdzie, zawiadomię pana.

W ten sposób zakońezono serię zakładów i obie grupy wróciły do swoich stołów.

Pokrzyżowane plany

Zrobiłeś dobry interes! - rzekł Dick do Sama.—Chntzaie przystą-pilbym do spółki.

- To zbyteczne, jeśli się nie mylę. Uważają nas naprawdę za krawców, hihihihi! A ten herszt nazywa się Buttler!

- A więc mamy przed sobą dwunastu finderów. Złe towarzystwo do kolacji!

- Nie byłem zmuszony przyjąć ich zaproszenia; mamy jeszeze w worku zapasy na cały dziefi, co nam starczy do 'Ilicson; ale mam własne plany w zanadrzu. Zarnierzam ich mianowicie wziąć do niewoli.

- Ale jak?
-To się zobaezy.

-- Lepiej byłoby jechać dalej; to bardzo niebezpieczne dla nas miejsce. Zechcą ci na pewno odebrać wygraną!

- Oczywiście! Ale odechce im się prędko. Nie lękam się ich, tym bardziej że przekonali mnie, jak łatwo ich wodzić za nos. Uważać nas za krawców, nas; Liść Koniczyny!

- Jesteś szezwanym lisem; stary Samie!

- Jestem wcale zadowolony ze swej oskalpowanej głowy. I ja niogdyś posiadałem własne włosy wraz ze skórą; nosiłem je od uro-dzenia z dumą i z pełnym prawem, od którego nie mógłby mnie odsądzić żaden adwokat, lecz w koficu zdybał mnie tuzin, czy dwa 3S Pokrzyżowane plany

Zrobiłeś dobry interes! - rzekł Dick do Sama. - Ch~tnie przystą-piłbym do spółki.

- To zbyteczne, jeśli się nie mylę. Uważają nas na.prawdę za krawców, hihihihi! A ten herszt nazywa się Buttler!

- A więc mamy przed sobą dwunastu finderów. Złe towarzystwo do kolacji!

- Nie byłem zmuszony przyjąć ich zaproszenia; mamy jeszcze w worku zapasy na cały dzień, co nam starczy do Tucson; ale mam własne plany w zanadrzu. Zamierzam ich mianowicie wziąć do niewoli.

- Ale jak?
- Tb się zobaczy.
-- Lepiej byłoby jechać dalej; to bardzo niebezpieczne dla nas miejsce. Zechcą ci na pewno odebrać wygraną!

- Oczywiście! Ale odechce im się prędko. Nie lękam się ich, tym bardziej że przekonali mnie, jak łatwo ich wodzić za nos. Uważać nas za krawców, nas; Liść Koniczyny!

- Jesteś szczwanym lisem; stary Samie!
- Jestem wcale zadowolony ze swej oskalpowanej głowy. I ja niegdyś posiadałem własne włosy wraz ze skórą; nosiłem je od uro-dzenia z dumą i z pełnym prawem, od którego nie mógłby mnie odsądzić żaden adwokat, lecz w koficu zdybał mnie tuzin, czy dwa

35 tuziny Paunisów i żywcem zdarli ze mnie sierść. Udałem się wówczas do ‘h;kania i kupiłem nową skórę. Nazywano ją peruką i sprzedano za trzy grube pęczki skórek bobrowych, jeśli się nie mylę. Nic sobie z tego nie robię, gdyż nowa sierść jest czasem praktyczniejsza niż stara, zwłaszcza latem. Mogę zdjąć, kiedy się pocę, i myć ją i czesać, nie drapiąć się w głowę. I jeśli jakiś czerwony zażąda ode mnie skalpu, mogę dać, nie przyczyniając mu trudu, a sobie bólu. hihihihi!

- I jakie to głupie - wtrącił Will Parker, - że naprawdę wierzą, iż zamierzamy nad Gila chwytać bobry, a nawet szare niedźwiedzie.

- Nie tak głupie, jak mniemasz, - objaśnił Sam. - Widzieli dokładnie, że jesteś greenhornem, a po takim można się wszystkiego spodziewać, nawet tego, że na strychu spróbuje łowić psy morskie i wieloryby. Powiada, Buttler, że spodziewają się mięsa. Skąd wezmą? Czy aby z Tlicson? Nie do wiary! Może chcą okra~ć tych, których ..., oto właśnie nadjeżdżają!

Wskazał przed siebie, gdzie na placu ukazał się wóz, a za nim trzy inne. Na przedzie pędził dobrze uzbrojony jeździec. Był to przewod-nik. Obok wozu jechali dwaj młodzieficy, uzbrojeni w noże, rewolwe-ry i dubeltówki. Poganiacze wołów szli pieszo. W dwóch wozach siedzieli osadnicy. Z ciekawością rozglądali się dookoła. Przewodnik zapewne zamierzał zatrzymać się przed karczmą, lecz, ujrzawszy towarzystwo pod szynkiem, pojechał dalej. Wozy, oczywi-ście, potoczyły się za nim.

- Przekleństwo! - szepnął jeden ze zbirów do gospodarza. - Zdaje się, że trzeba będzie zrezygnować z pieczystego.

- A to czemu?
- Ponieważ jadą dalej. Kto wie, jak daleko stąd urządzą postój.
- Nie ujadą daleko. Widać było, że woły są zmęczone. Czyście zauważyli twarz przewodnika?

- Nie.
- Zasępiła się, skoro was ujrzał. Nie ufa wam, ponieważ zapewne badaliście go zbyt natarczywie. Na pewno by się tutaj zatrzymał i tylko

36 przez was pojechał dalej, ale nie daleko; chyba do skraju pastwiska.

- Zobaczę.
-Jeśli cię spostrzeże, umocni się w podejrzeniach.
- Prawda - powiedział Buttler.—Musimy czekać, aż się ściemni.

Wówczas ja z dwoma ludźmi pójdę za nimi. Puszczą na popas woły; uprowadzimy jednego i zarżniemy.

- I nakryją was! - dorzucił gospodarz.

- Co nazywasz nakryciem? Jeśli ktoś przyjdzie, zastanie nas u ciebie na zjadaniu pieczeni; to wszystko. Uprowadzony wół będzie leżał pod wioską. Kto może dowieś~, żeśmy go zarżnęli?

- Będziemy jeść akurat ten kawał mięsa, którego będzie brak u zarżniętego wołu!

- Tb nie dowód; wszak mogliśmy go kupić u nieznanego Indiani-na. Jeżeli zechcą się mimo to naprzykrzać, to mamy strzelby i noże.

- Ci trzej krawcy biorą udział w kolacji?
-'Ihk. Wiesz, Paddy, co za myśl przyszła mi do głowy? Upoimy ich!
- Aby ich następnie ... ?
-'Pdk, aby ich następnie ... tak, jak myślisz.
- U nas w domu?
-'Pak, w pokoju. 'Iii na polu nie można. Mógłby ktoś zobaczyć.

- Ale narażacie mnie na niebezpieczeństwo! Coś podobnego w moim domu, w moim pokoju ...

- Milcz! Dostaniesz z tego trzysta dolarów. Dosyć za tą małą fatygę, zgadzasz się?

- Tak, nie mam innej rady. Ale obawiam się, że trudno ich będzie upić.

- Przeciwnie, bardzo łatwo! Czyś nie widział, jak wylali gorzałkę?
- Na to ma oko każdy gospodarz.

- A więc nie są pijusami i nie wytrzymają wiele wbdki. Po kilku szklankach będą urżnięci w cztery panienki.

- Nie są pijusami i nie będą pili. Jakże ich upić?
- Ach i to możliwe! Czy nie masz nic inńego, prócz sznapsa?

37

- Dla dobrych przyjaciół i za dobrą zapłatę mam także beczułkę bardzo gorącego wina kaliente z Kalifarnii.

- Wino kaliente? Do piarunów, dawaj na stół! - krzyknął But-tler. - Jeden jedyny litr tego wina pawali tych krawców, a dla nas będzie ten napój prawdziwą rozkoszą. Ile ma kosztować?

- Czterdzieści litrów, sześćdziesiąt dolarów.

- 'IYochę za drogo, ale zgoda. A więc dostaniesz z hxpu trzysta sześćdziesiąt dolarów.

- Po co tyle zachodu z tymi krawczykami, sir? Zaprosić ich, zjeść z nimi, gawędzi~, upić i tak dalej? Czy nie ma lepszych, prostszych sposobbw?

- Owszem, ale, chcę ci powiedzie~, Paddy; coś jest w ich zachawa-niu, co mi nasuwa podejrzenie, że nie są krawcami. Zastanowiłem się nad tym. Strzały tego małęgo były mistrzowskie, nawet pierwsze chybione. Widzieliśmy, jak celował w papier, a jednak niedostrzegal-nym ruchem skierował lufę ku rogowi. Spójrz, jak tam siedzą! Ani razu tutaj nie spoglądają, ale powiadam ci, że widzą tak, jak gdyby nie spuszczali z nas oka. Znam te zamaskawane spojrzenia. A ich posta-wa? Jak gdyby w każdej chwili gotowi byli wypalić z rewolweru. Niełatwo na nich napaść, zaskoczyć tak, aby nie mogli chwycić za noże i broń palną.

- Ale dwunas'-~, a nawet trzynastu na trzech; wynik nie może ulegać wątpliwości!

- Stanowczo. Ale z nas dwunastu kilku zostanie zranionych, a może zabitych. Zaskoczyć ich w odurzeniu, to naj pewniejsze i najbez-pieczniejsze.

Buttler urwał, wskazał przed siebie i rzekł:

- Oto nadchodzi cudaczna osobistość, która jechała za wozami.

Została w tyle, straciła z oczu karawanę i nie wie, dokąd się skierowa~.

Wyrażenie „cudaczna osobistość" było jeszcze za mało dosadne. Jadąc powoli, postać ta, w krótkich, odmierzonych odstępach czasu czyniła ruchy wahadłowe na koniu, to pochylając głowę naprzód i 38 odsuwając nogi w tył, to znowu na odwrót, odsuwając głowę, a wycią-gając nogi. Ciało tkwiło w długim, szerokim płaszczu gumowym, głowa była nakryta dużą wiedeńska chustką, której kofice spadały aż na grzbiet konia, nogi okryte butami do konnej jazdy; nad jednym ramieniem sterczała flinta, a spod płaszcza wyglądała szabla. 'liearz pod chustą była bezbroda i czerwona, więc istotnie, zwłaszcza wobec tego ubioru, niepodobna było powiedzieć, czy to mężczyzna, czy też kobieta siedzi na powolnym, chudym kłusaku. A wiek zagadkowej istoty? Gdyby ta kobieta była mężczyzną, mogłaby mieś trzydzieści pięć lat; gdyby zaś ten mężezyzna był damą, to na pewno już rozpoczął czwarty dziesiątek. Postać zbliżyła się do stołów, osadziła konia na miejscu i powitała wszystkich dyszkantem:

- Dzień dobry, moi panowie! Moźe widzieliście cztery wozy?

Dotychczas naturalnie mówiono po angielsku; ta herodbaba, czy też ten zniewieściały mężczyzna posługiwał się natomiast niemieckim, którego zagadnięci nie rozumieli. Dlatego nie dostał odpowiedzi. Gdy pytanie zostało powtórzone, podniósł się Sam Hawkens, zbliżył do konia i odpowiedział po niemiecku:

- Czy nie rozmawia pan po angielsku?
- Nie, tylko po niemiecku.
- Czy mogę wiedzieć kim pan jesteś?

Odpowiedź w dyszkantem brzmiała:

-Jestem pan kantor emeritus Mateusz Aureliusz Hampel z Klotz-sche pod Dreznem.

- Klotzsche pod Dreznem? A więc jest pan Sasem?
-'I'~k, rodowitem, teraz jednak emerytowanym.

- Ja także, aczkotwiek od dawna błąkam się po Ameryce. Podró-żuje pan z owymi ezterema wozami, panie kantorze?

-'Pdk. Proszę jednak bardzo, abyś wyrażał się dokładnie: powiedz pan raczej, panie kantorze emeritus! Wtedy każdy będzie wiedział, że skwitowałem się z organów i kościelnej służby, aby poSwięcić moje facultates wyłącznie harmonicznej bogini muzyki.

39

Oczki Sama zabłysły wesoło, lecz odrzekł poważnie:

- Dobrze, panie kantorze emeritus, wozy już dawno przejechały i jak przypuszczam, zatrzymają się pod wioską.

- Ile taktów mam jeszcze ujechać?
-'Pdktów?
- Hm ... hm ... kroków, chciałem powiedzieć.

- Nie wiem, gdyż jestem tu po raz pierwszy. Pozwoli pan, że pana zaprowadzę?

- Chętnie, mój szanowny panie. Jestem melodią a pan akompa-niamentem. Jeśli po drodze nie zrobimy długich ćwierć-pauz i fermat, to z finałem staniemy u celu.

Sam przerzucił Liddy przez plecy, gwizdnął na Mary, która poszła za nim, jak posłuszny pies, uchwycił konia dziwaka za uzdę i poszedł śladem wozów.

- A więc komponuje pan, panie kantorze emeritus?
-'Pak, dniem i nocą.
- ~?
- Wielką operę w dwunastu aktach, po cztery na każdy wieczór,
,

wie pan, coś in genere „Pierścienia Nibelungów” Ryszarda Wagnera ale tym razem skomponowana nie przez niego, lecz przez pana kan-tora emeritus Mateusza Aureliusza Hampela z Klotzsche pod Dre-znem.

- Czy nie może pan w domu komponowa~? Co pana zapędziło do Ameryki, a zwłaszcza do Arizony, najniebezpieczniejszej okolicy Dzi-kiego Zachodu?

- Co mnie zapędziło? Duch, muza, któżby inny? Przybrany syn muzy musi słuchać rozkazu bogini.

- Nie rozumiem. Nie słucham żadnej bogini, tylko rozumu.
-Bo nie jesteś natchniony. Nie komponuje się opery rozumem, lecz głównym basem i kontrapunktem, oczywiście, o ile się ma odpo-wiednie libretto, odpowiedni tekst. I właśnie ten tekst jest sprę-żyną, która mnie rzuciła na łono Ameryki.

40

- Jak to, panie kantorze?
- Proszę pana bardzo raz jeszcze: kantor emeritus! Naprawdę, jedynie przez wzgląd na dokładność. Można pomy~leć quod semper debeo grać na organach w HIotzche pod Dreznem, quamvis w istocie od dwóch lat już mam następcę. Moja opera jest w głowie zupełnie gotowa, ale brak mi odpowiedniego tekstu. ‘Ii~zeba mi mocnej, gigan-tycznej akcji, albowiem moja opera ma być heroiczna. Sam więc musiałem szukać bohaterów, ale, niestety, nie znlazłem odpowied-nich. Pragnę wszakże nowych, oryginalnych bohaterów, takich, jakich nigdy nie widziano w teatrum. Otóż więc w pobliżu Drezna mieszka czasem mój przyjaciel i protektor Hobble Frank i ten ...

- Hobble Frank tam mieszka? Zna go pan? - zapytał ze zdumie-niem Sam.

-‘Idk. Pan również?
- Dobrze, nawet bardzo dobrze! Dalej, dalej!
-I ten zwrócil moją uwagę na bohaterów, jakich szukam.
- Co pan mówi, panie kantorze!
- Monituję pana po raz trzeci, a może nawet czwarty: pan kantor emeritus! Naprawdę, tylko przez wzgląd na dokładność. Możnaby pomyśleć, że roszczę sobie prawo do urzędu, którego już od dwóch lat nie piastuję. A zatem Hobble Frank zwrócił moją uwagę na takich odpowiednich dla mnie bohaterów, primo więc na siebie samego, a secundo na innych ludzi, wraz z którymi dawniej tu, na Dzikim Zachodzie, dokonywał cudów i exemplów bohaterstwa, a z którymi certe znowu się teraz spotkał.

- O kim to mowa?
- O wodzu Apaczów, zwanym Winnetou, o dwóch białych myśli-wych, imieniem Old Shatterhand i Old Firehand, i o wielu innych. Czy zna pan także ten triumwitrat?

- Myślę, hihihihi! Powiadam panu, ode mnie dowiesz się tyle o tych gentlemanach, że będziesz miał materiał do dwudziestu oper. Muzykę, oczywiście, będziesz pan musiał sam dorobić.

41

- Naturalnie, naturalnie! Hobble Frank opowiedział mi wszystkie ewenementy, które przeżył wraz z owymi mężami; będę bardzo rad, jeśli usłyszę od pana przygody inne, jeśli wzbogaci to mój materiał twórczy.

- Dowiesz się pan więcej, niż się spodziewasz. Ale czy nie powie-dział pan przed chwilą, że Hobble Frank znowu się z nimi spotkał?

- ‘Ihk, powiedziałem; tak przypuszczam, aczkolwiek nie mogę stwierdzić magna cum certitudżene. Nie było mnie kilka dni w domu. Kiedy wróciłem, znalazłem kilka wierszy od niego. Prosił, abym czym prędzej do niego przybył, jeśli zamierzam towarzyszyć mu do Amery-ki, aby osobiście poznać bohaterów tej opery. Rozumie się, że bez-zwłocznie odwiedziłem go, aliści przybyłem za

późno, gdyż willa „Niedźwiedzie Sadło", w której mieszka, była zamknięta na wszystkie spusty. Życie wymarło, pustka zupełna. Dopiero sąsiad mnie poinfor-mował, że Hobble Frank wyjechał na dłuższy czas. Pomyślałem sobie, że do Ameryki i podążyłem za nim.

-Ale czemu właśnie do tej dzikiej Arizony? Skąd przypuszczenie, że Frank udał się tutaj?

- Opowiadał często o Arizonie i Newadzie; wspominał, że naty-chmiast tam wyruszy, skoro dostanie wiadomość o przybyciu jednego z dawnych towarzyszy, z którym koresponduje. Ponieważ wyjechał tak nagle, nie czekając na mnie, przeto censeo, że dostałj już tę wiadomośc.

- I na tym się opierając, tylko na tym, przedsięwziął pan tak daleką podróż?

- Czemu nie? Każdy kraj jest krajem, czy się nazywa Saksonia, czy Arizoną. Na jakiej zasadzie tutaj trudniej byłoby się spotkać, niż gdzie indziej?

- Co za pytanie! Po pierwsze, chodzi o to, że Arizona, a także Newada jest dwadzieścia razy większa od Saksonii, a następnie panują tu inne stosunki. Czy ma pan wyobrażenie, ile tu mieszka indiafiskich plemion?

- Cóż mnie obchodzą!

42

- Czy zna pan bezdroża kraju, dzikie przepagcie i kaniony, pustko-wia obszarów górskich, beznadziejność pustyni, zwłaszcza położonej pomiędzy Kalifornią, Nevadą i Arizoną?

- Nic sobie z tego nie robię!
- Czy zna pan mowę Indian, mowę tutejszych biaiych?
- Nie znam i nie chcę znać! Moją mową jest muzyka.
- Lecz dziki Indianin nie będzie z panem rozmawiał i postępował melodyjnie! Jak mi się zdaje, nie wiesz pan nawet, na jakie się niebezpieczeństwa wystawiasz, szukając Hobble Franka.

- Niebezpieczeństwa? Powiedziałem panu, co o tym sądzę. Miło~-nik sztuki, syn muz, nie lęka się niebezpieczeństw. Jest tak wyniesiony ponad zwykłe życie, jak skrzypce ponad bas; żyje i oddycha eterem niebiańskich akordów i nic sobie nie robi z ziemskich dysonansów.

-Well! Pozwól pan, żeby ci Indianin zdarł skalp z głowy i wówczas powi.edz mi, jakie słyszałeś niebiańskie akordy! 'Iii istnieje tylko jedna muryka, ta uto! - uderzył dłonią po strzelbie, po czym dodał:

- Pod tego instrumentu tony tańezy się w Arizonie i Nevadzie i ...
-'Pa~ńc~,y się ... fuj! - przetwał kantor. - Kto mówił o tańcu i kto w ogóle będzie o tym mówił! Artysta, przenigdy. 'Pdniec to szybka i nieustanna zmiana stałego punktu równowagi, która pociąga za sobą nieestetyczne pocenie.

- Życzę panu, aby~ wbrew swej woli artystycznej nie stracił punktu staiej równowagi, a wraz z tym punktem czegoś więcej, może nawet życia. Niestety, już teraz należy się obawiać, że wkótce będzie pan zmuszony hopsać, co się nie obejdzi~ całkiem bez potu.

-Ja? Ani mi się śni! Kto chciałby, kto mógłby mnie zmusi~?
- Ci panowie, którzy za nami siedzą przed szynkiem. Wyjaśnię panu szczegóły nieco później.

- Czemu nie teraz'?
-- Ponieważ muszę wyjaśnić je także innym i ponieważ przybyliśmy do Gelu, jeśli się nie mylę.

Mieli już za 'obą wioskę i jechali drogą, prowadzącą da~ stolicy.

43

Podczas jazdy kantor nie przerywał swoich wahadłowych ruchów na koniu. Nachylając tułów, to naprzód, to znowu w tył, wyrzucał nogi wraz ze strzemionami w przeciwnym kierunku, co nieźle

bawiło Sama Hawkensa. ‘I~raz zobaczyli cztery wielkie wozy osadników. Podróżni wysiedli już i wyprzęgli woły, które zaczęły się raczyć niezbyt bujną trawą.

Wozy były ustawione tuż przy sobie, dyszlami w jednym kierunku. Był to wielki błąd w owej miejscowości, gdzie obecność Indian i białych obieżyświatów zaleca tworzenie z wozów tak zwanego taboru. Osadnicy kręcili się zafrasowani po placu. Dwie kobiety szukały chrustu z akacji, jedynego tutaj paliwa; dwie inne uwijały się z garn-kami, w których miano gotować posiłek. Pomagało im kilkoro dzieci. Dwaj mężczyźni przynosili w kubłach wodę, trzeci badał koła wozów; ci trzej byli jeszcze dosyć młodzi. Czwarty, który na pewno przekroczył pięćdziesiątkę, ale bardzo rześki i krzepko zbudowany, stał pośrodku obozu, nadzorując i od czasu do czasu gromkim głosem wydając rozkazy. Wyglądał na przywódcę osadników. Skoro zobaczył obu przybyszów, zawołał:

- Gdzieżeście znowu zmitrężyli, panie kantorze?! Stale musimy się niepokoić o pana.

- Proszę, bardzo proszę, panie Schmidt - przerwał kompozytor.

- Pan kantor emeritus, jak już panu stokrotnie mówiłem. Naprawdę, tytko przez wzgląd na dokładność, a i z tego również powodu, że nie roszczę pretensji do tytułów, do których już nie mam prawa. Mówiąc to osadził konia i ztazł na ziemię, ale w jaki sposób! Z początku podniósł prawą nogę, aby zejść z lewej strony, to mu się wydało niebezpieczne, więc wyciągnął tewą nogę ze strzemienia, aby znaleźć się z prawej strony na ziemi, co również wydało mu się zbyt trudne. Wówczas wparł się rękoma w łęk na siodle, podniósł się nie-co i zsunął w tył, w tej sposób, że osiadł na pośladku zwierzęcia. Stąd zesunął się powoli i wreszcie ześliznął po oginie. Zwierzę było łagodne jak baranek i znużone, nie sprzeciwiało się więć tej dziwnej 44 manierze zsiadania. Pionierzy prawdopodobnie niejednokrotnie już byli świadkami tej „ślizgawki”, toteż nie uczyniła na nich żadnego wrażenia; ale poczciwy Sam Hawkens musiał zadać sobie wiele trudu, aby nie wybuchnąć wesołym śmiechem.

- Ach, co tam emeritus! - odpowiedział Schmidt mocnym, za-pewne właściwym sobie tonem. - Dla nas jest pan zawsze jeszcze panem kantorem. Że pan się kazał emerytować, to rzecz pana, ale nie powód do tego, abyśmy stale musieli przeżuwać obcy wyraz. Dlaczego zostaje pan zawsze w tyle? ‘I3rzeba pana ciągle doglądać!

- Piano, piano, drogi panie Schmidt! Słyszę pana bardzo dobrze, jeśli nawet nie krzyczysz. Nawiedził mnie pewien pomysł muzyczny. Pomyślałem sobie, że w uwerturze, z braku wiolonczeli w orkiestrze, można jej głos oddać trzeciej trąbie. Co pan myśli?

- Zgadzam się, żeby ją pan oddał chociażby wielkiemu bębnowi.

Wiem dobrze, że wóz musi być smarowany, jeśli ma dobrze jechać, ale nie wiem, co w uwerturze powinno być wytrąbione. Co za błazna sprowadził pan do nas?

Ostatnie zdanie odnosiło się do Sama Hawkensa. Kantor odpo-wiedział, nie zważając na mocne i obraźliwe wyrażenie.

- Ten pan jest ... jest ... nazywa się ... hm, sam jeszcze nie wiem, jak. Spotkałem go w wiosce i zapytałem o was. Rzecz najważniejsza, że jest również Sasem.

- Sasem? - zapytał Schmidt zdumiony, oglądając Sama od stóp do głów. - Nie może być! Gdyby u nas w Saksonii ktoś wałęsał się w takim ubiorze, aresztowanoby go z miejsca!

- Na szczęście, nie jesteśmy teraz w Saksonii, - odpowiedział Hawkens z uśmiechem - dlatego zachowałem wolnośE i swobodę, jeśli się nie mylę. Zobaczycie tu inne jeszcze niemniej oryginalne ubiory. Na Dzikim Zachodzie nie ma dziesięciu sklepów z ubiorami co dwadzieścia kroków. Czy mogę się dowiedzieć, dokąd on jedzie?

- On? - odparł Schmidt wymijająco. - Jestem przyzwyczajony, aby do mnie przemawiano przez pan. Zanim panu ódpowiem, chcę 45 wiedzieć, kim jesteś i czym się zajmujesz.

-Well, może wiedzieć. Nazywam się Falke, przybyłem z Saksonii, żyję tu jako westman i każdemu oddają należne mu honory. Zosta-wiam do jego dyspozycji, czy zechce mi odpowiedzieć na moje pyta-nie.

- On? Jego? Panie Falke, powiedziałem już panu, że jestem przyzwyczajony ...

- No dobrze, dobrze! - przerwał mały. - A ja już powiedziałem, że każdemu oddaję należne mu honory. Kto mnie uważa za błazna, tomu nie przypisuję zdrowych zmysłów.

- Do piorunów! Czy pan do mnie pije? - wybuchnął stary, podchodząc o krok do Sama.

-'Pdk - odpowiedział westman, patrząc mu spakojnie w oczy.
- A więc wiej pan stąd natychmiast, jeśli nie chcesz zgubić kama-szy!

- Odejdę. Ale jako ziomek poczytuję sobie za obowiązek prze-strzec pana przed dwunastoma jeźdźcami, którzy was dzisiaj minęli.

-Zbyteczna fatyga! Starezy nam rozumu, aby pojąću, co się Swięci.
Draby te od razu nie przypadły mi do gustu i na zapytania nie dostali żadnej odpowiedzi. Widzi pan zatem, że rady pana są spóźnione! Odwrócił się na znak, że uważa rozmowę za skoficzoną. Westman chciał odej~ć, ale zatrzymał się i rzekł:

- Mister Schmidt, jeszcze jedno słówko!
- Co? - zapytał szorstko stary.
- Jeśli istotnie nie potrzebuje dobrych rad, to chętnie zachowam je dla siebie. Niech mi pozwoli zadać tylko jedno pytanie; czy wozy będą nadal tak stały, jak teraz?

- Skąd to pytanie?
-'Pak się ułatwia kradzież, a nawei napad. Gdybym ja miał tu głos, kazałbym utworzyć z wozów czworobok. PoSrodku, na całą noc, umie-ściłbym wszystkich ludzi i wszystkie woły. Poza tym wystawiłbyrn od zmroku do wezesnego rana posterunek.

46

- W jakim celu?
- Ponieważ jesteście w Arizonie, a nie w drezdeńskim domu.
- Wiem dobrze, gdzie jesteśmy. Nie pytamy o to błazna. Oddal się pan, bo cię przyspieszę!

- Well, idę już, jeśli się nie mylę. Chciałem wam pomóc; aIe teraz błazen opuszcza ten teatr małp!

Odwrócił się gwałtownie i podążył do wioski. Schmidt wpadł na kantora:

- Dobrego mi pan kompana sprowadził. Wygląda jak arlekin, a cham jakich mało. Za takich rodaków dziękuję uniżenie.

-- W stosunku do mnie był bardzo uprzejmy i życzliwy, - ośmielił się powiedzieć emeritus - ponieważ przemówiłem doń dolce, jak my muzycy zwykiiśmy się wyrażać, podczas gdy pan wpadł nań bardzo sfonando.

- Bo przybiegł jak rzezimieszek i ...
Głośny okrzyk przerwał wylew żółci Schmidta. Obaj młodzieńcy, którzy eskortowali konie, a o których wspominali finderzy, stali dotychczas nad wodą, gdzie obmywali swoje zakurzone wierzchowce. 'I~raz wracali właśnie do obozu. Jeden miał bardzo inteligentny wyraz twarzy, która, mimo ciemnej opalenizny, zdradzała Europejczyka, mógł Iiczyć osiemnaście lat i był raczej barczysty, niż wysoki. Głowa drugiego była ciekawsza. Śmiało sformowane rysy były iście indiańskie, ale nie posiadały owej charakterystycznej ostrości, ani też szcze-gólnej wydatności kości policzkowych. Od koloru twarzy matowo-brązowego odbijała żywo jasna szarość przenikliwych oczu i blond włosy. Jego postać była smuklejsza, ale nie słabsza, niż postać towa-rzysza, z którym był równy wiekiem: Obaj ubrani po europejsku i jak się zdawało, doskonale uzbrojeni. Świetnie też siedzieli na koniach, szczególnie szarooki. Otóż ten właśnie o indiańskich rysach młodzie-niec,

ujrzawszy z tyłu wracającego do wioski Sama, wydał okrzyk, którym przerwał Schmidtowi w połowie zdania:

- Co takiego? Czego pan chce? - zapytał stary.

47

Młodzieniec przyśpieszył konia i zatrzymawszy się przy Schmidcie, rzekł do niemiecku, chociaż z obcym akcentem:

- Kim był ten mały jegomość, który dopiero co stąd odszedł?
- Dlaczego pan pyta?
- Wydaje mi się znajomym. Nie widziałem dokładnie, ale chód jego od razu mi kogoś przypomniał. Czy nosi brodę?

- Prawdziwy odwieczny las.
- Zgadza się! Oczy?
- Szparki.
- Nos?
- Ogromny.
- Zgadza się więc! Czy nie wymienił nazwiska?
-1'dk.
-~ Czy aby Sam Hawkens?
- Nie. Nazywa się Falke i jest Niemcem.
- Dziwne, ale łatwo da się wyjaśnić! Falke to po angielsku Hawk.

Wielu Niemców przybiera tutaj angielskie nazwiska; czemużby więc biały nazwiskiem Falke nie miał się nazywać Hawkens? Nie wiedzia-łem wprawdzie, że Sam Hawkens jest Niemcem. Ale ta postać i ten dziwny, skradający sie chód! Każdy westman uczył się skradać, ale tak skrada się tylko Sam Hawkens. Lecz strój, jeszcze jedno pytanie: czy ten człowiek nie roześmiał się podczas rozmowy?

-'1'ak.
- Jak?
- Wyszukanie drwiąco, kiedy mówił o Iudziach i wołach.

- Ale na jakiej spółgłosce oparty był ten śmiech, na jakim dźwięku? Ludzie się śmieją na a albo i, na e i o.

- Na i, a był to raczej chichot niż śmiech.

- Naprawdę, naprawdę? - zapyrał żywo młodzieniec. - A więc to on. Sam Hawkens, ma swoisty chichot, niezrównany, a śmieje się bardzo często, wesoło i z zadowoleniem; prawie połyka swój śmiech.

48

- Myli się pan; ten jegomośc na pewno nie był westmanem!

Tymczasem Sam wrócił do szynku i przysiadł się do Dicka i Willa. Kazali znów sobie podać whisky i rozcieficzyli je wodą. Finderzy śmieli się z tego, na ogół jednak nie mącili im spokoju. Skoro się ściemniło, Irlandczyk zapalił latarnię. Od biedy oświet-lała plac przed karczmą. Dopiero po kolacji miano wejść do izby. Po pewnym czasie podniósł się Buttler, mrugnął na trzech kamratów i odszedł z nimi.

- W tym się coś kryje - rzekł Will Parker. - Dokąd mogli pójść?
- Nie możesz się domyślić? - zapytał Sam.
- Nie. Nie jestem wszechwiedzący.

- Ani ja. Ale kto nie jest takim greenhomem, jak Will Parker, ten nie wątpi, czego tamci chcą.

- No czego, stary, roztropny szopie?
- Mięsa.
- Skąd?
- Od osadników.

- Ach, tak! Osadnicy zabrali ze sobą wiele wędzonego mięsa?
-Bynajmniej! Finderzy mają chrapkę na świeże mięso, a w obozie jest szesnaście wołów. Czy już wiesz, co się święci, mój słodki Willu?

- Ach, woły, słusznie, słusznie! - potwierdził Will. - Można zaufać tym gentlemanom, że ukradną wołu, ponieważ łatwiej upro-wadzić zwierzę, niż zdobyć z wozu twardą szynkę. Kładzie się na ziemię, przysuwa się do wołu i pędzi powoli i ostrożnie od obozu, aż do pewnego miejsca.

- No tak; tak się to robi, hihihihi. Zdaje się, że byłeś dawniej wołokradem, jeśli się nie mylę.

- Milcz, stary szopie. Żal mi tamtych, że stracą pociągowe zwierzę.
Czy dopiero teraz nasunęło ci się to podejrzenie?

- Nie, już przedtem, kiedy Buttler wspomniał o mięsie.
- Byłeś u osadników i nie ostrzegłeś ich?
- Kto ci powiada, że nie ostrzegłem? Nazwano mnie błaznem.

49

Sam Hawkens błaznem, hihil~ihi! Ubawiłeni się setnie. Tt~ prawda; nie jestem w stroju wieczorowym, ale ten kantor emeritus bardziej prze-cież wygląda na pajaca, niż ja, jeśli się nie mylę!

- Śmiejesz się. Czy pomyślałeś o tym, że zostaliśmy zaproszeni na kolecję?

- Naturalnie, myślałem! Jestem głodny, jak wilk stepowy, które-mu słońce przez dwa tygodnie świeciło w pustym żołądku.

- A więc przyjmujesz zaproszenie i będziesz jadł skradzione mięso?

-Yes, nawet bardzo!
- Samie, nie mogę uwierzyć, przecież masz uczciwy żołądek! Rób zresztą, co ci się podoba. Ja odmawiam. Will Parker nie jada kradzio-nego towaru!

- Ani Sam Hakens, chyba że wie, iż później towar będzie zapła-cony.

- Ach, ty więc my~lisz ... ?
- Yes - skinął mały. - Nazwano mnie błaznem, wzgardzono moimi radami, nie będę tedy przeszkadzał. Będę zajadał z najwyższą przyjemnością, aIe następnie postaram się, aby pokrzywdzeni otrzy-mali odszkodowanie.

- Jeśli tak się rzeczy mają, to i ja się godzę jeść. Ti~zeba się jednak mieć na baczności. Zdziwiłbym się setnie, gdyby nas finderzy puścili, nie spróbowawszy uprzednio oskuba~.

W trzy kawadranse po zniknęciu, Buttler wrócił z kamratami. Przynieśli lędźwię wołu, która też od razu poszła na kuchnię. Zanim się upiekła, wypróżniono wiele flaszek whisky. Skoro wreszcie Mu-rzynka zameldowała, że pieczeń gotowa, Buttler podszedł do Liścia Koniczyny i poprosił do wnętrza.

- Czy nie moglibyśmy tutaj dostać poczęstunku? - zapytał Sam.
- Nie - brzmiała odpowiedź. - Kto chce być naszym gościem, musi jeśE z nami. Zresztą, wiecie wszak, że wino wymaga towarzystwa.

- Wino? Skąd się wzięło? - zapytał Sam zdumiony.
-‘Idk, skąd! Nieprawdaż, dziwi was to? Powiadam wam, że zapro-sili was prawdziwi gentlemani. Widzieliśmy, że nie lubicie whisky, i oto dla was, na waszą cześć, namówiliśmy gospodarza, aby nam oddał jedyną butelkę wina, jaką posiada. ‘Ib trunek, jakiegoście w życiu nie kosztowali. A więc chodźcie, messurs!

Skierował się ku drzwiom, za którymi zniknęli już jego kamraci.

Sam zdołał jeszeze szepnąć swoim towarzyszom:

- Będziemy udawać zalanych. Oni myślą, że mamy dziecięce żołądki, ponieważ nie piliśmy trucizny Irlandczyka. Hihihihi, zawód ich spotka, jeśli się nie mylę! Sam Hawkens pije jak loch piwniczny, a czy kiedy widziano pijany loch piwniczny? Będziemy udawać boys, że nie możemy nic strawić, ale postaramy się ich samych spić na umór. Weszli do izby. Z prawej strony stała kuchnia z bardzo mizernym paleniskiem, na którym buchał płomiefi. Nad ogniem Murzynka pi-trasiła mięso. Z lewej strony stały dwa długie stoły, sklecone z nieheb-lowanych desek i belek, a obok nich lawy tej samej roboty. Było tu dosyć miejsca dla wszystkich. Beczulka stała w kącie na piefiku, Irlandezyk utoczył z niej dwa pełne dzbany, które z braku szklanek krążyły z ust do ust.

Finderzy umówili się pi~ mało, dopóki trzej goście nie zaleją sobie czubów. Puszczając więc w obieg dzbany, udawali, że dzielnie piją, lecz w rzeczy samej chłonęli napój niewielkimi haustami. Wino wszakże było naprawdę dobre. Smakowało im bardzo. Nie dziw, że łyki były coraz pełniejsze.

Pieczefi również się udała. Raczono si4 nią sucie i już dojadano resztek, kiedy zakłócono biesiadę. Mianowicie, w drzwiach ukazal się przewodnik osadników, a za nim Schmidt i jeszcze trzej inni mężczyżni. Mieli przy sobie broń, podczas gdy strzelby biesiadników stały na uboczu. Obejrzawszy szybkim wzrokiem ucztujących, prze-wodnik postąpił kilka kroków naprzód i rzekł:

- Goad evening, mylords! Czy pozwolicie życzyć wam smacznego?

- Czemu ni~? - ozwał się Buttler. - Chętnie byśmy was nawet zaprosili do stołu, ale zjedliśmy już prawie wszystko.

- Bardzo żałujemy. Nie widać kości? A więc jedliście lędźwie?
-Yes, wyśmienite lędźwie bawole.
- Czy są tu jeszcze bawoły? Chyba to było oswojone bydlę?
- Możliwe. Kupiliśmy jako mięso bawole.
- Gdzież to, jeśli można pytać?
- W rancho Rhodesa, w dolinie Santa Cruz, którą wyminęliśmy.

- Byłby to wielki pakunek, a przy spotkaniu nie widzieliśmy przy was żadnego.

- Ponieważ każdy niósł swój kawałek, jeśli pan nic przeciwko temu nie ma, sir - u~miechnął się drwiąco Buttler.

- Well, mister! Ale jakże się to stało, że nam brak wołu.
- Brak wam wołu? Ach, więc ilu was było?

Ten grubiafiski żart wywołał grzmiący śmiech finderów. Przewod-nik bynajmniej nie stropiony, odrzekł:

-'Pak, zginął nam wół cugowy. Czy nie macie przypadkiem pojęcia, gdzie on może by~?

- Skądże moglibyśmy wiedzieć? Szukajcie!
- Szukaliśmy oczywiście i znaleźliśmy.
- Więc bądźcie zadowoleni i dajcie nam spokój ze swym wołem!

Nie mamy nic wspólnego z tym bydlęciem.

- A jednak! Rzecz w tym, że wół został uprowadzony i zarżnięty prostym cięciem między dwoma odpowiednimi kręgami, cięciem, które zadaje śmierć natychmiast. W ten sposób złodzieje bydła zarzy-ną zdobycz niedaleko miejsca kradzieży.

- Well. A więc mniema pan, że wół został skradziony?
- Nie tylko mnieman, ale jestem o tym głęboko przeświadczony.

- A więc ścigajcie złodzieja! Może go schwytacie. Jedyna to i najlepsza rada, jakiej wam mogę udzielić.

- Ścigaliśmy go właśnie. Tb dziwne, ale wołu brak lędźwi!

- Wcale nie dziwne, owszem, zupełnie zrozumiałe. Złodzieje wiedzieli dobrze, że będzie to najsmaczniejszy kąsek.

52

- Well, byli zatem tych samych poglądów, co i wy, wszak wid~,ę waszą pieczeń.

W tej chwili Buttler zerwał się na równe nogi i zapytał groźnie:

- Co to ma znaczyć, sir? Czy przyrównuje pan naszą pieczeń do lędźwi skradzionego bydlęcia?

-'Pdk i spodziewarn się, że nic nie macie przeciwko temu.
W mgnieniu oka Buttler wziął strzelbę do ręki, a towarzysze jego skoczyli po swoje.

- Człowieku, czy wiesz na co narażają cię te zuchwałe słowa?
Spójrz na dwanaście luf, w ciebie skierowanych i powtórz swoje posądzenie!

- Spełniłem tylko swoją powinność. Jestem przewodnikiem ludzi, którzy tu stoją za mną. Pochodzą z Niemiec i nie znają angielskiego. Mówiłem w ich imieniu, a teraz mogę odejść. Jestem przewodnikiem, ale nie stróżem ich wołów. Niech sami dochodzą swojej szkody! Odwrócił się i wycofał. Ze swego punktu widzenia miał zupełną słuszność, był najemnikiem i spełniał obowiązki, za które mu placili. Wła~ciwie spełniał je nawet zbyt pilnie, narażając życie dla skradzio-nego wołu. Buttler i jego karmaci usiedli na powrót za stołem. Niemcy przypuszczali zapewne, że przewodnik wyjaśnii sprawę do końca, stali bowiem po jego odejściu bezradnie, dopóki Schmidt nie wpadł na nowy pomysł. Zwrócił się mianowicie do Sama Hawkensa, który ani myślał przerywać ucztę, tak samo zresztą, jak obaj jego przyjaciele i na pozór nie zważał na rozgrywającą się przed nim scenę.

- Panie Falke, czy słyszał pan, co powiedział przewodnik?
- Mniej więcej - odpowiedział westman, kładąc do ust kawałek mięsa.

- Nie rozumieliśmy rozmowy. Czy uznał tych ludzi za złodziei?
-'Pak.
- I jaki był skutek?
- Skutek? Hm, skutek ten, że stąd odszedł.
- Do diabła! Czy mam puścić płazem kradzież wołu?

53

- Dlaczego nie? Pozwolił pan na tę kradzież, jeśli się nie mylę, hihihihi!

Schmidt wsłuchał się w brzmienie śmiechu, na który zwrócono jego uwagę.

- Pomóż mi pan! Przecież jesteś Niemcem, a zatem naszym ziomkiem i powinieneś się za nami ująć.

- Ja powinienem? Czego możecie się spodziewać od błazna?
Gdybyście słuchali mojej rady, gdybyście utworzyli czworobok z wo-zów i strzegli zwierząt, nie skradzionoby wam wołu. Nie mogę nic wam doradzić, absolutnie nic.

- Ale tu siedzieć, bratać się ze zbirami i wsuwa~ kęsy kradzionego mięsa, to pan potrafi, co?

-'Ifik, to potrafię, gdyż zaproszono mnie na wieczerzę, jeśli się nia mylę.

Niemiec, srodze rozgniewany, stuknął kolbą o podłogę i 7.awołał:

- W takim razie dziękuję panu za ziomkostwo i sam sobie pora-dzę!

- Jakże chcesz do tego przystąpić?
- Zmuszę tych łotrów, aby mi zapłacili. Jest nas cztere~h i mamy świetną broń.

- A tu stoi dwunastu zuchwałych mężezyzn, równie dobrze uzbro-jonych. Porzu~cie głupstawa! Wywołacie wilka z lasu, ale wołu nie wskrzesicie.

- Wiem o tym. Ale wartość jego w pieniądzach?
- Ci ludzie nie mają pieniędzy, a nawet gdyby mieli, nie mogliby-ście im zabrać ich przemocą.

- Czy mam się uciec do podstępu?
- Nied~wiedź nie jest lisem, a pro~tak spryciarzem, hihihihi!

Schmidt miał już odpalić na to grubiaństwo gdy znuwu zastanowił go chichot Sama. Zapytał szybko:

-- Czy istotnie nazywa się pan Falke?
-'Idk, jeśli się nie mylę, hihihihi!

54

- Ale jest pan podobny do innego westmana.
- Jakiego westmana?
- Szi So wymienił nazwisko, ale zapomniałem, jakie.
- Szi So? - zapytał oszołomiony Sam. - Kto to?

- Młody nasz towarzysz, syn wodza Nawajów, który się nazywa Nitsas Ini.

Z odruchem radości Sam zawołał:

- Nitsa Ini? Jego syn u was? Czy wraca z Niemiec?
-'Pdk. Przyjechał z nami.

- Wyśmienicie, wyśmienicie! Tb zmienia postać rzeczy; nie na próżno prosi mnie pan o pomoc. Wracajcie spokojnie do obozu. Otrzyma pan odszkodowanie za zwierzę.

'I~raz zwracał się do niego per pan. Wiadomość, którą usłyszał, usposobiła go przychylnie do pioniera.

- Mydli mi pan oczy, aby się mnie pozbyć? - niedowierzał Schmidt.

- Bynajmniej. Daję panu słowo, że dostaniecie całkowite odszko-dowanie, a może nawet więcej. Ile kosztował wół?

- Sto trzydzieści dolarów.

- Otrzyma je pan. Ja to panu powiadam, a więc pewne jak amen, jeśli się nie mylę!

- Jest pan zatem westmanem, którego wymienił Szi So?

- W każdym razie to ja, gdyż dawniej często widywałem Szi So, kiedy gościłem u plemienia jego ojca. Powiedz mu pan, że jak najprę-dzej przybędę do waszego obozu, aby go przywitać. Gdzie był podczas moich odwiedzin przed wieczorem?

- Pojechał do rzeki.
- A przewodnik panów, którego również nie widziałem?

- 'Il;n polował na dzikiego indyka. Palnę mu kazanie, że nas zawiódł.

- Żadnego z tego nie będzie pożytku. Ale idź pan już! Obecność pana jątrzy tylko tych ludzi. 55

- Pójdę i nigdy już nie pozwolę się okraść. Od dziś będę zważał na każdą dobrą radę.

- Skorzystam z tego i z miejsca poradzę panu, abyś na Dzikim Zachodzie nie oceniał ludzi według stroju!

Skoro Schmidt i jego towarzysze zniknęli, Buttler zapytał Sama:

- Nie zrozumiałem ani słowa. Co mówił ten arcyladaco?
- Żądał odszkodowania.
- A coście odpowiedzieli?
- Odesłałem go z kwitkiem.

Finder był zadowolony.

- Jego szczęście, że pana usłuchał. Nie zwykliśmy robić wiele ceregieli z takimi ichmościami. Ale teraz siadajcie z powrotem! Po-każemy, że ci prostaczkowie nie popsuli nam humorów. Uczta rozpoczęła się od nowa. Jadła wkrótce zabrakło, więc tym gorliwiej raczono się trunkiem. Kiedy się beczka miała ku wyczerpa-niu, Sam zaczął udawać, że kurzy mu się z czupryny, a Dick i Will

poszli za jego przykładem. Finderzy, uradowani i pewni powodzenia, wierzyli, że już niebawem ofiary ich będą całkowice bezwolne. Nie lali przeto za kołnierz, łecz coraz skwapliwiej pociągali z dzbanów. T~k upływały kwadranse. Sam jedynie udawał, że oczy zaczynają mu się kleić, finderom natomiast powieki istotnie ciążyły. Przecież już po-przednio nie skąpili sobie gorzałki. Irlandczyk pierwszy doprowadził się do utraty przytomności. Usiadł przy palenisku i zapadł w drzemkę. Nachylał się coraz bardziej, aż legł na ziemi jak długi. Sam pilnie baczył, aby herszt nie próżnowaŁ Istotnie, Buttler niebawem musiał złożyć głowę na rękach, opartych o stół łokciami. Zdawał sobie sprawę, ża zaprószył głowę, ale nie chciał się kompro-mitować wobec kamratów. Dlatego mrugał oczami, jak mu się zda-wało, ukradkiem i w ten sposób przekonywał kamratów, że symuluje. Finderzy poj ęli, że powinni go naśladować, więc naśladowali z ochotą i zapałem. Nie dziw, że wkrótce głucha cisza zastąpiła rumor i nieopi-saną wrzawę pijacką.

56

‘I~raz podniósł się Hawkens, aby napełnić dzbany. Póki starczyło napoju w beczce, pbty budził to jednego, to znów drugiego, nakłania-jąc do picia.

Wreszcie beczka została do dna opróżniona i cała gromada usneta snem głębokim, aczkolwiek nie był to sen sprawiedliwych. Sam, chcąc ich poddać próbie, obudził kilku finderbw. Bełkotali nieprzytomnie i zapadali w sen ponownie. Jeden z nich wbił w Sama mętne spojrzenie i zapytał:

- Czy już są zalani, Buttler?
- T~k, jak bela, - odpowiedział Sam.

- A więc precz z nimi i noże pomiędzy żebra. Podzielimy się pieniędzmi; trupy zakopiemy. Dlaczego nie odpowiadasz? - dodał po chwili. - A może chcesz ich puścić cało? ‘R~ nie uchodzi! Śmierć ich postanowiona. Czy ... mam ... swoim ... nożem ... zacząć?

-‘Idk—odrzekł Hawkens.
- W takim ... razie ... biorę na ... siebie ... małego ... grub ... grubego!

Sięgnął ręką do pasa po nóż, podniósł się, lecz nie zdołał utrzymać na nogach; runął na ziemię i tak już leżał bez przytomno~ci.

- Słyszeliśmy więc - szepnął Dick Stone - mieli nas zamordo-wać, ograbić i zakopać. Słusznie ich posądzałeś o złę zamiary, Samie. Co teraz poczniemy?

- Rzecz najprostrza, spętamy ptaszków. Znajdą się tutaj chyba rzemienie i sznury.

Znalazło się ich sporo i wkrótce już nie tylko finderzy, ale także gospodarz i stara Murzynka, również pijana na umor, leżała skrępo-wana. Sam, zostawiwszy na straży oby towarzyszy, ruszył do pionie-rów. Skoro się do nich zbliżył, usłyszał głos młodzieficzy:

- Who is there! I shoot! Kto tam? Będę strzelał!
- Sam Hawkens - brzmiała odpowiedź.
- Już? Tb wspaniale! Chdźcie, sir. Przejdź pan przez ten dyszel!
- Jestem za mały; wolę raczej przeczołgać się pod dyszlem.

Sam mógł śię teraz przekonać, że jego nauka nie poszła w las,

$%

niestety już po szkodzie. Utworzono czworobok z wozów i umiesz-czono pośrodku zwierzęta. Wartownik, który go zatrzymał, wyciągnął rękę na powitanie. Był to Szi So syn indiafiskiego wodza. Mówił najczystszą angielszczyzną.

Sam zapytał:

- Mam nadzieję, że rozmawia pan po niemiecku, mój młody przyjacielu, gdyż koło sześciu lat bawiłeś w Niemczech?

- Dosyć dobrze.
- A więc obudzimy śpiących i pomówimy z nimi po niemiecku.

Ale uważaj! Ktoś nadchodzi?

Wsłuchali się w noc. Z wioski dobiegał tętent.

-1b jeździec, jeden - szepnął Szi So. - Któżby to mógł być?

-Tb nie jeździec; znam doskonale ten tętent.'Ib moja stara, dobra Mary, która pobiegła za mną. Zna ją pan z dawnych czasów?

- T'dk, znam, ale proszę, niech mnie pan nie tytułuje na modlę białych, lecz mówi przez ty! Jestem Indianinem i chcę nim pozostać; chcę pozostać wierny obyczajom swego plemienia.

-'Ib dobrze, mój chłopcze! Nie wbiłeś się w dumę! W takim razie stary Sam nie przestanie cię kocha~. Masz mi wiele do opowiedzenia, ale teraz nie czas na gawędy!

Muł zbliżył się do dyszla, gdzie wciąż jeszcze stał Sam i otarł się o jego plecy. Głośna rozmowa wybiła ze snu pionierów. Zbiegli się, ciekawi, kto pr~szedł. Nie mogli poznać Sama, gdyż ognisko wygasło. l~raz Schmidt przywitał się z nim inaczej, niż za pierwszym razem i kazał rozniecić nowy ogiefi. Przy jego świetle Szi So przedstawił Samowi zebranych Niemców. 'I~zej młodzi, znani już nam osadnicy, nazywali się Strauch, Ebersbach i Uhlmann; młody przyjaciel India-nina nazywał się Adolf Wolf.

Zebrały się także kobiety i dzieci, wszystkie już podrastające. Oczywiście i przewodnik nie pozostał w oddaleniu, wszyscy zatem wysłuchali relacji Sama o dzisiejszym jego spotkaniu z opryszkami. Prócz Indianina nikt Sama dotychczas nie znał nawet ze słyszenia.

58

Zrozumieli jednak, słyszqo jego opowiadanie o zakładach, o upiciu finderów, o ich skrępowaniu, że nie jest to zwykły obieży~wiat. Zro-zumiał to zwłaszcza stary Schmidt. Wyciągnął do Sama rękę i rzekł z nutką ubolewania w głosie:

- Widzę, że powinienem pana prosić o wybaczenie. Nie poznałem się na panu. Mam nadzieję, że nie bierze mi pan tego za złe?

- Ani myślę! - roześmiał się westman. - Po cóż mam brać pana błędy, wolałbym ustąpić własnych. Błazen jest panu odpuszezony i pójdzie w zapomnienie, jeśli się nie mylę.

-'I~vierdzi pan zatem, że ci ludzie są finderami?

-'Ihk.

- I że mieli zamordować pana, Stone'a i Parkera?

-'Pdk.

- Są to powody dostateczne do ukarania ich na gardle, lub przy-najmniej uwięzieniem. Będziemy ich zatem całą noc strzegli, a jutro rano przekażemy władzom.

-Nie, bynajmniej.

- Lecz co?

- Puścimy ich.

- Puścimy? 'Pdkich zbójów, którzy nastawali na wasze życie? Czy ma pan nieco rozumu w głowie?

- W każdym razie nie mam go w butach, mister Schmidt. Znać to od razu, że pan przybył z daleka i że nie znasz miejscowych stosunków. Ojakich władzach pan mbwi? Gdzie tu istnieją władze? Ajeśli nawet istnieją, to cóż wskóramy? Czy mogę dowieść swego?

- Nie wątpię!

- Bynajmniej! Uważam tych ludzi za finderów, ponieważ jest ich dwunastu, a jeden z nich nazywa się Buttler. Czy dla sędziów jest to wystarczający dowód? Twierdzę, że chcieli nas zamordować, gdyż wyrwał się z tym pijany drab. Powiedziałem, że mają na nas napaść, gdyż tak przypuszczam. Ale co o tym powie sędzia? I jeśli nawet przyzna słuszność i uwięzi finderów, będziemy musieli tutaj tak długo

59 marudzić i naważymy sobie tyle kłopotu, że pękniemy że złości.

- No, dobrze! Sami więc złóżmy sąd. Skażemy tych bandytów na śmierć i damy każdemu po kuli.

- Niech mnieBóg uchowa! Nie jestem mordercą. Tylko w obronie własnego życia mogę przelewać krew ludzką.

- A więc chce ich pan naprawdę puścić na wolność?
- Tak.

I żadna kara ich nie spotka?

- Właśnie dlatego, że mają być ukarani, chcę ich puścić.
- Absurd!

- Absurd, powiada pan? Mister Schmidt, znajdziesz w tym sens, jeśli się nie mylę. 'Iirzeba tylko mieć jeszcze coś obok kaszy w głowie. Czy ma pan, hihihihi?

- Pan mi ubliża! - oburzył się Schmidt. Mimo danego poprze-dnio przyrzeczenia nie mógł się powstrzymać od tej uwagi.

- Ubliża? Nie! Rozmawiam z ludźmi tak, jak oni ze mną rozma-wiają. Pytał się pan poprzednio, czy mam nieco rozumu w głowie. Udowodnię panu, że nie doszukasz się w moim twierdzeniu żadnego nonsensu. Nie mamy dowodów, tylko przypuszczenia. Musimy zatem szukać dowodów. Jeśli puścimy ich teraz, oni na nas napadną, a wówczas weźmiemy drabów za łeb. Zdobędziemy dowody, które moż-na będzie wypisać na ich skórze, jeśli się nie mylę.

- Jak? Czekać na ich napad? Niebezpieczefistwo, na które się narażamy, może nas doprowadzić do zguby!

- Bądź pan dobrej myśli! Wszystko zależy od tego, gdzie kto kiełzna konia, przy głowie, czy przy ogonie. Zdaj się pan na mnie! Sam Hawkens, ten stary szop, znajdzie pułapkę na finderów. Wrócimy jeszcze do tego tematu. Muszę się rozmówić z Dickiem Stonem i Willem Parkerem. Rzecz najważniejsza chwilowo, to spełnienie mo-jej obietnicy: odszkodowania za skradzionego i zarżniętego wołu. Czy chce je pan odebrać?

- Jeśli można, to natychmiast. Wątpię jednak, czy szubrawcy 60 zapłacą całą sumę.
- Czemu nie mieliby zapłacić?
- Ponieważ zabrali tylko lędźwie, my zaś wzięliśmy resztę.

-'R~ wszystko jedno. Wół zabity musi być zapłacony. Awięc chodź pan po zapłatę! Ale wystrzegaj się, nie nazywaj mnie Samam Hawken-sem! Nie chcę, aby ci ludzie wiedzieli, kim jestem.

- Kto z nas pójdzie do wioski?

- Tylko pan, mister Schmidt. Po co nam świadkowie? 'Ibwarzysze pana mogą tutaj zostać, przygotować się do drogi i zaprzęgać woły do wozów, aby po naszym powrocie można było natychmiast wyruszyć do 'Iizcson.

- Natychmiast, w nocy? Musimy przecież wypocząć. Zamierzali-śmy wyruszyć dopiero rano.

- Okoliczności wymagają, abyście zrezygnowali z wypoczynku.

Naraz odezwał się z tej strony, gdzie stały kobiety, głęboki, mocy bas, wymawiający słowa akcentem prawdziwie saskim:

- Słuchajno pan, z tego będą nici! Człowiek chce mieć swój należyty wypoczynek, a bydlę także. Więc zostaniemy tutaj i basta! Sam ze zdziwieniem obejrzał niespodzianą oponentkę. Nie przy-puszczał, że może natrafić na sprzeciw ze strony kobiety, a cóż dopiero sprzeciw wypowiedziany takim tonem. Była to mocna koścista posta~ o bardzo męskim, pewnym siebie wyglądzie. Gdyby ognisko jaśniej płonęło, lub gdyby był dzień, dostrzegłby, że pod jej ostrym nosem ciągnie się ciemna krecha, której, nawet przy najlepszej woli, nie można inaczej nazwać, jak zarostem.

- Wytrzeszcza oczy, jak na upiora! - żąchnęła się, spostrzegłszy zdziwiony wzrok westmana. - Nie będzie inaczej i basta! W dzień jazda, w nocy spanie. Inaczej lada kto przyjdzie i porządek boski do góry dnem wywróci!

- Ależ chodzi o bezpieczeństwo, o dobro wasze, droga pani! - usiłował tłumaczyć Sam.

- Nie wywracaj kota kota do góry ogonem! - odpowiedziała. -

61

Człowiek stateczny nie gna w egipskich ciemnościach po Ameryce. No, gdyby to było w domu, może przystałabym, ale na obczyźnie czeka się spokojnie, aż zaświeci. Zrozumiano?

- Wprawdzie rozumiem panią, droga lady, ale sądzę ...
- Droga lady'? - przerwała. - Nie jestem pańską drogą lady! Czy pan wie, kim właściwie jestem i jak ja się nazywam?

- Naturalnie, jest pani małżonką jednego z tych czterech gentle-namów.

- Gentlemanów. Mów pan po niemiecku, kiedy masz przed sobą rodowitą Niemkę! Jestem pani Eberschbach z domu Morgenstern, wdowa po młynarzu. 'Ibn tutaj - wskazała na jednego z młodych osadników - jest to mój obecny pan i małżonek, kowal Ebersbach. 'Ihk się tylko pisze, ale wymawia Eberschbach. I żeby mi pan z góry wiedział, że nie będzie on tańczył tak, jak pan w dudy dmucha, ale tak, jak ja dmucham, bo jestem o jedenaście lat starsza i mam więcej rozumu i doświadczenia, niż on. Zostanę tutaj i on zostanie. Kiedy wszyscy ludzie śpią, my nie będziemy się uganiać po świecie! Ponieważ nikt z pionierów nie odezwał się, Sam powiódł okiem dookoła i rzekł:

- Jeśli panowie zwykliście słucha~ tej wpływowej lady, mogę tylko prosić, abyście tym razem zrobili wyjątek.

Chciał mówić dalej, ale „wpływowa lady" nie dopuściła go do słowa.

- Co też pan wygaduje! Wyjątek! A jużci, ja pozwolę! Nie nadmu-cha mi pan w kaszę! Co pan ślepiami na mnie świeci? Nic panu te grymasy nie pomogą. Słyszysz pan, ja tu rządzę! Rozumiesz pan? Kto zapłacił c;ały koszt? Za przejazd, a potem za drogę aż dotąd? I kto jeszcze będzie się wydatkował? Ja! Ja jestem kapitał! Teraz wie pan wszystko, a my pójdziemy spać!

Znowu nikt nie śmiał słówka wtrącić, nawet Schmidt, który prze-cież wydawał się być przywódcą i który tak ostro potraktował Sama.

Mały westman podniósł się od ogniska i rzekł spokojnie:

-Jak pani sobie życzy! Powiemy sobie dobranoc, jeśli się nie mylę.

62

Będzie to nasze ostateczne pożegnanie, gdyż jestem przeświadczony, że nie zbudzicie się po tej nocy. Hihihihi!

Zamierzał odejś~, lecz baba zerwała się raptownie, przytrzymała go za rękę i zapytała:

- Co pan przez to rozumie, mały wyskrobku?

Przewyższała go o głowę.

- Rozumiem, że się nie obudzicie.
- A to dlaczego?
- Ponieważ będziecie nieboszczykami.
- Nieboszczykami? Ani myślę! Pani Rozalia Ebersbach nie tak łatwo umiera!

- Czy przypuszcza pani, że tych dwunastu włóczęgbw będzie słuchało pani Rozalii Ebersbach?

- Nie mogą, choćby i chcieli; są uwiązani i spętani, jak pan sam opowiadałeś.

- Ale uwolnią się i napadną na was z chwilą, gdy się ze swoimi towarzyszami oddalę.

- Chcesz się pan oddalić?
- Naturalnie!
- A to dlaczego? Przecież to wasz święty obowiązek strzec tych łotrów, dopóki my nie znajdziemy się w bezpiecznym miejscu! Co ja mam o panu sądziE, jeśli wydaje nas pan na sztych i umywa ręce!

- Niech pani myśli, co jej się podoba.
- Miłe słowa, nie ma co! Czy nie słyszał pan, że mężczyźni powinni być grzeczni dla dam i chronić je od niebezpieczefistwa? A pani Rozalia Ebersbach jest damą, zrozumieno!

- Słusznie, ale kto się ucieka pod moją obronę, ten musi mnie słuchać. Zrozumiano? Mają na was napaść. Jeśli napadną tutaj, to znaczy, jeśli się znowu położycie, jesteście zgubieni. Jeśli wcale nie napadną, to nie mamy żadnego dowodu. Aby zdobyć dowód, musimy udać się do ‘Iiicson i poprosić komendanta o oddział żołnierzy do pomocy. Dlatego powinniśmy wyruszyć natychmiast, aby już rano

63 stanąć w’Iiicson i przygotować ptiłapkę na finderów, zanim zdołają ją spostrzec. Czy potrafi to pani zrozumieć, pani Ebersbach z domu Młynarska?

- Dlaczego pan od razu tak nie mówił? - zapytała zmienionym tonem. - A poza tym, jestem wdową po młynarzu, anie Młynarską z domu. Ponieważ pan do mnie przemawia rozważnie, będę słuchała. Niech pan nie sądzi, że mam kiełbie w głowie! Więc zaprzęgniemy woły i przygotujemy się do drogi. Ale co nie, to nie, Schmidt sam z panem nie pójdzie! Chcę też przynajmniej raz obejrzeć tych hultajów. Poczekaj pan chwilkę, przyniosę swoją flintę.

Podeszła do wozu, gdzie leżała brofi. Kiedy wróciła, mąż zaczął ją prosić:

- Zastanów się, Rozalio! ‘Ib nie dla kobiet. Pójdę zamiast ciebie.
- Ty? - odpowiedziała. - To nie dla ciebie! Nie baw się w mężczyznę i bohatera. Wiesz, że nie znoszę tej maskarady! Zostaniesz i poczekasz, póki nie wrócę!

Sam Hawkens, śmiejąc się w kułak, udał się w towarzystwie jej i Schrnidta do wioski. Kiedy dotarli do szynku, finderzy, uciskani wię-zami, ocnęli się z odurzenia i Buttler gniewnie przekładał coś obu strzegącym go westmanom.

- Czego on chce? - zapytał Sam Hawkens, zwracając się do przyjaciół.

- Czego ma chcieć? - odpowiedział Stone. - Naturalnie dziwi się, że my ich mamy, a nie oni nas. Pyta, czy to podziękowanie za poczęstunek.

- 1’ak - zawołał Buttler, szarpiąc więzami i usiłując podnieść przynajmniej tułów. - Co was opętało, żeście podczas snu tak się z nami obeszli? Przyjęliśmy was gościnnie, nie obraziliśmy was, nie wyrządziliśmy żadnej krzywdy i za to ...

- Nie wyrządziliście żadnej krzywdy - podchwycił Sam - I nie możecie sobie tego darować. Zresztą, po co tyle słów? Znam wasze zamiary, których mieliśmy paść ofiarą i w podzięce zamierzamy wydać 64 was sędziemu.

Buttler zaśmiał się szyderczo i zapytał:

- Spodziewacie się, że uwierzy wam bez dowodów?
- Wygadaliście się przy winie.
- A nawet, jeśli to prawda, żaden sędzia nie będzie przywiązywał wagi do bredni pijanego. Wasze dowody spoczywają na kruchych podstawach, sir. Niech się zjawi sędzia; staniemy przed nim spokoj-nie.

- Niestety, to prawda. Wprawdzie możemy przysiąc, ale zmar-nowalibyśmy tyle drogiego czasu z wami i z sędzią, że wolimy tego poniechać.

- Najlepsza to myśl, jaką mogliście powziąć, spodziewam się zatem, że uwolnicie nas z więzów!

- Nie tak gwałtownie, sir! Musimy jeszcze zamienić słówko.
- Ale szybko! Czego chcecie jeszcze?
- Zapłaty za wołu, któregoście zarżnęli.
- Co was obchodzi ten wół!

- Bardzo nawet. Przyłączyliśmy się bowiem do osadników. Jadą w góry, aby schwytać w sidła niedźwiedzie i bobry, podobnie jak my. Wobec tego, łaczy na wspólnota interesów i co z tego wynika, obo-wiązkiem naszym jest dbać o wspólne dobro.

- A jednak nic wam z tego! - gniewał się Buttler. - Nic wam nie damy!

- Bagatelka! Nie dacie, sami weźmiemy. Jaka jest cena owego wołu, mister Buttler?

-'Ib nas nie obchodzi! Nie mamy już pieniędzy. Sami wiecie, że straciliśmy wszystko w zakładach.

- Tbteż właśnie chcieliście odbić sobie straty, ograbić nas i pionie-rów. Policzymy za wołu sto pięćdziesiąt dolarów.

- Możecie policzyć nawet sto tysięcy! Nie jesteśmy w stanie zapłacić.

- Przeprowadżimy tranzakcję zamienną. Nie zostało wam chyba

3 - Król naftowy 65

samo płótno w kieszeniach?

- Zounds! Chcecie nam wypróżnić kieszenie?!
- Czemu nie?
- Sir, to byłby rabunek!

- Nie szkodzi. Cieszy nas, że możemy się zabrać do waszego rzemiosła.

- Nie jesteśmy rabusiami! Jeśli zabierzecie naszą własność, za-skarżymy was.

- Jestem ciekaw, co powie sędzia, kiedy was zobaczy. A więc naprzód, Dick i Will, spenetrujemy ich kieszenie! Obaj wezwani z najwyższą przyjemnością zabrali się do roboty. Finderzy sprzeciwiali się, jak mogli, ale bez rezultatu. Kieszenie ich do dna wypróżniono. Znaleziono wiele rzeczy, między innymi kilka bardzo cennych zegarków, pochodzących na pewno z kradzieży, lub rabunku. Sam wziął zegarki, pokazał Schmidtowi i zapytał:

- Nie mają chłopięta gotówki. Czy przyjmie pan w zamian te zegarki?

- Skoro nie mają pieniędzy, tak - odpowiedział Schmidt. - Ale kto wie, czy nie stracę na tym. Będę musiał sprzedać zegarki, a żaden kupiec nie zapłaci pełnej wartości.

- Nie biadaj pan! Nie stracisz ani grosza. Wartość zegarków przerasta co najmniej czterokrotnie cenę wołu.

- Ale moje sumienie, panie! A nuż to przedmioty kradzieży!
- Prawdopodobnie.
- Należą zatem do tych, których okradziono, a nie do nas.
- Słusznie. Ale ci ludzie i tak nigdy nie odzyskają zegarków.

Prawdopodobnie zostali zamordowani. a nawet, jeśli żyją jeszcze, możecie wziąć bez skrupułów. 'lh panują zgoła inne stosunki, niż tam, w zacisznej Europie.

- Jeśli nie można odnaleźć innych właścicieli, trzeba przedmiot kradzieży wydać władzom!

- Kogo pan ma na myśli? Żaden z tutejszych urzędników nie zada

66 sobie trudu szukania właścicieli, lecz poprostu zachowa zegarki dla siebie i wyśmieje pana. Schowaj je zatem spokojnie, a jeśli sądzisz, że dopuszczasz się bezprawia, biorę odpowiedzialność na swoje sumie-nie.

- Skoro tak, to popełniłbym niewybaczalne głupstwo, gdybym się nadal wzbraniał.

Schował zegarki do kieszeni. W tej chwili Buttler zawołał:

- Co to ma znaczyć? Co on robi z mymi zegarkami? Tb przecież...
- Milcz błaźnie! -przerwał Sam. -Uważa je za odszkodowanie.

I możecie się tylko cieszy~, jeśli to będzie jedyna kara. Zresztą, nie będziemy uciekać przed odpowiedzialnością. Stąd pojedziemy do 'Iiicson i jutro wieczorem rozbijemy obóz za miastem. Możecie jechać za nami i odwiedzić nas wraz z policją. Chętnie się przed nią wytłu-maczymy.

- l~k, odwiedzimy was w obozie i odbierzemy, co nam skradziono.

A teraz uwolnijcie nas z więzów!

-Bylibyśmy osłarni! Jeśli was uwolnimy, jeszcze dzisiaj, a niejutro złożycie nam wizytę w obozie. Zostaniecie w łykach. W dziefi na pewno ktoś nadejdzie i uwolni was.

- Wynagrodzą was w piekle!

-Dziękuję, sir. I abyście przypadkiem nie wyrządzili nikomu z nas krzywdy, zabierzemy wam amunicję. Możecie ją jutro odebrać wraz z zegarkami. Będziemy wasze rzeczy rzetelnie przechowywać. Stone i Parker wyładowali strzelby; zabrali wszystkie kule i proch, co wprawiło zbójów w nieopisaną wściekłość.

Pani Ebersbach przyglądała się całej tej scenie. Nie zrozumiała ani słówka, ale mogła sobie wszystko łatwo wytłumaczyć. Był tu jeszcze inny świadek - Mary, muł Sama. Dotrzymując towarzystwa swemu panu, przednią część tułowia przechyliła naprzód i z najwyższą uwagą śledziła ruchy westmana.

Załatwiwszy się z finderami, towarzystwo opuściło szynk. Westma-ni zamknęli drzwi i przywalili je ciężkim głazem. Po czym cała piątka 67 pomaszerowała z powrotem do obozu. Mary szła z tyłu: Zwykła iść za swoim panem niczym wierny pies krok w krok, o ile jej nie oznajmiał umówionym znakiem, że powinna zostać na miejscu.

Wymarsz do l~ucson

Podczas nieobecności Schmidta i pani Ebersbach, w obozie poczy-niono zarządzenia do natychmiastowego wymarszu. Przewodnik je-chał na przedzie, a wraz z nim obaj młodzieńcy, których zachwycała konna jazda na czele samotnej karawany. Następnie jechały wozy, kierowane przez Dicka Stone'a i Willa Parkera. Z tyłu zaś Sam wraz z kantorem. Upatrzył w nim sobie towarzysza , gdyż sądził, że muzyk najlepiej go poinformuje o stosunkach, panujących wśród osadni-ków. Musiały być nader dziwne, jeśli miał sądzić z tego, co dotychczas widział i słyszał. 'I~n oryginalny kantor, ta dostojna pani Rozalia Ebersbach, ten syn indiańskiego wodza, przybywający z Europy, ten młodzieniec, który wydawał się być jego przyjacielem i wyodrębniał się spośród gromady. Kompania, składająca się z takich osobistości, w każdym człowieku mogła wzbudzić ciekawość. Kantor, ku zadowo-leni~! Sama, natychmiast po wymarszu wdał się z nim w rozmowę, pytając:

- Nasza pani Rozalia poszła z wami do finderów. Chyba wypaliła orację? O, tak ona potrafi obracać językiem! Przemówiła do nich?

- Ani słowa.
- Jestem zdumiony! Sądziłem, że obejdzie się z nimi całkiem fortissimo. 69
- Czy włada angielskim?
- Zna tylko parę słów, które spamiętała po drodze.

- Jakże pan chce, aby się rozmówiła z tymi ludźmi, skoro rozu-mieją tylko po angielsku i hiszpafisku? Z dziesięciu lub dwunastu przyswojonych sobie wyrażefi nie sklecisz długiego kazania. Poza tym miałem wrażenie, że ujrzawszy te dzikie oblicza, straciła odwagę i chęć do perory.

- Odwagę? Nie wierz w to! Pani Rozalia nie lęka się nikogo, choćby człowieka o najdzikszym wyglądzie. Ma jad na języku i przy-, wykła do posłuchu.

- Zauważyłem. Wszyscy milczeliście, kiedy mi się przeciwstawia-ła.

-'Pdk, musieliśmy milczeć, aby nie ściągnąć na siebie gradobicia.
Ale ceterum, dobre ma serce i byleby tylko nie przerywać toku jej przemowy, można ją do rany przyłożyć. Oczywiście, sprzeciwu nie znosi.

- 1b wielka wada, jeśli się nie mylę. Skoro nie zna się na czymś, powinna słu.chać doświadczonych.

- O pani Rozalia zna się na wszystkim.
- Babskie gadanie! Coż może wiedzieć o tutejszych stosunkach?
Jeśli się powtórzą takie sceny, jak dzisiejsza, możecie być przygoto-wani na niejedną i nie byle jaką przykrość.

- Pani Rozalia uczy się niebywale szybko. Wszak przyznała panu słuszność.

- Zdaje się, że i pan darzy ją największym szacunkiem, panie kantorze. „

- Panie kantorze emeritus, jeśli mogę prosić! Doprawdy, tylko przez wzgląd na dokładność, gdyż wziąłem dymisję i nie sprawuję już urzędu. 'I~k, darzę ją szacunkiem, na jaki w zupełności zasługuje; jest dzielną i muzycznie wykształconą kobietą .

- Aha, muzycznie wykształconą, hihihihi! Czy i ona coś kompo-nuje?

7U

- Nie, ale gra.
- Na czym?
- Na akordeonie.
- Do pioruna, to co innego! Akordeon! Przedni instrument jeśli się nie mylę. 'Pdk, jeśli gra na takim akordeonie, to zasługuje na szacunek. Nie słyszałem nigdy o damie grającej na cyi.

-Ja też nie. Pani Rozalia jest wyjątkową kobietą. Zarobiła na grze niejednego pięknego talara.

- Ach, czy należała do orkiestry kobiecej?
- Nie, grywała do tańca.
- Brawo! Zdawało mi się, że pogardza pan tańcem?
- Owszem, ale tu zachodzą inne okoliczności. Pani Rozalia jest mianowicie z domu Morgenstern ...

- Wiem o tym.
- Poślubioną mł~marzowi spod Heimbergu ...
- Wdową po młynarzu - skinął z uśmiechem Sam Hawkens.
- Przy młynie był szyńk z małą salą do tafica. Interes szedł z początku źle, dopóki ona się nim nie zajęła. Znowa oczywiste exem-plum potęgi muzyki. Żadnego syna muzy, ani żadnej córy muzy w potrzebie nie opuszcza. Pani Rozalia kupiła cyję, nauczyła się grać i ściągnęła tam młodzież z całej okolicy. Ponieważ sama przygrywała do tafica więc nie potrzebowała muzykanta i uzbierała sobie piękny grosik, albowiem jeden kawałek dawał dwa fenigi od osoby. Mniej nie przyjmowała. Człowiek, wyróżniony przez muzę, znać powinien swoją wartość. A więc nie tylko taficzono, ale konsumowano i pito. Interes kwitł pysznie. Ergo, stary młynarz kiedy umarł, całe mienie pozostawił wdowie. Zasiadła więc na pełnym worku złota i była najbogatszą kobietą w wiosce. Sprzedała pomyślnie młyn i wkrótce została żoną naszego kowala.

- Który jest takim samym pantoflarzem, jak wy wszyscy!

- Czemu nie?
- Ale dlaczego przywędrowała do Ameryki?
- Ja jej nasunąłem tę świetną myśl.
- Pan? Hm! Przecież ta kobieta mogła zostać w kraju. Żyła w dostatku.

- Więc sądzi pan, że na obczyznę wyjeżdża się tylko z nędzy?
- Ale zawsze powodem jest jakiś przymus wewnętrzny, czy zew-nętrzny.

- I tutaj był taki przymus, mianowicie dążenie, stringendo do Nowego Świata. Kuźnia prosperowała średnio; pani Rozalii nic się już nie podobało w rodzinnej wiosce. Skoro usłyszała to wszystko, co mi naopowiadał Hobble Frank i dowiedziała się, że szukać zamierzam swaich bohaterów w Ameryce, nic już nie mogło jej powstrzymać od towarzyszenia mi do dalekiego kraju.

- Skąd pan ją zna, skoro pochodzisz z Klotzsche, a ona z Heim-bergu? Czy obie te miejscowości leżą w sąsiedztwie?

- Nie. Heimberg leży w górach, Klotzsche zaś niedaleko Drezna.
Ale ja sam z Heimbergu pochodzę; stale korespondowałem z ziom-kami i często ich odwiedzałem. Mimo to nie narzucałbym się jej tak gwałtownie z myślą wyjazdu do Ameryki, gdyby nie nadarzyła się akurat sprawa Woifa.

- Jaka sprawa?
- Nie wie pan jeszcze?
- Nie.
- Wolf, leśniczy z Heimbergu, ma w Ameryce bezdzietnego brata, posiadacza ogromnych lasów, olbrzymiej stadniny i jak sądzę, nawet kopalni srebra. Ten bogacz prosił naszego Wolfa, żeby mu przysłał swego syna. Jeśli młodzieniec się spodoba, ustanowi go swym nastę-pcą i jedynym spadkobiercą. Leśniczy zapytał syna, studiującego wów-czas w akademii rolniczej w Tharandt, a ten chętnie się zgodził wyjechać po zdaniu ostatnich egzaminów.

- Czy to lekkomyślność, czy oziębłość w stosunku do rodziców?
-Boże uchowaj! Ani trochę, raczej wprost przeciwnie. Leśni-czy ma liczną rodzinę, a małą pensję. Ekspens, który ponosił dla

 wykształcenia starszego syna, takim dla niego był ciężarem, że unie-możliwiał należytą edukację pozostałych synów, zresztą bardzo zdol-nych. Przez wzgląd na te ciężkie warunki Adolf z radością przyjął wezwanie stryja. Musiał wprawdzie opuścić ojczyznę i rodziców, ale obiecywał sobie, że jako następca bogatego osadnika, będzie mógł wspierać rodzeństwo.

-'I~k, bardzo szlachetnie postąpił. Więc przyjął zaproszenie?
-'Pdk. Jedzie oto na czele karawany!
- Aha, to ten? 'Ihn chłopak? Przecież w tak młodym wieku nie mógł ukończy~ akademii.

- A jednak ukończył i to ze świetnymi wynikami. Jego wiedza znajdzie zastosowanie w rozległych dobrach stryja. Poza tym jeszcze jeden był powód, który go skłonił do szybkiego i chętnego wyjazdu do Ameryki. 'Ij~m powodem jest Szi So.

- To wszak imię syna wodza?
- No tak. Zna pan, jak słyszałem, jego ojca. Czy wie pan, czemu stary wódz wysłał syna do Niemiec?

- T~k.
- Bardzo jestem rad z tego. Czy może mi pan to zagraćprima vista, czy też może to sekret?

- Nie widzę powodu, dla którego miałbym przed panem zataić to, co przynosi zaszczyt wodzowi i wynosi go ponad współplemieńców. Otóż za czasów jego młodości pewne plemię napadło na karawanę pionierów. Wszyscy zostali wybici w pień, prócz jednej młodej dziew-czyny Niemki. Wódz ją uratował, zawiózł do swego plemienia, aby wróciła do sił i zdrowia, po czym miano ją odstawić do najbliższego osiedla białych. Obchodzono się z nią delikatnie i żywiono wyśmieni-cie.

Otóż krewni jej byli zamordowani, znajomych nie miała; osiedle, dokąd miano ją odwieźć, było jej obce; spodobało się jej u Indian, pokochała swego zbawcę, wodza Nitsas Ini, Wielkiego Pioruna, zo-stała więc i poślubiła go. Nigdy tego nie żałowała i żyje z nim wyjąt-kowo szczęśliwie.

73

- Czy to być może! - rzekł ka~tor. - Czerwonoskóry i biała żona!

- Czerwonoskóry, mówi pan? 1b brzmi jako~ pogardliwie! Powia-dam panu, Bóg jest ojcem wszystkich ludzi, kolor zaś twarzy nie jest kolorem duszy. Znałem Indian, którzy mogliby zawstydzić tysiące i setki tysięcy białych. Do takich należy Nitsas Ini. Jego biała żona nie była wykształconą kobietą, lecz zwyczajną dziewczyną, aIe jako Euro-pejka przerastała pod każdym względem czerwone squaws i dziewczę-ta. Wkrótce stała się błogosławiefistwem całego plemienia, wzorem dla wszystkich żon i córek. Zmieniła się atmosfera życia i wytworzyły inne formy. Jej mąż, wódz był pierwszym i najgorliwszym uczniem. Nic nie miał przeciwko temu, że rozmawiała z dziećmi, którymi go obdarzyła, po niemiecku, że je uczyła i kupiła im książki. Niebawem poznała Winnetou, wielkiego Apacza; wraz z nim przybył Old Shei-terhand, przyjaciel i obrofica wszystkich uczciwych czerwonoskórych. Z radością patrzyli na posiew białej squaw, na jej pozytywny wpływ. Bawili też przez długi czas u Nawajbw, później zaś często ich odwie-dzali, aby utwierdzić i wykoficzyć dzieło tej interesującej kobiety. Nawajowie są przyjaciółmi białych i dzięki temu władają swymi ojczy-stymi terenami. Zachowali swoje obrzędy, jednak jeżeli chodzi o granice i podział własno~ci, muszą się stosować do praw, a nie do zwyczaju. Posiadają własne pastwiska i olbrzymie lasy; ich bogactwo wzrasta z roku na rok. Biali łupieżcy ziemi, patrzący na ich posiadłości zawistnym okiem, nic nie mogą wskórać. Dzięki Old 5hatterhandowi, rząd Stanów Zjednoczonych uważa obszary Nawajów nie za rezerwat indiafiski, lecz za prywatną własność w uprawnionych rękach, broni zatem przed zakusami obcych przybyszów. Można nazwać ten obszar prawie cywilizowanym. Wielki Piorun był dosyć przewidujący, aby poznać, że na przyszłość nie starczy jego wiedzy i że następca musi o wiele więcej umieć. Pod wpływem swej mądrej białej żony postano-wił zatem wysłać swego pierworodnego do szkół bladych twarzy. Old Shatterhand bardzo żywo popierał ten pomysł. Jest Niemcem, 74 rodakiem żony wodza i oboje skłonili Nawaja, aby posłał syna do niemieckiej szkoły.

- Wiem, wiem już, - wtrącił kantor. - Znam tę szkołę, gdyż Adolf Wolf uczył się tam, zanim wstąpił do akademii. Czemu Szi So poszedł na leśnictwo?

- Ze względu na wielkie lasy, które znajdują się w posiadaniu jego plemienia. Jako następca wodza powinien posiadać wiedzę, która pozwoliłaby mu nie tylko zachować odziedziczone bogactwo lasów, ale także je pomnażać. Wiadomo, że Stany Zjednoczone po macosze-mu traktują gospodarstwo leśne, Szi So powinien zatem ustrzec swoje plemię od szkód, wyrządzonych złą gospodarką. Ale pójdźmy dalej! Chclał ml pari pOwiedzieć, jaki był wpływ obu młodych ludzi na byłą młynarkę, panie kantorze?

-‘lhk, ale nade wszystko bądź pan łaskaw na przyszłośE wziąE pod uwagę, że już swego urzędu nie piastuję, że więc przez wzgląd na dokładność powinien mnie pan tytułować panem kantorem erneritus. Nie chcę się stroić w piórka, które już dawno złożyłem, stałe zaś opuszczanie tego w najwyższym stopniu niezbędnego wyrazu wzbu-dza we mnie słuszną supozycję, że przypisując mi dawne moje obo-wiązki kantora, wątpi pan o moim muzycznym talencie, a przecież tylko dlatego podałem się do dymisji! A zatem, Szi So i Wolf często przyjeżdżali z Tharanetu do Heimbergu i odwiedzali młyn. A potem, kiedy młynarka wyszła za kowala, również i kuźnię. Dobrze się więc znali. Właśnie w owym czasie, gdy Hobble Frank postanowił sprowa-dzić mnie do Ameryki i przedstawi~ bohaterów, Adolf otrzymał list od stryja, a Szi So wezwanie do powrotu. Stryj Wolfa jest niebywale bogaty i jak się wkrótce okazało, mieszka w pobliżu Nawajów. Fama o tym

przebiegła natychmiast całą wioskę, składającą się przeważnie z biedoty, ergo z łatwością nakłoniłem kilkoro mieszkańców do towa-rzyszenia im w tej podróży do Ameryki.

- Innymi słowy, skusił pan tych biednych ludzi! - rzekł Sam.

- Skusił? Co za dictum! Kantor emeritus, który po tysiąckroć na organach grał do nabożefistwa, zalicza się poniekąd do stanu duchow-nego, a zatem do takiego stanu, gdzie kusicieli szukać nie należy! Wiodłem, owszem, ale nie uwiodłem, gdyż wiodę ich ku szczęściu. Jestem pewny, że stryj Wolfa przyjmie ich bardzo dobrze. A pieniędzy do kupna ziemi, czy jakiegoś przedsiębiorstwa, też nie zabraknie.

- Sądziłem, że ci trzej są ubodzy.

- 'Idk, Schmidtowie, Strauchowie i Uhlmannowie nie mają żad-nego majątku; ale Ebersbschowie, jak pan słyszał, są majętni, pani Rozalia zaś pożyczyła swym towarzyszom pieniądze. Widzi pan tedy, co to za dzielna kobieta! Mogła zostać w ojczyźnie i tylko z litości do tamtych trzech; z przyjaźni do mnie i z pociągu do dalekich krajów zdecydowała się wymaszerować. Tb ją zwłaszcza pociągało, że w Ame-ryce damy szczególnym się cieszą szacunkiem i względami.

- Ach, tak - uśmiechnął się Sam - a pani Rozalia Ebersbach, z domu Morgenstern, wdowa po młynarzu, jest przecież damą! T~raz zrozumiałem wiele niejasnych dotychczas okoliczności. Wszyscy za-tem zamierzają osiedlić się u stryja Wolfa?

-'Pdk. Jeżeli jednak nie pozwoli, dalej pojadą.
- A pan? Co pan pocznie?
- Ja? Odszukam Old Shatterhanda, Old Firehanda i Winnetou.

Naturalmie, spotkam także Hobble Franka.

- Już panu raz wspomniałem, że, chociaż wyobraża pan sobie to spotkanie sielankowo, może się pan latami całymi uganiać po Dzikim Zachodzie, a nie zetknąć z żadnym z tych ludzi.

- Będę szukał, będę się dopytywał.

- Sądzi pan, że jesteś w niemieckiej wiosce lub miasteczku, gdzie po prostu wystarczy zapytać o pana Mullera, Meiera czy Schultza? Tiztaj poszukiwani mogą dziesięciokrotnie ocierać się o pana, obozo-wać tuż nieopodal, a nie poznasz ich wcale.

- Oho! Ja j uż się domyślę, może pan być pewny! Dla twórcy tonów nie ma ciężkiego zadania. Kogo Muzy wyróżniły, tego wszystkie tony schodzą się w akordy. Poszukiwani bohaterowie skupią się dookoła

76 ittnie Uak, jak wyszkoleni rnu~cy dokoła dyrygenta.

- Życzę tego panu! Teraz jednak powinieneś spocząć na wozie i uciąć sobie drzemkę.

- Drzemkę? Po co?

- Jutro, prawdopodobnie nie można będzie spać. Będziemy mu-sieli czuwać, bo finderzy zamierzają nas napaść.

- Czy jest pan o tym przeświadczony, panie Hawkens?

-'Pdk. Pierwszy przechodziefi, który nad ranem będzie mijał szynk, usłyszy krzyki zbójów i uwolni ich z więzów. A wówczas dosiądą koni i puszczą się w pościg.

- Do Tlicson?

- Skądże! Nie pokażą się z pewnością w tym mieście. Okrążą 'Iiicson i pojadą naszym tropem do miejsca, gdzie rozbijemy obóz.

Odebrałem im amunicję, ale niewątpliwie zaopatrzą się w nią w San

Xavier del Bac, aczkolwiek niewiele jej można tam dostać. A zatem

,

posłuchaj pan mojej rady i wsiadaj do wozu!

- Dziękuję! Nie będę spał.
- A to dlaczego?
- Najlepsze pomysły muzyczne wpadają mi do głowy właśnie podczas jazdy nocnej. Czynię studia do moich oper. Być może, od razu w pierwszym akcie przepuszczę przez scenę taką karawanę, co przy świetle małego sierpa księżycowego sprawi wielkie wrażenie, tym bardziej, że instrumenty naśladować będą trzaskanie z bicza, ryki wołów i turkot kół.

- Chciałbym być na premierze - rzekł Sam poważnie. - Musi to sprawić szczególną rozkosz estetyczną. A więc, czyfi pan swoje studia i czuwaj, jeśli tak chcesz. Ale czy zawsze się pan tak rzuca naprzód i w tył? Przecież te wstrząsy strasznie wyszerpują!

- Stanowczo, ale, niestety, nie ma na to rady.
- Nie ma rady? Nie pojmuję! Jak to? Męczy pan siebie i marnuje konia.

- Muszę, najdroższy panie Samie. Komponuję stale i bez przerwy, nawet teraz, kiedy z panem rozmawiam. Melodie śpiewają mi w mózgu, muszę odmierzać ich takty. Po to istnieje wprawdzie nader czuły instrument, zwany metronomem, czyli miernikiem taktów. Po-nieważ jednak nie mogę tego instrumetu wlec ze sobą po Dalekim Zachodzie, przeto wynalazłem wygodniejszy i praktyczniejszy metro-nom. ‘I~n metronom polega na tym, że w prawidłowych interwałach to w jedną to w drugą stronę kiwam się w siodle. Wprawdzie, szkapa, przypuszczając, że chcę zsiąść, zatrzymuje się w biegu, ale cóż to szkodzi? Skoro skoficzę kompozycję, popędzam ją znowu.

- Ale pozostaje pan przez to często w tyle!
- Owszem, to się zdarza.
- I może się bardzo źle skoficzyć.
- Nie sądzę, panie Samie!
-Jeśli pan pozostanie w tyle, w razie napadu czerwonej albo białej hołoty, nie zdołamy pana uratować.

- Na mnie nie napadnie żadna hołota; jestem od tego ubezpie-czony.

- Bzdury!
- Nie mów pan o bzdurach, drogi panie Samie! Czy słyszał pan kiedy, aby jaka hołota napadła na znanego kompozytora?

- Nie, nie przypominam sobie.
- A widzi pan! Jako kompozytora wielkiej heroicznej opery i jednocześnie twórcę libretta otacza mnie szczególna opieka muz. Przecież nie po to zsyłają na mnie natchnienie, aby wystawić na niebezpieczefistwo napadu i przedwczesnej śmierci, zaprzepaścić na wieki moje wzniosłe aspiracje. Czy szewc, skoro wykończy parę no-wych butów, wstawi je następnie do pieca, aby spłonęły? A może pan sądzi, że muzy są głupsze od roztropnego szewca?

- Nie mogę panu odpowiedzieć, nie rozmawiałem z żadną z tych pafi. Ale nie mogę też jechać przy panu całą noc, ani nikogo zmuszać, aby pana nie spuszczał z oka; ponieważ jednak nie wolno wlec się za karawaną, bo mamy za sobą wrogów, więc dla pewności przywiążemy pana.

- Przywiązać, panie Hawkens? Do czego? Może do konia?
-‘Ib niewiele się przyda, gdyż nie przeszkodzi koniowi się zatrzy-mywać. Nie, chcę pana przywiązać do ostatniego wozu.

- Sądzi pan, że mu się to uda?
- Bardzo nawet! Kofi będzie musiał mknąć bez przerwy, mimo pana ruchów. Poza tym, będziesz pan samotny i nikt ci nie zakłóci natchnienia.

-Słusznie, bardzo słusznie! ‘Ib dobry pomysł, jestem panu ogrom-nie zobowiązany i chętnie służę bezpłatnym biletem na premierę mojej opery. A może pan życzy sobie dwa bilety?

- Zastanowię się panie kantorze, jeśli przypadkowo ...

- Proszę, bardzo proszę, panie kantorze emeritus! Mogę panu przysiąc, że to tylko przez wzgląd na dokładność.

- Wiem, wiem! Ale ja pana zapewniam, że to tylko przez zapo-mnienie.

Sam wyciągnął rzemiefi z siodła i przymocował kantora do wozu, dzięki czemu nic już nie powstrzymywało nieustannego postępu, zarówno konia, jak i opery, a jeździec-kompozytor mógł się obejść bez ciągłej opieki.

Wozy toczyły się przez całą noc powolnym ruchem wołów. Dopiero w dwie godziny po świcie podróżni uj rzeli przed sobą miasto, aczkol-wiek odległość z San Xavier del Bac do ‘Iiicson jest nieznaczna. Widok tej stolicy nie był pocieszający. Już o tak wczesnej godzinie słofice prażyło chałupy, pokryte gliną i zwaliska murów. Wyjątkowo szkaradne kojoty odprowadzały karawanę, szczekając i wyjąc, a ludzie otuleni w jaskrawe gałgany, wylegli przed drzwi i na skrzyżowania uliczek i krzywili szyderczo spalone słońcem twarze, kiedy wymijał ich ostatni wóz, ciągnący za sobą pana emeritusa na koniu. Dobrotliwy kompozytor kiwał przyjaźnie głową, nie biorąc im za złe śmiechu. Zadowolony, że może się całkiem zdać na swoją szkapę, nie przejmo-wał się komizmem własnej sytuacji.

79

Za radą Sama zatrzymano się na równym, a raczej beznadziejnie ogołoconym placu, gdzie wkrótce zbiegła się sfora szczekających kundli, czereda krzyczących dzieci i ciekawych opryszków, którzy dreptali koło wozów i szczególną uwagą darzyli Liść Koniczyny oraz kantora.

Ponieważ osadnicy przyswoili sobie zaledwie kilka wyrażefi angiel-skich, więc z konieczności Hawkens podjął się dowiedzieE, czy można w mieście dostaE wody i paszy dla koni. Owszem i siano i woda mogły się znaleźE, lecz niepewnej jakości i po słonych cenach. Dziesięciu próżniaków zaoferowało się przynieść żądane artykuły, byleby tą pracą, która przecież nie zasługiawała na miano pracy, zarobić parę centów.

Niebawem Sam udał się do komendanta. Dowiedział się, że 6w oficer wraz ze swym oddziałem wyjechał do Prescott i że prawie cała załoga wyruszyła w okolice Guadelupy, celem poskromienia powsta-jących Indian. Zaprowadzono tedy Sama do kapitana, który urzędo-wał w zastępstwie komendanta. ‘Ilrn dostojnik siedział właśnie przy rannej czekoladzie i czytał stary numer gazety, która tu w ‘Iltcson mogła być uważana za najświeższą. Na wchodzącego spojrzał niemal z wyrazem oszołomienia, ale twarz jego wypogodziła się szybko. Wybuchnął głośnym śmiechem, podniósł się i rzekł tonem nieskrywa-nej zarozumiałości:

- Człowieku, kim jesteś? Czego chcesz? T~kiego błazna chyba nigdy w życiu nie widziałem!

- Ani ja - odpowiedział Sam z tak wymownym gestem, że nie ulegało wątpliwości, kogo ma na myśli.

- On także? Co chciał przez to powiedzieć? Czy chciał mnie obrazić?

- Czy to obraza, kiedy panu potakuję? - odparł Sam spokojnie.
- Ach tak! W takim razie chwalę pana szlachetny samokrytycyzm.
Powtarzam panu, jeszcze nigdy nie widziałem takiego arlekina, na jakiego pan wygląda. Przychodzi pan zapewne, aby prosić o pozwolenie na jakieś ucieszne widowisko?

- A tak - roześmiał się Sam. - Odgadł pan, sir i ma mi pan w tym pomóc, o ile się nie mylę.

- Pomóc? Czy uważa pan zastępcę komendanta, oficera armii Stanów Zjednoczonych, za takiego wesołka, jakim sam jesteś? Sam, nie odpowiadając, znowu parsknął chichotem, następnie z zimną krwią przysunął krzesło i usiadł. Oficer już miał wybuchnąć gniewem, gdy Hawkens powściągnął go uprzejmym zapytaniem:

- Może słyszał pan o znanym Liściu Koniczyny, kapitanie?
- Liść koniczyny? O jakiej koniczynie mowa?
- O trzech myśliwych, o ile się nie mylę.

-Ach tak! Znam ten Liść. Składa się z Dicka Stone, Willa Parkera i Sama Hawkensa, o którym mi opowiadano, że ...

- Pięknie sir, pięknie! - przerwał westman. - A więc słyszał pan o tych trzech. Cieszy mnie, bardzo mnie cieszy! Wkrótce już dojdzie-my do naszego wesołego przedstawienia i dowiemy również, kto jest pajacem. Czy wie pan, że Sam Hawkens podczas ostatniej wojny był zwiadowcą? ^

-'I~k, u generała Granta. Dzięki wielkim zasługom, przemyślno-ści wrodzonej i odwadze dorobił się rangi kapitana. Ale co to ma wspólnego z panem?

- Wiele, bardzo wiele, sir, w każdym razie więcej, niż pan przypu-szcza, gdyż wydaje mi się, że podówczas nie nosił pan jeszcze unifor-mu. Otóż Liść Koniczyny bawi obecnie tutaj.

- Tu W Tiicson?

-Yes, sir. A Sam Hawkens, zasłużony kapitan armii Stan Zjedno-czonych, znajduje się jeszcze bliżej. W tej chwili siedzi w pokoju pana.

- 1ir? W moim pokoju? - zawołał stropiony wojskowy, wytrze-szczonymi oczami wpatrując się w Sama. - W takim razie ... w takim razie, pan jesteś ... pan jesteś owym Hawkensem?

- Yes, jestem nim, jeżeli się nie mylę.
- Thunder-storm! Pan Samem Hawkensem? Pan?

81

- Sądzę. Czemu nie?

- Ponieważ ... ponieważ ... - rzekł zakłopotany kapitan - ponie-waż nie wygląda pan na to. Oficer nie nosiłby takiej odzieży!

- Nie wiem, dlaczego? Dlaczego właśnie oficer nie może ubierać się wedle własnego gustu, sir? A to jest mój gust, gust Sama Hawken-sa. Kto mi nie przyznaje dobrego smaku, proszę, niech nie przyznaje, nie mam nic przeciwko temu, póki milczy. Jeśli się jednak waży powiedzieć mi to w oczy, wówczas musi stanąć z bronią przy policzku, aby się dowiedzieć, czyje kula trafi dokładnie w serce przeciwnika! lón, jakim jakim te słowa zostały wypowiedziane, wywarł ogromne wrażenie na oficerze. Czyniąc gest zaprzeczenia, odpowiedział grze-cznie:

- Tb zbyteczne, sir, zupełnie zbyteczne! Dlaczego gentlemani, tym bardziej zaś koledzy, mają się zabijać bez powodu?

- Hm! Ponieważ pan poznał, że domniemany błazen jest gentle-manem i pana kolgą, więc oto moja ręka. 'I~raz zgodnie zastanówmy się nad wesołym przedstawieniem, w którym chce pan wziąć udział. Ścisnęli sobie ręce, po czym Sam opowiedział o swoim spotkaniu z dwunastoma jeźdźcami, których uważał za finderów. Kapitan słu-chał z uwagą; wyraz zaciekawienia coraz wyraźniej malował się na jego twarzy. Wreszcie, skoro tylko Sam skończył, kapitan zerwał się na równe nogi i podnieconym głosem zawołał:

- Jeśli się pan nie myli, Hawkens! Gdybyż to naprawdę byli finderzy! Co za połów!

Sam błysnął małymi oczkami i zapytał:

-Czy Sam Hawkens jest tak upośledzony, że przyjmuje za prawdę urojenia? Zb oni, powiadam panu, to oni!

- Ale dlaczego przyjechaliście do 'Iiicson, nie zabrawszy ich ze sobą. Byli przecież spętani i w waszej mocy!

- Czyż mogłem dowieść, że są złodziejami, mordercami i rabusia-mi, że istotnie są finderami? ‘I~n dowód chcę przez to uzyskać, że pozwolę im na nas napaść. Skóro ich wówczas schwytamy, będą 82 straceni.

- Schwytać! A więc chce pan dopuścić do napadu?
- Yes.
- W rzeczy samej?
- Naturalnie! A może pan mniema, że chcę tylko śnić o napadzie?

-1ó żart, a ja mówię poważnie! Nie mógłbym chyba lepiej zasłu-żyć na awans, niż chwytając tę występną szajkę teraz właśnie, kiedy zastępuję komendanta. Ale dopuścić do napadu, to znaczy narazi~ się na wielkie niebezpieczeństwo!

- Jeśli zostaniemy na miejscu, słusznie. Ale mały Sam Hawkens zniknie ze swymi towarzyszami!

- W takim razie nie ma mowy o napadzie!

- Czemu nie? Napadną na wozy, a że nas nie będzie, przeboleją stratę. Czyn pozostaje mimo to przestępstwem, karanymwedług praw tutejszych śmiercią.

- Well! Ale jak chcecie ich schwytać bez walki, a zatem bez wystawienia się na niebezpieczefistwo?

- 1ó się zobaczy, to się da zrobić sir, jeśli nas tylko zechcecie poprzeć. Siadajcie na kofi i towarzyszcie nam wraz z oddziałem jazdy!

- Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł pana posłuchać, lecz nie wolno mi opuszczać posterunku. Następnie, ponieważ mam tu mało ludzi, najwyżej mogę panu przydzielić porucznika i dwudziestu jeźdźców.

- Tb wystarczy, sir!

- Skoro pan tak twierdzi, zgoda; ale przedtem muszę wiedzieć, jak pan to wszystko sobie wyobraża. Czy jest pan pewny, że finderzy pojadą w ślad za wami?

- Że pojadą, to tak pewne, jak ten mój stary kapelusz filcowy, hihihihi! Nie ośmielą się pokazać w’Iixcson, lecz ominą miasto . Może się jednak zdarzyć, że jednego bandytę wyślną do miasta na zwiady. Przeto nikt więcej, prócz nas dwbch i ewentualnie porucznika, nie powinien znać planu. No, więc zakreślą łuk dookoła miasta. Natrahą znów na ślad naszych wozów i pojadą za nim prawie do samego obozu.

83

Oczywiście, zatrzymają się nieopodal i poczekają do zmroku. W nocy zaś nastąpi napad, jeśli się nie mylę.

- No, a wy? Nie zostaniecie przecież przy wozach, jak uprzednio sam pan powiedział?

- Będziemy się tego wystrzegali, hihihihi! Czy zna pan miejsce, gdzie droga do Guadelupy zbiega się z drogą do Babasaqui? I czy porucznik, którego chce pan nam przydzielić, zna tę drogę?

- Bywaliśmy tam niejednokrotnie.

- Well, bardzo miło. ‘Pdm rozbijamy obóz; tam również znajdą wodę nasze zwierzęta. Pośle pan naprzód porucznika z oddziałem, ale musi się trzymać z dala od naszej drogi, aby nie wpaść w oczy finde-rom. My pojedziemy następnie i spotkamy się w umówionym miejscu. Skoro się ściemni, zapalimy wielkie jasne ogni~ko, aby finderzy mogli nas łatwo znaleźć. Opuścimy wozy i skryjemy się w pobliżu, aby tych łotrów, kiedy się tylko ukradkiem zbliżą, uraczyE pięściarni, powalić i wziąć w niewolę.

Kapitan w milczeniu chodził przez chwilę z kąta w kąt, wreszcie stanął przed Samem i rzekł:

- W pana interpretacji wszystko idzie jak z płatka. Finderzy wszakże nie napadną na was, nie posławszy uprzednio zwiadowcy pod wasz obóz.

- Nie zmieni to trybu naszego postępowania.
- W takim razie zwiadowca przekona się, że nie ma was w obozie!
- Opuścimy obóz dopiero po jego odejściu.

- W takim wypadku musielibyście wiedzieć, kiedy podkradnie się pod obóz i kiedy cofnie!

- Będziemy wiedzieli, sir. Zdaje się, że uważa pan Sama Hawken-sa za głupszego, niżjest w rzeczywistości, hihihihi! Jeśli finderzy mogą wysłać swoich na zwiady, czemu my nie możemy? Powiadam wam, sir, że o wiele prędzej waszpieguję tych drabów, niż oni mnie.

Oficer z powątpiewaniem potrząsnął głową i odpowiedział:

- Musielibyście ich szpiegować jeszcze za dnia. Słyszałem wiele,

84 bardzo wiele o panu i jego towarzyszach; wiem zatem, jak chytrzy i śmiali jesteście, ale podchodzić tych opryszków w biały dziefi, tu, gdzie nie ma lasu, tylko szczere pole? Poza tym jeszcze jedno: wy zapalicie wielkie ognisko, oni natomiast będą siedzieć po ciemku; zobaczą tedy wasz obóz już z daleka, podczas gdy wy nie będziecie nawet wiedzieli, gdzie ich szuka~.

-'Pak pan sądzi? Istotnie? Sam Hawkens nie może wiedzieć, gdzie się ukryją ci gentlemani, hihihihi! Mógłby pan z równą słusznością powiedzieć, że moja głowa nie wie, gdzie nosi kapelusz! Proszę mi powiedzieć otwarcie, nie obwijając w bawełną, czy chcesz się przyczy-nić do tego przedsięwzięcia, czy nie? Sami też damy im radę, ale wówczas będziemy musieli poczęstować drabów naszymi kulami. Po-nieważ nie lubię rozlewu krwi, zwróciłem się do pana. Jeśli mi pan da do rozporządzenia dwudziestu ludzi, to znaczy czterdzieści rąk, wów-czas dokonamy gołymi pięściami tego, co w przeciwnym wypadku sprawiłby tylko ołów i proch.

- Dobrze, przystaję, chciałbym jednak zasięgną~ zdania porucz-nika.

- Niech więc przyjdzie, sir!

Kapitan przyprowadził porucznika. Po naradzie przyjęto plan Ha-wkensa. Obaj oficerowie byli bardżo ciekawi widoku Dicka Stone'a i Willa Parkera. Atoli Hawkens wyperswadował im, że tak ich wizyta u wozów, jak również wizyta obu wymienionych westmanów u nich zwróciłaby powszechną uwagę. Mógłby się o niej dowiedzieć szpieg finderów, po czym z nitki do kłębka Buttler domyśliłby się, że osadnicy wezwali do pomocy garnizon 'Ii~cson.

Po omówieniu drugorzędnych szczegółów, Sam powrócił do towa-rzyszy bardzo zadowolony z rezultatów rozmowy z „panem kolegą".

Napad

Przy wozach Sam zastał całą próżniaczą ludność stolicy, która zbiegła się zewsząd, jak u nas gapie zbiegają się dokoła taboru cygafi-skiego. Osadnicy i ich towarzysze, nie zważając na wielką ilość wi-dzów, spożywali śniadanie. Sam przysiadł się do nich, aby wziąć udział w posiłku i zdać sprawę z rokowafi z kapitanem. Niebawem kilku najciekawszych widzów podeszło bliżej, pragnąc nawiązać rozmowę z przybyszami. Jedynie z kantorem powiodło im się jako tako, ponieważ w jego wiedzy lingwistycznej znalazło się najwięcej okruchów angielszczyzny. Jeden z ciekawskich, młody dziarski mężczyzna, przystanął z przewodnikiem na uboczu. Sam obserwując bacznie, zauważył jego postawę wojskową i spojrzenia rzucane przeważnie na niego i jego dwóch przyjaciół. Po chwili wes-tman podniósł się i podszedł do obu rozmawiających. Zdołał jeszcze usłyszeć zdanie przewodnika będące zapewne odpowiedzią na zapy-tanie nieznajomego:

- T~k, to Liść Koniczyny, mogę pana zapewnić, aczkolwiek z początku sam nie chciałem wierzyć.

Sam ujął energicznie nieznajomego za rękę i odezwał się dobitnym głosem:

Mister, jest pan żołnierzem? Służy pan w tutejszym garnizonie?

86

Znać było po zagadniętym, że pytanie Sama wprawiło go w zakło-potanie. Mruczał coś pod nosem, co miało być odpowiedzią, ale czego nie można było pojąć.

- Nie gniewam się na pana - dodał Sam. - Kapitan nie zna mnie osobiście, a musi przecież wiedzieć, czy naprawdę jestem tym, za kogo się podaję. W tym celu przebrał się pan po cywilnemu i poszedł zasięgnąć języka. Przyznaj pan!

-'izak, sir, nie myli się pan - brzmiała teraz wyraźna odpowiedź.
- Ponieważ wiem, że jesteście panowie Liściem Koniczyny, więc mogę bez osłonek wyznać prawdę.

- Zamelduj pan kapitanowi, co słyszałeś, ale nie mów o tym z nikim innym!

- Ani słowa, sir, wiem o co chodzi. Jestem podoficerem i należę do owej dwudziestki, która pojedzie pod komendą porucznika. Za pół godziny mamy wyruszyć w drogę.

Ukłonił się grzecznie i odszedł. 'I~raz Sam zwrócił się do przewod-nika:

- Powiedz mi pan, na jakiej zasadzie udzielasz o nas informacji?
- Zapytał mnie - odpowiedział tamten.
-'Idk? A więc ktokolwiek pana pyta, dostaje odpowiedź?
- Nie zamknie mi pan chyba gęby?
- Owszem, do tego zmierzam! Wiadomo panu, że nie powinniśmy się afiszować, a mimo to od razu wygadałeś się przy pierwszym pyta-niu. Chce pan by~ westmanem i nie znasz nawet abecadła ostrożności. Nie obrałbym sobie pana za przewodnika.

- Tb zbyteczne! Zanim pan się do nas przyłączył, podróż odbywała się według moich wskazówek i według mojej woli. 'I~raz pasuje się pan na naszego rozkazodawcę. Ci ludzie mnie wynajęli i prowadzę ich ...

- Ku zagładzie! - dokończył Sam. - Powinien pan ich bronić. A jak pan swoje obowiązki spełnia? Gdyby nie my, obrabowanoby ich i wytępiono co do nogi!

87

-Pshaw! Ja też mam oczy o2warte. Pozwól pan sobie powiedzieć mister Hawkens, że mam doprowadzić osadników do fortu Yuma. Do tego miejsca ja jestem panem wyprawy. Chce pan z nami jechać, zgoda, ale musisz się stosować do moich zarządzeń. Potem możesz rozkazywać, ile chcesz. Basta!

Sam uderzył go po ramieniu i rzekł z uprzejmym uśmiechem, pod którym kryło się wręcz coś innego:

- Nie basta. O, daleko do tego! Wiem, dokąd ci ludzie dążą. Po co jechać drogą na fort Yuma? Istnieje krótsza droga, której pan, zdaje się nie zna. Zostanie pan u nas aż do poranka, a potem możesz iść, dokąd chcesz.

- Zgoda, o ile dostanę zapłatę za całą drogę do fortu Yuma!
- Dostanie pan, po czym ja ich zaprowadzę, nie żądając żadnego wynagrodzenia. Może pan być pewny, że gadulstwo przewodnika nie narazi ich odtąd na niebezpieczeństwa.

Skarcony mrucząc coś pod nosem usiadł na dyszlu jednego z wozów. Sam wrócił do swoich towarzyszy.

- Palnąłeś głupstwo, stary szopie - odezwał się Will Parker. - Nie mogę cię zrozumieć.

- Głupstwo? Jakie?
- Po co ma zostać u nas do jutra? Powinieneś był go z miejsca wyrzucić.

- I to ma być głupstwo! Will Parker, ten greenhorn, śmie pouczać Sama Hawkensa! Czyż nie rozumiesz, czcigodny Willu, że nie mogłem go jeszcze przegnać?

- Nie, nie rozumiem.

- O słodki Willu, jakże źle z tobą! Nigdy nie zostaniesz westma-nem. Jakże się wstydzę, że mam takiego tępego ucznia! Ty natomiast możesz czuć się szczęśliwy, że jestem twoim mistrzem. Gdybyśmy z Dickem nie czuwali nad tobą, dawno zostałbyś zgaszony. Czy nie wiesz, co uczyniłby ten tak zwany przewodnik, gdybyśmy go dzisiaj wypędzili?

88

- No, cóż?

- Przez zemstę poszedłby do finderów i wtajemniczył ich w nasz plan. Ale twój drobny mózg nie zmieści tak ogromnej myśli.

- Yes - potwierdził poważnie Parker. - Masz naprawdę słusz-ność, stary Samie. Wstyd i hafiba, że żadna z twoich dobrych rad nie utwiła mi w pamięci. Nie pojmuję zgoła, jak możesz mnie tak długo ścierpieć przy sobie.

- Nie dziw, że nic nie rozumiesz. To ja jestem winien, że czuję i myślę za ciebie niczym dobra matka, kochająca najbardziej to dziec-ko, które przysparza jej najwięcej kłopotów.

W tej chwili ujrzano szybko przejeżdżający oddział żołnierzy. Pio-nierzy długo jeszcze odpoczywali w mieście, bo dopiero w południe podjęto dalszy marsz.

Do miejsca, gdzie wyznaczono postój, było jeszcze niespełna dzie-więć mil. Powolną nawet jazdą mogli tam dotrzeć przed wieczorem. Droga wypadała przez żwirową pustynię, gdzie tu i ówdzie rósł chudy kaktus, lub nędzny krzew. Zbierano chrust, aby wieczorem rozpalić wielkie ognisko. Cała ta przestrzeń między Tiicson a Gila stanowi żwirem pokryte pustynie, gdzie tylko w kilku miejscach można znaleźć wodę dla zwierząt i trzy, cztery studnie, wydrążone jeszcze przez byłe Towarzystwo Komunikacji Lądowej.

Okolica ta nosi miano dziewięćdziesięciomilowej pustyni. Oprócz wzmiankowanych studni, istnieją jeszcze inne, aliści w ukryciu, zna-nym tylko Indianom. Czerwonoskórzy pokrywają owe ukryte studnie skórami, przysypanymi piaskiem i żwirem, podobnie jak to czynią szczepy Nomadów na Saharze.

Sam Hawkens prowadził karawanę, dotychczasowy przewodnik nie jechał już na przodzie. Spojrzenia, które rzucał na. Sama, nie wróżyły nic dobrego. Uważny obserwator wyczytał by w nich pragnie-nie zemsty.

Już w odległości dwóch mil od celu Sam zwracał baczniejszą uwagę na drogę i okolicę. Mówiąc droga, nie mamy na myśli utorowanego 89 traktu, zawsze jednak czy jeździec, czy wóz obiera w tej miejscowości ten sam mniej więcej kierunek, co z dopuszczeniem pewnej przesady, składa się na pojęc;ie drogi, łączącej poszczególne miejscowości. Ostatnie dwie mile wypadło jechać przez tak pofalowany teren, że mogło się wydawać, iż jacyś giganci wysypali rzędami z olbrzymich koszów ławicę piasku, żwiru i głazów. Wozy posuwały się tędy nader powoli. Jeden z tych wyimaginowanych gigantów napełnił swój kosz wielkimi, ludzkiej, nawet nadludzkiej wysokości głazami, rozrzucił je obok siebie i nagromadził na sobie. Schroniwszy się tutaj, można było z ukrycia ogarnąć wzrokiem rozległy widnokrąg.

Sam wskazał na te skały i zawołał do obu swych przyjaciół:

- Oto miejsce, gdzie zatrzymają się finderzy. A może chcesz się założyć, Willu Parkerze?

- Ani mi się śni, stary szopie-odpowiedział Will. -Jakkolwiek, twoim zdaniem, mam małą mózgownicę, to jednak poznała w tych głazach przyszłe schronienie bandytów. Lecz spójrz tam, na lewo, sterczą podobnie wysokie złomy. Być może łotry schronią się tam, a nie tutaj.

- Nie, gdyż tu kiełkuje kilkaset źdźbeł trawy, kiórą uraczą swoje rumaki. Ale i tamto miejsce znajdzie amatora.

- Kogo?
- Nie możesz się domyślić?
- Owszem, stary Samie.
- Kogóż więc?
- Ciebie samego. Schowasz się tam, aby podglądać zbirów.

Sam podniósł ręce do głowy i zawołał z dobrze odegranym zdumie-niern:

- Czy podobna! Ten greenhorn wpadł wreszcie na pomysł, pra-wdziwy pomysł, a co więcej słuszny i odpowiedni! Albo świat się przewraca na opak, albo temu staremu Parkerowi nareszcie zaczyna w głowie świtać. 'I~k, szlachetny Willu. Po rozbiciu naszego obozu pójdę tam i będę czekał na finderów.

90

- Czy zabierzesz mnie ze sobą?
- Nie mogę, Willu. Tb wymaga zręcznych i doświadczonych ludzi.

Musisz jeszcze długo do szkół chodzić.

- Hm, czy aby nie mylisz się stary Samie? Znałem chłopca, który nic a nic się nie nauczył, aczkolwiek miał głowę nie od parady. Ludzie powiadali, że nie chłopak, lecz nauczyciel jest winien, nauczyciel, który sam nic nie umiał.

Tymczasem teren znowu się wyrównał i o kwadrans drogi dalej żwir ustąpił miejsca glebie, zarośniętej mesquitami i ocochilla. Była tu nawet woda w jednej z owych studni, które ongiś wykopało Towarzy-stwo Komunikacji Lądowej. 'Iii był cel całodziennej jazdy. Po ugaszeniu pragnienia, zaprowadzono konie i woły do wodopo-ju. Zwierzęta usiłowały wyciągnąć z kolącego zaganika nieliczne zie-lone liście. Wozy ustawiono zgodnie z wczorajszą radą Sama, w czworobok.

Oczywiście, wyczekiwano żołnierzy. Sam rzekł zadowolony:

- 'h;n porucznik ma głowę na karku. Nie chciał się tutaj stawić przed naszym przybyciem. A teraz tylko patrzeć, jak przybędzie. Jak gdyby słowa jego były czarodziejskim zaklęciem, w tej samej chwili ukazał się od północy jeździec, gnający w galopie. Był to właśnie porucznik.

Dotarłszy do obozu, przywitał uściskiem ręki Sama i powiedział:

- Od kilku godzin znajdujemy się już w pobliżu, ale unikamy tego miejsca, bo mógłby jeszcze kto przyjść po wodę, zobaczyć nas, a później zdradzić finderom. Jednakże i my chcielibyśmy napoić konie. Czy możemy tu przyjechaE?

- 'Pdk, sir - odpowiedział westman. - Lecz kiedy się ściemni, będziecie musieli odjechać. Przybędą zwiadowcy; naturalnie, nie po-winni was widzie~. We właściwym czasie zawezwiemy was z powrotem.

- Zgoda. Czy domyśla się pan, gdzie tymczasem zatrzymają się finderzy?

Sam wskazał na południowy wschód, gdzie można jeszcze było 91 widzieć opisane powyżej głazy.

-'Ihm za tymi głazami, sir. Ponieważ prawdopodobnie przybędą jeszcze za dnia, więc nie odważą się dalej jechać.

- Ale czy stamtąd nie zobaczą mnie i moich jeźdźców?

- Nie. Gościłem wśród nich wczoraj i wiem, że żaden nie posiada lunety. A nieuzbrojone, cho~by nawet najprzenikliwsze oko może z takiej odległości rozpoznać zaledwie wielkie wozy, a już, kiedy się ściemni, jedynie ognisko. Możecie zatem śmiało sprowadzić swych ludzi, sir.

Oficer odjechał i wkrótce wrócił z dwudziestoma kawalerzystami, którzy dotychczas stali tak daleko od obozu, że nie można ich było dojrzeć. Oznaczono miejsce, do którego oddział z nastaniem zmroku miał się cofnąć. Następnie Sam poszedł na zwiady. Musiał opuścić obóz pieszo, gdyż na koniu nie można się tak szybko i łatwo ukryć.

Poszedł więc do swego muła, dał mu lekkiego klapsa po pysku i rzekł:

- Kładź się, stara Mary i czekaj, aż powrócę.

Zwierzę zrozumiało w lot; położyło się, aby już nie powstać z miejsca aż do jego powrotu. Następnie Sam zwrócił się do Parkera:

- Jak tam, słodki Willu? Czyż nie chciałeś, abym cię ze sobą zabrał?

- Idź sam! - brzmiała odpowiedź. - Na cóż taki greenhom, jak ja, mógłby ci się przydać?

- Muszę cię jednak zabrać, o ile masz się czegoś nauczyć.

- Well, idę z tobą, ale nie dla nauki, lecz aby starego Sama nie zostawiE bez pomocy, kiedy finderzy go zdybają i zechcą oskalpować.

- Niech skalpują! Mogą dostać moją skórę. Kupię sobie inną i to piękniejszą.

Hawkens i Parker opuścili obóz, zabrawszy ze sobą brofi. Na południowym wschodzie ukazały się kamienie, za którymi, jak są-dził Sam, ukryć się mieli finderzy. Bardziej na południe, a więc na prawo, sterczały złomy skalne, wśród których chciał się schować Sam. ‘Pam też skierowali swe kroki, nie prostą jednak drogą, lecz łukiem, 92 zakreślonym w kierunku zachodnim, aby nie pokazywać się na oczy finderom, którzy przecież mogli tymczasem nadjechać. Oczywiście, Sam nie omieszkał zostawić w obozie wskazówek dotyczących róż-nych ewentualnych wypadków.

Skoro obaj westmani dotarli do celu słońce już skłaniało się ku linii horyzontu; w pół godziny później powinien był zapaść bardzo krótki w owych stronach zmierzch. Wśród drugiej grupy skał nie wida~ było jeszcze żywej duszy. Westmani wpatrywali się w drogę, którą miała nadjechać banda. Nie widać było nikogo.

- Czy w ogóle przybędą? - zapytał Parker. - Przypuszczaliśmy tylko, ale nie mamy żadnej pewności.

- Co ty nazywasz przypuszczeniem, to dla mnie jest oczywiste, jeśli się nie mylę.

- Mogli nas poniechać; daliśmy się przecież im dobrze we znaki.

- Tym bardziej pragną zemsty. Patrz! Czy tam między przedostat-nim wzniesieniem nie porusza się coć ciemnego?

Parker natężył wzrok i odpowiedział szybko:

- Jeźdźcy! Tó oni!

-‘Pdk, to oni; przybywają z tej pochyłości. Nie można ich jeszcze zliczyć, ale nie ma więcej niż dwunastu.

- Ani też mniej. Tó oni na pewno. Stary Samie, miałeś słuszność!

- Ja mam zawsze słuszność, słodki Willu, zawsze. Nie trudno mi to przychodzi, wiesz, jak należy sobie radzić, aby nigdy się nie mylić?

-Yes. Tti bardzo łatwe.
- No, jakże?
- Nic nie twierdzić.

- T~ż prawda. Ale nie to mam na myśli. Nie trzeba orzekać, dopóki, człowieku nie jesteś pewny słuszności.

- To nie sztuka!
- Nie? No, w takim razie należy zawsze twierdzić coś wręcz przeciwnego, niż utrzymuje greenhorn.

- Pięknie, drogi Samie! Nie będę się zatem z tobą zgadzał nigdy,
93 a wówczas zawsze będę miał słuszność. Patrz, zatrzymali się na naradę. Nie zechcą przecież do nas podeść!

- Nawet im na myśl nie wpadnie! 'I~raz znowu jadą. Odchylają się na prawo od naszego tropu. Znają tę miejscowość iwiedzą, że dopiero spoza tamtych głazów można zobaczy~ obóz.

- Więc, twoim zdaniem, są pewni, żeśmy rozbili obóz nad wodą?
- Naturalnie! Nikt się nie zatrzyma się na pustyni, jeśli może zatrzymać nad wodą. Co znowu za pytanie! Willu Parker, jesteś moim utrapieniem! Kompromitujesz mnie tylko, nie mogę się z tobą przed nikim pokazać. Zagryziesz mnie na śmierć, jeśli się nie mylę. Patrz, jadą tam! Znowu miałem słuszność; tutaj nie przybędą. Istotnie, zdążali ku wskazanym skałom, poruszając się coraz ostrożniej, szukając osłony za głazami. Wkrótce zsiedli z koni i poprowadzili je za sobą, gdyż na wysokich siodłach łatwiej ich mogli spostrzec siedzący przy ognisku. Wreszcie dotarli do skał i ukryli się za nimi. Znać było z ich ruchów, że cieszą się na widok karawany. Odprowadziwszy konie nieco w tył i przywiązawszy je, stanęli na pozycjach, z których najwygodniej było obserwowa~ obóz osadników.

-'Ib oni - skinął Sam. - Dwunastu; można ich teraz zliczyć.
- Czy podejdziemy bliżej? - zapytał Will.
-'1'dk, skoro się tylko ściemni.
Nie czekali długo. Słońce dotknęło lini widnokręgu i po chwili skryło się za nią; coraz posępniejszy cień zmierzchu nadciągał z zachodu. Nad wodą buchnął jasny wysoki płomień.

- Chodź! - rzekł Sam do przyjaciela. - Nie marudźmy tu dłużej.
Opuścili kryjówkę i podeszli do obozu bandytów. Im bliżej tym cichsze były ich kroki, tym mniej uchwytne dla ucha. Rzecz niepoję-ta, w jaki sposób Sam Hawkens umiał w swoich olbrzym ich butach chodziE bezgłośnie, niby wróbel po trawie. Zręczność zaś Willa Parkera dowodziła, że nie jest bynajmniej greenhornem, jak go nazy-wał Sam.

Kiedy dotarli do małego wzniesienia, Sam wręczył towarzyszowi 94 strzelbę i szepnął:

- Zostafi tu i trzymaj moją Liddy! Ja wdrapię się na górę.
-Well. Ale jeśli wpadniesz w biedę, przyjdę ci z pomocą.
-Pshaw, niewyobrażam sobie żadnej biedy! Natężaj słuch, Willu, aby cię nie nakryto.

- Kto?
- Zwiadowca, którego na pewno wnet wyślą. Nie wiadomo, czy nie będzie przechodził obok.

Położył się na ziemi i poczołgał naprzód. Była to chwila najstosow-niejsza do przedsięwzięcia Hawkensa, ponieważ zaraz po zmierzchu nielicznie dostrzegalne na niebie gwiazdy świecą matowo i słabo. Jak wiadomo, blask ich wzmaga się stopniowo i powoli. Wspomnieliśmy już, że grunt składał się ze żwiru. Jakże łatwo można go było potrącić i rozsypać! Sam jednak przebywał drogę cal za calem, nie wytrącając z pierwotnego położenia ani jednego kamy-czka. Zatrzymał się dopiero na szczycie. Jego przenikliwe, przywykłe do mroku oczy ujrzały przeciwników; stwierdziłby ich obecność, na-wet gdyby ich nie widział, rozmawiali bowiem dosyć głośno. Odważył się przysunąć bliżej i przykucnął wreszcie za większym odłamkiem skały. Dwaj czy trzej finderzy stali przy jej grzbiecie, obserwując dalekie ognisko obozowe. Reszta rozgościła się na gołej ziemi. Buttler prowadził rozmowę. Sam słyszał wyraźnie słowa jego rozmówcy:

- Gdybyśmy mogli dostaE więcej amunicji, musimy być bardzo oszczędni.

- Tylko chwilowo - odparł Buttler. - Odbierzemy sobie wszy-stko jeśli nie o wiele więcej. Ale komu w drogę, temu czas, ściemniło się dostatecznie.

- Ruszaj czym prędzej ! Ale pamiętaj, nie daj się nakryć! - zwrócił się do drugiego kamrata.

- Będę się miał na baczności - odrzekł tamten. - Nie pierwszy raz idę na zwiady.

- Dlatego właśnie wybrałein ciebie, a nie kogoś innego. Nie
95 narażaj się na niebezpieczeństwo! Nie podchodź za blisko.

- Ale chciałbym ich podsłuchać!
- Zbyteczne. Chcę tylko wiedzieć, czy są sami i czy się ktoś do nich nie przyłączył.

- Gdybym jednak ich podsłuchał, dowiedziałbym się, czy mają jakieś podejrzenia!

- Podejrzenia? Skądże znowu!
- Mogą wpaść na pomysł, że puścimy się za nimi w pościg.
- Nie pomyślą o tym. Osadników wcale nie liczę, przewodnik zaś nie wydaje się być skory do narażania życia dla innych. Pozostają tylko ci trzej głuptaskowie, którym wczoraj dopisywało tak kapitalne szczę-ście. Nie mają tyle rozumu, aby się domyślić, że pojechaliśmy za nimi. 'I~ kpy jadą nad Gila zastawiać sidła na bobry i niedźwiedzie! Czy kto słyszał o takim szaleństwie? A więc idź i uwiń się szybko! Za pół godziny powinieneś wrócić.

Zwiadowca oddalił się. Zbir, który poprzednio rozmawiał z But-tlerem, podjął znowu:

- Jak myślisz, kiedy na nich ruszymy, Buttler? Wieczorem, czy też jutro rano?

- Dopiero jutro? 'Pdk dh~go nie będę czekał! Chcę jak najszybciej załatwić z nimi a zwłaszcza z małym grubasem, nasze porachunki. Nie, napadniemy na nich jeszcze dziś wieczorem.

- Podczas snu, kiedy ognisko wygaśnie?
- Nie. Zastrzelimy ich jedną salwą przy świetle ogniska.
- Ale ognisko jest zbyt wielkie i oświeila tak daleką przestrzeń, że zobaczą nas podchodzących!

- Ten ogromny płomień świadczy , że nie powzięli żadnego podej-rzenia. Światło, dociera daleko; musimy czekać, póki nie zmaleje, ale wówczas nie można będzie tracić ani chwili. I jeszcze jedno, nikt nie powinien strzelać do tego małego grubasa, biorę go na siebie! Potoczyła się przeplatana przekleństwami rozmowa o wczoraj-szych przeżyciach, o zakładach i fatalnej pijatyce. Sam czekał dalej, 96 spodziewając się usłyszeć coś ciekawego. Pozostał jeszcze na poste-runku przez dobry kwadrans aż wreszcie, rozczarowany, opuścił miej-sce równie cicho i ostrożnie, jak przybył. Wróciwszy do Willa, odebrał przede wszystkim strzelbę.

- Masz swoją Liddy - rzekł Will. - Co słyszałeś?
- Mało.
- Ale coś ważnego?
- Tylko to, że napad ma nastąpić, kiedy tylko nasze ognisko zmaleje. Musimy się do tego przystosować. Czy widziałeś zwiadowcę?

- Thk. Przeszedł bardzo blisko, ale nie spostrzegł mnie.
- A więc chodź! Musimy wrócić do swoich!
Szli z początku tłumionymi krokami, potem swobodniej. Obrali bowiem nie prostą drogę, lecz okrężną, aby nie zderzyć się przypad-kiem z wracającym zwiadowcą. Nie przebyli jeszcze połowy drogi, gdy usłyszeli głośny okrzyk angielski, po którym nastąpił wnet niemiecki.

- Tempest! - zawołał pierwszy głos.
- Boże Wielki! - krzyczał drugi. - Kto mnie napadł?
- Tb kantor - szepnął Sam do towarzysza. - Palnął jakieś głupstwo. Zbliżmy się ale cicho, aby nie zauważono nas przedwcześ-nie!

Podbiegli do miejsca, skąd rozlegały się krzyki. Stanęli nieopodal i nadstawili uszu.

- Pytam się, kto zacz! - rzekł mówiący po angielsku.
- Duszę się! - brzmiała odpowiedź po niemiecku.
'Pdk, to był głos kantora. Brzmienie Swiadczyło, że wydobywał się ze ściśniętej krtani.

- Chcę znać nazwisko! - zabrzmiało znów po angielsku.
-'Idm z obozu.
- Nie rozumiem. Gadajże po angielsku!
- Komponuję!!!
- Czy należysz do owych ludzi, którzy zasiedli koło ogniska?
- Opera bohaterska w trzech częściach.

4 - Król naftowy

- Człowieku, jeśli się nie będziesz wyrażał zrozumiale, przypłacisz to życiem! Awięc odpowiadaj! Kim jesteś?

- Dwanaście aktów, po cztery na każdy spektakl.
- Nazwisko, nazwisko!
- Szukam Hobble Franka!
- A, nareszcie! Nazywa się Frank! Czego się wałęsasz samotnie po nocy i skąd się wziąłeś?

- Ź HIotzsche pod Dreznem. PuśE mnie pan! O, nareszcie! Bogu dzięki!

Głos brzmiał swobodniej. Kantor wyrwał się i dał drapaka. Słychać było śpieszny pęd jego kroków.

- Uciekł jednak! - rzekł gniewnie napastnik. - Warto by ... nie, muszę się śpieszyć!

Nie ścigał uciekającego; pośpieszył szybko w kierunku finderów.

- To zwiadowca - szepnął Sam. - Paskudna historia! Może nam posuć szyki! Wrócę do skały, aby podsłuchać meldunek tego draba. Zostań tutaj! Muszę go wyprzedzić.

Zawrócił. Will Parker czekał. Minęło pół godziny, zanim Sam się znowu ukazał.

- Lepiej poszło - oznajmił- niż przypuszczałem. To spotkanie albo skróciłoby życie naszego kantora, albo też, gdybyśmy mu pośpie-szyli z pomocą obróciłoby w niwecz cały piękny plan.

- Za kogo więc zbóje uważają naszego szczęśliwego kompozyto-ra?

-- Nie napomykano o nim wcale. Sprytny zwiadowca nie wspo-mniał o tej przygodzie.

- Naprawdę? 'Ib niepojęte! 'Pak ważny wypadek powinien był bezw~arunkowo zameldować!

-- Chyba sobie z tego nie zdaje sprawy; a może milczał ze strachu.
-- Ze strachu? Jak to?
- Ze strachu przed karą. Buttler napominał, aby pod żadnym pozorem nie pokazywał się nikomu, on zaś napadł na kantora. 'Ihkie

98 wyznanie mógłby drogo przypłacić. Dlatego wolał przemilezeć tę przygodę. Chodź teraz do obozu!

Nie uszli wielu kroków, gdy zatrzymał ich znowu jakiś głos. Zbli-żywszy się, poznali tętent kopyt.

- Rumak pędzący w galopie wprost na nas, jeśli się nie mylę!
Baczność, na boki!

Kofi wkrótce nadjechał. Cofnęli się w odpowiedniej chwili. Mimo mroku, ujrzeli dwie postacie na koniu. Jedna głośno jęczała.

- Czy to był jeden z naszych, Samie? - zapytał Parker.
- Nie wiem. Było ich dwóch, stary greenhornie.
- Byli to wrogowie. Jeden siedział na siodle, drugi klęczał za nim i ściskał go za gardło.

-'1'ak dokładnie nie widziałem. Czyś się nie omylił?
- Nie! Stałem bliżej od ciebie, mogłem więc wyraźniej widzieć.
Jeden był stanowczo z naszych, ale kim mógł być drugi? Ten drugi również należał do ich grona. Podczas nieobecno~ci Sama rozegrało się nieoczekiwane zdarzenie. Rzecz się miała tak; pani

Rozalia rozmawiając z Pollerem, przewodnikiem, posprzeczała się z nim, zawrzała gniewem i zawołała:

- Nie sądź pan, że jesteśmy twoimi poddanymi i niewolnikami!

Ja, pani Rozalia Eberschbach, urodzona Morgenstern i wdowa po młynarzu, mam takie samo prawo do rozkazywania, co i pan. Zrozu-miano? Wskazał pan drogę i dostał za to pieniądze. 'Pak ma się rzecz. A jutro, fora ze dwora! Poprowadzi nas pan Sam Hawkens; on rozumie się na tym lepiej, niż pan, i nie weźmie złamanego szeląga.

- Lepiej, niż ja? - krzyknłą rozgniewany przewodnik. - O tym jako cudzoziemka i kobieta nie może pani rozstrzygać! Kobiety w ogóle nie powinny zabierać głosu.

- Ja mam milczeć? Co, co pan powiedział? Damy mają milczeć?

Słuchaj pan, mylisz się bardzo. Po co Bóg nam dał usta? Pan milczeć powinien, bo ślina przynosi ci na język tylko fałsz i brednie! Będziemy zadowoleni, kiedy jutró zejdziesz nam z oczu!

99

- Mogę już dzisiaj złożyć swoje obowiązki.

- Bardzo proszę, to nam na rękę; na to natychmiast się godzę. A więc idź pan!

- Nie wcześniej, niż dostanę całą zapłatę!

- Dostanie pan, natychmiast nawet! O parę groszy nie pódziemy do wójta. Juliuszu, czy masz pieniądze przy sobie? Juliusz, jej mąż, stał w pobliżu. Skinął potakująco.

- Zapłać temu człowiekowi! Niech mi się już więcej nie naprzy-krza. Pokażę mu, czy damy powinny milczeć, czy nie! Dlatego tylko pojechałąm do Ameryki, że damy są tu lepiej traktowane, niż u nas, a ten pierwszy lepszy Jonatan, który wlazł nam w drogę, zabrania mi używać moich organów mowy! Diabli biorą człowieka, kiedy to słyszy. A więc zapłać mu i fora ze dwora!

Przewodnik dostał zapłatę za całą drogę do fortu Yuma. Schował ją z chytrym uśmiechem do kieszeni. Zaprzestał kłótni, aby dostać pieniądze i oddalić się podczas nieobecności Sama. Zabrał strzelbę, osiodłał i dosiadł wierzchowca. W tej chwili zbliżył się do niego Dick Stone i zapytał:

- Czy nie zechciałby mi pan powiedzieć czemu tak szybko osiod-łałeś konia? Jak mi się zdaje, chce pan odjechać?

- Yes. Ma pan coś przeciwko temu? Nie będę pana pytał o zdanie.

- Oho! Dick Stone jest właśnie jednym z tych, o których zdanie należy się pytać. Mają na nas napaść. 'Iii jest miejsce tylko dla wroga albo przyjaciela. Wiemy dobrze, dlaczego chce pan natychmiast od-jechać!

- Wiecie? Coś takiego! - szydził przewodnik. - Czy nie zech-ciałby pan łaskawie powiedzieć?

- Owszem. Chce pan jechać do finderów, żeby ich ostrzec.

- Zdaje się, że pan bredzi, mister! Powiem panu zatem, dokąd zamierzam jechać. Ci Niemcy mnie wypędzili, nie mogę więc u nich zostać. Honor mi na to nie pozwala. Przyłączę się tedy do żołnierzy, aby zostać u nich do rana. 'I~raz zna pan mój zamiar, więc puść mnie!

100

Dick Stone, przez chwilę zbity z tropu tyin wykrętem, wypuścił cugle z ręki. Przewodnik klepnął konia i pomknąłw kierunku kryjów-ki wojska. Po niewczasie Dick zrozumiał, co się święci. Skoczył do miejsca; gdzie leżała strzelba, wołając:

-'Ihn łotr mnie okłamał; chce nas zdradzić. Poślę za nim kulkę!

Szi So zabiegł mu drogę.

- Nie strzelaj, sir! Ciemno jest, kula chybi. Przyprowadzę tego człowieka!

Rzekłszy to, pomknął w ciemną noc.

- Przyprowadzi go? Ten chłopak? - pytał Dick sam siebie. - ‘Iiwdno w te uwierzyć! Muszę to sprawdzić.

Chciał dosiąść konia, lecz Adolf Wolf uchwycił go za ramię.

- Zostań pan! Naprawdę przyprowadzi.
- Nie jestem pewien.
- Przyprowadzi go, może pan ufać! Szi So mimo młodego wieku, potrafi dokonać większych czynów Pewny ton młodzieńca przekonał Dicka.
- Hm - mruknął - i tak przepadło! Nie wiem przecież, dokąd uciekł. Jeśli zamierza jechać do finderów, to na pewno natknie się na Sama i Willa, którzy go dalej nie puszczą. A więc zostaję. Będzie to jednak piękna historia, jeśli nam zwieje. Co powie Sam! Sam nic nie powiedział. Stał bowiem w tej chwili z Parkerem i wsłuchiwal się w cwał rumaka. Po chwili tętent zamarł; słychać było tylko parskanie. Niebawem jednak znów się rozległ. Rzecz dziwna, koń zawracał, choć w wolniejszym tempie.

- Ciekawe! - mrukną Sam. - Wracają stępa. Połóżmy się po-nownie, gdyż w ten sposób zobaczymy jeźdźców.

Nachylili się ku ziemi. Koń nadjechał; siedział na nim jeden tylko jeździec, ciągnący za sobą jakiś ciemny przedmiot.

- Szi So! - zawołał Sam. -‘Ib ty? Skąd się tutaj wziąłeś?
Zagadnięty osadził konia i odpowiedział:

- Przewodńik kazał sobie wypłacić pieniądze i odjechał wbrew naszej woli. Chciał nas zdradzić finderom; pobiegłem więc za nim i z rozbiegu wskoczyłem na konia. Ogłuszyłem zdrajcę kolbą rewolweru, osadziłem rumaka i strąciłem przewodnika. ‘I~raz ciągnę go za sobą na lassie.

- Do tysiąca piorunów! Powiedz, skoczyć na konia, ogłuszyć, strącić! Konkurujesz z Old Shatterhandem, dzielny zuchu! Opowiem to twojemu ojcu. A może zatłukłeś go na śmierć?

- Nie, tylko ogłuszyłem.
- Do stu piorunów! I obeszło się tak spokojnie, bez wystrzału, bez hałasu, jeśli się nie mylę!

Młodzieniec odparł skromnie:

- Nie mogło być hałasu, bo wrogowie są blisko.
- All ńght; wywiązałeś się z zadania ponad wszelkie pochwały.
Chodź ze mną do obozu! Śpieszmy, aby jak najprędzej pozby~ się finderów.

Podążyli do ogniska. Poller oprzytomniał wskutek bólu, jakie mu sprawiło dotkliwe ciągnięcie na lassie. Jęczał, ale nikt nań nie zwracał uwagi, dopóki nie dotarli do obozu. Przy ognisku przewodnik pod-niósł się powoli. Lasso, przywiązane do siodła, opasywało go pod pachami. Łatwo poją~, jak przywitano go w obozie. Spoglądał posę-pnie przed siebie i milczał uporczywie. Szi So podobnie zbywał mil-czeniem pochwały, których mu nie szczędzono. Chciał się usunąć w cień, aliści pani Rozalia uchwyciła go za ręce i zapytała:

- Panie Szi So, słyszał pan chyba baśń o zaczarowanej królewnie?
- Jaką? Słyszałem wiele baśni na ten temat.
- Mam na myśli tę królewnę, która została zaczarowana w guziku na wieży kościelnej.

- Nie, tej baśni nie znam.
- Wieża była wysoka na sto jedenaście łokci; dlatego ten, który miał wyzwolić królewnę, musiał dokonać stu jedenastu czynów boha-terskich, po jednym na każdy łokieć. Przez wiele tysięcy lat tkwił ten biedny robaczek w guziku, a nikt jeszcże nie dokonał ponad trzy, lub

 cztery czyny, kiedy na koniec przybył młody rycerz i dokonał mieczem, jeden po drugim, sto jedenaście czynów bohaterskich. Guzik pękł, wyzwolona królewna wyszła, podała zbawcy prawą rękę i zaprowadzi-ła go na dół do zakrystii, a potem przed ołtarz.

-1’dk! - roześmiał się Szi So. - I jaki stąd płynie morał?
- Morał? Co pan ma na myśli? Co to ma znaczyć? Niech panu to aby nie wyjdzie na złe! Opowiadam~o tym guziku, ponieważ widzę, że pan jesteś takim wła~nie dzielnym rycerzem. Czy u Indian też bywają zaczarowane królewny?

- Nie.
- Szkoda wielka! Myślałam, że dojdzie pan tak samo do stu jedenastu bohaterskich czynów. Lecz, w każdym razie, zasłużył pan na mój szacunek i na moją wdzięczność!

Chciała coś jeszcze dodać, ale ktoś ją gwałtownie odsunął. Był to kantor, który, uchwyciwszy dłoń Szi So, rzekl:

- Drogi przyjacielu i młodzieńcze, wie pan, że chcę skomponować wielką operę bohaterską?

-‘Pak, wspominał pan nieraz.
- I że ta opera będzie miała dwana~cie aktów?
- Mówił pan właśnie o dwunastu.
- Pięknie! W którym akcie chce pan wystąpić?
- Dlaczego ja?
- Ponieważ jest pan bohaterem, jakiego poszukuję właśnie. Wy-stąpi pan na końcu, ciągnąc na lassie zdrajcę przez całą scenę. A zatem, w którym akcie?

Poważna zazwyczaj twarz Indianina drgnęła w uśmiechu, gdy od-powiedział:

- W dziewiątym.
- Pięknie! A czy chce pan w dur czy w moll ciągnąć go przez scenę?
- W moll.
- Dobrze! W takim razie wybiorę C-moll, gdyż w pierwszym stopniu spowinowacony jest z cudownym Es-dur. A takt wybierzemy

,. :.
103 czteroświerciowy, gdyż kofi ma cztery nogi. Widzi pan, jak się wszy-stko dobrze składa! Zaraz to sobie zanotuję.

Wyciągnął notes z kieszeni. Lecz za nim rozległ się głos:

- Mam panu również coś do zanotowania, panie kantorze!
Odwrócił się i zobaczył przed sobą Sama. Odpowiedział uprzejmie:

-Proszę, kantorze emeritus! Tb tylko przezwzgląd na dokładność.
Ponieważ nie sprawują już urzędu, więc ...

- Więc uganiasz się z dala od obozu! - dokoficzył Sam. - Kto panu pozwolił opuścić obóz?

- Pozwolił? Wygnało mnie natchnienie, z początku lento, potem, vivace i wreszcie allegrissimo. Wie pan, kiedy muza rozkazuje, miłoś-nicy jej powinni słuchać.

- Proszę więc, abyś pożegnał swoją muzę, gdyż ma ona wobec pana złe zamiary.

- Nie wiedziałem o tym, drogi panie. Poszukiwałem dla opery podwójnego trelu. Ponieważ nie znalazłem go w obozie, więc oddali-łem się w noc, gdzie nikt mi nie przeszkadza.

- Usiadł pan na ziemi?
- Tak.
- I czekał przybycia trelu? Ale zamiast niego przybył ktoś inny, jakiś obcy, który cię nie zobaczył i potknął się o pana.

- Nie potknął się, lecz runął na mnie jak długi. Po chwili trzymał mnie już za gardło tak, jak się trzyma skrzypce.

- Potem był duet?
- Właściwie nie duet. Niewiele ze sobą rozmawialiśmy.
- Pan po niemiecku, on po angielsku i nie zrozumieliście się wzajemnie!

- Nic dziwnego! Kto chce mnie zrozumieć, nie powinien ściskać mi gardła. Powinien był o tym wiedzieć! Zresztą, skoro tylko zwolnił uścisku, skorzystałem z okazji i opuściłem to miejsce dysonansów.

- Czy aby allegro czy allegrissimo?
- Więcej już con fretta, gdyż podejrzewałem, że mnie ponownie 104 zechce schwytać.
- Chciał, chciał nawet czegoś więcej! Czy wie pan kto to był?
- Nie. W toku krótkiej rozmowy nie mieliśmy sposobno~ci wza-jemnego przedstawienia się.

- Wierzę! Chodziło zresztą nie tyle o formy towarzyskie, ile o pana życie.

- Moje życie? - zapytał zdumiony kantor.
- Stanowczo! 'I~n człowiek jest jednym z owych finderów, którzy chcą nas napaść i zamordować.

- Czy mam w to wierzyć? Chyba się pan myli! Już miałem przyje-mność wyjaśnić panu, że nie ma niebezpieczefistwa dla syna muzy, prócz jednego, braku uznania.

- A więc, kiedy morderca potyka się o pana i chwyta za gardło, aby zadusić, nie uważa pan tego za niebezpieczefistwo?

- Nie. Ma pan dowód, drogi panie. Pozwolił mi odjeść i sam też odszedł. Nade mną unosi się geniusz, który czuwa i strzeże mnie przed każdym niebezpieczeństwem.

-Jeśli ta wiara przynosi panu szczęście, to może ją pan zachowa~, dopóki cię nie żastrzelą, nie zakłują i nie oskalpują! Atoli tęskne oczekiwanie trelu naraziło także nas na niebezpieczeństwo. Na przy-szłość będziemy musieli przywiązać nie tylko pańskiego konia, ale także i ciebie samego!

- Panie, muszę się sprzeciwić! Geniusz nie zna więzów, a kiedy go skrępują, zrywa wszelkie pęta. Jak pan stłumi dźwięki trąby, która tkwi w ustach?

- Po prostu, wyciągając ją z ust, jeśli się nie mylę. Chwilowo żądam, aby się pan zachowywał zupełnie spokojnie i został tam, gdzie pana umieszczę. Nasze życie zależy od postępowania każdego z obecnych tutaj.

- Jeśli tak, to będę posłuszny pana zarządzeniom. Gdyby jednak doszło do walki i ktoś poległ, wówczas chętnie skomponuję dlafi missa pro aeficncis na każdy tekst. Będę rozmy~lał nad tym pięknym i wzruszają~ym tematem.

Ogniska chwilowo podsycano bez przerwy. 'I~raz należało opuścić obóz. Sam postanowił, że tylko on, Stone, Parker i żołnierze wezmą udział w ataku na finderów. Pozostali nie powinni się byli narażać. Schmidt, Strauch, Ebersbach i Uhlmann przystali na to z ochotą. Pani Rozalia jednak oświadczyła:

- Co, ja miałabym założyć ręce, kiedy inni narażają dla mnie życie?
Prędzej rak skiśnie i ryba piśnie. Jeżeli nie starczy dla mnie flinty, wezmę hak lub łopatę i biada temu, kto się do mnie zbliży! W bohaterskiej operze pana emeńtusa muszą przecież występowa~ tak-że kobiety, a ja chcę być pierwsza. Więc wskażcie mi posterunek! Z wielkim trudem udało się ostudzić jej zbytnie zapały wojenne. Niechętnie przyłączyła się do grupy bezczynnych. Czterej osadnicy z żonami, dziećmi i wołami wycofali się do stanowisk, na których oczekiwali wezwania żołnierze. Oczywiście, pionierom towarzyszył również kantor. Sam upomniał, aby nie spuszczano go z oka, gdyż znowu natchnienie mogło emeritusa wygnać na „poszukiwanie tre-lów". Odprowadzono także konie i spętano Pollera. Wfaściwie Szi So i Adolf Wolf, jako zbyt młodzi, nie powinni byli brać udziału w walce, ale pierwszy dobitnie oświadczył, że pominięcie będzie uważał za obrazę. Sam więc musiał dopuścić Indianina do kompanii - nie mógł zatem odtrącić Adolfa. Tymczasem przybyli po kryjomu żołnierze, pozostawiwszy konie pod nadzorem osadników. Sam Hawkens dał im potrzebne wskazówki, a następnie rzekł do oficera:

- Podkradnę się do finderów, aby sprawdzić, czy wszystko idzie po naszej myśli.

Szi So prosił, aby mu pozwolono także się podkraś~ o obserwować nadchodzących flnderów. Hawkens przymknął swoje małe oczka i mrugnął potakująco. Po chwili zniknęli w ciemnościach, każdy w innym kierunku.

Szi So ruszył wprost ku finderom. Po dziesięciu minutach ostroż-nego skradania się, skręcił nieco w bok. Dookoła panowała głęboka 106 cisza. Za jego plecami powoli przygasało ognisko obozowe. Nastąpił moment, kiedy finderzy mieli ruszyć. I w samej rzeczy. Szi So wkrótce usłyszał coś, jakby lekki szmer, ledwo uchwytny odgłos skradających się kroków. Indianin podnidsł się do połowy i natężył słuch silniej, niż dotychczas. Zmiarkował, że dzieli go od bandytów odległość dwudzie-stu do trzydziestu kroków. Usunął się na stronę i położył na ziemi. I oto nadeszli, powali i cichaczem, zbitą gromadą, a nie gęsiego, jak zwykli w takich razach skrada~ się czerwonoskórzy i doświadczeni westmani. Wyminęli go. Szi So podniósł się, aby iść w ślad za nimi. Nieopodal obozu finderzy zatrzymali się na chwilę. Chcąc ich podsłu-chać, syn wodza musiał zaryzykować. Położył się znów na ziemi i podezołgał tak blisko, że mógł uchwycić rękę najbliższego findera. ‘Ib śmiałe posunięcie zostało nagrodzone; usłyszał wnet, jak But-tler szepnął:

- Ogień przygasa; sądzę, że śpią wszyscy. Mimo to poczekamy jeszcze nieco. Jak pewność, to pewność. Ale okrążyć ich musimy bezzwłocznie. Jeśli każdy z nas oddali się od sąsiada o trzydzieści kroków, wystarczy nas dwunastu, aby otoczyć kołem wozy. Czekajcie na mój sygnał.

- Jaki sygnał? - zapytano.
0

- Za pomocą źdźbła trawy będę naśladował ćwierkanie świersz- ř cza. Na dany znak, każdy przysunie się do wozów. Skoro dotrzemy, zaćwierkam po raz drugi. Przeczekam chwilę. Na trzeci sygnał macie pełzać pod dyszle, pomiędzy kołami i szybko zakłuć łotrów. Ile możli-wości, unikajcic wystrzałów.

- A kobiety i d.zieci?
- Zlikwidować również. Nikt nie powinien zostaG przy życiu, aby nas później nie zdradził. Po podziale hrpu spalimy wozy wraz z ciałami. A zatem do roboty! Jedna połowa przsjdzie na prawo, druga na lewo; ja zostanę tutaj. Miejcie się na baczności i unikajcie szme-rów.

Jeden z hndert~w zapytał:

- A jeśli natrafimy na wartownika? Może wystawili straże?
- Nie sądzę, ale gdyby nawet, trzeba będzie przede wszystkim zakłuć jego. A więc do dzieła i uważać na moje komendy! Finderzy oddalili się, aby okrążyć wozy. Buttler został na miejscu. Szi So zastanowił się; czy powinien biec natychmiast do Sama z meldunkiem? Nie! Miał herszta tuż przed sobą. Gdyby go unieszkod-liwić, łatwiej poszłoby z pozostałymi. Czekał minutę, po czym ostroż-nie podniósł się za Buttlerem i uderzył go tak mocno rękojeścią rewolweru, że bandyta osunął się bez dźwięku. Następnie począł ciągnąć powoli Buttlera aż do miejsca, gdzie Sam umieścił żołnierzy wraz z Dickiem i Willem. Zastał Sama, który właśnie powrócił z obchodu. Mały myśliwy nachylił się, aby zbadać przedmiot ciągniony przez Szi So, po czym rzekł ze zdumieniem:

- Człowieku, jakżeś go schwytał? Nie żyje?
- Jest tylko nieprzytomny - odpowiedział Szi So.
- Któż to?
- Buttler.
- Tysiąc dolarów! W jaki sposób się to stało?
- Uderzyłem go kolbą.
- Zounds! Popełniłeś wielki błąd i zmarnowałeś cały mój piękny plan. Opowiadaj szybko, jak to się stało!

Szi So opowiedział pokrótce. Kiedy skończył, Sam rzekł innym niż poprzednio tonem:

- Do piorunów! ‘Pak, jeśli się tak rzeczy mają, to nie mogę cię ganić, wręcz przeciwnie, powinienem pochwalić. ‘Il;raz, zamiest But-tlera, ja będę naśladował Ewierkanie świerszcza i zwabię ich w po-trzask. Zwiążcie tego opryszka i wsadźcie mu knebel do ust, aby nie mógł krzyczeć, kiedy oprzytomnieje!

Żołnierze szybko spełnili rozkaz. Porucznik tymczasem odezwał się:

- A zatem da pan sygnał zamiast Buttlera? Czy zdoła pan naśla-dować ćwierkanie?

- Bardzo prosto, za pomocą źdźbła trawy. Składa się obie ręce tak, aby kciuki leżały na sobie i wsuwa pomiędzy nie źdźbło trawy. Skoro się dmuchnie, powstaje ton, naśladujący ćwietkanie świerszcza.

- Muszę spróbować!
- Nic przeciwko temu nie mam, sir; ale proszę tylko, aby tę próbę odłożył pan do jutra, albo na dziesięć lat, gdyż czyniąc ją tu i teraz, przepędzisz nam zbirów.

- Jak to?
-‘Ib nie udaje się od pierwszego razu. Wyda pan niewątpliwie taki ton, jak gdybyś wydmuchiwał śmietanę, albo miód przez klarnet. A zatern, teraz możemy ruszyć za finderami; na każdego z nich wypada po dwóch naszych. Skoro dam pierwszy znak, łotry przysuną się do wozów, a wy za nimi. Po trzecim sygnale zechcą przejść pod wozy, a wówczas napadniecie ich i powalicie uderzeniami kolb.

- Ale sądzę, że lepiej strzel~ć, albo dźgać nożami! Ci hultaje już i tak przegrali życie.

- Pewnie; lecz ja nie jestem ich sędzią, ani katem.
- Ale, sir, jak pan myśli, co ich oczekuje w ‘Iiicson?
- Z krawatami na szyjach będę dyndać w powietrzu.
- Prawda, więc zginą. Co za różnica, czy tutaj, czy gdzie indziej!
- Zapomniał pan o jednym; tam ich wyśle na śmierć prawo, a tu nawet jeszcze nie zostali oskarżeni. Schwytamy ich żywcem. Co się z nimi stanie w mieście, to wasza rzecz.

- Hm, godzę się, chociaż uważam, że zbóje nie zasługują na takie względy.

Zabrano się do dzieła. Żołnierze dobrali się dwójkami. Komendę objęli Stone, Parker i porucznik. Oddalili się, aby odciąć odwrót zbirom; Szi So musiał zaprowadziś Sama Hawkensa na miejsce, gdzie obezwładnił Buttlera. Oni dwaj więc stanowili ogniwo w kręgu finde-rów, podczas gdy żołnierze tworzyli drugi, zewnętrzny łańcuch. Kiedy zeszły się kofice łaficucha, Sam ścisnął między kciukami źdźbło trawy i wydał umówione ćwierkanie. ‘l~raz szybko posuńął się 109 naprzód - rozbrzmiał drugi sygnał. Potem przeczekał chwilę. Z obu stron przysuwano się bez szmeru. Wyciągnięty w trawie, widział, jak wił się wąż finderów. Koło tak się zwęziło, że można było poznać swoich sąsiadów.

- Buttler, jestem - szepnął sąsied z prawej strony.
- Wszystko idzie dobrze - dodano z lewej strony. - Nie marudź, daj sygnał!

Hawkens się odwrócił. Jego przenikliwe oko dojrzało Dicka Stone i jednego żołnierza za najbliższym W derem; za sąsiednim czaili się już dwaj inni wojskowi. ‘I~raz Sam po raz trzeci zaćwierkał i szybkim skokiem znalazł się przy żołnierzach. Również syn wodza skoczył na prawo, atoli już Dick Stone trzymał swoją ofiarę mocno za szyję. Rozległy się uderzenia kolb i kilka zduszonych okrzyków, po czym znów zaległa cisza.

- Halo! - zawołał głośno Hawkens. - Czy wszystkim dobrze poszło~?

- Wszystkim - odpowiedzieł z drugiej strony Will Parker.
- A więc przyprowadźcie ich tutaj i podsyćcie ognisko, abyśmy mogli się im zaprezentować, jak tego grzeczność~ wymaga. Po upływie kilku minut spętani finderzy leżeli wewnątrz czworo-boku z wozów. Dookoła ich siedzieli Sam, Dick, Will, porucznik i Adolf Wolf, żołnierze zaś poszli po

osadników i konie. Niektórzy z Szi So na czele udali się do obozu finderów, aby sprowadzić ich konie. Ognisko płonęło jasno i wysoko, oświetlając cały obóz.

Finderzy leżeli wszyscy razem. Oprzytomnieli po uderzeniach. Wpatrywali się i wsłuchiwali we wszystko, co się dookoła działo. Nikt z nich nie przemówił, ale spojrzenia zdradzały wściekłość. Sam Hawkens czekał spokojnie na pionierów. Naraz rozległ się z dala triumfalny głos kobiecy:

- We heve them, we ~Zave them!

Ta, która wałała, zbliryła sie, przeszła pod dyszlem i wpadając na Sama Hawkensa, krzyknęła:

110

-We have them, we have them! Czy to nie znaczy: mamy ich, mamy ich, panie Hawkens?

Była to łaskawa pani Rozalia Ebersbach, z domu Morgenstern, wdowa po młynarzu. Wyprzedziła wszystkich innych w zwycięskim zapale.

-'Pdk, - powiedział Sam - to właśnie znaczy.

-Awięc we have them, we have them! Mamy ich! Bogu dzięki! Ile się strachu o was nałykałam, ile troski. Rwało mnie i ciągnęlo, żeby walczyć, walić i pomócwam. Wreszcie przyszli żołnierze i powiedzieli:

We have them! Zrozumiałam, co to znaczy po naszemu i czym prędzej przybyłam, aby ich także mieć!

Spojrzenie jej padło na jeńców.

- Ale, co to? Żyją jeszcze! Myślałam, że zobaczę nieboszczyków.

'Ib nie chce mi się w głowie pomieścić. Czy dobrze się wszystko odbyło?

- Oczywiście.

- No, w takim razie Wielkanoc wypada w czwartek, zamiast w niedzielę, jak zazwyczaj bywa! Czy nie wiesz pan, panie Hawkens, że ci panowie zbóje chcieli nas zamordować?

- Wiem z całą pewnością.

- A jednak wyście ich nie wystrzelali? 'I~j szlachetności nie mogę pochwalić! Kto zabija, powinien paść zabity; oko za oko, klin klinem, tak stoi w Biblii i we wszystkich prawniczych książkach!

- Czy naprawdę została pani zamordowana, pani Ebersbach?

- Nie. Jak się pan może pytać! Gdyby mnie zamordowano, stanę-łabym przed panem jako duch. Mam nadzieję, że nie uważa mnie pan za marę.

- Pewnie, pani Ebersbach. A więc oko za oko, ząb za ząb. Nie zamordowano pani, dlatego my nie zamordowaliśmy finderów.

- Ale przecież chcieli nas zamordować! Tb tak samo, jak gdyby nas zamordowano.

- I dlatego chciałem ich uśmiercić, a więc tak samo, jak gdybym 111 ich w rżeczy samej uśmiercił.

Strapiona kobieta uderzyła się w czoło i rzekł:

- Co za głupia Rozalia byłam! Pozwoliłam się pobić własnymi słowami! Tb mi się po raz pierwszy w życiu przytrafiło, gdyż kto na mnie zęby ostrzy, musiał je sam połknąć. A powiedz mi pan przynaj-mniej, co się stanie z tą zbójecką szajką! Ponieważ obszedł się pan z tymi łotrami tak pobłażliwie, więc pozwólę sobie zapytać, czy dostaną jakieś wynagrodzenie, premię, ezy może złoty medal?

- Dowie się pani niebawem, jakie żywimy zamiary.

- Mam nadzieję! Weź pan pod uwagę, że ja także należę do osób na zgubę przeznaczonych! Gdyby się napaść udała, leżałabym teraz jako zimny trup na polu walki, a promienna jutrzenka oświetlałaby moją przedwczesną śmierć. Domagam się kary, rozumie pan?

- Kara ich nie minie, pani Ebersbach, może mi pani ufaE. Ale to nie my wymierzymy im karę. Jesteśmy chrześcijaninami, a pani jest damą, kobietą. Należy pani do płci delikatnej, nadobnej, która nie zna nienawiści, ani gniewu i panuje nad światem dobrocią i miłością. Jestem przeświadczony, że także w pani sercu mieszka łagodność, bez której nawet najpiękniejsza kobieta jest potworem. Słowa te odniosł;~pożądany skutek. Pani Rozalia uderzyła się w pierś i odpowiedziała:

- Mieszka łagodność? A jużci, naturalnie, że mieszka! Mam jeszcze serce i co za serce. lbpi się, jak masło na słońcu. Należę również do nadobnej i delikatnej płci pięknej, o której pan mówił i chcę dobrocią panować nad światem. Bywało nieraz, że człek się zapomniał, albo nieraz zdarzyła się chwila, kiedy moja łagodność i dobroć taiła się wstydliwie, lecz przy tej okazji chcę otwarcie dowieść, że moja słaba płeć jest niezłomna w dobroci. Nie zawiódł się pan na mnie, panie Hawkens! Nie chcę nic wiedzieć o ukaraniu tej bandy. Niech sobie uciel~ają!

Mówiłaby dłużej, gdyby nie wrócili pionierzy ze spętanym Polle-rem oraz żołnierze, którzy przyprowadzili konie i zatrzymali się przed 112 wozami.

Krzyżowały się pytania i odpowiedzi. Nie prędko można było zaspokoić ciekawość osadników. Nawet kantor przysłuchiwał się uważnie, mima że nie siedział, jak inni spokojnie koło ogniska, lecz krzątał się nieustannie, niezadowolony z ułożenia jeficów, przesuwał to jednego, to drugiego, w jedną lub drugą stronę.

- Co pan robi?- zapytał wreszcie Sam. ~ Czy nie leżą, jak trzeba, panie kantorze?

Zagadnięty odwrócił się i rzekł:

~ Kantorze emeritus, jeśli łaska, panie Hawkens! Jedynie przez wzgląd na dokladność. Tak, odgadł pan! Jeficy powinni leżeć zupełnie inaczej.

- Dlaczego?

-'lb ugrupowanie nie wywiera właściwego wrażenia. Zdaje się, że zapomniał pan, albo też nie wiesz zgoła, czyrn ja właściwie się zajmu-Ję?

Ponieważ Sam nie przypomniał sobie chwilowo osobliwych ma-rzefi kantora, wyrwało mu się nieprzezornie:

- Czym?

- Niczym innym, tylko moją operą. Pragnę skomponować wielką operę heroiczną w dwunastu aktach i udałem się tutaj w tym celu jedynie, aby poszuka~ odpowiedniego materiału. Znalazłem teraz ~wietną scenę, mianowicie „chór morderców". Leżą na ziemi i śpie-wają podwbjny sekstet. Ale w takim razie powinni byE ugrupowani zupełnie inaczej. Studiuję właśnie sposób właściwy i zanotuję go sobie, skoro znajdę. Może pan być pewny, że postaram się nie urażać tych ludzi!

- Oto się nie lękam! Do takich operacji nie trzeba jedwabnych rękawiczek.

Kompozytor krzątał się przy jeficach coraz gorliwiej, aż wreszcie zniecierpliwiony Buttler przerwał dotychczasowe milczenie i rzekł gniewnie do Sama:

113

- Sir, czego ten człowiek chce od nas? Postaraj się pan, aby nas zostawił w spokoju! Nie jesteśmy jego kukłami! Sam nie zadał sobie trudu, aby odpowiedzie~.

- Muszę w ogóle zapytać, - dodał Buttler po chwili - jakim prawem napadnięto na nas!

- Zapytać? - roześmiał się westman: Przypuszczam, że może-cie sobie sami odpowiedzieć.

- Jak to? Przybyliśmy jako spokojni podróżni i ujrzeliśmy z dala ognisko. Nie wiedząc, kogo mamy przed sobą, podkradliśmy się, jak to się zazwyczaj czyni: Wówczas napadliście na nas zdradziecko. Żądamy, abyście nas natychmiast puścili!

- Żądajcie, ile wam się żywnie podoba, nie mam nic przeciwko temu, jeśli się nie mylę. Będziecie wolni dopiero jutro, na szubiennicy w ‘Iiicson, hihihihi!

- Jeśli chcesz pan stroić figle, to postaraj się o lepsze! Tb nie przelewki, chwytać uczciwych ludzi, wkrótce się przekonacie. Nie wiadomo jeszcze, kto z nas zawiśnie na szubiennicy!

Sam podniósł się, podszedł dofi i rzekł urągliwie:

- Aby zakończyć wreszcie te głupie rozmowy, przedstawimy się!
Nazywam się Sam Hawkens, rozumie pan?’Pdm zaś siedzą Dick Stone i Will Parker. Nadano nam przydomek Liść Koniczyny, zrozumiano? Czy pokusicie się o oskarżenie takich westmanów?

Buttler zaniemówił.

Sam Hawkens dodał:

- Ja sam byłem kiedyś u was, podsłuchiwałem i słyszałem każde słówko. Jesteście finderami. Wiedziałem już o tym w San Xavier.

- Heavens! - zawołał przestraszony Buttler. - Finderzy! Co za myśl! Kto pana tak poinformował, sir?

- Wy sami. Mam dobre uszy.
- O, nawet najlepsze uszy mogą się omylić i fałszywie zrozumieć!
-‘Pdk pan sądzi? A zatem źle zrozumieliśmy, kiedy pana poprze-dnio zapytano, co się stanie z dziećrni i kobietami?

114

- Nic o tym nie wietn!
- Że mają zginąć, aby później nie mogły was zdradzić
-~~emam o ~.ymna~mń~e~sieeo ~ó~e~a.
- Ani o cym, że mieliście podzielić między siebie łu~, a ~otem sĄa>>ćwozy‘?

-Nie!
-~J takim razie z przerażenia stracił pan pamięć. Sądzę jednak, że odzyskasz ją w „Iiicson.

Oficer, dotychczas milczący, odezwał się do Sama:

- Nie trać pan darmo słów z tym człowiekiem, sir! Niech się wypiera; na nic się to zda. Mamy dowód, że są finderami i jutto będą wisieć.

- Czy będzie potrzebne nasze świadectwo? - zapytał Dick.
- Nie. Jeśli chcecie jechać dalej, nie będę was zatrzymywał, ani ciągnął z powrotem do ‘Iiicson. Świadczyliście przede mną, a to ma taką samą wartość, jak gdyby~cie osobiście złożyli zeznania przed sądem. Posiadamy nadmiar dowodów. Nie ulega najmniejszej wątpli-wości, że nasz kraj będzie wreszcie uwolniony od tej zbójeckiej plagi. Daję panu słowo, że wszyscy będą dyndać.

Nie wszczynano więcej rozmów. Zaciągnięto straże i ułożono się do snu. Jc:den z żołnierzy przysiadł się do jeńców, aby ich mie~ na oku. Spętany Poller leżał nieopodal Buttlera. Nie zamienili ze sobą ani słowa, aczkalwiek nie trudno im było rozmówić się ukradkiem, po-nieważ wszyscy jeńcy leżeli stłoczeni razem. Kiedy wszyscy dookoła usnęli, przewodnik zmiarkowawszy, że strażnik zważa jedynie na więzy, potrącił łokciem Buttlera i szepnął:

- Czy śpi pan, sir?
- Nie - brzmiała odpowiedź. - Kto by mógł zasnąd w takich okolicznościach?

- Więc odwróć się do mnie, rnuszę z panem pamówić!

- Wszak był pan przewodnikiem tych szubrawców? - zapytał Buttler, zwracając się twarzą do przewodnika. --- Skąd te więzy?

- Posądzono mnie, że chcę się z wami sprzymierzyć.
- Ale to nieprawda?
- Z początku nie, ale później powziąłem ten zamiar. Nazywam się Poller, sir, i chciałbym, aby pan miał do mnie zaufanie. Sto szans przeciw jednej, żeście zgubieni, lecz ja chętnie bym was uratował.

- Czy mówi pan poważnie?
-'Pdk, przysięgam panu. Ci hultaje obrazili mnie ciężko, a ja nie przepuszczam obelgi płazem. O własnych jednak siłach nic nie doko-nam. Jeśli pan zechce mi dopornóc, to na pewno dostaną od nas cięgi.

- Pomóc? Nikt tu nie potrafi pomóc, ani pan mnie, ani ja panu!
- Nie mów tak! Jestem przeświadczony, że mnie jutro rano pusz-czą. Natomiast was przytroczą do siodeł i odwiozą do 'Iiicson. Pojadę za wami!

- Dziękuję bardzo, sir! Pomoże to, jak umarłemu kadzidło. Nie zdołamy uciec.
- Pshaw! Mam dobry pomysł. Czy jest pan tak przywiązany do swoich ludzi, że nie uciekniesz bez nich?
- Bzdury! Bliższa ciału koszula. Mogą sobie wisieć, bylebym j a się uratował.
, - Well. Doskonale! Powiedz im pan, żeby w drodze udali, iż dają

im się we znaki następstwa uderzefi. Niech się chwieją na koniach, niech udają cierpiących. Dziwiłbym się, gdyby porucznik nie urządził choć raz jeden postoju dla ulżenia jeźdźcom. Wówczas zdejmie wam pęta z nóg. Mimo że ręce będziesz miał skrępowane, dopadnie pan najszybszego rumaka i pomknie, oczywiście wstecz, gdzie ja już będę na pana oczekiwał. W oszołomieniu nie puszczą się od razu w pościg, dzięki czemu zyska pan przewagę. Każdego kto się następnie do nas zbliży, zabiję ze swoje strzelby.

Buttler nie od razu odpowiedział; zastanowił się i dopiero po dłuższej chwili rzekł:

- Tb realny plan. Godzę się na propozycję. Jeżeli się naprawdę uwolnię, to biada Liściowi Koniczyny i tym wszystkim osadnikom!

Będziemy działali wspólnie mister Poller!
Zmowa doszła do skutku. Buttler był tak uspokojony, że zasnął niebawem.

Ze świtem w obozie przebudzono się . Po lekkim śniadaniu, przy-rządzonym z zapasów kawalerzystów, porucznik oświadczył, że za-mierza natychmiast ruszyć z jeficami w powrotną drogę. Polecił też finderów przywiązać do koni. Spętano im ramiona na piersiach, aby mogli trzymać cugle. Tymczasem Poller krzyknął do Sama:

- A co się ze mną stanie? Czy spętacie mnie jak więźnia?
- Nie - odpowiedział Sam. - Chciałem pana tylko zatrzymać przez ubiegłą noc. T~raz może pan jechać, dokąd cię oczy poniosą.

- Well, uwolnijcie mnie zatem!
- Nie tak prędko, mój bardzo szanowny mister Poller! Przypusz-czam, że zechcesz się pan na nas zemścić i że w tym celu pojedziesz za nami. Unieszkodliwię pana, odebrawszy mu brofi.

- Protestuję! 'Ib kradzież, rabunek!
-Pshaw! Jakkolwiek to nazwiesz, stanie się, jak rzekłem.
Uwolniono Pollera z więzów. Kinąc siarczyście, dosiadł swego wierzchowca i pojechał na wschód, aby potem niepostrzeżenie skręcić w kierunku 'Ilicson. Wkrótce potem również porucznik pożegnał się i wyruszył na czele żołnierzy i jeźdźców. 'l~raz, kiedy przerzedziło się i życie w karawanie wróciło do dawnego trybu, zauważono nieobe-cność kantora. Już miano wysłać kogoś

na poszukiwania, gdy przy-wlókł się powoli z zachodniego kierunku, strojąc dziwne miny. Skoro dotarł do obozu, Sam wpadł na niego z gniewem:

- Gdzie się pan znowu podziewa? Czego pan tam szukał?
- Marsza triumfalnego - odpowiedział entuzjasta.
- Marsza triumfalnego? Czy pan oszalał?
- Oszalał? Jak pan może zadać tak obelżywe pytanie, szanowny panie? Zwyciężyliśmy! Schwytaliśmy wrogów i dlatego szukałem sa-motności, aby wykoncypowad motyw do marsza triumfalnego.

- Głupstwo! Nie powinien się pan uganiać bez powodu. Nie ścierpię diużej takiej nierozwagi!

- Wybaczy pan! Adept muz nie popełnia nierozwagi. Popełnił ją przewodnik.

- Poller? Jak to?
- Komponowałem właśnie szczęśliwie gdy nadjechał i odebrał mi broń. Zostawił mi tylko szablę, bo nie może mu się przydać.

- Bodaj w pana kartacze biły! - zawołał Sam Hawkens. - Pomyślałem to sobie od razu! Wypędzam go bez broni, a pan śpieszy na jego spotkanie, aby mu oddać swoją!

- Oddać? Ani mi się śniło! Sam sobie zabrał i jako zapłatę dał mi dwa ... dwa ... nie powinienem tego wypowiedzieć!

- Powiedz pan! Muszę wiedzie~.
- W ojczystym języku nie zdołam wykrztusić; po łacinie zowie się to colaphus.

- Colaphus to policzek. A więc dwukrotnie pana spoliczkował?
-'lak, a jakże! Fortissimo!
- Najszczęśliwszy pomysł, na jaki ten ezłowiek wpadł w swoim życiu!

- Bardzo proszę, szanowny panie Hawkens! Kompozy tor i miłoś-, nik muz, którego się dwukrotnie policzkuje, który ...

- Zasłużył na to rzetelnie -wtrącił Sam. - Odtąd będę pana miał na oku. Gotuj się pan do wymarszu! Jed.ziemy dalej! Po upływie godziny karawana ruszyła w drogę. Na czele jechał Sam Hawkens, który zsastępował dotychcz,asowego przewodnika:

Buttler zastosował się do rady Pollera. Nie było innego wyjścia z groźnej sy-tuacji, jak symulować niemoc! Zmówił się zaraz po przebu-dzeniu ze swymi ludźmi, ostrzegł ich jednak, by nie zaczynali za wcześnie, gdyż mogłoby to wzbudri~ nieufnofi~. Gdy ujechali jednak połowę drogi, podniósł związane ręce ku głowie i mczął ję~zeC. Poru-eznik zapytał o powód. Buttler przypomniał o wezorajszy~m uderzeniu w głowę, które rapewne spowodowało wstrząśnienie mózgu. I-ierszt słabł coraz bardziej. Słaniai się w siodle, wskutek czego, przydzielono 118 dofi z obu stron dwóch kawalerzystów.

Wkrótce coraz to inni zaczynali okazywać oznaki słabości, oficer zarządził odpoczynek. Oczywiście z początku zeskoczyli z koni żoł-nierze, aby uwolnić nogi finderów. Zaczęli od Buttlera. Ledwo go zdjęli z konia, gdy upadł na ziemię. Widząc go w takim stanie, żołnie-rze przestali nafi zwracać uwagę. 'Ib właśnie miał na celu. Zmiarkował, że najbardziej rączyjest kofi oficera, stojący z boku. Zerwał się raptem i mimo spętanych rąk, błyskawicznie dopadł upatrzonego wierzchow-ca, pochwycił spętanymi rękami za łęk i wskoczył na siodło. Ruszył cwałem na zachód.

Stało się to tak szybko, że oszołomienie sparaliżowało żołnierzy. Dzięki temu ubiegł ich o spory kawał drogi, zamin rozległ się pierwszy krzyk gniewu.

- Strzelać, strzelać! Zestrzelcie go z siodła, ale uważajcie, aby nie trafić w konia! - krzyczał porucznik.

Żołnierze pobiegli do koni, ponieważ broń zostawili przy siodłach. Uplynęło tyle czasu, że już trudno było celować, tym bardziej, skoro należało oszczędzać konia. Wreszcie padło kilka wystrzałów. Kule przeleciały ponad głową zbiega. Po chwili wysunął się już poza zasięg strzału.

Jeficy wykorzystali popłoch. Niektórzy rozbiegli się na wszystkie strony, inni pomknęli na koniach, z których nie zdążono ich jeszcze zdjąć. Spowodowało to wściekłą wrzawę i straszliwe zamieszanie. Żołnierze musieli ścigać zbiegłych, wskutek tego tylko czterech czy pięciu mogło się puścić za Battlerem i to niestety, za późno. Daleko ich ubiegł i na domiar dosiadał bardziej rączego rumaka. Ścigający stracili go wnet z oczu i klnąc, wrócili z pustymi rękoma. Zbieg natomiast cwałował przed siebie, dopóki nie zobaczył z dala jeźdźca. To był Poller, nowy soj usznik, który radośnie go przywitaŁ Wyszukali na noc bezpieczne ukrycie, a nazajutrz ruszyli w ślad za karawaną, która wyprzedziła ich o dziefi drogi.

Ranczo Fornera

Nad rzeką Rio San Carlos, wpadającą do Rio Gila, znajdowało się

ranczo, zwane od nazwiska właściciela Ranczem Fornera. Wielkie,

` ciągnące się się dookoła pastwiska były jego własnością. Atoli pod
` pług nadawała się tylko gleba, leżąca nad rzeką. Dom nie był wielki,
j

ale mocno z kamienia budowany i okrążony równie mocnym murem

;.

wysokości człowieka. W murze, w równych odstępach, wybite były wąskie otwory strzelnicze, niezbędne w tym niebezpiecznym kraju.

Obszar wewnątrz murów zaj mowała tak wielką przestrzefi, że w razie

, niebezpieczefistwa, można było spędziĆ całą trzodę ranczera.
Była najlepsza pora roku. Preria obrastała gęstą trawą, którą ra-
czyły się niezliczone stada owiec i baranów; kilka tuzinów koni
pasło
się na wolności pod nadzorem kowbojów, którzy zabijali czas ożywio-
ną grą w karty. Szerokie, wychodzące na rzekę wrota, były na oścież
otwarte. Oto ukazał się w nich ranczer, prawdziwie krzepka i musku-
larna postać. Uważnym spojrzeniem obrzucił trzodę, po czym osłonił
ręką, oczy aby wpatrzeć się w dal.
Po chwili odwrócił się i zawołał w kierunku domu:

-Hallo, boy, przygotuj brendy! Przybywa gość, którego niebawem zobaczycie pod stołem.

- Kto? - zapytał wezwany syn ranczera, wyglądając z okna.

- Kr61 naftowy.

120

- Sam?
- Nie. Sprowadza dwóch jeźdźców i objuczonego konia.
-Well. Jeśli piją tak, jak on, lepiej od razu postawić kilka butelek.

Przed domem leżało dziesięć czy dwanaście ciosanych głazów.

Środkowy i zarazem największy służył za stół, pozostałe za krzesła. Syn ranczera wyszedł niebawem z domu, postawił na tym stole trzy pełne butelki i kilka szklanek, po czym przystanął obok ojca, abywraz z nim powitać gości.

Przybysze dotarli do przeciwległego brzegu rzeki i puścili konie wpław przez plytką wodę.

- Czy to być może! - krzyknął zdumiony Forner. - Ale chyba się nie mylę. Nie pojmuję, co mogło sprowadzić tego człowieka ze spokojnego Arkansas do tej niebezpiecznej miejscowości!

- Kogo? - zapytał syn.
- Mister Rollinsa z Brownsville.
-'To ten bankier, z którym swego czasu miałeś interesy?
- 'Pak. W rzeczy samej, to on, nie mylę się przecież! Jestem ogromnie ciekaw, czego ten szuka w Arizonie.

Jeźdźcy dotarli do brzegu i pocwałowali w kierunku rancza. Jadący na przodzie zawołał z daleka:

- Good morning, mister Forner! Czy ma pan mocny haust dla trzech gentlemanów, którzy z pragnienia omal nie padają z koni? Był to długi, szczupły, dobrze uzbrojony mężczyzna. Słofice spaliło i wiatr wygarbował jego twarz o nader ostrych rysach. Nosił przedni jak na te strony ubiór, który jednak nie był na jego miarę skrojony. Drugi jeździec był to mężczyzna w podeszłych latach nader poczci-wego wyglądu. Zmęczyła go szybka jazda; był oblany potem. Przy siodle wisiała piękna strzelba myśliwska. Czy miał jeszcze inną brofi, może w kieszeniach, trudno było poznać, gdyż nie nosił pasa. Z pierwszego wejrzenia widać było, że nie zadomowił się na Dzikim Zachodzie. Sprawiał na tle tej dzikiej okolicy podobne wrażenie, jak szczur lądowy na oceanie.

121

'Ii~zeci wreszcie przybysz był to młody krzepki blondyn. Dosiadał konia nie jak doświadczony westman, lecz jak dobry jeździec amator. 'liwarz miał szczerą, sympatyczną, lekko opaloną słoficem. Zaopatrzo-ny był w strzelbę, nóż i dwa rewolwery.

- Więcej niż haust! - odpowiedział Forner. - Welcome, mes surs! Zejdźcie z koni i rozgośćcie się, jak u siebie w domu!

Starszy jeździec osadził konia, przez kilka sekund mierzył wzro

- kiem ranczera, po czym rzekł:
- Zdaje mi się, że pana już kiedyś widziałem, sir. Ranczo Fornera!
A więc nazywa się pan Forner? Czy nie był pan u mnie w Brownsville? Nazywam się Rollins, a ten pan przy mnie to mister Baumgarten, mój księgowy.

Forner skłonił się jednemu i drugiemu i odpowiedział:

- Oczywiście, żeśmy się widzieli, sir. Złożyłem ongiś swoje osz-częności u pana i odebrałem je przed wyjazdem do Arizony. Ale nie była to tak wielka suma, aby mógł pan zachowaE mnie w pamięci. A zatem, wejdźcie panowie! Moje brandy nie jest gorsze, niż gdziekol-wiek indziej, a zakąsek również wam nie zbraknie, o ile nie jesteście szczególnie wybredni. Jak długo zamierza pan tutaj zabawić, mister Grinley?

- Póki nie miną najgorętsze godziny południa - odpowiedział jeździec, nazwany poprzednio królem naftowym.

Rozsiodłano konie i puszczono na pastwisko. Przybysze usiedli na kamieniach. Grinley natychmiast napełnił szklankę brandy i wypił duszkiem. W krótkim czasie wypróżnił butelczynę do dna. Bankier rozcieńczył alkohol wodą, a Baumgarten napił się czystej wody. For-nerowie ojciec i syn, poszli przygotować dla gości skromny posiłek. Nikt nie zauważył, że przez rzekę przeprawili się dążący w stronę rancza jeźdźcy. Przebyli zapewne długą drogę, gdyż konie ich wlokły się znużone. Byli to Buttler, herszt dwunastu rozproszonych finderów i Poller, wydalony przewodnik niemieckich osadników. Zanim dotarli do wrót, Poller zapytał:

- Czy jest pan pewny, że ranczer pana nie zna? Opisał mi go pan jako człowieka uczciwego, przypuszczam więc, że nazwisko Buttler nie dozna u niego życzliwego przyjęcia.

-Nie widział mnie nigdy-odparł Buttler. -Natomiast mój brat bywał u niego często. A przecież chyba nazywa się również Buttler!
- No tak, ale tu przybrał nazwisko Grinley.
- Sprytnie postąpił! Jednak, ws7.akże bracia są zazwyczaj do siebie podobni?

- Jesteśmy braćmi przyrodnimi, nie z jednej matki.
- Czy wie pan, gdzie brat teraz przebywa?
- Nie. Kiedyśmy się rozstali, ja udałem się na południe, aby założyć towarzystwo finderbw, on zaś nie był zdecydowany, jaką drogę obrać. Kto wie, gdzie się jeszcze spotkamy, jeśli się w ogóle w tym życiu... do krocset piorunów, siedzi tam właśnie! W tej chwili bowiem podjechali tak blisko do wrót, że uj rzeli trzech gentlemanów, siedzących przed domem. Buttler od razu poznał króla nafty i, zdumiony, osadził konia. Spojrzenie Grinleya padło w tej samej chwili na wrota. On również poznał natychmiast brata. Był jednak na tyle przytomny, że położył rękę na ustach, na znak milcze-nia.

-'Idk, to on - dodał Buttler. - Czy widział pan ten ruch ręki?
Nie powinienem go poznać.

Zeskoczyli z koni, puścili je i zbliżyli się do siedzących w tej samej chwili, kiedy obaj Fornerowie wyszli z domu, aby poczęstować gości chlebem i mięsem. Nowi przybysze ukłonili się i zapytali, czy mogą usiąść. Oczywiście, gospodarze ich przyjęli i nie zapytawszy nawet o nazwiska, ani o cel podróży, zaprosili do posiłku.

Obaj bracia, którzy pragnęli zataie wspólność krwi, chcieli oczywiście porozumieć się w cztery oczy. Tbteż po posiłku Grinley podniósł się i oświadczył, że zamierza położy~ się w cieniu za domem, aby nieco wypocząć. Buttler po chwili wymknął się za nim, nie ściągając na

siebie niczyjej uwagi.

I znowu nadjechali dwaj jeźdźcy, ale tym razem już nie z drugiej strony rzeki. Obaj dosiadali wyśmienitych biegunów. Gdyby ich postacie były nieco inne, można byłoby ich wziąć z daleka za Old Shatterhanda i za Winnetou, sławnego wodza Apaczów. Ci jednak byli inaczej zbudo-wani, jeden tęższy od Winnetou, a drugi szczuplejszy od Old Shatter-handa.

'i~n drugi nosił skórzane wyfrendzlowane legginsy i podobnie wy-frendzlowaną skórzaną koszulę myśliwską; cholewy długich butów sięgały kolan. Głowę miał okrytą kapeluszem filcowym o szerokich kresach. Przy pasie, splecionym z pojedynczych rzemieni, wisiały dwa rewolwery i nóż. Od lewego ramienia do prawego biodra kilkakrotnie przewijało się lasso. Na jedwabnym sznurku na szyi wisiała indiafiska fajka pokoju. W poprzek pleców widniały dwie strzelby, długa i krótka. 'Pdk właśnie ubierał się Old Shatterhand. On także miał dwie strzelby; siejący postrach dwudziestopięciostrzałowy sztucer Hen-ryřego i słynną długą, ciężką niedźwiedziówkę.

O ile ten młody szczupły mężczyzna był niejako wizerunkiem Old

, Shatterhanda, o tyle drugi naśladował Winnetou. Odziany był w białą, wygarbowaną i ozdobioną czerwonym haftem koszulę myśliwską i w legginsy z tego samego materiału z włosami w szwach; nie wyglądały one zresztą na włosy ze skalpów. Nogi tkwiły w mokasynach, wyszytych perłami i ozdobionych kolcami jeża morskiego. U szyi wisiała również fajka pokoju i woreczek skórzany, imitujący indjafiski worek na leki. Szeroki pas z santillo wił się dookoła pełnych bioder. Zza pasa wyglądała rękojeść noża i kolby dwóch rewolwerów. Długiej gęstej

czupryny nie okrywał kapeluszem. W poprzek grzbietu wisiała dubel-
tówka ze srebrnyei ćwiekami na drewnianej kolbie, naśladownictwo
osławionej srebrnej rusznicy wodza Apaczów Winnetou.
Kto znał Old Shatterhanda i Winnetou, ten nie mógłby się po-
wstrzymać od śmiechu na widok ich żywej parodii. T~ gładka, opalona,
124

dobroduszna, a trochę przemądrzała twarz szczupłego jeźdźca w po-równaniu z męskimi rysami Old Shatterhanda; i te świeże, rumiane, pucułowate policzki, ruchliwe oczy i sympatyczny uśmiech w kącikach warg grubasa, jako naśladownictwo poważnej, surowej twarzy Apa-cza! Wszelako nie godziło się z tych ludzi wyśmiewać. ‘Pak, na cuda-ków wyglądali, ale nie mniej byli to ludzie honoru, gentlemani z krwi i kości, i nieraz już śmiało zaglądali w oczy śmierci. Przecież grubas~ nosił popularne wśród westmanów przezwisko Ciotka Droll, a szczu-pły był jego przyjacielem i krewniakiem. Nazy wał się HIobble Frank. ‘ldk wielką czcią darzyli Old Shatterhanda i Winnetou, że naśla dowali ich w ubiorze, co nadawało im niezwykły wygląd. Ubiory te były nowe i kosztowały huk pieniędzy. Niemniej drogie były rumaki. Niewątpliwie zdążali do rancza. Ukazanie się ich przed domem wy wołało pewną sensację, na skutek kontrastu między dobrodusznym wyglądem a marsowym strojem. Nie robili wiele ceregieli. Zeskoczyli z koni, ukłonili się i usiedli na dwóch pustych głazach, nie zapytawszy o pozwolenie.

Forner obrzuciłobu przybyszówciekawym spojrzeniem. Mimo doś wiadczenia długich lat, spędzonych na Dzikim Zachodzie, nie wie-dział, co o nich sądzić. Nie mógł pohamować ciekawości, więc zapytał:

- Czy zechcieliby się gentlemani czymś uraczyć?
- Jeszcze nie teraz - odpowiedział Droll.
- A więc później. Jak długo zamierzacie tu zabawić?
- Zależy od okoliczności, jeśli to konieczne.
- Mogę was zapewnić, że u mnie jesteście bezpieczni.
- Gdzie indziej również!
- ‘Iak mniemacie? A więc nie wiecie, że Nawajowie wykopali topór wojenny?
- Wiemy.
- I że Nijorowie już wyruszyli?
- I to wiemy.
- A jednak czujecie się bezpiecznie?

125

- Dlaczegóżby nie, jeśli to konieczne?

Wiadomo powszechnie, że prawie każdy westman ma swój ulubio-ny zwrot. Sam Hawkens używa stale wyrażenia „jeśli się nie mylę’;

Droll znowu przyzwyczaił się do wyrażenia „jeśli to konieczne”. Czę-sto traperzy stosowali je w wypadkach najmniej właściwych, nie cofa-jąc się nawet przed sprzecznością. ‘Pak się też w tym wypadku stało. Forner ze zdumieniem obejrzał grubasa i zapytał poważnie!

- Czy zna pan te plemiona, sir?
- Znam nieco.
- 1ó nie wystarcza! Nawet współżycie z Indianami w zgodzie i przyjaźni nie zawsze chroni przed utratą skalpu, skoro wybuchnie wojna z białymi. Jeśli droga panów wiedzie na północ, radzę z niej zrezygnować. Coraz tam niespokojniej. Jesteście wprawdzie dobrze uzbrojeni, lecz, jeśli sądzić z tych nowiutkich ubiorów, przybywacie ze Wschodu, a z waszych twarzy również nie można wyczytać doświad-czenia nieulęknionych westmanów.
- Sądzi pan ludzi według ubiorów, jeśli to konieczne?
-‘1’ak.

- Pozbądź się pan tego nawyku, godnego krawca. Strzela się z dubeltówki, dźga się nożem, a nie twarzą, zrozumiano! Pod bitną, zaczepną powierzchownością może ukrywać się zajęcza dusza.
- Nie przeczę, ale panowie... Hm, czy mogę wiedzieE kim jeste-ście?
- Czemu nie? Jesteśmy... no, zaliczamy się do tych, których zazwy-czaj nazywają rentierami.
- Coś takiego! A więc dla rozrywki pojechaliście na Zachód?
- Przecież nie dla udręki.
- Jeśli tak, sir, to wróćcie, gdyż tutaj zgaszą was tak łatwo, jak świece! Z tego, co mówicie, wnioskuję, że nie macie wyobrażenia o niebezpieczeństwach, które ten kraj nawiedzają, mister... mister... jak się pan nazywa?

Droll sięgnął do kieszeni, wyciągnął kartę wizytową i podał ran-

czerowi. Ów zagryzł wargi, aby nie wybuchnąć śmiechem i przeczytał na głos: Sebastian Melchior Droll.

Hobble Frank poszedł za przykładem towarzysza. Forner przeczy-tał: Heliogabalus Morfeusz Edward Franke.

Przez chwilę obracał obie karty między palcami, a następnie roze-śmiał się na całe gardło i rzekł:

- Ależ, panowie, co to za osobliwe imiona i jacy z was dziwni ludzie! Czy spodziewacie się, że wzburzeni Indianie dadzą drapaka przed waszymi nazwiskami? Powiadam wam, że...

'Iii przerwał bankier Rollins:

- Proszę, mister Forner, nie mów nic takiego, co mogłoby obrazić tych gentlemanów! Nie mam wprawdzie zaszczytu znać ich osobiście, ale wiem, że są godni najwyższego szacunku. - zwracając się do Hobble Franka, dodał: - Sir, nazwisko pana jest tak niezwykłe, że zapamiętałemje dobrze. Jestem Rollins, bankier z Brownsville z Ar-kansas. Czy kilka lat temu nie miałem dla pana przesyłki pieniężnej?

- 1'dk, sir, to prawda - skinął Frank. - Powierzyłem pieniądze dobremu przyjacielowi, ten zaś złożył dług u pana, ponieważ Old Firehand polecił mu gorąco, pański bank. Później, ponieważ nie mogłem sam odebrać, kazałem sobie przesłać pieniądze do Nowego Jorku.

- Słusznie, słusznie! - potwierdził Rollins. - Old Firehand, istotnie! Znalazł pan później w pobliżu Fillmore City, nad Srebrnym Jeziorem, jak mi się zdaje, wielkie pokłady srebra. Czy tak, sir?

- 'Pdk - roześmiał się z zadowoleniem Frank. - Było tam parę naparstków tego kruszcu.

Forner zerwał się z miejsca i zawołał:

- Do piorunów! Czy to prawda, czy to być może? Był pan tam nad Srebrnym Jeziorem?

- No tak. I ten mój kompan również.

- Naprawdę? Wówczas wszystkie gazety rozpisywały się na temat tej niezwykłej historii Old Firehand, Old Shatterhand, Winnetou,

gruby Jemmy, Długi Davy, Hobble Frank, Ciotka Droll i wielu innych.

A więc zna pan tych ludzi, sir?

- Naturalnie, że znam. 'Ilx właśnie obok mnie siedzi Ciotka Droll, jeśli pozwolicie panowie.

Mówiąc to, wskazał na swego towarzysza. 'I~n zaś nie pozostał dłużny:

- A tu macie naszego Hobble Franka, jeśli to konieczne. Czy wciąż mniemacie, że nie znamy Zachodu?

!

- Nie do wiary, naprawdę nie do wiary! A też to nie może być Ciotkę Droll widuje się tylko w dziwacznym stroju, który go upodabnia do lady. A Hobble Frank nosi zazwyczaj niebieski frak z jasnymi guziczkami; na głowie zaś ma wielki kapelusz z piórem!

- Ćzy zawsze tak być musi? Czy nie można się inaczej ubierać? Jako przyjaciele i towarzysze Old Shatterhanda i Winnetou chcielibyśmy się do nich upodobnić. Jeśli nam nie wierzycie, to wasza rzecz.

Nie mamy nic przeciwko temu.

- A jakże, wierzę, sir, wierzę! Słyszałem, że po Ciotce Droll i po Hobble Franku nie poznasz, jakie z nich wspaniałe zuchy i w rzeczy samej, nie znać tego po was! Jakże mnie cieszy, że widzę was, messurs!

, 'I~raz jednak chcę się z waszych własnych ust dowiedzieć, jak się to wszystko odbyło i jak odkryliście ów wspaniały placer.

- Powoli, powoli, sir! - wtrącił bankier. - Możemy się tego kiedyindziej nasłuchać. Są rzeczy pilniejsze, przynajmniej dla mnie,

- zwrócił się do Drolla i Franka. - Nadarza mi się podobne odkrycie; jestem na drodze do zarobienia wielu, wielu milionów.

- Czy zna pan podobny placer, sir? - zapytał Droll.

-1'ak, nie złota wprawdzie lecz nafty.

- Niezgorzej, sir. Nafta to płynne złoto. Gdzie się znajduje ten placer?

- Tb sekret. Mister Grinley go odkrył. Nie mogąc z braku odpowiednio wielkiego kapitału eksploatować placeru, chce mi go odstąpić. Jestem gotów zawrzeć ten interes; ale trzelia obejrzeć teren

8:.::.

f', .

128

osobiście i oto jadę tam wraz z moim księgowym panem Baumgarte-nem. Jeśli opis Grinleya zgodny jest z prawdą, odkupię z miejsca cały placer.

- A więc nie wie pan, dokąd mister Grinley zamierza pana zaprowadzić?

- Niedokładnie. Jest rzeczą zrozumiałą, że mister Grinley pragnie zachować sekret do ostatniej chwili. Kiedy wchodzą w grę miliony, nie można gardzić żadnym środkiem ostrożności.

- Słusznie. Mam nadzieję, że nie tylko on, ale i pan nie zapomina o zaleceniach ostrożności. Musi pan przecież mniej więcej wiedzieć, w jakiej okolicy mister Grinley odkrył ropę naftową.

- Wiem.

- No gdzie? Może mi pan zechce powiedzieć.

- Chętnie panu powiem, gdyż radbym usłyszeć zdanie pana. W okolicy Chelly, dopływu Rio San Juan.

Pełne rumiane oblicze Drolla wyciągnęło się niepomiernie. Długo się zastanawiał, zanim powtórzył:

- Chelly, dopływ Rio San Juan? 'Ihm miałaby znajdować się nafta?
Przenigdy!

- Co? Jak to? Dlaczego? - zawołał bankier. - Nie wierzycie?
Czy zna pan tę miejscowość?

- Nie.
- A więc nie możesz tak kategorycznie zaprzeczać!
- Czemu nie? Nie byłem tam nigdy, a jednak wiem, że nafty tam nie ma.

- Mister Grinley był tam i znalazł naftę.
- Hm! Nie byłem także w Egipcie, ani na biegunie, a jednak, gdyby mnie kto zapytał, czy na Nilu pływa śmietana, a na biegunie rosną palmy, zaprzeczyłbym kategorycznie.

- Robi pan z tego szopkę. Wydawać tak pochopne i stanowcze sądy mógłbyś tylko jako geolog. Czy jesteś nim?

- Nie, ale posiadam sv,rój zdrowy ludzki rozsądek i doświadczyłem

5 --- Król naftowy 129

go w dostatecznej mierze.

- Niesłusznie pan krzywdzi Grinleya - odezwał się Forner do westmana. - Każdy tutaj wie, że Grinley odkrył placer ropy naftowej. Już nie jeden szpiegował go nadaremnie.
-'Pak, nadaremnie, ponieważ ten placer wcale nie istnieje.
- Istnieje, powiadam panu! Grinleya nazywają tu powszechnie królem naftowym.
- Czego to dowodzi?
i - Ale pokazywał mi nieraz próbki!

- 1b też nie dowód. Naftę każdy pokaże. Doprawdy, nie mogę uwierzy~, aby tam znajdowała się nafta. Miej się pan na baczności, mister Rollins! Rozważ pan, że niedawno operowali tutaj oszuści
,
którzy skusili kapitalistów do eksploatowania kopalni brylantów i złota. Potem okazało się, że ani brylantów, ani złota nie było.

- Sir, czy posądza pan Grinleya?...
- Ani mi to w głowie nie postało! 'Pa sprawa wcale mnie nie obchodzi. Pytał pan o zdanie, wyraziłem je i to wszystko.
- Dobrze! Czy mogę się dowiedzieć, co sądzi o tym mister Frank?
- Tb samo, co Droll - odpowiedział Hobble Frank. - Jeśli pan nam nie wierzy, poczekaj kilka dni, dopóki nie przybędą jeszcze dwie osoby, na których zdaniu będzie się pan mógł oprzec bez zastrzeżeń.
- Któż to?
- Old Shatterhand i Winnetou.
- Co? - zapytał zaskoczony gospodarz. - Obaj przybędą tutaj?
Skąd wiecie? .

- Od samego Old Shatterhanda. Od czasu do czasu pisuje do mnie listy. Przed ośmioma tygodniami zawiadomił mnie, że umówił się z Winnetou na Ranezu Fornera nad Rio San Carlos.
- I spotkają się tutaj istotnie?
- Z całą pewnością.
- Może coś stanąć na przeszkodzie!
-'Pdk. Ale w takim razie jeden z nich poczeka tutaj na drugiego.

~....~;.,a...

Bywało, że wyznaczali sobie spotkanie na dziefi określony, przy okre-ślonym drzewie olbrzymiego lasu i nigdy się nie wymijali. Kiedy więc przeczytałem list, byłem przeświadczony, że poradzą sobie z każdą przeszkodą i o oznaczonym czasie spotkają się na ranczu. Zdecydo-wałem się z miejsca zaskoczyć ich swoją obecnością. Mój kuzyn Droll przyłączył się do mnie. Skoro wyłącznie w tym celu przybyliśmy z Niemiec, z Saksonii, to chyba może pan być pewny, że wkrótce ich tutaj ujrzysz.

- Z Niemiec? Z Saksonii? - odezwał się Baumgarten. - Jesteś pan Niemcem, sir?

-'1'dk. Nie wiedział pan?

- Nie. Może nawet otarło rni się o uszy, lecz zapomniałem. Tym bardziej cieszę się, że mogę pozdrowić rodaka. Oto moja ręka, sir. Pozwól mi swoją uściskać!

Hobble Frank uścisnął serdecznie dłofi rodaka i przemówił w oj czystym dialekcie.

- Pan też z Niemiec? Gdybym tego nie przeżył, nigdybym nie uwierzył! W jakich ojczystych stronach właściwie skoczył pan z tamtej wieczności w tę doczesność?

- W Hamburgu.

- W Hamburgu? Tysiąc piorunów! Kilka godzin nad geograficz-nym miejscem, gdzie moja droga Łaba święci swoje zaręczyny z Morzem Północnym. Więc obu nas ochrzczono tą samą wodą. Moje „Niedźwiedzie Sadło" leży nad Łabą.

- Niedźwiedzie sadło? - zapytał zdziwiony Baumgarten.

- 'I~k! 'Pdk się mianowicie nazywa willa, którą zbudowałem~ na rodzimej glebie. Jeśli pan przybędzie do Saksonii, musisz mnie od-wiedzić. Znajdziesz wszystkie pamiątki po moich tamtejszych i tutej-szych przeżyciach.

Baumgarten wiele słyszał o Hobble Franku. Przypomniał sobie, że opowieści przedstawiały go jako dziwaka. Teraz miał go przed sobą. Wdał się z nim w długą rozmowę, która ożywiła się jeszcze bardziej, 131 14I...

kiedy i Droll przyłączył do niej swój altenburski dialekt. Tymczasem Poller, podniósł się i oddalił pod pozorem, ze chce rzucić okiem na wierzchowca. Stał przy nim chwilę, po czym zniknął za węgłem domu. Podążył do obu braci leżących na trawie i prowadzących ożywioną rozmowę. Ci godni siebie braciszkowie, z kamratami podobnego usposobienia, grasowali niegdyś na obszarze między Kalifornią, Newadą i Arizoną. Gwałty ich i występki zmusiły w koficu uczciwych ludzi do zorganizowania się w związek samoobrony, który w krótkim czasie silną pięścią zmiażdżył bezprawie. Rozgromiono bandę, zlinczowano większość zbrodniarzy. Salwowali się tylko nieliczni. Jednakże między tymi byli dwaj najniebezpieczniejsi, najgroźniejsi hersztowie. Jakwspomnieliśmy, po pogromie rozjechali się na różne strony; jeden na południu zwerbował szajkę finderów, drugi zaś wałęsał się przez długi czas bez planu po Utah, Kolorado i Nowym Meksyku, dopóki nie wpadł na nowy, nikczemny pomysł. Do wykonania projektu zabrał się z całym zapałem. 'lix, na Ranczu Fornera, spotkawszy brata wtajemniczył go zarys swego planu. Buttler mierzył go zdumionym spojrzeniem.

' - Byłeś zawsze sprytniejszy ode mnie i wyznam ci, że twój plan ~.,. ::I:.I..: , przypada mi ogromnie do gustu. Czy myślisz, że bankier Rollins wpadnie w pułapkę?

- Stanowczo. Po prostu traci przytomność na myśl o tym intere-sie, który za jednym zamachem da mi fortunę.
-‘I~k dobrze zapłaci? - zawołał Buttler.
- Cyt, ciszej! Tix nieraz trawa miewa uszy. Rollins jest przeświad-czony, iż łatwo w krótkim czasie wyciągnie z pokładu krocie.
- A.le kiedy zapłaci? Szybko może poznać prawdę!
- Natychmiast zapłaci, natychmiast! Wiem, że już teraz ma czeki przy sobie. ‘Itzeba je tylko podpisać, a podpisze czym prędzej, gdyż widok nafty przyprawi go o istny zawrót głowy.
- Dziwi mnie tylko jedno, że nie zabrał ze sobą eksperta.Księgo-wy, który mu towarzyszy, nie zna się przecież ria ropie naftowej. i&”:’::

132

-‘Idk, sprytnie się urządziłem. Im więcej towarzyszy, tym więcej amatorów do kupna. Rollins pragnął usunąć wszelką możliwość kon-kurencji. Gdyby zabrał ze sobą inżyniera, ten mógłby na własną rękę potajemnie ze mną pertraktować. Ja mu tę myśl podsunąłem, aczkol-wiek zdaje mu się, że powziął ją samorzutnie. Pojechał zaś z księgo-wym tylko w tym celu, aby miał w każdej chwili kim dysponować. Podoba mi się ten towarzysz, głupi dobroduszny Szwab. Nie wyczuje w tym naftowym interesie szwindla.

- Czy jesteś pewien, że zapas nafty jest dostateczny? - zapytał Buttler po chwili.

- Wystarczy. Możesz sobie wyobrazić, ile pracy kosztowało mnie przewożenie poszczególnych baryłek na miejsce. Nikt nie powinien był tego zobaczyć, musiałem omijać każde spotkanie. Zajęto to pół roku. Pracowałem sam, gdyż nie mogłem nikomu zaufać, a ciebie tutaj nie było.

- Czy nie mógłbyś sam dokoficzyć reszty?
- Musiałbym, ale też musiałbym natężyć wszystkie siły. Weź pod uwagę, że jestem przewodnikiem bankiera, że zatem nie mogę się od niego oddalić, nie budzącjakiegoś podejrzenia. Ajednak musiałbym, skoro miałbym sam jeden napełnić basen naftą. Jest tam czterdzieści beczek, praca przerastająca siły jednego człowieka, jeśli na domiar ma pracować po kryjomu. Dlatego też cieszę się, że cię spotkałem. Liczę na twoją pomoc.

- Z najwyższą przyjemnością. Ale, oczywiście, nie za darmo.
- Rozumie się. Wprawdzie ze stu tysięcy dolarów nie zdejmę ani centa, bo zarobiłem je rzetelnie, a tobie zaś pozostaje tylko otworze-nie beczek; zażądam jednak więcej i całą nadwyżkę dam tobie, rozu-miesz?

A jeśli Rollins nie doda?

- Doda na pewno. Zresztą, znasz mnie i wiesz, że się pogodzimy.
Ale będziesz musiał dziś jeszcze wyruszyć, bo, jeżeli zostaniesz tu dłużej, może wyjść na jaw, że jesteśmy braćmi.

133

- I tak muszę wyjechać, ponieważ po obiedzie przybędą tu osad-nicy wraz z Liściem Koniczyny, którzy mnie nie powinni zobaczyć.
- Czy wiedzą, że na nich czyhasz?
- Nie, nie przypuszczam, nie mogli się przecież dowiedzieć, że drapnąłem. Musieliśmy pędzić co koń wyskoczy, aby ich wyprzedzić. Ten chytry Hawkens namówił ich do zboczenia z obranego kierunku.

Przeprawił się przez Gila, zamiast jechać wzdłuż tej rzeki, a następnie

w farmie Bella zamienił powolne woły na szybsze muły, pozbył się wozów i wszelkiego zbytecznego bagażu. ‘I~raz wszyscy dosiadają wierzchowców.

- Czy wiesz na pewno, że przyjadą tu dzisiaj?
- ‘Pdk, podkradłem się wczoraj wieczorem pod obóz. Poller też słyszał.
- Ach, ten Poller! Czy ci nie zawadza?
- Chwilowo nie.
- Ale mnie zawadza. Czy nie możesz się go pozbyć?
- Z trudem. Zechce się zemścić, zdradzi mnie Liściowi Koniczyny, a następnie wyśpiewa coś o tobie.
- Przecież mnie nie zna!
- A jednak. Kiedy cię zobaczyłem, powiedziałem mu, żeś moim bratem. ‘I~raz prawdopodobnie rozprawiają tam o twoich źródłach nafty; wykoncypuje od razu całą rzecz i zdradzi ciebie, jeśli go opuszczę.
- Tb głupie. Nie powinieneś mu był się zwierzać.
- Stało się i nie odstanie. Poza tym ułatwi mi pracę tam nad Gloomywater.
- Czy chcesz go wtajemniczyć w aferę?
- Tylko w części.
- Zażąda udziału.
- Może żądać, nic nie dostanie. Skoro będzie nieprzydatny, usunę go bez skrupułów.

‘Nś:’,..:ż.:

- Well, to mi się podoba! Chwilowo niech nam pomaga, potem , i~:.. . ., 134 dostanie kulkę, lub utonie w nafcie. Kiedy stąd wyruszycie?

- Możemy natychmiast.
- Pięknie! Wieczorem będziecie już daleko.
- Mylisz się. Nie mam zamiaru spuszczać z oka pionierów.
- Będziesz musiał ich poniechać.

- Bynajmniej. Jest tam jeden, nazywa się Ebersbach, który ma przy sobie sporo gotowizny. Oprócz tego posiadają spory dobytek nie do pogardzenia. Dodajmy do tego zemstę, z której nie mogę zanie-chać.

- Nie dogadza mi ta zemsta; krzyżuje mi plany!

- Bynajmniej. Droga osadników wypada przez okolice Gloomy-water. Masz się tylko do nich przyłączyć; resztę biorę na siebie.

W tej chwili zobaczyli Pollera. Podszedł do nich i rzekł poważnie:

- Muszę wam przeszkodzić; przynoszę ważną wiadomość.

- Czy naprawdę aż tak ważną, że musi nam pan przerywać rozmo-wę? - zapytał niechętnie Buttler.

- Tak. Przybędą tu Old Shatterhand i Winnetou.
- Do pioruna! - krzyknął Grinley. - Czego ci tutaj szukają!

- Cóż to ciebie obchodzi, że przyjadą? - zapytał Buttler, nie tracąc spokoju.

- Gdziekolwiek ci dwaj przybędą, nie znajdziesz spokoju. O wszystkim wiedzą i wszystko wywąchają,

- Hm, to prawda. Skąd pan wie, mister Poller, że przyjadą?

- Przybyli dwaj jeźdźcy z tą nowiną. Pragną tu poczekać na Old Shatterhanda i Winnetou, do których są uderzająco podobni z ubioru. Siedzą przy stole i szwargocą z księgowym bankiera po niemiecku.

- Skąd pan wie, - zapytał Grinley - że to księgowy i bankier?
- Z własnych ust Rollinsa.
- Czy mówił coś więcej o nas?
- Ma pan na myśli naftę? 'I~k, mówił o nafcie.

- Fatalnie! - zawołał Grinley, zrywając się z miejsca. - Muszę do nich pośpieszyć i zatkać im usta. Powiada pan, że rozmawiają po

135

niemiecku. Czy to Niemcy?

- 'Pdk. Jeden nosi przezwisko Ciotka Droll, a drugi nazywa się Hobble Frank.

- Co pan mówi? Przecież ci należą do towarzystwa, które się w tak krótkim czasie wzbogaciło nad Srebrnym Jeziorem!

-'Idk. Zdaje się, że mają przy sobie sporo gotówki.

- A co mówili o moim źródle nafty?

- Ostrzegli bankiera przed oszustwem.

- Do diabła! Czyż nie powiedziałem od razu, że Old Shatterhand i Winnetou sprowadzą nieszczęście! Jeszcze nie przybyli, a już mi diabeł bruździ! Musimy zmykać: Co na to bankier?

- Zdaje się, że nie podważyli jego zaufania. Poradzili mu, aby czekał na Winnetou i Old Shatterhanda i zasięgnął ich opinii.

-'I~go mi brakowało! Czy się zgodził?

- Nic jeszcze nie powiedział. Siedzi, milczy; zdaje się zastanawiać.

- Wybiję mu z głowy te brednie. Przedtem jednak muszę rozmó-wić się z panem, bo powinniście już jecha~. A zatem posłuchajcie, co wam powiem!

Układali się kilka chwil szeptem, kilkakrotnie ściskając sobie ręce.

a

Następnie Buttler i Poller wrócili do ranczera i oświadczyli, że czas im w drogę. Chcieli zapłacić za gościnę, Forner jednak oSwiadczył, że jego ranczo nie jest gospodą. Wkrótce odjechali, nie wymieniwszy nawet nazwisk, ani celu podróży. Nikt ich zresztą o to nie pytał.

Niebawem ukazał się Grinley, jakoby po wypoczynku. Przywita-wszy się z Ciotką Droll i Frankiem, usiadł z powrotem na swoim miejscu i przybrał szczery wyraz twarzy, który miał pozyskać ich przychylność. Bankier nie mógł się powstrzymać od nawiązania roz-mowy do ostrzeżefi westmanbw.

- Mister Grinley, tu siedzą dwaj dobrzy znajomi Winnetou i Old Shatterhanda, mianowicie mister Droll i mister Hobble Frank. Ci panowie nie wierzą w waszą naftę. Co pan o tym powie?

- Co ja o tym powiem? - odpowiedział obójętnie zapytany. -

136

Powiem, że nie wezmę im tego za złe. 'Ii~zeba postępować bardzo ostrożnie, kiedy w grę wchodzą tak wielkie sumy. Ja sam nie wierzy-łem, dopbki eksperci nie zbadali próbek nafty. Jeżeli ci panowie wątpią, niech z nami jadą, a zobaczą, jaki to wspaniały placer.

- Chcą zaczekać na Winnetou i Old Shatterhanda.

- Nie mam nic przeciwko temu. Ale ponieważ nie sprzedaję swego placeru Winnetou, ani Old Shatterhandowi, więc ja mogę na nich nie czekać.

- Ale jeśli ja zechcę?

- Nie myślę panu przeszkadzać. Nikogo nie zniewalam. Pojadę do Frisco i znajdę tam dosyć chętnych z gotówką, którzy od razu się zgodzą i nie sprawią mi zawodu. Kto nie ufa, może zostać w domu! Wychylił duszkiem szklankę brandy i udał się do konia.

- Oto macie go! - rzekł bankier. - Jego zachowanie musi nas przekonać, że jest pewny sprawy.

- Stanowczo - odpowiedział Ciotka Droll. - Ale, czy ta sprawa jest uczciwa, to się dopiero później okaże.

- Obraziłem go i nie będzie tu czekał. Rozumie się, że nie puszczę go samego, nie chcę stracić tak niezwykłej okazji. Przyzna pan chyba, że nieufność byłaby bezpodstawna.

- Dla pana prawdopodobnie tak. Ale poczytujemy sobie za obo-wiązek przestrzec pana. Powiedzieliśmy, że tam, dokąd pan jedzie, nie podobna znaleźć nafty. Nie znaczy to jeszcze, aby Grinley był oszu- v!v;I stem, gdyż on sam mógł paść o~arą oszustwa. Jednakże wyznam panu otwarcie, że nie podoba mi się jego powierzchowność. Dziesięcio-

,l krotnie bym się zastanowił, zanim obdarzyłbym go zaufaniem. !‘’,””,;

- Dziękuję panu za szczerość, ale jestem zdania, że człowiek nie odpowiada za swoją powierzchowność, bo nie on ją urabiał.

-Mylisz się, sir! Wygląd, który natura nadaje człowiekowi, ‘i”... podlega zmianom pod wpływem trybu życia, przy czym dusza bierze w tych zmianach żywy udział. Nie zaufam człowiekowi, który mi nie spojrzy prosto w oczy, a Grinley nie spojrzy. Nie wmawiamy w pana, -.”,

137

.,
że to opryszek, chcę go tylko pobudzić do ostrożności.

- Sir i tak nie postępowałbym lekkomy~lnie. Jestem człowiekiem interesu i zwykłem długo się zastanawiać. Kiedy mam wyłożyć wielkie kwoty, namyślam się stokrotnie, zanim coś postanowię. Przy tym jest nas dwóch na jednego, mister Baumgarten bowiem to godny zaufania i wypróbowany urzędnik.

- Hm, ale Grinley może mieć wspólników, którzy na pana czekają.

Poza tym powinien pan wziąć pod uwagę, że wojna nawiedza tereny, które stanowią cel pana podróży. Zresztą, cóż z tego, że was jest dwóch, a on tylko jeden. Wszak może was znienacka zastrzeliE, albo spętać podczas snu, aby potem wymusić pieniądze. Dlatego propono-wałem, abyście czekali na Old Shatterhanda i Winnetou, na których zdaniu możecie w zupełności polegać.

Rollins przez chwilę zastanawiał się z oczami utkwionymi w ziemi, po czym rzekł:

- Niestety, nie mogę na nich czekać. Jeśli będę się upierał, król nafty pojedzie beze mnie.

- Jestem tego pewny i wiem nawet, dlaczego się lęka towarzystwa takich ludzi. W każdym razie spełniłem swoją powinność, ostrzegając. Pan decyduje.

-Tiudno, bardzo trudno decydować z miejsca. Dotychczas ufałem Grinleyowi bez zastrzeżefi. ‘I~raz stoję na rozdrożu. Co czynić, zre-zygnować? Nigdy nie będę mógł tego sobie wybaczyć, jeśli interes jest solidny! Mister Baumgarten, co mi pan radzi?

Buchalter z uwagą śledził rozmowę, nie biorąc w niej udziału. ‘Ibraz na zapytanie bankiera odezwał się:

- W tak poważnej sprawie nie mogę panu radzić, gdyż nie chciał bym brać na siebie ciężkiej odpowiedzialności. Mogę panu jedynie powiedzieć, jak postąpiłbym na pana miejscu.

- No? Zrezygnowałby pan, czy zaryzykował?
-Ani jedno, ani drugie.
-'I~zeciego wyjścia wszak nie ma!

138

- A jednak! Pojechałbym z królem nafty, a mimo to nie naraził-bym się na niebezpieczeństwo.

- W jaki sposób?
- Poprosiłbym obu tych gentlemanów, mister Drolla i mister Franke, aby nam towarzyszyli. W towarzystwie tak do5wiadczonych ludzi możemy się niczego nie bać.

- Słusznie! Ale czy naprawdę pojedziecie z nami, moi panowie?
- Hm, - rzekł Hobble Frank - właściwie to nawet chętnie, gdyż mister Baumgarten jest naszym rodakiem, a rodacy powinni trzymać się razem. Wiecie jednak, dlaczego musimy tu zostać.

- Musicie? - wtrącił Baumgarten. - Bynajmniej! Winnetou i Old Shatterhand mogą za wami pojechać, albo, jeśli nie zechcą, czekać tu waszego powrotu. Pomyślcie panowie, że do rzeki Chelly jest trzy dni drogi, a więc sześć dn~ wraz z drogą powrotną. Niewiele to dla ludzi, którzy mogą nie liczyć się z czasem, dla ludzi, którzy są panami swoich dni i tygodni.

- Przyznajemy, że pod tym względem jesteśmy nie tylko panami, lecz równi hrabiom i książętom. Zresztą, nasi znakómici przyjaciele poczekają na nas chętnie, lub pojadą w ślad za nami, jeśli ich o to za pośrednictwem ranczera poprosimy. Nie spodziewają się nas tutaj spotkać. Wiadomość o tym tak ich uraduje, że chętnie zastosują się do naszych życzeń. Co o tym myślisz, Ciotko Droll?

- Jedziemy - odpowiedział lakonicznie zapytany.
- Old Shatterhand na pewno pojedzie za nami wraz z Apaczem.
Chciałbym zajrzeć w ręce tego króla naftowego, a ponieważ nie chce czekać, więc nic nam innego nie pozostaje, jak jecha~ z wami. Dwie ważne pobudki skłaniają nas do tego: chodzi o milionowy interes, a następnie mister Baumgarten jest naszym rodakiem, a zatem ma prawo żądać od nas pomocy.

-Dziękuję-odpowiedziałbuchalter, ściskającym ręce.-Szcze-rze wyznaję, że nie miałem przekonania do króla naftowego, dlatego właśnie uprosiłem mister Rollinsa, aby mnie zabrał ze sobą. Podczas

139 podrdży obserwowałem Grinleya, ale nie odkryłem nic, co mogłoby uzasadnić moje obawy. Lecz teraz, kiedy nam towarzyszą tacy ludzie, jak wy, jestem dobrej myśli.

Podał im ponownie rękę. Uradowany bankier naśladował go chęt-nie. Ranczer, który dopiero co podszedł do nich i usłyszał zakończenie rozmowy, rzekł:

- Słusznie, messurs, trzymajcie się razem! Radzę nie tyle z nieuf ności do króla nafty, o którym nic złego nie mogę powiedzieć, ile ze względu na Indian. Nijorowie i Nawajowie wykopali topór wojny. Krążą nawet wieści, że nie można ufać tak skądinąd spokojnym Indianom Moqui. Z przykrością rozstaję się z wami, messurs. Co mam powiedzieć Winnetou i Old Shatterhandowi, skoro przybędą?

- Niech na nas tutaj czekają, albo, jeśli nam pragną wyświadczyć przysługę, niech podążą za namiiku rzece Chelly - odpowiedział Droll. - Muszę jeszcze bardzo prosi~ pana, abyś nie wspominał o tym królowi naftowemu.

- Przyrzekam chętnie. Nie dowie się ani słowa. Gdzież mógł się podziać?

Wyszedł przed wrota, za którymi poprzednio zniknął Grinley.

Od południa zbliżała się do rancza grupa jeźdźców.

Straszydło

Z daleka ranczer dostrzegł jedynie to, że jeźdźcy prowadzą juczne zwierzęta. Niebawem przekonał się, że w gromadzie jadą nie tylko mężczyźni, ale również kobiety i dzieci. Część dosiadała koni, część jechała na mułach. Na przedzie pędził kusy jegomość w zbyt dużej i zbyt obszernej skórzanej kurtce. Poprzez gęsty zarost widać było tylko parę maleńkich chytrze świecących oczu oraz nos zastraszających rozmiarów. Był to Sam Hawkens, który wraz ze swymi przyjaciółmi, Dickiem Stonem i Willem Parkerem, objął kierownictwo karawany. ‘lbraz oto puścił w cwał swego starego muła. Skoro tylko zatrzymał się przed wrotami, powitał Fornera w te słowa :

- Good day, sir! Nieprawdaż, że ta osada nazywa się Ranczo Fornera?

-Ay, mister, tak jest - odpowiedział Forner, zmierzywszy od stóp do głów przybyszów. - Wydajecie się osadnikami, mister?

- Yes, o ile nie ma pan nic przeciwko temu.
- Nic jeśli jesteście uczciwymi ludźmi. Skąd przybywacie?
- Chyba Tlicson, jeśli się nie mylę.
- Przebyliście więc żmudną drogę, tym bardziej, że wleczecie ze sobą dzieciaki. Dokąd zdążacie?

- Ku Kolorado. Czy ranczer jest w domu?

141

- Yes, jak widzicie. 1b ja właśnie.
- A więc powiedz pan, czy do jutra rana możemy się u was zat rzymać?

-‘Pdk. Mam nadzieję, że nie będę tego później żałował.
-- Nie objemy was, możecie być pewni. A za wikt zapłacimy uczci wie, jeśli się nie mylę.

Zsiadł z konia. Kr61 naftowy z początku stał z daleka, potem jednak zbliżył się i przysłuchiwał rozmowie. Poznał więc, że ma przed sobą osadników, o których mówił mu brat. Reszta przygodnie zebranego towarzystwa również wyszła przed wrota w chwili, kiedy przybysze zeskakiwali z wierzchowców. Nie obeszło się bez wypadku. Kłapouch, który dźwigał panią Rozalię, kierując się widocznie własnym rozu-mem, nie pozwolił jej zsiąść i pocwałował dalej. Hobble Frank, jako obyty i szarmancki kawaler, pośpieszył z pomocą, co tak oburzyło muła, że podniósł naraz przedni’e koficzyny i zrzucił amazonkę za siebie.

Runęlaby na ziemię, gdyby Frank nie chwyciłjej w objęcia. Zamiast podziękować, wyrwała się, uderzyła go potężnie w bok i huknęła za złością:

-Sheep’s head! Barania głowo!
- Sheep’s nose! Barani nosie! - odpowiedział Frank.
- Ctown! Błazen! - krzyczała, wściekle zaciskając pięści.
- Stupid girl! Idiotka! - roześmiał się i odwrócił się od niej.

Uważając Franka za Amerykanina, obdzieliła go znanymi sobie an gielskimi wyzwiskami. Stupid girl tak ją rozzłościło, że uchwyciła Franka za rękę i ponieważ wyczerpał się zasób jej angielskiego, zgromiła po niemiecku:

- Ośle, skoficzony ośle! Jak śmie pan obrażać damę! Czy nie wie pan kim ja jestem? Jestem pani Rozalia Ebersbach, z domu Morgen-stern, wdowa po młynarzu. Zaskarżę pana, do sądu podam! Z począt-ku wyprowadził pan mego osła zrównowagi, potem łapie mnie pan za biodra, w koficu obrzucasż wyzwiskami, których przyzwoity człowiek

142 nie zna nawet. 1’d zniewaga krwi wymaga! Zrozumiano? Obejrzała go wyzywająco i wzięła się pod boki. Hobble Frank z wrażenia cofnął się o krok i zapytał po niemiecku:

- Jak to? Pani godność Rozalia Ebersbach?
-‘1’dk - odparła, posuwając się o krok.
- Z domu Morgenstern? - zapytał, cofając się o dwa kroki.

- Naturalnie! A może ma pan coś przeciwko temu? - rzekła, posuwając się także o dwa kroki .

- Wdowa po młynarzu?
- No, tak! - skinęła.
- Ale w takim razie jest pani Niemką?

- I co za Niemką! Niech usłyszę jeszcze jedno złe słówko, a poznasz mnie! Jestem przyzwyczajona do uprzejmości. Zrozumia-no?!

-Ależ byłem dla pani uprzejmy!

- Uprzejmy? Co pan powiada! Czy to uprzejmość chwytać mego osła?

- Chciałem go zatrzymać, bo nie słuchał pani.

- Nie słuchał? A więc posłuchaj pan, co powiem! Mnie słucha każdy osioł, Niech pan to sobie zmiarkuje! Pan omal mnie nie zadusił w ramionach! Dech mi zaparło, świeczki stanęły w oczach. Wypra-szam sobie podobne czułości! Z damą trzeba się obchodzić grzecznie i bardzo ostrożnie. Jesteśmy piękniejszą i delikatniejszą płcią i wyma-gamy delillatnego postępowania. Kto łapie jak tragarz i ... Nie zdołała dokończyć; za nią rozległsię okrzyk, któryją oszołomił, okrzyk zdumienia i zachwytu;

- Boże miłosierny, to przecież znakomity Hobble Frank!

Frank odwrócił się szybko a ujrzawszy mówcę, zawołał z równie wielkiem zdumieniem:

- Nasz kantor Hampel! Czy to być może! Zsiadaj pan i spocznij w moich objęciach!

Szanowny kompozytor, jak zwykle, jechał na koficu oddziału i 143 dopiero teraz przyłąCzył się do towarzystwa. Podnibsł ostrzegawczo palec i odpowiedział:

- Kantor emeritus, jeśli mogę prosi~, panie Frank! Wie pan, że tylko przez wzgląd na dokładność i aby uniknąć qui pro quo . Wszak może egzystować inny kantor, także Mateusz Aureliusz ~Iampel, jeszcze nie emerytowany. Ceterum, zanim zsiądę, jeszcze na jeden punkt zwrócić muszę pana uwagę.

- Na jaki? Jestem bardzo ciekaw, mój szanowny i drogi kantorze.

- Widzi pan, semper idem ! Powiada pan tylko kantor, podczas gdy ja tytułuję pana grzecznie panem Frankiem. Amator artis powinien wymagać szacunku i dlatego zanoszę do pana suplikę, abyś na przy-szło~ć nie zapominał dodawać „pan". 1b bynajmniej nie z pychy, lecz przez wzgląd na dokładność, jak pan chyba sam rozumie. Kantor bardzo ostrożnie zsiadł z konia i objął majestatycznym ruchem Franka. Westman odpowiedział ze śmiechem:

-'Iiitaj, na Dzikim Zachodzie, dokładność jest właściwie zbytecz-na, ale jeśli to pana bawi, albo ma sprawić przyjemność, nie zapomnę mówić panie kantorze.

- Panie kantorze emeritus, bardzo proszę!

- Dobrze, pięknie ! Ale powiedz mi pan przede wszystkim, co go tutej zagnało. Rozumie pan chyba, że nie spodziewałem się reservoir pana w tym kraju.

- Revoir, tzn. spotkanie, chciał pan zapewne powiedzieć! Po winien się pan był spodziewać tego spotkania . Wiedział pan przecież, że noszę się z zamiarem skomponowania opery?

-'Pdk. Mówił pan, że chcesz skompromitować operę w trzech, czy czterech aktorkach.

- Dawnaście! Skomponować, a nie skompromitować! I nie aktor-ki, ale akty! Ma to być opera heroica, ergo chciałem jechać na Zachód, aby zebrać materiały do opusu. Niestety, pan opóścił ojczyznę nie zawiadomiwszy mnie uprzednio. Wszakże wiedziałem, dokąd pan zmierza, i dlatego pojechałem za panem.

144 ~

- Co za nieóstrożność! Czy mniema pan, Że moŻna się t~taj równie łatwo i prędko spotkać, jak w domowych pieluchach, Uhlan-dzie Szalony?

- Rolandzie chciał pan powiedzieć, - poprawił kantor.
Frank zmarszczył czoło i rzekł z wyrzutem:

- Słuchaj pan, panie kantor, przebrała się miarka ; ja nie mogę i nie powinienem ścierpieć pana korekty. W poprzednich wypadkach przepuszczałem ją mimo uszu, ale teraz skończone! Pafiskie negacje są dla mnie rękawiczką obelgi, która właściwie zmusiłaby do pojedyn-ku, gdyby nie to, że jesteśmy przecież dobrymi przyjaciółmi. A zatem, nie przerywaj mi pan kiedy wypowiadam swój sąd. Rozparcelowanie naszej wzajemnej sympatii, przez wzgląd na pana, sprawiłoby mi przykrośE. 'I~raz zaś pozwolę sobie przedstawić pana memu przyja-cielowi i kuzynowi, następnie spodziewam się, że zaprezentuje mnie pan swoim kompanom.

Dobroduszny kantor, niezrażony tą perorą, spełnił życzenie swego przyjaciela i wymienił nazwiska towarzyszy. Przez dłuższy czas pytania krzyżowały się z odpowiedziami. Tl~zeba jednak było rozbić obóz i zaopiekowad się zwierzętami.

Król naftowy przez parę chwil przyglądał się tym zajęciom. Musiał przyrzec żądnemu zemsty bratu, że się przyłączy do pionierów. Ko-rzystając z tego, że Sam stanął na uboczu, podszedł dofi, ukłonił się grzecznie i rzekł:

- Słyszałem, że mam przed sobą westmana Sama Hawkensa. Czy wymieniono panu moje nazwisko?

- Nie - odpowiedział westman zrówną uprzejmością.
Król naftowy był przyrodnim bratem Buttlera, nie było jednak między nimi żadnego podobiefistwa. Sam nie mógł więc zmiarkować, że ma przed sobą tak bliskiego krewnego herszta finderów.

- Jestem Grinley; nazywają mnie tutaj królem naftowym, ponie-waż znalazłem wspaniałe źródło oleju skalnego. .

- Źródło olej u skalnego? - zapytał żywo Sam. - W takim razie
145 szczę~cie panu dopisało i możesz zrobić wspanialą fortunę. Gzy za-mierza pan eksploatować źrbdło na własną rękę?

- Nie mam śradków.
- A więc sprzeda pan?
-'Iak.
-- Czy ma pan już kupca?
- Znalazłem takiego. Siedzi tam na dziedzińcu. Mister Rollins, bankier z Brownsville Arkansas.

- Nie daj się pan ocyganić i żądaj, ile tylko można. Czy chce go pan zawie~ć do źródła?

-'Pdk.
- Czy to daleko?
- Nie bardzo.
- Well, miejsce jest pana sekretem, nie będę pana pytal. Aliści zagadnął mnie pan, z czego wnioskuję, że ma pan do mnie jakiś interes?

-Słusznie, sir. Powiedziano mi, że zdąża pan w okolice Kolorado?
- Stanowczo.
- Moje źródło znajduje się nad rzeką Chelly, a zatem wypada nam ř,. stąd wspólna droga.
- Właściwie tak. Ale czemu pan o tym mówi?
~ Ponieważ chcę pana prosić, abyś pozwolił mi przyłączyE się do karawany.

- Wraz z bankierem?
- 1'dk i jego księgowym.
Sam zmierzył króla naftowego od stóp do głów i odpowiedział:

- Hm, jak panu wiadomo, w tych okolicach trzeba ostrożnie dobieraE towarzystwo.
- Wiem o tym dobrze, ale powiedz mi, sir, czy wzbudzam nieuf ność?

- Nie chcę tego twierdzić, jeśli się nie mylę. Ale czemu chce pan z nami jechać? 1'dki plaćer odkrywca zachowuje w sekrecie i dlatego

146 wydaje mi się podejrzanym, że chcesz nam towarzyszyć, jeśli się nie mylę.

- Co się tego tyczy, jestem całkowicie przeświadczony, że Sam Hawkens nie zechce mnie oszuka~.

-Wel~ trafił pan w sedno. Przeze mnie ani przez moich towarzyszy nie starci pan kropli nafty.

- Powodują mną także dwie inne przyczyny. Czerwoni burzą się, dlatego będzie mi u was bezpieczniej, niż gdybym tylko z tymi dwoma jechał. Rozumie pan?

- Bardzo dobrze, jeśli się nie mylę.

- A następnie mister Droll popsuł mi szyki. Szczerze wyznaliśmy mu, czego szukamy nad Chelly, a on w odpowiedzi na to podburzył przeciwko mnie bankiera. Nie wierzy, że nad Chelly można znaleźć naftę.

- Hm, nie mogę mu tego brać za złe. Muszę panu wyznać, sir, że ja też nie wierzę.

- Mówi pan poważnie?
- Z całą powagą.
- A więc i pan mnie uważa za oszusta?
- Nie. Przypuszczam natomiast, że pana oszukano.
- Nikt mnie nie mógł oszukać, gdyż ja odkryłem placer!

- A więc oszukałeś siebie samego i jakiś inny płyn bierzesz za naftę.

- Ależ, sir, jakiż to mógłby być płyn?
- Nie wiem. Alem gotów przysiąc, że nad Chelly nie ma nafty.
- Zna pan tę miejscowość?
- Tak byłem już tam, jeśli się nie mylę.
- Długo?

- Nie, kilka dni wszystkiego. Ale i to zbyteczne. Nie trzeba tam być, aby wiedzieć, że nie ma śladu nafty. Po prostu, nie odpowiada to okolicy. O, gdyby pan powiedział, że znalazł złoto i srebro, albo inne metale, to mógłbym wierzyć, ale naftę nigdy!

147

- Rzeczoznawcy badali .
-'Ihk? I jakże rezultat wypadł?
- Ku mojemu najwyższemu zadowoleniu.

- Nie mogę tego zrozumieć. W takim razie stał się cud i przyznaję, że chętnie obejrzę tę osobliwą naftę.

- Do usług, sir, jeżeli tylko pan pozwoli się nam przyłączyć.
- Zaprowadzi mnie pan do placeru?
-'lak.

- Well, to mnie cieszy. A zatem mister Droll nie wierzy w istnienie nafty i mister Frank także nie?

- Obaj nie wierzą.
- I to pana złości?
- Złości mnie właściwie tylko to, że poderwali wiarę bankiera.

Mogą sobie wątpić do kofica życia, ale powinni byli zachować wątpli-wości dla siebie. Omal w niwecz nie obrócili całego interesu.

- Czy się ten mister Rollins naprawdę się zawahał?
- 'Iak. I właściwie z tego też względu zwróciłem się do pana.

Świadomi opieki pana, przestaną podejrzewać, że noszę się ze złymi zamiarami. Czy wyświadczy mi pan tę grzeczność, sir?

- Chętnie, ale przedtem chciałbym zasięgnąć opinii przyjaciół.

- Czy to konieczne, sir? Czy aż tak podejrzanie wyglądam, że pan, dowódca karawany, musi pytać innych o pozwolenie?

- Nie jest tak źle. Jeśli mi pan pozwoli mbwić bez osłonek, wyznam, że nie uważam pana za oszusta, ale też nie ręczyłbym za pana głową. Uważam pana za człowieka, którego trzeba poznać i wypróbo-wać, zanim się wyda sąd. Dlatego pragnę się poradzić Dicka Stone i Willa Parkera.

- Do licha, sir! Szczerość pana nie przynosi mi chluby!

- Czy pozwoli pan, żebym w oczy mówił komplementy, a za oczami obmawiał? Bynajmniej, nie chcę pana odtrącać, przeciwnie przyjmuję propozycję.

- Dziękuję, sir. A kiedy pan stąd odjeżdża?

148

- Jutro rano, jeśli się nie mylę. A kiedy panowie zamierzali?

- Dzisiaj. Namówię jednak mister Rollinsa i mister Baumgartena, aby czekali do jutra.

- Doskonale, sir. Nasze zwierzęta są zmęczone. Kobiety i dzieci, które z narni jadą, nie przywykły do jazdy konnej. Pragnę wierzyć, że nie będę później robił sobie wyrzutów.

- Płonne obawy, sir! Jestem uczciwy człowiekiem; dowiodłem tego gotowością pokazania wam placeru. Inny na moim miejscu nie kwapiłby się zdradzić sekretu.

-'l~k, ja przynajmniej nie zdradziłbym swej tajemnicy nikomu, prócz nabywcy. A więc doszliśmy do porozumienia, sir. Jutro rano wyruszamy.

Odwrócił się od niego. Król naftowy skierował się ku podwórzu, zaklął, poczem mruknął do siebie ze złością:

-Damned fellom ! Pożałujesz! Wypalić mi coś podobnego w oczy.

Musi mnie wybadać i wypróbować, zanim będzie uważał za uczciwego człowieka! Bodaj go piorun! Teraz się nawet cieszę, że brat gotuje mu zemstę. Nie miałem chęci wiązania się z tą bandą, ale po takiej zniewadze z największą rozkoszą wydarn ich w jego ręce. 'I~k, obejrzą naftę, i to jaką!

Zwierzęta skubały świerzą trawę i piły chciwie wodę . Sporządzo no namioty z prętów i koców, ponieważ takie mnóstwo osób nie mogło się zmieścić na ranczu. Kobiety zakrzątały się żywo i wkrótce wszystkie nosy połaskotał zapach przyrządzanego mięsa i kukurydzia-nego chleba. Osadnicy zaprosili Ciotkę Droll i Hobble Franka. Pozo-stali musieli na własną rękę postarać się o posiłek. Frank z trudem tłumił wesołość, doznając ze strony pani Rozalii Ebersbach, z domu Morgenstern, wdowy po młynarzu, oczywistych dowodów życzliwości.

Kładła przed nim najlepsze kąski; musiał pałaszować ponad wszel-ką miarę swego żołądka. Skoro wreszcie, nie mogąc więcej przełknąć, podziękował za świeży pachnący kąsek, odezwała się:

149

- Weź pan tylko to jeszcze, panie Hobble Frank! Chętnie to daję.

Zrozumiano?

- O tak - roześmiał się: Wiedziałem już poprzednio, że pani mi coś chętnie daje. Nieomal, że dostał mi się policzek.

- Ponieważ nie wiedziałam, kim pan właściwie jeste~. Gdyby pan się przedstawił jako znakomity Hobble Frank, nie mogłoby powstać żadne nieporozumienie.

- A wobec kogo innego byłaby pani niedelikatna?

- Rozumie się. Pana postępowanie było obrazą, a ja nie pozwalam się obrażać, ponieważ jestem nie tylko wykształconą, ala także bardzo mężną kobietą i wiem dokładnie, jak należy się zachowywać, kiedy się nie doznaje delikatnego obejścia, należnego damie.

- Ale powtarzam to pani, że o niedelikatności, a co więcej o obrazie, nie może być mowy! Chciałem okazać rycerski gest, kiedy muł zaczął panią ponosić. A tymezasem pani odpłaciła mi wyrzutami, chociaż to osioł okazał się wobec pani niegentlemanem.

- Ale po co go pan chwycił? Sama, bym sobie z nim poradziła!

Jużci, umiem się obchodzić osłami wszelkiego rodzaju. Jeszcze mnie pan pozna pod tym względem. Nie lękam się żadnego osła, ani mułla, ani czerwonego Indianina, ani żadnej białej twarzy. Pan kantor eme-ritus opowiadał o panu tyle pięknych i miłych rzeczy, że polubiłam pana i jestem gotowa pomóc panu w każdej potrzebie i niebezpie-ezefistwie. Pójdę dla pana w ogiefi, jeśli będzie konieczność. No, weź pan ten kawałeczek baraniny; to najlepsze, co mam jeszcze dla pana.

- Dziękuję, dziękuję - wzbraniał się Frank. - Nie mogę więcej, naprawdę nie mogę. Jestem przesycony i mógłbym łatwo nabawić się indigestykulacji.

-Indigesńi, chciał pan powiedzieć, panie Frank-wtrącił kantor.

- 'I~zymaj pan język za zębami, - żachnął się Frank - panie emeritechnikus! Co pan wie o greckim i arabskim wokarbularzu! Umie pan gra~ na organach i komprymować opery, w innych zaś kwestiach jest pan ciemny jak tabaka w rogu, zwłaszcza wobec 150 myśliwego i uczonego, jakim ja jestem! Gdybym się wdał z panem w naukowe dysputacje, przysiadłby mosterdziej cicho, jak mysz pod miotłą!

- Wątpię - odpowiedział kantor.

- Jak? Co? Nie chce mi pan przyznać? Czy mam dowieść? No, co pan może zarzucić mojej indigestykulacji, mój drogi, słodki, uczony panie kantorze emeritikus Mateuszu Aureliuszu Hampel z Klotzsche pod Dreznem?

- Mówi się indygestii.
-'Idk, tak! A co oznacza to pafiskie miłe słówko?
- Niestrawność. Indigeste to znaczy po francusku niestrawny.

- Wierzę panu bez zastrzeżefi, z całego serca, ponieważ pan sam jesteś w najwyższyrn stopniu indigeste, przynajmniej ja nie mogę , strawić pafiskiego wszędobylskiego wszystkoznawstwa. Ale co pan zarzuca wyrazowi, którego ja użyłem, mianowicie indigestykulacji?

-'Ib jest czysty bezsens.
- Ach tak, hm! A co oznacza słowo gestykulacja?
- Wysławianie się za pośrednictwem rąk lub innych członków.

- Pięknie, bardzo pięknie! 'Ihraz trzymam pana za słowo. 'I~raz jesteś schwytany w niewolę, jak HIeopatra przez Karola Wielkiego w bitwie pod Berezyną. A zatem, gestykulacja jest mową ruchu ciała, a indi oznacza coś wewnętrznego, co się odnosi do żołądka, gdyż sam pan powiedział, że indigeste oznacza tyle, co niestrawny. A zatem, skoro użyłem nader dowcipnego wyrażenia; indigestykulacja, to chciałem przez to powiedzieć, że wiele jadłem i że mój żołądek wije się gwałtownie, aby żywą mową ruchów kaza~ miodłożyć nóż, widelec i łyżkę. Pan natomiast zdaje się nie mieć zrozumienia dla tak delikat-nych wskazówek żołądka, bo inaczej nie wystąpiłbyś przeciw mej indygestykulacji. Czy zna pan bajkę o żabie i wołu?

-Rana et bos, tak?
- No, jakże tam było?
- Żaba zobaczyła wołu; chciała być tak wielka, jak on, rozdęta się 151 i pękła.
- I co stąd za morał?
- Nikt nie powinien się pysznić, gdyż może łatwo wpaść w biedę.

- Pięknie, bradzo pięknie! Nawet wyśmienicie! - potwierdził natychmiast Frank: Bierz pan sobie tę naukę do serca, panie kan-torze emeritus! 1'a bajka świetnie pasuje do nas, to znaczy do mnie i do pana.

- Jak to?

Chytry uśmieszek kantora świadczył, że chciał tym pytaniem schwy-tać Franka w jego własną pułapkę. Wszyscy przyglądali się małemu westmanowi z oczekiwaniem, ciekawi, czy wpadnie w dołek, który wykopał był pod kantorem. Frank zapędził się w pasji i bez namysłu wypalił:

- Ponieważ jest pan duchowo drobniutki, ja zaś jestem ową wielkością. Jeśli pan zechce się przyrównać do mnie, to bezwarunko-wo pękniesz, gdyż w stosunku do mojej wiedzy, umiejętności i erudy-tacji jest pan małą żabą, podczas gdy ja jestern w tych wszystkich dziedzinach wielkim wo...

Urwał w połowie wyrazu. Połapał się, niestety, za pbźno.

- Wielkim wołem! - dokończył kantor. - Nie chcę się z panem o to spierać.
Rozległ się głośny, iście homeryczny śmiech.
Frank krzyczał wściekłe, ale z tym skutkiem, że śmiano się jeszcze głośniej i dłużej. Wreszcie zerwał się i ryknął na całe gardło:

- Stulcie pyski, krzykacze! Jeśli się nie przymkniecie, to z miejsca wyjeżdżam i zostawiam was na łasce losu!

Nikt nie zważył na tę groźbę i śmiech rozpoczął się od nowa. Nawet przyjaciel i kuzyn Ciotka Droll śmiał się tak, że gruby brzuch trząsł się wraz z rękoma, które na nim spoczywały. Do reszty rozjuszyło to I-Iobble Franka. Wymachując ściśniętymi pięściami, zawołał wezbra-‘ nym z wściekłości głosem: i.’.: .

- No dobrze! Nie chcecie słuchać to pożałujecie! Strzepnę wasz
152 kurz ze swoich butów i pójdę, dokąd mnie oczy poniosą. Umywam ręce z dziecięcej niewinności i zostawiam dla was mydliny! Wykrzyknąwszy to, uciekł ścigany salwą niepohamowanego śmie-chu.

Jeden tylko z obecnych nie dzielił powszechnej wesołości: Szi So, syn wodza. Wrodzona indiafiska powaga nie pozwoliła mu okazywać nadmiernego rozbawienia. Władał wszakże niemieckim i rozumiał komiczną sytuację Hobble Franka; zdradzał to lekki uśmieszek, drga-jący w kącikach ust. Natychmiast po zniknięciu ośmieszonego wes-tmana podniósł się i wyszedł za nim przed wrota.

Wrócił wnet z oznajmieniem:

- Hobble Frank nie żartuje. Siodła teraz konia. Czy mam go prosić, aby wrócił?

- Nie - odpowiedział Droll.- Chce nas tylko nastraszyć. Znam ja go. Ani mu się śni odjeżdżać i zostawiać mnie samego.

Jednakże Szi So wrócił do brarny. Zaraz potem gwizdnął i zawołał:

- Dosiada konia, naprawdę odjeżdża!
Wszyscy wyszli przed bramę. Zobaczyli, jak rozzłoszczony Hobble puszcza konia w galop ku rzece. Droll zawołał za nim:

- Franku, kuzynie, dokąd to? Nie tegośmy się spodziewali!
Hobble odwrócił konia i odpowiedział:

- Spodziewajcie się czego chcecie. Myśliwy i znakomity samouk Heliogabalus Morfeusz Edward Franke nie pozwala robić z siebie pośmiewiska.

- Nie śmiejemy się z ciebie, lecz z kantora - kłamał Droll.
- Nie wykręcisz się sianem! Śmieliście się z wołu, którego zresztą nie wypowiedziałem całkowicie. Czy to takie śmieszne?

- Nie śmieszne, ale nader niebezpieczne mieć całą tylną połowę wołu w gębie. Nikt z nas nie potrafi tego dokazać.Nasz szacunek do ciebie wzrasta, a więc wracaj do nas, stara kamienicó!

- Nawet we śnie nie wpadnie mi do głowy wracać, zwłaszcza, że znowu się śmiejesz z wołu. O, kuzynie Droll, ile się przez ciebie

153 nacierpię! Zbyt wiele ci wybaczyłem. Ale teraz nadeszła godzina kary! Hobble Frank zniknie z widowni areny! Bierze z tobą rozbrat.

- Bzdury pleciesz! Podjedź tu i nie bądź głupcem !
- Głupcem? Tb słówko przebiera miarę! Hobble Frank głupcem!

Odwrócił się i pomknął ku rzece.

- Frank, Frank, wracaj, wracajże! - krzyczał, ~miejąc się Droll:

Wszak nie porzucisz swej Ciotki!

Ale gniewem pałający Achilles przeprawił się przez rzekę i wyje-chał na drugi brzeg.

- Bardzo mi przykro - wyznał zaniepokojony kantor. - Skory jest do kłótni, zwłaszcza w kwestiach erudycji, ale w ogóle to nader zacny człowiek. 1'dk się cieszylem, że go spotkałem i oto znowu zniknął.

- Najwyżej na kilka godzin - odpowiedział Droll.
-'I~k pan sądzi, naprawdę?

-'Ii~k, znam go. Jeśli mu nie przyznasz słuszności, wybucha gnie-wem, aby się prędko udobruchaE. Wiem, że nie potrafi żyć beze mnie. I wróci do nas. Oczywiście, będzie pan musiał unikać zaczepki i zachowywać się tak , jak gdyby nigdy nic się nie zdarzyło. A w ogble nie należy mu się sprzeciwia~ kiedy się zaweźmie. Uważa siebie za beczkę wszelkiej wiedzy. Czy to komu przynosi uszczerbek? Dlatego pozwól mu pan jeździć na koniku, jeśli to pana nic nie kosztuje!

Oczywiście wszyscy byli świadkami zniknięcia Franka. Nawet do-mownicy ranczera, zwabieni śmiechem, Zebrali się u wrót. Baumgarten przetłumaczył na angielski swemu szefowi pojedynek słowny, który wywołał tak komiczny incydent. Bankier śmiał się do rozpuku. Był bardzo ciekaw, czy sprawdzi się przypuszczenie Drolla.

Do Rollinsa podszedł Sam Hawkens i zapytał:

- Chce pan jechaE do rzeki Chelly, mister Rollins? Moja droga prowadzi tamtędy. Wyruszamy jutro rano. Wasz król naftowy zamie-rza przyłączyć się do nas za moją zgodą. Czy wie pan o tym?

- Nie nic nam nie mówił. Co pan śądzi o źródle?

154

- Sądzę, że się w najlepszym przypadku omylił! Mogę tylko zalecić jak najdalej posuniętą ostrożność.

- A więc potwierdza pan zdanie mister Drolla. W każdym razie zgoda pana zapewnia mi ochronę. A zatem, przyłączę się do was, sir! Jestem panu bardzo wdzięczny.

Na razie więc wszyscy byli zadowoleni. Rollins, Baumgarten i król naftowy przyłączyli się do osadników. Na miłej pogawędce upłynęło popołudnie. Zapadł wieczór. Rozpalono na dziedzińcu ognisko. Nie-bawem przyniesiono mięso, dostarczone przez ranczera; na deser miała być kawa. Wśród bagażu pionierów znalazło się dosyć naczyń. Pani Rozalia i jedna z jej towarzyszek wzięły wiadra i poszły po wodę do rzeki. W kilka minut później wróciły, bez naczyń, w najwyższym stopniu podniecone.

- Co się wam stało? - zapytał kantor - Gdzieżeście podziały wiadra? Jakże panie wyglądają?

Zbwarzyszka Rozalii nie mogła z przerażenia dobyć głosu. Pani Rozalia z trudem wykrztusiła:

- Jak wyglądam ? Bardzo źle, co?
-'IYupio blada. Czy spotkało was coś niemiłego?
- Czy spotkało? A jakże! Jezusie drogi, co myśmy widziały!
- Cóż takiego?

- Co? Nie wiem co, za wiele pan żąda!
- Otrząśnij się, kobieto! - zawołał jej mąż - Musisz przecież wiedzieć, co widziałaś!

Ujęła się pięściami pod boki i krzyknęła ze złością:

- A może ty wiesz?
- Ja? Nie! - odpowiedział zamierającym głosem
- No więc! Siedź cicho, rozumiesz! Wiem chyba, gdzie mam oczy.

Ale tak wstrętnej istoty, jak tam nie widziałam jeszcze, póki żyję!

-1b był duch, prawdziwy wodnik - oSwiadczyła druga, otrząsną-wszy się z trwogi.

- Babskie gadanie! -ofuknęła ją pani Rozalia = Nie ma duchów.

Tym bardziej nie mogę wierzyć w wodnika.

- A więc była to rusałka!
- Przesądna babo rusałki istnieją tylko w bajkach dla dzieci!
- No to co?
- Nie był to duch, bo duchy nie istnieją. Ani człowiek, a więc bydle, ale jakie!

'Il;raz znów odezwał się kantor:

- Jeśli to było zwierzę, to wkrótce określimy gatunek, rodzaj i nazwę. Jestem także zoologiem, to znaczy, jeszcze z czasów szkolnych. Niech mi panie odpowiedzą na moje pytania! Czy był to kręgowiec?

- Nie zauważyłam żadnych kręgów. Było zbyt ciemno.
- Jakiej wielkości był ów dziwoląg?
- Kiedy siedział w wodzie, nie mogłam dokładnie zbadaĆ. Ale kiedy skoczył, wydał mi się wielkości ludzkiej.

- A więc kręgowiec, zpewno ssak.
- Nie mogę wiedzieĆ, może ssak.
- Ilustrujmy poszczególne klasy. Czy to była małpa?
- Nie, bo nie miała włosów.
-'Pdk, tak, hm, hm! A może ryba?
- Nie, wcale nie! Ryba nie ma nóg, ani rąk.
' - A więc potwór miał ręce i nogi?
5::<
-'Pdk.

-'Ib dziwne, bardzo dziwne! Nogi i ręce rnają tylko ludzie i mał-py. Ale nie była to małpa, jak pani twierdzi. A zatem należy przyjąć, że to był człowiek.

- Boże uchowaj, to nie był człowiek! Człowiek ma zgoła inny głos.
- Wydawał dźwięki?
- No, jeszcze jakie!
- Czy nie mogłaby pani powtórzyć?
- Spróbuję - rzekła. Odetchnęła głęboko i ryknęła: - Ubuabua
buabuaauauauabb!
ł.;',',e'.
1 Wszyscy skoczyli na równe nogi.
156

-Mój Boże, co to za zwierzę! Chyba tygrys, lew,pantera!-woła-no dokoła.

- Cicho ludzie - rozkazał kontor. - Nie bójcie się! Słyszycie, że to nie drapieżnik. Nie mamy się czego lękać, wkrótce wyklaruję tę rzecz naukowo. Zwierzę nie ma sierści, a zatem nie jest to ssak. Ryba też nie, gdyż ma głos. Ponieważ musimy pominąć kręgowców, pozo-stają więc tylko płazy, zwłaszcza żaby i krety.

- Tak , to prawda, - zawołała druga kobieta - To był kret!
- Nie, to będzie żaba! - zawyrokowała pani Rozalia.

- Nie, kret! Tylko kret potrafi w ten sposób siedzieć w wodzie.
- Ale straszydło skoczyło w górę!
- Krety też skaczą!
- Nie tak, jak żaby. Zresztą, kret siedzi przeważnie w ziemi, a nie w wodzie. Zrozumiano? A jużci, to żaba!

-Ale taka duża żaba! -wtrącił kantor, potrząsając niedowerza-jąco głową. - Powiedziała pani, że potwór był wielkości ludzkiej.

-'I~kiej wiekości, na honor!
- Hm, hm! Największą żabą w Ameryce jest żaba bawola, wszakże i tej jeszcze daleko do wielkości ludzkiej.

- Żaba bawola? Czy one są tu także ? W takim razie to na pewno żaba bawola.

-Impossibille. Płaz nigdy nie osiąga takich rozmiarów.
- Czemu nie? Wszędzie istnieją olbrzymy i karły, a zatem także u żab. A więc jest to olbrzym żaby bawolej, albo żaba olbrzyma bawo-lego, albo bawół olbrzymiej żaby, albo bawola żaba olbrzyma, albo olbrzymi bawół żabi, albo...

- Stój, stój, stój! - krzyknął kantor. - W moim kompendium zoologii nie było olbrzymiej żaby bawolej, ale nie chcę się certować. Żyję więcej sztuką, niż zoologią i nie śmiem twierdzić, że natura nie rodzi takich poczwar. Czy naprawdę mniewa pani, że to była żaba bawola, pani Ebersbach?

-'Pdk, na honor i zbawienie duszy! Mogę przysiąc, gdyż zwierzę, które wszystkimi kończynaini skacze w górę, musi być żabą, a jakże!

- Ale przed skokiem, pływało, czy też siedziało spokojnie?
- Siedziało, jak żaba! 'Ijrlnej części nie widać było , a wyglądały z wody tylko przednie łapy, nieco cielska i morda. Przypominam sobie teraz szerokie usta żabie i okrągłe ślepia, które łypały na mnie, panie kantorze.

- Kantorze emeritus, przez wzgląd na dokładność. Mimo opisu pani, nie mogę rozwiązać zagadki. Proponuję iś~ do rzeki i przekonać się osobiście.

- Czy mniema pan, że żaba tam wciąż jeszcze siedzi?
-'Pak. Żaby nie są to zwierzęta wędrowne, lecz osiadłe i wytrwałe.
1'a żaba urodziła się tutaj, zatem nie opuści tej miejscowości. Licząc się wszakże z jej rozmiarami, zabierzemy ze sobą broń.1'a bestia może kąsać.

Gospodarz musiał dostarczyć kilku latarni, po czym wszyscy bez wyjątku udali się ku rzece. Sam Hawkens, Dick Stone i Will Parker szli na końcu. Przyłączył się do nich także Droll. Śmiejąc się po cichu, zapytał:

- Jak myślicie, messurs, co to za zwierzę?
- Zapewne żaba wielkości mojej ręki - odparł Hawkens. - Skoczyła z nienacka. Przerażone kobiety przyjęły ją za pięćdziesięcio-krotnie większą, niż jest w rzeczywistości.

- Bynajmniej, jest naprawdę tak wielka, - odparł Droll.
-Androny! Żaba ludzkiej wielkości!
- Wcale nie żaba! 'It~ człowiek, który się kąpał. Naturalnie, mój Hobble Frank!

- Da pioruna! Co za myśl, jeśli się nie mylę!
- 1'ak, to on, na pewno. Mówił mi dzisiaj podczas upału, że wieczorem wykąpie się w rzece.

- Ale przecież odjechałl
- Pshaw! Wxócił, znam go. Nie chciał, oczywiście, jechać wprost do nas, więc zatrzymał się nad rzeką. Wprawił swój zamiar w czyn,

158 rozebrał się i wykąpał. A, patrzcie! Oto mamy naszą żabę! Orszak zbliżył się już do rzeki. Na trawie siedział Hobble Frank obok spokojnie pasącego się konia. Ujrzawszy tylu ludzi, podniósł się zdziwiony i zapytał po niemiecku:

- Co was tu sprowadza? To prawdziwa pielgrzymka!

- Ach, wrócił pan, panie Frank! - odpowiedział emeritus - Bardzo to nam na rękę, gdyż prawdopodobnie potrafi pan przysłużyć się nam indykacjami. Od jak dawna bawi pan na tym miejscu?

- Od godziny może.
- Czy zauważył pan, co się tutaj przytrafiło?

- Naturalnie! Mam przecież oczy i także uszy, a taki westman, jak ja, słyszy, jak trawa rośnie.

- Czy widział pan te dwie kobiety, które przyszły po wodę?
-Tak.
- A także zwierzę
- Jakie zwierzę?
- Co siedziało w wodzie.
- W wodzie siedziała? Nie zauważyłem. Jakie?
- Żaba bawola!
- Nie. Żaby bawolej nie widziałem.
- Czy był pan w pobliżu, kiedy obie damy podeszły do rzeki?
- Mogę zapewnić, że byłem bardzo blisko.

Pani Rozalia wysunęła się i rzekła:

- Nie widziałam pana, panie Hobble Frank, aIe za to dobrze wi działam żabę bawolą. Jeśli pan był tak blisko, to musiałeś bezsprzecz-nie zobaczyć ją także! Była wszak dosyE wielka!

-Jak wielka?
- Jak dorosły człowiek.

- Oho! ‘Pak wielkich żab nigdzie nie ma, pani Ebersbach. Widzia-łem dosyć żab w swoim życiu; osiągają czasem rozmiar przyzwoitej ręki ludzkiej, ale nie większy. Nazwa ich nie świadczy o bawolich rozmiarach, wywodzi się raczej z podobiefistwa głosów. Skrzek przy-159 pomina ryk bawołów.

-‘Ib się zgadza, tak, to się zgadza! Słyszałyśmy krzyk tej bestii.
- Musiałbym i ja słyszeć.
- Sądzę! Gdzie pan podział oczy i uszy, żeś ani widział, ani słyszał?

- Naprawdę sam nie wiem. Niech mi pani łaskawie pokaże miej-sce, gdzie ta żaba ryczała.

- Ryknęła dopiero wówczas, kiedy skoczyła w górę.
- Niech mnie pani posłucha, pani Ebersbach. ‘Ib nie do wiary!

Żaba nie ryczy w skoku.

- A właśnie, że ryknęta w skoku! Pokażę panu miejsce.

Pani Ebersbach zaprowadziła niedowiarka do brzegu, wskazała miejsce, gdzie stało jeszcze puste wiadro, po czym, zwracając palec ku wodzie, wytłumaczyła:

-‘Iii stanęlyśmy, aby zaczerpnąć wody do kawy. Na dowód prawdy widzi pan to wiadro, które ze strachu zostawiłyśmy. A tu w wodzie siedziała żaba bawola.

‘I~varz Hobble Franka wydłużyła się, lecz wnet przybrała wesołą mi-nę.

-Awięc,-zapytał-widziała pani dokładnie, że to żaba bawola?

- No, mówiąc szczerze i otwarcie, z początku nie wiedziałyśmy, do jakiej kategorii insektów zaliczyć tę bestię. Lecz mister kantor studiował zoologię i dzięki jego łaskawej pomocy domyśliłyśmy się, że to była żaba bawola.

- Świetnie, świetnie! Tb mnie bardzo cieszy, szanowne damy i panowie! Lecz czemu przyszliście tu z latarniami i pochodniami?

- Aby odszukać i schwytać tę żabę bawolą - odpowiedziała pani Rozalia.

- Przypuszcza pani, że to tak łatwo?
- No, nie będziemy lękać się żab! Olbrzymka to wprawdzie, ale, jakkolwiek będzie się wzbraniać, nie da nam rady. Skoro zechce kąsaĆ, zastrzelimy bestię bez litości. Przynieśliśmy z sobą flinty, jak pan widzi.

160

W odpowiedzi rozległ się taki śmiech, że pani Rozalia, dotknięta w swej godności, żachnęła się gniewnie:

- Tó nie żarty panie Frank, w nocy, w takim rnroku ...
... brać znakomitego i wielce uczonego Hobble Franka za żabę bawolą!

Odstąpiła o krok, wytrzeszezyła oczy i zapytała:

- Pan ... pan byłeś tą żabą bawolą?
-'Pdk, ja - wykrztusił przez śmiech. - Objechałem tę malowni-czą okolicę, a skoro się ściemniło, wróciłem nad rzekę. Dzień był tak gorący i parny, jazda tak mnie rozgrzała, że dojechawszy do rzeki, przypomniałem sobie, iż zamierzałem wziąć kąpiel i dałem nura.

Pani Rozalia skrzyżowała ręce i zawołała:

- Jezus Maria, co ja słyszę! Przysiadł pan w wodzie?
- 'Pdk. Nurkowałem tu i ówdzie, pluskałem, ochlapywałem się dzielnie i chciałem właśnie wrócić na brzeg, gdy zobaczyłem dwie kobiece postacie. Ponieważ zmrok już zapadł, niepostrzeżenie, bardzo blisko mnie, podeszły do brzegu. Natychmiast się skuliłem, po-nieważ myślałem, że przejdą dalej, ale kobiety akurat zbliżyły się do owego miejsca, gdzie sławny Frank leżał w wodzie. 'Iii zatrzymały się i wytrzeszczyły na mnie gały.

- Prawda - wtrąciła pani Rozalia - Świeciło się w wodzie, lecz nie widziałyśmy, co o tym sądzić. Była to żywa istota, która straszliwie łypała na nas ślepiami.

- Bardzo proszę, pani Ebersbach, tylko nie łypała! Spojrzałem z trwogą, ponieważ miałem nadzieję, że zgodnie ze swą subtelną oby-czajnością, oddalą się panie natychmiast. Ale stało się wręcz przeciw-nie. Dlatego zdecydowałem się na strategiczną rewolucję: skoczyłem w górę, klasnąłem w ręce i spłoszyłem obie kobiety. Pani Ebersbach, urażona relacją, zamierzała odpowiedzieć ostrzej, niż dotychczas, lecz ubiegł ją Droll:

-To była pomyłka, moi szanowni państwo, pomyłka, jaka nikomu nie przynosi ujmy. Dlatego nie będziemy się sprzeczać i kłócić, lecz

6 -- Król naftowy 161 okażemy szacunek temu, kto na szacunek zasłużył. Nasz Hobble Frank, olbrzymia żaba bawola, niech żyje sto lat!

Kiedy burze okrzyków ucichły, dodał:

- 'Ihm leży wiadro. Zaczerpnijcie wody, abyśmy wreszcie dostali kawy. Następnie ustawmy się szeregiem i w triumfie zanieśmy naszą żabę na ranczo.

Na nic się zdał opór Hobble Franka. Kowal Ebersbach, najwyższy z pionierów, posadził sobie małego westmana na plecach, jak dziecko, po czym cały oddział, naśladując kumkanie żab, pomaszerował z powrotem do farmy. Wkrótce znów zakrzątano się dokoła ogniska. Najbliższym postojem miało być samotne puelbo, wznoszące się na południowym stoku Gór Mogollon. Aby dotrzeć tam przed wie-czorem, trzeba było wyruszyć rano i nie odpoczywa~ w drodze ani ezęsto, ani długo. Mimo to, nie ułożono się wcześnie do snu. Nikomu nie chciało się przerywać interesującej rozmowy. Kr6I naftowy brał w niej żywy udział. Ponieważ ani on, ani bankier nie znali niemieckiego, przeto posługiwano się przeważnie angiel-skim. Grinley niemało zadawał sobie

trudu, aby pozyskać życzliwość kompanii. Powiodło mu się z osadnikami, aczkolwiek niewiele rozu-mieli po angielsku; udało mu się też w ezęści rozproszyć nieufność bankiera.

Pueblo

Jeszeze noc szarzała, a już Forner przygotował kawę i świeże chlebki z kukurydzy. Dzięki temu osadnicy nie stracili czasu na przygotowanie śniadania. Napojono zwie.rzęta. Ranczero został wynagrodzony za wszystko, ezego dostarczył. Nie zapomniano również zostawić służbie sutego napiwku. Skoro świt, wyruszono w drogę. Sam Hawkens postarał się, aby panie miały na wierzchowcach wygodne siedzenia. Dzięki temu jazda nie męczyła kobiet bardziej, niż mężczyzn. Dzieci umieszczono w słomą wyłożonych koszach, które zawieszono po dwa z obu stron każdego muła. Dzięki temu podróż mogła odbywać się szybciej.

Irn dalej od rzeki, tym kraj był mnioj urodzajny. Wszędzie, gdzie jest wilgotność, lub woda bieżąca, grunt obradza bogato. Lecz gdzie zabraknie ożywczej kropli, tam się rozrasta beznadziejna pustynia. Przed południem żar nie był jeszcze tak dokuczliwy, ale im wyżej wschodziło słońce, tym bardziej wzmagał się upał. Promienie słone-czne odbijały od suchego skalistego gruntu, od nagich łysych gór. Pionierzy, nieprzyzwyczajeni do takiego gorąca, ledwie mogli je znieść.

Parę godzin po południu droga wypadła przez płaskie kotliny, lub przez płaskowzgórzę, gdzie niepodobna było dostrzec ani źdźbła trawy. Następnie ciągnęły się wyżyny, którym skąpa tutaj natura 163 odmówiła drzew i zagajników. Tylko tu i ówdzie w osłoniętych miej-scach, gdzie słońce nie prażyło od rana do wieczora i gdzie można było na krótki czas cień znaleźć, widać było samotne fantastycznie sformo~ wane kaktusy, których bezbarwna szarzyzna nie sprawiała oku żadnej przyjemności.

Podczas największej spiekoty zatrzymano się pod jakąś stromą gó rą. Było tu nieco dobroczynnego cienia, atoli przeciwległa ściana skalna zionęła takim żarem ku odpoczywającym podrbżnym, iż woleli ruszyć dalej. Szybka jazda budziła przecież w zakrzepłym powietrzu chłodzący powiew.

Nareszcie słońce zbliżyło się do widnokręgu. l~mperatura zaczęla opadać i to o wiele szybciej, niż należało. Sam Hawkens zatroskany spojrzał na niebo.

- Czemu zadzierasz głowę do gbry? - zapytał Hobble Frank - Zdaje się, że nie jesteś zadowolony z miejscowego firmamentu.

- Masz słuszność - odpowiedział Sam.
- Dlaczego?
- Ponieważ powietrze tak szybko i raptownie ochłodziło się.
- A więc burza?
- Obawiam się, że tak.

- Ależ z wielką przyjemnością. Po takiej suszy i upale burza będzie delicją!

- Dziękuję! Burze w tych stronach objawiają się inaczej, niż sądzisz. Bywa, że przez upalne miesiące nie pada ani kropla wody; zdarzało się nawet, że upłyną dwa lata bez deszczu. Natomiast, skoro już rozsroży się burza, bywa naprawdę straszna. Starajmy się czym prędzej dotrzeć da puebla.

- Jak daleko stąd?
- Za pół godziny przybędziemy.

- A więc nie ma niebezpieczeństwa. Nie widać jeszcze ani chmur ki na niebie; upłyną godziny, zanim na górze się ściemni.

-Jesteś w dużym błędzie! Wystarczy kilka minut, by błękit nieba
164 sczerniał. Mógłbym, co więcej, twierdzić, że czuję już elektrycznośE, która się zebrała w powietrzu. Przyjrzyj się tylko mojej Mary, jak się spieszy, jak wydęła chrapy, jak strzyże uszami i macha ogonem! Tb roztropne bydlę; przeczuwa, co się święci.

Istotnie, stary muł rwał z kopyta i okazywał jawny niepokój. A przecież człowiek niedoświadczony nie dostrzegłby nic groźnego. Frank podzielił się obawami Sama z Drollem, ten zaś odpowie-dział.

- Właśnie to sobie pomyślałem. Patrz, jak żółto już na widnokrę-gu! '1'd ponura barwa podnosi się coraz wyżej, a skoro dojdzie do zenitu, zerwie się burza. Dobrze, że wkrótce znajdziemy osłonę!

- W pueblu!
- Tak.

- 'Pdm znajdziemy tylko namioty, które nie ochronią nas przed ulewą.

- Co ty sobie wyobrażasz! Czyś nie widział jeszcze puebla?
- Nie.

- Zdziwisz się zatem wielce. 'Iakie pueblo przedstawia osobliwy widok.

Miał zupełną słuszność. Słowo pueblo oznacza po hiszpańsku miejsce zamieszkania, a więc tak samo pojedyńczy dom, jak wioskę, czy osadę. Indianie, zamieszkujący pueblo, noszą nazwę Indian-Pueb-lo, czyli krótko Pueblosów. Do tych zaliczają się'Idnosi, 1'aosi,'I~hua, Jemesi, Queres, Acoma, Zuni i Moqui, a w szerszym znaczeniu tego słowa także Pima, Marikopasowie i Papagos znad rzeki Gila i na południu.

Pueblo jest zbudowane albo z kamienia, albo z rodzaju cegły, zwanego adobes, albo z obu materiałów jednocześnie. Zazwyczaj opiera się o skalę, która stanowi jego tylną ścianę. Odłamki skalne wchodzą w skład budulca. Sam budynek tworzy kondygnacje; każde niższe piętro jest obszerniejsze niż następne wyższe. Wszystkie zaś posiadają płaskie dachy. Parter dźwiga na swym płaskim dachu 165 pierwsze piętro, cofnięte o kilka metrów, wobec czego pierwsze piętro ma przed sobą platformę zaopatrzoną w otwór, przez który schodzi się do wnętrza parteru. Analogicznie drugie piętro spoczywa na pierwszym. Pueblo nie posiada drzwi, lecz otwory w dachu, przez które się schodzi do wnętrza. Nie znajdziesz tu także schodów. Zastę-pują je przenośne drabiny, które stoją we wnętrzu. Jeśli chcesz dostać się do parteru, musisz wejść na pierwsze piętro i następnie zejść w dół przez otwór w dachu-platformie. Wyższe piętra tworzą szereg podo-bnych stopni, przypominających winnicę.

Taki system budowania narzuciła dawnym i pracowitym mieszkań-com tych miejsc obawa przed napadem, grasujących po kraju, dzikich hord zbójeckich. T~ka prosta budowla stanowi twierdzę, której nie-podobna było zdobyć przy pomocy ówczesnych środków oblężni-czych. Wystarczyło usunąć drabiny, aby uniemożliwić dostęp wrogom. Gdyby nawet nieprzyjaciele sprowadzili własne drabiny, musieliby po kolei zdobywać każde piętro, narażając się na pociski obrońców z wyższych pięter.

Pueblosi są przeważnie spokojnego usposobienia i poddają się administracyjnemu nadzorowi. Niezupełnie to się stosuje do puebli, zarzuconych w dalekich ustroniach. Mieszkańcy ich uważają się za wolnych Indian i niewiele różnią od wędrujących plemion. Do takich właśnie zaliczali się Pueblosi, do których śpieszyli nasi podTóżni. Byli to dzicy Nijorowie, których wódz nazywał się Ka Maku, co znaczy Trzy Palce. 1b imię zawdzięczał pewnej potyczce, w której stracił dwa palce u lewej ręki. Był to wojownik mężny, ale chciwy i ambitny. Jego słowu, jego przyjaźni można było w czasie pokoju zawierzyć. Teraz jednak, kiedy rozmaite plemiona wykopały topory wojenne, nie można było mu ufać bez zastrzeżeń.

Pueblo wznosiło się w promieniach zachodzącego słońca. Prócz parteru miało pięć pięter, opartych o ścianę skalną, niemal pionową. Niższe piętra były zbudowane z ogromnych głazów, spojonych kamie-niami, wyższe zaś składały się wyłącznie z cegieł adobes. Aczkolwiek 166 ta budowla miała na pewno z pięćset lat, nie widać na niej bylo ani jednej rysy.

Na tarasach siedziały kobiety z dziećmi przy pracy i poważnie spoglądały na dół. Czujny obserwator zauważyłby może, iż zerkały ezęsto w kierunku południa, jak gdyby czegoś stamtąd oczekując. Nie widać było wśród nich mężczyzny.

Ale oto z otworu trzeciego tarasu wyszło ich aż trzech; jeden czerwonoskóry i dwaj biali. Zatrzymali się na platformie i również obrócili wzrok na południe. Czerwonoskóry był to Ka Maku, wódz, dluga żylasta postać z kruczymi piórami we włosach. ‘Iiearz jego nie była pomalowana, dowód, że jego pueblo zachowało neutralność. Dlatego również za pasem sterczał tylko nóż do skalpowania. Biali to: Buttler, herszt dwunastu rozgromionych finderów i Poller, jego towarzysz, który przedtem byl przewodnikiem osadników. Nie do-strzegając nic na południowym widnokręgu, Buttler rzekł:

- Jeszcze ich nie ma, ale na pewno przybędą przed wieczorem.

- ‘Pak, pośpieszą się - potwierdził wódz. - Jest tam kilku mą-drych ludzi. Poznają, że burza nadciąga. Przyśpieszą jazdę, aby się przed nią schronić.

- Dotrzymasz słowa? Czy mogę na tobie poiegaE?

- Przez długi czas byłeś moim bratem. A ponadto spodziewam się, że dostanę zapłatę, którą mi przyrzekłeś.

- Dałem ci swoją rękę, to tyle, co przysięga, postaraj się tylko, abym mógł jak najprędzej pomówić ukradkiem z królem naftowym.

- Przyprowadzę go do ciebie. W innych warunkach trudno by mi było dotrzymać słowa, ale dzięki temu, że zbiera się burza, biali zechcą wejść do puebla. Łatwo ich będzie zatem wziąć do niewoli, nie dopro-wadzając do walki.

- Ale musisz od nich odłączyć tych, których ci wskazałem, aby później króla naftowego uważali za swego zbawcę.

- Będzie tak, jak rzekłeś. Uff! Nadjeżdżają. Pochowajcie się czym prędzej l Obaj biaIi pośpieszyIi ku wyższemu piętru, gdzie wnet znikIi. Wódz został na miejscu i bacznie przypatrywał się przybyszom. Był to oddział jeźdźców i zwierząt jucznych. Na czele jechali trzej mężczyźni: Sam Hawkens, Droll i Hobble Frank, który ujrzawszy budowlę rzekł:

- Tdkiego budynku nigdy jeszcze nie widziałem! Cóż to za styl?

Czy bizantyjsko-chloroformiczny, czy hebrajsko-imperialistyczny? A może gotycko-obiektywistyczny, albo nawet grecko-miksturalny? W każdym razie, dla takiego znawcy, jak ja, jest nader ciekawą rzeczą oglądać, z jaką regularnością stopniowoschodową nadbudowali swój dom ci Pueblosi.

Drabina, która pozwalała się wspinać na pierwsze piętro, była wciągnięta na górę. Na bocznych tarasach widać było tylko kilku mężczyzn w gromadzie licznych kobiet i dzieci. Czyżby wojownicy byli nieobecni? Wódz w dumnej i nieruchomej postawie oczekiwał przy-byszów. ‘h;raz Sam Hawkens zawołał w żargonie angielsko-hiszpań-sko-indiafiskim, używanym w tych stronach.

- Czy ty jesteś Ka Maku, wódz tego puebla?
- 1’ak - brzmiała odpowiedź.

- Chcemy się tutaj zatrzymać. Czy możemy dostać wody dla nas i dla naszych koni?

- Nie.

Była to tylko pozorna odmowa. Zamierzał ich zatrzymać. Jeśli wzdragał się odstąpić wody, to z wyrachowania; zbyt chętne i pocho-pne przyjęcie mogłoby wzbudzić podejrzenie w podróżnych.

- Czemu nie? - zapytał Sam.

-‘Pd odrobina wody, którą posiadamy, ledwo wystarczy dla nas i dla naszych zwierząt.

- Ale nie widzę ani waszych wojowników, ani koni. Gdzież są?
- Na łowach. Wkrótce wrócą.
- W takim razie musicie mieć dosyć wody. Czemu nam odma-wiasz? 168
- Nie znam was!

- Czy nie widzisz, że są z nami kobiety i dzieci? Czy posądzasz je o wojownicze zamiary? Jesteśmy spragnieni. Jeśli nam nie dacie wody, sami jej poszukamy.

- Nie znajdziecie.
Odwrbcił się, udając, że nic o nich nie chce wiedzieć. ‘I~go było za wiele dzielnemu Hobble Frankowi. Odezwał się gniewnie do Ciotki Droll:

-- Co sobie ten hultaj właściwie myśli o nas? Jeśli zechcę, poczę-stuję go kulą. Może nabierze uprzejmości. Zjedliśmy niejeden rozum, i nie pozwolimy się, niczym włóczędzy, odprawić z kwitkiem. Propo-nuję pornówić z nim poważnie. A może nie?

-‘Pdk-odpowiedział Droll. -Nie najprzyjemniejszajest śmier~ z pragnienia. Spodziewam się jednak, że znajdziemy wodę. ‘Ii~zeba tylko poszukaE.

Jeźdźcy zsiedli z koni. O obfitości wody świadczyła wysoka trawa, rosnąca w pobliżu puebla; nieopodal widać także było wiele małych ogródków z kukuruzą, melonami i warzywami, które wymagają czę-stego podlewania. Jednakże nie mogli znaleźć źródła, mimo najwię-kszych starań.

Zniecierpliwiony Frank zawołał:

- Jesteśmy osłami i basta! Gdyby tu byli Old Shatterhand i Win-netou ze swoją obecnością osobistą, dawnoby już wyszukaliby wodę. 1’ak, sądzę nawet, że zwąchaliby ją natychmiast.

- Nie trzeba aż tak znakomitych wojowników - odezwał się Szi So, syn wodza, ktbry z uśmiechem przyglądał się poszukiwaniom. - ‘I~~zeba się tylko zastanowić przed szukaniem.

-‘Iak? No, więc zastanów się!
- Już to zrobiłem! - odpowiedział młody Indianin.
- Istotnie? A więc bądź łaskaw i podziel się z nami wynikiem swego duchowego wysiłku!

- Pueblo, które jest twierdzą, nie mogłoby obyć się bez wody.

169

Zwłaszcza podczas oblężenia, kiedy obrońcy nie mogą budowli opu-ściE. Jeśli to wziąć pod uwagę, to nietrudno będzie się domyślić, gdzie należy szukać studni.

- Aha, myślisz, że we wnętrzu puebla? Ale gdzie?
- W każdym razie nie na górnym piętrze - uśmiechnął się Indianin.

- Nie, ja także nie widziałem jeszcze studni na wierzchołku wieży kościelnej. Należy wody szukać na dole.

- Gdzie studnia została wydrążona, zanim jeszcze zbudowano pueblo, wiele stuleci temu.

- Słusznie! 1ó jest tak jasne i wyraźne, jak wosk do butów. Słuchaj
,
mój młody przyjacielu, wydajesz się nie taki głupi, jak, na pozór wyglądasz. Jeśli się tak dalej będziesz rozwijał, rnoże i wyrosną z ciebie ludzie. A zatem, na parterze trzeba szukać wody. Ale jakże się tam dostaniemy? Nie ma nawet bramy wejściowej, nie ma też ani prostych, ani kręconych schodów. Drabiny usunięto. Wszelako, jeśli utworzymy piramidę egipską, jeśli każdy stanie na plecach swego bliźniego, to niektórzy wreszcie dosięgną dachu i stąd będą mogli dostać się do wnętrza parteru, gdzie znajdzie się także aqua destillanteriuin.

- Byłaby to przemoc - rzekł Sam Hawkens. - Musimy unikać gwałtu, jeśli się nie mylę i zdaje się, unikniemy. Wódz schodzi na dół. Mam wrażenie, że chce z nami pomówi~.

Istotnie, Ka Maku zszedł na pierwszą platformę, zbliżył się do krawędzi i zapytał:

- Czy blade twarze znalazły wodę?
- Pozwól nam wejść do puebla, a na pewno znajdziemy - odpo-wiedział Sam.

- Domyślasz się słusznie. Dałbym wam chętnie, ale jest ona tutaj tak rzadka, że...

- Zapłacimy! - przerwał Sam.

- Zgoda! Chyba mój brat wie, że mnóstwo czerwonych plemion wykopało topory wojenne przeciwko białym. Czy można więc ufać bladym twarzom?

- Nie wszystkim. Maże jednak słyszałeś o nas. Ja i ci dwaj wojow-nicy, którzy stoją przy mnie, nazywamy się Liściem Koniczyny. Za mną zaś widzisz...

- Liś~ Koniczyny'? - zapytał szybko wódz. - Znam wasze nazwi-ska! Nazywacie się Hawkens, Stone i Parker?

-'1'dk.

- Czemu nie powiedzieliście od razu? Liść Koniczyny zawsze był dla nas, czerwonych, życzliwy. Jesteście naszymi braćmi, witamy was. Dostaniecie wody ~.a darmo, ile tylko zapragniecie. Przyniosą nasze kabiety.

Na zawołanie wiele squaws zeszło na najniższą platformę i przy niosło z parteru napełnione wodą gliniane dzbany. Przystawiwszy kilka drabin, zniosły je białym.

Wszystko to odbyło się z taką naturalnością; że ani Sam Hawkens, zazwyczaj tak bystrooki, ani żaden z jego towarzyszy nie wpadł na myśl, że życzliwoś~ wodza była fałszywa.

Tirmczasem kolor nieba zmienił się zastraszająco. Z początkujasno czerwony, później ciemny, a następnie fioletowy, niebawem przybrał ponuro-czarne zabarwienie, aczkolwiek niepodobna było odkryć na niebie chmur we właściwym tego słowa znaczeniu.

- Źle rni wygląda - rzekł Dick Stone do Hawkensa. - Co powiesz o tym, Samie? Zdaje się, że nadciąga huragan, lub tornado.

- Bynajmniej - odpowiedział zapytany, długiem spojrzeniem zbadawszy niebo. - Tak, będzie burza, nawet potężna, aIe poza tym również potężna ulewa. Naj lepiej byłoby wraz z kofimi znaleźć się pod dachem.

Zwracając się da wodza, który wciąż jeszcze stał na platformie, zapytał:

- Co powie mój czerwony brat a tych oznakach niepogody? Co z tego wyniknie?

- Wielka burza z taką nawałnicą, że wszystka niebawem będzie 17~ pływać.

- Ja też tak sądzę, nie chce mi się jednak pływać. Czy nie udzielił-byś nam schronienia w pueblu?

- Moi biali bracia mogą wejść wraz z kobietami i dziećmi. Nie zmoczy ich ani jedna kropla deszczu.

- A nasze zwierzęta? Czy nie znajdzie się i dla nich pomiesz-czenie?

- Można je będzie zamknąć w korralu, tam na lewo, za rogiem puebla.

- Dobrze. Tymczasem mogą wejść kobiety.

Spuszczono jeszcze kilka drabin, po czym kobiety i dzieci weszły na drugą kondygnację i przez otwór do wnętrza pierwszej. Wiele indiańskich squaws, a także wyrostków zeszło na dół i zaniosło bagaż, zdjęty z koni i mułów, przez pierwszą platformę do parteru. 1'dm, gdzie wskazał wódz, dosyć wysokie mury zamykały czworokątny plac, nazwany przez Ka Maku korralem. 'Iii umieszczono konie po czym
,
zaparto wejście drągami, wsadzonymi na ukos do oznaczonych dziur w murze. Ledwo założono ostatnią, padła błyskawica. Zdawało się, że całe niebo w ogniu. Rozległ się grzmot, aż ziemia jęknęła. Jednocześ-nie spadł deszcz tak ulewny, że nie widać było nic na odległość kilku kroków. Rozszalała burza tak potężna, że trzeba się było trzymać muru, aby nie runąć. Mężczyźni pośpieszyli do drabin. Bankier i jego księgowy nie byli tak zręczni i doświadczeni, jak inni. Dlatego dotarli do drabiny na ostatku. Wszyscy śpieszyli na drugą platformę ku otworowi, przez

który drabina prowadziła na pierwsze piętro. Ponieważ można było schodzić tylko pojedyficzo, ucieczka przed groźnym żywiołem nie odbywała się tak szybko, jak wymagała ulewa, zwalająca się na mury całym morzem wody. Każdy myślał tylko o sobie i parł naprzód, na nic nie zważając. Nikt więc nie zwrócił uwagi na pięciu, czy sześciu Indian, którzy znienacka pojawili się u boku wodza, doglądającego porządku.

Pokrywa otworu leżała tuż obok. Nie opodal stały ogromne, więcej 172 niż cetnarowe głazy, które również nie zwróciły uwagi podróżnych. Bankier i Baumgarten szli na koficu. Kiedy Rollins chciał postawić nogę na pierwszym stopniu drabiny, wódz huknął nafi:

- St6j, cofnij się! Nie wchodźcie tam!
- Dlaczego? - zapytał bankier.
- Zaraz się dowiecie!

Rzucił się ze swoimi Indianami na obu białych, którzy zanim mogli pomyśleć o oporze, leżeli już w pętach. Huk piorunów i poszum burzy zagłuszał ich wołania o pomoc. Tymczasem z wprawną szybkością wódz wyciągnął drabinę z otworu i nałożył pokrywę, po czym ludzie jego potoczyli na nią leżące obok głazy. Ci, którzy zeszli na dół, nie mogli wrócić. Byli uwięzieni.

Uwięzieni

Rollinsa i buchaltera sprowadzono na niższe piętro i opuszezono na lassach do parteru. Następnie zatrzaśnięto otwór pokrywą. Jeden z Indian, wysłany przez wodza, pomknął, mimo błyskawic i piorunów, mimo burzy i ulewy, wzdłuż skał, wspierających budowlę i zniknął za zakrętem. Po dziesięciu niespełna minutach dotarł do miejsca, gdzie zwaliska, jak się zdawało, zapadniętego muru utworzyły ruiny, nada-jące się świetnie na kryjówkę.

'lh właśnie, a nie na łowach, znajdowali się wojownicy z puebla wraz z końmi. Posłaniec Ka Maku doniósł, że karawana wpadła w zasadzkę, a zatem wojownicy mogą powrócić.

W samej rzeczy powiódł się plan i to o wiele lepiej i szybciej, niż wódz przewidywał. Sprawiła to niepogoda, ale i niemniej brak ostroż-ności, wykazany przez podróżnych.

Z początku, jak wspomnieli~my, kobiety i dzieci zeszły na pierwsze piętro. Lnalazły się w wysokim, prawie na trzy metry, pomieszczeniu pozbawionym okien. Poza otworem u góry nie było innego wydrąże-nia w murach. Czt~ry ściany poprzeczne dzieIiły piętro na pięć izb. 'Pa, w której się osadnicy znaleźli, była środk^wa, najwięk.sza. W niszy paliła się mała lampka gliniana, której mdłe światelko jaśniało na kilka zaledwie kroków.

Pani Rozalia obejrzała się dookoła, potrząsając głową. Nic nie 174 odkrywszy, prócz drabiny i lampki, rzekła z rozczarowaniem:

- Czy się pakuje gości do takiej nory, gdzie nie ma kanapy i ani jednego krzesła? Zupełnie jak w piwnicy! Gdzie się tu siada? Gdzie się wiesza okrycie? Gdzie się wznieca ognisko? Gdzie gotuje kawę? Ani okna, ani pieca! Wypraszam to sobie! Jesteśmy damami, a dam nie sadza się... Pioruny! - przerwała przestraszona, usłyszawszy pier-wszy grzmot. - Zdaje się, że trafił! Nie?

- To dopiero był piorun! - odpowiedziała pani Strauch. - Spoglądałam wprost w otwór i widziałam błyskawicę.

- No, to staficie wszystkie w najodleglejszym kącie! Mężczyźni mówili właśnie, że burza inaczej się tu sroży, niż u nas w domu. Kiedy taka zwariowana amerykafiska błyskawica zejdzie przez otwór, to z miejsca padniemy trupem. Dobrze, że nie ma tu siana, ani słomy, ani łatwo zapalnych rzeczy. Rozumiecie mnie? Czy słyszycie, jak deszcz wali? Nasi dobrzy mężowie zmokną do ostatniej niteczki. Jeszcze się przeziębią. Jeśli będą kasłać, jeśli nabawią się bólu żołądka i kości, na kogo zwalą troski i zmartwienia? Na nas, kobiety, naturalnie, na nas, na damy! Oby tylko rychło nadeszli!

Życzeniu jej stało się natychmiast zadość, oto wszedł Hobble Frank, a za nim pozostali. Przybywszy na dół, Frank otrząsnął się z wody deszczowej, rozejrzał dookoła i rzekł rozczarowany, jak przed chwilą pani Rozalia:

- Co to za niegodziwa komora? Kto tu mógłby mieszka~? Jeśli ci czerwoni gentlemani nie znajdą lepszego pomieszczenia, to najbliż-szą okazją przyślę stolarsko-saskiego architekta. On im już pokaże, jaka jest różnica między moją willą „Niedźwiedzie Sadło" nad Łabą, a tą szkaradną katakumbiną. Gdzie tu właściwie można usiąść, kiedy się jest znużonym, albo kiedy się chce ucią~ poobiednią drzemkę?

- Wszędzie, panie Frank - odpowiedziała pani Rozalia. - Miej-sca tu nie brak.

- Co? Co pani powiada? Wszędzie? Dlaczego pani nie siedzi?
Może pani nie wypada?
175

- Ciszej, Frank! - upomniał Sam. - Nie miejsce tu i nie czas na przekomarzania. Mamy ważniejsze zajęcie.

- Co? Cóż takiego?

- Przede wszystkim musimy zapalić fajkę pokoju, jeśli się nie mylę.

- Z tymi Indianami?

- 'Pak, przynajmniej z wodzem. Wiesz przecież, że dopiero po wypaleniu kalumetu można polegać na czerwonych.

- Wiem dobrze. Ale powinniśmy byli wobec tego wypalić przed wejściem!

- Nie było na to czasu.

- Nie należało zwracać uwagi na burzę. 'I~raz tkwimy w lochu i jeśli czerwonoskórzy mają złe względem nas zamiary, to tak samo, jak gdyby... do stu tysięcy fur karłaczy! Widzisz, już się zaczyna! Usuwają drabinę. 'I~zymajcie mocno, trzymajcie mocno!

Skoczył z wyciągniętymi w górę rękoma, aby uchwycić drabinę, ale było za późno.

- Macie podarunek! - rzekł gniewnie. - 'I~raz siedzimy w pułapce, jak Pitagoras w beczce.

- Masz na myśli Diogonesa - poprawił Sam.

- Milcz! - huknął Frank. - Co ty wiesz o Diogenesie! Tb przecież ten karzeł na beczce heidelberskiej. Czy nie możesz żyć bez kłótni.

- Nie - roześmiał się Sam.- Ale ta sprawa z drabiną wydaje mi się podejrzana. Po co ją wciągnęli do góry? Czy była potrzebna do innych pięter? Mogło się to zdarzyć wobec takiej nawałnicy. Zobacz-my, czy nikogo z nas nie brak tutaj.

Okazało się, że nie było bankiera i jego księgowego.

- To mnie trochę uspakaja - rzekł Sam Hawkens. - Przecież i ich uwięzionoby z nami. Ujrzymy ich niebawem. Drabiny pozabiera-no gdzie indziej, jeśli się nie mylę.

- Ale dlaczego założono pokrywę? - wtrącił Droll.

176

- Pytasz jeszcze? - odparł Frank. - Doprawdy, wstydzę się, że jesteś moim kuzynem i krewnym! Każdy rozsądny człowiek zamyka klapę, skoro pada deszcz. ~ nie tylko pada, ale leje jak z cebra. Dlatego właśnie przymknięto otwór, aby ochronić nasze cenne głowy.

Czy pojmujesz?

-'Pdk, drogi przyjacielu i kuzynie Heliogabalusie Morfeuszu Ed-wardzie Franke. Ponieważ umiesz tak jasno tłumaczy~, więc zrozu-miałem.

-‘Pak, to jedyny powód, - potwierdził Sam. - Dopóki wodza nie ma, poddajmy oględzinom nasze dzisiejsze mieszkanie. Nie byli zbudowani rezultatem badafi. Nie znaleźli tu żadnego siedzenia, żadnego śladu słoiny, siana czy listowia, z którego można by przygotować posłanie. Zdeprymowało to wysoce naszych przemo-kłych podróżnych. Tylko Sam nie tracił pogodnego humoru:

- Wkrótce wszystko się zmieni. Niech tylko wódz przyjdzie!

Dostarczy nam wszelkich wygód.

Szi So nie brał udziału w oględzinach mieszkania. Oparty plecami o mur, siedział na ziemi i spoglądał przed siebie poważnie. Usłysza-wszy pocieszające słowa Sama, przerwał milczenie i rzekł:

- Sam Hawkens się myli. Nic się nie zmieni. Jesteśmy uwięzieni.
- Uwięzieni? Do stu tysięcy fur kartaczy! Z czego to wnosisz?

-Jestem Indianinem i wiem, co o tym myśleć. Kiedyśmy weszli na górę, spostrzegłem dwie drabiny wsparte o wyższe piętro. W pośpie-chu najwygodniej było wziąć jedną z nich do przeprowadzenia ludzi.

- Ach! Ja też widziałem drabiny. ‘Ib dziwne, że właśnie naszą zabrali.

- I jeszcze coś - dodał młodzieniec. - Gdzie jest Grinley, zwany królem naftowym?

- Do pioruna, to prawda! - zaklął Sam.

- Dlaczego nie ma też obu jego towarzyszy? Według wszelkiego prawdopodobiefistwa chce ich oszukać. Nas postanowił usunąć i dlatego podjudził przeciwko nam wodza.

- Ale jak i kiedy?

- Przypomnijcie sobie obu białych, którzy przed nami byli na Ranczu Fornera. Rozmawiał z nimi; dowiedziałem się nawet, że z jednym z nich przez dłuższy czas odpoczywał na osobności.

-Jeśli tak, to istotnie ujawnia się okoliczno~ć, która powinna była zwrócić moją uwagę. Ale jakże wódz ośmieliłby się uwięzić tylu ludzi? Jesteśmy doskonale uzbrojeni i możemy się uwolnić.

- Jak?
- Podniesiemy pokrywę.
- Spróbujcie! Na pewno nie ruszycie jej z miejsca.
- Przebijemy się przez ścianę szczytową.
- Zbudowana z głazów i jeszcze twardszego wapna.
- Więc przez platformę!
- Spróbujcie ryć mury nożami.
- Ale przecież poza wodzem widziałem tylko kobiety i dzieci!

- Wojownicy się ukryli. Wódz twierdził, że pojechali na łowy. Co za zwierzynę można znaleźć o tej porze roku i na tym pustkowiu? Wiecie, że liczne plemiona indiafiskie wykopały topór wojenny. Sko-ro są na szlaku wojny i grasują po okolicy, któż odważyłby się opuścić pewne obozowisko i jechać na łowy, które można przypłacić życiem? Czy wogóle Pueblosi chodzą taką gromadą na łowy? Czy tak namięt-nie tropi’ą zwierzynę? Czyż nie żywią się raczej ziemiopłodami?

- Masz słuszność! Przedstawiasz nieodparte dowody.
- 1’ak, jesteśmy uwięzieni.

- A więc przekonajmy się i przede wszystkim spróbujmy, czy nie da się usunąć pokrywy!

Dick Stone i Will Parker stanęli pod pokrywą. Sam wdrapał się na ich plecy, wskutek czego dosięgał pokrywy i z całej siły wparł się w nią. Na próżno.

- ‘Ib prawda, zamknięto nas! - burknął, złażąc na dół. - Ale pokażemy tym łotrom, że się przeliczyli!

- W jaki sposób? - zapytał Stone.

- Przebijemy się, albo przez mur, albo przez dach. Przede wszy-stkim zbadajmy ścianę!

Przy świetle lampki zbadano mur w rozmaitych miejscach. Okazało się, że ściany zewnętrzne, jak twierdził Szi So, składały się z grubych kamieni, spojonych wapnem, którego nie mógł odbić żaden nóż. A innych narzędzi nie było.

Pozostawał dach. Mężczyźni utworzyli piramidę. Okazało się, że powała składałą się z mocnych jak żelazo belek. Wytrwały przez długie stulecia i nawet wilgoć ich nie tknęła. Noże natrafiły na nieprzebytą powłokę, toteż niepodobna było zbadać, z czego składały się wyższe warstwy.

Kobiety przyglądały się z trwogą tym daremnym wysiłkom. Skoro ich zaprzestano, pani Rozalia zawołała gniewnie:

- Czy można było pomyśleć, że na świecie istnieją tak nikczemni ludzie, jak ta banda indiańska! Gdybym miała tutaj tych szubrawców, panie mego życia, powiedziałabym im teraz w oczy całą prawdę. Oto, co cię czeka, kiedy polegasz na mężczyznach! Pasowali się na naszych obrońców, ale zamiast chronić od złego, prowadzą nas wprost na zagładę.

- Ciszej! - prosił mąż - Obrażasz tych panów swoim wiecznym gderaniem.

- Co? Jak? Wiecznym? - zapytała ze złością: Od jak dawna mówię? Co najwyżej od trzech, czy czterech sekund. I to się nazywa wiecznością! Kto ma słuszność~, nie powinien przycina~ sobie języka. Byli~cie tak głupi, żeście się pozwolili przymknąć. Czy to moja wina?

Chcę tylko zapytać, czego mamy się spodziewać i co się z nami stanie?

- Pyta się pani? - odpowiedział Hobble Frank z usmiechem. - Wiadomo wszak, co się z nami stanie.

- No, co na przykład?
- Z początku spętają nas ...
-- Niby damy również?
- Naturalnie! Potem przywiążą do pala męczarni
- Damy też?
- Stanowczo! A kiedy wydamy ostatnie tchnienie, zdejmą z nas skalpy.

- Niech piorun trzaśnie! Chyba damom oszczędzą tej haniebnej operacji?

- Przeciwnie! Czerwonoskórzy zazwyczaj skalpują kobiety żyw-cem. Nie czekają na ich śmierć, wie pani, bo damy mają piękniejsze i dłuższe włosy, co nadaje większą wartoś~ skalpom ...

- Dziękuję uprzejmie za takie pochlebstwo!
- Proszę bardzo! No, i dlatego, że skalp trudniej ściągnąć z nieboszczyka, niż z żywego człowieka.

- Czy to prawda, czy chce mi pan tylko stracha napędzić, panie Frank?

- Jakże mógłbym żartować w tak poważnej chwili? ...
- W takim razie ci czerwoni są prawdziwymi barbarzyficami! Ale ja nie pozwolę się skalpować, ani żywa, ani martwa. Mojej skóry nie dostaną za żadną cenę! Będę broniła swoich włosów za życia i po śmierci. Jestem Rozalia Ebersbach, z domu Morgenstern, wdowa po młynarzu. Jużci, poznają mnie!

Druga grupa jeńców, mianowicie bankier i jego buchalter, nie wywoływała hałasu. Leżeli spętani na parterze. Nie paliła się tu żadna lampka, było zupełnie ciemno. Wilgotność powietrza i szmer wody świadczył o bliskości źródła. Mury były tutaj tak grube, że nie przepu-szczały odgłosów burzy. Kiedy jeficów opuszczono na lassach i nakry-to otwór, każdy z nich nadstawił ucha. Panowała grobowa cisza.

Wreszcie odezwał się bankier:

- Czy zemdlał pan, mister Baumgarten, czy też słyszy mnie pan?

- Słyszę, sir. Jestem bliski omdlenia. Czym zawiniliśmy tym czer-wonoskórym, że się tak z nami obeszli?

- Hm, chciałem pana o to zapytać. Dlaczego akurat nas uwięzili spośród całej gromady?

- Przypuszczam, że pozostałych spotkał ten sam los.
- Z czego pan to wnosi?
- Z wielu okoliczności. Jedno jest pewne: czerwoni nie mogliby nas uwięzić, nie uwięziwszy także naszych towarzyszy, gdyż ci na pewno by nas odbili.

- Tb słuszne, ale zarazem smutne, gdyż musimy wyrzec się nadziei.
- Nie tracę nadziei aż do ostatniej chwili. Sądzę, że mimo wszy-stko, możemy liczyć na naszych towarzyszy. Prawdopodobnie są tak samo uwięzieni, jak my, ale przynajmniej nie są spętani. Mają przy sobie broń. Rozważ pan, co to za ludzie! 'I~n Hobble Frank, mimo osobliwości charakteru, na pewno jest nieustraszonym, mężnym i tęgim westmanem. O Hawkensie, Parkerze, Stone i Drollu można to samo powiedzieć, a co się tyczy pozostałych, to oprócz może nieod-powiedzialnego kantora, nikogo strach nie pozbawi przytomności umysłu.

- Well, sądzę. Ale dlaczego właśnie nas uwięziono oddzielnie?
Może chcą wykupu?

- Wątpię. 'Idk postępują biali bandyci, ale nie Indianie. Przypu-szczam, że skrupiły się na nas skutki sporów, wynikłych między tymi czerwonoskórymi, a białymi.

-All dewils! W takim razie nie byłoby dla nas nadziei. Bylibyśmy bowiem jeńcami wojennymi, co pachnie śmiercią! Piękna perspekty-wa! Smażyć się i oddać skalp przy palu męczarni!

- Nie jest jeszcze tak źle! Sprbbujmy przede wszystkim, czy się nam nie uda uwolnić z więzów.

'Ii-udzili się i natężali wszystkie siły, ale bez powodzenia. Rzemienie były zbyt mocne. Nie wpadli na myśl, że należy je rozsupłać. Powinni się byli o to pokusić, aczkolwiek ręce mieli związane. Leżeli i czekali - długo, bardzo długo, tak się im przynajmniej zdawało. Naraz usłyszeli nad sobą szmer. Pokrywa została usunięta. Zobaczyli niebo usiane gwiazdami. Burza zatem minęła już i zapadł wieczór. Widzieli, jak spuszczano drabinę, po której zszedł do nich wódz. Nachylił się nad nimi i pomacał więzy. Przekońawszy się, że są nienaruszone, rzekł:

- Białe psy są głupsze, niż wyjące kojoty. Weszli do domu czerwo-nych wojowników, nie pomyślawszy, że między ezerwonymi a białymi wykopano topGr wojenny. Zagrabili nasz kraj, nasze święte przybytki i wypędzili nas samych. Prze~ladują nas i oszukują bez przerwy. Przyszli pojedynczo i wnet rozmnożyli się do milianGw, my natamiast, ktGrzyśmy się liczyli na miliony, wymieramy jak mustangi i bizony na prerii. Lecz zanim przyjdzie nam szezeznąć, dokonamy zemsty. Wy-kopaliśmy topór wojny i wszyscy biali, ktGrzy wpadli nam w ręce, są zgubieni. Jutro, skoro świt, przywiążemy was do pala męczarni. Wasze krzyki będą się głośno rozlegać po okolicy~! 'Pak się stanie, gdyż Ka Maku, wódz, tak powiedział!

Rzekłszy to, wrócił na górę, wyciągnął drabinę i nalcrył pokrywvę. Jego groźby przejęty jeńców dreszczem. Nie wiedzieli bowiern, że przedstawił im przyszłość w tak ciemnych barwach jedynie w tym celu, aby później poczuwali się do tym większej wdzięczności wobec rzeko- ' mego zbawcy.

Wizyta wodza do reszty przybiła bankiera i zachwiała ufnością~ Baumgartena. Skoro ~wit, przy palu męczarni! 'Pak straszliwie sybko miał się rozstrzygnąć ich los. Za mało było czasu na ratunek! Dzielili się rozpaczą; wytężali gławy w poszukiwaniu wyjścia z sytuacji. Zaczęli ponownie rozciągać więzy, z tym jedynie skutkiern, że rzemienie wpiły im się w ciało. Po kilku godzinach znowu us%yszeli szmer. Spojrzeli w gGrę. Pokrywa była usunżęt.a i jakaś g%wa ukazała się w otwarze.

- Fst, pst, mister Rollins, ezy to wy jesteście na dole'j—zapytano.

-'I~k, tak! -- zawoła% rado~nie wezwany.
- Cicho, cicha! Jeśli nas usłyszą, będę zgubiony! Czy mister Baumgarten jest z panem?

-'Iak i ja tu jestem - odpowiedział Niemlec.
- Nareszcie, nareszcie was znalaz%em! Szuka%em. wszędzie, nara-żając się na tysięczne niebezpieczeństwa, byleby was uratowáo. Czy stawiliście opór? Czy was nie zraniono?

Szczera troska brzmiała w tych słowach.

- Nie, jesteśmy zdrowi i cali - odpowiedział Rollins.
- A więc czekajcie chwilkę. Zobaczę, czy zdołam spuścić dxabinę.
Chociaż stoją tu gdzieniegdzie waxtownicy, spróbuję was wyratować.

Głowa znikła z otworu.

-Bogu dzięki! Uratowani! -westchnąłbankier, ciężko oddycha-jąc. -'Ib Grinley, nasz król naftowy. Nieprawdaż?

-'Ihk - odpowiedział buchalter. - Nie widziałem jego twarzy, ale poznałem po głosie, mimo że szeptał.

- Wydobędzie nas z tego lochu. Gotów życie narazić, byleby nas wyratować. Czy to nie dzielny postępek?

- Bardzo!
- Jakże łatwo ludziom, skądinąd mądrym omylić się w sądach o bliźnim! Chciano go napiętnować jako oszusta. 'I~raz możemy być przeświadczeni, że zasługuje na bezgraniczne zaufanie. Nie wolno nam wątpić o jego uczciwych zamiarach.

Król naftowy znów ukazał się nad otworem. Spuścił drabinę i szepnął:

- Udało się ... Oto drabina ... Wejdźcie szybko! ...
- Nie możemy, jesteśmy spętani, - odpowiedział Rollins.
-1ó pogarsza sprawę! Stracimywiele cennego czasu. Będę musial do was zejść.

Zeszedł do jeńców, wymacał po ciemku więzy i przeciął. Podnieśli się, wyciągnęli członki, aby przywrócić normalne krążenie krwi. Rol-lins podał mu rękę i szepnął:

- Nigdy panu tego nie zapomnę, sir! Ale powiedz mi, w jaki sposób ...

- Pst, cicho! - upomniał król naftowy. - O tym pomówimy później. 'Ibraz trzeba się jak najszybciej stąd wydostać, gdyż każdej chwili może nas ktoś zobaczyć, a w takim razie bylibyśmy zgubieni. Chodźcie prędzej! Ale nie wolno nam się podnosić; trzeba pełzać. ló3 Wszedł na górę, a oni za nim. Na dachu położyli się plackiem.

- Spójrzcie w górę! - szepnął. - Widzicie wartowników?
W blasku gwiazd zauważyli wartowników, stojących na górnych tarasach. Nie mając doświadczenia, nie pomyśleli o tym, że na ich tarasie, gdzie warta była najniezbędniejsza, nikt nie czuwał. Nie po-myśleli również o tym, że i ci wartownicy musieli ich widzieć, że gesty króla naftowego mogły być fałszywe. Nie zakrył przecież otworu, ani nie wyniósł drabiny.

- Posuwajcie się - szepnął cicho - za mną aż do krawędzi, gdzie przystawiłem drabinę. Jeśli zejdziemy na dół niepostrzeżenie, nic już nam nie będzie grozić.

Podsunęli się do krawędzi pierwszego tarasu. Zobaczyli drabinę. Okoliczności aż nazbyt sprzyjające ucieczce nie zbudziły w nich żad-nych podejrzeń. Jeden po drugim zeszli na dół i znaleźli się poza obrębem puebla.

- Nareszcie, nareszcie! - rzekł król nafty. - Umykajmy stąd szybko!

- Jeszcze nie, mister Grinlej - zaprotestował księgowy. - Nasi towarzysze są przecież również uwięzieni?

-'Pak.
- Czy opuścimy ich? Naszym obowiązkiem ...
- Absurd! Co panu przyszło na myśl! Wbdz kłamał. Jego wojow-nicy nie są na łowach, lecz schowali się tutaj w pobliżu. Czy w trójkę poradzimy sobie z sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu wojownika-mi? Niechybna śmierć. Bądźcie zadowoleni, że choć was wydobyłem!

- Słusznie, ale martwi mnie ich los ...
- O, będą się sami starali uwolnić! Jest tam kilku dzielnych ludzi, którzy na pewno znajdą jakieś wyjście.

- Tb mnie uspakaja. Ale jakże uciekniemy? Prawdopodobnie ruszą za nimi w pościg. Bodajbyśmy to mieli nasze konie i broń! Stracimy także bagaż.

- Wszystkowv porządku, wszystko uratowałem!

184

- Jak? Co? Nie może to być!
- O, dzielny człowiek dla swoich przyjaciół dokonuje cudów. Ja sam, zresztą, nie poradziłbym, znalazłem jednak pomoc i poparcie.

- Czyje?
- Dwóch mężnych gentlemanów, do których was zaprowadzę.
Chodźcie szybko; nie możemy ani chwili zwlekać. Zaprowadził ich do ruin, gdzie poprzednio zaczaili się Indianie. 'Ih spotkali Buttlera i Pollera i znaleźli nie tylko swoje wierzchowce i broń, ale także całe swe mienie. Zdumieni, zasypali Grinleya szere-giem zapytań, które jednakże uchylił:

- Musimy natychmiast jechać! Jak sami słusznie zauważyliście, zaczną nas wnet ścigać. Dlatego powinniśmy wysforować się naprzód. W drodze wam opowiem, jak się to wszystko odbyło. Ułożył sobie w myślach opowiadanie o tyle prawdopodobne, aby nie budziło poważnych wątpliwości. Dosiedli rumaków i puścili je galopem. Bankier był pełen wdzięczności dla swoich zbawcow; nie myślał wcale o pozostawionych na łasce Indian towarzyszach. Lecz Baumgarten nie mógł się pozbyć myśli, że obowiązkiem ich było przynajmniej pokusić się o uratowanie więźniów. Rzeczywiście, sytuacja uwięzionych była bezsprzecznie bardzo po-ważna, nie pozbawiona jednak śmiesznych stron, a to z powodu osobliwych właściwości charakteru niektórych podróżnych. L począt-ku spodziewali się, że wkrótce sprowadzą do nich bankiera i buchal-tera. 'Iieierdzenie Szi So zrobiło pierwszy wyłom w tej pewności. Kiedy minęło kilka godzin, a pokrywa się nie poruszała, przestano wątpić w słuszność słów młodego indianina. Dotychczas dosyć spokojne uspo-sobienie więźniów uległo gwałtownej zmianie. Doświadczeni wes-tmani przywykli panować nad wzruszeniem, lecz zatroskani osadnicy nie mogli zatai~ niepokoju i podniecenie. Wyjątkiem był kantor, któremu w głowie nie mogło się pomieści~, żeby jego praca dla sztuki miała tu dobić do nagłego i gwałtownego kresu. Łatwo się domyślić, i że pani Rozalia wiodła rej w żywej wymianie zdań. Urągała ostro Indianom, nie oszczędzając również Sama i jego towarzyszy, na któ-rych składała winę obecnej sytuacji.

- Ktoby coś podobnego pomyślał o tym starym, czerwonym wójcie indiańskim! - gniewała się. -'I~n człowiek był tak uprzejmy, tak grzeczny, zachowywał się tak mile, że myślałam sobie: tylko patrzeć, jak cię zaprosi do walca. A teraz okazuje się, że to wszystko było fałszem, oszustwem, łajdactwem. O co mu właściwie chodziło? O nasze rzeczy, o nasze pieniądze? Powiedz mi pan, panie Hawkens? Gadajże pan, mówże! Nie stój jak chiński bałwan, którzy nie może wyda~ dźwięku!

- Oczywiście, że chodzi o nasz dobytek, - odpowiedział Sam.
- Oczywiście? Nie uważam, aby to było tak oczywiste! Mój doby-tek jest moim dobytkiem i nikt nie zdoła mi go zdmuchnąć. Kto wysuwa rękę po moje prawdziwe i prawne mienie, ten jest

rzezimie-szkiem, rozumie pan i na takiego u nas w Saksonii istnieją pewne paragrafy, na które policja bardzo zważa. Kto chce cudze zwędzić, ten dostaje się do więzienia!

- Słusznie, ale niestety nie jesteśmy w Saksonii.

- Nie w Saksonii? Co, co pan tam mówi? Przecież nie jestem Amerykanką, a chociaż widzi mnie pan teraz na wychodźstwie, nie wyzbyłam się swego dobrego saskiego obywatelstwa, o nie! Zawszeć jestem córką pięknego saskiego kraju nad Łabą. Sasi bili wrogów więcej niż w dwudziestu wojnach, potrafią mnie więc również stąd wydobyć. Nie pozwolę się ograbić, aby następnie bez szeląga w kie-szeni wałęsać się po Ameryce!

Sam obejrzał podnieconą kobietę właściwym sobie szezególnym spojrzeniem i odezwał się:

- Źle pani to sobie wyobraża, pani Ebersbach. Nie ograbią pani, aby pbźniej pozwolić się wałęsać po Ameryce.

- Nie? A co?

- Kiedy Indiallill Tabuje, tiie zapomina także zamordować. skoro odbiera czyjąś wlasność, odbiera także życie, aby zażegnać zemstę.

186

- Panie mojej duszy! No, w takim razie wszystko się koficzy!

Wiedział pan o tym, a jednak zaprowadziłeś nas do tego ezarciego loszku? Panie Hawkens, nie bierz mi pan tego za złe, ale jesteś potworem, salamandrą, smokiem, jakiego nie znajdziesz, jak świat szeroki i długi!

- Wybaczy pani! Czyż mogłem przewidzieć zamiary Indian? Ci Puoblosi są znani ze spokojnego usposobienia. Nie można było wie-dzieć, że zastawią na nas pułapkę.

- Czy musieliście wejść? MoglibySmy wszak zostać pod gołym niebem!

-- A nawałnica?

-Ach, co znaczy nawałnica! Wolę, aby mi zmyła czuprynę z głowy, niż żebym miała paść ofiarą rabunku i morderstwa. Przecież sam pan może się tego domyślić. Drogie niebiosa! Być zamordowaną! Kto by o tym pomyślał! Wywędrowałam, aby przez długie lata żyć po amerykańsku, a ledwo postawiłam stopę na tej ziemi, już śmierć zagląda mi w oczy. Chciałabym widzieć takiego, który mógłby to wytrzymać! Teraz podszedł do niej kantor, położył jej rękę na ramieniu i rzekł uspakajająco:

- Niech się pani nie podnieca niepotrzebnie, moja droga pani Ebersbach. O śmierci nie może być mowy.

- Nie? Jak to?

- Póki jestem przy pani, nie może cię spotkać nieszczęście. Ja panią obronię!

- Pan mnie? - zapytała niedowierzająco, mierząc go od stóp do głów.

-‘Idk, ja! Wie pani przecież, że chcę wystawić operę heroiczną w dwunastu aktach?

- Naturalnie. Słyszałam o tym, aż zbyt często.

- No, więc! Kompozytor jest miłośnikiem sztuki, a może pani ufać, że ta potężna bogini nie pozwoli umrzeć zawczasu żadnemu ze swych zwolenników.

187

- Ale ja przecież nie komponuję!

- Za to jest pani pod moim skrzydłem opiekuńczym. Przez wzgląd na moją wielką operę, muzy powrócą mnie nieuszkodzonego na ciele i zdrowiu do domu, albowiem w przeciwnym razie jedyne i niezastą-pione arcydzieło przepadłoby dla świata bezpowrotnie. Podczas całej podróży

amerykafiskiej nie spadnie mi włos z głowy; ergo każdy, kto mi towarzyszy, jest zabezpieczony od nieszczęścia.

- Pięknie! Jeśliś pan tak pewny, że nic nie może nam się sta~ złego, zbierz się na odwagę i wydobądź nas z tej pułapki.

Podrapał się za uchem i odpowiedział mrukliwie:

ł

- Zdaje się, że pani mnie źle zrozumiała, moja najmilsza. Nie można grać allegro vivace opusu, który jest oznaczony w lento. Je~li powiedziałem, że w mojej obecności nie może was spotkać nieszczę-ście, to nie znaczy, abym ja właśnie miał otworzyE furtkę wolności. Na to są inni. Wystarczy tylko wymienić pana Franka, który już dokonał tylu cudów waleczności i który w żadnym razie nie pozwoli nam tutaj zmarnieć. Czy nie ma słuszności?

Z tym pytaniem zwrócił się do Hobble Franka. Mile połechtany westman odpowiedział:

- '1'ak, mówił pan słusznie, zupełnie słusznie, panie kantorze emeritikus i nie zawiedzie pana zaufanie, które we mnie pokładasz. I choćby wszystkie powrozy miały pęknąć, ja was oswobodzę!

- Jak? - zapytał Sam.
- Nie wierzysz? Podczas gdyście tutaj przelewali z pustego w próżne, ja udałem się po radę do rozumu i odbyłem drogę, która nas wyprowadzi na wolnośE.

- Jestem jej bardzo ciekaw - rzekł Sam.
- Wierzę ci na słowo. I tak byś jej nie znalazł!
- Wykaż uprzednio, czy twoja droga nie jest manowcem.
- Ty, powiem ci coś: „gdziekolwiek się ukażesz, panie organisto, wszystkie flety milkną". Ja jestem panem organistą, a ty fletem, który ma milczeć! Moja droga jest dobra, jak się wkrótce przekonacie.

188

Tłukliście głową o ściany, kłuliśćie dach i noże stępiliście o kamienie. Ja zaś idę o zakład, że znajdą się tu dziury, o które będzie można oprzeć dźwignię wolności!

- Dziury? Gdzie?
- Gdzie? Musimy dopiero poszukaE.
- A więc nie ruszyliśmy z miejsca. Szukaliśmy i nic nie było!
- Milcz! Ślepota poraziła wam oczy, wasze nosy nie warte są szeląga! Otwór w sklepieniu wszak zamknięty, a oprócz niego nie widać żadnego innego otworu. Gdyby tak było w rzeczy samej, musie-libyście się tutaj zadusi~, ponieważ wkrótce zabrakło by ożywczego powietrza. W każdym razie poczulibyście zgniły i dziwny zapach. No, przyjrzyjcie się teraz lampie, a zobaczycie jak pięknie płonie; natężcie organy powonienia i przekonajcie się, czy jest cho~iażby zapowiedź złego powietrza! Powietrze stale się odnawia, muszą tu zatem być w górze, lub na dole otwory, podobnie jak mojej willi „Niedźwiedzie Sadło" nad Łabą. 'I~n stały dopływ powietrza musimy odkryć. A wiecie, jak to zrobić?

- Z pomocą świecy, co? - zapytał Sam.
- 'Pak, z pomocą lampki. Widzisz więc, że chwilami wykazujesz trochę rozumu! Weźcie lampkę i trzymajcie u dołu przy podłodze, a znajdziecie otwory, przez które wchodzi świeże i wychodzi zepsute powietrze.

- Ty; Frank, ta myśl jest naprawdę niezła! - zawołał Sam Ha-wkens. - Spostrzeżenie zupełnie słuszne, mamy tu czyste powietrze, musi więc być dopływ. Poszukajmy!

- No, widzisz stary flecie, że organista rozumie się na rzeczy!
Gdyby nie ja, to ... uważaj!

Z góry rozległ się szmer. Burza minęła, nie grzmiało już, słychać więc było wyraźnie co się działo na płaskim dachu. Odsunięto ciężkie głazy, po czym uchylono nieco pokrywy. Rozległ się głos wodza:

- Białe twarze niech wysłuchają, co im powiem! Wiedzą j uż chyba, że są moimi więźniami. Wojna wybuchła między nami a białymi, a

189 zatem powinniście umrzeć; ale będę dla was pobłażliwy i daruję wam życie, jeśli mi oddacie wszystko co macie przy sobie. Wasz przywódca niechaj odpowie!

Miał na myśli Sama Hawkensa. 'I~n odpowiedział:

- Dostaniesz wszystko, czego sobie życzysz. Puść nas na górę, a oddamy!

- Mój brat mówi językiem węża. Jeśli was wypuszczę, stawicie opór.

- Zejdź na dół i weź sobie sam!
- Zatrzymacie mnie na dole. Niech białe twarze przede wszystkim zbiorą swoją brofi i następnie zwiążą rzemieniem, który wam zrzucę. Potem spuścimy lassa, aby ją podciągnąć. Sam Hawkens niech odpo-wie czy przystaje na to! „

- Czy Ka Maku dotrzyma słowa i puści nas na wolność, skoro oddamy wszystko?

- 1'dk.
- 'I~k? Hihihihi! Nie uważaj nas za takich głupców, jakim sam jesteś i uciekaj czym prędzej, bo podaruję ci kulę! Wiemy dobrze, co o was myśleć, kłamcy i zdrajcy! Nic nie dostaniecie!

- W takim razie biali zginą!
- Czekaj więc aż do tej chwili. Zadalibyście nam śmierć, gdybyśmy nawet spełnili wasze życzenia. Przeliczyliście się! Mamy brofi i zmu-simy was do zwrócenia nam wolności bez wykupu!

- Sam Hawkens myli się. Wasza broń wcale wam się nie przyda, gdyż nie dojdzie do rozpraw. Jesteście uwięzieni i nie zdołacie wyjść z lochu. Nie napadniemy na was, a zatem nie będziecie potrzebowali się bronić; brak wody i jadła wyda was w nasze ręce. Poczekamy, aż zginiecie z głodu i pragnienia, a następnie, już bez żadnej walki, weźmiemy wszystko, czego pragniemy.

Pokrywa znowu opadła. Słychać było, jak na nią wtoczono ciężkie głazy.

- Głupstwo - rnruczał Dick Stone. - Przegapiłeś okażję.

190

- Dlaczego? - zapytał Sam Hawkens.
- Należało nie odpowiadać wcale, lecz posłać mu kulkę w łeb.

Wprawdzie trzymał głowę zdala, ale czoło widziałem tak wyraźnie, że nietrudno je było przedziurawić.

- Wiem o tym, stary Dicku, ale chyba nie sądzisz, że to by się nam przydało? Wręcz przeciwnie, pogorszyłoby naszą sytuację. Nie, skoro nie zachodzi konieczność, nie pozbawiam nikogo życia. Gdzie indziej szukajmy ratunku. Idźmy raczej za radą Franka; trzeba się śpieszyć, gdyż lampka wkrótce się dopali.

Hobble Frank miał słuszność. Powietrze przepływało przez wydrą-żenia w rnurze tuż nad podłogą; wkrótce też więźniowie odkryli w powale otworki, przez które wychodziło powietrze zużyte. Otworki były wydrążone ukośnie; pionowe bowiem łatwiej wpadły by w oczy, ukazując niebo. Średnice ich nie przekraczały sześciu centymetrów. O wiele większe były otwory w ścianie.

- Teraz wszystko dobrze pójdzie - rzekł Will Parker. - Poprze-dnio nie mogliśmy obracać nożami; teraz jednak dziury stanowią punkty oparcia dla klingi. Pozostaje zagadnienie, którędy drążyć?

- Mur jest za gruby - oświadczył Sam. - Aby wydrąży~ dostate-cznie obszerny otwór, musielibyśmy bardzo długo pracować.

- Więc powała?

-‘Pdk. Wprawdzie utrudnia pracę ta okoliczność, że trzeba stanąć na barkach dwóch towarzyszy, ale skoro usuniemy bierwiona, reszta pbjdzie jak po maśle. Niestety, mamy światła najwyżej na pół godziny. Poszukajmy więc szybko najodpowiedniejszego miejsca! Znaleziono je niebawem. Sam i Droll chcieli rozpocząć; pierwszy stanął na barkach Stone’a i Parkera, drugi na barkach Ebersbacha i Straucha. Po pewnym czasie mieli ich inni zluzowaE. Skoro rozpoczę-to pracę, odezwał się Szi So:

- Światła nie starczy. By~ może, później będzie potrzebniejsze, niż teraz. Czy lampka ma się wypalić do reszty?

Rada była dobra. Zgaszono lampkę. Rozległy się ciężkie oddechy 191 obu pracujących. ‘Pdk natężyli siły, że już po kwadransie trzeba było ich zluzować. O spaniu nie było mowy. Drążono przez całą noc. Wreszcie usunięto tyle drewna, że powstał otwór, przez który poje-dynczo można było się przeczołgać. Pozostało tylko przeryć się przez górną warstwę dobrze ubitej, stwardniałej w kamiefi gliny. Tb także zajęło wiele czasu. Dopiero koło południa szczególny dźwięk noży zasygnalizował, że praca ma się ku koficowi.

- Teraz pracujcie cicho, jak najciszej - upominał Sam Hawkens.
- Inaczej usłyszą nas z góry.

Ledwo to powiedział, rozległ się wystrzał, a zaraz potem Dick Stone, pracujący wraz z Szi So, zawołał:

-All devils! Jestem ranny!
- Gdzie? - zapytał Sam.
- W ramię. Hultaje strzelają.

- Przez dach? A więc słyszeli odgłos waszych noży! Czy rana jest głęboka?

- Nie sądzę. Prawdopodobnie powierzchowna. Kość nieuszko-dzona; ale czuję, że krew spływa.

- A więc złaź żywo! Mogą znowu strzelić i trafić w głowę. Zbadamy twoje ramię!

Dick i Szi So zeskoczyli na ziemię. Teraz lampa mogła się przydać. Znowu rozległy się dwa czy trzy strzały, nikogo już jednak przed otworem nie było; kule uderzyły w podłogę. Atoli Sam Hawkens ryknął przeraźliwie.

- Czego krzyczysz? - zapytał Parker. - Czy cię trafiło?
- Nie. Chcę tylko wiedzieć, gdzie te łotry stoją.

Na górze rozgrzmiały radosne okrzyki. Indianie usłyszeli głos Sama i uwierzyli, że kula go ugodziła.

- Bardzo dobrze! - roześmiał się Sam. - Ci zbóje siedzą tuż przy naszym otworze i nasłuchują. Poczęstujemy ich ołowiem! Frank i ! Will, podejdźcie do mnie! W naszych trzech dubeltówkach tkwi sześć kul. Każdy wypali szybko po dwie kule! Raz - dwa - trzy!

192

Rozległ się huk, a zaraz potem okrzyki bólu i gniewu.

- Well! Doskonale! Hihihihi! - roześmiał się Sam. - Zdaje się, że trafiliśmy kilku. Nie sądzę, aby się odważyli znowu podsłuchiwać.

- Ale ja też nie stanę ponownie w otworze, żeby mnie zastrzelono!
- mruknął Stone.
- Nikt tego nie żąda - odrzekł Sam. - Pokaż ramię!

Zapalono lampę. Kiedy opatrzono ramię Dicka, jak się okazało, lekko jedynie ranione, rzekł Hobble Frank:

- Powinniśmy byli drążyć w ścianie, a nie w dachu. Na dachu stoją Indianie i słyszą wszystko. Jeżeli zaś będziemy ryć się przez ścianę, to nikt nas nie usłyszy.

- Ale jest to o wiele cięższa praca - zauważył Sam.
- Lepsza jest cięższa, a bezpieczna, niż lekka w asyście kul!

Sąd jego znalazł powszechne uznanie. Przystąpiono do roboty. Otwory w ścianie były tak obszerne, że więźniowie mogli w nie wsadzić po dwie naraz lufy, służące za dźwignie. Po wielogodzinnym trudzie udało się tak rozluźnić spoiwo, że można już było do dalszej pracy używać noży.

Upłynęło już popołudnie i zapadł zmierzch, kiedy pienwszy kamiefi wypadł z muru. Pierwszy. A ile ich jeszcze było do usunięcia! I w jakim opłakanym stanie znaleźli się uwięzieni! Wszak pragnęli tu urządzić postój i wypocząć. Po przybyciu do puebla zdążyli jedynie ugasić pragnienie, nie zaspokoili jednak głodu. ‘I~raz minęła już przeszło doba, a nic jeszcze nie mieli w ustach. Głód i pragnienie dokuczały dorosłym, a cóż dopiero dzieciom, których wprost nie można było uspokoić.

Pracowano na zmianę po dwóch. Na pracy upłynęła cała noc, na bardzo powolnej pracy, ponieważ mur był nader mocny, a wapno może jeszcze mocniejsze. Wreszcie przebito otwór na wylot. Tym razem kamień wypadł za mur puebla. Dosyć mała dziura przepuściła płowy blask świtu. ‘I~raz robota szła szybciej; jeszcze pół godziny, a otwór tak się powiększył, że mógł przepuścić człowieka.

7 Król n~ftowy 193

- Wygraliśmy! - cieszyła się pani Rozalia. -‘I~n otwór nie jest wprawdzie wygodnym przejściem dla przyzwoitej damy, ale kiedy chodzi o wolność, gotowa jestem przeleźć przez komin, co pociąga za sobą absolutną niemożliwość przyzwoitego doprowadzenia się do stanu pierwotnej czystości. ‘Il;raz, naprzód marsz, moi panowie! Kto pójdzie na czele? Grzeczno ś~ naturalnie wymaga, aby przede wszsyt-kim ratowały się damy. Dlatego godzę się iść pierwsza. Nachyliła się już, aby wetknąć głowę w otwór, lecz Hobble Frank pociągnął ją w tył.

- Czy postradała pani zmysły, madame Ebersbach? Co pani na myśl przyszło? ‘Ib nie dla bab! ‘Iii muszą rozpocząć panowie wszech-stworzenia!

- Kto? - zapytała. - Panowie wszechstworzenia? I do nich pan się zalicza?

- Naturalnie!

- No, w takim razie żał mi tego całego wszechstworzenia! Jestem damą, niemiecką damą z Saksonii rodem. Czy pan nie słyszał, że wobec dam trzeba być grzecznym?

- Ależ ja pani nie rozumiem, droga, najmilsza pani Ebersbach!

Jeśli chcę wyjść przed panią, to jedynie z grzeczności!

-O-o-o! Jeżeli pan tak myśli, to użyłpan tego słowa fałszywie. będziesz pan grzeczny, jeśli mnie pozwolisz być grzeczną. Nie może pan tego zmiarkować?

- Bardzo dobrze, lecz czyni to pani na opak.
- Na opak? Jak to?
- No, otwór jest co najmniej trzy metry nad platformą. Czyż nie?
-‘Iak.
- Będzie pani musiała z tej wysokości skoczyć. Czy potrafi pani?

- Mam nadzieję. Skoro chodzi o wolność, zeskoczę z każdej wysokości.

- Głową naprzód?
- Głową. A jak inaczej?

- Jeśli pani skoczy głową naprzód, trzy metry w dół, to wbije ją pani w plecy tak głęboko, że jej nikt nie dojrzy. Skacze się wszak nogami, a nie tą częścią ciała, gdzie przechowuje się zazwyczaj zdrowy ludzki rozsądek. A zatem, należy wleź~ w otwór nogami do przodu.

- Ale to będzie skok nienaturalny! Przecież nie mam oczu w nogach!

- Przyznaję. Jednakże sama pani zobaczy, że postępuję grzecznie, wyprzedzając panią. Przypuśćmy, że Indianie spostrzegli spadające kamienie. W takim razie na pewno stoją na straży. Otóż, skoro się ktoś ukaże w otworze, wszystko jedno nogami, czy głową, poczęstują go kulą. Jeśli i teraz zechce pani wyjść pierwsza, owszem, nie mam nic przeciwko temu.

- Dziękuję uprzejmie! Jestem damą, a jako taka nie ma obowiąz-ku brać kul, przeznaczonych dla panów wszechstworzenia. Złożywszy to oświadczenie, cofnęła się szybko. Atoli i Frank nie dostąpił tego niebezpiecznego zaszczytu, który w rzeczywistości przy-padł Samowi Hawkensowi. Westman zatknął kapelusz na strzelbę i wysunął go przez otwór następnie wychylił głowę ale nader powoli. ledwo oko jego dotarło do wylotu, cofnął się czym prędzej i zameldo-wał:

- Istotnie, na dole, na platformie, stoi gromada wartowników. A więc odkryto nasz otwór.

- Czy widzieli ciebie? - zapytał Dick Stone.
- Nie.
- Czy są uzbrojeni?
- Mają strzelby.

- A więc na pewno będą strzelać! Stoją na dole, na platformie i oczekują nas, my zaś możemy wyskakiwać pojedynczo. Prawdopo-dobnie czatują nie tylko z dołu, ale i z góry. Zaraz się przekonamy! Wziął swoją długą strzelbę, nasadził na nią swoje nieopisane na-krycie głowy i powoli wysunął lufę przez otwór, tak, że mogło się to wydawać głową ludzką. Rozległ się okrzyk, po czym padło naraz wiele 195 strzałów. Dick wycofał strzelbę, dókładnie zbadał kapelusz i orzekł:

- Dwie kule trafiły, jedna z góry, druga z dołu. Co o tym powiesz, stary Samie?

Zapytany dopiero po dłuższej chwili odezwał się przygnębionym głosem:

- Na górze stoją strażnicy i obsenwują otwór. Nad nami Indianie i pod nami Indianie; źle, bardzo źle! ...

- Odpędzimy ich strzałami! - rzekł z determinacją Hobble Frank.

- Spróbuj! Powystrzelaj tych, co siedzą na naszym dachu!
- Ale tym łatwiej jest zastrzelić tych, którzy stoją na dole.
- Jakże to zrobisz?
- No, trzeba tylko wycelować w nich i wypalić!

- Łatwo powiedzieć. Dziura jest tak ciasna, że potrafisz celować o ile wysuniesz na powietrze całą strzelbę, obie ręce i głowę. Lecz, zanim złożysz się w tej niebezpiecznej pozycji, poczujesz kilka kul w mózgownicy.

- Do stu tysięLy kartaczy! ‘Ib prawda! Mamy więc piękne otwory i nie możemy wyjśc!

- Niestety! Na próżno się trudziliśmy. Nie możemy się wydosta~ ani przez dach, ani przez ścianę. ,

- Bodaj piorun trzasł! Czy to prawda? - zapytała pani Rozalia.
- Jeszcze jaka prawda! - oświadczył Sam.
- Czyż nie ma innego wyjścia? Na przykład przez podłogę?
- Nie, gdyż od razu spostrzegą nas z dołu.

- No, a więc wały stoją, jak stały! I tacy chcą być panami wszech-istnienia. Gdybym była mężczyzną, wiedziałabym, co począć!

- ~?
- Właśnie, że nie wiem, bo nie jestem mężczyzną, lecz damą.

Stworzono was, panowie, po to, żebyście nas bronili; rozumiecie? Spełnijcie swoją powinnoś~! Nie jestem powołana do suszenia sobie głowy nad sposobem wydobycia się z tego lochu. Ale wyjść stąd muszę 196 bezwarunkowo, żądam więc, abyście natężyli swoje rozumy i znaleźli sposób ratunku!

Nastąpiła długa cisza. Każdy szukał w myśli drogi do wolności; ale nikt nie otwierał ust, aby tę drogę zwiastować. Upływały długie chwile w męczącym posępnym milczeniu. Wreszcie odezwał się Szi So:

- Nic nie pomoże, zastanawianie się i przemyśliwanie. Mogliby-śmy wyjść tylko pojedynczo, a więc musielibyśmy paść pod kulami. A jednak wierzę, że będziemy ocaleni.

- Jak? Jak? W jaki spsób? - rozległo się dookoła.

- Old Shatterhand i Winnetou mieli się spotkać na Ranezu Fornera. Gospodarz zawiadomi ich prawdopodobnie o naszej podró-ży, więc udadzą się w ślad za nami i przybędą do puebla.

- 'Pdk, - odpowiedział Sam, głęboko wzdychając. - to jedyna nasza nadzieja. Przybędą tutaj; mógłbym przysiąć, że przybędą. Jeśli wytrwamy do tego czasu, będziemy uratowani.

- Mówicie o dwóch tylko ludziach. Cóż oni dokażą wobec tylu Indian? - wtrąciła pani Rozalia.

- Zamilknij pani uprzejmie! - odezwał się Frank. - Co może pani wiedzieć o tych bohaterach, którzy są moimi przyjaciółmi i dobroczyńcami! Skoro wpadną na nasz trop, możemy zaśpiewać psal-my dziękczynne. Wydobędą nas i to nie tylko nas!

- Kogóż więcej?

- Bankiera, jeśli jeszcze żyje.

- Ten już chyba nie będzie żył - westchnął Droll. - Ani on, ani jego księgowy. Względem nich miano nieszczególne zamiary, inaczej bowiem byliby tu z nami.

Miał słuszność, aczkolwiek z innych względów niż sądził. Dla tych szczególnych zamiarów wypuszczono Rollinsa i buchaltera z puebla.

Wyzwolenie

Bankier i jego buchalter jechali teraz na północ wraz z królem naftowym, Buttlerem i Pollerem. Nie biwakowali w drodze, póki w południe nie dotarli do lasu Gór Mogollon, który ich uraczył cieniem, chłodem i napojem. Zeszli z koni i usiedli nad stawem aby wypocząć i dać również wypoczynek wierzchowcom. Teraz król naftowy opo-wiedział historię, która miała wytłumaczyć bankierowi dziwne zdrze-nia ubiegłej nocy. Osiągnął cel. Rollins nabrał całkowitej do niego e:: ufności i cieszył się z towarzystwa tak mężnych i uczciwych ludzi, jak Buttler i Poller.

Wypocząwszy, dosiedli koni i pojechali dalej. Wieczorem natrafili na miejsce, doskonale nadające się do przenocowania. Płynął tu strumyk i było sporo suchego drewna, którym mogli podsycać ognisko przez całą noc. Ani Rollins, ani Baumgarton nie zwrócili na to szczególnej uwagi, że król naftowy, Buttler i Poller byli suto zaopa-trzeni w żywność, której przecież nie mogli zabrać z puebla. Kiedy Poller rozpalił ognisko, Buttler rzekł zaniepokojony:

- W pobliżu ciągną się obszary Nijorów. Czyż nie byłoby lepiej zrezygnować z ognia? Łatwo może nas zdradzić.

- Nie ma niebezpieczefistwa - oświadczył król naftowy. - Je-stem z Nijorami na dobrej stopie.

- Wykopali topór wojenny!

198

- Nic nie szkodzi. Dla mnie nie są groźni, nawet na ścieżce wojennej.

- Nijorowie mieszkają na północy, a na południu Gilenowie.

Obozujemy na pograniczu obu plemion, więc w strefie najniebezpie-czniejszej. Pełno tu wałęsających się oddziałów, które dla zysku nie oszczędzają ani wroga ani przyjaciela.

-Aja ci powiadam, żew całej okolicy nikogo teraz nie znajdziesz.

'Ib właśnie miejscejest głęboko ukryte; nie spotkałem jeszcze, aczkol-wiek byłem tu już nieraz, żywej duszy, nawet śladu żywej duszy. Możemy zatem spokojnie rozpalić ognisko.

Aczkolwiek, tak bardzo był pewny swej sprawy, mylił się przecież, gdyż na północ od nich jechali dwaj jeźdźcy, którzy, nie widząc się nawzajem, dążyli do tego samego celu, mianowicie, do miejsca gdzie król naftowy obozował wraz z towarzyszami.

Jeden od drugiego był oddalony o milę, obaj zaś o trzy mile od obozu.

Jeden był biały i dosiadał wspaniałego karego ogiera o różowych nozdrzach, z owymi kręconymi kosmykami włosów, które u Indian uchodzą za oznakę przednich zalet. Siodło i uprząż były najlepszej indiańskiej roboty. Jeździec był nie nazbyt wysoki, nie nazbyt szeroki, lecz ścięgna jego wglądały jak stalowe, a mięśnie jak z żelaza. Broda ciemnobląd okalała spalone słońcem poważne oblicze. Nosił wyfren-dzlowane legginsy, koszulę myśliwską również na szwach wyfrendzlo-waną i długie buty, sięgające aż do kolana; na głowie kapelusz filcowy o szerokiej kresie z rzemykiem, ozdobionym koniuszkami uszu sza-rego niedźwiedzia. Przy szerokim, splecionym z pojedynczych rzemy-ków i wyłożonym nabojami pasie, wisiały dwa rewolwery i nóż. Z lewego ramienia wiło się ku prawemu biodru lasso, skręcone z drob-nych rzemieni, a szyję okalał mocny sznur jedwabny, na którym wisiała ozdobna w skórki koliberków fajka pokoju. W główce jej nacięte były misterne znaki indiańskie. W olstrze przy siodle tkwiła strzelba o krótkiej lufie i zamku nader dziwnej konstrukcji, był to 199 dwudziestopięciostrzałowy sztucer ystemu Henry'ego, na plecach zaś wisiała dwururka niedźwiedziówka najcięższego kalibru, jakiej j uż dziś nie znajdziesz nigdzie.

Prawdziwy myśliwy nie dba o elegancję i czystość. Im bardziej zaniedbany strój nosi, tym wyższego doznaje szacunku, gdyż zapwene tym więcej przebył drogi i tym więcej doznał przygód. Z pogardą spogląda na każdego, kto zwraca uwagę na swoją powierzchowność. Największą zaś zgrozę budzi w nim wyczyszczona do połysku strzelba. Według powszechnego mniemania, westman-obieżyświat nie ma cza-su na zajmowanie się drobnostkami. Otóż wspomniany jeździec od-znaczał się tak starannym i czystym wyglądem, jak gdyby dopiero poprzedniego dnia wyruszył z St. Louis na Far West. Strzelba, zdawało się, jakby przed godziną wyszła dopiero z rąk rusznikarza. Wyczysz-czone buty połyskiwały, ostrogi nie miały na sobie ani śladu rdzy. Na ubiorze tego człowieka nie znać było żadnych przebytych trudów. Nie tylko twarz miał czystą, ale i ręce! Mógł to być doprawdy „niedzielny" myśliwy.

I w rzeczy samej, bardzo wielu ludzi, widząc go po raz pierwszy, przyjmowała za niedoświadczonego amatora. Jakże jednak czuli się zawstydzeni, skoro usłyszeli jego nazwisko. Albowiem nie był to nikt inny, tylko Old Shatterhand.

Miano to pochodzi od angielskiego czasownika shatter, oznacza-jącego: rozbić, zmiażdżyć. Nie przelewał krwi wroga, chyba z konie-czności, a i w tym wypadku częściej ranił, niż zabijał. Jeśli go mógł tylko dosięgnąć, powalał uderzeniem pięści w skroń, tak potężnym, że nikt na pierwszy rzut oka nie przypisałby mu takiej siły. Stąd to przezwisko, nadane przez białych i czerwonych myśliwych. Drugi jeździec, oddalony o milę na zachód, to był Indianin. Koń, którego dosiadał, dokładnie przypominał rumaka Old Shatterhanda. Bywają ludzie, którzy z pierwszego wejrzenia, zanim jeszcze powie-dzą słowo, wywierają na nas głębokie, niezapomniane wrażenie. 'Pa-kim człowiekiem wydawał się być.

200

Nosił białą wygarbowaną koszulę myśliwską, ozdobioną indiań-skim haftem. Legginsy uszyte były z tego samego materiału i ozdobio-ne grubymi frendzlami z włosów skalpu. Nie widać było na

koszuli, ani na spodniach najmniejszej plamki. Drobne stopy tkwiły w wyszy-wanych perłami mokasynach, ozdobionych kolcami jeżowca. Z szyi zwisał cenny woreczek z lekami, kunsztownie rzeźbiona fajka pokoju i potrójny naszyjnik z kłów szarego niedźwiedzia, najniebezpieczniej-szego z drapieżników górskich. Na biodrach spoczywał szeroki pas, z bardzo cennego santillo. Zza pasa wyglądały rękojeście dwóch rewol-werów i noża do skalpowania. Głowy nie okrywał. Długie, gęste, granatowokrucze włosy były ułożone w wysoką czuprynę i splecione skórą grzechotnika. Żadne pióro orle, żadna oznaka nie zdobiła tej fryzury, a jednak z pierwszego rzutu oka poznać było wodza. Rysy jego męskiej i poważnej twarzy możnaby nazwać rzymskimi. Przed nim, w poprzek siodła, leżała strzelba o kolbie nabitej gęsto srebrnymi ćwie-kami.

Każdy westman, który by go ujrzał po raz pierwszy, poznałby natychmiast, kogo ma przed sobą, a to po strzelbie, która była przed-miotem opowieści u tysiąca rozmaitych ognisk obozowych. ‘I3~zy były strzelby Zachodu najznąkomitsze: sztucer Old Shatterhanda, jego niedźwiedziówka i srebrna rusznica Winnetou.

Owym czerwonoskórym jeźdźcem był zatem Winnetou, wódz Apa-czów.

Nie jechał, jak jedzie zazwyczaj myśliwy; wisiał niejako na siodle, jak gdyby nie znał się na kofiskiej jeździe. Zdawał się ze znudzeniem wodzić oczami po ziemi, atoli ci, którzy go znali, dobrze wiedzieli, że uwadze jego oczu nie ujdzie najmniejsza drobnostka.

Naraz wyprostował się, nie osadzając konia; równie szybko przyło-
żył strzelbę i wycelował w drzewo; huknął wystrzał, był to huk krótki,
ostry. Skierował konia ku drzewu, sięgnął do wydrążenia, znajdujące-
go się w pobliżu najniższej gałęzi i wyciągnął przestrzelone zwierzę
wielkości przeciętnego psa, o żółto-szarym futerku, którego sierść u
201
\
koficów zabarwiona była na czarno. Ogon miało o połowę krótszy od ciała. Był to szop, zwany przez ~erykanów coati lub raccoon, poszu-kiwany przez myśliwych, którzy przyrządzali z niego smaczną pieczeń. Nie upłynęło jeszcze dziesięE sekund od wystrzahx, gdy na wscho-dzie rozległ się drugi, o głębokim, osobliwie ciężkim odgłosie .

- Uff! - zawołał Indianin, -Akaya Selka hi Lata!

Znaczy w narzeczu Apaczów: „’Pdm jest Old Shatterhand!” I rzecz dziwna; Old Shatterhand, który również jechał na pozór obojętnie i sennie swoją drogą, usłyszawszy wystrzał, osadził konia i rzekł:

- Tó głos srebrnej strzelby!

Szybko zdjął niedźwiedziówkę i dał wystrzał, ten właśnie, po któ-rym Winnetou natychmiast poznał strzelbę przyjaciela. Europejczyk i w ogóle każdy, kto nie przebywał przez dłuższy czas na Zachodzie, nie uwierzy w tak nieomyłną wrażliwość słuchu. Doświadczony wes-tman ma zmysły wyczulone, gdyż od nich to stokroć zależało jego życie. Kto nie może im ufać, ten ginie niechybnie. Jakże różnorodny jest głos ludzki! Można poznać znajomego spośród tysiąca ludzi. A szczekanie psa? Czyż nie po2namy natychmiast swego Cezara, lub Nerona po szczekaniu? Czyiby miało być inaczej ze strzelbami? Każda posiada swój własny głos, choć wie o tym tylko ten, kto ma dobre uszy.

Skoro przebrzmiał drugi wystrzał, obaj przyjaciele porzucili dotychczasowy kierunek i ruszyli na spotkanie; Old Shatterhand na zachód a Winnetou na wschód. Aby się szybciej odszukaE, wystrzelili raz jeszcze. Spotkawszy się, zeskoczyli z koni i serdecznie się uściskali.

-Jakże się cieszy moja dusza, że już dzisiaj widzę mojego białego brata! - rzekł Winnetou. - Mieliśmy się spotkać dopiero pojutrze na Ranczu Fornera. Moje serce od dawna tęskniło za tobą i myśli spieszyły ci naprzeciw.

- Ja także jestem szczęśliwy, że mam przy sobie najlepszego i najszlachetniejszego przyjaciela. - ódrzekł Old Shatterhand. -

202

Brakło mi ciebie od czasu; gdy się rozstaliśmy; dusza we mnie zamarła z radości, skoro cię zobaczyłem. Jakże się powodziło memu bratu?

- Słofice podnosi się i zachodzi, dnie przychodzą i odchodzą, trawa rośnie i więdnie, lecz Winnetou nie zmienił się. Czy mój brat wiele przeżył od tego czasu, jak widzieliśmy się po raz ostatni.

- Wiele! Nie każdy dziefi jest piękny, a i wśród traw prerii niejedną znajdziesz trującą. Przeszłość jest podobna do tej prerii. Ale i ja pozostałem takim, jakim byłem. Skoro zasiądziemy przy ognisku, opowiemy sobie wszystkie przeżycia i przygody. Czy mój brat zna miejsce, gdzie można normalnie odpocząć?

- ‘1’dk. Jeśli będziemy jechać jeszcze godzinę, przybędziemy do niedużego jeziora, w które przelewa się boczne źródło. Źródło ze wszystkich stron osłania zagajnik; nie zdoła go przebić żadne oko. ‘Pam rozniecimy ogiefi i upieczemy szopa, którego dopiero co upolo-wałem. Mój brat niech jedzie za mną!

Jechali więc między wysokimi drzewami lasu. Było dosyć mroczno, gdyż słofice, ledwo, ledwo przenikające, chyliło się ku widnokręgowi. Po upływie godziny dotarli do wody. Do owego wąskiego jeziora, o którym wspominał Winnetou. Nagle wstrzymali konie, na trawie bowiem zauważyli pasmo, wydeptany ślad, który ciągnął się z lewej strony ku prawej. Obaj myśliwi zsiedli z koni, aby dokładnie obejrzeć trop i obaj po kilku chwilach podnieśli się równocześnie.

- Pięciu jeźdźców - rzekł Old Shatterhand - na dosyć znużo-nych koniach.

- Przejeżdżali tędy dopiero przed kilkoma minutami - uzupełnił Winnetou. - Niedaleko stąd rozbiją obóz.

- Musimy zobaczać, co to za jedni. Mój brat wie chyba, że w tej okolicy wykopano topór wojenny.

Poszli ku zagajnikowi, który rósł nieopodal, wprowadzili konie między gęste krzewy i położyli im ręce na chrapach. Dla koni wytre-sowanych po indiafisku był to nakaz zachowania spokoju i ciszy. Następnie wi~ócili do wody i cichymi powolnymi krokami poszli za 203 śladem. Obaj byli mistrzami w skradańiu się i korzystali z każdego drzewa, z osłony każdego krzewu, każdego wykrotu . Nie upłynęło pięć minut, gdy Winnetou zatrzymał się i wciągnął powietrze do nosa. Old Shatterhand poszedł za jego przykładem i poczuł zapach dymu.

- Obozują w pobliżu i rozniecili ognisko - rzekł Winnetou. - Tb chyba biali, gdyż czerwonywystrzegałby się obozowania w miejscu, nie osłoniętym przed wiatrem.

Brzeg jeziora w tym miejscu zasłonięty był drzewami, pod którymi rosły wysokie krzewy, wspaniała osłona dla obu myśliwych. Wkrótce ujrzeli ognisko; płonęło tuż nad wodą, wysokie na wiele stóp. Prwa-dziwy westman nie dopuściłby do takiej nieprzezorności. Grunt stanowił miękki mech, głuszący lekkie kroki tak wyćwiczo-nych zwiadowców, jak Winnetou i Old Shatterhand. Ognisko paliło się za czterema drzewami, stojącymi blisko siebie i oddzielonymi gęstym zagajnikiem. ‘I~vorzyły niejako parasol, zakrywający obu wes-tmanów. Posuwali się bardzo ostrożnie; teraz wyciągnęli się na ziemi, głowy wsunąwszy między krzewy i spojrzeli poprzez liście. Ujrzeli pięciu nieznajomych. Ognisko płonęło w odległości pięciu kroków od drzew. Po bliższej stronie ogniska siedzieli król naftowy i Buttler, jego brat, plecami oparci o drzewo. Po drugiej stronie bankier i księgowy, na prawo Poller łamał suche gałęzie i podsycał nimi płomiefi. Musieli się czuć bezpiecznie, gdyż rozmawiali tak głośno, że słowa ich rozle-galy się wyraźnie w

promieniu co najmniej dwudziestu kroków. Oczy-wiście, obaj podsłuchujący myśliwi nie mieli ochoty ganić ich za tę nieostrożność.

-‘Pdk, mister Rollins, - mówił król naftowy - zapewniam pana, że zrobi pan pierwszorzędny, nadzwyczaj świetny interes. Na powie-rzchni nafta płynie na grubość palca. Pod wodą musi się znajdować w ogromnych ilościach. Odkryłemją szczęśliwym trafem, gdyż miejsce jest tak niedostępne, że mogę się założyć, iż nigdy jeszcze nie postała tam stopa ludzka, mimo że dopływ Chelly często odwiedzają myśliwi

204 i czerwonoskórzy. Jak wspomniałem, wyminąłbym to miejsce, gdyby mnie nie uderzył zapach nafty.

- Czy istotnie był aż tak silny? - zapytał bankier.
- Myślę! Byłem oddalony o pół mili, a jednak wywąchałem naftę.

Możecie sobie wyobrazić, ile tam jest oleju skalnego. Jestem prze-świadczony, że nie trzeba będzie głęboko wiercić, aby natrafić na podziemne źródła. Heigh day, to dopiero tryśnie fontanna! Załóżmy się sir, że będzie wysoka co najmniej na sto stóp!

- Nigdy się nie zakładam - odpowiedział Rollins spokojnym tonem, który nie był w danej chwili naturalny, gdyż blask oczu zdra-dzał ogromne podniecenie. Chcę wierzyć, że jest tak, jak pan opowia-da.

- Czy może być inaczej, sir? Czy mógłbym pana oszukać? Przyby-wszy na miejsce, odkryłby pan od razu prawdę. Nie żądałem przecież od pana ani ‘dolara; zapłacisz mi pan dopiero wówczas, kiedy się przekonasz, że interes jest uczciwy i że pana nie oszwabiłem.

- ‘I~k, postępowaniem swoim dowiódł pan, że jest uczciwym człowiekiem. Chętnie to panu przyznaję.

- Dodajmy do tego, że zapłaci pan nie gotówką, lecz przekazami na San Francisco?

Baczny obserwator zauważyłby, że pytaniu temu towarzyszył wyraz niecierpliwego wyczekiwania. Spojrzenie Grinleya wbiło się w ban-kiera ze źle utajoną chciwością.

Rollins nie zauważył tego spojrzenia i odpowiedział zatroskany:

- ‘Pdk, na tym może pan polegać. A co się tyczy wczorajszej przygody w pueblo, dziwię się niezmiernie, że wódz Ka Maku nie wypróżnił nam kieszeni. Nie mogę sobie tego wytłumaczyć.

- O, wytłumaczenie jest tak jasne, jak tylko być może. Czerwoni po prostu nie mieli czasu na grabież. Przede wszystkim chcieli nas wszystkich wyłapać i uwięzić:

- Czy mniema pan, że groziła nam śmierć?
- Naturalnie! Na pewno przywiązanoby nas o świcie do pala 205 męczarni.

- W takim razie obaj winniśmy panu życie. Tym bardziej smuci mnie los naszych towarzyszy. Prawdopodobnie już wszyscy pojednali się z Bogiem.

- ‘Idk - dodał Buttler. - Czynię sobie gorzkie wyrzuty, że odjechaliśmy, nie zatroskawszy się o nich. Powinniśmy byli uwolnić ich za wszelką cenę.

- Mówi pan tak, - odezwał się król naftowy - ponieważ czujesz się teraz bezpieczny. Ja natomiast zapewniam pana, że niepodobna ich było uratować. Znam Far West, może pan ufać moim słowom. Nie powinniśmy sobie czynić najmniejszych wyrzutów, wręcz przeciwnie, twierdzę, że nasza ucieczka bardziej się przydała towarzyszom, niż wszelkie daremne próby ich odbicia, próby, które przypłacilibyśmy życiem.

- Jak to?

- Dzięki naszej ucieczce zyskali wiele czasu. Czerwonoskórzy, odkrywszy ślady, natychmiast wyruszyli w pościg. Nie mogli zatem dzisiaj dręczyć swych ofiar. Liczę dziefi na pościg, dzień na

powrót. ‘Ib czyni zwłokę dwudniową, a wiadomo, co może się zdarzyć w ciągu tego czasu, tym bardziej gdy chodzi o tak dzielnych, doświadczonych i śmiałych ludzi.

- Hm, - mruknął bankier - to co pan mówi, jest dość przekony-wujące. Hobble Frank i Ciotka Droll są bardzo dziwnymi osobnikami, ale na pewno nie pozwolą się spokojnie zakłuć, a co się tyczy owych trzech myśliwych, zwanych Liściem Koniczyny, oni, zdaje się, tym bardziej nie dadzą się łatwo ukatrupić.

- Ma pan na myśli Sama Hawkensa? - zapytał Buttler

-‘Pdk, jego, Dicka Stone i Willa Parkera. Tb są westmani, o jakich czyta się tylko w książkach. Nie widzieliście ich panowie i nie wiecie jeszcze, w jakich okolicznościach zetknęli się z osadnikami. Poznali-byście, co to za dzielni ludzie.

- Czy był pan świadkiem, sir? - zapytał Poller.

206

- Nie, ale opowiadano o tym podczas jazdy z Rancza Fornera do puebla.

-‘Pak, - odpowiedział Buttler z uśmiechem - zwłaszcza że Sam Hawkens wydaje się szczwanym lisem. Ale czyż nie mówił pan, że czerwoni nas ścigają, sir?

- Owszem - potwierdził król naftowy.
- Jeśli nas dopadną to ujrzą ognisko, które płonie tak jaskrawo!
- Do tego nie dojdzie. Nie doścignq nas.

- Czy nie jest pan w błędzie, sir? - zapytał Rollins. - Nie znam Dzikiego Zachodu, ale słyszałem o nim wiele i jeszcze więcej czyta-łem. Ci Indianie, ci straszni ludzie, miesiącami tropią człowieka, dopóki go nie złapią.

- Ale cóż z tego? Rozważ pan, kiedy wyruszyliśmy z puebla.

Czerwoni dopiero rano mogli zarządzić pościg! Ubiegliśmy ich więc o szmat drogi, którego nie zdołają nadrobić.

- Czemu nie? Powinni tylko ciągle jechać bez wytchnienia, aby nas dogonić przed północą, podczas gdy my tu siedzimy.

Król naftowy roześmiał się na całę gardło i zawołał:

-‘Iieierdził pan poprzednio, że nie znasz Dzikiego Zachodu i nie myliłeś się; istotnie, nie masz sir najmniejszego o nim wyobrażenia. Pan sądzi, że czerwoni mogą nas ścigać po nocy?

-‘Pdk. Przynajmniej jeśli mają rozum w głowie.
- Czy wiedzą gdzie jesteśmy?
- Nie, ale wystarczy jechać naszym tropem, aby nas znaleźć.
- Czy można wąchać ślady sir, albo widzieć w nocy?
- No, oczywiście, że nie.

- Czy czerwonoskórzy zatem mogą jechać naszym tropem teraz, kiedy jest ciemno?

- Nie.

- Słusznie. Muszą się zatrzymać i czekać dnia. Jakże nas dogonią, jeśli jutro rano trop będzie niewidoczny? Nie, sir, to płonne obawy! Szczęśliwie przybędziemy do Gloomywater i tam doprowadzimy nasz 207 interes do końca.

- Gloomywater? Cóż to?
- Miejsce, gdzie odkryłem naftę.

-A skąd ono bierze nazwę? Wszak powiedział pan, że nie postała tam dotychczas ludzka noga.

- Powiedziałem, oczywiście i nie ma żadnych wątpliwości.

- Skoro się nazywa Gloomywater, to przecież musiał mu ktoś tę nazwą nadać.

1~ wnioski wprawiły króla naftowego w zakłopotanie. Mimo spry-tu, nie od razu wpadł na stosowną odpowiedź. Wypełnił krótką pauzę, która nastąpiła, półgłośnym śmiechem, nadrabiając miną. Na szczę-ście Buttler znalazł wyjście z sytuacji.

- Mister Rollins, -odezwał się-sądzi pan, że zrobiłeś dowcipną uwagę. Czy nie tak?

- Dowcipną? - odpowiedział zapytany. - Nie, sądzę, że tylko rzeczową. Miejscowoś~ ta ma swoją nazwę, a więc musiał ktoś tam by~ przed nami, przed panem Grinleyem. Czemuż więc nie mówił nic o nafcie, której zapach musiałby poczuć? Widzi pan, że zachodzą tu sprzeczności, na które muszę zwrócić uwagę.

- No, te sprzeczności łatwo usunąć! Tym człowiekiem, o którym pan mówi, był właśnie obecny tu mister Grinley, król naftowy.

- Ach! - zawołał zdumiony bankier.
-'Pdk, on to ochrzcił miejscowość nazwą Głoomywater, gdyż ...
... gdyż - przerwał król naftowy - miejscowość jest posępna i ponieważ woda ma niemał czarne zabarwienie.

Był bardzo uszczęśliwiony sprytną odpowiedzią Buttlera i rzucił mu dziękczynne spojrzenie, na co tamten odwzajemnił się ganiącym skinieniem głowy. Ani Rollins, ani Baumgarten nie zauważyli tej wymiany spojrzefi. Król naftowy stracił ochotę do rozmowy; podniósł się i oddalił pod pretekstem zbierania opału. Old Shatterhand i Winnetou musieli się wycofać, bo Grinley mógł ich przypadkiem odkryć. Na szczę~cie król naftowy poszedł brzegiem jeziora, nie racząc 208 nawet spojrzeć na miejsce, gdzie zaczaili się obaj westmani. Nie widzieli poprzednio mówiącego, ponieważ był odwrócony do nich plecami, a w dodatku dzielił ich gęsty zagajnik. Ale teraz mogli się przyjrzeć jego twarzy. Wycofali się z powrotem do lasku, gdzie ukryli konie. W milczeniu wyprowadzili je z pomiędzy krzewów i trzymając za uzdy szli lasem.

W owym miejscu, gdzie ukryli konie, była woda i trawa, dwa nieodzowne warunki obozowania. Dobrze byłoby tu urządzić postój, tym bardziej, że w ciągu nocy nie zaszedłby ich żaden z pięciu białych. Ale nazajutrz? Przezorniwestmani poszli dalej. Ślady, którewycisnęli w trawie, musiały podczas nocy znikną~.

Jednakże potrzebowali wody i paszy dla koni; wrócili więc do jeziora, oczywiście, w dostatecznie oddalonym miejscu. 'Ii~zeba było zakreśliE łuk przez las, bo na miękkim mchu nie utrwalały się odciski nóg i kopyt.

Jedynie przyzwyczajone do ciemności oczy Winnetou i Old Shat-terhanda mogły prowadzi~ w ciemności bez potknięć i upadków. Poruszali się z pewnością, jak za dnia; szli przez kwadrans i skręcili następnie na prawo w kierunku jeziora. Wlewał się w tym miejscu wąski potok; przeprawili się na prawą stronę i szli wzdłuż potoku, dopóki nie dotarli do jego początku, do owego źródła, o którym wspomniał Winnetou i nad którym chciał obozować. Rozsiodłali konie i puścili je na popas. Dopiero teraz padło pier-wsze słowo. Tó Winnetou zapytał:

- Czy brat mój ma coś do zjedzenia?
- Kawał suszonego mięsa - odpowiedział Old Shatterhand. - Nie zabrałem więcej, ponieważ jutro miałem stanąć w pueblu Ka Maku.

- Mój brat może zachować swoje mięso. Upieczemy szopa, któ-rego poprzednio zastrzeliłem.

Rzekłszy to, odszedł. Old Shatterhand nie wstał. Wiedział, że Winnetou obejdzie okolicę źródła, aby się przekonać, czy są tu 209 bezpieczni. Wrócił po dziesięciu minutach. Przyniósł ze sobą suche drewno co stanowiło pośredni dowód, że nie odkrył nic podejrzanego. Wkrótce zapłonęło ognisko, ale małe, rozniecone zwyczajem in-diafiskim; obaj westmani usiedli, aby ściągnąE skórę ze zwierzęcia . Po krótkim czasie rozniósł się zapach pieczeni, ów szczególny zapach, właściwy ogniskom obozowym. Westmani spożywali mięso w milcze-niu, powoli i z apetytem.

Zaspokoiwszy głód, przypiekli pozostałe mięso na dziefi następny i dopiero teraz przemówił Winnetou:

- Ile rzemieni ma przy sobie mój brat?

- Z jakieś dwadzieścia sztuk - odpowiedział Old Shatterhand, domyślając się celu pytania o rzemienie.

- I ja mam tyle, -oświadczył wódz -jednakże pokrajamy skórę szopa, ponieważ jutro zapewne będzie nam potrzebna większa ilość więzów.

- 'Idk, dla wojowników Ka Maku - odpowiedział Old Shatter-hand. -'h;n wódz wprawdzie nigdy przeciwko nam nie występował, ale należy się spodziewać, że trzeba będzie jutro zmusić go do posłu-szefistwa.

- Mój biały brat ma słuszność. Czy zna tych ludzi, których podsłu-chiwaliśmy?

- Tylko jednego widziałem kiedyś, tego którego nazwali Grinle-yem, albo królem naftowym. Przypominam sobie, że widziałem go wśród bandy opryszków.

- Pomyślałem sobie od razu, że to niebezpieczny człowiek. Mój brat był wraz ze mną nad rzeką Chelly, o której rozmawiali; niech mi zatem powie, czy tam może znajdować się nafta?

- Ani kropli!

- I czy Grinley odkrył Gloomywater i nadał miejscowości tę nazwę?

- Nie. Przed wielu laty byłem przecież z Winnetou nad tym jeziorkiem, a już wówczas nosiło tę nazwę. Król naftowy zamierza oszukać swoich dwóch towarzyszy; co najmniej oszukać.

210

- Podwójne zabójstwo?

-'Pdk, zamierza oszukać i zabić dwóch nieznajomych. Mają zapła-cić za jakoby przez niego odkryte źródła nafty, a potem zniknąć.

- Musimy ich uratować!

- Na pewno! Ale oswobodzenie jeficów Ka Maku wymaga wię-kszego pośpiechu.

- Mój'biały brat jest gotów zrezygnować z naszego pietwotnego planu?

-'Pdk. Mieliśmy się spotkać na Ranczu Fornera, a spotkaliśmy się już tutaj. Stamtąd mieliśmy jechać do Sonory, aby odwiedzić tamtej-sze plemiona Apaczów; możemy podróż odłożyć na później. 'I~raz należy jeficów wydobyć z puebla, a następnie uratować tych obu białych. Ale co mój brat myśli o tym, że wśród więźniów znajdują się także nasi przyjaciele?

- Uff! Skąd się tu bierze Hobble Frank?

- Od czasu do czasu koresponduję z Hobble Frankiem. W jednym z listów wspomniałem, gdzie i kiedy mam się z tobą spotkać. Widać iskra Zachodu obudziła się w tym mężnym człowieku i zagnała go do nas. Droll, oczywiście, chętnie mu towarzyszy.

- I są tam również Hawkens, Stone i Parker! Uff!

Był to wyraz zdumienia, lecz zarazem nagany. Old Shatterhand natychmiast dopowiedział jej powód:

-'T~udno uwierzyć, aby tak doświadczeni ludzie dali się schwytać!

Wszak na pewno słyszeli o tym, że rozpoczęła się niebezpieczna ruchawka wojenna wśród niektórych czerwonych plemion, że zatem należy podwoić środki ostrożności. Nie powinni byli przestąpić progu puebla, póki nie wypalili z wodzem fajki pokoju. Tylko przez wczo-rajszą niepogodę mogli się dopuścić takiego niedbalstwa.

- Słusznie! Prawdopodobnie to nawałnica zapędziła ich do puebla i nie pozwoliła zapewnić sobie rękojmi bezpieczefistwa. Poza tym, Ka Maku jest na ogół przychylnie usposobiony do białych.

- Jutro będziemy wiedzieć, co go skierowało do zdradzieckiego
211 postępku. -‘I~raz jednak dam memu bratu coś pod rozwagę. Hob-ble Frank z Drollem udali się do Rancza Fornera, ponieważ tam miałeś się ze mną spotkać. Znając nas, wiedzieli, że przybędziemy punktualnie. Czemu na nas nie czekali i czemu przyłączyli się do osadników?

- Król naftowy! -
Winnetou powiedział tylko te dwa słowa, świadczące o jego nie-zwykłej przenikliwości.

- Słusznie! Hobble Frank i Droll słyszeli na ranczu o rzekomym odkryciu nafty. Nie dowierzając tej bajeczce podzielili się podejrze-niami z Liściem Koniczyny i weszli z nimi w porozumienie. Krbl naftowy spostrzegł się zawczasu i pozbył się ich w ten sposób, że namówił Ka Maku do uwięzienia całego oddziału, oprócz, naturalnie, upatrzonych dwóch ofiar oszustwa.

- Mój brat Old Shatterhand wyłuszcza moje własne myśli. Kiedy, według jego mniemania, powinniśmy wyruszyć do puebla?

- Jutro rano. Jeśli pojedziemy natychmiast, przybędziemy pod pueblo za dnia i nie zdołamy się ukryć przed wzrokiem mieszkańców. Musimy plan wykonać w nocy. Jeśli wyruszymy jutro rano, staniemy u celu we właściwym czasie.

- Winnetou podziela twoje zdanie. Będziemy wieczorem w pobli-żu puebla. A teraz zgaśmy ognisko!

Old Shatterhand polał ognisko wodą ze źródła, Winnetou tymcza-sem odbył rundę, aby się upewnić, czy można bezpiecznie zasnąć. Wkrótce położyli się na miękkiej trawie. Nie było potrzeby trzymania warty, mogli zresztą polegać na swoim czułym słuchu i na koniach, które zwykły zdradzać parskaniem zbliżanie się człowieka lub zwie-rzęcia.

Następnego dnia rano obaj myśliwi starannie napoili konie, ponie-waż należało się spodziewać, że co najmniej przez cały dzień nie dostaną wody. Wszak woda w pueblu nie mogła wchodzić w rachubę; Pueblosi byli wrogami. Przyjaciele zjedli część~ upieczonej 212 poprzedniego wieczora zwierzyny, osiodłali konie i pojechali na spot-kanie dnia, którego wieczór miał być dla nich ciężką próbą. Od obecnego obozu do puebla był dobry dzień jazdy. Przez całe przedpołudnie jechali po śladach króla naftowego i jego towarzyszy i dopiero koło południa zatrzymali się, aby dać wypoczynek koniom. Dotychczas tematem ich rozmowy były tylko przeżycia po ostatniej rozłące; o trudach najbliższej przyszłości nawet nie napomykali.’Il;raz jednak, podczas odpoczynku, Winnetou zauważył:

- Moj brat widzi, żeśmy się nie omylili; Ka Maku był w sojuszu z królem naftowym.

- Prawda! - Skinął Shatterhand. - Wódz go nie ścigał. Spotka-libyśmy bowiem albo jego samego, albo jego ślady. Pojechali dalej. Po południu dzieliła ich od puebla już tylko odle-głość godzinnej jazdy. Należało teraz ze zdwojoną czujnością wystrze-gać się niepożądanego spotkania. Zsiedli z koni, żeby przeczekać jeszcze jakiś czas, gdyż dopiero tuż przed wieczorem chcieli się zbliżyć do puebla.

Piaszczysta nizina, którą przybywali, wciskała się wypukłym klinem między Góry Mogollon. 1L i ówdzie widać było rozrzucone pojedyń-czo bloki skalne. Usiedli za jednym z takich głazów, przez którego krawędź mogli obserwowa~ kierunek południowy, gdzie wznosiło się pueblo.

Nie siedzieli długo, gdy Winnetou wskazał na prawo i zawołał zdumiony:

- Teshi, tlao tchate!
Te trzy słowa w języku Apaczów oznaczają: „Patrz ile saren!”, albo „patrz, stado saren!”. Nie miał jednak na myśli prawdziwych saren, lecz pewien rodzaj amerykańskich antylop, nader rzadko spotyka-nych w Arizonie. Stąd zdumienie Apacza. Jakże chętnie on i Old Shatterhand zapolowaliby na te szybkonogie zwierzęta, które dają tak smaczną pieczeń. Sytuacja jednak nie sprzyjała łowom. Piękne zwierzęta mknęły pod wiatr czarujących, wdzięcznych sko-213 kach na

południe, gdzie wkiótce zniknęły za horyzontem. Ścigane mkną zazwyczaj z wiatrem, aby uwolnić się nie tylko od wzroku, ale i węchu prześladowców.

- Cudowna zwierzyna, - rzekł Old Shatterhand - ale nawija się o nadzwyczaj niewłaściwej porze.

Zaczął wdychać powietrze, które wiało z południa.

- Może łatwo sprowadzić nam wrogów - rzekł Winnetou. - Stado pędzi wprost ku pueblu. Jeśli je stamtąd zobaczą, to tylko patrzeć, a wróg przybędzie.

Upłynęło pół godziny i więcej, a nie spostrzegli nic ciekawego. Zdawało się, w pueblu nie zauważono antylop. Aż oto ukazało się w dali wiele małych, szybko wzrastających punktów.

- Uff! Nadjeżdżają! - rzekł Winnetou. - Zaraz nas odkryją!
- Może nie - powiedział Old Shatterhand. -Może, będziemy mogli się schronić. Jeśli wyminą nas oddziałem, a więc tylko z jednej strony głazu, będziemy mogli skryć się po drugiej. Zobaczymy! Podnieśli się i ujęli konie za cugle.

'Pdk, w pueblo spostrzeżono antylopy; teraz wracały, ścigane przez czterech prześladowców, którzy dobywali z koni ostatnich sił.

- Tylko czterej! - rzekł Winnetou. - Bodajby wódz był między nimi!

Old Shatterhand wyjął szybko lunetę i skierował go na jeźdźców.

- Jest! - oznajmił. - Mknie na czele, na najokazalszym rumaku.
- Dobrze! - zawołał Apacz z błyszczącymi oczami. - Czy schwy-tamy go?

-'Pdk. I nie tylko jego, ale również trzech pozostałych. Uff!
Wykrzyknąwszy to słowo, dosiadł rumaka i ujął za srebrną strzelbę. W tej samej chwili Old Shatterhand siedział już w siodle i trzymał w pogotowiu sztucer. Wnet nadciągnęło uciekające stado i przemknęło w oddaleniu niespełna pięciuset kroków. Czterej Indianie znajdowali się jeszcze daleko; słychać było głośne ich okrzyki, którymi popędzali konie.

214

- Teraz! - krzyknął Winnetou.
Jednocześnie z tym okrzykiem pomknął ukosem na spotkanie Indian, a Old Shatterhand za nim. Czerwonoskórzy byli zaskoczeni nieoczekiwanym napadem.

- Stój! - zawołał Old Shatterhand, powstrzymując jednocześnie z Apaczem konia. - Dokąd mknie Ka Maku ze swoimi wojownika-mi?

Indianie z trudem zdołali osadzić rozpędzone wierzchowce. Wódz krzyknął gniewnie:

- Czemu nas powstrzymujecie! Przez was straciliśmy zwierzynę!
- I tak byście jej nie dostali. Czy goni się rącze gazele, jak powol-nego kojota? Czyż nie wiecie, że myśliwi tylko wtedy mogą je upolo-wać, kiedy otoczą stado ze wszystkich stron?

Właściwie teraz dopiero czenwoni zdołali w zupełności opanować rumaki; mogli też bacznie się przyjrzeć obu nieznajomym.

- Uff! - zawołał wódz. - Old Shatterhand, wielki biały myśliwy, i Winnetou, wódz Apaczów!

- Tak, to my - rzekł Old Shatterhand. - Zsiadaj wraz ze swoimi ludźmi z koni i chodź z nami pod ciefi głazu, gdzie odpoczywaliśmy, zanim się zjawiliście.

- Po co mamy tam pójść? - zapytał Ka Maku.
- Chcemy z wami pomówić.
- Czy rozmowa nie może się odbyć tutaj?
-'Iii słofice przypieka a tam ochłodzi nas ciefi.

- Niechaj więc moi obaj znakomici bracia pojadą ze mną do puebla. ‘Pdm będą mogli swobodnie się wypowiedzieć.

- Pojedziemy, ale po wypaleniu z tobą fajki pokoju.
- Czy to konieczne? Już dawniej ją wypaliłem z wami.

- Wówczas panował pokój; teraz wykopano topór wojenny. Dla-tego ufamy tylko tym, którzy są gotowi wypalić z nami kalumet. Kto natomiast się waha, tego uważamy za wroga. A zatem, zdecydujcie się, ale szybko!

215

Mówiąc to, operował sztucerem w taki sposób, że wodza ogarnął strach. Znał bardzo dobrze tę broń, którą czerwoni uważali za zacza-rowaną i wiedział, co to oznacza, kiedy Old Shatterhand w tak wy-mowny sposób trzyma ją w ręku. Dlatego odpowiedział kwaśno:

- Jeśli życzą sobie tego moi znakomici bracia, nie odmówimy.

Najchętniej uciekłby, ale wiedział, że to prochem pachnie. Jego rumak nie był tak śmigły, jak kule Otd Shatterhanda i Winnetou. Miał wprawdzie karabin, tak samo, jak trzej jego towarzysze, atoli zdawał sobie sprawę, że ich strzelb nie można było porównać ze znakomitymi strzelbami obu westmanów. Zeskoczył z konia, a trzej pozostali poszli za przykładem wodza. Prowadząc wierzchowce za uzdy, wszyscy razem skierowali się ku skalnemu blokowi. Skoro usiedli, Ka Maku zdjął ze sznura swoją fajkę pokoju i rzekł:

- M6j woreczek na tytoń jest pusty; może moi wielcy bracia mają kinnikinnik do nabicia kalumetu.

- Mamy dosyć tytoniu - odpowiedział Old Shatterhand. - Ale zanim wypalimy z tobą fajkę pokoju i zanim wejdziemy do puebla, chciałbym wiedzieć, kto tam obecnie przebywa.

- Swoi.
- Nikt więcej?
- Nie.

- Powiedziano mi, że ukrywasz tam obcych wojowników. Wynikły zamieszki między niektórymi plemionami, a także między czerwono-skórymi i bladymi twarzami. Ka Maku rozumie, że musimy zacho-wać ostrożnoś~.

- Jeśli moi bracia przyjdą do nas, nie znajdą żadnego wojownika.

- A jednak wielki ślad prowadzi z rancza do waszego puebla; od puebla zaś zwęża się do nieznacznego tropu pięciu ludzi.

Ka Maku, ledwo mogąc zataić strach, gorliwie zapewnił:

- Moi bracia są w błędzie. Nic nie wiem o żadnym tropie.

- Wódz Apaczów i Old Shatterhand nigdy się nie mylą w odczy-tywaniu śladów. Nie tylko odkryli trop koni i ludzi, ale znają także ich 216 nazwiska.

- W takim razie znają moi słynni bracia nazwiska, których ja nie znam.

- C~y nigdy nie słyszałeś o Grinleyu, królu naftowym?
- Nie.
- Kłamiesz!

Wódz wyrwał natychmiest nóż zza pasa i zawołał gniewnie:

-, C~y Old Shatterhand chce zelżyć głowę mężnego wodza? Mój nóż mu odpowie!

Bialy myśliwy wzruszył ramionami.

- Ka Maku popełnia wielki błąd, grożąc mi nożem. Wszak zna mnie i wie dobrze, że moja kula przedziurawi mu głowę, zanim dotknie mnie ostrzem swego noża, lub zanim zdoła podnieść swoją strzelbę, W okamgnieniu trzymał oba rewolwery w ręku wycelowane w wodza; Winnetou zaś wycelował lufę w trzech pozostałych Indian.

Teraz Old Shatterhand dodał spokojnym tonem:

- Znacie tę małą broń, w każdej tkwi po sześć kul. Mój brat Winnetou odbierze wam noże i strzelby. Najdrobniejszy odruch sprzeciwu ukrócimy kulą. Powiedziałem i tak będzie. Howgh! Wbil rozkazujące spojrzenie w oczy wodza, który nie śmiał stawia~ oporu, kiedy Winnetou odbierał mu nóż i strzelbę. Po rozbrojeniu Indian, Old Shatterhand podjął:

- Czerwoni mężowie widzą, że są w naszej mocy. Tylko wyznanie całej prawdy może ich uratowaE. Ka Maku niech odpowie na moje pytanie! Czemu pozwolił umknąć niektórym więźniom z królem naftowym na czele?

- Nie mieliśmy żadnych więźniów! -- syknął ze złością wódz.
- I nawet teraz nie ma ich w pueblu?
- Nie.
- Ka Maku powinien zdać sobie sprawę, że Winnetou i Old Shatterhand nie są niedoświadczonymi młokosami, których łatwo

217 oszukać. Wiemy dobrze, że więzicie Sama Hawkensa, Dicka Stone i Willa Parkera.

Rozbiegane oczy czerwonoskórego ujawniły przestrach.

- Oprócz tego jeszcze dwóch wojowników, Franka i Drolla oraz wielu innych białych mężów wraz z żonami i dziećmi. Czy Ka Maku przyznaje się do tego?

- Nie ma tam nikogo, ani jednego - brzmiała odpowiedź wodza.
- Czy jestem bezpańskim parszywym psem, że tak do mnie przema-wiasz?

-Pshaw! Pomówię z tobą jeszcze inaczej! A może twoi wojownicy wyznają to, czego się ich wódz z głupoty zapiera? Skierował pytanie do towarzyszy wodza.

- Wódz powiedział prawdę - potwierdził jeden z Pueblosów. - Nie mamy więźniów.

- Jak chcecie. Pojedziemy do puebla i przekonamy się o tym naocznie. Tymczasem zwiążemy was, abyście nam nie przeszkadzali. Mój brat Winnetou rozpocznie od Ka Maku!

Apacz wyciągnął rzemienie. Ka Maku zerwał się na równe nogi i zawołał wściekle: j - Mnie wiązać? Niech więc ...

Nie mógł dokończy~, ponieważ Old Shatterhand, który również szybko się podniósł, wymierzył mu w skroń taki cios, że wódz natych-miast runął, tracąc przytomnośE. Był to jeden z owych ciosów, którym słynny westman zawdzięczał swój przydomek.

- Widzicie, - rzekł do trzech wojowników - że opór byłby daremny. Czy mam was tak samo obezwładnić?

Groźba podziałała. Indianie bez oporu pozwolili się spętać. Następnie związano Ka Maku ręce i nogi. Obaj myśliwi mieli ułatwio-ne zadanie. Pueblosi, Indianie osiedli, w znacznej mierze zatracili swój pierwotny charakter wojowniczych Nomadów.

Z obawy, aby konie czerwonoskórych nie uciekły, westmani przywiązali je do siebie długimi powrozami. Potem trzeba było 218 uniemożliwić jeńcom swobodę ruchu i wzajemną pomoc. Wkopali zatem strzelby Indian głęboko w piasek, w dość znacznym oddaleniu od siebie i przywiązali do każdej po jednym jeńcu. Tymczasem wódz wrócił do przytomności; zgrzytał zębami, pojmu-jąc beznadziejność swej sytuacji. Old Shatterhand, usłyszawszy ten charakterystyczny dźwięk, oświadczył:

- Ka Maku sam jest winien, że tak niegodnie został potraktowany.
Jeszcze raz wzywam go, aby wyznał prawdę. Jeśli mi przyrzeknie wydać jeficów i całą ich własność, chętnie go uwolnię. Wódz w odpowiedzi splunął. Th obelga wywołała tylko uśmiech

politowania Old Shatterhanda. Po ponownym dokładnym zbadaniu trwałości więzów, obaj przyjaciele dosiedli rumaków i pojechali ku pueblu.

Ka Maku odprowadzał ich nienawistnym spojrzeniem. Spodziewał się, że skoro w pueblu nie doczekają się jego powrotu, zwiadowcy pojadą go szukać i niechybnie znajdą.

Mylił się Ka Maku. Pueblosi nie myśleli go szukać. Jego dłuższa nieobecność nie zaniepokoiła nikogo. W pościgu za rączą antylopą myśliwy nieraz uchodzi bardzo daleko od obozu i jeśli tymczasem zapada noc, wraca dopiero dnia następnego.

Pueblo leżało na południowym zboczu gór, przeto tylko z połu-dniowej strony było dostępne dla obserwacji. Old Shatterhand i Winnetou przybyli ze strony przeciwnej, z północy, musieli więc zakreślić łuk. Nie trzeba dodawać, że nie zaniedbali żadnych środków ostrożno~ci, w każdej bowiem chwili w polu widzenia mógł się ukazać Indianin i sam dostrzeżony, również ich dojrzeć. Słofice skryło się za widnokręgiem, kiedy ujrzeli górę i wznoszące się na jej stromym zboczu pueblo. Zbliżyli się, osadzili konie i Old Shatterhand wyjął lunetę. Niebawem podał ją Winnetou, który się wkrótce potem odezwał:

- Więźniowie usiłowali się wydostać. Czy mój brat widział otwór w ścianie drugiego piętra? 219

-'Ikk-Odpowiedział Old Shatterhand. -Przedziurawili ścianę, lecz nie mogą wyjść, bo otwór jest strzeżony. Może także usiłowali wydostać się przez dach.

- I to się nie mogło powieść. 'Pdm również stoją wartownicy.

- W każdym razie, skoro się ściemni zupełnie, Pueblosi zapalą ognisko. To nam utrudni zadanie. Lecz przede wszystkim, bądźmy zadowoleni, że zauważyliśmy ten otwór, gdyż teraz wiemy, pod któ-rym tarasem siedzą więźniowie. Na dole stoi drabina, chyba dla wodza, kiedy wróci. Oby jej nie zabierali!

Zeskoczyli z koni i usiedli w trawie, czekając, aż zapadnie mrok. Niebawem w rozmaitych miejscach puebla zapłonęły ogniska. Obaj przyjaciele przywiązali swoje konie do drzew i powoli ruszyli w stronę puebla.

Właściwie było jeszcze zbyt wcześnie na to zuchwałe przedsięwzię-cie. Lepiej było czekać kilka godzin, do chwili, kiedy Pueblosi pokładą się do snu; wówczas należałoby tylko unieszkodliwi~ wartow~ików. Aliści bardzo wiele rzeczowych względów nie pozwalało na zwłokę. Po pierwsze, mogło się zdarzyć, że schwytany wódz i jego towarzysze odzyskają wolność; mógł się na nich natknąć przypadkiem jakiś Pueb-los. Gdyby Ka Maku udało się wrócić do swoich, sprawa prawdopo-dobnie byłaby stracona. Po drugie, nie wiadomo było, jaki jest los więźniów i co im grozi. Zwłoka mogłaby pociągnąć dla nich fatalne następstwa. A po trzecie, Pueblosi chwilowo nie byli zaniepokojeni nieobecnością wodza; mogło to nastąpiE dopiero nazajutrz, ale mogło też w ciągu tego wieczora.. W takim wypadku wysłanoby zwiadowców i czekano na ich powrót. W atmosferze podniecenia i zdwojonej czujności plan obu westmanów natrafiłby na ogromne przeszkody. Lepiej było zatem wziąć się bezzwłocznie do dzieła.

Zbliżywszy się do puebla, Winnetou rzekł:

- Mój brat niechaj idzie na prawo, a ja na lewo. Spotkamy się pośrodku przy drabinie.

Old Shatterhand pojął go wlot; mieli najpierw zbadać plac przed 220 budowlą i przekonać się, czy nie stoi tam wartownik, lub któryś z Pueblosów. Old Shatterhand nie znalazł nic, co mogłoby się wyda-wać podejrzanym. Niebawem obaj spotkali się pośrodku.

- Ilff! ... - rzekł pocichu Apacz. - Nie ma drabiny.

- Nie ma, - potwierdził Old Shatterhand - ale to nie powstrzy-ma nas od wejścia na najniższy dach. Przede wszystkim musimyjednak wiedzieć, jak są rozlokowani wrogowie.

- Płoną dwa ogniska.

- Są to ogniska wartownicze; jedno na tarasie, pod którym za-mknięto jeficów i jedno na niższym piętrze, oświetlające otwór, przez który biali chcieli się wydostać. Thm stoją wartownicy. Policzyłem ich, na górze trzej i na dole trzej. A gdzie reszta Pueblosów?

- We wnętrzu. Czy mój brat nie widział, że tam płonie światło?

-'1'dk. Wejścia są otwarte i światła biją z wnętrza. Z tego należy wnosi~, że czerwoni wraz z ich squaws i dziećmi zamieszkują wyższe piętra, podczas gdy oba dolne służą prawdopodobnie do przechowy-wania zapasów.

- M6j brat słusznie rozumuje. Przed wielu laty byłem tam i obejrzałem pueblo.

- Hm! Ówczesne urządzenie mogło ulec zmianie. Musimy postę-pować ostrożnie. Dziś jest piękny wieczór i można śmiało twierdzić

,

że nie wszyscy Indianie przebywają w mieszkaniach. Być może, nie-którzy siedzą na płaskich dachach.

- Czy to nas powstrzyma?
- Nie.
- A więc przysufi się do muru, abym mógł stanąć na twoich plecach!

Stanął na jego barkach. Nie mogąc jednak dosięgnąć krawędzi niższej platformy, szepnął do towarzysza:

- Wyciągnij obie ręce wysoko; stanę ci na dłoniach.

Old Shatterhand wyciągnął ręce i trzymał wodza z taką łatwością, jak gdyby Apacz był kilkuletnim dzieckiem.

221

- Nie dostanę - rzekł Apacz.
- Jaki jeszcze odstęp? - zapytał Old Shatterhand.
-'ll~zech dłoni.
- Nie szkodzi. Palce masz jak z żelaza. Jeśli tylko dosięgniesz krawędzi, będziesz się mógł utrzyma~; wówczas pomogę ci swoją niedźwiedziówką. Liczę do trzech i podrzucę cię w górę. Uważaj i szybko się uchwyć! Raz, dwa, trzy!

Podrzucił Apacza w górę; wódz uchwycił się rękoma krawędzi muru i trzymał, niby żelaznymi klamrami. Old Shatterhand szybko podparł kolbą niedźwiedziówki nogi Winnetou, który teraz zwinnie wskoczył na taras. Przez chwilę leżał cicho i nieruchomo, nasłuchiwał, czy nie zwrócił czyjejś uwagi. Leżał gotowy do skoku, do szybkiego rzucenia się na wroga i unieszkodliwienia go ściśnięciem gardła. Jego oczy przeszukały taras wzdłuż i wszerz, nie było tam nikogo. Nieopo-dal ujrzał czworokątny otwór, prowadzący do parteru. 'Iiiż obok leżała drabina, która poprzednio została wciągnięta.

Z początku czołgał się bez szmeru ku otworowi. Osiągnąwszy go, nadstawił ucha. Na dole było ciemno. Nic się ńie poruszyło, zdawało się, że nikogo nie ma. Cofnął się do drabiny i opuścił ją dla Shetter-handa, który wspiął się na górę, położył się przy Winnetou i zapytał:

- Czy jest ktoś pod nami?
- Nic nie słyszałem - odpowiedział Winnetou.
- Czy wciągniemy na powrót drabinę?
- Nie.
- Słusznie! Mogłaby zajść konieczność ucieczki, a w takim razie drabina nam się przyda. Ale teraz wejdźmy na drugie piętro. Prowadziła tam drabina, tylko bowiem ta najniższa została usunię-ta. Ale po tej nie mogli się wspinać; była oparta o środek platformy, gdzie płonęlo ognisko i siedzieli trzej wartownicy, którzy mieli uważać na wybity przez więźniów otwór. Gdyby obaj myśliwi usiłowali wejść tędy, spostrzeżonoby ich od razu.

Platforma nad nimi miała cztery kroki szerokości, osiemdziesiąt 222 długości. Ognisko, płonące pośrodku, było, na modłę indiańską, małe, toteż nie oświetlało kraficów tarasu. Jedynie tam było ciemno, a więc obaj myśliwi wspiąć się musieli, z prawej albo z lewej strony. Obrali lewą.

‘Ii~zej indiafiscy wartownicy siedzieli przy ognisku w ten sposób, że dwaj byli zwróceni twarzą do strzeżonego otworu; trzeci przykucnął po lewej stronie i rzucał poza siebie długi, mroczny cień. ‘I~n to ciefi pozwalał westmanom zbliżyć się niepostrzeżenie. Wyciągnęli drabinę, która prowadziła do wnętrza parteru i zanieśli ją na lewy kraniec platformy. Oczywiście, należało poruszać się z najwyższą ostrożnością. Przybywszy na miejsce, przystawili drabinę do muru i weszli na górę. Przez chwilę, rozglądając się po platformie, leżeli równie cicho jak poprzednio.

- Wartownicy są sami - szepnął Apacz.

- Pomyślnie się składa. Mimo to sprawa jest nader ciężka. Nie ma tu żadnej osłony, za którą moglibyśmy się schronić.

- Ale ciefi?

- Well! Lecz nie wystarcza. Możemy przysunąć się najwyżej na dwadzieścia kroków. Jeśli jednak drab, który rzuca ciefi, poruszy się, światło padnie na nas i zdradzi.

- Zwrócimy ich uwagę w przeciwnym kierunku.
- Czym? Drobnymi kamykami?
-‘lak.

- Pięknie! Jeśli głupi, to dadzą się w błąd wprowadzić. Wówczas trzeba będzie przebyć dwadzieścia kroków w jednej chwili. Ja powalę tego, który zwrócony jest do nas plecami; ty weźmiesz jego sąsiada, trzeciego biorę znowu ja.

- Ale bez szmeru! - upomniał Winnetou.

- Naturalnie, mogą usłyszeć nas trzej wartownicy z wyższego piętra. Jeśli nawet uda nam się z tymi, wystarczy, abyjeden drab z góry spojrzał na dół, a nastąpi komplikacja.

- W takim razie trzeba szybko powalić tych trzech i natychmiast
223 pośpieszyć ku trzem następnym. Skoro i tych unieszkodliwimy, do więźniów dostęp będzie wolny.

- Ale nie obejdzie się bez hałasu i co za tym idzie, powstanie alarm w całym pueblu.

- Alarm nie przerazi Winnetou, ani Old Shatterhanda. Zgasimy ogniska. Nikt nas nie zobaczy i nie będzie mógł w nas celować.

- Dobrze! A więc zbierajmy kamyki.

Zebrali garść kamyków; następnie wyciągnęli się na ziemi i przy-sunęli do trzech wartowników. Old Shatterhand miał słuszność; za-trzymali się w odległości dwudziestu kroków. Winnetou nieco się podniósł i rzucił kamyk ponad głowami strażników, tak, że upadł z drugiej strony. Szmer, bardzo nieznaczny, nie uszedł jednak uwagi. Zwrócili twarze na prawo i nadstawili uszu.

- Udało się! - szepnął Old Shatterhand.

Winnetou cisnął jeszcze kilka kamyków w następstwie czego straż-nicy uznali, że na prawo od nich znajduje się jakaś istota, może nawet wroga.

- T~raz! - szepnął Old Shatterhand.

Podnieśli się ... Pięć, sześć niezwykle cichych susów, wpadli na wartowników. Pięść białego ugodziła tak mocno w głowę pierwszego Pueblosa, że runął bez dźwięku; w mgnieniu oka obaj przyjaciele trzymali pozostałych dwóch wartowników za gardła. Ścisnęli je z całej siły i zadali kilka uderzefi w skronie, pozbawiając czerwonych przyto-mności. Następnie szybko wzięli ich w łyka i zakneblowali usta.

- Poszczęściło się! -szepnął Old Shatterhand. - A teraz drabinę do otworu, za którym siedzą więźniowie! Chcę z nimi pomówić. Tymczasem niech mój brat Winnetou nie spuszcza z oka wyższego piętra. Na krawędzi dachu może się ukazać jeden z czuwających tam strażników.

Podniósł ostrożnie drabinę z niższego piętra, oparł ją koło otworu w murze i wspiął się do jego poziomu. Wsadziwszy głowę w otwór, zawołał tak, że słychać go było tylko we wnętrzu:

224

-Samie Hawkens, Dicku Stone, Willu Parker! Czyjest tu któryś?
Nadstawiwszy ucha, usłyszał czyjeś słowa:

- Słuchajcie! 'Iam ktoś mówi! Jakiś człowiek przy otworze.
- Prawdopodobnie jeden z czerwonych hultajów - rozległ się drugi głos. - Podarujcie mu kulę!

- Stop! - odezwał się trzeci. - Indianin nie odważyłby się tak zuchwale wsadzać do nas swego łba, bo możemy zgasić płomyk jego życia, jeśli się nie mylę. Musi to być ktoś inny, ktoś, kto chce nas ocalić, może nawet Old Shatterhand lub Winnetou. Zróbcie miejsce! Old Shatterhand poznał mówcę po zwrocie; „jeśli się nie mylę".

- Samie Hawkens, - zapytał - czy to pan?
- Myślę! - odpowiedział zapytany. - Kimże pan jesteś?
- Old Shatterhand.
Heigh day! Czy to prawda?
Yes. Chcemy was uratować.
- Chcemy? A więc liczba mnoga? Nie jest pan sam?
- Jest i Winnetou.
- Thank you! Wyczekiwaliśmy was z utęskienienm. Ale sir, czy aby jest pan naprawdę Old Shatterhand? A może się pan nazywa mister Grinley, król naftowy?

- Powinien mnie pan poznać po głosie, stary Samie!
- Co tam głos! W tym lochu wszystkie głosy brzmią jednakowo
,
tym bardziej, że mówił pan szeptem. Byłaby to miła historia, gdybyśmy zaufali głosowi, a później Old Shatterhand okazał się królem nafto-wym. Nie jestem jeszcze tak głupim szopem. Proszę o dowód!

- Jaki?
- Czy ma pan przy sobie sztucer Henry'ego?
-'Pdk.
- Dawaj go pan, abym mógł pomacać!
- Oto i on! Ale zwróć mi natychmiast, gdyż może być w każdej chwili potrzebny.

Wsunął strzelbę do otworu. Po kilku sekundach odzyskał ją z 8 - Król naftowy 225 powrotem.

-'Ib prawda! - oświadczył Sam. -1b pan we własnej osobie, sir!
Dzięki Bogu, że pan przychodzi, stary przyjacielu. Nie mogliśmy się wydostać: Jedyna nadzieja ratunku prowadziła do gorącej rozprawy, a nie chcieli~my przelewać krwi. Jak zamierzacie nam pomóc?

- Czy nie możecie wyjść górą?
- Nie. Otwór jest zamknięty.
- Nie macie drabiny?
- Łotry ją zabrali.
- A brofi?
- Mamy, nie mogli nam odebrać. Później wam opowiem, jak się dostaliśmy do tego przytuinego gabinetu.

- Musieliście postępować bardzo dowcipnie, to istny majstersztyk dla takich ludzi, jak wy. Kto tu z panem siedzi?

- Dobrzy znajomi: Stone, Parker, Hobble Frank i tak dalej.
- Dzieci?
- Niestety!

- Well! Więc słuchajcie, co powiem! Z początku wydacie nam dzieci, ale mają zachować absolutną ciszę. Później kobiety, które, należy się spodziewać, również nie zakłócą milczenia. Następnie pójdą ci, którzy nie znają Zachodu i mają niewiele doświadczenia. ~zeba, aby oni przede wszystkim znaleźli się na wolności. Unieszkod-liwiliśmy trzech wartowników, którzy tu siedzieli. Nad wami siedzą jednak trzej inni; ci mogą łatwo nas zauważyć. W tym wypadku pośpieszę natychmiast na górę, aby ich uciszyć. Jeśli mi się uda, usunę pokrywę i spuszczę drabinę, aby pozostali mogli wejść na górę, po-móc mnie i Winnetou. Czy zrozumieliście wszystko?

- Wszystko.
- Więc szybko! Czekam na dzieci.

Niebawem w otworze ukazał się chłopiec. Old Shatterhand wyciąg-nął go i oddał Apaczowi, który malca postawił tuż przy murze. Kolej-no wydobyli dzieći i kobiety. Była to nie lada praca. Old Shatterhand 226 stojąc na drabinie, musiał się niemało wysilać. Kiedy Sam Hawkens oznajmił, że kolej na mężczyzn, więc przede wszystkim na osadników, westman odpowiedział:

- Ci mogą się obejść bez mojej pomocy. Schodzę na dół i będę uważał na trzech strażników znajdujących się nad wami. Zszedł do Winnetou, szepnął mu kilka słów wyjaśnienia i pośpie-szył ku lewej stronie, gdzie stała drabina, po której się wspięli. Pod-niósł ją i oparł o wyższy taras.

Przybywszy na górę i obejrzawszy oświetloną ogniskiem platformę, zobaczył ciężkie głazy na pokrywie. Nieopodal leżała drabina, którą, jak sobie przypominamy, Indianie wyciągnęli z otworu, zanim go przykryli. Druga drabina prowadziła na wyższą platformę. Wartowni-cy siedzieli tak, że dwaj byli odwróceni od Old Shatterhanda. Westman wszedł tu w tym celu, aby, w razie odkrycia, móc od razu interwieniować. Zamierzał jednak, skoro tylko wszystkim więźniom uda się wydostać, zejść z powrotem na dół. Obliczył sobie, ile czasu wymagało wydobycie się jednej osoby, ile zatem osób mogło tymcza-sem wyjść. Kiedy pomyślał, że to już szósta z rzędu, przeraźliwy krzyk rozdarł ciszę nocną:

- Jezus Maria, kantorze, nie zwalaj się pan na mnie!

Strażnicy natychmiast zerwali się na równe nogi, podbiegli do krawędzi platformy i spojrzeli na dół. Zobaczyli uwolnionych białych jak również Apacza, który stał przy ognisku. Poznali go i jeden z nich zawołał tak głośno, że rozległo się po całym pueblu:

-Akhane, akhane!Arku Winnetou, nor~ton, szis inteh! Do mnie, do mnie! Winnetou, wódz Apaczów, jest tutaj!

Ledwo przebrzmiał ten okrzyk, rozległ się za nim drugi:

- A tu stoi Old Shatterhand, aby uwolnićjeńców! Winnetou, bierz tych dwóch chłopców!

Z błyskawiczną szybkością biały myśliwy rzucił się na wartowni-ków. Powalił jednego z nich, a dwóch innych strącił z krawędzi palt-formy, na której stali, na dół, gdzie przyjęto ich z ochofą. Następnie 227 przewrócił drabinę, która prowadziła na wyższe piętra, aby nikt z góry nie mógł zejść, po czym zepchnął głazy z pokrywy i odsłonił otwór. Niewiele chwil upłynęło, a sterczała w nim drabina.

Old Shatterhand zawołał:

- Szybko na górę! Może dojść do walki.

Skoczył teraz ku ognisku aby je zadeptać. Udało mu się to od razu, ponieważ płomiefi był mały. Zapadła ciemność, Winnetou bowiem także zagasił niższe ognisko. Old Shatterhand działał z taką szybko-ścią, że ledwo minuta upłynęła od krzyku kobiety, a już stanęli na platformie ostatni z uwięzionych. Tymczasem ożywiło się na wyższej platformie. Padały głośne zapytania. Ukazały się światła i widać było, jak ciemne postacie schodziły po drabinach. Wówczas rozległ się potężny głos Old Shatterhanda:

- Czerwoni mężowie niechaj zostaną na górze, jeśli nie chcą umrzeć! ‘Iii stoi Winnetou, Old Shatterhand, oraz ich ludzie. Kto się odważy zejść do nas, padnie trupem!

Nie chciał nikogo zabijać, lecz musiał dać im dowód swej przewagi. Tym dówodem mógł być tylko powszechnie znany wielostrzałowy sztucer, którego Indianie się lękali. Przyłożył go więc i wycelował w 1 Pueblosa, spieszącego za światłem w ręku. Chciał go trafić w rękę, nacisnął spust.

- Hahi, lalah, awi! - O, moja ręka! - krzyknął trafiony, wypu-szczając z ręki pochodnię.

‘IYzy dalsze wystrzały, jeden po drugim i tyluż Indian zniknęło.

-‘R~ zaczarowana strzelba Old Shatterhanda! Na górę, szybko na górę!

Na gbrze zapadła ciemność i tak ucichło, jak gdyby wszyscy wymar-li.

- Czy jesteście tu wszyscy? - zapytał Old Shatterhand stojącego przy nim Sama. - Czy nikt nie został na dole?

- Nikt - odpowiedział Sam Hawkens.
- Przystawcie obie drabiny i zejdźcie na dół. Myślę, że czerwoni
228 dadzą nam spokój, póki nie znajdziemy się na wolności. Ruszyli. Old Shatterhand zszedł ostatni. Skoro stanął na niższej platformie, przekonał się, że przezorny Apacz czujnie doglądał prze-prawy. Uwolnieni schodzili po drabinach. Winnetou nie naglił do pośpiechu; wprost przeciwnie, upominał, aby przez wzgląd na kobiety i dzieci, byli ostrożni i powolni, wiedział bowiem, że przez jakiś jeszcze czas można się nie lęka~ Indian. Dwa imiona Old Shatterhand i Winnetou trzymały ich w ryzach.

Schodzono zatem dosyć wygodnie po wszystkich drabinach, które zabrano z góry, aby utrudnić czerwonym pościg. Kiedy już wszyscy biali znaleźli się poza obrębem puebla, Old Shatterhand rzekł:

- Powiodło się nam i to łatwiej, niż sądziłem. Gdzie są wasze konie?

-‘Pam w korralu, na prawo za budowlą - odrzekł Hawkens.
- Czy macie brofi?
-‘1’dk.
- A wasze mienie?
- Nie mogli zabrać tego, co mieliśmy przy sobie, ale chyba zrabo-wali wszystko z juków.

- Czy mieliście także juczne konie?
- Yes. Z mieniem i sprzętem osadników.
- Czy zachowało się to wszystko?
- Nie wiem, nie sądzę. Burza tak nas zaskoczyła, że nie mieliśmy czasu rozsiodłać zwierząt.

- Hm! Gdybyście mieli wszystko, co do was należy, moglibyśmy natychmiast wyruszyć; teraz jednak trzeba będzie zmusić czerwonych, aby zwrócili łup. Sam Hawkens może mi towarzyszyć do korralu; pozostali niechaj tu stoją i uważają na niższe tarasy puebla. Skoro tylko ukaże się na nich jakiś Indianin - strzelać w niego, ale tak, aby chybić. Zrozumiano? Wystarczy, jeśli usłyszy świst kuli. Pueblosi powinni wiedzieć, że trwamy na stanowisku. Tizymamy ich w szachu. Mój brat Winnetou pójdzie tymczasem po oba nasze rumaki.

229

Apacz oddalił się po cichu, jak zazwyczaj, a Old Shatterhand poszedł wraz z Samem ku ostrokołowi, za którym umieszczono konie.

Kiedy ci trzej odeszli, odezwał się, kantor:

- A więc to są ci dwaj bohaterowie, których widoku jestem tak żądny! Nie obejrzałem ich dokładnie, ponieważ jest ciemno, ale już pierwszy ich występ podoba mi się nadzwyczajnie. Dostaną nader wybitną rolę w mojej operze.

- No, obejrzyj ich pan sobie przy świetle dziennym! - odpowie-dział Hobble Frank. - Czy nie jest tak, jak wyprorokowałem? Niech tylko się ukażą, a jesteśmy wolni!

- Prawda! - potwierdził Droll. -'R~ prawdziwy wyczyn wydobyć nas tak, że włos z głowy nikomu nie spadł. Ale zawsze poszłoby o wiele lepiej, gdyby pani Ebersbach trzymała język za zębami.

- Niby ja? - zapytała pani Rozalia. -Może pan myśli, że to moja wina, iż wyrwał mi się krzyk z gardła?

- Naturalnie! A czyja?
- Kantora, a nie moja!

- Proszę uprzejmie! - bronił się oskarżony. - Wie pani dobrze, emeritum esse. Że też pani nigdy o tytuł nie dba! Nie ma pani prawa twierdzić, że ja przerwałem głębokie silentium, które było zalecone. Przez moje wargi nie przedostał się żaden dźwięk, żadne choćby najgłębsze pianissimo. 'Ib pani, pani Ebersbach, krzyczała.

- Nie przeczę. Ale dlaczego krzyczałam? Nie mógł się pan moc-niej trzymać, panie emeritus! Jeśli znowu zechce pan skakać z drabiny, to nie akurat w tym momencie, kiedy na dole stoi dama! Jeśli pan nie trzyma mocniej skali muzycznej, to cała pańska opera bohaterska budzi we mnie politowanie! Rozumie pan?

- Rozumię panią, czcigodna pani Ebersbach. Pani za to nie rozumie z jaką benewolencją odnosić się należy do synów Muzy. Przyrzekłem pani swego czasu pamięta~ o niej i w rzeczy samej miałem zamiar oddać pani arię sopranową; ale skoro pani w ten sposób odzywa się o mojej sztuce, cofam przyrzeczenie. Honor 230 aparycji w mojej operze nie przypadnie pani w udziale!

- Nie? Ej, co pan też mówi! Myśli pan, że zależy mi na tym, aby się ukazać na deskach, co udają ziemię? Ani mi to przez myśl nie przeszło. I ja miałam śpiewać sopranem? Posłuchaj pan, zostaw mnie pan w spokoju! Jeśli ja chcę śpiewać, to nikt mi nie może rozkazywać, jak. Śpiewam tak, jak chcę. Fagotem, klarnetem albo basem, jak mi się żywnie podoba. A teraz rozprawiliśmy się ze sobą na całe życie. Bądź pan zdrów na wieki wieków!

Wielce podniecona, odwróciła się od niego manifestacyjnie. Chciał jeszcze coś dodać, lecz ostrzegł go Hobble Frank.

- Pst! Siedź cicho! Zdaje mi się, że zauważyłem żywą istotę na pierwszym piętrze. Istotnie, skrada się. 'I~raz zatrzymała się i przechy-liła głowę. 'Ib Indianin, chce nas podpatrzyć. Zaraz mu pokażę! Podniósł strzelbę, krótko celował i wypalił.

- Uff! - krzyknął jakiś przerażony głos.

W tej chwili wrócił Old Shatterhand z Samem Hawkensem.

- Co się dzieje? Kto wystrzelił? - zapytał.
- Ja - odpowiedział Frank.
- Dlaczego?

- Pewien czerwony senior stał na dachu numer jeden; chciał zapewne wiedzieć, która godzina, więc pokazałem mu, ile wybił zegar. Natychmiast się też wycofał.

- Czy trafił pan?

- Nie. Celowałem na prawo, może na dwa łokcie dalej; ale jeśli miał czterołokciowe uszy, kula przebiła mu na pewno koniuszek, co też może służyć mu za ostrzeżenie.

- A zatem odważyli się zejść, aż na pierwsze piętro! Musimy podwoić czujność. Oczywiście, staniemy w takiej odległości, aby nas nie dostrzegli, gdyż mogliby strzelać. Powinni jednak wiedzieć, że czuwamy i że nie pozwolimy im zejść. Niech więc Frank i Droll położą się tuż pod

murem. Patrząc w górę, dojrzą każdą głowę, wychyloną nad krawędzią. A wówczas czym prędzej poślą kulę!

231

- Która powinna jednak chybić? - zapytał Hobble Frank.
-'1'dk. Nie chcę nikogo zabijać.
- W takim razie nie zmarnuję żadnej z moich pięknych kul. Nie nabiję wcale strzelby.

W tej chwili Szi So podszedł do Old Shatterhanda i poprosił go:

- Panie, pozwól mi wziąć udział w obserwacji puebla! 'Ii~zy pary oczu więcej dojrzą, niż dwie.

-Tb prawda-odpowiedział myśliwy, mierząc okiem młodzieńca, którego twarzy nie mógł poznać. - Ale wydaje się pan bardzo jeszcze młodym. Czy ma pan w tej dziedzinie doświadczenie?

- Jestem uczniem swego ojca - odpowiedział skromnie Szi So.
- Kim jest ojciec pana?
- Nitsas Ini, wódz Nawajów.
- Co? Mój przyjaciel Wielki Piorun? W takim razie ty jesteś Szi So, który miał przebywać w Niemczech?

-'Pdk, to ja!
- Oto moja ręka, młody przyjacielu! Cieszę się bardzo, że cię tutaj spotykam. Pomówimy ze sobą, skoro tylko będzie więcej czasu. Gdyby było jaśniej, poznałbym cię na pewno. Ponieważ jesteś Szi So, więc mogę spokojnie spełni~ twoją prośbę. Idź zatem z Frankiem i Drol-lem! Ustawcie się tak, abyście mieli na oku platformę w całej rozcią-głości.

Syn wodza oddalił się dumny z przyzwolenie Old Shatterhanda. 1'ymczasem wrócił Winnetou z dwoma końmi, które stały uwiązane w dostatecznym oddaleniu od puebla.

- Słyszałem huk. Kto strzelał? - zapytał.
Old Shatterhand poinformował go, dodając:

- Konie uwolnionych stoją w korralu; lecz wszystkie rzeczy, siodła i uprząż zniknęły bez śladu.

- Należy ich szukać w pueblu.
-'Pdk. Nie możemy się zatem oddali~, póki nie odzyskamy wszy-stkiego. 232
- Pójdzie nam dosyć łatwo, gdyż mamy wodza.
- Słusznie, trzeba go sprowadzić. Czy mój czerwony brat zechce objąE komendę? W takim razie pojdę z Samem Hawkensem, Stonem i Parkerem po Ka Maku.

- M6j brat może jechać.
Liść Koniczyny chętnie zgodził się jechać z Old Shatterhandem. Poszli do korralu po konie. Myśliwi niewiele sobie robili z braku siodeł i uzd. Dosiedli koni i pojechali na północ. Podczas jazdy Old Shatterhand wypytał ich o szczegóły spotkania z osadnikami i uwię-zienia w pueblu. Było dosyć czasu, aby dokładnie rzecz wyłożyć, a nawet scharakteryzować uczestników przygody.

Wysłuchawszy do kofica relacji, Old Shatterhand potrząsnął głową:

- Dziwni ludzie i jakże nieostrożni! A zatem przyłączyliście się do nich i chcecie im towarzyszyć?

-'Pak - odpowiedział Sam. - Potrzebują opieki, a nam zasadni-czo wszystko jedno, dokąd się skierujemy.

-Hm! Chciałem wprawdzie wraz z Winnetou przeprawić się przez granicę, ale poczuwam się do obowiązku czuwania nad osadnikami. Wypada im droga przez miejscowości, gdzie bez pomocy doświadczo-nych ludzi zginęliby niechybnie.W takich okolicznościach trzeba być bardzo ostrożnym. Na przykład ten emerytowany kantor może stać się powodem niejednego nieszczęścia.

- Już był kilkakrotnie. Najchętniej przepędziłbym go na cztery wiatry, ale nie mogę. A,następnie sprawa króla naftowego. Co pan o tym powie?

- Oszustwo!

- Well, jestem tego samego zdania. Księgowy jest naszym roda-kiem. Nie możemy dopuścić do jego zguby.

- W żadnym razie! Pojedziemy za Grinleyem, który zresztą korzy-sta chyba także z innych jeszcze nazwisk. Mniemam, że go dogonimy na czas. Jestem ciekaw, w jaki sposób zamierza wyczarować z ziemi naftę!

233

Mknęli bardzo szybko. Już niewielka odległość dzieliła ich od miejsca, gdzie zostawili spętanego wodza i jego wojowników. Old Shatterhand opowiedział okoliczności schwytania Ka Maku, po czym dodał:

- Zaprzeczał wszystkiemu, zasługuje zatem na karę. Spróbuję jednak razjeszcze nakłonić go do wyznania prawdy. Jeśli was zobaczy, zorientuje się natychmiast w sytuacji. Ruszę szybciej naprzód, wy zaś pojedziecie za mną powoli. Zboczywszy na północ, przybędziecie wprost do skały, za którą zostawiliśmy jeficów. Było bardzo ciemno, ale mimo to Old Shatterhand orientował się w terenie z zadziwiającą łatwością. Był przeświadczony, że znajdzie jeficów w tym samym stanie, w jakim ich opuścił. Wszakże ostrożność nie zawadzi. Mogli się przecież przypadkiem uwolnić, a teraz czekać na niego i Winnetou, aby dokonać zemsty. Zeskoczył z konia, przy-wiązał go i pieszo podkradł się do skały. Posuwał się na czworakach. Wkrótce miał głaz z lewej strony. Zakreślił prosty łuk i zobaczył leżących jeficów. Mogli jednak być wolni i dla fortelu zachowywać dawne położenia; Old Shatterhand podpełzł do wodza tak cicho, że ten nic nie usłyszał. Podniósł rękę i wymacał wbitą w ziemię strzelbę, do której Ka Maku był przywiązany. Uspokoił go stan rzemienia. Podniósł się więc i ukazał jeficom, jakby wyrósł spod ziemi.

- Czas się dłużył - powiedział. - Ka Maku mając knebel w ustach, nie mógł się nawet rozmówić z towarzyszami. Zwrócę mu teraz głos.

Wyjął mu knebel z ust i ciągnął dalej:

- Wódz miał dosyć czasu, aby się zastanowić. Jeśli wyzna, że w pueblu więzi białych, uwolnię go i nie wyrządzę nic złego. Ka Maku wnioskował, że Old Shatterhand nie wie przecież nic pewnego, więc zdecydował się wytrwać w uporze. Znając Old Shat-terhanda, wiedział, że nic nie grozi jego życiu. A zatem lepiej było nie przyznawać się i czekać na wojowników, którzy niewątpliwie wkrótce wyjadą go szukać. Przypuszczał, że o świcie już będą. Miał 234 przed sobą tylko Old Shatterhanda; gdzie jednak był Winnetou?

Chcąc to wybadać, zapytał:

- Czemu nie przyszedł ze mną mówić wódz Apaczów?

Po głosie poznać było, że knebel utrudniał mu swobodny oddech.

- Czuwa w pobliżu puebla.

Ta odpowiedź upewniła Ka Maku, że starania Winnetou i Old Shatterhand były daremne.

- Winnetou - rzekł szyderczo - nie usłyszy i nie zobaczy nic ponadto, czego dowiedział się ode mnie. Żadnych białych nie uwięzi-łem. Czemu obaj odważni mężowie czają się przy pueblu? Czemu nie wejdą, aby się przekonać o prawdzie mych słów i mojej rzetelności?

- Ponieważ nie ufamy Pueblosom i jesteśmy przeświadczeni, że weźmiecie nas także do niewoli.

- Uff! Gdzie się podziała mądrość Old Shatterhanda? Wielki Duch pozbawił go rozumu! Byłem jego przyjacielem; lecz skoro obszedł się ze mną jak wróg, niechaj nóż rozstrzygnie między nami!

- Nie mam nic przeciwko temu. A zatem, naprawdę nie więzicie białych mężów, kobiet i dzieci?

- Nie.

- Pomyśl o tym, że ja i Winnetou z łatwością uwolnimy jeńców. A wówczas spotka cię kara! Jeśli jednak wyznasz prawdę, nie zapomni-my, że byłeś naszym przyjacielem oraz bratem i postąpimy z tobą łagodnie.

- Old Shatterhand niech czyni i myśli, jak chce. Powiedziałem prawdę i będę szukał zemsty!

- Jak sobie życzysz! Ale uważaj! Któż to nadjeżdża? Słychać zbliżający się tętent.

Ka Maku podniósł się, na ile mu pęta pozwalały i wydał radosny okrzyk. Kim mogli być zbliżający się jeźdźcy, jeśli nie jego wojowni-kami? Zatrzymali się za skałą. Nie mógł poznać ich postaci, atoli był tak pewny swego, że zawołał:

-Jestem Ka Maku, którego szukacie. Zejdźcie z koni i uwolnijcie 235 nas!

Sam Hawkens odpowiedział ze śmiechem:

- Żeś jest Ka Maku, wierzę bez zastrzeżeń. Ale nie wierzę, że cię uwolnimy. Old Shatterhand będzie rozstrzygał o twoim losie. Czy nie poznajesz mnie, stary łajdaku?

- Sam Hawkens! - zawołał Ka Maku przerażony

-'Iak, Sam Hawkens, Dick Stone i Will Parker - potwierdził Old Shatterhand. - Czy wciąż jeszcze sądzisz, że Wielki Duch pozbawił mnie rozumu? Albo może się myliłem, twierdząc, że łatwo nam będzie uwolnićjeńców? Odwróciliśmy oszczep i skierowaliśmy go przeciwko wam. Wasi więźniowie są wolni, a wy jeszcze uwięzieni. Żaden z twoich wojowników nie zdoła opuścić puebla, ponieważ oblegamy je i bez wahania zastrzelimy każdego, kto spróbuje umknąć. 'Il;raz przy-wiążemy was do koni. Radzę wam nie opierać się, jeśli nie chcecie poczuć chłodu stali!

Sam, Dick i Will zeskoczyli z koni i wpadli na jeńców, którzy byli tak oszołomieni, że nawet nie pomyśleli o sprzeciwie, zresztą i tak daremnym. Przywiązano ich do koni, po czym puszczono się w drogę powrotną. Na miejscu, pod pueblem, spętani Indianie musieli zejść z koni i zostali oddani pod straż. Mimo ciemności przekonali się, że wszyscy ich jeńcy byli wolni. Łatwo sobie wyobrazić minę wodza. Biali, zwłaszcza niektórzy, ludzie żywszego temperamentu, pra-gnęli spędzić noc na rozmowach. Spotkali się jednak ze sprzeciwem Old Shatterhanda. Zwrócił im uwagę, że nazajutrz oczekuje ich długa i szybka jazda, skłonił więc do ułożenia się do snu, oczywiście z wyjątkiem luzującej się co godzina warty.

Noc upłynęła spokojnie, Pueblosi nie ważyli się opuszczać budowli i próbować ataku. Kiedy zaczęio szarzeć, ujrzano, że wycofali się na górne platformy. Większość spała, lecz skoro się rozjaśniło została zbudzona ze snu przez strażników.

Zgromadzono się wnet na górze i obrzucono białych przekleństwa-mi. Nie wiedzieli, że wódz jest w niewoli.

236

Winnetou i Old Shatterhand zdecydowali się żakoficzyć bardzo szybko sprawę. Nie wolno im było tracić czasu, jeśli mieli dogonić w porę króla naftowego. Poszli więc obaj do Ka Maku, aby z nim pomówić. Pozostali utworzyli dookoła nich koło słuchaczy, lub, co-najmniej, widzów, jeśli wziąć pod uwagę pionierów, którzy nie rozu-mieli języka. Ponieważ Winnetou był z usposobienia małomówny, zaczął więc Old Shatterhand:

- Ku Maku widzi, że wszyscy więźniowie są uwolnieni?

Wódz nie odpowiedział. Westman upomniał groźnie:

- Nie lubię mówić na wiatr. Chcemy się obejść z tobą łagodnie.

Jeśli jednak zatniesz się w milczeniu, sobie tylko będziesz musiał przypisać winę za następstwa. Odpowiedz więc na moje pytanie!

- Widzę, że są wolni - rnruknął wódz ponuro.
- I że twoi wojownicy są naszymi jeńcami?
- Nie widzę tego.
- Nie? Czy któryś z nich może opuścić pueblo wbrew naszej woli?

Możemy nawet spędzić ich z dachów. Nasze strzelby niosą aż do najwyższego tarasu; możemy zatem zmusić twoich wojowników, aby schronili się do wnętrza. Skąd dostaną jadła i napoju? Nie mogą przecież zejść do studzien i do spiżarń. Poza tym mamy w swej mocy ciebie i twoich trzech towarzyszy. Jak przypuszczasz, co się z wami stanie?

- Nic!
-'Pdk myślisz?
-'Pdk, ponieważ nikomu z was nic złego się nie stało.

- Moi przyjaciele zawdzięczają to tylko mnie i Winetou; mieliście bowiem względem nich złe zamiary. Nie będę teraz trwonił słów i czasu. Zabraliście ich dobytek i ukryliście w pueblu. Jeśli odzyskają wszystko, puścimy was i odjedziemy; jeśli jednak będziesz się wzbra-niał, zastrzelimy ciebie i spalimy twój skalp, abyś zjawił się bez niego w Wiecznych Ostępach. 'Pdk samo postąpimy z twoimi towarzyszami. Patrz, oto słofice wschodzi! Skoro stanie na odległość dłoni od 237 widnokręgu, chcę mieć twoją odpowiedź. Dłużej nie będę czekał. Howk!

Podniósł się i odszedł wraz z Winnetou na znak, że nie ma ochoty do targu. Ka Maku spoglądał przed siebie ponuro. Znał swoich zwycięzców i nie wierzył, aby urzeczywistnili groźby. Oddanie całej zdobyczy, uwarzał za zbyt wygórowane żądanie.

W oznaczonym czasie wrócili obaj myśliwi i Old Shatterhand rzekł:

- Co postanowił Ka Maku? Czy odzyskamy zrabowane mienie?
- Nie! - odparł.
- Well! Powiedziałem ci, że postanowiłem działać bezwzględnie.

Jesteśmy gotowi. Odprowdźcie tych drabów ku tamtej skale! Zedrzyj-cie z nich skalpy i poczęstujcie każdego kulą!

Sam, Dick, Will, Frank i Droll uchwycili jeńców i potaszczyli ku oznaczonej skale. Indianin, który umiera i zostaje pogrzebany bez skalpu, traci rozkosze Wiecznych Ostępów. Dlatego wódz, w chwili kiedy Hawkens chwycił go lewą ręką za włosy a prawą podniósł nóż, zawołał:

- Stój, stój! Dostaniecie wszystko z powrotem!

- Dobrze! - skinął Old Shatterhand. - Najwyższy czas, nie sprzeciwiaj się więc dłużej, jeśli chcesz doświadczyć łaski. Żądam, aby wszystko było wydane aż do drobiazgów! Wasze squaws niech nam przyniosą te rzeczy, do mężczyzn będziemy strzelali. Zrozumiałeś?

-'Idk - burknął Ka Maku.

- A więc niech ten człowiek oznajmi to twoim Pueblosom! Jeśli nie rozpocznie się zwrot grabierzy w przeciągu pięciu minut, będzie po tobie!

Wskazał na jednego z jeficów. Zdjęto z niego pęta, dostał drabinę, abywejść na górę. Dopiero teraz Pueblosi dowiedzieli się, że ich wódz jest w niewoli. Podnieśli okropny wrzask. Wysłaniec jednak uspokoił ich i już po upływie pięciu minut squaws zaczęty znosić bagaż pionie-rów. Składały go na dole. Każdy obrabowany zabierał to, co do niego należało i oznajrniał czego jeszcze brak. Uważano, aby najmniejszy 238 drobiazg nie przepadł. Kosztowało to wiele trudu, ale wreszcie odebrano i rozdzielono wszystko.

- Stało się według waszych życzefi - zawołał wódz. - 'I~raz rozwiążcie mnie i zejdźcie nam z oczu!

- Mylisz się - odpowiedział spokojnie Old Shatterhand. - Nie zwróciliście jeszcze wszystkiego.

- Czego więc jeszcze żądasz?
- Straconego czasu.

- Czy mogę ci oddać czas, ofiarować godziny?
-1'ak. Wszyscy przez ciebie zmarnowaliśmy wiele cennego czasu.
Nie odzyskamy go, jadąc na złych koniach, jakie niektórzy z nas posiadają. Widziałem w korralu bardzo piękne zwierzęta. Zamienimy nasze złe wierzchowce na wasze dobre.

- Nie waż się! - zawołwł Ka Maku.
-Pshaw! Chyba nie przypuszczasz, że się ciebie lękam! Kto nam może zabronić? Jesteś w naszej mocy, twoi zaś Pueblosi nie ośmielą się zejść na dół, aby nam przeszkodzić. Nasze strzelby niosą dalej, niż wasze. 'Ii~afimy ich, zanim będą mogli się złożyć. Widzę to dobrze i nie będę się do was kwapić.

- To będzie rabunek, kradzież!
- Tylko wynagrodzenie! Jesteście złodziejami. Mielibyście może bezkarnie tych wszystkich ludzi więzić i obrabowywać? 'Ii'zeba wam dowieść, że uczciwy zwycięża. 'liwój sprzeciw jest daremny. Winnetou, Sam Hawkens i Droll niechaj pójdą ze mną zamienić konie! Odeszli do korralu. Wódz wpadł w wściekłość; szarpał więzy i ryczał, jakby rozum stracił. Wówczas podeszła dofi pani Rozalia i huknęła:

- Czy nie zamkniesz gęby, ty wieczny krzykaczu! Czym jesteś właściwie? Chcesz być wodzem? Jeśli myślisz, że ja w to uwierzę, mylisz się bardzo! Jesteś łobuzem, długorękim szubienicznikiem! Rozumiesz, czy nie? Dostaniesz prawdziwe baty! Zamknąłeś nas w lochu, nas, biedne robaczki! I teraz, kiedy dotyka cię kara, jak pieprz 239 zupy, udajesz niewiniątko, najczystszą lilijkę. Miej się na baczności i nie wchodź nam drugi raz w drogę! Pogruchocę ci wszystkie gnaty, wyrwę ci wszystkie włoski, po jednym! Teraz wiesz, czego się możesz po mnie spodziewać. Pomyśl o poprawie! W przeciwnym wypadku czekają cię jeszcze cięższe przejścia z policją! Zgfomiła go piorunującym spojrzeniem i odwróciła się od niego ostentacyjnie. Słowa jej nie przebrzmiały bez echa, aczkolwiek wódz nie zrozumiał z nich ani jednego. Tym bardziej jednak podziałał na niego ton jej mowy. Ze zdumieniem przyglądał się tej kobiecie i odtąd już milczał jak zaklęty, nawet wówczas, kiedy wyprowadzono z korra-lu i osiodłano konie, między którymi były także jego własne. Jednakże, gdy usta milczały, tym dobitniej mówiły oczy.

Skoro czerwonoskórzy z wyższych pięter zobaczyli, że biali zamie-rzają wyruszyć, zaczęli schodzić po paru nie odebranych im, ocalałych drabinach. Ośmieliła ich postawa białych, mniej groźna po odzyska-niu dobytku. Old Shatterhand, obawiając się, że mogą zakłócić spokój wymarszu, skierował ku nim swój sztucer i zawołał:

- Zostańcie na górze, bo was zastrzelę!
Ponieważ nie usłuchali, wypalił dwukrotnie. Z rykiem i wrzaskiem cofnęli się na górę. Na ogół wyszli z całej awantury dość szczęśliwie, gdyż, oprócz paru, których Old Shatterhand postrzelił w ręce nikt nie odniósł żadnych obrażeń. Kiedy westman opuścił strzelbę, odezwał się wódz:

- Czemu strzelasz w moich ludzi? Czy nie widzisz, że nie żywią złych zamiarów?

- A czy ty widziałeś, że i moje zamiary nie są wrogie? - odpowie-dział myśliwy. - Może sądzisz, że chciałem trafić, a spudłowałem? Kiedy zechcę, kula moja zawsze trafi. Zamierzałem ich tylko ostrzec.

- Niektórzy jednak mają przewiązane ręce. Podnoszą je, aby mi pokazać, że są ranni.

- Zawdzięczają tylko mojej dobroci, że celowałem w ręce, a nie w głowy. 240
- Czy i to nazywasz dobrocią, że zabrałeś nam konie?
- Stanowczo! Powinniście być zadowoleni z tak lekkiej kary.
Właściwie zasłużyliście na znacznie większą i surowszą.

-'Pdk ty myślisz. Ale czy wiesz, co ja w przyszłości powiem?
Old Shatterhand z gestem lekceważenia odwrócił się i nie mówiąc ani słowa, dosiadł swego ogiera. Pozostali siedzieli już na koniach.

Oburzony lekceważeniem westmana, wódz zawołał gniewnie:

- Każdemu, kto do mnie przyjdzie, powiem, że Winnetou i Old Shatterhand, tak dumni ze swoich imion, zostali koniokradami, a takich zwykło się wieszać!

Myśliwy przepuścił obelgę mimo uszu; aliści Hobble Frank był tak rozjuszony, że skoczył ku wodzowi i ofuknął go gniewnie:

- Milcz hultaju! ‘Pdki łotrzyk jak ty, powinien się cieszyć, że sam nie zawisnął na pięknym stryczku. Najlepiej byłoby, z kamieniem młyfiskim na szyi, utopić cię w oceanie , tam gdzie woda jest najgłęb-sza. 1’akie jest moje zdanie. A teraz bądź zdrów! Zawrócił konia i odjechał, nie uświadamiając sobie, że Ka Maku nic nie zrozumiał z jego perory, wypowiedzianej po niemiecku z najczystszym saskim akcentem.

Zwiadowcy

Gdy dwa indiafiskie plemiona wykopią topór wojenny i rozpoczną bezlitosną walkę na śmierć i życie, każde z nich wysyła zwiadowców w celu zbadania, gdzie przebywa w danym czasie wrogie plemię i ilu rozporządza wojownikami. Pierwsza wiadomość jest niezbędna już chociażby dlatego, że tak zwane dzikie szczepy wędrują, zresztą w obrębie pewnych, rozległych granic, przenosząc namioty z miejsca w miejsce, zależnie od chwilowych potrzeb i zamiarów. Ale to nie wyczerpuje zadania zwiadowców. Muszą, co jest rzeczą najtrudniejszą, dowiedzieć się, w jaki sposób wróg zamierza prowa-dzić walkę, czy jest dobrze zaprowiantowany, kiedy ma wyruszyć, jaką drogę obrać i gdzie spodziewa się rozstrzygającej bitwy. Wywiadow-cami zatem mogą zostać jedynie ludzie doświadczeni i dzielni, odzna-czający się ponadto sprytem i rozwagą.

W mniej ważnych i mniej niebezpiecznych wypadkach wybiera się młodzieficów, aby zyskali sposobność wykazania męstwa i zręczności, aby mogli zasłużyć na imię; w poważniejszych wysyła się starszych, wypróbowanych mężów. Bywa nawet, że sam wódz idzie na zwiady, o ile uważa przyszłą rozprawę za walną.

```
Skoro więc z obu stron wysyła się szpiegów, nieraz spotykają się
oni ze sobą. Wtedy należy za każdą cenę unieszkodliwić, czyli za-
bić wrogich zwiadowców. Jeśli się to uda, przeciwnik nie rozpozna
242
Zwiadowcy
```

Gdy dwa indiafiskie plemiona wykopią topór wojenny i rozpoczną bezlitosną walkę na śmierć i życie, każde z nich wysyła zwiadowców w celu zbadania, gdzie przebywa w danym czasie wrogie plemię i ilu rozporządza wojownikami. Pierwsza wiadomość jest niezbędna już chociażby dlatego, że tak zwane dzikie szczepy wędrują, zresztą w obrębie pewnych, rozległych granic, przenosząc namioty z miejsca w miejsce, zależnie od chwilowych potrzeb i zamiarów. Ale to nie wyczerpuje zadania zwiadowców. Muszą, co jest rzeczą najtrudniejszą, dowiedzieć się, w jaki sposób wróg zamierza prowa-dzić walkę, czy jest dobrze zaprowiantowany, kiedy ma wyruszyć, jaką drogę obrać i gdzie spodziewa się rozstrzygającej bitwy. Wywiadow-cami zatem mogą zostać jedynie ludzie doświadczeni i dzielni, odzna-czający się ponadto sprytem i rozwagą.

W mniej ważnych i mniej niebezpiecznych wypadkach wybiera się młodzieficów, aby zyskali sposobność wykazania męstwa i zręczności, aby mogli zasłużyć na imię; w poważniejszych wysyła się starszych, wypróbowanych mężów. Bywa nawet, że sam wódz idzie na zwiady, o ile uważa przyszłą rozprawę za walną.

Skoro więc z obu stron wysyła się szpiegów, nieraz spotykają się oni ze sobą. Wtedy.należy za każdą cenę unieszkodliwić, czyli za-bić wrogich zwiadowców. Jeśli się to uda, przeciwnik nie rozpozna 242 sytuacji i przez to łatwiej będzie go rozgromić. Otóż takie spotkania wymagają więcej przebiegłości, doświadcze nia i męstwa, niż późniejszy właściwy bój. Zdarzają się też wówczas czyny, których rozgłos trwa długie lata, krąży z ust do ust. Jak już niejedńokrotnie

wspominaliśmy, w czasie, do którego od-nosi się nasze opowiadanie, powstały między dwoma plemionami poważne zatargi, a mianowicie między Nijorami a bardziej wówczas na północ wysuniętymi Nawajami. Chelly, dopływ Rio Colorado, oddzielał ich naturalną granicą. Kraj zatem, leżący nad Chelly, był nader niebezpiecznym terenem przyszłych walk, a więc terenem naj-żywszej działalności zwiadowców.

Niebezpieczeństwo w tej okolicy zagrażało nie tylko czerwonym, lecz także białym. Z doświadczenia wiadomo, że ilekroć czernvono-skórzy walczą ze sobą, dopatrują się w bladych twarzach wrogów. Biali więc, aby się wyrazić obrazowo, wpadają między ostrza nożyc, które w każdej chwili mają się zewrzeć.

Cel podróży króla naftowego, Gloomywater, leżał nad Chelly. Grinley zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Sądził jednak, że osobiście nic mu nie grozi, albowiem znał oba plemiona i nigdy nie miał z nimi zatargów. Nie mógł zaś zwlekać z wykonaniem planu. Jeśli chciał osiągnąć cel, musiał się śpieszyć, aby bankierowi nie dać czasu do namysłu, zwłoka bowiem mogła nadać sprawie niespodziewany obrót.

Co się tyczy Rollinsa i buchaltera, to słyszeli, że powstał rozdźwięk między Nijorami a Nawajami, ale nie mając doświadczenia, nie wie-dzieli, czym to dla nich pachnie. Król naftowy, oczywiście, nie kwapił się z wyjaśnieniem.

W odległości dnia jazdy od Chelly, mknąc po otwartej, trawą za rośniętej prerii, miejscami przerywanej zagajnikami, zauważyli nagle na wprost siebie jeźdźca, którego nie mogli przedtem dojrzeć, ponie-waż dzieliła ich jedna ze wspomnianych grup zarośli. Był to biały. Dźwigał na plecach torbę skórzaną, dosiadał silnego indiańskiego 243 pony, który, jak wida~ było, przebył nie mało trudów. Obie strony znienacka zatrzymały się na wprost siebie.

- Halloo! - zawołał nieznajomy. - Gdyby to byli czerwonoskó rzy!

- Byłoby już po pana skalpie - odparł król naftowy, zmuszając się do nienaturalnego śmiechu, który miał zamaskować jego własną obawę z tak nieoczekiwanego spotkania.

- Albo po waszym! - odpowiedział jeździec. - Nie pozwalam sobie tak łatwo zdzierać skóry z głowy.

- Nawet kiedy jest pięciu na jednego?

- Nawet kiedy jest pięciu czerwonoskórych. Miałem więcej wro-gów przed sobą, a jednak zachowałem swój skalp.

- Należy się panu wobec tego szacunek, sir. Czy można wiedzieć, kim jesteś?

- Czemu nie? Nie mam się czego wstydzić -wskazując na torbę skórzaną, dodał: - właściwie dziwi mnie nawet pana pytanie. Nie wydajecie się westmanami. Z tej oto rzeczy powinniście byli poznać, że jestem kurierem.

Był zatem jednym z owych dzielnych ludzi, którzy, wypełniwszy swą torbę listami i przesyłkami, bez bojaźni mkną przez prerie i wzgórza. T~raz, oczywiście, nie spotyka się już tych kurierów.

- Czy jesteśmy westmanami, czy nie, to nie pana rzecz! - osadził go król nafty. - Widziałem pana torbę, ale wiem, że nigdy nie przejeżdżał tędy żaden kurier. Wolą trzymać się drogi Albuquergue-San Francisco. Dlaczego pan z niej zboczył?

Kurier pogardliwie zmierzył pytającego wzrokiem i odpowiedział:

- Nie jestem obowiązany dawać panu wyjaśnień i nie mam ku temu najmniejszej chęci, ale ponieważ widzę, że mkniecie na spotka-nie zagłady, więc powiem wam, że zboczyłem z kierunku ze względu na Nawajów i Nijorów. Moja droga prowadziła przez okolice, które mądry człowiek

woli teraz pozostawić wyłącznie czerwonym, miano-wicie przez okolicę zlewisko, Chelly. Nie wie pan, że teraz tam właśnie 244 wodzą się za łby?

- Mniema pan chyba, żeś jest jedynym mędrcem na Zachodzie?

Kr61 naftowy właściwie powinien był odpowiedzieć grzeczniej, ale przebyta chwila trwogi wzbudziła jego gniew, wobec zaś jednego człowieka nie uważał za potrzebne powściągnąć swej natury. Kurier obejrzał badawczo wszystkich spotkanych. Nie odpowiadając na gru-biańskie zachowanie się króla naftowego, potrząsnął głową i rzekł spokojnie, przy czym wskazywał na bankiera i buchaltera:

- Śmiem twierdzić, że przynajmniej ci obaj panowie nie rozlali wiele krwi. Jeśliś pan tak dufny w siebie, że gardzisz radą, to przynaj-mniej tych panów chcę ostrzec i skłonić do ostrożności. Być może, wcale nie wiedzą, co czynią i ile ryzykują. Wszak żaden rozsądny człowiek nie wsunie głowy w imadło, które mają ścisnąć.

Zaniepokojony bankier zapytał:

- Co pan chce powiedzieć, sir? Jakie imadło ma pan na myśli?
- 'Ib, które się znajduje nad Chelly. Jedziecie prosto w imadło.

Wracajcie, póki czas, inaczej bowiem dostaniecie się pomiędzy noże skalpowe dwóch plemion, które chcą się nawzajem wytępić, a te szczątki, które po was zostaną, będą rzucone sępom i wilkom na pożarcie. Usłuchajcie mnie; radzę to dla waszego dobra! Szczera twarz, uczciwe oczy świadczyły o prawdzie jego słów. Rol-lins zapytał:

- Sądzi pan istotnie, ie niebezpieczeństwo jest tak wielkie?

-'1'ak, tak sądzę. Dziś rano odkryłem pierwsze ~lady, które mnie przekonały, że zwiadowcy szpiegują się wzajemnie. To groźnie dla mądrego człowieka ostrzeżenie. Czy musicie bezwarunkowo właśnie teraz jechać w tym kierunku? Czy nie możecie odłożyć tej nieostroż-nej jazdy do lepszych, spokojniejszych czasów?

- Hm, możemy. Skoro się potwierdzi, że niebezpieczeństwo jest tak wielkie, to uważam, że stanowczo...

- Nic podobnego! - przerwał król naftowy. - Czy zna pan tego człowieka? Czy pan bardziej ufa jemu, niż mnie? Jeśli się lęka śladu 245 w trawie, to rzecz jego, ale nie nasza!

- Kurierzy są zazwyczaj doświadczonymi ludźmi. A kiedy chodzi o życie, a zatem o wszystko, cc5ż to za różnica, jeśli interes o kilka dni później dojdzie do skutku?

- Nie mam zamiaru wiecznie się z tym nosić, sir!

- Aha, chodzi o interes - uśmiechnął się kurier. - Well, nie wtrącam się w takim razie. Spełniłem obowiązek i ostrzegłem was. Więcej nie można ode mnie żądać.

Mówiąc to, chwycił za cugle, aby ruszyć swego pony.

- Nie żądamy więcej - odparł król naftowy. - W ogóle niczego nie żądaliśmy od pana, może pan więc zachować swoje zdanie dla siebie. Dość mamy pana widoku!

I to nie wyprowadziło kuriera z równowagi. Rzekł tonem, jakim nauczyciel gani ucznia:

- Nigdy jeszcze nie spotkałem takiego chama, jak pan; istotnie, na Zachodzie włóczy się różna hołota, - a, zwracając się do bankiera, dodał: - zanim usłucham rozkazu tego gentlemana, muszę jeszcze jedno panu powiedzieć; nawet w czasach spokojnych tutaj każdy interes jest niebezpieczny, skoro zaś nie można go odłożyć mimo ruchawek wojennych, jest to nie tylko niebezpieczny, ale także wielce podejrzany interes. Miej się pan zatem na baczności sir, abyś go nie opłacił głową!

Zamierzał puścić konia, atoli król naftowy wyciągnął nóż i krzyk-nął:

- To była obelga, człowieku! Czy mam wbić ci pomiędzy żebra tę ostrą stal? Jeszcze jedno słówko, a bez wahania... W tej chwili dwa rewolwery pojawiły się w rękach kuriera. Roześ miał się pogardliwie i odpowiedział:

- Spróbuj tylko, my boy! Odrzuć nóż, powiadam ci, bo wypalę!

Oto dwanaście k~ul, messurs! Kto podniesie na mnie rękę, temu wypalę dziurę w skórze. A zatem, precz z nożem człowieku! Liczę do trzech. Raz... dwa...

246

Widać było, że nie cofnąłby się przed spełnieniem groźby. Grinley stchórzył i schował nóż.

- Mb rozumiem! - śmiał się kurier. - O, nie radziłbym panu się ociągać! Na dzisiaj dosyć, ale jeśli się jeszcze spotkamy, pozna mnie pan lepiej!

Odjechał. Nie zadawał sobie nawet tyle trudu, aby się obejrzeć. Grinley sięgnął po strzelbę. Buchalter położył mu rękę na ramieniu i rzekł niemal rozkazującym tonem:

- Nie rób pan więcej głupstw, sir! Chce pan zastrzelić tego czło-wieka?

- Więcej głupstw! - powtórzył król naftowy. - Czy już zrobiłem jakieś?

- Stanowczo! Pańskie grubiaństwo, pańskie całe zachowanie się było nieodpowiedzialne. Doprawdy nie rozumiem, z jakiego powodu potraktował pan obcesowo tak przychylnie dla nas usposobionego człowieka!

Grinley chciał właściwie ofizknąć go należycie, ale rozmyślił się i powiedział:

- Jeśli ja byłem grubiański wobec niego, pan jesteś taki wobec mnie; to się nawzajem znosi. 'I~n drab, uciekający przed śladami, jest tchórzem.

- Przecież, kiedy zagroził mu pan nożem, nie okazał się bynaj-mniej tchórzem; przeciwnie, to pan musiał ustąpić.

- Nie hańba. Diabeł niech się spokojnie przygląda, jak dwakroć po sześć kul patrzy mu w pierś! Ale dosy~ o tym; jedziemy dalej! Buttler i Poller zachowywali się podczas tej przykrej sceny zupełnie spokojnie, jednak znać było po nich, że cały jej przebieg wytrącił ich z równowagi. Rzucali, podobnie jak krbl naftowy, badawcze spojrze-nia na Rollinsa i Baumgartena, usiłując wyczytać z ich min, jakie wrażenie wywarły przestrogi kuriera.

Nastrój był zupełnie zmieniony; milczano. Każdy był zajęty włas-nymi myślami. Słońce się skryło. Wyszukano dogodne miejsce na 247 biwak. Nie trzeba było starać się o zdobycie pożywienia, gdyż król naftowy zaopatrzył się dostatecznie w pueblu. Jedli w milczeniu i dopiero kiedy się zupełnie ściemniło, odezwał się Baumgarten:

- Czy zapalimy ognisko?
- Nie - odpowiedział Grinley.
- A więc i pan jest zaniepokojony?

- Zaniepokojony? Bynajmniej! Znam dobrze ten kxaj i jego czer wonoskórych mieszkańców, o wiele lepiej, niż kurier, który jechał tędy po raz pierwszy. O zaniepokojeniu, czy strachu nie może być mowy; nie należy jednak zaniedbywać środków ostrożności. Jeśli ten człowiek widział ślady, to nie znaczy jeszcze, aby to były ślady zwia-dowców. Ale lepiej nie zapalać ogniska. Nie chcę nikomu dawać pretekstu do zarzutu nieprzezorności.

- Hm - mruknął bankier z namysłem. - A więc jest pan prze-świadczony, że nie grozi nam niebezpieczeństwo, o którym mówił kurier?

- Nam, nie grozi. Aby jednak przekona~ pana i uspokoić całko-wicie, wyślę, aczkolwiek to zbyteczne, naprzód Pollera i Buttlera. Obaj wymienieni oczekiwali tego. Nie odezwali się jednak ani słowem.

- Po co? Co oni zrobią? - zapytał bankier.

- Będą naszymi zwiadowcami. Wyprzedzą nas i postarają się ostrzec przed niebezpieczeństwem. Widzi pan zatem, że biorę w ra-chubę wszystkie możliwości, co pana, spodziewam się, dostatecznie uspokoi.

- Pięknie! Więc nie wszyscy wyruszymy jutro rano?

- Nie. Zostanę tutaj z panem i mister Baumgartenem. Tylko But tler i Poller pojadą naprzód. O ile odkryją niebezpieczeństwo, naty-chmiast wrócą, aby nas ostrzec.

- 1b mnie uspokaja, mister Grinley. Ten kurier doprawdy napę-dził mi stracha.

Uspokojony, nie przeczuwał, że właśnie to zarządzenie miało 248 umożliwić oszustwo, na którego ofiarę upatrzył go król naftowy. Ponieważ obaj wymienieni mieli wcześnie wyruszyć, więc nie roz-wodzono się dłużej i wszyscy ułożyli się do snu. Ktoś jednak musiał czuwać; według kolejności, pierwszy Baumgarten, drugi bankier. Sko-ro minął czas jego straży, obudził króla naftowego i położył się spać. Grinley siedział pół godziny nieruchomo; następnie nachylił się ku bankierowi i buchalterowi, aby się przekonać, czy śpią mocno. Obu-dził teraz po cichu Pollera i Buttlera. Wszyscy trzej podnieśli się i oddalili na taką odległość, że nikt ich nie mógł zobaczyć, ani usłyszeć; wszak musieli się porozumieć skrycie.

- Wiedziałem, że nas obudzisz- rzekł Buttler. -Bodajby piorun zgładził tego kuriera, który mógł nam wszystko popsuć! Bądź co bądź i ty powinieneś był inaczej się zachować.

- Robisz mi wyrzuty? - odburknął brat.

- Dziwisz się? 'Il;n drab był nie w ciemię bity i jak to się mówi, pobił cię na całej linii.

- Oho!

-Pshaw! Przyznaj, wszak to prawda! Im bardziej się unosiłeś, tym on był spokojniejszy. To wystarczyło, aby dać mu przewagę. Rollins i Baumgarten wynieśli niekorzystne dla nas wrażenie. A następnie, incydent z nożem. Mieliśmy się z pyszna; poprostu przykuł nas do ziemi!

- Ty także nie mogłeś się poruszyć?

- Zgadza się! Wprawdzie brała mnie ochota przyciąE temu łotro-wi języka, ale czułem, że to nie przelewki. Na pewno wystrzeliłby. Jeden na pięciu! Co muszą o nas myśleć Rollins i Baumgarten!

- Niech myślą, co chcą! Odzyskaliśmy ich zaufanie. Mówmy o czymś lepszym! Opisałem wam dokładnie położenie jeziora naftowe-go. Czy sądzicie, że je znajdziecie?

- Bezsprzecznie.

- Jeśli wyruszycie wcześnie i nie napotkacie w drodze na przesz-kody, już po południu staniecie u celu. Znajdziecie równie łatwo

249 jaskinię, jak i Gloomywater. Ukryłem tam czterdzieści beczek nafty i narzędzia. No, uważajcie! Musicie od razu zabrać się do roboty, ponieważ dużo czasu zabierze wam zacieranie śladów. Pojedynczo potoczycie beczki aż do samej wody, po czym, kiedy nafta spłynie do jeziora, umieścicie je z powrotem w jaskini. Wejście do niej zamasku-jecie identycznie tak, jak zastaniecie. Nawet najbardziej przenikliwe oko nie powinno go dostrzec. Następnie zatrzyjcie wszelkie ślady. Mam nadzieję, że uporacie się przed wieczorem.

- A skoro robota nad wodą będzie skończona, co wówczas? - zapytał Buttler.

- Wyśpicie się i wyjedziecie następnego rana na nasze spotkanie; aby nam oznajmić, żeście znaleźli jezioro i że droga jest zupełnie bezpieczna. Oczywiście, nie zapomnijcie się rozpływać w zachwytach nad naftą.

- Postaramy się, aby przemówiły do nich nasze zachwyty. Mam na dzieję, że i ty wówczas wywiążesz się ze swego obowiązku?

- Naturalnie!
Ile właściwie chciałeś nam da~?

- Dostaniecie razem piećdziesiąt tysięcy dolarów, którymi się podzielicie.

Mówiąc to, nieznacznie uchwycił brata za rękę i uścisnął na znak, że powiedział to dla zmylenia Pollera. 'I~n bowiem miał otrzymać nie pieniądze, lecz pchnięcie nożem albo kulę. Poller nie przeczuwał tych złowrogich zamiarów; ufał obu oszustom i zawołał półgłosem z ucie-chą:

- PięEdziesiąt tysięcy, którymi się podzielimy? A więc ja dostanę dwadzieścia pięć tysięcy?

- 1'ak - skinął Grinley.
- Wspaniale! Należę do was ciałem i duszą. Bodajbyśmy to mogli dostać natychmiast w gotówce!

- Niestety, nie może tQ być. Wypłaci przekazem na Frisco.
- A więc wszyscy trzej pojedziemy następnie do San Francisco?

250

- Wszyscy trzej.
- No, chętnie odbędę tę drogę. Dla dwudziestu pięciu tysięcy dolarów jedzie się nawet dalej.

-Well. Ale jeszczejedno. Nie czuję się bynajmniej tak bezpieczny, jak udawałem. Miejcie się na baczności. Nikt was nie powinien zoba-czyć. Musicie dotrzeć do Gloomywater i poczynić odpowiednie przy-gotowania. To byłoby okropne, gdybym, dotarłszy tam wraz z obu głupcami zastał tylko wodę.

- Bądź spokojny! - rzekł Buttler. - Jeśli się nam coś złego przytrafi, nie będziemy mogli wyjechać na wasze spotkanie, z czego zmiarkujesz, że plan się nie powiódł.

- Słusznie! W takim razie nie poprowadzę ich do jeziora.
- Cóż więc poczniesz?
- Oczywiście, będę szukał waszych śladów, aby nieść wam pomoc, jeśli to będzie konieczne.

- Mam nadzieję, jesteś nam potrzebny tak, jak my tobie. Jeden nie powinien drugiego wydawać na sztych. A teraz wracajmy do obozu!

Wróciwszy do Rollinsa i Baumgartena, zastali ich pogrążonych w mocnym śnie. Noc przeszła bez wypadków. Skoro świt, Buttler i Poller wyruszyli przed siebie.

Rollins i Baumgarten sądzili, że obaj wywiadowcy wyprzedzą ich o niewielką odległość, król naftowy jednak ich inaczej poinformował:

- Wyjechali jako zwiadowcy, muszą zatem rozglądać się dookoła i jechać powoli. Dogonilibyśmy ich też szybko i bylibyśmy zmuszeni stale się zatrzymywaE. Dlatego lepiej będzie, jeżeli pozwolimy im zbadać drogę w całej rozciągłości.

- A kiedy pojedziemy za nimi?
- Jutro rano.
-'1'dk późno?
- Czy to późno? Sami żądaliście, abyśmy nie zaniedbali żadnego środka ostrożności. Jeśli obaj spotkają w drodze wrogów, wrócą, aby

251 nam o tym zameldować. Jeśli zaś do wieczora nie wrócą, będzie to pewny znak, że nie mamy się czego lękać i jutro, na dobrze wypoczę-tych wierzchowcach, będziemy mogli rozwiną~ podwójną szybkość. Dziefi upłynął; zapadł wieczór, a Buttler i Poller nie wracali, co wprawiło trzech jeźdźców w pogodny nastrój. Bankier przez całą noc nie mógł zmrużyć oka. Opanowało go gorączkowe podniecenie. A zatem nazajutrz był ów wielki dziefi, w którym miał ubić największy i

najznaczniejszy interes, interes, o jakim nawet śnić nie mógł! Miał zostać królem naftowym, posiadaczem niewyczerpanego źródła oleju skalnego! Jego nazwisko miało znaleźć się w rzędzie nazwisk najwię-kszych milionerów. Nie dawała mu ta myśl spokoju. Nie próbował nawet zasnąć. Mimo że noc szarzała, zaczął budzić Grinleya i Baum-gartena, aby ich przynagliE do wyjazdu. Gotowi byli wyruszyć i kiedy słofice się wyłoniło, mieli już za sobą kilka mil drogi. Miejscowość była górzysta: wyżyny porastały gęstymi lasami, doliny soczystą trawą. ‘Iii spotykali wydeptane ślady swoich towarzyszy. W południe musieli się zatrzymać, aby dać koniom jednogodzinny wy-poczynek.

- Za kwadrans znajdziemy odpowiednie miejsce - oznajmił król naftowy- głęboką kotlinę, dobrze ocienioną z południa. ‘Idm panuje orzeźwiający chłód.

Zjeżdżali po dosyć stromej pochyłości. Grunt, pokryty drzewami iglastymi, opuszczał się tak raptownie, że musieli zsiąść z koni i prowadzić je za uzdy.

- Jeszcze dwieście kroków, - powiedział Grinley - a zobaczycie dolinę wprost przed sobą. Nie jest wielka. Pośrodku znajduje się olbrzymi blok skalny, obok którego wznosi się wielowiekowy buk. Przebywszy ten dystans, zatrzymali się oszołomieni niespodziewa-nym widokiem. Wprost pod ich nogami skała spadała niemal piono-wo; stali na brzegu kotliny, otoczonej wysokimi skałami. Z pułapki tej prowadziły dwa wąskie wyloty: jeden na północ, drugi na połud-nie. Miejsce, na którym się zatrzymali, było najniższym odcinkiem 252 zachodniej krawędzi i przypominało altanę. Ponieważ jej opóka wrzy-nała się w głąb doliny, blok, o którym wspominał król naftowy, wznosił się w niewielkim oddaleniu. Buk przy bloku miał tak przepiękny kształt, że wprawiłby każdego w podziw.

- Co za pyszne drzewo! - zawołał Baumgarten. -1’dkiego...
- Pst! - ostrzegł go Grinley, chwytając za ramię. - Cicho! Nie jesteśmy tu sami. Czy widzicie dwóch Indian na północnej stronie bloku? Za blokiem zapewne pasą się ich konie.

W rzeczy samej, dwaj Indianie siedzieli przy skale w ocienionym miejscu. ‘Pdm nie dosięgały ich rozżarzone promienie słońca. Ponie-waż byli pokryci barwami wojennymi, trudno było rozróżnić ich twa-rze. Jeden z nich nosił dwa białe pióra orle w czuprynie. ‘I~raz dopiero trzej podróżni zauważyli ciemną kresę w trawie, która zaczynała się u pohzdniowego wylotu i ciągnęla do bloku, niczym długi sznur.

-‘Ib ślad obu czerwonoskórych - oświadczył Grinley. - Frzybyli z południa i pojadą, wypocząwszy, na północ.

-Ale w takim razie nie możemy zejść! -odpowiedział zatroskany bankier. - Od czasu przygody w pueblu nie dowierzam żadnemu Indianinowi. Cóż to mogą być za jedni?

- Znam ich i znam nawet imię jednego. 1b Mokaszi, wódz Nijo-rów.

- Co oznacza to imię? - zapytał buchalter.
- Mokaszi, to po indiańsku bawół. W tych czasach, kiedy bizony wielkimi jeszcze stadami ciągnęły przez prerie wódz Nijorów ubił ich mnóstwo. Stąd jego imię.

- Chyba on pana również zna.
-1’dk, gdyż bawiłem kilkakrotnie u jego plemieriia.
- Jakże jest względem pana usposobiony?
- Przyjaźnie. ‘I~k przynajmniej było niegdyś. ‘I~raz jednak, kiedy wykopano topór wojny, nikomu nie można ufać.

- Hm, cóż należy czyniE?
- Naprawdę nie wiem. Jeśli zjedziemy na dół, może nas przyjmie
253 przyjaźnie, a może i nie. W każdym jednak razie dowie się o naszej obecności, czego należy uniknąć.

- Czy nie możemy go ominąć drogą okrężną?
- Możemy, ale wypadnie nam droga tak długa, że nie dotrzemy dzisiaj do jeziora nafty. Nie zapomnijmy również, że Buttler i Poller na pewno wyruszą na nasze spotkanie. Tó rzecz wielce nieprzyjemna, że ci obaj Nijorowie właśnie tutaj... stój! - przerwał. - Cóż to takiego?

Zobaczył coś, co wszystkich trzech przejęło największym zacieka wieniem. Mianowicie u południowego wylotu, skąd szedł ślad Nijo rów, ukazali się dwaj uzbrojeni w strzelby Indianie, nie na koniach, lecz pieszo. Ci również mieli na twarzach barwy wojenne; jeden nosił we włosach pióro orle, był zatem, jeśli nie wodzem, to w każdym razie wyróżniającym się szczególnymi zaletami wojownikiem.

- Czy to są także Nijorowie? - zapytał Rollins.
- Nie, Nawajowie - odpowiedział po cichu król naftowy, jak gdyby w obawie, że mogą go usłyszeć czerwonoskórzy.

- Czy zna ich pan?
- Nie. Ten z piórem we włosach jest jeszcze młodym wojownikiem, który zdobył to wyróżnienie chyba już po moim ostatnim pobycie u Nawajów.

- Do pioruna! Kładą się w trawie. Po co?
- Nie odgadujecie? Wszak to zwiadowcy Nawajów. ‘lii zetkną się przedstawiciele obu plemion. Popłynie krew! Nawajowie napotkali ślad Nijorów i poszli za nimi do doliny. Uważajcie, co się zdarzy! Był bardzo podniecony, podobnie jak obaj towarzysze. Mogli ze swego stanowiska niepostrzeżenie obserwować dolinę. Obaj Nawajowie pełzali śladem Nijorów, ku skalnemu blokowi.

- Do licha! - szepnął król naftowy. - Mokaszi i jego towarzy sze będą zgubieni, jeśli przesiedzą tu choćby jeszcze jedną minutę!

- Panie Boże! - odezwał się podniecony buchalter. - Czy nie możemy zapobiec rozlewowi krwi? 254
- Nie, nie... i..., ależ tak..., ależ tak!... - odpowiedział Grinley, dysząc gwałtownie. - Musimy wykorzystać okazję. Obaj Nawajowie znajdowali się w odległości niespełna dziesięciu kroków od bloku. Nijorowie, znienacka napadnięci, zginęliby nie-chybnie.

- Wykorzystać? Jak to? - zapytał bankier.
- Przekona się pan natychmiast!
Szybkim ruchem wyciągnął karabin z olstra przy siodle i przyłożył do skroni.

- Na miłość Boską, nie chce pan chyba strzelać! - przeraził się Baumgarten, ale już padł pierwszy strzał, a po sekundzie rozległ się drugi. Pierwsza kula ugodziła w głowę Nawaja, noszacego orle pióro, i zabiła go na miejscu. Druga trafiła jego towarzysza; skoczył pod górę, i runął na ziemię.

- Boże! Zastrzelił ich! - zawołał przerażony Rollins.
- Ku moj emu i waszemu pożytkowi - odpowiedział chłodno król naftowy, opuszczając strzelbę i wysuwając się się naprzód, aby go ujrzano z dołu.

Na Nijorach strzały wywarły piorunujące wrażenie. Z początku zerwali się na równe nogi, ale natychmiast upadli w trawę, aby utrud-nić celowanie. Sądzili, że strzały są przeznaczone dla nich, gdyż oddzieleni blokiem, nie mogli widzieć obu martwych Nawajów. Wów-czas zawołał król naftowy:

- Mokaszi, wódz Nijorów, może się spokojnie podnieść, nie powinien się ukrywać, ponieważ jego wrogowie nie żyją. Mokaszi podniósł oczy. Ujrzawszy wołającego, wydał okrzyk zdu-mienia i zapytał:

- Uff! Kto strzelał?
- Ja.
- Do kogo?

- Do dwóch Nawajów.
- Gdzie?

255

- Za waszą skałą. Idźcie! 'Pdmci nie żyją.

Przezorny czerwonoskóry, zanim go usłuchał, podpełzł ku krawę-dzi i wyjrzał z największą ostrożnością. Po czym powoli podniósł głowę, wyciągnął nóż i, tak przygotowawszy się do walki, w trzech, czterech szybkich susach podskoczył ku ciałom. Stwierdziwszy, że są martwi, podniósł się i zawołał do króla naftowego:

- Masz słuszność, nie żyją. Zejdź na dół!
- Nie jestem sam. Mam dwóch towarzyszy.
- Białych?
- Tak.
- Przyprowadź ich!
- Czy usłuchamy go? - zapytał Rollins króla naftowego.
- Naturalnie.
- Czy to nie jest niebezpieczne?

- Ani trochę! Uratowałem obu Nijorów od niechybnej śmierci, a zatem winni nam wdzięczność.

- Ale sir, to morderstwo, podwójne morderstwo!

- Pshaw! Niech się pan nie ośmiesza! Dwaj Indianie musieli w każdym razie zginąć. Gdybym przyglądał się z założonyei rękami, śmier~ spotkałaby obu Nijorów. Gdybym ich ostrzegł, doszłoby do walki czterech, z której, nie wiem, czy któryś wyszedłby cało. Zarżnę-liby się wszyscy nawzajem. Skierowałem wyrok losu przeciwko Nawa-jom, zyskując przez to wdzięczność i przyjaźfi wodza Mokaszi. 'I~raz nie mamy żadnych trosk. Nasz interes musi się powieść, gdyż Nijoro-wie nas ochronią. A więc chodźcie ze mną spokojnie! Usłuchali go, nie mogli jednak opanowa~ uczucia grozy, którą przejrnował ich ten człowiek, zabijający bez skrupułów, obcych ludzi dla własnej korzy~ci.

Droga wypadała przez południowy wylot. Mijając go, nie spostrze-gli płonących oczu, obserwujących ich z zagajnika. Zniknęli za wą-skim przesmykiem i oto zza krzewu podniósł się jakiś czerwonoskóry i szepnął:

256

- Uff! 'Ibn chudy był mordercą. Nie mogłem pomóc moim bra-ciom, ale pomszczę ich krwawo!

Znowu się nachyliwszy, zniknął w zaroślach. 1b był Nawaj. Został zapewne tutaj na straży, podczas gdy jego nieszczęśliwi towarzysze weszli do kotliny.

Król naftowy wraz z bankierem i Baumgartenem spokojnie podje-chali do wodza, który ich oczekiwał u skalnego bloku. Mokaszi po-przednio, na skutek zbyt wielkiego oddalenia, nie rozpoznał twarzy Grinleya. Skoro teraz ów się zbliżył, czoło wodza zmarszczyło się posępnie pod warstwą farby.

- Skąd przybywają trzej biali? - zapytał.

Król naftowy spodziewał się o wiele przyjaźniejszego powitania. Był rozczarowany. Zeskakując, podobnie jak jego towarzysze, z ko-nia, odparł:

- Nasz ślad rozpoczął się nad Rio Gila.
- A gdzie się skoficzy?
- Nad wodą Chelly.
- Jesteście sami?
-'Pak. .
- Czy przyjadą za wami jeszcze jacyś biali?
-Nie. Ajeśli przyjadą, to nie nasi przyjaciele.
- Czy wiecie, że zdruzgotaliśmy fajkę pokoju?

-'Pak.
- A jednak odważyliście się przybyć tutaj?
- Wojujecie przecież z Nawajami, a nie z białymi.
- Białe twarze są gorsze, niż psy Nawajów. Kiedy nie było tu jeszcze białych, pokój panował między wszystkimi czerwonymi. Bia-łym wyłącznie zawdzięczamy, że tomahawk pożera nasze życie.

- Chcesz przez to powiedzieć, że jesteście naszymi wrogami?
-'I~k, waszymi śmiertelnymi wrogami.
- A jednak zawdzięczacie życie moim dwom kulom! Czy chcecie nas za to usmażyć przy palu mę~zarni? 9 --- Król naftowy 257
Wzgardliwy uśmiech osiadł w kącikach ust wodza.

- Mbwisz o palu męczarni, - rzekł - jak gdybyś był w naszej mocy, a jednak jest nas dwóch, a was trzech. Zdajesz się posiadać odwagę żaby, która po pierwszym spojrzeniu skacze wężowi do paszczy.

'Pd obelga była nie tylko świadectwem panujących obecnie w dorze czu Chelly wrogich stosunków. Prawdopodobnie Grinley cieszył się u Nijorów opinią zgoła inną, niż mówił. Czuł, że bankier i jego towarzysz mogą wpaść na tę myśl, i dlatego zapytał:

- Mokaszi, dzielny wódz, nie poznaje mnie?
- Moje oko nigdy nie zapomina twarzy, nawet jeśli widziało ją jeden raz.

- Ja zaś nigdy jeszcze nie wyrządziłem krzywdy wojownikom Nijorów!

- Uff! Tb twoje szczęście! Gdybyś dotknął palcem choćby jednego z moich wojowników, straciłbyś skalp!

- Czemu do mnie przemawiasz tak groźnie? Czy twoje życie jest tak mało warte, że nawet nie pozdrowisz swego wybawcy?

- Powiedz, kiedy ujrzałeś Nawajów, których zabiłeś, i jak długo ich ścigałeś.

- Ujrzałem ich na dwie minuty przed wystrzałami, które cię ura towały.

- Co złego ci wyrządzili?
- Nic.
- Nie miałeś do nich żadnej urazy?
- Nie.
-Ajednak ich zabiłeś!
- Aby ciebie ocalić!
- Psie! - huknął Mokaszi na białego, błyskając oczami. - Wielu myśliwych i wojowników zawdzięcza mi życie, a nie wypominałem im tego ani razu przez długie lata. Ty natomiast stoisz przede mną od kilku chwil zaledwie i już pięciokrotnie nazwałeś się moim zbawcą.

258

Jeśli się sam w ten sposób wynagradzasz, to nie możesz oczekiwać ode mnie żadnego podziękowania. Czy pragnąłem twojej wyręki?

Grinley, chociaż ogromnie zmieszany, ośmielił się wtrącić:

- Nie. Ale, gdyby nie ja, w tej chwili już stygłoby twoje ciało.
- Skąd ta pewność? Widzisz tu przy skale nasze konie, które oznajmiają nam zbliżanie się każdego człowieka. Właśnie słyszeliśmy, jak parsknęły i uchwyciliśmy za noże, gdy padły twoje strzały. Nawa-jowie nic złego ci nie wyrządzili. Nie walczyłeś z nimi, zastrzeliłeś ich z ukrycia. Nie jesteś wojownikiem, lecz mordercą. 'Pdm leżą ich ciała. Czy mogę zedrzeć z nich skalpy? Nie, padli od twoich zdradzieckich strzałów. Gdybyś zaś nie przybył, przyjąłbym ich, uprzedzony parska-niem naszych koni, przyjąłbym nożami i przyozdobiłbym pas nowym skalpem. Czy znasz tego, który

nosi w głowie pióro? Jego imię jest Khasti Tine, Stary Człowiek, aczkolwiek czas jego życia wynosił dwa-dzieścia zim i lat. 1ó imię zaszczytne otrzymał na skutek mądrości i odwagi. I takiego wojownika zamordowałeś! I mnie pozbawiłeś za-szczytu zwycięstwa! I ty żadasz, zamiast zemsty, zapłaty! Pod królem naftowym nogi się ugięty. Tbwarzysze jego byli nie mniej przestraszeni. Wódz ciągnął dalej:

- Wszyscy biali są tacy, jak ty. Ilu jest wśród nich dobrych ludzi?

Na jednego Old Shatterhanda, w którego sercu mieszka miłość, przy-pada po stokroć sto innych, którzy gotują nam zgubę. Zatrzymajcie się tutaj, dopóki nie wrócę! Jeśli się odważycie odjechać, będziecie zgubieni!

Dał znak drugiemu Nijorowi i poszedł z nim, badając szczegółowo ślad, ku wyjściu, za którym obaj znikli.

- Straszne! Tb brzmi inaczej, zgoła inaczej, niż myśleliśmy! - biadał bankier. - Nawarzył pan nam piwa, którym możemy się udławić!

- Morderca! - odezwał się buchalter. - Wódz miał rację.

Czemu pan strzelał?'Il;n Khasti Tine, tak młody, a jednak tak słynny!

Czy sam pan się nie wzdraga na myśl o swym czynie?

259

- Milczcie! - żachnął się król naftowy. - Mam rację, ocaliłem wodza przed śmiercią. 'Ib parskanie koni jest wykrętnym kłamstwem!

- Bardzo wątpię! 'I~n człowiek wygląda na prawdomównego.

Czyśmy nie stali przed nim jak sztubacy? Najlepiej będzie czmychnąć, zanim wróci!

- Nie waż się pan, mister Baumgarten! Zdaje się, że wódz ma w pobliżu większą ilość wojowników. Jeśli drapniemy, będą nas ścigać, a wówczas możemy się pożegnać z życiem. 'I~raz jednak prawdopo-dobnie nas puści. Poczekajmy!

Upłynął kwadrans, zanim Nijorowie wrócili. Mokaszi oświadczył:

- Zemsta stoi za tobą i ręka zagłady doścignie ciebie, jeśli nawet nie przyłożę się do twojej zguby. Było nie dwóch, lecz trzech Nawajów. 'Ii~zeci stał w przesmyku na straży i widział wszystko, nie mogąc zapobiec zbrodni. Postawi swe mokasyny na twoich śladach i będzie cię dopóty ścigał, dopóki nie zatopi noża w twym sercu. Skalp na twojej czaszce nie siedzi mocniej, niż krople deszczowe, które wiatr zdmuchuje z gałęzi. Nie będę cię prześladował i nie będę chronił. Czemu dążycie do Chelly? Czego tam szukacie?

- Ziemi - odparł markotnie, do niedawna tak pewny siebie, król naftowy.

- Czy należącej do ciebie?
-'Pdk.
- Kto ci podarował?
- Nikt.
- A jednak twierdzisz, że należy do ciebie!
-'Pdk, to tomahawkimprovement.
- Ubolewam, że muszę to słyszeć.
- Dlaczego?
- Ponieważ jest to słowo złodziei i rabusiów! Ziemia nad Chelly!

Ona jest twoja? A tu oto stoi Mokaszi, wódz Nijorów, prawowitych właścicieli całego tego obszaru! Psy parszywe! Co by powiedziały blade twarze z tamtej strony wielkiego morza, gdybyśmy do nich 260 przyszli i twierdzili, że ich kraj jest nasz? My natomiast mamy pozwo-lić, aby nam wszystkie ziemie wydarto! Ziemia nad Chelly do ciebie należy, aczkolwiek nie odkupiłeś jej od nas, ani nie dostałeś w poda-runku! Moja pięść jest zbyt dumna, aby ciebie zmiażdżyć. Fora

stąd, fora na ten skrawek ziemi, którego tak pragną wasze dusze! Osiądźcie na nim, niedługo będziecie czekali na krwawy plon! Roz,kazująco wyciągnął rękę ku północnemu wylotowi. Szybko dosiedli koni i pomknęli galopem, z najwyższą radością opuszczając kotlinę. która mogła stać się dla nich miejscem kaźni. Aby zrozumieć słowa i gniew wodza, trzeba wiedzieć, w jaki sposób biali zwykli wchodzić w posiadanie indiańskich terenów. Według prawa osadniczego każda głowa rodziny, każdy dwudziestojednoletni mężczyzna, który jest obywatelem, albo chce nim zostać, może wejść bez zapłaty w posiadanie wolnej stusześćdziesięcioakrowej parceli. Musi jedynie zamieszkać na niej i uprawiać ją przez pięć lat. Poza tym miliony akrów zostają wyznaczone dla towarzystw kolejowych. Aby zostać właścicielem takiego szmatu ziemi przez tomahawkim-provement, wystarczy tylko siekierą wykarczować kilka drzew, sklecić chatkę i zasiać trochę zboża. Któżby się pytał o zdanie Indian, dzie-dzicznych właścicieli tych wszystkich obszarów! 'Ii~zej biali, wyjechawszy z kotliny, przeprawili się milcząco przez rzadki las. Kr61 naftowy, rozwścieczony nieprzyjemnym zajściem, szukał w myślach sposobu, który wróciłby mu zachwiane poważanie obu towarzyszy. Po dłuższym czasie, przerywając milczenie, rzekł:

- 'Idcy już oni są, ci czerwonoskórzy szubrawcy! W najwyższym stopniu niewdzięczni! Długo żyjesz z nimi w pokoju i wyświadczasz niezliczone przysługi, aż któregoś pięknego poranka łamią wierność i zapominają, co ci winni.

- Yes - skinął Rollins. - 1ó była niezbyt przyjemna sytuacja.
Możemy być zadowoleni, że uszliśmy. Sądziłem, że stracimy życie.

- Stracilibyśmy życie, gdyby mi wódz nie przyznał milcząco słusz-ności, bo wszak musiał uznać, żem jego zbawcą. Ale nigdy już w życiu 261 nie wyświadczę przysługi Indianinowi.

- Słusznie! 'I~ czerwone łotry nie zasługują na naszą przychylność.
Z tych słów bankiera można było wnioskować, że nie gani króla naftowego za jego postępowanie. Zaliczał się do owych prawdziwych Jankesów, dla których życie ludzkie nie odgrywa większej roli. Nie-bezpieczeństwo, które mu groziło, minęło, zapomniał więc także o wrażeniu, jakie wywarło nafi zabójstwo obu Nawajów. Inaczej jednak miała się rzecz z Baumgartenem. Jako Europejczyk posiadał bardziej wrażliwe sumienie; uważał czyn Grinleya za zbrodnię i nie taił swego oburzenia. Zapytał więc króla nafty poważnym tonem nagany:

- Czy w ogóle wyświadczył już pan kiedy przysługę Indianinowi?
-Ja? Co za pytanie! Właśnie ci Nijorowie zawdzięczają mi bardzo wiele!

- Bynajmniej nie znać tego było po wodzu!
- Ponieważ jest niewdzięcznym hyclem. Zdaje się, że chce mi pan robić wyrzuty, zamiast myśleć o wdzięczności, jaką mi jesteś winien za wyrwanie z puebla!

- f-Im. Muszę panu oświadczyć, że im dłużej o tym myślę, tym więcej nastręcza mi się pytafi, na które nie znajduję odpowiedzi. Grinley spode łba obrzucił go badawczym spojrzeniem, powściągnął swój gniew i zapytał spokojnie:

- Jakież to są pytania? Czy mogę się dowiedzieć?
- Nie uważam tego za konieczne.
- Nie? Być może, zdołałbym pana objaśnić.
- Nie tylko być może, ale na pewno. Mógłby pan, ale czy pan zechce, w to bardzo wątpię.

- Jeśli mogę, to chcę, sir!
- Nie mówmy o tym więcej! Ponieważ jednak podkreśla pan tak mocno, że zawdzięczamy panu życie, chcę panu przypomnieE powie-dzenie: Nie mów hop, póki nie przeskoczysz.

- Co pan rozumie przez to?
- Bardzo możliwe, że skwitujemy się z panem, i nie będziesz mógł 262 wymagać od nas nadal wdzięczności.
- Chciałbym wiedzieć, w jaki sposób!

- Bardzo zwyczajnie: jeśli chodzi o nasz interes, nie może pan żądać wdzięczności, ponieważ dostaniesz zapłatę. A co się tyczy wy-dobycia nas z puebla, to wprawdzie zapisaliśmy to na pana dobro, ale może już niebawem będziemy musieli wykreślić tę pozycję, ponieważ zabił pan obu Nawajów.

- Cóż to ma wspólnego?
- Nie pytaj pan tak, jak gdybyś był nowicjuszem! Nie jest rzeczą wykluczoną, że spotkamy Nawajów.

- Co z tego?
- Pomszczą śmierć obu wywiadowców.
- Pshaw! Skąd mogą wiedzieć, co się zdarzyło?
- Skąd? Czy nie słyszał pan, co mówił Mokaszi? Było trzech Na wajów, a nie dwóch. Ti~zeci będzie nas ścigał.

Król naftowy nastroił twarz, która miała dotychczas wyraz powagi i namysłu, do szyderczego śmiechu i rzekł:

- 'I~raz widać, co z pana za madry ptaszek! Czy mniema pan, że Mokaszi szczerze wyraził swoje zdanie?

-'Pdk.
- Istotnie? Muszę wobec tego oświadczyć, że nigdy z pana nie będzie prawdziwy westman. Mokaszi wyruszył na zwiady. Fakt, że nie wyręczał się zwyczajnymi wojownikami, świadczy o tym, że przykłada do wywiadu ogromną wagę. Natrafił na trzech wrogów, którzy też są zwiadowcami i musi uczynić wszystko, aby ich unieszkodliwić. Dwóch zastrzeliłem własnoręcznie; trzeci jeszcze żyje i widział Nijorów. Nie będzie nas teraz ścigał, lecz jak najprędzej pomknie do swego plemie-nia, aby donieść o wrogach. Mokaszi musi za wszelką cenę starać się temu zapobiec. Puści się śladem Nawaja, aby go dogonić. Czy pojął pan, czy nie?

- Hm! - mruknął Baumgarten. - Może jest tak, jak pan mówi, a może i nie. 263
- Jest tak, nie inaczej. Zapewriiam pana i...
Umilkł, osadził konia i uważnie spojrzał w dal. Z małej otwartej prerii, na której się znajdowali, widać było skraj lasu. Od ciemnego tła drzew odbijały postacie dwóch jeźdźców, którzy natychmiast się zatrzymali, kiedy zauważyli trójkę podróżnych.

- Dwaj ludzie - rzekł Grinley. - Zdaje się, że to biali. Stawiam sto do jednego, że to Buttler i Poller. Jest nas trzech na dwóch, nie trzeba się więc lękać. Naprzód!

Puścili konie w cwał ku obu jeźdźcom, którzy ze swej strony pomknęli na ich spotkanie. Wkrótce poznali się wzajemnie. Z odle-głości, na jaką dobiegają słowa, król naftowy zapytał:

- Tb wy? Tb dobry znak! Czy droga jest wolna?
-'Idk - odkrzyknął Buttler. - Wolna, jak podczas pokoju. Nie natrafiliśmy nawet na ślad Indianina.

- I znaleźliście Gloomywater?
- Yes. Z łatwością.
- No? A nafta?
- Wspaniała, naprawdę wspaniała! - odpowiedział zapytany, rozpływając się w uśmiechu. Następnie zwrócił się do bankiera i dodał: - Bądź pan łaskaw i powąchaj nas! Jak się panu podoba nasz zapach? Czy to olejek różany, sir?

Oczywiście obaj, na skutek wykonanej roboty, mocno trącili naftą.

'Iiwarz Rollinsa promieniała z radości.

- Olejek różany? Oczywiście, że nie, lecz coś bardziej miłego dla mnie! Ile czasu wymaga, messurs, zebranie funta olejku różanego? Nafta natomiast tak nadmiernie tryska z ziemi, że można zebrać dziennie setki beczek. Zapach wasz jest milszy dla mnie, niż wszystkie wonności świata. Jak pan sadzi, mister Baumgarten?

- ‘Pak - potwierdził buchalter, przybierając również weselszy i pewniejszy wyraz twarzy.

-Well! Do tej pory nie chciał pan wierzyć, spostrzegałem to nieraz.
Czy przyznaje pan?
264
- Nie chcę zaprzeczać, sir.
- Ale teraz? ‘Il;raz chyba nabrałeś ufności?

Król naftowy odpowiedział zamiast Baumgartena:

- I ja zauważyłem, że mister Baumgarten mało mi daje wiary, ale jestem zbyt dumny, aby się obrażać. ‘Il;raz przekona się, że ma przed sobą człowieka honoru, który w zupełności zasługuje na zaufanie. Ale czy zostaniemy tutaj na otwartej prerii? Mogą nas łatwo zauważyć jacyś Indianie.

- Indianie? - zapytał Buttler, puszczając konie naprzód w kie-runku lasu, z którego przyjechali. - Czy natrafiliście na Indian?

-‘Iak.
- Do licha! Kiedy?
- Niedawno.
- Na jakich?
- Nijorów. Nawet na samego ich wodza.
- I wyrwaliście się z tych opałów bez uszczerbku?
- Chwała Bogu! Mogło być gorzej.

Opowiedział zajście, rozumie się, zyskując uznanie Buttlera i Pol-lera. Tymczasem wjechali do lasu, co zmusiło ich do przerwania rozmowy, gdyż drzewa stały tak blisko siebie, że trzeba było przedzie-rać się pojedyficzo. Bankier bywielce z tego niezadowolony, pragnął bowiem dowiedzieć się dalszych szczegółów o jeziorze nafty. Po pewnym czasie las się urwał i wyjechali ponownie na prerię. ‘Il;raz mogli jechać razem, z czego skorzystał Rollins, aby zadać pytanie o Gloomywater. Buttler i Poller zadośćuczynili jego ciekawo-ści w faki sposób, że niecierpliwość bankiera wzmogła się i przypra-wiała go o coraz większe podniecenie. Skoro oświadczył, że wprost wyskakuje ze skóry, Buttler począł uspokajać go:

- Cierpliwość pana nie będzie wystawiona na długą próbę. Pozos tało nam półtorej godziny drogi.

- Półtorej godziny? Spotkaliśmy was pół godziny temu. Razem więc dwie godziny. A zatem opuściliście jezioro nafty dopiero przed 265 dwiema godzinami?

-‘Ihk; mniej więcej.
- Czemu nie wcześniej? Czy można zwlekać z taką ważną wiado-mością, jaką mieli~cie mi przywieźć.

Pytanie zaskoczyło oszustów. Bankier nie powinien był domyśliE się ciężkiej pracy, którą wykonali nad Gloomywater. Buttler jednak znalazł prawdopodobną odpowiedź.

- Mieliśmy obowiązek dbać o wasze bezpieczefiństwo. Musieliśmy zatem przeszukać całą okolicę jeziora. Nie było to łatwe zadanie. Teren jest uciążliwy, my zaś, na domiar, musieliśmy posuwać się bardzo powoli, gdyż tak nakazywała ostrożność. Dlatego dopiero przed kilku godzinami dokonaliśmy tej pracy.

- I nie dostrzegliście nic podejrzanego?
- Nie, absolutnie nic. Może pan być spokojny, sir.

Rollins nie tylko był spokojny; lecz wpadł w tak wesoły nastrój, jak rzadko kiedy. Za godzinę, lub niewiele pbźniej, stanie na miejscu, gdzie oczekuje go wielomilionowy majątek. Chętnie objąłby wszy-stkich towarzyszy, poprzestał jednak na uściśnięciu dłoni księgowego i rzekł:

- Nareszcie, nareszcie u celu! I nareszcie poza niepewnością! Czy pana to nie cieszy?

- Naturalnie, sir, - brzmiała szczera odpowiedź.
- Naturalnie, sir, - powtórzył Rollins, potrząsając głową. -‘Ib brzmi tak zimno, tak obojętnie, jak gdyby cała sprawa pana nie obchodziła!

- Wie pan doskonale, że zajmuję się pana interesami nie mniej, niż własnymi. Cieszę się więc, ale nie zwykłem głośno wyrażać swej radości.

- Well, znam już pana, Baumgarten. 'I~raz jednak mógłbyś być nieco głośniejszy. Nie powiedziałem jeszcze panu, ale możesz chyba się domyśleć, że zabierając pana ze sobą, miałem pewne w stosunku do pana zamiary. Udźiał pana w tym interesie będzie większy, niż pan

266 sądzi. Czy mniema pan, że ja zamierzam wraz z rodziną wyjechać z Arkansas, aby osiąśE na Dzikim Zachodzie? Ani mi się śni! Moją właściwą i stałą siedzibą pozostanie nadal Brownsville. Będę musiał jednak sprowadzić inżynierów i zostawić dyrektora, któremu mógł-bym zaufać. Jak pan sądzi, kto to może być?

Wymownie spojrzał na księgowego, a nie otrzymawszy odpowiedzi, dodał:

- A może pan pragnie całe życie spędzi~ w Brownsville?
- Nie miałem jeszcze powodu do zastanawiania się nad tą kwes tią, mister Rollins.

-Well, bądź pan zatem tak dobry i zastanów się. C6ż bowiem, jeśli dyrektor, o którym mówię, nazywa się Baumgarten?

Niemiec podskoczył na siodle i zapytał:

- Czy mówi pan poważnie, sir?
-Yes! Wie pan, że nie żartuję w kwestiach tak poważnych. Stano-wisko jest odpowiedzialne i ciężkie. Dlatego, oprócz pensji, będzie pan zainteresowany w zyskach. Czy przyjmujesz, sir?

- Z całego serca!
-Awięc przybijmy! Oto moja ręka.

Baumgarten wyciągnął swoją i rzekł:

- Nie chcę tracić zbytecznych słów, mister Rollins. Zna mnie pan i wie, że nie jestem niewdzięczny. Moim największym życzeniem będzie sprostać stanowisku, które mam objąć.

- Sprosta pan; wiem o tym.
- Nie mógłbym tego twierdzić z całą pewnością. Prawdą jest to, co mówił niejednokrotnie mister Grinley: nie znam Zachodu. Tli zaś potrzebni są ludzie doświadczeni.

- Postaram się, aby pan miał takich do pomocy.
- Niejedną też walkę przyjdzie nam stoczyć. A może pan mniema, że Indianie pozwolą się zagnieździć tutaj tak ogromnemu przedsię-biorstwu?

- Nie poradzą.

267

- Hm! Będą twierdżić, że miejsce jest ich własnością, i...
- Nie zaprzataj pan sobie głowy zbytecznymi myślami! - prze-rwał mu król naftowy. - Słyszał pan przecież, co mówił Mokaszi? Że mogę spokojnie osiąść na swoim kawałku ziemi.

- Mówił ironicznie.
- A jednak!
- A1e czy to miejsce naprawdę należy do Nijorów? Czy inne plemiona, na przykład Nawajowie, nie mają pretensji do tych tere-nów?

- Jakie tam czerwoni mają pretensje, nas to nie obchodzi. Mam mój tomahawki.mprovement, który panu odstępuję. Dokument od-nośny leży w mojej kieszeni. Zresztą, poddał go pan badaniu w Brownsville; stwierdził pan, że jest dobry i ważny. Będzie pana włas-nością, kiedy da mi pan przekaz na San Francisco. Wówczas zostanie pan, według praw Stanów Zjednoczonych, prawowitym właścicielem Gloomywater i żaden Indianin nie będzie mógł pana wypędzić.

- Słusznie, sir. A jeśli czerwonoskórzy nie będą się liczyli z tymi prawami?

- Należy ich zmusić. Oczywiście, zwerbujecie ludzi, którzy umieją się obchodzić z nożami i strzelbami. Tb ugłaska Indian. Zresztą, może pan być pewny, że przedsiębiorstwo niebawem przyciągnie białą lud-ność, która zdoła nie tylko oprzeć się najściu czerwonych, ale także wypędzić ich z tego całego kraju. Postawcie tylko swoje maszyny! Wszak wiecie, że maszyna jest nieubłaganym prześladowcą Indian. Miał słuszność. Gdziekolwiek ukazuje się biały i sprowadza żelazne maszyny, tam czerwony musi ustąpić. 'Pdk chce nieubłagany los. Ma-szyna jest niepokonaną przeciwnością, ale nie tak okrutną, jak broń, jak woda ognista, jak choroby, których ofiarami stali się, są i będą jeszcze pozostali Indianie, znikający z powierzchni ziemi, podobnie jak bizony doszczętnie wytępione ze stepów, że dzisiaj tylko pojedyń-cze okazy oglądać można w ogrodach zoologicznych.

Naftowejezioro

Jeszcze przed upływem oznaczonego czasu pięciu jeźdźcbw znalaz-ło się między wyżynami wśród ciemnych lasów iglastych. Jedynie gdzieniegdzie jasne listowie nieco urozmaicało posępny widok.

- Dojedźmy tylko do Gloomywater! - rzekł król naftowy. -'Pdm jest jeszcze ciemniej, niż tutaj.

- Czy daleko jeszcze?
- Nie. Najbliższy wąwóz zaprowadzi nas do celu.

Niebawem wjechano do wąwozu. Z obu stron wznosiły się posępne skały, obwieszone czarnymi drzewami. Na dole wił się wężykowato cienki, wąski strumyk, na powierzchni którego płynęły tłuste oka. Grinley, dostrzegłszy je, z zadowoleniem spojrzał na Buttlera i Polle-ra. Nie mógł się z nimi dotychczas porozumieć i nie był pewny, czy skrupulatnie wykonali jego zalecenia. 'I~raz jednak, upewniony pla-mami na strumyku, wskazał je bankierowi i rzekł:

- Spójrz pan, mister Rollins! Jest to odpływ Gloomywater. Jak pan myśli, co na nim pływa?

- Nafta? - odpowiedział zapytany, uważnie się przyjrzawszy .
-'Pdk, nafta.
- Istotnie, istotnie! Szkoda wielka, że wypływa bez pożytku!

- Niech tam, niewiele wypłynie. Bodajże najlępszą okolicznością jest to, że jezioro ma tylko ten jeden, tak nieznaczny i niegodny

269 wspomnienia odpływ. Później będzie się pan mógł postarać, aby nawet ta nieznaczna ilość nie wyciekła.

- Słusznie. Ale mister Grinley, czy nie czuje pan zapachu? Jest coraz silniejszy, im bardziej się zbliżamy do celu.

- Naturalnie! Poczekaj pan, aż dojedziemy do jeziora. Dopiero się pan zdziwi!

Zapach nafty w rzeczy samej coraz bardziej się wzmagał. Naraz ściany wąwozu rozstąpiły się i zdumionym oczom bankiera i jego księgowego ukazał się wydłużony owalny basen jeziora. Na wąskim obrębie ziemi między obwodem jeziora a stromymi, skałami rosły olbrzymie czarne jodły. 'Pdkie same drzewa wznosiły się dookoła na skałach, aż do lasu, który na górze stał niczym strażnik, nie przepusz-czając najdrobniejszego promienia słonecznego.

Na dole mimo jasnego dnia, zalegał zmierzch. Żaden wiaterek nie poruszał gałęzi; żaden ptak nie zakłócił spokoju; żaden motyl nie sfrunął nad kwiatami. Wydawało się, że tu życie zamarło. Wydawało się? O nie nie tylko wydawało się, ale naprawdę zamarło. Na jeziorze pływały niezliczone zdechłe ryby, których matowe łuski odbijały w sposób szczególny od ciemnej, oleisto połyskującej powierzchni. Do-dajmy do tego niebywale silny zapach nafty. 'I~n nieoświetlony staw, który leżał przed widzami jak znieruchomiałe oko śmierci, słusznie nosił nazwę Gloomywater, Ciemńa Woda. Wywierał tak przygnębia-jące wrażenie, że Rollins i Baumgarten przez dłuższy czas stali na brzegu nie mówiąc słowa.

- No, oto jest Gloomywater - przerwał milczen~e król naftowy

- Co pan o tym myśli, mister Rollins? Jak się tu panu podoba?
Budząc się ze zdumienia, bankier odetchnął głęboko i odpowie-dział:

- Jak mi się podoba? Co za pytanie! Zdaje się, że starożytni Grecy wierzyli w wodę przez którą umarli przeprawiają się do zaświatów. ‘Pd woda musiała wyglądać tak jak nasze jezioro, nie inaczej.

- Nic nie wiem o tej wodzie greckiej, ale mogę się założyć; że
270 niepodobna jej porównać z tiaszym jeziorem, ponieważ nie posiadała nafty. Zejdźcie z konia sir i zbadajcie naftę. Obejdziemy jezioro wokoło!

Jeźdźcy zeskoczyli z koni, które następnie przywiązali, ponieważ zwierzęta parskały i wierzgały, pragnąc uciec, niepokoił ich i wstrętem przejmował zapach nafty. Grinley podszedł do wody, zaczerpnął ręką, powąchał, obejrzał i rzekł triumfująco do bankiera:

-‘Iiu oto dolary płynące milionami, sir. Przekonaj się pan osobi-ście!

Rollins rbwnież zaczerpnął, poszedł dalej i znów nabrał wody; badał jezioro w rozmaitych miejscach. Nie mówił nic, tylko wciąż kiwał głową, Zdawało się, że stracił mowę; oczy świeciły nienatural-nym blaskiem, wyraz twarzy uzmysławiał podniecenie, które go ogar-nęło. Ruchy były szybkie i przy tytn niepewne, stłumione. Ręce drżały i zdawało się, że musi zbierać siły, aby wreszcie drżącym głosem zawołać:

- Któżby to pomyślał! Ktoby mógł pomyśle~! Mister Grinley , uważam, że wszystko, co pan mówił było niedostateczne.

- Istotnie? Cieszy mnie to, niezmiernie cieszy, sir! - roześmiał się król naftowy. - Czy przekonał się pan wreszcie, że jestem uczci-wym człowiekiem?

Rollins wyciągnął obie ręce i odpowiedział:

- Podaj mi pan ręce; muszę je uścisnąć. Jest pan człowiekiem honoru. Wybacz pan, że kilkakrotnie nasuwały się nam wątpliwości. Nie nasza to wina!

- Wiem, wiem sir - skinął dobrodusznie Grinley. -‘Ii~mci obcy zbałamucili pana. Nie powinien pan był ich słuchać ; ale teraz wszy-stko jest w porządku, wszystko ! Zbadaj pan naftę, sir !

- Już zbadałem .
- No, i ...
- Jest to najpiękniejsza, najczystsza nafta na świecie ! Skąd się bierze ? Czy jezioro ma dopływ ?

27I

- Nie. Musi tutaj być jakieś źródło podziemne, a może nawet dwa: jedno źródło wody, drugie nafty. Widzi pan, że należy tylko czerpać i wlewać do beczek.

Rollins był nieprzytomny z zachwytu, atoli Baumgarten, trzeź-wiejszy, podjął ostatnie słowa Grinleya:

-‘Iak, trzeba tylko czerpać. Ale skoro już wszystko będzie wyczer-pane ? Kiedy i jak nastąpi wówczas przypływ nafty ?

- Oczywiście szybko, tak szybko, że nie będzie przerwy w pracy !
- Nie twierdziłbym tego bez uprzedniego zbadania. Wszak tylko tyle może dopłynąć , ile odpływa. A teraz obejrzyj pan ten znikomy odpływ, który był naszym drogowskazem. Przypuszczam, że woda nie unosi stąd więcej nafty, niż litr na godzinę. Tb jest cały plon, jakiego możemy oczekiwać.

-‘I~k pan myśli ? Nie więcej ? Nie więcej, niż litr na godzinę ? - zapytał bankier rozpaczliwie.

Z niedomkniętymi ustami, z twarzą śmiertelnie pobladłą oczeki-wał odpowiedzi.

- ‘Pdk! - odpowiedział buchalter. - Musi pan przyznać, że dopływ nie może być większy, niż odpływ. Nawet, jeśli jest dziesięcio-krotnie, stokrotnie obfitszy! Co znaczy sto litrów nafty na godzinę? Nic, absolutnie nic. Weź pan pod rozwagę wielkość kapitału, oddale-nie tej miejscowości, niebezpieczeństwa, trudności sprzedaży i sto litrów na godzinę!

- Czy nie może być więcej? Czy się pan nie myli?

- Nie! Stanowczo nie! Jak istnieje to jezioro? Niezliczone mnó-stwo lat. Od czasu powstania upłynęły setki, lub tysiące lat, a tak mało przypłynęło oleju skalnego. Gdyby nafty było więcej, jakże wysoko musiałaby leże~ na wodzie! Nie, nic tu się nie da eksploatować!

- Nic, nic! - powtarzał bankier, rękoma chwytając się za głowę

- A zatem nadzieja, cała radość daremna! Na próżno, na próżno odbyliśmy tak daleką, tak bardzo daleką podróż! Kto może to wytrzy-mać, kto wytrzyma!

272

Równie zdeprymowany był król naftowy. Z jakimi trudami, wśród ilu niebezpieczeństw znosił tu i ukrywał naftę? Ile go to kosztowało ! A teraz, kiedy stał u celu, wszystko to miało przepaść! Widział pło-mienie przed oczami; czuł się bezradny, nie mógł dobyć głosu i skierował spojrzenie, szukające pomocy, ku swemu przyrodniemu bratu, Buttlerowi.

‘I~n już nieraz ratował go z opałów, a i teraz okazało się, że były herszt finderów niełatwo daje się zbić z panatałyku. Roześmiał się krótko, wzgardliwie, i rzekł do bankiera:

- Czemu pan biada mister Rollins? Nie mogę pana zrozumieć!

Gdyby tak było, jak ten pan mówi, to Grinleyowi na myśl nie przyszło-by pokładać tak wielkich nadziei w Gloomywater.

-‘I~k pan sądzi? - zapytał szybko Rollins odzyskując nadzieję.

-‘Idk, tak sądzę! I gdyby naftę można było czerpać w taki sposób pojedyńczemi beczkami, to zachowałby placer dla siebie, a nie propo-nowałby panu. Otóż, wydobycie nafty wymaga bardzo kosztownych przygotowań na które nie ma środków.

- Przygotowania? Jakie?

- Hm! Dziwi mnie bardzo, że sam pan nie pojmuje. Czy studiował pan kiedyś fizykę?

- Nie.

- Hm. Szkoda! Nie mogę zatem dać panu szczegółowych wyjaś-nień. Ale spróbuję wyklarować tę rzecz poglądowo. Przypuśćmy, że koń pana leży w trawie, a pan siedzi na siodle. Czy koń będzie mógł się z panem podnieść?

-‘Pak. -
- Nie sądzi pan zatem, że jesteś dlań zbyt wielkim ciężarem?
- Nie. Podniesie się.

- Well. Załóżmy jednak, że leży nie koń lecz pies domowy. Czy podniesie pana?

- Nie.
- Czemu nie?

273

- Ponieważ jestem dlafi zbyt ciężki.
- No, więc zastosuj to pan do nafty.
- Jak to? - zapytał Rollins, który nie zrozumiał przykładu.

- Mój przykład mówi, że cięższe ciało powstrzymuje lżejsze, na którym leży. Rozumie pan?

-‘Ii;raz tak.
- Czy pan także mister Baumgarten?
-‘Iak - skinął zapytany, który z uwagą śledził bieg myśli Buttlera.
- A czy wie pan, co jest cięższe, woda czy nafta?

- Woda - odpowiedział buchalter.
- Tiery weld! No, a teraz pomyśl pan, jak ciężka jest woda która wypełnia to całe jezioro!

- Tysiące cetnarów.
-A na dnie jeziora znajduje się żródło nafty, to znaczy mały otwór, przez który nafta chce się wydostać. Atoli na tym otworze spoczywają tysiące cetnarów wody. Czy nafta może się więc wydostać?

- Nie ...
Baumgarten wpadł w pułapkę. Byl kupcem; nie znał się na prawach fizyki i nie wiedział, że właśnie nafta jako lżejsza idzie w górę. Grinley odetchnął swobodnie. Na twarzy Buttlera pojawił się zwycięski uśmiech. Ciągnął dalej:

- A zatem nafta, która pł~mie z ziemi nie może iść w górę. Widzimy tu tylko nieznaczną ilość, ktbra wydobywa się z jakiejś małej rysy. Lecz dajcie pompę i wypompujcie wodę z jeziora albo postarajcie się usunąć ją w inny sposób! Wówczas zobaczycie, jakim potężnym, strumieniem przeszyje powietrze i ile setek beczek wypełni w ciągu jednego dnia! Gdyby Grinley miał pieniądze nie zwracałby się do pana!

Poskutkowało. Bankier cieszył się od nowa, a Baumgarten stracił skrupuły. Że nafta była, to widoczne. ‘Ii~zeba było tylko utorować jej jakiś odpływ. Długo jeszcze żonglowali oszuści prawami fizyki. Róllins wreszcie zdecydował się ubić interes, chciałjednak uprzedriio 274 obejrzeć cały obwód jeziora.

- Proszę bardzo mister Rollins, - rzekł Grinley - Poller pana. oprowadzi!

Wymieniony oddalił się z Rollinsem i Baumgartenem. Skoro ode-szli, król nafty odetchnął swobodnie:

- Do stu tysięcy kartaczy, co za fatalna sytuacja! Niemalże w ostatniej chwili nie odstąpili od interesu. ‘Iiwój wykręt był wspaniały!

- ‘I~k - roześmiał się Buttler - Gdyby nie ja, mogłbyś jezioro zachować dla siebie. Ale teraz jestem przeświadczony, że pójdą na lep.

-‘Iiwdno uwierzyć, aby tak naiwne wyjaśnienie zdołało ich uspo-koić!

-Pshaw! Rollins jest głupi a Baumgarten za uczciwy.
- Przejdą koło jaskini. Czy jej nie zobaczą?
- Nie. Wiele potu spłynęło z nas przy pracy. Postaraj się zatem aby interes dzisiaj został zakoficzony. Nie możemy marudzić ani godziny bo nie należy ufać czerwonoskórym. Możemy tu zostać najwyżej do świtu. Jakże się następnie załatwimy z tymi głupcami nożem czy kulą?

- Hm, wolałbym tego uniknąć.
- Pozostawić ich przy życiu? Co ci do głowy strzeliło!
- Nie chciej zrozumieć mnie fałszywie! Wspomnienie trupów bę-dzie mi mąciło spokój. Jak myślisz może ich umieścimy w jaskini?

- Niezła myśl! Weźmiemy durniów w łyka i zamkniemy w jaskini.
Zginą i tak, nie zmuszając nas do przyglądania się ich śmierci. Przy-staję . Ale kiedy?

- Skoro tylko dostaniemy pieniądze . Uraczymy ich w głowy ude rzeniem kolb. A Poller?
- Jego nie. Prawdopodobnie przyda nam się jeszcze. Póki się nie wydostaniemy z tego niebezpiecznego miejsca, lepiej jechać w trójkę, niż we dwójkę. Następnie będziemy łatwo mogli się go pozbyć. ‘Idk, okolica ta była dla nich stanowczo niebezpieczna. Nie 275 przeczuwali, że są śledzeni. Nieopodal, u wylotu wąwozu, za krzewa-mi leżał Indianin i notował sobie w pamięci wszystko, co się rozgry-wało przed jego oc7ami. Był to Nawaj, świadek morderstwa, popeł-nionego na obu zwiadowcach. Grinley i Buttler ułożyli się na trawie.

Zauważywszy to, Indianin rzekł do siebie:

- Zostają nad jeziorem, tak prędko nie opuszczą tej miejscowoś-ci. Mam dosyć czasu, aby wrócić do swoich i sprowadzić ich tutaj. Wydostał się zza krzewów i zniknął w wąwozie nie pozostawiając za sobą śladu nóg.

Po pewnym czasie trzej biali wrócili z przeglądu i podeszli do Buttlera i Grinleya.

- No, messurs, - zapytał król naftowy - widzieliście wszystko.
Co postanowiliście?

- Kupić - odpowiedział bankier.
- Jesteście zatem przekonani, że robicie dobry interes?
-'Pak, aczkolwiek nie tak dobry jak pan sobie wyobraża.
- Porzućmy targi, sir! Nie spuszczę ani dolara z żądanej ceny, i w ogóle nie chcę tracić czasu. Uważam za rzecz możliwą, że Indianie są za nami i pragnę zachować, swój skalp na głowie.

- A więc czym prędzej jedźmy - rzekł z lękiem Rollins.
- Tiik, ale przedtem musimy zakoficzy~ sprawę. Postanowiliśmy zawrzeć kontrakt nad jeziorem. Skoro tylko podpiszemy i wymienimy papiery, będziemy mogli wyruszyć z powrotem.

- Dobrze. Mister Baumgarten, czy ma pan jeszcze jakieś wątpli-wości?

Zanim jednak buchalter zdążył odpowiedzieć, Grinley wtrącił gniewnie:

- Jeżeli pan jeszcze teraz mówi o wątpliwościach mister Rollins, muszę to naprawdę uważać za obrazę! Powiedz pan krótko, chce pan, czy nie?

Zahukany bankier odpowiedział:

- Chcę. 'Ib się rozumie samo przez się.

276

- No dobrze! A więc dobijamy do przystani. Dokumenty są już dawno sporządzone i wymagają tylko podpisu. Weź pan atrament i pióro!

Rollins wyjął przybory piśmienne z torby u siodła. Po położeniu podpisów otrzymał akt kupna, w zamian podpisał przekaz na San Francisco. Grinley obejrzał czek chciwym spojrzeniem i roześmiawszy się w sposób nader szczególny, rzekł:

- 1'dk, tak mister Rollins teraz jesteś pan właścicielem tych nie-zwykłych terenów naftowych. Życzę panu wiele szczęścia! A ponieważ wszystko, co się tutaj znajduje jest teraz własnością pana, do której nie mam już żadnych praw, przeto odkryję tajemnicę, która może się panu bardzo przydać.

- Co za tajemnica?
- Ukryta jaskinia.
- Nic więcej?
- Oho! Mówi pan tak, jak gdyby nie miało to żadnego znaczenia, a przecież ta jaskinia może wam z początku przydać się jako skład lub jako kryjówka przed napaścią Indian. ByE może nawet, pozostaje ona w związku z podziemnymi zbiornikami nafty, które tutaj bezwzględ-nie istnieją.

- Ach, zbiorniki nafty? Czy to możliwe?
- Nawet bardzo. Nie zbadałem jeszcze.
- A więc powiedz pan szybko, gdzie on! Muszę zobaczyć, później każę ją zbadać.

- Chodźcie! Zaprowadzę was.
Poszli wzdłuż brzegu do miejsca, gdzie blok skalny zbliżał się do wody. U stóp bloku wznosił się kopiec kamieni. Buttler i Poller zaczęli usuwać jego wierzchołek. Niebawem ukazał się otwór, prowadzący do skały.

- Jaskinia! - zawołał bankier. - Rozszerzymy wejście. Szybko!
Pomóż mi pan, mister Baumgarten!

Obaj nachylili śię aby pomóc w pracy. Buttler odwrócił się i spojrzał 277 pytająco na Grinleya. ‘Il;n skinął. Uchwycili strzelby. Każdy z nich zamierzył się kolbą. Bankier i Baumgarten runęli, uderzeni w głowy. Oszuści spętali im ręce i nogi i umieścili głęboko w jaskini. Gdyby więźniowie nie stracili przytomności, ujrzeliby mnóstwo beczek, któ-rymi kryjówka była niemal przepełniona.

Następnie usypano z powrotem kamienie, całkowicie zakrywające otwór. Nie trzeba chyba dodawać, że trzej bandyci obrabowali swoje ofiary ze wszystkiego, co mogło im się przydać. Po czym wrócili do koni.

- Nareszcie! - rzekł król naftowy. - Jeszcze żaden interes nie nastręczył mi tyle trudów i kłopotów , co ten. A jednak nie koniec na tym! ‘Ii~zeba teraz zawieźć przekaz do San Francisco. Mam nadzieję, że przybędziemy tam szczęśliwie. Naturalnie ruszamy natychmiast?

- ‘Pdk - odpowiedział Poller. - Ale przedtem musimy się po-dzielić.

- Czym?
- Przedmiotami któreśmy zabrali.
- Czy koniecznie już teraz?
- Zawsze lepiej jeśli każdy wie, co do niego należy.
Grinley pragnął go właściwie natychmiast załatwić, lecz pomyśla-wszy sobie, że to, co mu teraz wręczy, odbierże następnie z łatwością, oświadczył dobrodusznie:

- Koni oczywiście nie będziemy krajać. Nie pójdziemy też do wójta. Jesteśmy przyjacióhni i nie posprzeczamy się o drobnostki. Usiedli i rozłożyli przed sobą zrabowane strzelby, zegarki, pierście-nie, sakiewki i inne rzeczy aby je oszacować i odpowiednio pomiędzy siebie podzielić.

Tymczasem ośmiu Indian skradało się wąwozem, prowadzącym nad jezioro. Byli to Nawajowie. Na ich czele sunął zwiadowca. U wylotu wąwozu zatrzymali się i poprzez zarośla śledzili trzech białych przy podziale łupów.

- Uff! - szepnął najstarszy Indianin zwracając się dó zwiadowcy.
- Jest tak jak mój brat oznajmił: jezioro jest pełne nafty , skąd się to wzięło?

- Białe twarze na pewno to wiedzą - odpowiedział zagadnięty.
- Czy mój brat nie mówił o pięciu białych? Widzę tylko trzech.
- Poprzednio było pięciu; brakuje dwóch.
- Który zamordował naszego brata Khasti Tine?
-‘I~n, który trzyma w ręku dwie strzelby.
- Umrze okrutną śmiercią; ale także i dwaj pozostali zginą przy palu męczarni. Uff! Dzielą pomiędzy siebie rzeczy, które leżą przed nimi. Każdy dostaje coś innego. Czwarty i piąty zniknęli. ‘I~ rzeczy były ich własnością! Czyżby ich zamordowano?

- Dowiemy się. Kiedy mamy ich schwyta~?
- Natychmiast. Widzą przed sobą tylko łup i będą tak oszołomie ni raptownym napadem, że pokonamy ich bez oporu. Niechaj bracia moi spieszą za mną!

Skoczył, a za nim siedmiu towarzyszy. ~Yzej oszuści zostali na padnięci tak znienacka, że tkwili w pętach zanim zdążyli się poruszyć. Czerwoni uwinęli się w milczeniu. Pięciu przysiadło się do jeńców; trzech przeszukało kotlinę. Wróciwszy zameldowali:

- Obaj biali znikli bez śladu. Nie znaleźliśmy nikogo mimo skrzęt-nego poszukiwania.

- Czy nie wdrapali się na skałę? - zapytał przywódca.
- Nie. Nie odkryli~my śladów.
- Zaraz się dowiemy, gdzie ich szukać!
Wyciągnął nóż, przystawił do piersi króla naftowego i zagroził:

- Ty jesteś tym łotrem, który zamordował brata naszego, młodego Khasti Tine. Jeśli mi natychmiast nie powiesz, gdzie znikli obaj biali, którzy wam poprzednio towarzyszyli wbiję ci to żelazo w serce! Rozkaz wprawił Grinleya w nieopisane przerażenie. Jeśliby usłu-chał, Indianie na pewno wydobyliby bankiera i buchaltera z jaskini do czego nie mógł dopuścić. Gdyby jednak nie usłuchał, dowódca naprawdę mógłby wykonać pogróżkę i pchnąć go nożem. Co czynić ?

279

I znowu chytrzejszy Buttler wyratował go z kłopotu, mówiąc do

Indianina:

- Jesteś w błędzie! Człowiek, którego chcesz dźgnąć nie jest mordercą Khasti Tine. Myśmy niewinni jego śmierci!

Indianin odstąpił od Grinleya i zwrócił się do Buttlera:

- Milcz! - zgromił go. - Wiemy, kto jest mordercą.
- Nie, nie wiecie!
-'Ibn nasz brat był świadkiem!

Wskazał na zwiadowcę.

- Myli się! Widział nas dopiero przy wodzu Nijorów. Ale kiedy padły strzały staliśmy tak, że nie mógł nas widzieć.

- A więc wypierasz się obecności przy zamordowaniu obu naszych braci?

- Nie. Nigdy jeszcze nie skłamałem i przez myśl mi nie przeszło zadawać kłam prawdzie. Zbrodnię popełnili obaj biali, o których pytałeś.

- Uff! - krzyknął Indianin. - Nie widzimy ich, a więc odjechali.

Chcesz się ratować, na nich zwalając winę.

- Odjechali powiadasz? Dokąd mogli odjechać ? Jesteście zwia-dowcami, a więc wojownikami posiadającymi dobre oczy. Czy widzie-liście ślady, które na pewno byłyby widoczne, gdyby istotnie odjecha-li?

- Nie. Chcesz przez to powiedzieć, że są tu jeszcze?
-'Pdk.
- Gdzie?
-'Iii! -wskazał na wodę.
- Uff! W tym jeziorze?
-'Ihk.
- Utopili się zatem?
-'ldk.
- Nie kłam! Nikt nie wszedłby do tej wody.
-'Ib prawda. Nie chcieli wejść, lecz musieli.

280

Kto ich zmusił?

- My. Utopiliśmy ich.
- Utopiliście? Czemu?
- Za karę. Byli naszymi śmiertelnymi wrogami.

- A jednak jechali z wami! Nikt nie jeździ w towarzystwie swoich śmiertelnych wrogów!

- Poznaliśmy ich intencje dopiero po przybyciu do kotliny. Chcie-li wziąć w posiadanie jezioro nafty i w tym celu nas zamordować. Przejrzeliśmy ich i unieszkodliwiliśmy wtrącając do wody.

- Czy nie stawiali oporu?

Nie. Powaliliśmy ich znienacka kolbami.

Dlaczego nie widać trupów?

- Ponieważ przywiązaliśmy im kamienie do nóg; poszły na dno.

Czenwonoskóry milczał przez chwilę. Następnie rzekł:

- Chcę wierzyć, że mówisz prawdę. Brzydzę się wami! Utopiliście synów własnej rasy niczym psy parszywe. Zabiliście ich z ukry cia, nie walcząc z nimi. Jesteście złymi ludźmi.

- Czy mogliśmy postąpić inaczej? Czy mieliśmy czeka~ aż wyko-mają swój plan i zastrzelą nas z zasadzki? Thk bowiem planowali, podsłuchaliśmy ich rozmowę.

- Co sobie o tym myślicie, mnie nie obchodzi. Żaden czerwono-skóry nie utopi Indianina nawet najzawziętszego wroga. Czy byliście już kiedyś nad tą wodą?

-'1'dk, ja, - odpowiedział król naftowy.
- Kiedy?
- Przed wielu miesiącami.
- Czy była tu już wówczas nafta?
- 'Pdk. Dlatego właśnie sprowadziłem jeszcze kilku białych aby pokazać im naftę. Chciałem wraz z nimi założyć towarzystwo eksplo-atowania oleju skalnego. Ci dwaj wszakże zamierzali pozbyE się nas skrytobjóczo.

- Uff! Poprzednio nie było tu nigdzie nafty. Dopiero niedawno
281 musiała się wydobyć z ziemi. Ale jakże mogliście się uważać za właścicieli jeziora! Należy do czerwonych. Białe twarze są bandytami, przyszli do nas aby wydrzeć naszą własność. 'Ibmahawk został wyko-pany. Bodajbyście zostali w domu, zamiast iść w objęcia śmierci!

- Śmierci? Czy jesteście uczciwymi wojownikami, czy morderca-mi? Wszak nic wam złego nie wyrządziliśmy!

- Milcz! Czy Khasti Tine nie został zamordowany wraz z towarzy szem?

- Niestety ... Ale nie myśmy go zabili!
- Byliście obecni; mogliście zapobiec zbrodni.
- Obaj hultaje wystrzelili tak szybko, że nie mieliśmy czasu ich powstrzymać.

-Tb was nie ocali! Znajdowaliście się w towarzystwie morderców.
Umrzecie nichybnie. Zaprowadzimy was do naszego wodza. Starsi plemienia zawyrokują, jaką śmiercią macie umrzeć.

- Przecierz ukaraliśmy obu morderców! Winniście nam za to wdzięczność.

- Wdzięczność? - syknął czerwonoskóry. - Sądzisz żeś nam oddał przysługę? Wolelibyśmy, aby żyli jeszcze; moglibyśmy zedrzeć z nich skalpy i spalić ich przy palach męczarni. Pozbawiliście nas tej przyjemności. Wasz los przesądzony, śmierć was czeka. Rzekłem! Odwrócił się na znak , że uważa rozmowę za skończoną. Wypróż-niono kieszenie jeńców; Indianie zabrali całą ich zawartoś~. Skoro jednak przywódca zobaczył przekaz pieniężny, ujął go ostrożnie ko-niuszkami palców, włożył z powrotem do kieszeni Grinleya i rzekł:

- Zaczarowany papier mówiący... Żaden czerwony wojownik nie bierze go ręki, gdyż później może zdradzić wszystkie jego myśli, słowa i czyny.

Tymczasem upłynął dzień i nad jeziorem zaczęło się ściemniać. Indianie zostaliby tu przez noc, gdyby,nie ostry zapach nafty. Jeńców wsadzili na konie i ruszyli z powrotem przez wąwóz do miejsca w lesie, gdzie była czysta wóda. Indianie zeskoczyli z koni, przywiązali jeńców do trzech drzew i poczynili przygotowania do noclegu. Czuli się bezpiecznie; gdyby jednak wiedzieli co się za nimi czai, pomknęliby, co koń wyskoczy.

Otóż Mokaszi, wódz Nijorów po odjeździe białych zbadał po raz drugi dokładnie ślady zwiadowców Nawajów. Już poprzednio stwier-dził obecnośE trzeciego zwiadowcy. Teraz chciał go odszukać. Po długim poszukiwaniu znalazł ślad który wkrótce, drogą okrężną zetknął się i połączył ze śladem białych.

-'I~n Nawaj chce się zemścić na mordercach, skrada się za nimi.
Z tego można wnosić, że droga do jego oddziału prowadzi w tym samym kierunku. Pojedziemy za nimi i schwytamy w niewolę. 'Pak powiedział wódz i pojechał z początku w przeciwnym kierunku, do kryjówki w lesie, gdzie obozowało przeszło trzydziestu Nijo-rów, awangarda, która wyprzedzała główne siły. 'I~raz na czele tych ludzi, wrócił do tropu Nawajów i jechał za nimi ostrożnie. Po drodze zauważył, że do trzech białych przyłączyli się jeszcze dwaj. Indianie zbliżyli się do wąwozu, który prowadził nad jezioro nafty. 'Pdm z ukrycia, po krótkim czasie zobaczyli zwiadowcę Nawajów wychodzącego z wąwozu. Jeden z Nijorów chwycił za strzelbę chcąc strzelić; wódz powstrzymał go przeczącym gestem i szepnął:

- Niech ucieka! Niebawem powróci i przyprowadzi innych Nawa-jów. Wówczas schwytamy ich wszystkich.

Już po krótkim czasie okazało się, że słusznie przypuszczał, gdyż zwiadowca wrócił z siedmioma innymi. Wszyscy wkroczyli do wąwo-zu. U wylotu zsiedli z koni, aby napaść na białych. Nijorowie czekali. Mokaszi się zdziwił, kiedy następnie zobaczył Nawajów tylko z trzema białymi jeńcami. Chciał napaść na nich w momencie, kiedy wychodzili z wąwozu po namyśle jednak nakazał swoim ludziom, aby pozostali w ukryciu. Przede wszystkim chciał wybadać, czemu brak dwóch białych. Dlatego przepuścił wrogów i z kilkoma ludźmi zakradł się nad Mroczną Wodę. Przeszukali szybko, ale ostrożnie; całą kotlinę, nie znajdując nigdzie śladu obu białych.

283

- Nie mogli odejść! - rzekł Mokaszi. - Nie żyją, a że nie widać ich ciał więc zostali strąceni w wodę.

Opuścił wraz z towarzyszami jezioro i wrócił do kryjówki pozosta-łych. 'Idm zostawili konie pod nadzorem dwóch strażników; z po-zostałymi Mokaszi pieszo poszedł śladem Nawajów. Wrogowie nie mogli się bardzo oddalić gdyż zapadł wieczór.

Dogasające światło dnia pozwalało jeszcze poznaE ich ślady; gubiły się w lesie. Mokaszi nie był zbity z tropu. Aby znaleźE Nawajów, należało tylko trzymaE się dotychczasowego kierunku. Niewiele czasu upłynęło, gdy poczuł zapach spalenizny i zobaczył mdły blask małego indiańskiego ogniska. Zatrzymał się i szepnął do swoich ludzi:

- Ci Nawajowie nie są wojownikami, lecz młodymi chłopcami bez rozwagi. Jaki wywiadowca rozpala w nocy ognisko! Moi bracia mogą ich okrążyć i skoro tylko wydam okrzyk wojenny, rzucić się na nich. Musimy ich schwytaE żywcem, aby przywiązać do pala męczarni. Nijorowie skradali się jak cienie pośród drzew. Mokaszi przysunął się jak najbliżej do ogniska i upatrzył sobie jednego Nawaja. Kiedy po kilku minutach osądził, że jego ludzie są gotowi, wydał znany, przeraźliwie brzmiący okrzyk i skoczył między Nawajów, aby schwytać upatrzonego. W tej samej chwili jego wojownicy powtórzyli okrzyk i rzucili się ze wszech stron na wrogów, nie spodziewających się ataku i wskutek tego niezdolnych do oporu. Powalili ich, nie pozostawiając im czasu na sięgnięcie po brofi.

- Bogu dzięki - szepnął król naftowy. - Jesteśmy uratowani.
- Albo nie! - odrzekł Poller.
- O, na pewno! Mokaszi raz już nas puścił. Z jakiego powodu miałby teraz zatrzymywać?

- Cóż z tego? Ci caerwoni szubrawcy nie pytają o powód.
- Poczekajmy! Przekonacie się, że mam słuszność.
Nikt nie zwrócił uwagi na te szepty. Nawajowie leżeli spętani na ziemi. Nijorowie dzielili miedzy siebie ich brofi. Mokaszi stał koło 284 ogniska.

- Synowie Nawajów niechaj mi powiedzą, który z nich jest przy-wódcą! - rozkazał.

- Ja - odpowiedział najstarszy.

- Jakże się nazywasz?
- Nazywają mnie Rączym Rumakiem.
- Zb imię jest trafne. W ucieczce przed wrogiem bywasz bardziej rączy od mustangów prerii.

- Mokaszi, wódz Nijorów, kłamie. Żaden jeszcze wróg nie oglądał moich pleców!

- Wymieniłeś moje imię; a zatem znasz mnie?
- 1'dk, widziałem ciebie. Jesteś mężnym i odważnym wojowni-kiem. Chciałbym z tobą walczyć. 'Itwój skalp zawisłby u mego pasa.

- Mego skalpu nie posiądzie żaden wojownik, a cóż dopiero taki, jakim ty jesteś. Czyż Wielki Duch stworzył was bez mózgu? Czyż nie wiecie, że Nijorowie również wysłali zwiadowców? Jakiż to zwiadow-ca przechodzi przez las po trawie, nie oglądając się za śladami wro-gów? Każdy szpieg przede wszystkim stara się ukryć; wy zaś rozpali-liście ognisko, jak gdybyście chcieli nas zwabić. Nigdyj już nie znajdzie-cie okazji do popełnienia takich pomyłek, umrzecie bowiemprzy palu, doznawszy uprzednio takich męczrni, że głosy wasze będą rozlegały ponad wszystkimi górami.

Rączy Rumak odpowiedział:

- Męczcie nas. Umrzmy jak wojownicy; nie wydamy żadnego dźwięku i nie mrugniemy powieką. Wojownicy Nawajów uczyli się przezwyciężać ból. Co zrobicie z tymi białymi?

Król naftowy odezwał się :

- Mokaszi, szlachetny i znakomity wódz, puści nas na wolność.
Lecz szlachetny i znakomity wódz zgromił śmiałka:

- Psie! Kogo pytano, mnie czy też ciebie? Jak śmiesz odzywać się, zanim ja zdążyłem usta otworzyć?

- Ponieważ wiem, że uczynisz to, co mówiłem.

285

- Co ja uczynię, dowiesz się niebawem. Raz jeden was puściłem, aby pokazać, w jakiej mam was pogardzie. Ale po raz drugi nie puszczę. Było was pięciu. Gdzie są dwaj pozostali?

- Nie żyją - odpowiedział Grinley ciszej, niż poprzednio.
~ Nie żyją? Kto ich zabił?
~ My.
~ Dlaczego?
- Ponieważ dowiedzieliśmy się, że czyhają na nasze życie. Chcieli nas zamordować.

Mokaszi, zdumiony, podniósł brwi i zawołał:

- Uff! Was skrycie zamordować? Dokładnie obejrzałem oczy i twa rze tych mężów. Byli to zacni i uczciwi ludzie: wy natomiast jesteście mordercami i złodziejami, których należy tropićjak dzikie ijadowite zwierzęta. Gdzie są trupy? Nie widziałem ich.

- W jeziorze.
- Nie widziałem śladu krwi. A zatem nie zabiliście ich przed wrzuceniem do wody?

- Nie.
- Utopiliście ich?
-1'ak.
Król naftowy z trudem wypowiedział to potwierdzenie. Skutek nastąpił zmiejsca; wódz kopnął go nogą, splunął mu w twarz i zawołał:

- Potworze, szkaradny potworze! Nie jesteś człowiekiem, lecz gadem, umrzesz zatem śmiercią, na jaką zasłużyłeś. Nie tylko zabić towarzyszy, którzy ci nic nie zawinili, ale, co więcej, utopić! Napadłeś na nich zdradziecko, podobnie jak zdradziecko zamordowałeś Khasti Tine!

Usłyszawszy ostatnie słowa wodza, Rączy Rumak podniósł się, na ile mu więzy pozwalały, i rzekł:

- Co powiedział Mokaszi? Kto zamordował Khasti Tine?
-'I~n biały, który w zaślepieniu wierzy, że go puścimy.
- Uff! 'Ii.vierdził, że mordercami byli obaj utópieni!

286

- Kłanistwo! On sam chlubił się przede mną, że zabił obu zwia-dowców Nawajów. 'I~n tchórzliwy łotr drży teraz ze strachu i zwala winę na dwóch uczciwych ludzi, których również zamordował. Obaj zastrzeleni zwiadowcy i obaj zamordowani biali będą straszliwie po-mszczeni, aczkolwiek nie należą do mego plemienia. Spójrzcie na tych trzech białych! Będą doznawali takich katuszy, że zapragną śmierci, a w koficu zostaną utopieni, jak utopili swoje ofiary! Powie-działem!

Znowu plunął Grinleyowi w twarz, kopnął mocno Buttlera i Pol-lera i odwrócił się od nich.

Wysłał jednego wojownika po konie. Kiedy nadjechały, wyjęto z juków suszone mięso i zabrano się do jedzenia. Nawajom wydzielono posiłek, natomiast trzej biali nie otrzymali ani kęsa.

- Piekielna historia! - szepnął Buttler do Grinleya. -'Ib poto-pienie całkiem nas gubi. Może byłoby lepiej wyznaE prawdę?

- Nie - odpowiedział król naftowy. - Czerwone łotry oswobo dziliby bankiera i księgowego lecz nasza sytuacja nie polepszyłaby się bynajmniej. Ponadto, stracilibyśmy przekaz.

- Pshaw! Co nam po nim, skoro mamy się smażyć przy palu męczarni!

- Nie dojdzie do tego!
- A więc nie straciłeś nadziei?
- Naturalnie! Nie po raz pierwszy wpadłem w opały; jak widzisz, zawsze wychodziłem cało. A jeśli nawet przywiążą mnie do pala, nie wyrzeknę się nadziei, póki mniejej nie pozbawią śmiertelnym ciosem. Jak ci wiadomo, niejeden już stał przywiązany do pala, a jednak ocalał.

- Miał przyjaciół, którzy go uratowali, ale kogo my mamy? Niko-go, ktoby dla nas chciał zadzierać z czerwonymi. Jeśli sami się nie uwolnimy, jesteśmy straceni.

Miał aż zbyt wiele słuszności. Gdyby zasłużyli na przyjaciół, pomoc byłaby o wiele bliżej, niż mogli marzyć. Blisko bowiem byli Old Shatterhand i Winnetou.

287

Obaj ci mężowie, od chwili kiedy podsłuchali króla nafty i jego towarzyszy, byli zdecydowani jechać za nimi do Gloomywater. Ale, że musieli przedtem uwolnić uwięzionych w pueblu, więc Grinley ubiegł ich o dwa dni drogi. Wysławszy jednak nad jezioro Buttlera i Pollera, zmarnował jeden dziefi. Drugi zyskali Winnetou i Old Shatterhand, dlatego, że ich towarzysze dosiadali najlepszych koni Pueblosów i mogli za nimi nadążyć. A przy tym, nie jechali śladem króla naftowe-go; Apacz znał drogę, która, dzięki ominięciu rozmaitych trudności terenu, szybciej prowadziła do celu. Tbteż oddział jeźdźców niedługo przed zachodem znalazł się w odległości dwóch godzin drogi od jeziora. Sprawność godna podziwu, jeśli się zważy, że oddział składał się z kobiet i dzieci.

Od puebla aż do tego miejsca nie natrafili na żadne ślady. Teraz droga Winnetou zeszła się z drogą króla naftowego w miejscu otwar-tym, które raczej należałoby nazwać polaną leśną, niż prerią. Ślad ściganych ciągnął się szeroką i prostą krechą. Oddział się zatrzymał. Winnetou i Old Shatterhand zeskoczyli z koni, aby się przyjrzeć śladom. Pozostali przyzwyczajeni byli zdawać się na tych równie znakomitych, jak domyślnych ludzi. Nawet Sam Hawkens, tak prze-myślny i doświadczony westman, zabierał głos jedynie na zaproszenie obu wielkich myśliwych.

Ślad wydawał się dosyć trudnym do odczytania, gdyż Old Shatter-hand szedł wciąż naprzód, Winetou zaś wstecz. Upłynął kwadrans, zanim się znów spotkali w miejscu, gdzie zatrzymał się cały oddział. Wszyscy słyszeli ich rozmowę.

- Cóż mój brat powie? - zapytał Old Shatterhand. - Rzadko natrafiłem na ślady tak trudne do odczytania.

Winnetou spoglądał wprost przed siebie, jak gdyby szukając w dali wyjaśnienia i odpowiedział z właściwą mu stanowczością:

- Jutro zobaczymy trzy grupy ludzi, białych oraz wojowników dwóch wrogich plemion.

-'Ihk, tak i ja myślę. Czerwoni, to Nawajowie i Nijorowie. 'I~ trzy 288 grupy tropią się nawzajem nad Gloomywatei.
- Mój biały brat ma słuszność. Z początku przejeżdżało tędy pięć koni, to biali, których ścigamy. Następnie nadjechał pojedyńczy jeździec, a za nim oddział liczący trzydziestu ludzi.

Rzekłszy to, spojrzał na zachód, na położenie słońca, i dodał:

- Byłoby dobrze dzisiaj jeszcze dotrzeć do Gloomywater; ale za mało jest czasu i zbyt wielkie niebezpieczefistwo. Co o tym myśli Old Shatterhand?

- Przyznaję ci słuszność. Zanim dotrzemy do jeziora, zapadnie noc, a zatem za późno będzie aby coś przedsięwziąć. Nie zobaczymy nic, a tym czasem wrogowie mogą nas odkryć. Ti~zeba zważyć, że nasz oddział nie składa się z samych mężczyzn.

- Słusznie! Dopiero jutro nad ranem pojedziemy do jeziora, a więc teraz rozbijemy obóz.

- Gdzie?
- Winnetou zna miejsce oddalone o godzinę od Gloomywater.
Tam można nawet wzniecić ognisko, którego nikt nie dojrzy i nie po czuje. Niech moi bracia jadą za mną!

Ruszył nie obejrzawszy się nawet, czy za nim jadą. Old Shatterhand zatrzymał się jednak, gdyż zobaczył, że pozostali westmani zsiedli z koni i zaczęli badać ślady.

Badali, dzielili się spostrzeżeniami i nie mogli dojść do porozumie-nia. Wreszcie Old Shatterhand ich napomniał:

- Pośpieszcie się, messurs! Winnetou jest już daleko i za chwilę zniknie w lesie.

- 'Pdk, sir. - odpowiedział Drall, drapiąc się za uchem. - Obaj macie słuszność. Nasze bractwo jednakże, nie tak prędko radzi sobie z takim fantem, jeśli to konieczne.

- Cóż znajdujecie niejasnego?
- 'Ib, coście mówili o dwóch grupach czerwonych. Z początku jechało pięciu; naturalnie był to król naftowy z towarzyszami. W koficu nadje~hało mniej więcej trzydziestu Indian i to jest jedna 10 - Król naftowy 289 grupa. Nie?

- ~ak.
- A druga grupa?
- Samotny jeździec, który jechał za białymi.
- Czy nie mógł nalażeć do trzydziestki?
- Nie.
- Mogli go przecież wysłać naprzód.
- Nie. W tym wypadku wróciłby, aby ich zawiadomić o białych, co jednak nie nastąpiło. Wiemy, że topór został wykopany i jeśli tutaj wybuchnie wojna to tylko między Nawajami a Nijorami. 'I~ oba plemiona przede wszystkim wysłały zwiadowców. 'Itzydziestu wspo-mnianych jeźdźców stanowi awangardę. Natrafili na ślad samotnego jeźdźca i jadą za nim, aby napaść na jego towarzyszy.

- lbwarzyszy? Czy ma jakichś towarzyszy?

- Rozumie się! Żadne plemię podczas wojny nie wysyła jednego tylko wojownika na zwiady. Zwiadowcy wyruszają oddziałami; jakiś powód skłoniłwidać czerwonego do oddalenia się od swoich. Obecnie do nich wraca . Ti~opi go trzydziestu jeźdźców.

- I to właśnie śladem białych?
- Może to przypadek, a może i nie. Żaden zzwiadowca nie lekce-waży napotkanego śladu. Musi iść za nim, dopóki się nie dowie, kto go zostawił. Mogę nawet śmiało określić, do jakich plemion należeli ci zwiadowcy.

- Ja też mogę - wtrącił Hobble Frank.
- Istotnie? - zapytał Old Shatterhand. - Proszę więc powie dzieć! .

- No, trzydziestu było Nijorów; tamten jeden był Nawaj.
- A jakie są podstawy do wydania takiego sądu?
- 'Pak oczywiste, jak kresa mego kapelusza. Wszak to fakt do wiedziony, że Nawojowie to odważne plemię. Nie?

- Thk.
- Odważniejsze od Nijorów?

290

- Być może.
- Więc co dowodzi większej odwagi? Kiedy trzydziestu, czy też kiedy jeden waży się jechać w tak niebezpiecznej okolicy?

- Tb drugie.
- A więc! Okazał więcej odwagi, niż trzydziestu prześladowców, przeto jest Nawajem, a oni Nijorami. Czy to prawda, czy nie?

- Ja również doszedłem do wniosku, że pojedyficzy czerwony jest Nawajem, a reszta Nijorami, choć z innych przesłanek. Ale nie czas na wyjaśnienie! Nie widać już Winnetou: Dogofimy go czym prędzej! Westmani dosiedli rumaków i popędzili w galopie za Apaczem. Zanim jeszcze słofice się ukryło ; Winnetou zjechał z tropu na lewo w las, gdzie wkrótce dotarł do zagłębienia, wyglądającego jak zapadnię-ta sztolnia. Może była to jaskinia podziemna, której strop ongiś się załamał. Apacz wskazał na dół i rzekł:

- Rozbijemy obóz na dole. Jeśli postawimy na górze wartownika, na dole będziemy mogli rozpalić ognisko, niewidzialne dla wrogów. Ziemia opadała niezbyt stromo, więc łatwo było sprowadzić konie. Na gałęziach zagajników znalazło się dosyć paszy dla zwierząt. Na brzegu zostawiono strażnika, a w głębi rozpalono ogiefi i gotowano na nim wieczerzę.

Dziefi następny był tematem rozmów, które nie przeciągnęty się jednak długo, gdyż, zmęczeni długą jazdą, wszyscy rychło się pokładli do snu. Przed spoczynkiem Old Shatterhand odbył krótką naradę z Winnetou.

- Być może, jutro dojdzie do rozprawy, - rzekł - przed którą trzeba będzie usunąć kobiety i dzieci, a nawet mężczyzn osadników. Jako niedoświadczeni będą nam tylko zawadą. Czy nie lepiej zostawić ich tutaj, w miejscu bezpiecznym i doskonale nadającym się na kry-jówkę?

- Jeśli walka jest pewna, brat mój ma zupełną słuszność. Ale co, jeśli będziemy musieli prędko opuścić Gloomywater? Może nie bę-dziemy mieli czasu wracać tutaj.

291

- Hm, tak! Należy się spodziewać, że będziemy musieli się śpie-szyć. Obawiam się, że Indianie wezmą w niewolę pięciu białych.

- Winnetou sądzi, że to już się stało.

- W takim razie powinniśmy się śpieszyć, aby ich uwolnić. Gdy-byśmy byli zmuszeni uprzednio wrócić tutaj, stracilibyśmy sporo cennego czasu. A jednak, nie jest bezpieczne jechać bez wytchnienia do jeziora z kobietami i dziećmi.

- Można uniknąć tego niebezpieczefistwa, a przecież nie tracić czasu. Jeden z nas musiałby wyjechać bardzo wcześnie, aby wybadać okolice Mrocznej Wody.

- 'Pak - powiedział Apacz. - Będzie nim Winnetou. M6j brat Old Shatterhand musi tutaj zostać, ponieważ lepiej się umie porozu miewać z tymi ludźmi, niż ja. Winnetou obroni te białe squaws ponieważ przerzekł, ale nie umie zabawiać ich rozmową. Wyruszę, nim zaświta. Mój brat z towarzyszami będzie jechał powoli po moim śladzie. O ile spostrzegę jakieś niebezpieczefistwo, zostawię po dro-dze znaki ostrzegawcze, albo wrócę do was.

~'ak postanowiono. Kiedy Old Shatterhand obudził się nazajutrz rano, Winnetou już nie było. Wyruszono po godzinie. Westmani, oczywiście nie uprzedzili osadników, że jazda dzisiejsza jest niebez-pieczna; polecono im jednak zachować całkowitą ciszę. Winnetou postarał się aby ślad jego był łatwo czytelny. Jechano za nim powoli, stosując się do niezbędnego na zwiadach tempa i dlatego przybyto w okolice jeziora dopiero po dwóch godzinach. Naraz jeźdźcy ujrzeli Winnetou, cwałującego na ich spotkanie.

- Do pioruna, zły znak! - rzekł Dick Stone.
- A ja myślę, że wręcz przeciwnie - oświadczył Hobble Frank.
- Powie nam, jak się rzeczy mają. Gdyby nie nadjechał, nie mogliby-śmy głów uwolniE od niejasnych przypuszczefi.

- Nie. Gdyby wynik zwiadów był pomyślny. Winnetou czekałby na nas nad jeziorem. -

- Nie kłóć się, sfary szopie! Zaraz się dowiemy, kto ma rację!

292

Apacz nadjechał. Oddział zatrzymał się i Winnetou oznajmił:

- Wracam nie dlatego, żeby groziło wam niebezpieczefistwo.
Minęto już. Wracam, ponieważ mnie nic nie zatrzymało. Moi bracia mogą za mną jechać!

Na szczegółowe pytania niektórych natarczywych, odpowiedział:

- Winnetou opowie na miejscu, nie wcześniej.
Oddział ruszył. Ślad tych którzy poprzedniego dnia jechali tędy, był tylko rniejscami wyraźny; na gruncie kamienistym mogło go odkryć tylko oko, tak przenikliwe, jak Apacza. Wreszcie ujrzano wąwóz, prowadzący do jeziora. Winnetou zatrzymał się i rzekł:

- Tym wąskim wąwozem trzeba jechać, aby dotrzeć do Gloomy-water. Winnetou dowiedział się, co się tu wczoraj rozegrało, - wska-zując na wierzchołek góry, dodał: - tam na górze obozowało siedmiu zwiadowców Nawajów. Ósmym był ten samotnyjeździec, którego ślad wczoraj odkryliśmy. Jechał za białymi i skoro znaleźli się nad jezio-rem, sprowadził swoich siedmiu towarzyszy, aby białych schwytać w niewolę.

- Czy im się powiodło? - zapytał Hawkens.
- Tkk, zaskoczyli białych. Ale tymczasem nadeszło trzydziestu Nijorów i zaczaiło się za drzewami. Moi bracia mogą jeszcze wyraźnie rozpóznać ich ślady. Czekali na powrót Nawajów i jeficów znad jeziora, po czym pojechali za nimi, aby na nich napa~ć.

- Czemu zwlekali? 'I~ren jest jakby stworzony do napadu.
- Winnetou zastanawiał się nad tym, ale nie znalazł odpowiedzi.
Może później dowiemy się, czemu Nijorowie czekali. Nawajowie wraz z jeficami udali się do miejsca w lesie , gdzie płynie woda. ~m rozbili obóz i tam ich naszli Nijorowie.

- A zatem odbyła się ktwawa walka?

- Moje oko nie mogło odkryć kropli krwi, a więc do walki we właściwym tego słowa znaczeniu nie doszło. Nawajowie byli tak za-skoczeni, że znaleźli się w pętach, zanim mogli pomyśleć o oporze. Nijorowie zostali na noc wraz z białymi i czerwonymi jeficami na tym 293 samym miejscu. O świcie odjechali.

- Dokąd? - zapytał Sam Hawkens.
- Nie wiem. Nie mogłem śledzić ich tropu, ponieważ miałem na was czekać.

- Musimy więc jechać za nimi! Nie dbam o króla naftowego ani 0 obu łotrów, którzy mu towarzyszą. Tych mogą sobie oskalpować. Ale bankiera i buchaltera trzeba bezwzględnie uwolnić. Jedno jest niejasne. Nad jeziorem przecież dosyć paszy i wody dla koni. Czemu czernvonoskórzy nie zostali tam? Dlaczego obozowali w lesie, jeśli się nie mylę?

Old Shatterhand dotychczas nie oddzywał się wcale. Słuchając Apacza, przypatrywał się równocześnie plytkiemu odpływowi jeziora, przeciekającemu przez wąwóz. ‘Il;raz, po pytaniu Sama, wskazał na wodę i odpowiedział:

- Zdaje się, że stąd wypływa wyjaśnienie.
- Jak to?
-Czy nie czujecie? Obejrzyjcie wodę. Patrzcie, jakie tłuste plamy!
Wszyscy spojrzeli na wodę, wdychając powietrze, po czym oświad czyli, że pachnie naftą.

- Czy mój brat widział naftę na jeziorze? - zapytał Old Shat-terhand wodza Apaczów.

-‘1’dk - skinął Winnetou.
- W takim razie król naftowy dobrze przeprowadził swój plan.
Jedźmy! Muszę obejrzeć jezioro.

- Ale stracimy przez to wiele czasu - wtrącił Sam Hawkens. - Wszak zamierzamy ścigać Nijorów!

- Nie uciekną. Z jeficami nie mogą szybko jechać.
Skierował konia ku wąwozowi. Oddział pojechał za nim. Zapach nafty wzmagał się z każdą chwilą. Wreszcie ujrzeli przed sobą jezioro. Ciemna, ponura powierzchnia przykuła do siebie wszystkie spojrze-nia. Tylko jedna osoba odniosła odmienne wrażenie, mianowicie pani Rozalia Ebersbach. Ujrzawszy jezioro, wydała okrzyk przestrachu, 294 ześliznęła się z konia, pośpieszyła ku wybrzeżu, zanurzyła palec w wodzie, obejrzała go, powąchała, po czym zawołała:

- Do pioruna, wspaniałe odkrycie! Panie Hobble Frank, powąchaj pan mój palec! Czy pan czuje, co to jest?

Podsunęła palec pod jego nos. Cofnął głowę i odpowiedział:

- Gdybym chciał powąchać, wsadziłbym nos w jezioro. Miałbym zapach nafty z pierwszej ręki.

- A więc przyznaje pan, że to nafta?
- Naturalnie! Czy pani myśli, że uważam to za sok jagodowy? W takim razie nie zna pani mego nosa, któryjest bardziej szlachetny, niż ja sam.

- Ale taka ilość, taka ilość! - zawołała prawie nieprzytomna. - Wiedziałam wprawdzie, że nafta w Ameryce tryska z ziemi, lecz nie chciało mi się wierzyć. Ale teraź płynie oto przed moimi własnymi oczami! Zostaję tutaj i nikt mnie nie usunie! Nawet dziesięć wołów nie odciągnie mnie stąd, nawet jeśli pan im pomoże, panie Hobble Frank!

-‘1’dk? Czego pani tutaj sobie życzy?
- Założę handel naftą. Interes, jak się patrzy! ‘Pd nafta nie kosztuje nawet szeląga, a tam u nas, w ojczyźnie, litr kosztuje dwa grosze. ‘Ihk, zostanę; osiądę tutaj i będę handlowała naftą!

Klasnęła w dłonie na znak, że nic nie zdoła zachwiać jej posta nowienia. Frank odezwał się ze śmiechem:

- Niechże pani osiądzie w tej pięknej miejscowości! Ale zaraz pierwszego dnia przybędą Indianie, wyrwą pani włosy i to pojedynczo. Pani sądzi, że można tu osiąść, jak w domu w fotelu ojcowskim, lub na ławce? Chce pani handlować? Kto tu przyjedzie na zakupy? Z czego pani będzie żyła? I czym będziesz oddychała? Jeśli pani tu zostanie przez trzy dni, nasiąknie pani takim za pachem, że nie zmyje go cały ocean.

Ostrzeżenie podziałało na panią Rozalię, która z zamyśloną miną zwróciła się do swego męża po radę. Tymczasetri reszta towarzystwa 295 otrząsnęla się ze zdziwienia. Klęcząc na brzegu, badano naftę i głośno dzielono się spostrzeżeniami. Winnetou i Old Shatterhand wycofali się, aby obejrzeć dokoła jezioro i przeszukać brzeg dokładniej, niż poprzednio Apacz.

Największe wrażenie wywarła nafta na kantorze. Pozostali dawno się już ocknęli, a on stał wciąż jeszcze na miejscu. Wbił rozszerzone oczy w powierzchnię wody. Wreszcie Hobble Frank zwrócił nafi uwa-gę, podszedł i klepiąc go po plecach rzekł:

- Cała pana imigracja zdrętwiała? Naprawdę, wydaje mi się, że pan stracił mowę ojczystą! Jeśli pan nie potrah mówić, to spróbuj przynajmniej wyśpiewać kilka tonów, panie kantorze! Kantor odzyskał mowę. Odetchnął głęboko, bardzo głęboko i od-powiedział:

- Kantor emeritus, jeśli mogę prosić, panie Frank! Czuję się w szczególny sposób zemocjonowany. ‘Ib nadzwyczajny widok! Opano-wała mnie rnyśl, myśl równie dzika i nieopisana, jak to jezioro, powiem panu.

- Jaka myśl, panie kantorze emeritus? Czy mogę wiedzieć?
-‘Pak. Panu ją opowiem, sub conditione, że zachowa pan tajemni
- O, może pan być pewny mojej dyskrecji! Czy ta myśl jest tajemnicą?

- Jeśli się dowie o niej inny kompozytor, natychmiast mnie ubieg-nie. Wszak wiadomo panu o mojej operze heroicznej?

-‘1’dk dwanaście aktów.
-‘Pdk jest. A czy wie pan również, co wprowadzę do tej opery?
- Naturalnie, że wiem.
- No cóż?
- Muzykę.
- Oczywiście. Tb się samo przez się rozumie! Chodzi mi jednak o treść tej muzyki, o treść, odrioszącą się do inscenizacji.

- Wobec tego muszę oświadczyć, źe zajmowałem się wprawdzie
296 wszelkimi naukami, ale co się tyczy muzycznej inscenizacji, to dopiero zaczynam ją studiować. A zatem dalej! Co pan chce wprowadzić? Kantor zbliżył usta do ucha Franka, przystawił obie dłonie i sze-pnął:

- Wprowadzę takie jezioro nafty!
Frank cofnął się o krok i zapytał:

- Czy na scenie?
- ‘Ihk! Nieprawdaż, jest pan zdumiony? - zapytał triumfujący emeritus. -‘Ib nawet podważy Ben Akibe!

- Ben Akibe? Dlaczego?
-Tiuierdził, żewszystkojuż było. A przecieżjeziora nafty na scenie jeszcze nigdy, nunquam nie było!

- Być może. Ale, co się tyczy Ben Akiby, to się pan bezwarunko wo myli. Czy wie pan, kto powiedział, że wszystko było?

- Właśnie Ben Akiba.
- Nie. Mówi pan ni w pięć, ni w dziewięć. 1b Benjamim Franklin oświadczył, że wszystko j uż było, kiedy po wynalezieniu piorunochro-nu przechodził koło gumna, na którym już dawno sterczał

pioruno-chron. A Ben Akiba, o ile panu wiadomo, był perskim wodzem, który pokonał greckiego cesarza Granikusa w bitwie morskiej przy Gideo-nie i Ajalonie.

- Drogi panie Frank, Gideon i Ajalon to z Biblii, z księgi sędziów, gdzie Jozue ...

- Milcz pan z łaski swojej! - zgromił go urażony Frank. - Skąd Gideon i Ajalon, to rzecz moja, a nie pana. Nie wtrącaj się pan do mojej wiedzy, jak ja się nie wtrącam do pafiskiej! Wszak zostawiam panu wolną wolę. Czy pan wprowadza do opery jezioro nafty, czy operę do jeziora nafTy, to mnie nic a nic nie obchodzi! Odwrócił się i przyłączył do Drolla, Sama, Dicka Stone i Willa Parkera, którzy, podobnie jak Old Shatterhand i Winnetou, zaczęli badać teren. Old Shatterhand zauważył ich, pośpieszył szybko i po-prosił.

297

- Miejcie się na baczności, messurs; nie zacierajcie śladów! Co właściwie chcecie tutaj wypatrzeć?

- Chcemy odszukać miejsce, gdzie napadnięto na pięciu białych,
- odpowiedział Hawkens.

- Nie odszukacie. Nasze konie zatarły wszelkie ślady nieopodal wąwozu. My szukamy czegoś innego, znacznie ważniejszego.

- Czego, sir?

- Jaskini, gdzie ukrywano beczki z naftą. Hultaje dobrze zatarli ślady.

- Nie do wiary! Jaskinia, ktdra może pomieścić tyle beczek, musi być obszerna, a zatem mieć szerokie wejście. Wytoczono beczki nad wodę i po odszpuntowaniu i wypróżnieniu ukryto z powrotem. Mu-siały przecież pozostać ślady!

- Naturalnie. Ale właśnie te ślady znakomicie zatarto.
- Pozwólcie szukać, sir! Na pewno wykryjemy.
- Dobrze, ale starajcie się nam nie przeszkadzać.

Zazwyczaj tak domyślni westmani przeszukali całą kotlinę; upły nęta godzina, a nie osiągnęli celu. Winnetou, niedościgniony mistrz w szukaniu śladów, stracił wszelkie nadzieje i rzekł do Old Shatter-handa :

- M6j biały brat nie powinien się trudzić. Tylko przypadek może nam odkryć jaskinię.

Old Shatterhand był bardziej uporczywy. On nie miałby znaleźć miejsea, którego istnienie zostało absolutnie stwierdzone? Uważał za punkt honoru osiągnięcie celu i odpowiedział:

- Co potrafi przypadek, do tego i my jesteśmy zdolni. Po co uczono nas myśleć?

Zamknął oczy, aby nic mu nie przeszkadzało. Stał przez chwilę cicho i nieruchomo. Winnetou, który obserwował go, zobaczył szczególny wyraz twarzy i zapytał:

- M6j brat znalazł drogę?
- Thk, - rzekł Old Shatterhand, otwierając oczy, - przynajmniej

298 mam nadzieję. Nietrudno będzie znaleźć jaskinię. Było z czterdzieści ciężkich beczek. ‘Pdkie baryłki musiały trawę tak ugnieść, że niepodo-bna jej podnieść rękoma. Będzie leżała przez szereg jeszcze dni. Lecz ta praca była dokonana dopiero wczoraj, najwyżej przedwczoraj. Tiawa zatem jeszcze musi byE zgnieciona. Czy mój czerwony brat podziela moje zdanie?

- Old Shatterhand ma sh~szność - potwierdził Apacz.

- Ślad zatem ciągnie się tamtędy, gdzie nie ma trawy. Droga od skały z jaskinią jest niezarośnięta.

- Uff, uff! - krzyknął Winnetou. Brązowa jego twarz spłonęła rumieńcem radości, czy też wstydu, że sam nie wpadł na tę myśl.

- Zresztą, - dodał Old Shatterhand - należy sądzić, że przy przenoszeniu baryłek została rozlana nafta i że brzeg został uszkodzo-ny. Byłoby to widoczne, gdyby brzeg pokrywała darń. Natomiast

na gołej ziemi, czy kamieniu można było uszkodzenie naprawić. A teraz niech mój czerwony brat przeszuka całe wybrzeże; wszędzie ujrzy trawę i darfi, za wyjątkiem dwóch miejsc, które wnet przeszukamy. Jedno z owych miejsc znajdowało się blisko wylotu kotliny. ‘Idm poszli obaj w towarzystwie westmanów, ciekawych wyniku. Szeroki, może na trzy łokcie, pozbawiony roślinności pas piasku szlamistego i żwiru ciągnął się od skał do jeziora. Myśliwy ukląkł w pobliżu jeziora i obwąchał ziemię.

- Znalazłem! - zawołał. - Ti~ pachnie naftą. Rozlano tu zapew-ne nieco płynu.

Rękoma odgarnął ziemię. Grunt był zwilżony naftą. Zasypano go warstwą piachu.

- A więc tu wypróżniano beczki - rzekł. - Jeśli nawet brzeg został uszkodzony, łatwo było to zamaskować żwirem. Jaskini należy szukać tam, gdzie ten pas dochodzi do skał. Zobaczymy! Szedł owym pasem, który koficzył się u skał wysokim nasypem; pozostali poszli za nim. Zatrzymał się przed nasypem, obejrzał go i oświadczył:

299

-‘Idk. Jesteśmy u celu. Za tym kopcem znajduje się jaskinia.

Hobble Frank chciał się pochwalić swoim znawstwem i zapytał:

-‘Ib stwierdził pan jednym spojrzeniem, panie Shatterhand ?
-‘lak – odparł zapytany.
- W takim razie i ja musiałbym poznać. Czy mogę spojrzeć?
- Proszę bardzo!

Frank oglądnął nasyp ze wszystkich stronę, ale zdawał się nic nie znajdować.

- No? – zapytał Old Shatterhand. – Co pan widzi Frank?

- Kupę podobną do każdej innej; ta się nazywa kupą kamieni, . gdyż jest kupą, składającą się z kamieni.

- Czy widzi pan tylko kamienie?
-‘Pak. Nic poza tym.

- Niech pan rozważy, że w takich okolicznościach nawet naj-mniejsza drobnostka nabiera ogromnej wagi!

-‘Pak, a zatem mam szukać drobnostki najmniejszej. Ale nic nie znajduję!

‘Ib samo mogli orzec pozostali. Tylko Apacz wydał cicho radosny okrzyk:

- Uff! - Jego spojrzenie padło na martwego chrabąszcza, do połowy wysuniętego spod kamienia.

- Dziwne! - roześmiał się Old Shatterhand. - Tylko Winnetou zmiarkował, co mam na myśli. Frank, czy nie widzi pan tego czarnego chrabąszcza, który do połowy wychylił się spod kamienia?

-‘hak, chrabąszcz. Zauważyłem go od początku.
- No i ...?
- No ... i ? Co no, co i ? Chrabąszcz i nic więcej!

- Nic więcej? Nawet bardzo wiele, gdyż stwierdza, że stoimy przed jaskinią.

- Jak to?’ll;n? Co on może twierdzić? Gdyby nawet rozmawiał po ludz~u, to przecież tylko za życia.

- Tak. Co go jednak pozbawiło życia?

300

- Czy ja wiem? Może skręt kiszek, może zapalenie stawów.
- Weź go pan i obejrzyj!

Frank musiał podnieść kamień, aby wziąć chrabąszcza.

- Kamiefi go przycisnął – oświadczył po zbadaniu.

- Sh~sznie! Ale jakże się to mogło zdarzyć? Czy ten owad sam się wtłoczył pod kamiefi z samobójczą intencją?

- Nie. Na to był chrabąszcz za słaby. Kamiefi opadł nań i ...

Urwał, namyślał się przez chwilę, uderzył ręką w czoło i zawołał:

- Nareszcie złapałem byka za rogi! 'I~raz pojmuję! Czy można było pomyśleć, że taki roztropny człek, jak ja, okaże się tak bajecznie głupi! Kamienie przyprawiły biednego chrabąszcza o śmierć. Więc kopiec z początku usunięto, a potem znowu usypano. Po co i dlacze-go? Ponieważ zamyka wejście do jaskini i ...

Hobble Frank znowu umilkł i nadstawił ucha.

- Co takiego? - zapytał Old Shatterhand.
- Słyszałem coś - odparł Frank.
- Gdzie? W jaskini?

-'I~k. Głuchy szmer jak gdyby podziemnego głosu. Boże miłosier ny! Chyba to nie niedźwiedź!

- Wątpię!
- Ale jakież to brzmienie! Posłuchaj pan! Znowu słyszę!

Old Shatterhand ukląkł i nasłuchiwał. Naraz skoczył na równe nogi i zawołał:

- Panie Boże, tam są ludzie! Wołają o pomoc! Usulicie kamienie, natychmiast, natychmiast!

Dziesięć rąk zabrało się bezzwłocznie do wykonania rozkazu. Po kilku chwilach ukazał się otwór jaskini.

- Czy jest tam kto? - zapytał Old Shatterhand po angielsku.
- Yes - odpowiedziały dwa głosy równocześnie.
- Któż taki?
- Nazywam się Rollins, a ja Baumgarten - odpowiedzieli obaj.
- Rollins i Baumgarten - rozległo się dookoła.

301

I 'Ib była wielka niespodzianka. Wszyscy sądzili, że obaj ci ludzie dostali się do rąk Nijorów, po uprzednim schwytaniu przez Nawajów. Uwięzieni byli uszczęśliwieni głosem ludzkim i dziennym światłem, które przenikało przez coraz większy otwór. Pomyśleli, że to może jednak być król naftowy z Buttlerem i Pollerem. Dlatego bankier zapytał o nazwiska.

; - Tb my - odezwał się Hobble Frank zawsze skory do usług, - zbawcy w potrzebie Winnetou, Old Shatterhand , Droll, Sam, Dick i Will. Przekonacie się naocznie. Wchodzę do was! Wlazł do otworu, z którego rozlegał się radosny okrzyk. Wkrótce cały nasyp został usunięty. Otwór był średniej ludzkiej wysokości i tak szeroki, że łatwo było przenieść baryłkę. Frank zatrzymał innych i rzekł:

- Zostańcie! Zaraz przyjdziemy. Muszę przede wszystkim prze-ciąć im pęta.

Nadeszli śmiertelnie bladzi z przebytego strachu, osłabieni pod wpływem więzów i odurzeni zapachem nafty, panującym w jaskini. Uścisnęli ręce znajomym z Rancha Fornera, po czym pełnymi szacun-ku spojrzeniami zmierzyli Old Shatterhanda i Winnetou.

- Mogliście łatwo przeprawić się na tamten świat - oświadczył Old Shatterhand. - Długo na próżno szukaliśmy tej jaskini i już zamierzaliśmy opuścić jezioro. Gdybyśmy ten zamiar wykonali, zginęlibyście powolną śmiercią. Naturalnie jesteście spragnieni i głodni?

-Anijedno, ani drugie-odpowiedział Baumgarten. -Dziękuję panu, sir! Nie myśleliśmy o jedzeniu, ani o piciu, lecz o straszliwej śmierci, która dotknętaby nas gdyby nie wasza pomoc.

- Czyście się nie spodziewali, że przyjaciele pojadą za wami?

-Jakże mogliśmy? Sądziliśmy, żejęczą uwięzieni w pueblu. Mogę pana zapewnić, że wdzięczność, którą ...

- Nie mówcie o tym! - przerwał Old Shatterhand. - Odłóżcie podzięki na później! ‘I~raz chcę się dowiedzieć o czymś ważniejszym. Prawdopodobnie, mimo osłabienia, możecie odpowiadać.

302

- O, na Swieżym powietrzu czujemy się znacznie lepiej!
- Pięknie! Zresztą nie jest pan nam obcy. Winnetou i ja widzie-liśmy już pana.

- Ach! Kiedy i gdzie? - zapytał bankier.
- O dziefi jazdy do puebla, gdyście wieczorem siedzieli nad stru-mykiem. Podpełzliśmy do was między gałęziami tak blisko, żeśmy słyszeli waszą rozmowę.

- Good luck! A więc dowiedzieliście się o placene nafty.
-‘Pdk.
- I żeśmy dążyli do Gloomywater?
- Gdzie nie ma nafty ... ‘Ihk, słyszeliśmy.
- Sądziliście, że nie ma tam nafty? Dlaczegoście się nie pokazali?
Dlaczegoście nas nie ostrzegli?

- Dlaczego? Ponieważ zachodzi pytanie, czy uwierzylibyście nam.
Wszak was ostrzegano bez skutku. Zresztą, nie mieliśmy czasu zaj-mować się królem nafty. Musieliśmy jechać do puebla, aby uwolnić jeńców.

- I samowtór podołaliście temu?
- Jak widzicie, tak.
-Ależ to nie może być! -zawołał Rollins, szeroko wytrzeszczając oczy. - Dwóch ludzi! I nikt więcej! Jakże pan tego dokonał, sir?

- Później panu opowiem, mister Rollins. l~raz chcielibyśmy się dowiedzieć od pana w jaki sposób uciekliście z puebla i co się później przytrafiło. Siądźcie i opowiadajcie!

Całe towarzystwo usiadło na trawie i bankier zdał sprawę z przygód ostatnich kilku dni. Można sobie wyobrazić, w jaki sposób odzywał się teraz o trójce oszustów. Atoli Old Shatterhand przerwał:

- Gniewaj się nie tylko na nich, ale także na siebie, sir! Zaufa-nie, którym obdarzyłeś tych szubrawców, jest niepojęte. Podobnie ta beztroska, z którą pan wystawiał się na niebezpieczefistwo, jest dla mnie, naprawdę, niezrozumiała.

- Uważałem Grinleya za uczciwego człowieka - rzekł Rollins 303 cichym głosem.
- Pshaw! Jemu łotr patrzy z oczu. A również kiedy chodzi o tak wielkie sumy i takie przedsiębiorstwo, inaczej się należało zabrać do rzeczy .

- Wywierał na mnie presję. Wszystko miało się odbyć w tajemnicy.
- Czy mister Baumgarten jest ekspertem w kwestiach nafty?
- Nie.
-Co zwas za ludzie! Powinniście byli przynajmniej zabrać ze sobą fachowca!

- Grinley sądził, ie chwilowo to zbyteczne. Ponieważ nafta pływa na powierzchni wody , więc trzeba tylko rzuciĆ na nią okiem, aby się przekonać, że interes jest naprawdę świetny.

- A kiedyście tu przybyli i zobaczyli, jak nafta pływa na powierz-chni wody, byliście bardzo zachwyceni?

- Naturalnie! Przyznaje pan chyba, sir, że to pierwszorzędny placer nafty?

Old Shatterhand zmierzył go zdumionym spojrzeniem, zanim od-powiedział:

- Widzi mi się, że jeszcze teraz nie zdaje pan sobie sprawy z sytuacji. Uważacie to jezioro za naturalny basen nafty?

- Stanowczo! Grinley mówił prawdę; ale po otrzymaniu naszego przekazu, szubrawcy powalili nas i zamknęli wjaskini. Prawdopodob-nie zamierzają teraz sprzedać jezioro komuś innemu.

- Czyście nie obejrzeli jaskini?
- Jakże mogliśmy ? Kiedyśmy się ocknęli w jaskini było ciemno.

Silny zapach nafty świadczył, ie tam jest jej źródło.

-'Ib słusznie. Ale nie jedno źródło, lecz wiele źródeł, skleconych z drewnianych klepek.

- Klepek? Nie rozumiem!

- A więc zejdźcie tam i rozejrzyjcie się, messurs! Wprawdzie nie byłem jeszcze w jaskini, ale, sądzę że znam jej zawartość. Przedtem chciałbym zapyta~, czy dobrze obejrzeliście naftę?

304

- Naturalnie.
- I jakie pan wyniósł przekonanie?
- Oględziny wypadły jak najpomyślniej.

- Moje również - roześmiał się Old Shatterhand. - Nie jest to ropa, z której dopiero wyrabia się produkty naftowe. Jest to już nafta rafinowana. Czy to nie wydało się wam podejrzanym?

- Nie. Chce pan powiedzieć, że to nie jest ropa naftowa?
-'Pak. 'Ib mam na myśli.
- A cbż to takiego?

- Sarn pan odpowiesz na to pytanie, kiedy obejrzysz jaskinię. Jak pan sądzi, od jakiego czasu jezioro obfituje w naftę?

- Kto może wiedzieć! Od stuleci może, albo i dłużej.
- Kto może wiedzieć ? Ja wam powiem. Od niedawna!

- Od niedawna? - powtarzał bankier. - Znowu pana nie rozu-miem, sir!

- Nie? W takim razie muszę wyrazić się jaśniej. Przecież B6g pana obdarzył wzrokiem, czy nie widzisz ogromnych ławic zdechłych ryb?

- Naturalnie.
- Co mogło przyprawić je o śmierć?
- Oczywiście, nafta. Ryba nie może żyć w nafcie.
- Doskonale! Od jak dawna mogą by~ te ryby nieżywe?
- Może od dwóch dni, niedłużej, gdyż inaczej dawno zgniłyby.

- A gdzie się znajdowały za życia? Czy spacerowały pod drzewa mi? Ryby nie żyją od dwóch dni, a zatem do niedawna żyły w jeziorze. Nafta je zatruła. A więc, od jak dawna nafta znajduje się w jeziorze? 'Ibraz dopiero bankierowi rozjaśniło się w głowie. Zerwał się na równe nogi, wbił spojrzenie w Old Shatterhanda, powiódł wzrokiem po jego towarzyszach, poruszył wargami, lecz nie mógł dobyć głosu.

- No, jakie, sir, nie chce mi pan dać odpowiedzi? Jeśli od niedaw-na znajduje się tutaj pewien gatunek nafty, wyrabiany w rafxneriach, więc chyba należy się zapytać, jak wyjaśnić tak wielce interesujący i niepojęty fakt. Odpowiedź znajdzie pan w jaskini. Wejdź pan, mister 305 Rollins!

- Wejdę, wejdę! - zawołał bankier. - Wpada mi coś na myśl, coś tak niezwykłego, że nie mogę tego wypowiedzieć.- Chodźmy, mister Baumgarten!

Pociągnął za sobą księgowego i znikł w jaskini. lbwarzystwo usły-szało stamtąd parę okrzyków; potem rozległo się toczenie kilku be-czek; w koficu bankier wyskoczył i zawołał w podnieceniu:

- Co za szwindel! Co za oszustwo! Sprowadzono naftę, aby wyłu-dzić ode mnie pieniądze !

- ‘Pdk jest, sir, - potwierdził Old Shatterhand. - Kiedy tylko usłyszałem o nafcie, byłem przeświadczony, że to szwindel. Król naftowy wysłał naprzód Buttlera i Pollera nie na zwiady, lecz w celu wypróżnienia beczek i ukrycia ich następnie w jaskini. ‘Ib oszustwo zostało przygotowane od dawna, starannie, z wielkim nakładem pra-cy. Przecież niełatwo sprowadzić tutaj czterdzieści baryłek nafty.

- Ale też dobrze im zapłacono, hihihihi! - roześmiał się Sam Hawkens. -Chcecie wyczerpać naftę i napełnić ponownie beczki, czy też zabierze pan ze sobą puste baryłki, mister Rollins?

- Nie kpij pan ze mnie - zawołał bankier. - Moje pieniądze, moje pieniądze, takie pieniądze! Muszę je odzyskać za wszelką cenę. Musi mi pan pomóc, mister Shatterhand!

- Na razie nie chodzi o pieniądze, lecz o przekaz - odpowiedział myśliwy. - Uważa pan, że na ten przekaz wypiacą im pieniądze w San Francisco?

- Pewnie, jeśli łotrom uda się zbiec z niewoli i dotrzeć do Frisco.
Wszak mówił pan poprzednio, że schwytali ich Nijorowie.

- ‘Pdk jest. Z początku napadli na nich Nawajowie, a potem wszyscy razem dostali się w ręce~ Nijorów.

- Prawdopodobnie Indianie ograbili jeficów, jak pan sądzi, sir?
- Na pewno.
- A więc odebrali królowi nafty przekaz? W takim razie czek nie dojdzie do San Francisco! 306
- Ja też tak sądzę, aczkolwiek nie twierdziłbym, że odebrali Grinleyowi kwit. Niektóre plemiona są tak ucywilizowane, że znają sztukę czytania a nawet pisania, ale do takich nie zaliczają się tutejsze szczepy. Dziki Indianin uważa każde pismo za czary, których nie powinien dotykać. Dlatego mogło się zdarzyć, że Nijorowie zostawili Grinleyowi przekaz. Jeśli mu się uda zbiec, pojedzie do Frisco i odbierze pieniądze.

- A więc najlepiej go wyprzedzić! Jak się pan zapatruje na pod-róż moją i Baugartena do Frisco w celu uprzedzenia tamtejszego banku? Skoro szubrawiec przyjdzie z czekiem, zostanie bezzwłocznie aresztowany.

- W obecnej sytuacji jest to niemożliwe. Nie zajedzie pan daleko.
Zresztą, zbyteczna jest podróż do San Francisco, gdyż wystarczy jechać do Prescott, aby zawiadomić tamtejszą władzę i ostrzec bank telegraficznie.

- Słusznie, bardzo słusznie! A więc ruszamy do Prescott!
- Nie tak prędko, mister Rollins! Stąd do Prescott jest co naj-mniej dziesięć dni jazdy. A co najważniejsze, czy zna pan drogę?

- Nie. Może ktoś z waszych znajomych zechciałby towarzyszyć nam za dobrą zapłatę.

- Żaden z nas nie najmuje się za przewodnika. Należy także rozważyć, że droga do Prescot wypada przez miejscowości, teraz bardzo niebezpieczne. ‘Ii~zy osoby, wy dwaj i przewodnik? Nawet jeśli to będzie dzielny zuch, należy sądzić, że nie dotrzecie do celu.

- A więc mam z założonymi rękami czekać, aż stracę majątek?
Szi So, młody Nawaj, podszedł do Shatterhanda i rzekł:

- Sir, czy pozwoli mi pan odpowiedzieć na pytanie, zadane przez mister Rollinsa?

- Proszę - skinął myśliwy.
Szi So zwrócił się do bankiera i rzekł pewnym siebie tonem:

- Niech się pan nie smuci, sir! Otrzyma pan przekaz z powrotem.
- Istotnie? - zapytał ucieszony Rollins. - W jaki sposób?

- Ode mnie. Jestem Nawajem, Nirojowie są teraz naszymi wro-gami. Schwytali w niewolę ośmiu Nawajów, moich braci. Mam obo-wiązek pokusić się o uwolnienie tych jeficów. A wówczas także król naftowy wpadnie w moje ręce. Odbiorę mu przekaz i zwrócę panu. Bankier ze zdumieniem obejrzał młodzieńca, który mówił z taką pewnością siebie.

- Chce pan uwolnić swoich braci, sir? Czy wie pan, ilu Nijorów ich napadło?

- Tylko trzydziestu.
- Tylko?! I pan sam zamierza z nimi stanąć do walki?
- Nie lękam się ich. Zresztą, nie będę sam. Odszukam wojowni-ków mego plemienia.

- Czy wie pan, gdzie obozują?
- Było ośmiu zwiadowców, z tego należy sądzić, że wojownicy obozują niedaleko.

-Ale, Szi So, nim ich znajdziecie, upłynie sporo czasu i Nijorowie tymczasem uciekną.

- Nie uciekną! - wtrącił Old Shatterhand. - Co powie o moim postanowieniu Winnetou?

Nie wyraził jeszcze tego postanowienia, a jednak Apacz zrozumiał go i natychmiast odparł:

- Pochwalam. Udamy się w pościg za Nijorami, odbijemy Nawa-jów i odbierzemy czek od króla naftowego.

- Dzięki wam, dzięki! - zawołał ucieszony Rollins. - Wobec tego nie ulega wątpliwości , że odzyskam pieniądze! Ale kiedy wyru-szymy? Naturalnie, że natychmiast, moi panowie?

- Jak najprędzej - odpowiedział Old Shatterhand. - Przedtem jednak obejrzę jaskinię, a następnie Winnetou zaprowadzi mnie do miejsca w lesie, gdzie obozowali Nijorowie.

Dopiero teraz zbadano wnętrze jaskini. Była to naturalna grota, wydrążona przez spływające z lasu wody. Stąd to wąskie pasmo piasku i gruiu, które prowadziło do Mrocznej Wody. Stało tutaj czterdzieści 308 baryłek po nafcie, parę haków i topór; nic więcej. Dwie beczki były rozbite. Zabrano szczapy, gdyż stanowiły świetny materiał palny, który mógł się przydać w miejscach pozbawionych drewna. Następnie Winnetou i Old Shatterhand poszli zbadać miejsce, gdzie obozowali Nijorowie. ‘Ibwarzystwo, oczekując ich powrotu, rozłożyło się na trawie. Utworzyły się liczne grupy. Ale wszystkich zajmował jeden i ten sam temat: przeżycia ostatnich kilku dni, czyny Old Shatterhanda i Winnetou. Zwłaszcza Hobble Frank prawił o nich wiele. Siedział wraz z osadnikami i opowiadał z właściwą sobie za-bawną gwarą kilka zdarzeń z życia z OId~Shatterhandem i Winnetou. Kantor przysłuchiwał się z wielką uwagą i wykorzystał przerwę w opowiadaniu Franka, aby zauważyE:

- Oto właśnie, czego mi trzeba! ‘hakie czyny chcę pokazać na scenie! Ale natrafiłem na trudność, do której przezwyciężenia może się pan przyczynić, panie Hobble Frank.

- Jaka trudnoś~? Ja właśnie lubię trudności. Zadanie łatwe, ani mnie grzeje, ani ani ziębi. Ale trudne, żądające wysiłku, oto, co zawsze było moją namiętnością. A więc zwracaj się pan do, mnie, panie kantorze emeritikus! Jaką trudność ma pan na myśli?

- Hm! Czy słyszał pan, aby Old Shatterhand , lub Winnetou śpie-wali?

- Śpiewali? Nie!
- Ale wszak umieją śpiewać ? A może pan myśli, że nie?
- Czy umieją śpiewać? Co za pytanie! Wstydziłby się pan w to wątpić! Powiadam panu, że ci dwaj panowie umieją wszystko bez wyjątku, a zatem także śpiewać.

- Nie przemawiaj tak surowo, panie Hobble Frank! Nie chciałem ich urazić. Jak pan sądzi, czy Old Shatterhand zaśpiewa, jeśli go o to poproszę?

- Hm! - mruknął Hobble Frank z uśmiechem powątpiewania.

- A Winnetou?
‘Il;n na pewno nie! Jest mistrzem we wszelkich sztukach, sądzę 309 przetó, że i pierwszorzędnym śpiewakiem; ale, jeśli mam być szczery, nie mogę sobie nawet wyobrazić Winnetou śpiewającego.

- Naprawdę nie?
- Nie. Wyobraź pan sobie tego znakomitego wodza z rozkraczo-nymi nogami i rozwaloną gębą na sali koncertowej, śpiewającego pieśń „ Jasne słoneczko późno dziś wstało. „

- Słowa pana nie są pozbawione pewnej racji. Ale przecież India-nie także śpiewają!

- Naturalnie! Słyszałem już niejednego śpiewaka w mokasynach.
- Jakże to brzmiało? Co śpiewali? Czy na jeden głos, czy też na wiele? ‘Ib bardzo dla mnie ważna sprawa.

- Znowu pan zadaje dziwaczne pytanie! Kiedy jeden śpiewa, mamy śpiew na jeden głos. A może pan sądzi, że jeden człowiek może śpiewać na osiem głosów? Kiedy dwunastu śpiewa, to jest śpiew na dwanaście głosów. Każdy dudek na tym się pozna. Chce pan wiedzieć, jak to brzmi? No, nie tak jak u wielkich kompozytorów Mozarta, Galvaniego, Correggio. Niełatwo jest opisywać głos. Wyobraź pan sobie jednak wielkie miechy kowalskie, w których siedzą: biały niedźwiedź, kogut i troje prosiąt; zacznij pan rozciągać i ściskać te miechy, a będzie to brzmiało jak prawdziwa indiańska operetka. Czy zrozumiał pan?

- Tdk. Exemplum pana jest dosyć jasne.
- No, więc co pan chce od Old Shatterhanda i Winnetou? Dlacze-go mają śpiewać?

- Również chciałbym wiedzieć, jakie mają głosy.
- Piękne głosy, oczywiście nawet bardzo! Obraziłby pan ich, gdy-byś nie dowierzał mojemu zapewnieniu.

-Że pięknie, nie wątpię; chciałbym jednak wiedzieE, czy to tenory, barytony, czy basy?

- Czy zależy panu na tej wiadomości?
- 1’ak. Wszak będą głównymi bohaterami mojej opery. A zatem muszę znać tonację ich głosów. 310
- Banialuki! ‘Ibnacja głosów! Pó co panu wiedzieć o tym z góry?
Old Shatterhand i Winnetou wystąpią i zaśpiewają. Więc czekaj pan, a dowiesz się, czy mają tenory, basy, czy barytony! Nie ma przecież potrzeby &asować się o to z góry.

- Mylisz się pan! Wszak muszę przedtem skomponować opus, które będą śpiewać!

- Naturalnie! 1b obowiązek pana jako kompozytora.
- A więc muszę wiedzieć , czy ułożyć śpiew na bas, czy na tenor!
- Kładź go pan w partyturę, tam jego miejsce! Później znajdzie go kapelmistrz, jeśli zna się na muzyce, o czym nie chce wątpić.

- Ależ - gorączkował się kantor - zanim opracuję partyturę, muszę wiedzieć, jaki głos ...

- Zostaw mnie pan ze swoim głosem w spokoju! - rozzłościł się Frank. - Powiedziałem już panu, co o tym myślę. Przecież posiada pan coś na podobiefistwo ludzkiego rozumu, a więc chyba wystarczy panu raz powiedzieć. Zmiarkuj pan to sobie, że prawdziwa mądrość nigdy nie wymaga powtórzenia!

Kantor otworzył usta do odpowiedzi; dlatego Hobble Frank dodał:

- Milcz pan! Pozwól mi się pan wypowiedzieć! Rada, której panu udzielam, jest wyśmienita i oszczędzi panu wiele czasu , troski i roboty. Niech pan skomponuje swoją heroiczną operę; ale niech pan sobie głowy nie zaprząta basem, czy tenorem: kiedy podniosą kurtynę i artyści zaczną śpiewać, wówczas samo się okaże, czy się nadają na tenorów, czy też urodzili do kontrabasów. Chyba to rzecz śpiewaka, czy brać ton wysoki, czy niski. Ja, na przykład, nie pozwoliłbym sobie narzucać tenora, skoro miałbym kontrabas w gardle. Zechciej mi pan wierzyć! Mogę o tym

wyrokować, gdyż za owych czasów, kiedy byłem pomocnikiem leśniczego w Moritzburgu, należałem do miejscowego kółka śpiewaczego i nawet piastowałem poufną godność klucznika; mianowicie, po ćwiczeniach, zamykałem na klucz nuty i pałeczki, co, zdaje się , ma jakieś znaczenie!

Hobble Frank nie poprzestałby na tym, ale wrócili Winnetou z Old 311 Shatterhańdem i zalecili przygotować się do wymarszu.

- Szliśmy - oznajmił Old Shatterhand - jakiś czas po śladzie Nijorbw. Zdaje się, że zdążaja ku Chelly, z czego powinniśmy być zadowoleni, tamtędy bowiem prowadzi również nasza droga.

Kantor emeritus

Oddział ruszył w drogę. Nie było czasu zasypywaE z powrotem jaskini. Pozostawiono ją otwartą.

Po przebyciu wąwozu Winnetou, jadący na czele, skierował się ku miejscu gdzie Nijorowie spędzili ubiegłą noc. Natknięto się na ich szlak. Prowadził na wyżynę, a następnie do długiej doliny, która koficzyła się prerią, tak obszerną, że nie podobna było dojrzeć jej granic. Ślad Indian gubił się na tym płaskowyżu. ‘Iinaj nasi podróżni nie lękali się nieoczekiwanego spotkania z wrogiem; każdą istotę można było ujrzeć już z dala. Dlatego obaj przewodnicy pozwolili swoim towarzyszom jechać w dowolnym szyku i porozumiewa~ się głośno.

Kantor nie był zadowolony z odpowiedżi Franka. Zbliżył się do niego i zapytał:

- Panie Hobble Frank, czy zechce mi pan wyświadczyć przysługę?
- Czemu nie? Ale jaką?
- Nie uszła mojej uwadze zażyłość pana z Old Shatterhandem.

Spełni każdą pana prośbę. Namów go pan, aby zaśpiewał jakąś pieśń, chociażby jedną tylko strofę! Zgoda?

- Nie, drogi przyjacielu, nie mogę go oto prosić; ślicznie by mnie osądził, a jakże! Spróbuj pan sam. Zresztą mówi pan stale o muzyce, 313 a nie o tekście. Czy nie zna go pan?

- Nie.

- No, w takim razie nie wolno tracić panu czasu. Zwróć się czym prędzej do poety obdarzonego talentem!

- Sądzę, że sam stworzę podobny tekst. Zresztą, na próżno szu-kałbym tutaj poetów.

-‘Idk? Do krocset! Sądzi pan zatem, że nie ma tu poety?
-1’dk.

- Słuchaj pan, ulegasz optycznemu złudzeniu, z którego muszę pana wyleczyć. Jest między nami poeta.

- Naprawdę? Kogo pan ma na myśli?

Hobble Frank skierował palec ku piersi i z naciskiem rzekł:

- Siebie.
- Ach, pan? Czy pisze pan poezje?
- I to jakie!
- Nieprawdopodobne!

- Ach, co tam nieprawdopodobne! Umiem wszystko! Powinien to pan był już zauważyć! Powiedz mister słówko, a dam panu dwadzie-ścia rymów do niego! W ciągu dwóch, najwyżej trzech godzin ułożę tekst opery, że tylko paluszki lizać. Jeśli pan wątpi, to proszę, niech mnie pan wypróbuje!

- Pana wypróbować? Weźmie mi pan to za złe.

- Ani mi przez myśl nie przejdzie. Jakże lew, lub orzeł może brać coś za złe jaskółce! A więc, powiedz pan, co mam skomponować!

- No dobrze, zrobimy próbę! Pomyśl pan sobie pierwszy akt mojej opery! Podnosi się zasłona. Wida~ prastary las. Pośrodku, na ziemi, Winnetou podkrada się do wroga. Co ma śpiewać?

- Śpiewać? Nic, naturalnie!

- Nic? Dlaczego? Przecież musi coś śpiewać. Skoro kurtyna idzie do góry, publiczność chce coś usłyszeć!

- W takim ra2ie ta publiczność jest beznadziejnie głupia! Winne-tou, skradający się do wroga, miałby śpiewać! Czy nie pojmuje pan, 314 że wróg na pewno usłyszy i zwieje?

-'Idk, tutaj, na Dzikim Zachodzie. My jednak mówimy o scenie. Winnetou musi śpiewać, musi bezwarunkowo!

- No, jeśli naprawdę musi, jeśli jego śpiew jest nieodzowny, to niech sobie śpiewa.

- Lecz jakie słowa? Publiczność nie zna go jeszcze; jego śpiew powinien przedstawić go widowni.

- Pięknie! Mam już. Pełza więc po ziemi i śpiewa:

Jam Winnetou, wódz czerwony.
Na dzikiej prerii urodzony
Mam wyczulony słuch
I wzrok mój starcry na dwóch.
W trawie na brzuchu pełzam sobie.
Zapach ogniska wgchem łowig.

Wypowiedziawszy ten wiersz, obrzucił kantora triumfującym spoj-rzeniem, jak gdyby oczekując najwyższego uznania. Ponieważ emeri-tus milczał, Frank odezwał się pierwszy:

- No, co pan o tym powie? Jest pan zachwycony, czy nie?
- Nie - wyrzekł zapytany.
- Nie? Wszak spodziewam się, że umie pan wysoko ocenić to, co przed chwilą usłyszałeś. Niech pan wyrazi swoje zdanie!

- Rozgniewałbym pana.
- Nie! Nie ma takiego stworzenia wśród nas, które mogłoby mnie rozgniewa~. Duchowo górują ponad wszystkimi.

- No, to niech się pan dowie, iż te dziadowskie rymy, opiewające, że Winnetou urodził się w Ameryce, że ma oczy, że łowi węchem a nie uszami, że pełza nie na grzbiecie, lecz na brzuchu, nic nie wyrażają! 'Ii~eść ich jest tak oczywista sama przez się, że trzeba ją pominąć. A zatem, proszę, niech pan co innego wymyśli!

W miarę, jak kantor wypowiadał swój sąd, oczy Hobble Franka coraz się bardziej rozszerzały, a brwi podnosiły. Słuchał z takim wyrazem twarzy, jak gdyby nie dowierzał własnym uszom; po czym 315 rozwalił usta i wybuchnął:

- Co pan gada? Co pan za sieczkę wymłócił? Co ja ułożyłem? Dziadowskie rytny?

-'Idk, tak się zwykle nazywa tego rodzaju wiersze, panie Hobble Frank - odpowiedział swobodnie kantor.

- Dziadowskie wiersze, dziadowskie wiersze! Czy mnie słuch nie zwodzi? Ja, znakomity myśliwy prerii, westman Hobble Frank, ułoży-łem dziadowskie rymy! W takim razie wszystko się koficzy! Żaden człowiek nie mówił mi przecież nic podobnego, żaden! Z początku wymaga pan, żebym zaprezentował Winnetou, a kiedy go prezentuję, twierdzi pan, że to zbyteczne! Czemu nie sprostuje pan natychmiast swego błędu? Pan jest zbyteczny, nikomu nie potrzebny emeritikus! Ja zaś, który pełnię honorową powinność myśliwego, odtąd iyć będę dla pana w krainie błogosławionych duchów i olimpijskiech gier, do których dostęp dla emeritikusów jest na zawsze zamknięty!

Spiął konia ostrogami i pogalopował na prerię.

- Stój Frank, dokąd to? - zawołał Ciotka Droll.
- Poza wasz horyzont duchowy! - odpowiedział Frank.

- Obyś się tylko nie zapadł pod horyzont!

Gniewny westman pojechałby dalej, gdyby Old Shatterhand nie zalecił mu stanowczo wrócić. Usłuchał wezwania i przyłączył się do Drolla.

- Co się stało? - zapytał Ciotka Droll. - Masz taką złowrogą minę. Czy znowu się obraziłeś?

-Milcz! Nie mów nic o mojej pobłażliwości i tolerancji! Ubliżono mi tak okrutnie, że włosy stanęły mi na głowie olbrzymim cedrem.

- Któż to sprawił?
- Były kantorowy i organowy grajek.
- Obraził cię?
- W najwyższym stopniu Celsjusza!
- Czym?
- Nie twoja to rzecz, ty stara, gruba, wszędobylska Ciotko!

316

Drtill uśmiechnął się z ukosa i umilkł. Wiedział, że najlepiej będzie zostawić Hobble Franka jego gniewowi.

Już po godzinie minęli prerię, potem zniknęta trawa i wszelka inna roślinność. Grunt stanowiła twarda skała, niełaskawa dla flory. Jecha-li po płaskowyżu rzeki Kolorado, płaskowyżu spadającym ku rzece i jej dopływom stromymi wąwozami. ‘IYzeba tu było mieć czułe oczy, aby nie stracić śladu Nijorów.

W południe, przez wzgląd na kobiety i dzieci, urządzono dwugo-dzinny postój. Następnie oddział ruszył dalej. Dopiero przed wieczo-rem Apacz zatrzymał konia i zeskoczył z siodła. Old Shatterhand poszedł za jego przykładem.

- Po co się tutaj zatrzymywać? - zapytał Sam Hawkens. - Czyż spędzimy noc na tak pustym, niewygodnym miejscu?

- Nie - odpowiedział Apacz. - Ostrożność nakazuje tu czekać zmroku. A to czemu?
- Ponieważ tylko pół godziny dzieli nas od Chelly.1’dm zaś wznosi się las, w którym prawdopodobnie Nijorowie rozbili obóz. Ponieważ grunt jest ukształtowany płasko, więc dojrzą nas z dala i zdążą się ukryć. Musimy zatem czekać, aż ciemności nas okryją.

- Ale ich także!

Znajdziemy ich, jeśli nie dziś, to jutro.

Rozłożono się kołem. Nad widnokręgiem, po stronie północnej, krążyło kilka sępów. Zakreślały w powietrzu drobne kółka. Old Shat-terhand zwrócił na nie uwagę i rzekł:

- Sępy zlatują się tam, gdzie jest padlina, lub inny żer. Nie odfruwają, lecz krążą nad miejscem, gdzie upatrzyły sobie zdobycz. Przypuszczam, że tam właśnie rozbili Nijorowie obóz.

- Mój biały brat słusznie rozumuje - potwierdził Winnetou. - ‘I~ ptaki wskazują nam drogę. Dziś jeszcze podkradniemy się pod obóz Nijorów.

- Musimy być jednak bardzo ostróżni. Nijorowie odbyli daleką

317 drogę od Gloomywater do Chelly bez żadnegó postoju. Ponieważ są to zwiadowcy, więc wracają do punktu wyjścia. Sądzę zatem, że nad Chelly zebrali się wszyscy wojownicy Nijorów na wyprawę przeciwko Nawajom.

- W takim razie przekazano im jeńców, -wtrącił Hawkens - co ogromnie utrudni ich odbicie.

- Będą wolni! - odparł Winnetou stanowczym tonem. - Sytu-acja jednak zaleca nam ostrożnośE.

Zmierzch miał zapaść za kwadranas, gdy wyruszono dalej. Zanim się jeszcze ściemniło, jeźdźcy spostrzegli na północnym horyzoncie jak gdyby czarną krechę.

- Tb las nad Chelly - objaśnił Old Shatterhand. - Zatrzymajcie F.. v.:- się tutaj! Pojadę sam na odległość widzenia lunety. Nie zauważą samotnego jeźdźca, natomiast mogliby dostrzec cały oddział. Popędził naprzód i zatrzymał konia. Ujrzeli jak skierował lunetę w stronę lasu. Następnie wrócił i oznajmił:

- Musicie wiedzieć, że jest tam dopływ Ghelly. Płynie tam, dokąd dążymy, w głębokiej dolinie, której strome ściany pokrywa las; ale ponieważ wilgoć nie wydostaje się poza dolinę, więc las ów sięga tylko krawędzi skał,, nie pokrywając płaskowyżu. Na górze tworzy bardzo wąski pas, ktbrywybadałem lunetą. Gdyby Nijorowie tam obozowali, musiałbym ich dostrzec. A zatem, znajdują się na dole, w głębi, nad samą rzeką. Jedźmy naprzód!

Zorza wieczorna, była w tych stronach bardzo krótka, szybko zapadł mrok, sprzyjającywyprawie. Po kwadransie, po dźwięku kopyt, poznali, że jadą po gruncie pokrytym trawą. Wnet potem dostali się do lasu i zatrzymawszy konie, zeskoczyli z siodeł. Nie było mowy o zapaleniu ogniska. Z powodu bliskości Indian trzeba było kryć się w mroku i to, daleko, aby wróg nie usłyszał parskania. Old Shatterhand i Winnetou byli przekonani, że Indianie obozują w miejscu, nad którym unosiły się sępy. Poszli na zwiady i dopiero po półgodzinie wrócił jeden z nich, Old Shatterhand. 318 drogę od Gloomywater do Chelly bez żadnegó postoju. Ponieważ są to zwiadowcy, więc wracają do punktu wyjścia. Sądzę zatem, że nad Chelly zebrali się wszyscy wojownicy Nijorów na wyprawę przeciwko Nawajom.

- W takim razie przekazano im jeńców, - wtrącił Hawkens - co ogromnie utrudni ich odbicie.

- Będą wolni! - odparł Winnetou stanowczym tonem. - Sytu-acja jednak zaleca nam ostrożność.

Zmierzch miał zapaść za kwadranas, gdy wyruszono dalej. Zanim się jeszcze ściemniło, jeźdźcy spostrzegli na północnym horyzoncie jak gdyby czarną krechę.

- Tb las nad Chelly - objaśnił Old Shatterhand. - Zatrzymajcie się tutaj! Pojadę sam na odległość widzenia lunety. Nie zauważą samotnego jeźdźca, natomiast mogliby dostrzec cały oddział. Popędził naprzód i zatrzymał konia. Ujrzeli jak skierował lunetę w stronę lasu. Następnie wrócił i oznajmił:

- Musicie wiedzieć, że jest tam dopływ Ghelly. Płynie tam, dokąd dążymy, w głębokiej dolinie, której strome ściany pokrywa las; ale ponieważ wilgoć nie wydostaje się poza dolinę, więc las 6w sięga tylko krawędzi skał,, nie pokrywając płaskowyżu. Na górze tworzy bardzo wąski pas, który wybadałem lunetą. Gdyby Nijorowie tam obozowali, musiałbym ich dostrzec. A zatem, znajdują się na dole, w głębi, nad samą rzeką. Jedźmy naprzód!

Zorza wieczorna, była w tych stronach bardzo krótka, szybko zapadł mrok, sprzyjający wyprawie. Po kwadransie, po dźwięku kopyt, poznali, że jadą po gruncie pokrytym trawą. Wnet potem dostali się do lasu i zatrzymawszy konie, zeskoczyli z siodeł. Nie było mowy o zapaleniu ogniska. Z powodu bliskości Indian trzeba było kryć się w mroku i to, daleko, aby wróg nie usłyszał parskania. Old Shatterhand i Winnetou byli przekonani, że Indianie obozują w miejscu, nad którym unosiły się sępy. Poszli na zwiady i dopiero po półgodzinie wrócił jeden z nich, Old Shatterhand.

318

- Zatrzymaliśmy się akurat na właściwym miejscu; Apacz prowa-dził nas z godną pochwały domyślnością. Skraj lasu jest tutaj szeroki zaledwie na trzydzieści kroków; potem opada ku dolinie. Mrok utrud-niał drogę, lecz zeszliśmy dosyć nisko. Doliczyliśmy się trzech ognisk obozowych, ale może płoną jeszcze inne, w ukryciu przed nami. Z tej ilości ognisk należy wnosić, że mamy przed

sobą nie tylko wywiadow-ców, lecz wszystkich wojownikbw Nijorów. Będziemy mieli ciężką przeprawę z odbiciem jeńców.

- A gdzie jest Winnetou? - zapytał Dick Stone.

- Wróciłem, aby was zawiadomić. Dłuższa nieobecność moja i Winnetou zaniepokoiłaby was na pewno. Apacz zszedł jeszcze niżej, aby się dokładnie rozejrzeć w sytuacji. Przypuszczam, że nie zobaczy-my go przed upływem godziny. Grunt jest uciążliwy, a trzeba bardzo ostrożnie i powoli skradać się pod obóz, oswietlony wieloma ogniska-mi.

W rzeczywistości upłynęły dwie godziny, zanim Apacz powrócił.

Przysiadł się do Old Shatterhanda i rzekł:

- Winnetou widział jeszcze dwa ogniska; zatem jest ich pięć.

Nijorów zaś przeszło trzystu.

- A więc tak, jak sądziliśmy. Kto ich prowadzi? Czy widziałeś wodza?

-'Ihk. Mokaszi, którego również znasz.

- Bawół, wojownik godny szacunku. Jeśli pojedziemy do niego jako przyjaciele; na pewno nie przyjmie nas wrogo.

- Ponieważ chcemy uwolnić jeficów, więc nie jesteśmy jego przy-jaciółmi i nie powinniśmy się pokazaE ani jemu, ani jego ludziom. Moje oko dostrzegło jeficów.

- Wszystkich?

- 1'dk, ośmiu Nawajów i trzy blade twarze. Leżą koło ogniska otoczeni podwójnym kotem wojowników.

- Nie dobrze. 'Iirudno będzie ich wydobyć!
-'Tb wprost nie sposób. Nic dzisiaj nie zdziałamy, musimy czekaE 319 do jutra.

- Przyznaję memu czerwonemu bratu słuszność. Byłoby szaleń-stwem narażać życie, skoro nie jesteśmy pewni powodzenia.

- Pozwólcie mi oświadczyć, że nie rozumiem tego postanowienia,

- odezwał się Hawkens. - Czy sądzicie, że jutro okoliczności będą sprzyjały nam bardziej, niż dzisiaj?

- Oczywiście!
- Jakże to?
- Chyba pan wie, że Nijorowie wyruszą przeciwko Nawajom?
- Naturalnie.
- Sądzi pan, że będą ze sobą wlec jedenastu jeńców?
- Hm! Istotnie należy raczej przypuszczać, że ich zostawią.

- A zatem zostawią ich pod strażą. A wówczas łatwiej będzie ich odbić, niż dzisiaj.

- T~raz rozumiem. Nie pomyślałem o tym, jeśli się nie mylę.

Gdybyśmy chociaż wiedzieli kiedy pojadą!

- Przypuszczam, że jutro.

- W takim razie byłoby nieźle. Ale, jeśli zostaną, łatwo mogą nas odkryć.

- Do tego nie możemy dopuścić.

-Łatwiej powiedzieć, niż zrobić.'Iii, na górze, nie ma wody. Konie mniej cierpią, gdyż mają przynajmniej trawę. Ale my! Nad Gloomy-water mogliśmy pić tylko naftę; dziś przez cały dziefi jazdy nie mieli-śmy ani kropli wody. Jeśli i jutro jej nie dostaniemy, boleję nad losem kobiet i dzieci; o nas samych już nie śmiem wspomnieć.

- O, co znowu! - wtrącił Hobble Frank. - Nie jesteśmy jeszcze chwilowo nieśmiertelnymi duchami, lecz ludźmi, których śmiertel-ność jest dowiedzionym faktotum. Każde śmiertelne stworzenie musi mie~ wodę i wyznaję zgodnie z prawdą, że mam takie pragnienie, iż za parę łyków wody, albo za szklankę piwa, zapłaciłbym chętnie trzy marki.

Kantor nie mógł się powstrzyma~ od bolesnej uwagi:

320

- Bardzo mi przykro, panie Hobble Frank. Gdybym miał wodę, chętnie bym się z panem podzielił.

'I~n zacny człowiek żałował bardzo, że rozdrażnił Hobble Franka.

Kusy myśliwy, niemniej przecież zacny, również biadał w duchu. Wyrzucał sobie grubiaństwo, którego się dopuścił wobec kantora; pragnął zatem zgody, choć nie uważał za stosowne wyjawiać swej skruchy. Odpowiedział więc na zapewnienie emeritusa:

- A wie pan, czy ja od pana bym przyjął?
- Spodziewam się.
- Nie spodziewaj się! Jakkolwiek wielkie odczuwam pragnienie, mój nieugięty charakter pozwoliłby mi oprzeć się pokusie. Niech pan da cały ocean wody, nie tknę ani kropli. Wiedz pan, że „dziadowskim rymem" odepchnął pan najlepszego przyjaciela. Wielka to dla ciebie strata. Smutne, ale prawdziwe! Nie mogę panu, mimo najlepszej chęci, pomóc.

Kantor zmarkotniał i pogrążył się w smutne rozmyślania. Już wszyscy ułożyli się do spoczynku, tylko on nie mógł przymknąć oka. Szukał sposobu przebłagania Franka. Nareszcie v~padł na pomysł, który wydawał mu się niezłym, pomysł, że głupszego trudno byłoby wymyśleć. Frank utyskiwał na pragnienie i chciał zapłacić trzy marki za parę łyków wody. Cóż więc, jeśli mu jej przyniesie? T~ usłużność na pewno go wzruszy, przecież wystaranie się o wodę było nie tylko trudne, ale nawet niebezpieczne. W dolinie płynęła rzeka, a on, kantor, posiadał manierkę skórzaną. Ponieważ zabroniono zejść na dół, musiał wymknąć się w tajemnicy. Podniósł się do połowy i nad-stawił ucha. Wszyscy spali, oprócz Dicka Stone, który sprawował wartę.

Zamiast poduszki pod głowę emęritusa leżało siodło. W torbie u siodła tkwiła owa manierka. Wyjął ją i ruszył po cichu pomiędzy drzewa.

Pełzał, dopóki Dick Stone mógł go usłyszeć i zobaczyć. Wreszcie dotarł do skraju równiny; las opadał w głąb jaru. Teraz dopiero 11 -- Król naftowy 321 z,:..

rozpoczęły się właściwe trudności. Odwrócił się i zaczął złazić na czworakach, nagami naprzód.'Iiwało to długo, bardzo długo. Musiał wpierw badaćjedną stopą grunt, zanim stawiałdrugą. Ostre kamienie i kolce darniny kaleczyły mu ręce. Nieczuły na b61, dążył do celu z coraz większym uporem. Chwilami tracił punkt oparcia i ześlizgiwał się na dół. Oczywiście, powodowało to szmer. Ale był tak pochłonięty swoim zadaniem, że nie słyszał stuku staczających się kamieni, ani trzeszczenia łamanych gałęzi.

Wreszcie ujrzał ognisko; teraz, pewny zwycięstwa, schodził coraz niżej, zbliżał się coraz bardziej do ogniska. Nie wiedział, że tam zwrócono nafi uwagę, że pięciu czy sześciu Indian, którzy usłyszeli szmer, zeiwało się i sunęło na jego spotkanie. Wreszcie się zatrzymali. Oddychał tak głośno, że mogli go wyraźnie słyszeć.

- Uff! - szepnął jeden z nich. - Tb nie oddech zwierza, lecz człowieka!

- Czy wielu? - zapytał drugi.
- Nie, jest tylko jeden. Schwytajmy go, a przekonamy się kim jest.

Kantor nachylił się, aby uchronić oczy przed blaskiem ogniska.

Zobaczyli go i przekonawszy się, że jest sam, wyciągnęli po niego ręce. Dotknięcie ich tak przeraziło nieboraka, że głos zamarł mu na war-gach. Nie rozumiał, co do niego mówili; ale tym bardziej rozumiał mowę noży, których ostrza dotknęły jego piersi. Nie myślał się bronić; dał się ponieść bez oporu. Można sobie wyobrazić, jaką uciechę sprawiło zjawienie się jego w obozie; uciechę, bynajmniej nie huczną. Biały podkradł się pod obóz i został schwytany. Nie mógł być sam w tej okolicy. Musiał mieć towarzyszy w pobliżu; trzeba więc było prze-strzegać ciszy.

Natychmiast otoczyło go koło czerwonoskórych; nikt nie rzekł słowa. Obok jefica, w środku koła, stał Mokaszi, wódz. Przedsięwziął przede wszystkim to, co każdy przezorny przywódca powinien w takim wypadku przedsiębrać: wysłał kilku zvyiadowców dla przeszu-kania okolicy. Następnie zapytał jefica o imię, o intencje. Kantor nie 322 rozumiał ani słowa. Odpowiadał po niemiecku. Wówczas wódz oświadczył:

- Nie zna naszej mowy, a my nie rozumiemy jego języka. Pokaże-my go trzem białym jeńcom. Być może, znają go.

Emeritusa zaprowadzono do ogniska, gdzie leżeli jeficy. Skoro go zobaczyli, zdumiony Poller zawołał:

-1b ten przygłupiasty kantor! Ten szaleniec wydobył się z puebla!

Powiedział to w żargonie angielsko-indiańskim, którego kantor, oczywiście, nie rozumiał. Pojął jednak, kogo te słowa dotyczyły, po-znał byłego przewodnika i rzekł po niemiecku:

- Halo! Nasz przewodnik! I to spętany! Panie Poller, jakże pan wpadł w tę matnię? Oczywiście, cicszę się ogromnie, że pana widzę.

-'Ih draby schwytały nas w niewolę - odpowiedział zapytany.

Wódz go ofuknął:

- Nie mówić językiem, którego nie znam! Czy chcecie poczuć nasze noże w sercach? Czy znasz tego człowieka?

-'Pdk. Pochodzi z Niemiec.

- Z Niemiec? Czy to ten sam kraj, gdzie urodził się Old Shatter-hand?

- A więc i ten jest znakomityrn myśliwym?

- Nie. Ten nie wie nawet, gdzie jest spust, a gdzie muszka. Potrafi układać tylko pieśni i śpiewać. Jest nienormalny. Wódz zmierzył kantora łagodniejszym spojrzeniem. Niektóre dzi-kie plemiona nie tylko, że nie pogardzają wariatami, ale co więcej, darzą ich poniekąd kultem. Widzą w nich opętanych przez nadziem-skie istoty. Do takich plemion zalicza się wiele szczepów indiafiskich. Nie ośmielą się krzywdzić szaleńców, choćby nawet należeli do wro-giego plemienia.

- Czy wiesz na pewno, że ten człowiek nie jest przy zdrowych zmysłach?

- Wiem bardzo dobrze - odpowiedział Poller, który wietrzył w
323 tym jakąś korzyść. - Przez długi czas towarzyszyłem jemu i jego przyjaciołom.

- Któż to tacy?

- Również Niemcy, którzy przybyli tutaj, aby nabyć ziemię, nale-żącą do czerwonych.

- Zły duch ich opętał! Kiedy kupują ziemię, kradną ją nam; pieniądze dostajemy nie my, lecz złodzieje. Każdy, kto przyjeżdża tutaj kupować ziemię, jest naszym wrogiem. Czyż ten człowiek rów-nież w tym celu przyjechał?

- Nie. Chciał poznać czerwonych ludzi i bohaterów, aby wrócić do ojczyzny i śpiewać o nich pieśni.

- A więc nie jest dla nas niebezpieczny. Pozwolę mu śpiewać, ile mu się zechce. Ale gdzie są jego towarzysze?

- Nie wiem.
- ~p~aj go!
- Nie mogę.
- Dlaczego?

- Zabroniłeś nam mówić w języku tobie nieznanym. On zna tylko mowę ojczystą; nie chciałbym zaś poczuć w sercu stali waszych noży, jak rzekłeś.

- Jeśli to prawda, możesz się z nim porozumieć w jego mowie ojczystej. Pozwalam.

- Dobrze czynisz. Przypuszczam, że dowiesz się ważnych rzeczy.
- Jakich?
- Osadnicy, do których należy, nie są sami. ‘Ibwarzyszą im znani myśliwi. Być może, są bliżej, niż mógłbyś przypuszczać. Muszą tu być, bo skądże on by się tutaj wziął, ten bezradny obłąkaniec.

- Uff! Znani myśliwi! Czy masz na myśli białych?
- Tak. Sam Hawkens, Dick Stone, Will Parker, Droll, Hobble Frank, a może nawet i inni.

- Uff, uff, uff! Wymieniłeś znakomite nazwiska. Ci ludzie nie byli wprawdzie naszymi wrogami, ale teraz, kiedy wykopaliśmy fopór

324 wojny, musimy zdwoić osfrożność. Powiedz, gdzie się znajdują! Ale wystrzegaj się kłamstwa! Skoro tylko padnie z twoich ust nieprawda, będziecie zgubieni.

- Bądź spokojny! Obszedłeś się z nami jak wróg; ale mimo to dowiodę ci, że jesteśmy waszymi przyjaciółmi. Już teraz nawet mogę ci dostarczyć tego dowodu, kiedy powiem, żeśmy się postarali uniesz-kodliwić tych białych wojowników.

- Jakże to zrobiliście?
- Zwabiliśmy ich do puebla Ka Maku.
- Uff! Ka Maku jest naszym bratem. Czy poszli?
-1’dk. Wszystkich wziął w niewolę, białych myśliwych, osadników oraz ich kobiety i dzieci.

- Czy także tego obłąkanego?
-‘Idk.
- A teraz mamy go przed sobą! Sam nie mógł odbyć tak dalekiej podróży. Musimy wiedzieć, kto mu towarzyszy i gdzie się teraz ci towarzysze znajdują.

- Czy mam go zapytać?
- ‘1’dk. Ale nie waż się mnie oszukiwać! Cokolwiek powiesz, nie uwierzę, dopóki nie przekonam się o prawdzie twoich słów. ‘I~raz Poller zwrócił się do kantora i kazał sobie wszystko opowiedzieć.

Kantor niedługo się wzdragał. Opowiedziałwszystko, nie pomyśla-wszy, w jakich warunkach Poller rozstał się z wychodźcami. Dawny przewodnik zdumiał się, kiedy usłyszał o Winnetou i Old Shatterhan-dzie. Nieufny wódz przerywał kilkakrotnie długą a niezrozumiałą dla niego rozmowę. Poller go uspokoił:

- Dowiaduję się o nader ważnych dla nas rzeczach. Muszę zapytać tego obłąkańca. ‘I3rudno rozmawiać z człowiekiem niespełna rozumu. Nie przeszkadzaj mi, a przekonasz się, że działamjako twój przyjaciel. Wreszcie kantor skończył opowiadanie. Poller zwrócił się do wo-dza:

325

-Przede wszystkim oznajmię ci rzecz najważniejszą: tam na gbrze znajdują się Winnetou i Old Shatterhand.

- Uff! Uff! Czy to prawda?
- Jest tak, jak powiadam. Przybyli tutaj, aby na was napaść.
- Będą musieli umrzeć! Skąd przybywają, gdzie się kryją, ilu ludzi im towarzyszy?

Poller objaśnił go dokładnie. Nie zamierzał oszukiwać wodza. Liczył na jego wdzięczność. Najwybitniejsi wojownicy stali w pobliżu i słyszeli słowa Pollera. Skoro umilkł, wódz przez chwilę spoglądał na ziemię, po czym, zwracając się do Indian, rzekł:

- Moi bracia słyszeli słowa tej białej twarzy. Atoli języki białych mają dwa kofice: jeden prawdy, drugi fałszu. Musimy się przekonać, czy uszy nasze słyszały prawdę, czy kłamstwo. Niechaj więc zwiadowcy, których teraz wybiorę, podkradną się na górę.

Szedł od ogniska, do ogniska, aby wybrać ludzi zdolnych do śledze-nia takich mężów, jak Winnetou i Old Shatterhand. Niebawem zwia-dowcy, uzbrojeni tylko w noże, oddalili się we wskazanym kierunku.

‘Ibraz wódz wrócił do Pollera i rzekł, wskazując na kantora:

-Ponieważ ten białyjest opętany przez ducha, który pragnie tylko śpiewać, więc nic złego mu nie wyrządzimy. Będzie mógł swobodnie chodzić po obozie niespętany, lecz, jeśli spróbuje uciec, dostanie kulę w łeb. Przetłumacz mu, co powiedziałem!

Poller, oczywiście, wykonał ten rozkaz.

- Widzi pan, - odezwał się ucieszony emeritus - że miałem słuszność? Dla zwolennika sztuki nie istnieją niebezpieczeństwa. Muzy mnie ochraniają. Zmiarkuj to pan sobie, że my, kompozytorzy, nie jesteśmy zwykłymi ludźmi!

Poller odpowiedział:

~ - O pana muzach nie może być tu mowy. ‘Pdk, czuwa nad panem szczególna opieka, ale zgoła innego rodzaju.

-‘1dk? A więc jaka?
- Opieka obłędu.

326

- Obłędu? Czy mogę się zapytać, co mam przez to rozumieć?
- Czemu nie? Indianie nie krzywdzą wariatów; dlatego pozwalają panu swobodnie tutaj spacerować.

- Wariatów? Spacerować? Nie chce pan chyba powiedzieć, że ...
- Owszem, chcę, - potwierdził Poller.
- Że ... że uważają mnie za wariata?
-‘Ib chyba oczywiste!
- Ale dlaczego, na jakiej podstawie?
- Ponieważ nie mogą pojąć, aby rozsądny człowiek przeprawiał się przez morze i zapuszczał na Dziki Zachód tylko w celu robienia muzyki o ludziach, których pragnie spotkać.

- Robić muzykę? Bardzo proszę, panie Poller! Posługuje się pan na wskroś fałszywym pojęciem. Muzykę robi kataryniarz, albo kar-czemny grajek. Ja jestem kompozytorem. Komponuję operę heroicz-ną w dwunastu aktach i nawet pan będzie miał honor występować w niej.

- Dziękuję bardzo i proszę, aby mnie pan pominął! Zresztą, Indianie nie tak znowu bardzo się mylą, gdyż, jeśli mam być szczery, muszę wyznać, że zdaje się pan obnosić z bzikiem i to dosyć wybuja-łym.

- Jak? Czy istotnie pan tak sądzi?
- ‘Ihk. Ale nie powinien mi pan brać tego za złe, gdyż Indianie szanują obłęd.

- Dziękuję za honor, dziękuję bardzo! Raczej wolę leżeć spętany na ziemi, niż uchodzić za mente captum. Oznajmij pan to wodzowi!

- Ani mi się śni! Pana swoboda ruchów może nam się ogromnie przydać. Ale niech jej pan nie nadużywa i nie próbuje uciekać! Z miejsca pana zakatrupią.

- Pah! Nikt tego nie dokona. Dziewięć muz roztacza nade mną opiekę.

- Rzuć pan do licha swoją sztukę! Myśl sobie o dubach smalonych, ale myśl także o tych, którym możesz się przydać! Widzi pan, jak

327 podejrzliwie wódz na nas patrzy? Nie możemy dłużej ze sobą rozma-wiać. Oddal się pan, lecz nie odwracaj od nas uwagi. Skoro na pana mrugnę, zbliż się do mnie najswobodniej w świecie, zatrzymaj nieopo-dal i wysłuchaj, co powiem. Wyjdzie to na korzyść pana przyjaciołom. Zgoda?

- Chętnie, panie Poller. My, miłośnicy muz, żyjemy wprawdzie in patńa coelesti, a później przechodzimy do historii, ad posteritatem; ale mnie to nie wbija w ambicję i kiedy na tym padole mogę komuś wyświadczyć przysługę, nie waham się ~stąpić ze swoich wyżyn.

Poller połknął wyzwisko, które mu ślina już niosła na język i rzekł:

- Odebrano nam brofi. Postaraj się pan wykraść nóż! Mam na-dzieję, że na tyle sprytu może się pan zdobyć.

- Sprytu? Kompozytor bez sprytu nie jest kompozytorem! Ale cóż panu po nożu?

Choć to pytanie nie świadczyło o sprycie, Poller, pragnąc go sobie zjednać, odpowiedział:

- Aby siebie i towarzyszy pana uwolnić - rzekł.
- Ależ moi towarzysze są wolni!
- Wiem o tym, ale nie wiadomo, co może się zdarzyć. Fałszywie poinformowałem wodza, lecz przypadek może naprowadzić zwiadow-ców na właściwy trop. W takim razie pana przyjaciołom grozi co najmniej niewola. Skoro pan dostarczy mi noża, można ich będzie uratować. Nie mam czasu na wyjaśnienia szczegółów. Nie powinni-śmy ze sobą dłużej rozmawiać. A zatem pan się zgadza?

- 'Pdk. Jeśli mogę wyświadczyć przysługę przyjaciołom, postąpię raz jeden w życiu jak łobuz i wykradnę czerwonym nóż. Poller miał słuszność. Wódz podniósł się i podszedł do obu jeńców, aby ich rozłączyE. Ale nie zdążył, gdyż wrócili właśnie zwiadowcy. Zameldowali, że rewelacje Pollera byly zgodne z prawdą.

- Jego szczęście! - odezwał się wódz. - Gdyby mnie okłamał, zginąłby tej nocy. Zdradził białych, przypuszczając, że będę dlafi za to łaskawy. Myli się bardzo: ździajca jest najgorszym wrogiem.

328

Kazał wywiadowcom opisać wszystko z najdróbniejszymi szczegó-łami, a następnie oświadczył:

- Zaskoczymy ich we śnie, nie doprowadzając do walki. Po dwóch naszych na każdego z nich, czterech na Winnetou i Old Shatterhanda. 'Ii~zech wpadnie na strażnika, unieszkodliwią go natychmiast. Nie zabierzemy ze sobą broni palnej, tylko tomahawki, noże i rzemienie do spętania jeńców. Nie zabija się tak wielkich i znakomitych wojow-ników. Wielki to zaszczyt sprowadzić ich do obozu w pętach, ale znacznie większa hańba dla nich, wpaść w nasze ręce bez przelewu krwi I Wybrał najpewniejszych i najsilniejszych wojowników i wyruszył. Księżyc unosił się nad doliną; blady matowy blask nie przenikał przez korony drzew. Oddział czerwonych przemknął między drzewami, aby ostrożnie i bezdźwięcznie wdrapać się na górę.

W mocy Nij orów.

Na górze panowała głucha cisza. Szi So, który do niedawna spra-wował straż, przekazał ją Drollowi. Westman, aby nie zdrzemnąć się po wyczerpującej jeździe, chodził cicho, powoli tam i z powrotem. Wszyscy inni spali, wyjąwszy Hobble Franka, który zbudził się z okropnego snu. Śniło mu się, że pokłócił się z kantorem do takiego stopnia, iż skoczył mu do gardła. Atoli w tej chwili otworzył oczy, zobaczył przed sobą blady księżyc i stwierdził z zadowoleniem, że kłótnia nie była rzeczywistością. Odwrócił się na drugi bok, aby obejrzeć emeritusa, który położył się w pobliżu, nie było go na miejscu. Czyżby przeniósł się gdzie indziej? Tb było nieprawdopodobne. Frank usiadł na ziemi i obejrzał się wokoło. Zliczył śpiących - jednego brakowało. Hobble obudził swego sąsiada, by nim Sam Hawkens i szepnął:

- Nie bierz mi za złe, Samie, że wybijam cię ze snu! Ale nie widzę kantora. Gdzie mógł się podziać? Czy mam innych obudzić?

Sam ziewnął i odpowiedział półgłosem:

- Budzić? Nie, muszą się wyspać. Ponieważ mnie już obudziłeś, więc we dwóch zbadamy, dokąd się wymknął ten nieprzezorny czło-wiek, aby w ciszy suszyć sobie głowę nad swoją znakomitą operą. Chodź, poszukamy!

330

W mocy Nijorów.

Na górze panowała głucha cisza. Szi So, który do niedawna spra-wował straż, przekazał ją Drollowi. Westman, aby nie zdrzemnąć się po wyczerpującej jeździe, chodził cicho, powoli tam i z powrotem. Wszyscy inni spali, wyjąwszy Hobble Franka, który zbudził się z okropnego snu. Śniło mu się, że pokłócił się z kantorem do takiego stopnia, iż skoczył mu do gardła. Atoli w tej chwili otworzył oczy, zobaczył przed sobą blady księżyc i stwierdził z zadowoleniem, że kłótnia nie była rzeczywistością. Odwrócił się na drugi bok, aby obejrzeć emeritusa, który położył się w pobliżu, nie było go na miejscu. Czyżby przeniósł się gdzie indziej?'Ib było nieprawdopodobne. Frank usiadł na ziemi i obejrzał się wokoło. Zliczył śpiących - jednego brakowało. Hobble obudził swego sąsiada, by nim Sam Hawkens i szepnął:

- Nie bierz mi za złe, Samie, że wybijam cię ze snu! Ale nie widzę kantora. Gdzie mógł się podzia~? Czy mam innych obudzić?

Sam ziewnął i odpowiedział półgłosem:

- Budzić? Nie, muszą się wyspać. Ponieważ mnie już obudziłeś
,
więc we dwóch zbadamy, dokąd się wymknął ten nieprzezorny czło-wiek, aby w ciszy suszyć sobie głowę nad swoją znakomitą operą. Chodź, poszukamy!

330

- W jakim kierunku?
- Nie ośmielił się chyba wejść do lasu i na pochyłość góry.
- Nie, na pewno wymknął się na lewo na równinę, aby śpiewać do księżyca. Pójdziemy w tę stronę. Weźmiemy ze sobą broń? Wątpię, czy będzie potrzebna.

- Potrzebna, czy niepotrzebna, westman nie rozstaje się ze strzel-bą. Na wszelki wypadek biorę swoją.

Porozumieli się z Drollem, który także zauważył nieobecność eme-ritusa.

- Musiał się oddalić - zapewnił - zanim zluzowałem Szi So.
Zapędźcie go z powrotem, bo gotów nam piwa nawarzyć!

- Sprowadzimy go, jeśli się nie mylę - skinął Sam. - Jeśli zakreślimy półkole, to na pewno wpadniemy na jego ślad. Księżyc nie świeci wprawdzie jasno, ale myślę, że go spostrzeżemy i zmyjemy mu głowę, jako żywo, skoro go znajdziemy!

Hawkens i Frank poszli na zachód brzegiem lasu, aby później zakreślić na wschód półokrąg dookoła obozu. Szli nachyleni, szukając śladu. Ponieważ nigdzie nie widać było kantora, więc przypuszczali, że uszedł daleko.

Droll odprowadził ich spojrzeniem, aż znikli, był zaniepokojony i mimo woli natężał wzrok w stronę równiny. Nie ujrzał przeto trzech Indian, którzy wyszli ze skraju lasu i sunęli ku niemu cichaczem. Naraz poczuł parę rąk na gardle. Chciał zawołać, ale dobył tylko krótkie rzężenie. Po chwili cios obuchem powalił go bez zmysłów na ziemię.

Sam Hawkens i Hobble przebyli dwie trzecie swej drogi, nie natra-fiając nigdzie na ślad szukanego, gdy naraz usłyszeli głośny ókrzyk wojenny Winnetou. W chwilę później rozległ się głos Old Shatterhan-da:

- Wstańcie! Wróg jest ...

Głos uwiązł w gardle; słowa przeszły w charkot, który aż do nich doszedł.

331

- M6j Boże, napadnięto na nich! Szybko wracajmy! - zawołał Frank i odwrócił się w kierunku obozu. Sam uchwycił go i zatrzymał.

- Czyś oszalał! - osadził go zgłuszonym głosem. - Uważaj! Już klamka zapadła. Nic nie wskóramy.

Rozległ się wielogłosy indiański okrzyk zwycięstwa.

- Czy słyszałeś? -szepnął Sam. - Napadnięto na nasz obóz; leżą tam skupieni i jeśli mądrze sobie poczniemy, to możemy ich jeszcze ocalić.

- Ocalić? Tb mi się podoba! Głowę dam, byle ich uwolnić!
- Głowę możesz zachować. Jak to dobrze, żeś mnie obudził.

Gdyby nie to, leżelibyśmy przy naszych towarzyszach ze spętanymi rękami i nogami. Jesteśmywolni i o ile znam starego Sama Hawkensa, nie spocznie, dopóki nie odbije swoich przyjaciół, jeśli się nie mylę, hihihihi!

Hobble był ogromnie podniecony. Nachylił się, gotów do biegu, nadstawiając uważnie ucha w kierunku obozu; Hawkens nie puszczał go i pociągnął ostrożnie za sobą. Przybywszy do lasu, skradali się w jego mroku wzdłuż skraju. Niebawem zatrzymał ich głośny krzyk:

- Ustah arku etente! Wejdźcie na górę, mężowie!

- St6j, musimy się zatrzymać! - szepnął Hawkens. - Ludzie, których wódz zwołuje, wejdą tutaj na górę i zetkniemy się z nimi, jeśli pójdziemy dalej. Uważaj!

Głos wodza dotarł do doliny. Wkrótce rozległ się szmer kamyków, trzeszczenie gałęzi i odgłosy wielu kroków. Sprowadzenie jeńców na dół wymagało dużej eskorty Indian.

Powstała wrzawa; krzyżowały się zapytania, odpowiedzi i rozkazy. Obaj podsłuchujący usłyszeli niebawem zbliżające się kroki ludzkie i tętent kopyt. Zobaczyli długi oddział ludzi i koni, który ich wyminął, ponieważ cała grupa była oświetlona księżycem, więc mogli wyraźnie rozpoznać poszczególne postacie. Wszyscy ich przyjaciele mieli ręce i nogi spętane i mogli stawiać tylko bardzo drobne kroczki. Nikogo 332 nie brakowało, prócz kantora. Winnetou, podobnie jak Old Shatter-hand, kroczył między czterema rosłymi Indianami. Kiedy ostatni czerwony zniknął, Hobble, odgrażając się pięścią, szepnął:

- Gdybym tak mógł, jak pragnę, rozdarłbym tych czernvonych łotrów na takie kawałki, że &unęlyby jak ptasie pióra na polowaniu! Ale ja im jeszcze pokażę, co znaczy taki Hobble Frank, kiedy gniew jego się wścieka, a wściekłoś~ się gniewa! Odeszli, a myśmy zostali jak dwa połamane parasole, albo jak gdyby obuwie przyrosło nam do nóg! Czy nie pójdziemy za nimi?

- Nie.
- Czemu nie?

-Ponieważ niepotrzebnie nadłożymy drogi. Czerwoni, ze względu na jeńców, musieli wybrać najwygodniejszą, dłuższą drogę. My zaś zejdziemy na dół drogą, którą oni wkroczyli.

- A potem?
- Potem zobaczymy, co się da zrobić.

- Ślicznie. A więc naprzód, Samie! Swędzi mnie ręka. Czuję, jak się rozpala aż do indiafiskiej czerwono~ci.

Najkrótszą drogą Sam i Frank zeszli powoli i ostrożnie do doliny. Na dole łatwiej im było skradać się dzięki ogniskom, które oświetlały drogę. Wyszli nieco poza obóz. W pobliżu dwa wysokie, płaskie głazy tworzyły rodzaj dachu, pod którym było dosyć miejsca na dwie osoby. Na przedzie rosło kilka małych choin, których niskie sylwetki zasła-niały prawie całkowicie kryjówkę. Wkradli się i położyli tak, że mogli obserwować obóz poprzez gałęzie.

Hobble Frank, rozłożywszy się wygodnie, trącił towarzysza łokciem i szepnął:

- Widzisz, że posiadam dar jasnowidzenia! 'Ihm, kolo ogniska, siedzi ten komponista. A więc on to naprawdę nas zdradził, ten dwunastotaktowy emeritikus!

-'Pak, miałeś słuszność; to on doprawdy.

333

- Ale, żdaje się, że pozostawiono go na wolności! Dlaczego go nie spętali?

- Nie mogę pojąć?
- Czy widzisz, kto tam leży?
- Aha, król naftowy. A dwaj pozostali to Buttler i Poller.

Naliczyli stu pięćdziesięciu wojowników, a więc tylu też weszło na górę, aby przyprowadzić jeficów. Nad rzeką pasły się konie; siodła były złożone w jednym miejscu. Naraz czerwonoskórzy zerwali się, z ocze-kiwaniem spoglądali w głąb doliny. Stamtąd rozległ się okrzyk radości i po chwili zawtórowano mu w obozie, do którego oddział wraz z jeficami się zbliżał!

Z początku ukazała się grupka czerwonych; następnie szli Old Shatterhand i Winnetou pod strażą ośmiu Nijorów. Nie można było odczytać w ich twarzach troski; szli z podniesionym czołem; swobod-nymi spojrzeniami zmierzyli plac i osoby, stojące lub leżące koło ogniska . Nie okazywali niepokoju również inni westmani; natomiast niemieccy osadnicy spoglądali z przestrachem, a jeszcze bardziej były przygnębione kobiety, usiłując uciszyć płacz dzieci. Wyjątek stanowiła pani Rozalia Ebersbach. Spętana jak inni, dumnie kroczyła i rzucała wokół wyzywające spojrzenia.

Kantor dopiero teraz zrozumiał swój błąd. Podszedł do Old Shat-terhanda i rzekł:

- Pan Hobble Frank utyskiwał na pragnienie; dlatego zlazłem na dół, aby mu gaudium sprawić i ...

- Milcz durniu! - przerwał mu myśliwy i odwrócił się.

Kilku Indian odsunęło emeritusa, ponieważ wódz zabronił mu porozumiewać się z jeńcami. Nijorowie utworzyli dookoła przybyłych krąg, pośrodku którego stałwódz w asyście najwybitniejszych wojow-ników. Zwracając się do Winnetou, rzekł:

- Winnetou, wódz Apaczów, przybył tutaj, aby nas zabić. Umrze zatem przy palu męczarni.

- Pshaw!

334

Apacz wypowiedział tylko to jedno słowo, po czym usiadł. Był zbyt dumny, aby się tłumaczyć. Wódz ściągnął gniewnie biwi i zwrócił się do Old Shatterhanda:

- Wszyscy biali zginą wraz z Apaczem. Wykopaliśmy topór wo-jenny. po dwakroć zasłużyliście na śmierć, bo na domiar chcieliście na zabić.

- Kto ci to powiedział? - zapytał Old Shatterhand.
-'I~n człowiek - oświadczył wódz, wskazując na kantora.
-Nie znaszjęzyka, którymwłada. Jakże mogłeś z nim rozmawiać?

Wódz wskazał na Pollera i odrzekł:

- Ze pośrednictwem tego tłumacza.

- W takim razie tłumacz jest kłamcą i oszustem. Wiesz, kim jestem. Czy ktoś może nazwaE Old Shatterhanda wrogiem czerwo-nych?

- Nie. Ale teraz wybucha wojna i każda biała twarz jest naszym wrogiem.

- Nawet człowiek Bogu ducha winny?
-'Pdk.
- Dobrze, a więc wiemy, co o tym sądzić! Obejrzyj tych trzech, którzych schwytaliście przed nami; są kłamcami, złodziejami i mor-dercami. Przybyliśmy tutaj, aby ich schwytać, a nie aby z wami walczyć. Wydaj nam ich, wówczas pojedziemy dalej, nie wtrącając się do waszych spraw!

- Uff! Czy Old Shatterhand naraz zdziecinniał, że stawia nam takie żądanie? Mamy mu wydać tych białych? Należą do nas i będą uświetniali nasz powrót triumfalny, a następnie zginą przy palu. 'I~n sam los spotka Old Shatterhanda i wszystkich, których wraz z nim schwytaliśmy. Jaki wódz czerwony wyda takich jeficów? A gdyby nawet wydał, Old Shatterhand zażądałby o wiele więcej.

- Czego?
- Zabraliśmy wasze konie i całąy własnoś~. Najcenniejsza jest srebrna strzelba Winnetou, twoja niedźwiedziówka i zaczarowana

335 strzelba, która strzela bez naładowania, ile razy tylko zechcesz. Czy nie zażądasz wydania broni, jeśli was wypuścimy?

- Stanowczo.
- A więc widzisz, że mam słuszność! Nie wydamy łupu i was zatrzymamy. Wasza śmier~ przy naszych palach okryje sławą cały szczep. Po naszej śmierci, w Wiecznych Ostępach, wojownicy poza-zdroszczą nam szczęścia, gdyż wasze dusze będą nas obsługiwały!

Old Shatterhand spokojnie zapytał:

-Pshaw! Czy tak postanowiłeś nieodwołalnie?
-'Pdk.
- A więc skoro skoficzyłeś, ja też wypowiem ostatnie słowo.
Słuchaj, nie zdołacie nas zatrzymać, a prócz tego będziecie musieli zwrócić zdobycz! Nasze dusze nie będą obsługiwały waszych, gdyż, jeśli tylko zechcemy, możemy was natychmiast wysłać do Wiecznych Ostępów, gdzie zatem wy będziecie nam służyli, a nie my wam. Powie-działem.

Chciał się odwrócić, ale oto wódz wystąpił o parę kroków naprzód i huknął nafi:

- Śmiesz przemawiać tak do mnie, naczelnego wodza Nijorbw!
Czy wy jesteście naszymi jeficami, czy my waszymi? Policz swoich ludzi! Kilkunastu spętanych i bezsilnych; my natomiast jesteśmy wolni, uzbrojeni. Jest na trzykroE po dziesięć razy dziesięciu mężnych wojowników!

-Pshaw! Old Shatterhand i Winnetou nie zwykli liczyć wrogów i nie ważne czy są związani, czy nie. Nie przyszliśmy tutaj jako wrogo-wie; chcieliśmy odejść w pokoju. Ale tyś wolał waśfi od zgody. Dobrze, przyjmujemy wyzwanie! Niech więc tomahawk wojny zostanie wyko-pany między mną a tobą, między nami a wami. Nie liczba głów i spętanych rąk rozstrzygnie, lecz doskonałość broni i moc ducha! Obrzucił krótkim spojrzeniem Winnetou, który skinął potakująco; ledwo dostrzegalnie. Obaj rozumieli się bez słów. Wódz rozgniewany, nie zauważył tych wymownych spojrzefi. Nabrzmiałym wściekłością 336 głosem zawołał:

- Gdzie jest wasza brofi i gdzie duch, o którym mówiłeś? Wasze trzy znakomite strzelby wiszą tutaj na moich plecach i ...

- Duch, o którym mówiłem, odbierze je! - dokoficzył Old Shat-terhand.

W tej samej chwili, wzniósł obie spętane pięści i grzmotnął wodza po głowie tak, że ten runął bez przytomności. W tej samej chwili Winnetou wyrwał związanymi rękami nóz zza pasa wodza i błyskawi-cznie przeciął więzy u rąk Old Shatterhanda. Westman przeciął pęta Apacza. Mieli więc wolne ręce. Jeszcze dwa ruchy, a opadły także więzy z nóg. Wszystko to stało się z tak błyskawiczną szybkością, że czenwonoskórzy nie mieli czasu zapobiec; stali znieruchomiali i zdu-

mieni. Należało wykorzystaE ten moment. Old Shatterhand uchwycił lewą ręką wodza, w prawą ujął nóż i zawołał:

- Odstąpcie! Jeśli jeden chociażby Nijor odważy się nogę ku nam wysunąć, nóż mój natychmiast przebije serce waszego wodza! ‘Iii oto widzicie Winnetou, wodza Apaczów! Czy ma wam wsadzić we łby kule mojej zaczarowanej strzelby?

Winnetou uchwycił bowiem sztucer i trzymał go w ręku. Wpływ słynnych ludzi jest niezwykły, zwłaszcza na przesądnych dzikusów. A jednak była to chwila nader niebezpieczna. Gdyby chociaż jeden Nijor miał odwagę zaatakować, kula, któraby go przebiła, rozpętałaby zem-stę i nastąpiłby istny pogrom. Jednak wrogowie byli oszołomieni i żaden nie ośmielił się poruszyć; ale sytuacja w każdej chwili mogła się zmienić na niekorzyść, w porę jednak nadeszła pomoc, której nie spodziewał się myśliwy. Z lasu rozległ się głośny krzyk:

- Stać, Nijorowie! I tutaj stoją białe twarze. Jeśli się nie cofniecie, pożrą was nasze kule. Aby was ostrzec, przebiję na początek pióro zastępcy wodza! Ale potem trafimy w głowy.

Zastępca wodza stał w pobliżu Old Shatterhanda; nosił jako ozna-kę godności pióro orle. Posępne, żądne walki spojrzenie, jakimi mierzył obu śmiałych mężów, wymownie świadczyło, że nie da się 337 dhzżej powstrzymać. W tym momencie padł strzał z miejsca gdzie stały wspomniane dwa głazy i kula zerwała mu pióro z głowy. Na razie stracił jedynie pióro, za chwilę mógł stracić głowę. Nie podejrzewał, że to tylko dwaj ludzie grożą w ciemności. Sądził, że musi ich być bardzo wielu, skoro tak śmiało występują. Wydał okrzyk zgrozy i odskoczył od ogniska. Pozostali Nijorowie poszli za jego przykładem, rejterowali równie szybko.

- Dzięki Bogu! - szepnął Old Shatterhand do wodza Apaczów.
- Zwyciężyliśmy. 1b Sam Hawkens krzyknął. Jest tam również Hob-ble Frank. ‘I~zymaj wodza w szachu. Nóż jest mi potrzebny; chcę uwolnić pozostałych.

Opuścił wodza, w którego Winnetou natychmiast wycelował lufę strzelby i obrócił się ku towarzyszom, aby uwolnić ich z więzów. Robił to z nadzwyczajną szybkością; Indianie na razie nie reagowali. Wszy-stko, co odebrali białym, znieśli na dół i złożyli koło ogniska; między innymi także bro~. Białym więc teraz wystarczyło się tylko nachytić, aby odzyskać noże i strzelby. Stali wolni i uzbrojeni, nim jeszcze minęło pięć minut od początku brawurowej akcji.

-‘I~raz na kofi i za mną do lasu! - rozkazał Old Shatterhand.
Wziął konia, swego i Apacza, za uzdę, podczas gdy Winnetou podniósł wodza Nijorów i znikł wraz z nim w ciemnościach, pomkną-wszy w kierunku, skąd dobiegał głos Sama Hawkensa. Plac naokoło ogniska świecił pustką; czerwoni nie mogli jeszcze zdać sobie sprawy z nieoczekiwanego obrotu rzeczy.

Nikt nie zwrócił uwagi na szczegół, który później miał wydać nieoczekiwane następstwa. Oto kantor emeńtus nagle sobie przypo-mniał, iż w kieszonce kamizelki, której mu nie przeszukano, ma scyzoryk. Chciał naprawić swą pomyłkę i podczas gdy powszechna uwaga skupiała się dokoła Winnetou i Old Shatterhanda, podszedł do Pollera, przysiadł się dofi i rzekł:

- Właśnie sobie przypomniałem, że mam scyzoryk. Pomoże pan moim towarzyszom. Oto on. 338
- Pięknie, pięknie! -odrzekł zachwycony Poller. -Połóż się pan przy mnie i przetnij mi pęta u rąk, ale tak, aby nikt nie widział. Skoro mi pan następnie wręczy nóż, resztę biorę na siebie.

- Uwolnij pan również moich towarzyszy!
- Naturalnie, naturalnie! Ale uwolnij pan najpierw mnie!
Kantor usłuchał. Wręczył Pollerowi nóż w chwili, gdy Old Shatter-hand rozciął więzy u swoich nóg.

- Spójrz pan! - rzekł kantor. -‘T~raz pomoc pana jest niepo-trzebna. Old Shatterhand uwolni także pana. Może mi pan zwrócić scyzoryk.

- Ani mi się sni! - odpowiedział Poller. - Zmykaj pan do swoich. My trzej pośpieszymy wkrótce za panem!

Kantor podniósł się i usłyszawszy rozkaz Old Shatterhanda, dopadł konia.

‘I~raz sytuacja przedstawiała się tak, że tylko Buttler, Poller i król naftowy leżeli koło ogniska; Indianie, aby nie wystawiać się na cel, cofnęli się pod osłonę mroku, podczas gdy biali zalegli między drze-wami nad rzeką. Z tego też ukrycia Old Shatterhand zawołał do czerwonoskórych:

- Niech wojownic,y Nijorów spokojnie się zachowują! Jeśli spo-strzegę choćby drobny odruch, jeśli ośmielą się wyjść na zwiady, - zabijemy waszego wodza! Kiedy dziefi zaświta, zaczniemy się układać. Jesteśmy przyjaciółmi czerwonych. Krew wodza, jeśli będziemy zmu-szeni go zabić, spadnie na wasze głowy!

Sam Hawkens i Hobble Frank wypełzli z pomiędzy głazów. Sam rzekł swoją osobliwą manierą:

- Czerwoni gentlemani tego się nie spodziewali! ‘Ii~zystu takich drabów pozwala się zapędzić w kozi róg przez dwóch ludzi. T~kiego wypadku mój siwy włos nie pamięta! Gdyby nawet się nie powiodło, rezultat odwlókłby się tylko, gdyż obaj czailiśmy się tutaj, aby was uwolnić, hihihihi!

- ‘1’dk, - potwierdził Hobble Frank - że wydobyliśmy was, to
339 pewne, jak amen w pacierzu. Czy dziesięciu, czy też stu Indian , dla nas to drobnostka.

-‘Pak, jesteście nadzwyczajnymi bohaterami, - rzekł Old Shat-terhand na poły rozgniewany, na poły rozbawiony.. - Gdzieżeście się ‘ wałęsali? Zdaje się, że poszliście na spacerek, zamiast spać?

- Na spacerek? O nie! Miałem sen, który podniecił moją duszę internistycznie, ocknąłem się i zauważyłem ku memu zdziwieniu, że nie ma pana kantora. Obudziłem więc mego przyjaciela Sama i po-szliśmy, aby wskrzesić obecność zaginionego. Tymczasem zdarzyła się napaść, której nie mogliśmy przeszkodzić. Widzieliśmy z ukrycia, jak was przenoszono. Zeszliśmy do doliny, aby czatować na chwilę sto-sowną do auksyliacji. Szczęściem dla nas, pan emeritus się oddalił, bo inaczej nie szukalibyśmy go, a wpadli wraz z wami w biedę.

- Mylisz się, przyjacielu, - odpowiedział Old Shatterhand. - Jestem przeświadczony, że napad nie nastąpiłby wcale, gdyby ten pomyleniec leżał spokojnie. Gdzież tkwi teraz? Nie widzę go tutaj.

- Ecce me - odpowiedział kantor, występując zza drzewa.
- Dobrze! Powiedz mi pan, co panu strzeliło do głowy, aby opuścić obóz!

- Chciałem przynieść wody, panie Old Shatterhand.
- Wody! Z rzeki?
-‘Pdk.
- Czy być może! Czy tak silne odczuwał pan pragnienie, żeś nie mógł się doczekać świtu?
-Nie dla siebie, ale dla mego przyjaciela Hobble Franka chciałem przynieść wody. Skarżył się na pragnienie. Sądziłem, że jeśli wyświad-czę mu przysługę, puści w niepamięć wczorajszą waśń, która skłóciła nasze dusze.
- Co za nonsens! Z powodu głupiej sprzeczki skazał pan nas wszystkich na śmierć! Chętnie przegnałbym pana na wszystkie cztery wiatry. Niestety, nie mogę, gdyż, skazany na samotność, zginiesz tu i, niechybnie. Choć nie wiadomo, czy ci się to riie należy!

340

- Ja? Niech pan w to nie wierzy! Kto ma przed sobą tak wysoką muzyczną misję, jaką jest moja dwunastoaktowa opera, ten nie może zginąć.

- Niech się pan nie wystawia na pośmiewisko! Na przyszłość będę musiał pana wieczorem przywiązywać, abyś nie mógł powtarzać swo-ich bredni. I w pierwszym osiedlu, do jakiego

przybędziemy, zostawię pana. Wówczas będzie pan mógł szukać materiału do swej znakomitej opery, gdziekolwiek tylko zechcesz. Czy udało się panu dojść do rzeki?

Emeritus zaprzeczył i opowiedział wszystko. Wspomniał także o scyzoryku, wręczonym Pollerowi.

- Do pioruna! - zaklął Old Shatterhand. - Co to za katastro-falny dureń z tego jegomościa. Musimy postarać się, aby nie umknęli. Spróbuję podejść do ogniska i związać ich ponownie. Mam nadzieję, że Nijorom nie wpadnie do głowy mnie ...

Urwał, zaskoczony głośnym krzykiem Nijorów. Spojrzawszy w stronę ogniska, od razu spostrzegł przyczynę alarmu. Poller, Buttler i król naftowy zerwali się na równe nogi i biegli ku koniom Indian.

-Uciekają, uciekają! -zawołał Hobble Frank.-Szybko na kofi, za nimi, bo ...

Nie dokończył zdania, aby nie tracić czasu i aby zmienić słowa na czyny. Atoli Old Shatterhand zatrzymał go i zagroził:

- Zostać tu! Cicho! Uważajcie!

Indianie pomknęli ku swoim rumakom, ale trzej ucieinierzy wy-przedzili ich, gdyż nad okrzykami wściekłości górował wyraźnie tętent koni, których zbiegowie dopadli i na których pocwałowali.

- Uciekli, przepadli dla nas na wieki wieków! - lamentował Hobble Frank. - Chciałem pędzić za nimi. Czemu pan zabronił?

-Ponieważ na nic by się to nie zdało i byłoby dla nas niebezpieczne - odparł Old.Shatterhand.

- Niebezpieczne? Myśli pan, że lękam się tych trzech drapichryó-tów? W takim razie nie zna mnie pan ani trochę!

341

- Mam na myśli czerwonoskórych. Nie ułożyliśmy się jeszcze, zatem musimy być bardzo ostrożni. Gdybyśmy chcieli teraz ścigać zbiegów, wpadlibyśmy w ręce Nijorów. Musimy tu zostać w ukryciu, póki nie zawrzemy ugody.

- Lecz pozwolić tym łotrom zbiec?

- Czy udałoby się nam teraz, po nocy, ich schwytać? Jeśli jest taka szansa, możemy ją zostawić czerwonoskórym. Słuchaj! Ścigają ucie-kinierów. Niech nas wyręczą.

- Ach, co znowu! Że też nie mogę znaleźć zrozumienia! Ci Indianie nie zadadzą sobie wiele trudu.

- I tym właśnie wykażą roztropność. Za dnia łatwo rozpoznać ślady i puścimy się w pościg.

- Ale zbrodniarze ubiegną nas o szmat drogi!

- Dogonimy ich. Łatwo zbiegów schwytać, gdyż nie potrafią się bronić, mają tylko scyzoryk, wypożyczony przez sprytnego pana kan-tora, a to wszak nie jest brofi groźna i niebezpieczna. Wszyscy zrozumieli, że ma słuszność, nawet Hobble Frank musiał mu ją przyznać. Po pewnym czasie usłyszano tętent koni, po czym znów zapanowała cisza, widocznie Indianie wrócili z pustymi rękami. Gdyby bowiem schwytali zbiegów, nie powstrzymaliby się od radosnej wrzawy.

Ponieważ dziefi następny wymagał wiele trudu, więc towarzystwo musiało ułożyć się ponownie do snu. Winnetou i Old Shatterhand czuwali, nie spuszczając oka z Nijorów, którzy przecież mogli pokusić się o uwolnienie wodza. Aliści Indianie zachowali się spokojnie. Rano ujrzano straże nad rzeką. Prawdopodobnie czuwały przez całą noc. Dotychczas jeszcze nikt nie zamienił słówka z Mokaszim; wódz leżał tak spokojnie i nieruchomo, jak gdyby go pięść Old Shatterhan-da zabiła. Lecz żył i spoglądał przenikliwym wzrokiem; był czas odpo-wiedni do stawiania mu żądafi. Old Shatterhand chciał rozpocząć, ale Winnetou krbtkim gestem zalecił milczenie i zwrócił się sam, wbrew swemu zwyczajówi, do wodza Nijorów:

342

- Wódz Nijorów jest silnym mężem, wielkim myśliwym i bardzo walecznym wojownikiem. Zabił najsilniejszego wołu jedną strzałą. Dlatego nazywają go Mokaszi. Chciałbym dofi przemówić jako przy-jaciel i brat, i proszę go, aby mi powiedział, kim ja jestem. Była to na pozór dziwna prośba, ale miała swój cel; Mokaszi uświadomił sobie i dlatego odpowiedział z godnością:

- Jesteś Winnetou, wódz Apaczów.

- Słusznie powiedziałeś. Czemu jednak, nie wymieniłeś szczepu Apaczów, do którego należę?

- Ponieważ wszystkie szczepy tego wielkiego plemienia uznają cię za swojego wodza.

- 'Pak jest. A czy wiesz, do jakiego plemienia zalicza się szczep Nawajów?

- Do Apaczów.
- A Nijorowie, którzy cię nazywają swym wodzem?
- Też są Apaczami.

- 'Iiwoje usta mówią prawdę. Skoro jedni i drudzy należą do Apaczów, są braćmi. Dzieci jednego ojca, powinni się kochać i wspo-magać w potrzebie, w trosce, w biedzie i w niebezpieczefistwie, a nie kłócić się, lub, co gorsza, zwalczać. ~m, na dole, na południowym wschodzie, mieszkają Komancze, śmiertelni wrogowie Apaczów, ich wojownicy rokrocznie wyruszają do walki z Apaczami, a zatem nasze szczepy powinny się skupić i obronić przed tymi rabusiami i morder-cami. Lecz one, przeciwnie, kłócą się, mordują wzajemnie i przez to nie starczy im sił do odparcie wspólnego wroga. Kiedy dusza moja o tym myśli, serce uciska ciężar głazu. Nijorowie i Nawajowie uważają mnie za wodza Apaczów, oni sami są Apaczami; dlatego uszy ich powinny słuchać moich ust. Schwytałeś w niewolę mnie i moich białych braci, aczkolwiek nic złego nie wyrządziliśmy tobie, aczkol-wiek należymy do jednego plemienia. Czy możesz mi podać jakiś słuszny powód?

- Tak. 'Iieoje serce przychyla się bardziej ku Nawajoin, niż ku nam.

343

- Mylisz się. Wszystkim wam jestem bratem.
- Ale twoja dusza należy do białych twarzy, naszych wrogów!

- Mylisz się również. Kocham wszystkich ludzi, białych i czerwo-nych, którzy czynią dobro. Jestem zaś wrogiem wszystkich złych ludzi i nie pytam się, czy są Indianami, czy białymi. Tbpór wojenny został wykopany i oto brat występuje przeciwko bratu, aby przelać jego krew. Walka jest złem, a nie dobrodzeiejstwem i dlatego nie jestem dziś waszym przyjacielem. A jednak nie powinieneś dopatrywaE się we mnie wroga. Nie pomagam ani wam, ani Nawajom, chcę was tylko upomnieć, abyście znów zakopali tomahawk wojny i wskrzesili pokój.

- Nie może to być! Tbpór, skoro go uchwyciła ręka wojownika, nie może spocząć, dopóki nie zbroczy się krwią. Nie możemy słuvhać ust, mówiących o pokoju!

- Nawet jeśli to moje usta?

- Nawet.

- A więc widzę i słyszę, że każde moje słowo jest daremne.

Winnetou nie zwykł mówić na wiatr, będę zatem milczał. Rozstrzygaj-cie swój spór z Nawajami, ale strzeżcie się wciągaE w tę walkę brato-bójczą mnie i moich białych braci. Potraktowałeś nas jak wrogów, chcemy o tym zapomnieć. Teraz znalazłeś się w naszych rękach, twoje życie jest w naszej mocy. Czyż mają opowiadać w namiotach waszych wrogów: Old Shatterhand i Winnetou samowtór schwytali w niewolę Mokasziego, aczkolwiek miał przy sobie trzystu wojowników?

Winnetou trafił w sedno. Była to wielka hafiba dla Mokasziego, że w takich okolicznościach i wobec tylu wojowników został schwytany. Musiał okupić swoją wolność układem z ludźmi,

którzy do niedawna byli jego jeficami. Jeśli zgodziłby się na taką kapitulację, to jedynie pod warunkiem, że biali nie rozgłoszą jego hafiby.

Spoglądał przed siebie ponuro i nie odpowiedział. Dlatego Win-netou dodał:

- ‘Ii~oi wojownicy wiedzą, że ty pierwszy zginiesz, jeśli na nas napadną. Czy słyszaleś, jak im to mój brat Old Shatterhand oznajmił

344

- Jestem wojownikiem i nie lękam śię śmierci. Wojowńicy Nijo-rów pomszczą moją hańbę!

- Mylisz się. Osłaniają nas tutaj skały i drzewa. Zresztą nigdy nie mierzyliśmy wroga liczbą.

- A więc niech moi wojownicywraz ze mną polegną, niechaj krwią swoją zmyją piętno hafiby, która dotknęta ich na równi ze mną!

-Jeśli jesteś rozsądny i posłuchasz mnie, nie dosięgniewas hańba.

Przyrzekniemy ci nigdy o niej nie wspominać.

Oczy Mokasziego rozbłysły.

- Przyrzekasz? - zawołał.

-‘Iak. A czy Winnetou złamał kiedyś swoje słowo?

- Nie. Teraz powiedz mi, jak się zachowacie wobec nas, skoro pozwolimy wam odejść!

- ‘Pdk, jak wy wobec nas. Jeśli pójdziecie za nami, aby walczyć, oczywiście, będziemy się bronić.

- Dokąd się zwrócicie? Czy do Nawajów?

- Musimy ścigać trzech zbiegów. Pojedziemy w ślad za nimi. Jeśli umkną do Nawajów, my za nimi.

- I wspomożecie ich w walce z nami?

- Będziemy ich nakłaniać do zgody, jak nakłaniałem ciebie. Po-wiedziałem ci już, że nie jesteśmy ani waszymi, ani ich wrogami. Zdecyduj się szybko! Musimy zaraz wyruszyć, aby uciekinierzy nie ubiegli nas nadmiernie.

Mokaszi przymknął powieki, aby wszystko sobie w duchu rozwa-żyć, podniósł je po chwili i oświadczył:

- Odzyskacie swoją własność i będziecie mogli spokojnie odje-chać.

- A więc zaniechacie pościgu?

- Przestaniemy o was myśleć: W zamian przyrzeknij, że nie wspo-mnicie nikomu o tym, co się tutaj zdarzyło.

- Zgoda! Czy brat mój gotów jest wypalić z nami fajkę pokoju.

-‘Ihk. Rozwiążcie mnie.

345

Natychmiast uczyniono zadość jego życzeniu. Oswobodzono go z więzów, po czym wszyscy usiedli na miej scu, gdzie poprzedniego dnia paliło się ognisko. Winnetou napełnił swoją fajkę pokoju, zapalił ją i dał Mokasziemu do pociągnięcia. Następnie szła od ręki do ręki. Nawet kobiety i dzieci musiały ją wziąć co najmniej w usta, inaczej bowiem, według zwyczajów indiafiskich, układ nie rozciągałby się na nie i czerwoni mogliby je zabić, nie łamiąc układu. Po ukoficzeniu tego ceremoniału, Mokaszi wszystkim, nawet dzie-ciom, podał rękę i odszedł do swoich, aby ich zawiadomić o ugodzie.

- Chętnie bym również wyzwolił ośmiu Nawajów - rzekł Old Shatterhand. - Niestety, musimy ich zostawić w rękach Nijorów.

- Mój brat niech się o nich nie kłopocze, nic im się złego nie stanie,

- zapewnił Winnetou. - Nijorowie będą zmuszeni uwolnić i tych więźniów.

- Kto ich zmusi? Nawajowie?
-'Pdk.
- A więc myślisz, że teraz wprost podążymy do Nawajów?
- Będziemy musieli, ponieważ do nich pojechał król naftowy.

- Hm! Należy tak przypuszczać. Szubrawcy nie mają broni, nie mogą zatem ubić zwierzyny. Głód zmusi ich do szukania towarzystwa, tam, dokąd dążą, nie ma nikogo, oprócz Nawajów. Pytanie, jak India-nie ich przyjmą.

- Dobrze.

- Dosyć wątpliwe, aczkolwiek i to może się zdarzyć. Jeśli oświad-czą, że są wrogami Nijorów, że byli u nich w niewoli i że udało im się zbiec, Nawajowie nie odmówią gościny.

- Zależy też od tego, co opowiedzą. Nitsas Ini, wielki wódz Nawajów, jest mądrym człowiekiem, wybada każde ich słowo, zanim uwierzy. Ale spójrz na Nijorów! Dosiadają koni. 'hak było w istocie. Mokaszi oznajmił swym wojownikom, ie zawarł pokój. Nie byli zadowoleni z tego obrotu sprawy, musieli się jednak zgodzić, albowiem wypalonó kalumet. Zawstydzeni i rozgniewani 346 niechlubnym dla nich zakończeniem przygody, pragnęli jak najprę-dzej opuścić to niefortunne miejsce, dosiedli koni i odjechali. Kilku jednak zostało. Przynieśli białym resztę rzeczy, które do nich należały. Brakło co prawda paru drobnostek, ale tak mało wartościowych, że nie wspomniano o nich. Dopominać się głupich drobiazgów tam, gdzie stawką było życie!

Wódz Nawajów

Dwa dni upłynęty. I~a~klinie między dopływem Chelly a Rio San Juan, zwanym także Rio del Nawajos, rozłożył się znaczny obóz indiański. Ściągnęło tu sześciuset Nawajów, nie na wielkie łowy, lecz na wyprawę wojenną, jak świadczyły twarze, pokryte wojennymi barwami.

Miejsce owo doskonale nadawało się na obóz. Tiworzyło trójkąt, z obu stron ujęty w ramiona rzeki, broniony przez nią i dostępny dla ataku tylko od strony lądowej. 'Iiawy było aż nadto, podobnie drzew i krzewów, dostarczających palnego mateńału.

Na rzemieniach, rozciągniętych między drzewami, wisiały długie, cienko krajane porcje mięsa, w które miało zaopatrzyć się wojsko. Czerwonoskórzy albo leżeli w trawie, albo kąpali się w rzece. Inni tresowali konie, inni znów ćwiczyli się w strzelaniu. Pośrodku obozu stał duży szałas sklecony z gałęzi. Długi oszczep, tkwiący przed wej-ściem w ziemi, zdobiły trzy orle pióra; była to więc kwatera obozowa Nitsas Ini, naczelnego wodza Nawajów. Siedział właśnie przed szała-sem; nie miał jeszcze lat pięćdziesięciu. Był to krzepki, postawny mężczyzna o twarzy, co się tu szczególnie rzucało w oczy, niepoma-lowanej. Dzięki temu łatwo było rozpoznać jego rysy. Spojrzenie cechowała szczególna przenikliwość, spokój i pogoda, która rzadko 348 promienieje z oczu Indian. Nie sprawiał wrażenia dzikiego, a nawef półdzikiego człowieka. Aby domyślić się istotnej przyczyny jego ogła-dy, wystarczyło tylko spojrzeć na kobietę, która siedziała przy nim, na jego squaw.

Rzecz niesłychana! Squaw w obozie wojennym i nadto u boku wodza! Wiadomo, że nawet naj~kochafisza żona indiańska nie śmie publicznie siedzieć u boku męża, jeśli mąż piastuje wpływowe stano-wisko. A to był naczelny wbdz szczepu, który jeszcze dzisiaj potrafi zebrać dziesięć tysięcy wojowników! W rzeczy samej, ta kobieta nie była indiafiską squaw, lecz białą, słowem matką Szi So. Poślubiła wodza Nawajów i odtąd wywierała na męża wpływ dobroczynny, kształcący jego duszę.

Oparty o siodło swego konia, stał przed nimi wysoki, szczupły, ale nader krzepkiej powierzchowności, biały człowiek o błyszczącej, śnieżnej brodzie. Na pietwszy rzut oka poznać było, że ten człowiek, nie zwykł składać rąk w potrzebie i że przeżył więcej, niż tysiąc innych ludzi razem. Wszyscy troje rozmawiali.

- Zaczynam się niepokoić - rzekł siwobrody mężczyzna. - Nasi wojownicy tak dawno wyruszyli, że powinni już byli przesłać nam jakąś wiadomość.

- Musiało ich spotkać nieszczęście - powiedziała kobieta.

- Nie lękam się tego - odrzekł wódz. - Khasti Tine jest najle-pszym naszym zwiadowcą i zabrał ze sobą dziewięciu doświadczonych wojowników. Czemuż więc miałbym się niepokoić? Prawdopodobie nie spotkali Nijorów i muszą długo tropi~ ich ślad. Poza tym powinni się rozdzielić, aby przetrząsnąE okolicę w rozmaitych kierunkach, co utrudnia spotkanie. W każdym razie upłynie sporo czasu, zanim ujrzymy ich w obozie.

- Miejmy nadzieję, że jest tak, jak mówisz. A zatem już jadę. Czy mogę zabrać ze sobą kilku wojowników?

- Ilu chcesz. Nagonka na antylopy wymaga wielu osaczników.
- Bądź zdrów, Nitsas Ini!

~t‘ - - Bądź zdrów, Maitso!

Swobodnie dosiadł konia i przywołał kilku Indian, aby z nim pojechali. Chętnie się zgodzili; polowanie na antylopy jest namiętno-ścią czerwonoskórych, zamieszkałych w tej okolicy. Wódz nazwał go Maitso, co w języku Nawajów oznacza Wilk. Miano to odpowiadało niemieckiemu nazwisku Wolf. Skoro zaś weźmiemy pod uwagę, że młody przyjaciel i kolega Szi So nazywał się Adolf Wolf, nietrudno będzie się domyślić, że Maitso był to wspo-mniany przez nas stryj Adolfa.

Wolf wyjechał wraz z kilkoma Indianami na równinę i wkrótce upolował parę antylop. W drodze powrotnej, daleko jeszcze od obo-zu, zobaczył trzech jeźdźców nadjeżdżających ze wschodu. Konie musiały odbyć wyczerpującą podróż, gdyż z dala już można było poznać, że gonią resztkami sił. f . Ujrzawszy myśliwych, nieznajomi jeźdźcy zatrzymali się i po krót-kiej naradzie, ruszyli na spotkanie. Byli to Poller, Buttler oraz król naftowy.

- Dobry wieczór, sir! - ukłonił się Grinley, słońce bowiem zbliżyło się do horyzontu. - Jest pan białym i dlatego ufam, że nie udzieli mi pan mylnej informacji. Do jakiego szczepu należą czerwo-ni, którzy panu towarzyszą?

- Do Nawajów - odpowiedział Wolf, obrzucając nieznajomego niezbyt przychylnym spojrzeniem.

- Kto nimi dowodzi?
- Nitsas Ini.

- A pan? Kim pan jesteś? Wszak nie możesz należeć do szczepu Nawajów?

- Pshaw! Mogą być również biali Nawajowie. Od dawna miesz-kam w sąsiedztwie i zaliczam się do plemienia.

- Gdzie teraz obozuje?
- Hm. Dlaczego pan pyta?

i:’..

- Chcemy odwiedzić Nitsaś Ini, aby mu zakomunikować nader 350 ważną wiadomość.
- Od kogo?
- Od jego zwiadowców.

Mylił się, jeśli sądził, że w ten sposób pozyska zaufanie. Wolf bowiem spojrzał nafi z większą jeszcze nieufnością i rzekł:

- Zwiadowcy? Nie ma pojęcia, jacy to zwiadowcy!
- Wystawia pan nas~ na próbę! Nie odmawiaj nam pan zaufania.

Naprawdę, przywozimy od nich bardzo ważną wiadomość.

- No, przypuśćmy, że rzeczywiście wysłaliśmy kilku zwiadowcbw w pewnym celu i że ci mają nam co~ donieść, czy przypuszcza pan, że przesłaliby nam tę wiadomosc za pośrednictwem trzech bladych twa-rzy? Raczej wybraliby jednego spośród siebie.

- Thk, gdyby mogli.
- Dlaczego nie?
- Ponieważ są w niewoli.
- W niewoli! Do licha! Kto ich schwytał?
- Nijorowie.
- Gdzie?
- Dwa dni jazdy stąd, w dolinie Chelly.
- Ilu zwiadowców?
- Ośmiu.
- Na szczęście liczby się rozchodzą.
- Do diabła, nie będź pan tak nieufny! Wiem dobrze, że było ich dziesięciu; brak dwóch, których Nijorowie zabili.

- Zabili? Słuchaj, mister, miej się na baczności! Nie podoba mi się żadna z waszych trzech twarzy. Jeśli nam coś powiecie, postarajcie „P się, aby to była prawda, inaczej źle będzie z wami!

P

- Wzruszaj pan ramionami, jak ci się żywnie podoba. Mimo to będziecie nam wdzięczni, ześmy się natknęli na was. Może znacie miejscowość Gloomywater?

-'Pdk.
- Otóż w pobliżu tej miejscowości Mokaszi zastrzelił waszego

351

Khasti Tine wraz z drugim zwiadowcą. Pozostałych ośmiu schwytał nad Gloomywater i zaciągnął nad Chelly. My również wpadliśmy w ręce Nijorów. Niedawno udało nam się umknąć z niewoli. Skoro Wolf usłyszał imię Khasti Tine, nie mógł już dłużej wątpić.

Zawołał wstrząśnięty:

- Zastrzelił Khasti Tine? Czy to prawda? A pozostali są w niewoli? Do pioruna, źle z nami!

- O, są jeszcze inni w nie lepszym położeniu!
- Jeszcze inni? Któż taki?
- Winnetou, Old Shatterhand, Sam Hawkens oraz paru innych westmanów. Poza tym całe towarzystwo niemieckich osadników.

- Czy pan oszalał! - zawołał Wolf. - Old Shatterhand i Winne-tou w niewoli?

Poller wtrącił się do rozmowy:

- Gorzej jeszcze, o wiele gorzej. Między nimi dostał się do niewoli Szi So, przybył z Niemiec wraz z innym młodzieńcem, który nazywa się Adolf Wolf.

- Mój Boże! Muszę panu powiedzieć, że jestem stryjem Adolfa.
Do mnie właśnie jechał. A więc i on i Szi So są w niewoli? Szybko, szybko, chodźcie do wodza! Musicie nam wszystko opowiedzieć. Czym prędzej po~pieszymy z odsieczą!

Spiął konia ostrogami i pogalopował w kierunku obozu. 'Ii-zej biali pojechali za nim, zamieniając ze sobą konspiracyjne, zadowolone spojrzenia. Na koficujechali Indianie. Pollerowi, Buttlerowi i królowi naftowemu zależało na tym, aby wyłudzić od Nawajów broń i amuni-cję i czym prędzej uciec.

Zdawali sobie sprawę, że Indianie będą ich ściga~. Nie przerażała ich ta okoliczność, obawiali się natomiast spotkania Nawajów z Old Shatterhandem i jego towarzyszami. Jak temu zapobiec? Król nafto-wy zastanawiał się nad tym problemem w drodze do obozu. Po długim i żmudnym dręczeniu wyobraźni w końcu wpadł na dobry pomysł: Old Shatterhand i Winnetou znajdowali się po lewej stronie Chelly; jeśli 352 namówi Nawajów, aby się trzymali prawej strony, spotkanie nastąpi o

kilka dni później, a w ciągu tak długiego czasu niewątpliwie nadarzy się jakaś sposobność do ucieczki. Dlatego król nafty szepnął tak, aby Wolf nie mógł usłyszeć, do swych przyjaciół:

- Pozwólcie mnie odpowiadać na zapytania i nade wszystko, wbijcie sobie w pamięć, żeśmy się znajdowali na prawym, a nie na lewym brzegu Chelly i że tam też znajduje się Old Shatterhand i jego ludzie.

A to dlaczego? - zapytał Buttler.

- Później ci powiem; teraz nie czas na wyjaśnienia.

Miał słuszność, gdyż zbliżyli się tymczasem do obozu. Indianie ze zdziwieniem oglądali trzech obcych białych. Nie spodziewali się ni-kogo na tym pustkowiu w tak niespokojnych czasach. Wolf podjechał z nimi do szałasu wodza, który wciąż jeszcze siedział w tym samym miejscu, zeskoczył z konia i zameldował:

- Spotkałem trzech białych mążów i przyprowadziłem do ciebie, ponieważ przynoszą doniosłe wieści.

Nitsas Ini zmarszczył czoło i odparł:

- Doświadczone oko po korze poznaje zgniłe drzewo. ‘Iilvoje oczy nie były otwarte.

A zatem trzej przybysze nie wywarli na nim dobrego wrażenia. W odpowiedzi król naftowy zbliżył się do wodza i rzekł na pół uprzejmie, na pół z naganą:

- Istnieją drzewa wewnątrz zdrowe, aczkolwiek kora ich wydaje się chorą. Wielki Piorun niech wyda o nas sąd, ale dopiero wówczas, kiedy nas pozna!

Zmarszczki na czole wodza pogłębiły się, a głos brzmiał odpycha-jąco, kiedy odpowiedział:

- Wiele setek lat minęło od czasu, gdy pierwsi biali wtargnęli do naszego kraju; mieliśmy więc dosyć czasu, aby ich poznać. Tylko niewielu białych można nazwać przyjaciółmi czerwonych ludzi. ‘Ii~zech białych ogarnął niepokój. Król naftowy zamaskował lęk 12 - Król naftowy 353 i odpowiedział pewnym siebie tonem:

- Słyszałem, że Wielki Piorun jest sprawiedliwym i mądrym wo-dzem. Nie odtrąci wojowników, którzy przybyli do obozu, aby urato-wać jego samego i jego ludzi.

- Wy, nas uratować? - zapytał wódz lekceważąco. - Go to znów za niebezpieczefistwo, przed którym macie nas ostrzec?

- Niebezpieczefistwo Nijorów.

1- Pshaw! - zawołał z gestem zniechęcenia. - Zciepczemy tych karłów.

-‘1’dk sądzisz, ale w istocie mają nad wami przewagę liczebną.

- Nawet gdyby ich było dziesięćkroć po sto, pokonamy ich, gdyż jeden Nawaj wart jest dziesięciu Nijorów. I wy chcecie nam pomóc, wy, pozbawieni nawet broni? ~lko tchórz pozwala sobie broń ode-brać!

Gdyby król naftowy przepuścił tę obelgę mimo ucha, okazałby się bezsprzecznie tchórzem. Dlatego odpowiedział gniewnie:

- Przybyliśmy, aby wyświadczyć wam usługę, a ty za nasze dobre chęci odpłacasz zelżywą śliną. Opuszczamy was bezzwłocznie! Podszedł do konia, jak gdyby zamierzał go dosiąść. Atoli wódz zerwał się i z rozkazującym gestem zawołał:

- Wojownicy Nawajów, zatrzymajcie tych białych!

Natychmiast okrążono ze wszystkich stron trzech przybyszów. ‘Ih-raz wódz dodał:

- Czy myślicie, że można wchodzić i wychodzić z ob~zu, niczym zając z nory? Jesteście w naszej mocy i nie opuścicie tego miejsca bez mojej zgody. Jeden krok wbrew mojej woli, a przebiją was ‘kule wojowników!

Brzmiało to gniewnie i nie mniej groźnie wyglądało, gdyż mnóstwo strzelb obrócono lufami w stronę trzech białych. Ale nawet teraz Grinley opanował swój niepokój, wyjął nogę ze strzemienia i rzekł spokojnie:

-Jak sobie życzysz! Widzimy, żeśmy wpadli w wasze ręce i musimy
354 was słuchać; ale wszystkie wasze strzelby nie przymuszą nas do wyko-nania poselstwa, z którym do was przyjechaliśmy.

-Pshaw! Chcecie mi zapewne powiedzieć, że psy Nijorów wyko-pały topór wojny i wyruszyły przeciwko nam. Zbyteczny trud! Wysła-łem zwiadowców, którzy zawiadomią mnie we właściwym czasie.

- Jesteś w błędzie. Tiwoi zwiadowcy nie mogą cię zawiadomić, ponieważ schwytali ich Nijorowie!

- Kłamstwo! Wybrałem najbardziej doświadczonych wojowni-ków. Nikt ich nie zdoła schwytać.

-Aja tobie powiadam, że Khasti Tine, ich przywódca, już nie żyje.
- Uff, uff, uff!
- Dwóch zwiadowców padło od strzałów Mokasziego, wodza Nijorów; pozostałych ośmiu schwytał, podobnie jak i nas.

- Podobnie jak was? Wpadliście w ręce Nijorów?
-1'ak. Udało się nam zbiec, lecz nie odzyskaliśmy broni. Dlatego przybyliśmy do was bez strzelb i bez noży; lecz ty uważasz nas za tchórzów. Jakże więc nazwiesz swoich wojowników, którzy nie tylko musieli oddać brofi, lecz nadomiar nie posiadali tyle rozumu i energii, aby sobie utorować drogę do wolności?

- Uff, uff, uff! - wołał wódz. - Moi zwiadowcy w niewoli, Khasti Tine zastrzelony! Jego skalp wymaga zemsty! Musimy wyruszyć na te psy Nijorów!

Zdradzał się z niezwykłym podnieceniem, wbrew indiafiskiej natu-rze, która we wszelkich okolicznościach nakazuje spokój. Chciał wpaść do szałasu po brofi. Atoli Wolf, dotychczas milczący, uchwycił go za ramię i rzekł:

- Stój, poczekaj jeszcze! Musisz s~ię dowiedzieć, gdzie są Nijoro-wie, skoro chcesz na nich napaść. Niechaj cię biali poinformują. Przywożą również jeszcze inne nowiny, o wiele, o wiele ważniejsze.

- Ważniejsze? - zapytał wódz, odwracając się. - Co może być ważniejsze nad to, że Khasti Tine nie żyje, a nasi zwiadowcy są w niewoli?

355

- Ważniejsze to, że Szi So w niewoli ...
Z nadmiaru wzruszenia nie mógł dobyć głosu. Stał znieruchomiały, jak gdyby zamieniony w kamiefi i tylko poruszające się oczy dawały świadectwo życia. Wojownicy skupili się dookoła, ale żaden nie wy-rzekł słowa. Król naftowy, pragnąc wykorzystać chwilę, rzekł głośno:

- 1'dk, to on; Szi So jest też w niewoli. Ma zginąć przy palu męczarni!

- I mój bratanek Adolf, który wraz z nim przybył z Niemiec, też jest w mocy Nijorów! - dodał Wolf.
Teraz wódz odzyskał przytomność umysłu. Uświadomił sobie, że brak opanowania nie licuje zjego godnością. Wzmożonym wysiłkiem woli narzucił sobie spokój i zapytał:

'~' - Szi So w niewoli? Czy wiecie na pewno?

- Z całą pewnością - odparł król nafty. - Nie tylko leżeliśmy opodal twego syna, ale nadto rozmawialiśmy z jego towarzyszami.

- Kto mu towarzyszył?

, - Młody jego przyjaciel, nijaki Wolf, kilka rodzin niemieckich,

które wywędrowały z ojczyzny, a następnie cały szereg znakomitych westmanów, o których chyba nie pomyślicie, że się łatwo dają wziąć do niewoli.

- Kto taki?

ls::.

- Old Shatterhand ...
- Uff,uff!
- Winnetou.
- Naczelny wódz Apaczów? Uff, uff, uff!
- Sam Hawkens, Dick Stone, Will Parker, Droll, Hobble Frank, słowem ludzie, których nie można zaliczyć do tchórzów.

Rozległy się wokoło okrzyki zdumienia i strachu. Wódz miał dzięki temu dosyć czasu na opanowanie powtórnie wzburzonych uczuć. Przeszedł przez szereg stojących dookoła Indian i pośpieszył do swego szałasu. Słychać było jego głos i głos jego białej żony; po chwili wyszli oboje. Squaw zwróciła się do trzech przybyszów:

356

- Czy być to może, czy to prawda? Mój syn w rękach wroga?
-'Ihk - potwierdził król naftowy.
- A więc trzeba go śpiesznie, jak najśpieszniej ratować! Opowie-dzcie, co wam wiadomo i gdzie są wrogowie!

Jako kobieta tym mniej mogła opanować podniecenie. Uchwyciła Grinleya za ramię i potrząsała nim, jak gdyby chcąc przyśpieszyć odpowiedź. Lecz Grinley odpowiedział spokojnie:

- 'Idk, przybyliśmy, aby wam donieść o zdarzeniu. Aliści wódz przyjął nas jako wrogów; dlatego wolimy zachować dla siebie to, co nam wiadomo.

- Psie! - huknął Wielki Piorun. - Nie chcesz mówić? Znajdę sposób na rozwiązanie wam języka!

Żona wodza położyła mu ręce na ramieniu i poprosiła:

- Bądź uprzejmy w stosunku do nich! Chcieli nas zawiadomić, a zatem nie zasługują na takie traktowanie.

- Ich twarze nie są twarzmi dobrych ludzi; nie ufam im - odparł posępnie.

Żona czerwonego nie przestała go mitygować, a i Wolf przyłączył się do jej próśb, ponieważ niepokoił się o bratanka. On także coraz mniej ufał trzem przybyszom w miarę, jak się przyglądał ich twarzom. Jednakże nic im nie mógł zarzucić, przeciwnie, mógł uratować bra-tanka dzięki ich informacjom. Miał więc powód do wstawienia się za nimi. Wódz, który chętnie obszedłby się z przybyszami surowo, nie mógł się przeciwstawić wspólnym prośbom żony i przyjaciela, aż wreszcie oświadczył:

- Będzie tak, jak sobie życzycie; biali mogą spokojnie się wypo-wiedzieć. A więc czekamy!

Słowa te były skierowane do Grinleya. Jeśli wodz przypuszczał, że król naftowy natychmiast usłucha, mylił się bardzo. Biały odpowie-dział:

- Zanim spełnię twoją prośbę, muszę się upewnić, czy wy spełnicie naszą. 357
- Jaką to?
- Nie mamy broni. Czy dacie nam jakąś, jeśli wyświadczymy wam usługę, której od nas żądacie?

-'Pdk.
- Każdemu po strzelbie i nożu, pewną ilość prochu, ołowiu i zapasie mięsa, gdyż nie wiemy, kiedy nam się nadarzy zwierzyna.

- Zaopatrzymy was w mięsiwo, chociaż, póki jesteście u nas, nie doznacie głodu.

- Jesteśmy o tym najzupełniej przeświadczeni, ale niestety, nie możemy dłużej u was zostać.

- Kiedy zamierzacie wyruszyć?
- Po zdaniu wam relacji.

- Nie może to być. Musicie u nas pozostać, póki nie przekonamy się, że przywieźliście wiadomości zgodne z prawdą.

- Ubliża nam twoja nieufność! Istnieją dwie możliwości: albo jesteśmy waszymi przyjaciółmi, albo waszymi wrogami. W pierwszym wypadku nie zamierzalibyśmy was chyba okłamywać, a w drugim, nie odważylibyśmy się przybyć do waszego obozu.

Wódz zamierzał odpowiedzieć, ale żona prosiła go usilnie:

- Wierz im, wierz im; czas upływa i możemy się spóźnić z pomocą!

Skoro i Wolf poparł jej prośbę, Wielki Piorun rzekł:

- Wicher prze w obranym kierunku, aliści, kiedy go wstrzymują wysokie góry, musi obrać inną drogę. Wichrem jest wola moja, a wy jesteście górami. Stanie się zadość waszym życzeniom.

- A więc będziemy mogli odjechać, kiedy zechcemy? - zapytał król naftowy.

-'Pdk.
- Porozumieliśmy się zatem i wypalmy fajkę pokoju.

'Iiwarz wodza znowu się zasępiła.

- Nie wierzycie? - zapytał. - Uważacie mnie za kłamcę?

- Nie. Ale w stanie wojennym nikt nie ma obowiązku dotrzymy-wać obietnicy, której nie przypieczętował dym kalumetu. Możecie

358 spokojnie wypalić fajkę pokoju, albowiem mamy uczciwe zamiary. Mówimy prawdę i możemy dowieś~, jeśli sobie życzycie.

- Dowieść? Jak?

- Wysłuchawszy relacji, przekonacie się, że każde nasze słowo jest świętą prawdą. Poza tym mogę wam pokazać papier, którego treść potwierdzi wszystko.

-Papier? Nie chcę nic wiedzieć o żadnym papierze; nieraz zawiera więcej kłamstwa, aniżeli mogą pomieścić usta ludzkie. Zresztą, nie uczyłem się znaków pisarskich, które stawiacie na papierze.

- Ale mister Wolf umie czytać; powie ci, że jesteśmy szczerzy i prawdomówni. Czy godzisz się więc wypalić z nami fajkę pokoju?

-'Idk-odpowiedział wódz, przejąwszy błagalne spojrzenie żony.
- Za siebie i wszystkich swoich?
-'I~k, za siebie i wszystkich moich.
- A więc weź kalumet! Nie możemy tracić ani chwili.

Fajka wisiała na szyi wodza. Zdjął ją, napełnił kunsztownie rzeźbioną główkę tytoniem i zapalił. Po wykonaniu przepisanych sześciu pociągnięć, oddał kalumet królowi nafty; ten z kolei przekazał fajkę Buttlerowi. Ostatni pociągnął Poller. Ceremoniał był ukoficzo-ny. Król naftowy czuł się teraz pewnie. Nie zwrócił na to uwagi, że Wolf nie otrzymał kalumetu, że zatem nie był związany układem.

Fatalny dokument

'Tl;raz wszyscy usiedli na ziemi i Grinley rozpoczął sprawozdanie. Opowiedział o źródle nafty, nie wymieniając jednak nazwy miejsco-wości, o bankierze i o jego podróży w góry. Oczywiście, wypaczał fakty. Opowiedział, że już na Rancho Fornera zetknął się nie tylko z But-tlerem, Pollerem i osadnikami, lecz również z Old Shatterhandem, Winnetou i pozostałymi myśliwymi. Następnie wszyscy razem dostali się w ręce Nijorów. Zastali tu już schwytanych poprzednio zwiadow-ców Nawajów i dowiedzieli się od nich, że Mokaszi zastrzelił Khasti Tine.

Nawajowie przysłuchiwali się w milczeniu, aczkowiek nie trudno się domyślić, że i wódz, i jego żona byli wewnętrznie bardzo zanie-pokojeni; przecież śmierć groziła ich synowi. Również Wolf wbijał zaniepokojone spojrzenie w usta mówiącego. Kiedy bezczelnie zmy-ślający król naftowy zrobił pauzę, aby zaczerpnąć tchu, wódz wtrącił pytanie:

- Jakże wam się udało umknąć?
- Dzięki małemu scyzorykowi, którego Nijorowie nie zauważyli.

Wprawdzie ręce mieliśmy spętane, ale jeden z moich towarzyszy zdołał sięgnąć do kieszeni, wyjąć nożyk i otworzyć. Skoro tylko prze-ciął mi więzy, uwolniłem przyjaciół.

Wielki Piorun przez chwilę spoglądał w ziemię; następnie szybko

360
Fatalny dokument

'I~raz wszyscy usiedli na ziemi i Grinley rozpoczął sprawozdanie. Opowiedział o źródle nafty, nie wymieniając jednak nazwy miejsco-wości, o bankierze i o jego podróżyw góry. Oczywiście, wypaczał fakty. Opowiedział, że już na Rancho Fornera zetknął się nie tylko z But-tlerem, Pollerem i osadnikami, lecz również z Old Shatterhandem, Winnetou i pozostałymi myśliwymi. Następnie wszyscy razem dostali się w ręce Nijorów. Zastali tu już schwytanych poprzednio zwiadow-ców Nawajów i dowiedzieli się od nich, że Mokaszi zastrzelił Khasti Tine.

Nawajowie przysłuchiwali się w milczeniu, aczkowiek nie trudno się domyślić, że i wódz, i jego żona byli wewnętrznie bardzo zanie-pokojeni; przecież śmierć groziła ich synowi. Również Wolf wbijał zaniepokojone spojrzenie w usta mówiącego. Kiedy bezczelnie zmy-ślający król naftowy zrobił pauzę, aby zaczerpnąć tchu, wódz wtrącił pytanie:

- Jakże wam się udało umknąć?
- Dzięki małemu scyzorykowi, którego Nijorowie nie zauważyli.

Wprawdzie ręce mieliśmy spętane, ale jeden z moich towarzyszy zdołał sięgnąć do kieszeni, wyjąć nożyk i otworzyć. Skoro tylko prze-ciął mi więzy, uwolniłem przyjaciół.

Wielki Piorun przez chwilę spoglądał w ziemię; następnie szybko 360 podniósł głowę i zapytał:

- A potem?

- Potem skoczyliśmy i pomknęliśmy do koni, dopadliśmy trzech pierwszych lepszych i puściliśmy je w cwał.

- Czy ścigano was?
-'I~k, ale nie dogoniono.
- Dlaczego nie uwolniliście pozostałych?

Było to kłopotliwe pytanie. Wódz wbił wzrok w króla naftowego.

Grinley, uświadamiając sobie, że musi zachować spokój, odparł:

- Ponieważ ~ie ~nieliśmy czasu. Jeden ze strażników dostrzegł nasze ruchy; podszedł do nas; oczywiście, nic innego nam nie pozo-stało, jak czmychnąć.

Pewny, że ta odpowiedź zadowoliła wodza, nie domyślił się pułapki, skoro wódz zapytał:

- Czy rnasz scyzoryk?
-'Iak.
- Leżeliście obok innych jeficów?
-'Pdk.

Chętnie zaprzeczyłby, lecz nie mógł zmieniać swoich poprzednich twierdzefi. Domyślił się po niewczasie podstępu Wielkiego Pioruna, który huknął teraz, rzucając groźne błyski z oczu:

- Gdybym nie wypalił z wami fajki pokoju, wziąłbym was w dyby!
- Czemu? - zapytał struchlały Grinley.
- Ponieważ jesteście albo kłamcami, albo tchórzliwymi łotrami.

- Ubliżasz nam!
- Milcz! Albo nas teraz okłamujesz, albo opuściliście w potrzebie towarzyszy niedoli, jak ostatni szubrawcy!

- Nie mogliśmy ich uratować!
-Ajednak! Mogliście przynajmniej wręczyć scyzoryk sąsiadowi.
- Nie starczyło nam czasu.
- Nie kłam! Jeśli nawet to prawda, powinniście byli zwieść wro-gów. Podczas gdy was ścigali, mogliście wrócić skrycie i odbić jeficów.

361

- Tb ponad nasze siły! Mogło nas ścigać dwudziestu, czy trzydzies-tu, a zatem zostałoby dwustu siedemdziesięciu.

Pożałował nieprzezornych słów, ledwie je wypowiedział. Okazało się istotnie, ze palnął wielkiego, niewybaczalnego byka. Wódz zapy-tał:

- Było ich więc trzystu?
-'Pdk.
- Widzisz, że nas jest o wiele więcej, a jednak poprzednio powie-działeś, że mają nad nami przewagę liczebną. Masz dwa języki, strzeż się!

- Nie zliczyłem was dokładnie... - usprawiedliwiał się Grinley.
- A więc otwórz oczy! Jeśli w nocy umiesz porachować Nijorów, to chyba za dnia łatwiej określisz ilość moich wojowników. Na którym wybrzeżu obozowali Nijorowie?

- Na prawym.
- Kiedy zamierzali wyruszyć?
- Dopiero za kilka dni - skłamał król nafty. - Oczekują posił-ków.

- Opisz nam dokładnie miejsce!
Grinley opisał, jak mógł. po czym dodał:

- 'Il;raz już wszystko opowiedziałem, co opowiedzieć mogłem i mam nadzieję, że dotrzymasz słowa. Dajcie nam broń i pozwólcie odjechać!

Wielki Piorun z namysłem kiwał głową i odezwał się dopiero po chwili:

- Jestem Nitsas Ini, naczelny wódz Nawajów i dotychczas nigdy jeszcze nie złamałem słowa. Ale czyście dowiedli, że wasza opowieść jest prawdziwa?

- A więc dam wam dowód nieodparty, który rozproszy waszą nieufność!

Nie zauważył, czy nie zwrócił uwagi na ostrzegawcze spojrzenia, 362 które rzucili mu Buttler i Poller. Sięgnął do kieszeni i wyjął, otrzyma-ny od bankiera, przekaz na San Francisco. Podając go Wolfowi, rzekł:

- Oto, obejrzyj pan ten papier wartościowy! 'Pdką sumę, zwłasz-cza w tutejszych warunkach, zawierza się jedynie ludziom wypróbo-wanej uczciwości. Czy nie sądzi pan?

Wolf przejrzał badawczo dokument i odczytał wodzowi. 'I~n spo-glądał przez parę chwil na ziemię, a następnie rzekł:

- A więc nazywasz się Grinley?
-'Idk.
- Jakże się nazywają twoi dwaj towarzysze?
-'I~n nazywa się Buttler, a ten drugi, Poller.
Wolf chciał zwrócić przekaz królowi naftowemu, lecz wódz wyjął mu dokument z ręki, złożył, wcisnął za pas i zapytał spokojnie, jak gdyby nic się nie stało:

- Gdzie leży źródło, które sprzedałeś?

- Nad Gloomywater.
- Nieprawda, tam nie ma ani kropli nafty.
- A jednak!
- Nie przecz! Nie ma tam miejsca, wielkości mojej dłoni, którego stopa moja by nie znała. Nie ma tam śladu nafty. Jesteś oszustem!

- Do piorunów! - krzyknął Grinley. - Czy mam...
- Milcze~! - krzyknął wódz. - Od razu po was poznałem, że nie jesteście uczciwymi ludźmi, i tylko z musu wypaliłem kalumet.

- A więc szukasz wybiegu, aby złamać słowo?
Wielki Piorun uczynił dumny gest i odpowiedział z lekceważącym uśmiechem na wargach:

- Dla takich ludzi, jak wy, nikt mi nie zarzuci, że złamałem słowo.
- Więc wydajcie nam broń, amunicję, mięso i pozwólcie odje-chać! A zwróć też mój papier! Czemu go schowałeś?

- Zwrócę nie tobie, ale temu, od kogo ten papier wyłudziłeś.
Oszukałeś na tę sumę białego, któremu sprzedałeś nie istniejące źródło nafty! Wolf będzie wiedział, co z tym zrobić.

363

Wyciągnął papier zza pasa i mrugnąwszy znacząco, wręczył Wol-fowi, który natychmiast schował go do kieszeni.

- Stój! - zawołał Grinley, wściekle błyskając oczami. - 'I~n papier do mnie należy!

-'Pdk - odpowiedział z uśmiechem Wolf.
- A zatem, zwróć pan!
- Nie - odpowiedział Wolf z tym samym uśmiechem.
- Czemu nie? Chce się pan dopuścić kradzieży?
- Nie. Proszę powściągać swój język!
- Więc zwróć mi pan przekaz!
- Nie.
- Dlaczego zatrzymuje pan przekaz, który jest moją własnością?
- Ponieważ opowiadanie pana w wielu miejscach wydaje się nam podejrzane i ponieważ chcesz tak szybko odjechać. Ludzie, którzy przebyli niewolę i wydarli się z objęć śmierci, potrzebują spokoju i odpoczynku. Moglibyście odpocząć u nas; wami jednak diabeł poga-nia. Kto inny na waszym miejscu przyłączyłby się do wyprawy prze-ciwko Nijorom, aby się na nich zemścić. Wy zaś chcecie nas opuścić czym prędzej, jak gdybyście się lękali pościgu, nawet tutaj, w obozie.

- Co myślimy i pragniemy, nie pana to sprawa, - odezwał się Grinley. - Wypaliłem z wodzem i za jego pośrednictwem z wszystki-mi jego ludźmi fajkę pokoju; winien zatem spełnić przyrzeczenie i nie może nam nic odbierać.

- Słusznie, sir! Wielki Piorun na pewno wywiąże się ze słowa.
- A więc zwróć pan papier!
- Ja? Ani mi się śni! Nie chcę go ukraść, tylko przechować.
- Do diabła! Dla kogo?
- Dla tych, którzy przybędą po panu.
Ponieważ Grinley już tracił równowagę, więc osadził go rozkazu-jącym okrzykiem:

- Stul gębę! Nie myśl, że mnie zdołasz zahukać! Jeśli jesteście uczciwymi ludźmi, możecie u nas spokojnie zabawić. Nic nie stracicie,

364 jeśli o trzy, czy cztery dni później odbierzecie pieniądze. W pierwszej chwili, mimo waszych podejrzanych min, uważałem was za gentlema-nów; ale przejrzałem fałsz po wysłuchaniu waszej opowieści.

- Mówiliśmy szczerą prawdę!

- Bzdury! Powiada pan, że Old Shatterhand i Winnetou, Sam Hawkens i inni wraz z panem dostali się do niewoli? I tylko wy um-knęliście? ‘Ib bardzo podejrzane! Wymieniliście osobistości, które o wiele łatwiej niż wy, mogły się uwolnić. Może to wy wydaliście ich w ręce Nijorów. Zresztą, niech będzie i tak; Winnetou i Old Shatter-hand to ludzie, którzy sami pomyślą o sobie. Dla mnie rzeczą obecnie najważniejszą jest czek. Odbijemy jeficów, a zatem spotkamy się z nimi; albo też sami się wyzwolą, a w takim razie przybędą za wami. W tym ostatnim wypadku również zetkniemy się z nimi, a więc, oczywi-ście i z bankierem Rollinsem. Pokażemy mu czek. Jeśli sprawa pana jest rzetelna, może pan spokojnie u nas zostać. Lecz jeśli jesteście oszustami, toście daremnie się fatygowali.

Król naftowy zerwał się na równe nogi i krzyknął:

- ‘Pdk chcecie postąpić? ‘Pdk do mnie przemawiacie? A więc nic j uż nie mam do powiedzenia. Cóż to was obchodzi, ze się śpieszę! Czy muszę wam wyłuszczać swoje powody? Powtarzam: wypaliliśmy fajkę, zatem nie wolno mnie zatrzymywać!

-‘R~ też nikt was nie zatrzymuje - odparł Wolf.
- I muszę dostać, co mi przyrzeczono!
- Broni, prochu, ołowiu i mięsa? ‘Pdk, dostaniesz to wszystko.
- I odzyskam papier! Tb moja własność!
- Jeśli się nią okaże, dostaniesz go pan z powrotem.
- Nie, teraz, natychmiast! Nic nam nie możecie odbierać, gdyż wódz za siebie i swoich wypalił z nami kalumet.

- Słusznie. Ależ, czy pan uważa mnie za Indianina, za Nawaja?
Czy ja paliłem z wami kalumet?

Grinley wybałuszył oczy i nie mógł znaleźć odpowiedzi.

-‘Pdk, tak - skinął Wolf z uśmiechem. - Na ogół może pan jest
365 starym szpakiem, dzisiaj jednak okazałeś się dudkiem. Nie biega się tutaj po Dzikim Zachodzie z setką tysięcy w kieszeni, a jeśli się biega, to trzeba pieniądze skrzętnie schować i nie pokazywać nikomu. Nic więcej nie mam do powiedzenia!

Podniósł się i chciał odejść. Lecz Grinley chwycił go za ramię i huknął:

- Oddaj papier, bo cię zaduszę!
Silnym ruchem Wolf odtrącił natręta, wyjął rewolwer, wycelował i odpowiedział groźnie:

- Nie waż się zbliżyć, choćby o jeden krok, bo wpędzę ci kulę do czaszki! Zostaficie u nas, lub odjedźcie, wszystko mi jedno; ale papie-ru nie wydam; dopóki nie uwolnię bratanka i nie rozmówię się z bankierem. Na teraz dosyć!

Odszedł. Król nafty musiał się temu przyglądać z bezsilną wście-kłością. Zwrócił się do wodza, który jednakże wysłuchał go z uśmie-chem i odpowiedział spokojnie:

- Wolf jest człowiekiem wolnym; może czynić, co mu się podoba.
Jeśli zostaniesz u nas, odzyskasz papier.

- Lecz ja muszę odjechać!
- W takim razie bankier ci go prześle. Przyniosłeś nam wiado-mość, za którą ci daję brofi, amunicję i mięso, aczkolwiek na pewno jest fałszywa. Nie żądaj więcej! Czy chcesz u nas zostać?

- Nie.
- A więc dostaniesz, czego żądałeś w umowie. Następnie będziecie mogli nas opuścić.

Odszedł, aby wydać odnośne zarządzenia. Wojownicy stronili od trzech białych, jak gołębie, które cofają się przed krukami. Oszuści zostali sami. Nikt ich nie podsłuchiwał; mogli sobie zatem pofolgo-wać.

- Zatracony drań z tego Wolfa! -zgrzytnął Grinley. -Naprawdę nie wyda nam papieru.

- Pomyślałem sobie od razu, skoro tylko wyciągnąłeś czek, -
366 odparł Buttler. - Okazałeś się największym chyba osłem, jakiego ziemia nosi.

- Milcz, barania głowo! Nie miałem innej rady. Nie chcieli mi wierzyć, a więc musiałem dać dowód.

- Dowód! Wyłudzonym przekazem! Widzisz teraz, jak ślicznie wyszedłeś na tym dowodzie.

- Czy mogłem przewidzieć?
- Ale ja przewidziałem! Gdzież zapłata za wszystkie trudy, które zadaliśmy sobie, za wszystkie niebezpieczefistwa, które przeszliśmy? Jedna chwila pozbawiła nas owocu długich prac i starań! Buttler i Poller prześcigali się w wyrzutach. Grinley nakazał im milczenie i oświadczył:

- Byłem może nieprzezorny, ale nie wszystko jeszcze stracone.
Odzyskamy przekaz.

- Od Wolfa? - zapytał Buttler z uśmiechem powątpiewania.
-'Iak.
- Czy chcesz tu zostać i czekać, aż przybędą Nijorowie, a może nawet Old Shatterhand i Winnetou?

- Ani mi to w głowie nie postało! Odjedziemy.
- W takim razie stracimy papier!
- Nie. Powiadam, że odjedziemy, ale dopiero wtedy, kiedy zmusi-my Wolfa do wydania nam naszej własności. Pomyśl, że dostaniemy brofi!

- Chcesz z nim walczyć?
-'Pdk, jeśli nas do tego zmusi.
- A czerwonoskórzy? Jak oni się zachowają?
- Nie będą się w to wdawać. Wypaliliśmy fajkę pokoju i, pbki nie opuścimy obozu, nie mogą wziąć łotra w obronę. Oświadczył przecież, że do ich szczepu nie należy. Inaczej rzecz by się miała, gdybyśmy opuścili obóz, a następnie wrócili; wówczas rozwiałby się dym kalu-metu. Patrzcie, oto przynoszą nam mięso! Zaraz dostarczą strzelby i noże, a potem odszukam Wolfa. Pomóiecie mi chyba?

367

- Naturalnie! Kiedy chodzi o taką sumę, możesz na nas liczyć.
Spróbujmy! Jeśli sprawa weźmie niebezpieczny dla nas obrót, zawsze będziemy mogli cofnąć się przed walką. Spójrzcie, kilku czerwono-skórych dosiada koni. Dokąd chcą jechać?

- C6ż to nas obchodzi?
Grinley mylił się. Wódz zbliżył się z Indianinem, obładowanym długimi, cienkimi porcjami suszonego mięsa.

- Kiedy biali zechcą nas opuścić? - zapytał.
- Skoro dostaniemy, co nam przyrzeczono.
- I dokąd skierują kroki swych koni?
- Do Ku Rio Nawajo. Jedziemy do Kolorado.
- A więc możecie natychmiast wyruszyć. Oto mięso.
- A broń i proch?
- Dostaniecie. Czy widzicie jeźdźców?
- Tak.
- Mają przy sobie trzy strzelby, trzy noże, proch i ołów dla was.
Będą wam towarzyszyć przez godzinę; następnie wręczą wam te rzeczy i wrócą do nas.

'I3rzej oszuści obejrzeli się rozczarowani. Wódz udawał, że nie spostrzegł wrażenia, jakie słowa jego wywarły na białych.

- Dlaczego nie otrzymamy broni natychmiast? - zapytał Buttler.
;
Uśmiech szczególny drgnął na twarzy Wielkiego Pioruna.

- Słyszałem, - odrzekł - że białe twarze mają zwyczaj odprowa-dzać gości, których honorują. Pragnę uczcić waszą godność.

- Dziękujemy. Przecież broń możemy sami nosić!
- Czemu mielibyście się trudzić? Niepotrzebna wam chwilowo.

Spójrzcie, moi ludzie wyruszają! Zwykli jechać szybko. Starajcie się ich dogonić, inaczej bowiem przed wami przybędą do miejsca, gdzie mają wam broń wręczyć. Skoro zaś nie zastaną was, wrócą, nie speł-niwszy powinności.

Pożegnał ich ruchem ręki i odwrócił się, promieniejąc z zadowo lenia. Dotrzymał słowa i zarazem zniweczył plan białych.

368

- Szczwany lis ten czerwonoskóry! - zawołał Grinley. - Przej-rzał nasz zamiar.

-'Ihk - potwierdził Buttler. -'I~raz nie ma żadnej nadziei.
- Pshaw!
- Czy sądzisz, że można będzie sobie coś jeszcze powetować?

- T'ak. Poczekamy aż sześciu odprowadzających nas Indian wróci do obozu, a następnie pojedziemy za nimi.

- I napadniemy na Wolfa?
-'Pdk.

- Obłędny pomysł! Czerwoni pośpieszą mu z pomocą. Sam powie-działeś, że skoro opuścimy obóz, kalumet straci swą moc obowiązu-lą~~

-'Pdk. Byłoby głupotą, gdybyśmy chcieli na niego napaść otwarcie.
- A więc po kryjomu?

- 'Idk. Możecie chyba sobie wyobrazić, że już wkrótce wyruszą, aby uwolnić domniemanych jeficów. Wiemy, że pojadą wzdłuż prawe-go brzegu. Podążymy ich śladem aż do miejsca, gdzie na noc rozbiją obóz. Wówczas podkradniemy się i byłbym bardzo zdziwiony, gdyby nie nadarzyła się wnet sposobność zdybania tego Wolfa.

- Słusznie. 'Ihn plan przywraca mi humor!

Dosiedli koni i odjechali bez pożegnania. Zdawało się, że nikt na nich nie zwraca uwagi, ale tylko się tak zdawało. W rzeczywistości oczy wszystkich wojowników śledziły ich ukradkiem.

Skoro król naftowy i obaj jego towarzysze zniknęli za zakrętem rzeki, Wolf znowu się ukazał. Cofnął się był za grupę drzew. Teraz skierował się do namiotu wodza, gdzie Wielki Piorun zwołał na naradę najwybitniejszych wojowników. Biała squaw, zaniepokojona losem syna, nagliła męża do pośpiechu. Uspakajał ją zapewnieniem, że Szi So znajduje się w towarzystwie silnych, mężnych i doświadczo-nych wojowników.

- A przy tym - dodał Wolf - pale dla jeńców struga się dopiero po wal~e, po powrocie do wiosek; wojna wszakże jeszcze się nie

369 zaczęła; dlatego nie powinniście się niepokoić o syna, podobnie jak ja nie rozpaczam z powodu bratanka. Przede wszystkim, trzeba po-myśleć o najbliższych zarządzeniach. Należy postawić wartownika nad rzeką.

- Po co? - zapytał wódz.

- Jeśli słusznie przypuszczam, trzej biali po otrzymaniu broni wrócą tu i pojadą w ślad za nami. Nie rezygnuje się bowiem z tak wielkiej sumy bez prób jej odzyskania.

- Sądzisz, że zechcą wydrzeć ci papier? - zapytał wódz.
-'1'dk.

- Niechaj przyjdą! Opuścili nasz obóz, a zatem dym kalumetu nie może ich ochronić. Poczują smak naszych kul.

- O ile ich zobaczymy, tak. Ale nie zajdą nam drogi. Raczej będą skrycie tropić, żeby napaść na mnie. l~Iuszę przeto wiedzieć, czy w ogóle wrócą. Dlatego proszę cię, abyś postawił nad rzeką jeźdźca.

- Dlaczego jeźdźca?
- Ponieważ niebawem stąd wyruszymy, a bez konia nie prędko nas
,
dogoni.

~..~:.,; Wódz poszedł za tą radą. Następnie omówiono szczegóły przyśpie-szonej wyprawy wojennej przeciwko Nijorom. ź ," Właściwie nie było wiele do mówienia. Wprawdzie należało przy-puściE, że Grinley, Buttler i Poller skłamali we wszystkim, co się odnosiło do nich samych, do ich zamiarów i czynów, ale nie można było wątpić, że umknęli z niewoli, gdyż świadczył o tym stan w jakim przybyli do obozu. Należało też sądzić, że zwiadowcy Nawajów, Old Shatterhand, Winnetou i towarzysze wpadli w rzeczy samej w ręce Nijorów, poza tym Nijorowie wysłali zwiadowców, a ci napewno wypatrzyli obóz Nawajów, skoro kontrwywiady skoficzyły się porażką. Nijorowie więc na pewno postanowili przejść do ataku, zwłaszcza umocniła ich w tym zamiarze ucieczka trzech białych. Zrozumieli bowiem, że zbiegowie odszukają Nawajów, aby ich zawiadomić o ńiepowodzeniu zwiadowców i że poszukają u nich opieki. Jedynie 370 szybką napaścią można było temu zapobiec, a zatem Nijorowie na pewno wyruszyli już przeciwko Nawajom. Słowem, dla Nawajów nie pozostało nic innego, jak uprzedzić atak. Dlatego zaczęli się przygo-towywać do wymarszu, który nastąpił w chwili, gdy wróciło sześciu jeźdźców po rozstaniu się z trójką białych. Wódz dowiedział się od nich, że biali, po otrzymaniu broni, amunicji, spokojnie odjechali, nie zdradzając się z zamiarem powrotu. Mimo to pozostawiono nad rzeką wojownika, zleciwszy, aby, jeśli ujrzy białych, przepuścił ich, przez jakiś czas czekał, a następnie drogą okrężną dogonił swój oddział. Oddział pojechał, oczywiście, wzdłuż prawego wybrzeża, ponieważ uwierzono informacji Grinleya. Kiedy dzień miał się już ku zmierz-chowi, przybył zwiadowca i zameldował, że trzej biali istotnie zawró-cili i że jadą śladem oddziału. Skoro wiedziano o ich powrocie i odpowiednio się zabezpieczono, dla nikogo nie byli groźni. Nawajowie jechali przez cały wieczór i zatrzymali się dopiero koło północy, gdyż, jak przypuszczano w każdej chwili można się było spodziewać spotkania z Nijorami. Rozbili obóz, lecz przez ostrożność nie rozniecili ognisk.

Księżyc świecił nad drzewami i uśmiechał się do swojej podobizny, która błyszczała na wąskiej w tym miejscu, lecz dosyć głębokiej toni rzeki. Panowała dookoła głucha cisza; tylko chwilami rozlegało się parskanie konia, lub machnięcie ogona odpędzającego muchy, które unosiły się tutaj chmarami. Żadnego dźwięku poza tym. Czy napra-wdę żadnego? O.nie, naraz rozbrzmiało z przeciwne go wybrzeża:

- Fitifitifitifiti, fititi, fititi, fititi, fititi, fitifitifi ti, fititi, fititi, ti!

Indianie zerwali się za snu i nadsłuchiwali zdumieni. Czy to był głos ludzki, czy głos instrumentu? Wódz podszedł do żony i zapytał:

- Czy słyszałaś? Jeszcze nigdy podobny dźwięk nie przeszył mego ucha, Cóż to mogło być?

- Ktoś naśladował skrzypce i śpiewał walca - odpowiedziała.
- Skrzypce? Walca? C6ż to jest? Nie pojmuję.

Chciała mu wyjaśnić, gdy znowu rozległo się:

- Clililililililili, lilili, lilili Clililililililili, lilili, lili li, lilili, li!
- Tym razem co innego! - szepnął wódz.
- Naśladowanie dźwięków klarnetu.
- HIarnetu? Nie znam. Sądzę, że tam...

-‘Ii~eereeree tee, tee, tee, treereeree tee, tee,tee!
- Tb trąba! - objaśniła squaw, też nie wiedząc, co o tym myśleć.
Zanim wódz zdążył odpowiedzieć, rozbrzmiało znów:

- Czyng, czyng, czyng, czyngbumbum, czyngbumbum, czyng, czyng, czyng, czyngbumbum, czyngbumbum bum!

- ‘Ib był wielki bęben z talerzami - rzekła squaw z coraz to wzrastającym zdumieniem.

- ‘Ii~ąba, bębęn z talerzami? - zapytał Wielki Piorun. - Nie pojmuję tych słów! Czy jakiś zły duch przebywa na tamtem wybrzeźu?

- Nie to nie duch, lecz człowiek. Naśladuje dźwięki rozmaitych instrumentów muzycznych.

- Ale to przecież nie jest muzyka czerwonych!
- Nie, białych.
- A więc biały?
- By~ może.
- Wszakże biali są w niewoli! Wyślę kilku zwiadowców na obej-rzenie tej dziwnej istoty.

W chwilę później czterej Nawojowie przeprawili się wpław przez rzekę, wylądowali na przeciwległym brzegu i zaczęli skradać się do źródła dziwnych dźwięków. Wnet potem rozległ się przygłuszony krzyk, a po chwili przypłynęli z powrotem Indianie, unosząc nad powierzchnią wody ludzkie ciało. Kiedy postawili je na nogach, jeden z nich zameldował:

- Dźwięki pochodziły od tej białej twarzy. Oparty o drzewo, bębnił palcąmi po brzuchu.

Wielki Piorun podszedł do cutiacznego gościa i zapytał:

- Co tu robisz po nocy? Kim jesteś i gdzie są twoi towarzysze?
Mówił na pół po angielsku, na pół po indiafisku. Zagadnięty nie 372 zrozumiał, domyślił się jednak, czego od niego żądają, i odrzekł po niemiecku:

- Dobry wieczór moi panowie! Jestem pan kantor emeritus Ma-teusz Auireliusz Hampel z Klotzsche pod Dreznem. Czemu zakłóci-liście moje studia? Naprawdę, przemokłem do nitki! Czerwoni nie rozumieli ani w ząb; ale można sobie wyobrazić ra-dość białej squaw, gdy usłyszała dźwięki ojczystej mowy. Podeszła szybko do emeritusa i zawołała:

- Mówi pan po niemiecku? Jest pan kantorem z okolic Drezna?
Jakże, na miłość Boską, dostał się pan tutaj, nad Chelly? Teraz z kolei zdumienie udzieliło się panu kantorowi. Cofnął się o kilka króków i zawołał, klaszcząc w dłonie:

- Dźwięki mojej mowy ojczystej w tych ustach! Indianka, praw dziwa Indianka, mówiąca po niemiecku!

- Myli się pan; jestem wprawdzie żoną Indianina, wodza Nawa-jów, ale rodowitą Niemką.

- I pani poślubiła Indianina? Jak się nazywa pani małżonek?
- Nitsas Ini, Wielki Piorun.
- Wielki Piorun? Do niego właśnie spieszymy!
- Istotnie? Powiada pan „my”; a zatem nie jest pan sam?
- Boże uchowaj! Jest nas cała kompania dzielnych westmanów, jak Winnetou, Old Shatterhand, Sam...

- Czy mogę wiedzieć, gdzie się obecnie znajdują pana towarzy sze?

- Pojechali za Nijorami.
- Ci chcą na nas napaść.
- T~k. Non dubito, że to samo słyszałem.
- Dostarcza nam pan niezmiernie ważnych wiadomości. Wyruszy-liśmy bowiem naprzeciw Nijorów, aby uprzedzić atak.

- Jak to? Naprzeciw? Sądzę, że jesteście na fałszywej drodze, czcigodna pani naczelniczko?

- Dlaczego?

373

- Ponieważ Nijorówie jadą lewym brzegiem.
- Nie prawym? Czy wie pan na pewno? Jeśli się pan myli, możesz nas narazić na wielkie niebezpieczeństwo.

- Impossibile. Jeśli my, amatores artium wiemy coś, to wiemy doskonale i bezbłędnie. Nas samych napadli Nijorowie.

- Wiem o tym. Tizej zdołali się salwować.
- 'I~zej? Zapewne ma pani na myśli Buttlera, Pollera i króla naftowego. Niestety, ci nam zbiegli.

- Zbiegli? Wam?
-'Pak. A może ich widzieliście?
- Nawet rozmawialiśmy z nimi.
- Pocieszam się, że mieliście się na baczności!
- Dlaczego?
- Ponieważ wyglądają na ludzi, którym niebezpiecznie zaufać. Tb szelmy, tak, szelmy, co się zowie. Udało im się nawet mnie oszukać, mnie faworyta muz. 'Ib przecież wiele znaczy, bardzo wiele! Opowiem pani, naczelniczko.

- Wysłucham pana później. Chwilowo chcę wiedzieć, gdzie są Old Shatterhand i Winnetou.

- Nie wiem.
- Nie? Z poprzednich pana słów można było wnosić, że pan wie!
- Może. Ale, primo, nie zajmuję się takimi drobiazgami, ponie waż opera heroiczna całkowicie zaprząta moje myśli, a, secundo, towarzysze nie dbają tak o mnie, jak pani przypuszcza. Jestem pani wdzięczny za jej uprzejmość. Niech mnie pani jednak nie nagabuje o takie res profanas, albowiem pochłaniają mnie idee wznioślejsze.

- Kiedy się pan z Shatterhandem rozstał?
- Przed południem jeszcze. Zabrali ze sobą jedynie Szi So.
- Szi So? Co? Mego syna?
- Pani syn? Jak to? On jest synem pani?
-'Pak. Nie wiedział pan?
- Nie. Wiedziałem tylko, że jest synem Nitsas Ini, ale, że jest pani
374 synem, o tym do obecnej chwili nie miałem pojęcia.

- Wszak powiedziałam panu, że jestem żoną wodza!
- Słusznie; ale wie pani, że miłośnik sztuki nie tak łatwo może się wczuć w stosunki rodzinne tam, gdzie matka jest biała, a ojciec miedzianego koloru. Rozważę to sobie jednak in spiritu, i possibile est, że udzielę pani miejsca w mojej operze, jako czemvonej matce boha-terce, czerwonej, ponieważ białą znalazłem już w postaci pani Rozalii Ebersbach.

Kantor wydał się jej dziwakiem. Potrząsnęla lekko głową i zapytała:

- Co pan właściwie porabiał tam, na przeciwległym brzegu?
- Komponowałem marsz bohaterów do mojej opery.
- Ale tak głośno!
- 'Iśik być musi; inaczej nie uchodzi. Muszę wszak słyszeć, jak brzmią instrumenty.

- Mógłbyś to pan łatwo przypłaci~ skalpem! Gdyby w pobliżu nadażyli się wrogowie?

- Sam Hawkens zapewnił mnie, że wrogów nie ma. Dlatego odzyskałem swobodę, która też pozwoliła mi się oddalić. Uszedłem taki dystans, że nie mogli mnie słyszeć i wypróbowywałem poszcze-gólne głosy orkiestry. Niestety, przerwano mi pracę, złapano z tyłu, ściśnięto za gardło i zaciągnięto do was. Ufam, ie przeprawicie mnie z powrotem.

- Stanowczo. Czy daleko do waszego obozu?
- No, dobry kwadrans trzeba iść.

i

- Doskonale! Pomówię teraz z mężem.

Z pomocą Wolfa, przetłumaczyła Indianom słowa kantora. Posta-nowiono w następstwie wysłać Wolfa wraz z dwoma Indianami do obozu białych.

Byli to wyśmienici pływacy. Sprawnie i szybko przeprawiali się na drugą stronę i skierowali następnie na lewo, aby, idąc nad wodą, zbliżyć się do obozu. Nie uszli daleko, gdy usłyszeli odgłos kroków. Zaszyli się szybko w zagajnik. Dwaj nadchodzący rozmawiali ze sobą 375 półgłosem.

- Niepoprawny człowiek - rzekł jeden. - Na pewno nie usiedzi na miejscu. Skoro go znajdziemy, zawiesimy pomylefica na linie. Jak myślisz stary Drollu?

-'I~k - potwierdził drugi. - Osobliwa opera, którą chcę skom-ponować, jest, zdaje się, najtrzeźwiejszym pomysłem tego obłąkafica. Może nam kwaśnego piwa naważyć; zawiesić go trzeba, nie ma innej rady.

Wolf, usłyszawszy niemiecką mowę, zawołał poprzez zagajnik:

- Dobry wieczór, moi panowie. Cieszę się, że spotykam ziomków.

Zamiast odpowiedzi, zabrzmiały tylko kurki strzelb. Nie widział już niezajomych, znikli, jak gdyby pod ziemię się zapadli.

- Gdzie panowie jesteście? - zapytał Maisto. - Z waszego zachowania się i sprawności wnoszę, że mam do czynienia ze znako-mitymi westmanami. Zaniechajcie jednak tych manewrów. Słyszycie przecież, że ja sam mówię po niemiecku.

- Nie weźmie pan nas na plewy - brzmiała odpowiedź spoza krzewu. - Wśród Niemców też są łotry.

- Jestem stryjem Adolfa Wolfa, którego chyba znacie.
- Do piorunów, jak to dobrze, żeśmy się wzajemnie nie zastrzelili!

Nie piej pan jednak wciąż spoza zagajnika, lecz wyjdź do nas stary niemiecki Napoliumie!

- Chętnie; alejeszcze słówko. Tbwarzyszy mi dwóch Nawajów. Jak się do nich odniesiecie?

-'1'dk przyjaźnie, jak gdyby byli naszymi chrześniakami.
- Dobrze, więc chodźmy!

Wyszedł wraz z Indianami z ukrycia; obaj westmani wyłonili się jakby spod ziemi. Po krótkiej wymianie pozdrowiefi wszyscy razem pośpieszyli do obozu.

Zastali tylko kobiety i dzieci. Mężczyźni bowiem wyszli na poszu-kiwanie kantora.

- Jakże ich zawiadomimy? - zapytał Frank. - Nie możemy

376 naszych sprowadzić; nie wiemy, gdzie się rozeszli.

- Wystrzel pan w powietrze! - zawołał Wolf. - Od razu się zbiegną. Może pan strzelać bez skrupułów, gdyż, znając wasz i nasz obóz, wiem dobrze, że nie ma tu nigdzie wroga.

Frank wypalił i rzeczywiście wkrótce zbiegli się mężczyźni. Można sobie wyobrazić radość Adolfa, kiedy dowiedział się, że ma przed sobą stryja.

Nie było czasu na dłuższe rozmowy. Niebawem Wolf, któremu wy-mieniono nazwiska wszystkich uczestników wyprawy, rzekł do Rol-linsa:

- Jest pan bankierem z Arkansas. Czy to pan kupił źródło nafty?
-'Pdk, niestety, ale to nie była nafta.
- Od razu się domyśliłem. Okpili pana.
- I jak jeszcze! Tizej łotrzy uciekli. Mam jednak nadzieję, że ich dogonimy.

- Hm. Czy chciałby pan obejrzeć ten drobiazg?

Wyjął „drobiazg" z kieszeni i podał Rollinsowi. Bankier, ledwo rzucił okiem, zawołał z radością:

- Sir, co ja tu widzę! To mój podpis, to. czek, który był w rękach Grinleya!

‘ Wolf pokrótce opowiedział, w jakiu sposób wszedł w posiadanie tego papieru. Skoro oznajmił, że hultajska trójka zawróciła z drogi, Sam Hewkens odezwał się:

- Czy zagięli na pana parol, mister Wolf?

,

- Naturalnie. Chcą mnie zaskoczyć na osobności, napaść i ode-brać przekaz.

-‘ikk też myślę. Ale stracone zachody! Sami wydadzą się w nasze ręce. Gdzieście dzisiaj obozowali?

- Kwadrans odległości stąd, na wybrzeżu.
- Czy sądzicie, że te draby czają się w obliżu?

P

- Nie. Mogli iść naszym tropem za dnia; ale potem musieli zatrzymać się i czekać. Wyprzedziliśmy ich zatem o dobry kawał drogi.

377

- Pięknie, a więc schwytamy ich jutro. Ale mam myśl: nie mówi-liśmy jeszcze o Khasti Tine. Czy wiecie, jak los obdzielił waszych zwiadowców?

-‘Pdk. Wysłano dziesięciu. Ośmiu jest w niewoli; dwóch padło.
-‘Pak przypuszczacie?
- Nie przypuszczamy, wiemy od waszego króla nafty.
- Ach! A więc on wam powiedział? I wyście uwierzyli!

Wolf spojrzał uważnie na twarz Sama i rzekł:

- Dlaczego pan pyta?

- Chcę panu oznajmić, że nie Nijorowie, lecz krbl naftowy zabił waszych wywiadowców.

- Król naftowy? - powtórzył Wolf tonem niedowierzania. - Kto wam to zełgał?

- Posłuchaj pan, mister Wolf, Sama Hawkensa nie łatwo oszukać!

Mówię o faktach!

- Do pioruna! A więc gadajże, mospanie! Co to za fakty?

- Khasti Tine podszedł wodza Nijorów tak wyśmienicie, że miałby go w swej mocy; ale oto wtrącił się kto inny, zupełnie obcy i zastrzelił , ‘ zdradziecko obu Nawajów.

- Mordercą owym ma być wasz król naftowy? Proszę o dowód.

Dajcie mi dowód!

- Nic łatwiejszego. Byli świadkowie, dwaj ludzie, którzy chcieli przeszkodzić zbrodni, lecz nie zdążyli odwrócić zdradzieckiej lufy od celu. Ci świadkowie siedzą przy panu. Tb Rollins i Baumgarten. Zapytaj pan ich, zapytaj o szczegóły!

Wolf nie byłjeszcze przekonany. Skorojednak usłyszał od bankiera dokładny opis tego zdarzenia, nie mógł dłużej wątpić. Zawołał wście-kle:

-Awię ten hultaj, ten szubrawiec! I tego oczajduszę wypuściliśmy z obozu, nic nie podejrzewając!

- ‘1’dk, co więcej, uzbroiliście go, hihihihi! - roześmiał się Sam.
- Dobrzeście się spisali, naprawdę wyjątkowo dobrze!

378

- Milcz pan! Kto by mógł przypuszczać? Komu przez myśl przejść mogło? Zamordować naszych wywiadowców, a potem do nas przy-ubyć i domagać się wsparcia! O, teraz nie spoczniemy, póki

ich nie schwytamy. A zatem on, on jest mordercą Khasti Tine! Musi się o tym dowiedzieć wódz i to natychmiast!

Zamienił kilka zdań ze swymi czerwonymi towarzyszami, po czym obaj Indianie szybkim krokiem opuścili obóz.

Dotychczas porozumiewano się po angielsku, a ponieważ pionie-rzy nie znali jeszcze tego języka, więc na prośbę pani Rozalii, Hobble Frank wyjaśnił jej rzeczy najważniejsze. Usłyszawszy to, Maitso do-rzucił w języku ojczystym kilka uwag do wyjaśnień Franka, który swą przemowę zakoficzył słowami:

- A teraz pokażemy tym Nijorom, że nie są niczym innym, jak zwykłymi musztardowymi Indianami.

- Musztardowymi Indianami? - zapytał zdumiony Wolf. - Co to znaczy?

- Nie wie pan?
- Nie, panie Frank, naprawdę nie słyszałem o musztardowym In dianinie.

- Nie? Awięc posłuchaj pan! Istnieje nie jeden musztardowy In-dianin, lecz nawet dwóch. I naprawdę nie zan pan żadnego?

- Nie!
- Ani starego, ani młodego?
- Nie.
- Gdzie mieszkają ci musztardowi Indianie?
- Wystarczy, jeśli panu powiem, że obaj byli w Waszyngtonie u Wielkiego Białego Ojca. Wie pan może, kogo się tak nazywa?

-'Pak. Indianie nazywają tak prezydenta Stanów Zjednoczonych.
- Słusznie! Jak słyszę nie jest pan kompletnym nieukiem. A za-tem, obaj ci Indianie zostali wysłani przez swoje plemię do Waszyng-tonu, aby Wielkiemu Białemu Ojcu przedłożyć kilka dezyderatów.

Ponieważ byli ambasadorami, więc trzeba było ich przyjąć nobliwie i

z szacunkiem. Zaproszono ich zatem do prezydenta na kolację. Siedzieli obok siebie przy stole, który po prostu załamywał się pod ciężarem butelek, salaterek, misek i talerzy. Były tam frykasy, jakich

nigdy nie dotykały ich wargi, nie oglądały oczy. Leżały widelce, noże

i łyżki. Indianie musieli uważać na innych, aby zachowywać bony-tony.

Naraz stary szepnął do młodego: - Mój młody brat niech uważa, czego biali najmniej jedzą; jest to bowiem chyba najlepsza i najkosztowniejsza potrawa. Najedzmy się jej do syta. - Natężyli uwagę i wnet spostrzegli, że biali oszczędzają brunatnej potrawy w małych, pięknych szklaneczkach, wstawionych w srebrne kubki. W każdej z tych szklanek leżała mała łyżeczka ze skorupy żółwiowej. Wówczas stary znowu się odezwał do młodszego: - W tych szklankach znajduje się najdroższy i najkosztowniejszy smakółyk. Mój młodszy brat może ręką dosięgnąć takiej szklanki; niech pierwszy skosztuje. - Młody Indianin wykonał zlecenie; wetknął w usta pełną łyżkę i wnet połknął drugą. Przy tym oglądał się, czy nikt nie spostrzegł, że od razu nabiał

dwie pełne łyżeczki. Nikt nie patrzył. Teraz dopiero zaczął językiem rozdrabniać cenną potrawę, a starszy z napięciem wpatrzył się w jego twarz, która nabrała koloru żółtego, czerwonego i niebieskiego, a

nawet zielonego, lecz mimo to została nieruchoma, albowiem Indianin nawet przy największych cierpieniach nie powinien mrugnąć rzęsą. Oczy coraz bardziej kostniały i zaczęły się łzawić, aż wreszcie

łzy pociekły ciurkiem po twarzy. Naraz Indianin zrobił gwałtowny, straszliwy łyk i przełknął całą musztardę. Od razu mu ulżyło, tylko jezioro łez wciąż jeszcze spływało z oczu. Dlatego stary Indianin zapytał ciekawie: - Czemu płacze mój młody czerwony brat? - Młody czerwony brat za nic w świecie nie wyznałby, że ta kosztowna potrawa tak źle podziałała na jego nerwy i dlatego odpowiedział: - Przypomniało mi się, że mój ojciec pięć lat temu utonął w Missisipi.

Dlatego płaczę. - Rzekłszy to, przysunął szklankę do swego towa-

rzysza. ‘I~n ocenił inwencję swego młodego brata i postanowił go naśladować: nabrał w usta dwie pełne łyżki i szyhko zawarł wargi. Ale

i... ,
r .. .
oto za jednym zamachem wargi rozbiegły się i zamknęły z powrotem jak u karpia, gdy szuka powietrza, lub u człowieka, gdy odgryzie zbyt gorący kęs. Skóra na czole poleciała w górę, a w gardle rozległo się podejrzane bulgotanie. Kolor twarzy zmieniał się jak u kameleona; pot lał z każdej pory w skórze; oczy zarumieniły się i napełniły morzem łez, morzem, które wnet się przelało po brzegi i potoczyło fale po policzkach. Ujrzawszy to, młody Indianin zapytał ze współczuciem:

- Czemu płacze mój starszy czerwony brat? - Wówczas starszy czerwony brat, natężywszy wszystkie siły, przełknął musztardę, ode-tchnął głęboko i powiedział: - Płaczę z tego powodu, że przed pięciu laty nie utonąłeś wraz ze swym ojcem! - 1’dk, panie Wolf oto jest znakomita historia o dwóch musztardowych Indianinach, których pan nie znał.

Salwa śmiechu rozbrzmiała, ledwie skoficzył dykteryjkę. Najwyżej wtórował sam Hobble Frank. Śmiech trwał może kwadrans; lecz oto rozległy się z wybrzeża słowa indiafisko-angielskiego żargonu:

- Dlaczego tak głośno śmieją się białe twarze? Z dala od wigwa-mów wróg może kryć się za każdym drzewem.

Był to Nitsas Ini, który przybył wraz z kantorem i kilkoma najle-pszymi wojownikami. Przyprowadził ze sobą także swoją białą squaw, ponieważ wysłaficy oznajmili, iż w obozie są kobiety. Wszyscy podnie-śli się, aby go powitać. Stał przed nimi i potoczył badawczym spojrzeniem dookoła. Ujrzawszy Sama Hawkensa, wypogodził oblicze i rzekł, podając mu rękę:

- Mój biały brat Sam jest tutaj? W takim razie nie wątpię; że ta wesołość nie może szkodzić, albowiem Sam Hawkens nie wyda głosu o ile wróg jest w pobliżu.

Uścisnął także ręce Stonea, Parkera, Drolla, Franka i kazał sobie wymienić nazwiska pozostałych. Na kobiety nie zwracał żadnej uwagi.

Położył rękę na głowie młodego Wolfa i rzekł:

-Jesteś przyjacielem mego syna i bratankiem mego białego brata.
Bądź pozdrowiony wśród namiotów Nawajów! Jesteś niejako synem 381 mego plemienia.

Wszyscy usiedli z powrotem i po krótkiej przerwie zaleconej przez indiański zwyczaj, Nitsas-Ini zwrócił się do Sama Hawkensa:

- Mój biały brat może mi powiedzieć, co się zdarzyło.

Hawkens spełnił żądanie. Opowiedział wodzowi wszystko w krót-kich słowach. Kiedy skończył, Nitsas Ini milczał przez chwilę, po czym rzekł:

- Jutro poniosą karę. Czy nasi biali bracia gotowi są nam pomóc?

-'Pdk - odpowiedział Sam. - Wasi wrogowie są naszymi wroga-mi i nasi przyjaciele niechaj będą waszymi przyjaciółmi!

-'I~k jest. Wypalimy kalumet przyjaźni.

Zdjął fajkę ze sznura, wiszącego wokół szyi i otworzył worek z tytoniem. Po zapaleniu, podniósł się, powiał dymem ku niebu i ziemi, następnie w czterech kierunkach świata i rzekł:

- Wszyscy biali, którzy się tutaj zebrali, niechaj będą naszymi braćmi i siostrami. Mówię w imieniu całego plemienia Nawajów. Howgh!

Wręczył fajkę Samowi i usiadł z powrotem. Sam podniósł się, również sześć razy pociągnoł i rzekł:

- Palę i mówię w imieniu moich białych braci i sióstr, znajdu-jących się tutaj. Pragniemy byE jako bracia i siostry Nawajów i chcemy pomagać im w walce i w pokoju. Powiedziałem. Howgh!

Wręczył fajkę wodzowi, który ją wypalił do końca. Potem zawiesił kalumet na sznurze i rzekł:

- Jutro popłynie krew mordercy i jego obu towarzyszy.
- Czy przypuszczasz, że tu przybędą? - zapytał Sam.
-'Pdk.
- Przybędą jednak skrycie. Tizeba wytężyE uwagę.
- Wyślę na ich spotkanie dwóch ludzi o oczach sokolich.

- Hm. Oczywiście, pojadą waszym tropem, przybędą zatem pod obóz. Wystarczy więc jedynie wycofać się i zaczić w pobliżu, a będziecie ich mieli w garści.

382

- Mój brat mówi słusznie. Wyślę jednak naprzeciw zwiadowców.
- A jeśli nie pozwolą na to okoliczności?
- Któżby mógł mi przeszkodzić?
- Nijorowie.

- Nie tylko nie przeszkodzą, ale, przeciwnie, pomogą schwytać .. . morderców. Pojechali ku naszemu obozowi. Znajdą tam pustkę i pojadą dalej. Będą mieli łotrów przed sobą, my ich mamy za sobą. A zatem, zagonią ich ku nam.

- Old Shatterhand, zdaje się był innego zdania.
- A jednak pojechał nas ostrzec?
-1b tylko pozór, który miał zamaskować inne zamiary.

Wódz zastanawiał się przez chwilę po czym zapytał półgłosem, domyślność bowiem podyktowała mu właściwe przypuszczenie:

- Może sądził, że Nijorowie nie pojechali bezpośrednio do nasze-go obozu?

- Zdaje się - odpowiedział Sam również cicho.
- W takim razie mieli na widoku innych ludzi; chyba was?

-'Pak myślę. Old Shatterhand nic o tym nie wspominał. Może nie chciał niepokoić osadników.

W tej chwili usłyszano okrzyk wartownika i zaraz potem z półmro-ku wyłonili się dwaj mężczyźni. Pierwszym był Old Shatterhand. Szybko podszedł i serdecznie, bez zdziwienia, przywitał się z wodzem, Wolfem i białą kobietą. 'Pd skoczyła i wydając głośny radosny okrzyk:

- Szi So, mój synu! - przypadła do drugiego przybysza, aby go z czułą gwałtownością wciągnąć do mroku lasu. Nie chciała witać się z synem wobęc tylu świadków.

Obecni stali w skupieniu i ciszy. Wódz siedział z twarzą nierucho-mą. Po dziesięciu może minutach usłyszano lekkie kroki z ciemności: squaw przyprowadziła syna za rękę. Skoro weszli w światło ogniska, opuściła jego rękę i spokojnie usiadła na uprzednim miejscu. Ulżyła sercu, cicho,

bez słów i okrzyków, ale niemniej tkliwie. ‘I~raz należało mieć wzgląd na indiafiską powściągliwość.

383

Szi-So podszedł do ojca i podał mu rękę. Wódz obejrzał młodziefi-czą silną postać, tryskające zdrowiem oblicze, roztropne rysy, zręczne ruchy. Przez chwilę, przez jedną chwilę oczy jego błyszczały dumną radością; następnie twarz znieruchomiała na powrót; nie przyjął wy-ciągniętej ręki syna, udając, że jej nie dostrzega. Szi-So odwrócił się i usiadł obok Adolfa. Nie był dotknięty. Wiedział, jak kocha go ojciec; znał indiańskie zwyczaje i żałował, że wyciągnął rękę do ojca. Odruch ten przywiózł z Europy, zwyczaje jego kraju nie pozwalały na taką poufałość. Młodzieniec w obecności mężczyzn powinien kryć się w cieniu.

- Mój brat Old Shatterhand - odezwał się po chwili wódz - był w naszym wczorajszym obozie?

- Nie, tak daleko nie zaszedłem. Ale jak sądzę, był tam król naftowy wraz z Pollerem i Buttlerem?

-„Pdk.
- Daliście im brofi i amunicję?
-‘Pdk.
- Powiedzieli wam, że nam towarzyszyli, że wraz z nami dostali się do niewoli Nijorów, że zdołali umknąć?

-‘Pdk jest. Skąd mój brat wie o tym?
- Przypuszczam tylko - uśmiechnął się Old Shatterhand. - Mordercy potrzebują broni; musieli zatem śpieszyć do was, gdyż nikt inny nie mógłby im strzelb dostarczyć. Aby zaś zjednać sobie wasze względy, musieli was okłamać, musieli zmyślić, że byli towarzyszami i obroficami Szi So. Nawet gdyby mi czas pozwolił, nie pojechałbym do waszego pierwotnego obozu, gdyż wieczorem dowiedziałem się, żeście go opuścili.

- Od kogo?
- Od moich oczu. Siedziałem po tej stronie rzeki na wysokim drzewie, które obrałem sobie za punkt obseiwacyjny i zobaczyłem, jak jechaliście przeciwległym brzegiem.

- A więc Nijorowie mogli was widzieć?

384

- Nie. Wiem na pewno, bo ich podsłuchiwałem. Szi So dotrzymy-wał nam towarzystwa. Pilnował koni, podczas gdy ja i Winnetou skradaliśmy się do wroga. Wróciłem teraz wraz z Szi So, aby moim białym przyjacielom przynieśE wiadomości i aby odwiedzić moich czerwonych braci. Winnetou został na czatach.

- Jutro Nijorowie wpadną w nasze ręce.
-‘Pdk też sadzę, aczkolwiek przypuszczenie mego brata opiera się na fałszywych przesłankach.

- Old Shatterhand się myli. Mam na myśli to samo, co on. Nijo-rowie zastaną pustkę w naszym obozie i pojadą naszym śladem.

- Nijorowie, zanim pojadą do waszego obozu, napadna na nas, białych. Nie wiedzą bowiemniej, że wojownicy Nawajów opuścili obóz.

- Uff!
- Sądzą, że my jedziemy za nimi, aby odszukać Nawajów; zatrzy-mali się nad Zimową Wodą, aby tam nas znienacka okrążyć.

- Nad Zimową Wodą? Wcale mądry plan! Nie ma chyba miejsca bardziej dogodnego do zasadzki. Moi bracia ominą tę miejscowość?

- Wręcz przeciwnie.

- I będziecie walczyli?
- Być może obejdzie się bez walki. Może Nijorowie poddadzą się bez przelewu krwi. Czy wojownicy Nawajów zechcą nam pomóc?

- Rozumie się! Ale w jaki sposób schwytamy króla naftowego i jego towarzyszy?

- Chcecie ich schwytać? - zapytał Old Shatterhand. - Aby pomścić śmierć zwiadowców?

- Chcę i muszę ich pomścić, ale nie będę oszustów ścigał, albo-wiem sami tu przyjdą.

- Naprawdę? 'Ib dziwne! Powinni przecież być zadowoleni, że unieśli skórę!

- 'Pdk, - odezwał się Wolf z zadowoleniem - tak, gdyby mieli jeszcze przekaz!
13 -- Król naftowy 385
- Nie mają go już?
- Nie. Odebrałem czek Grinleyowi.
- Ach! W jaki to sposób?
Wolf, zdawszy relację, dorzucił:

- Kazaliśmy ich śledzić i dowiedzieliśmy się, że jadą za nami. Rano wyślemy na ich spotkanie dwóch zwiadowców.

- Hm! Porachunek z tymi łotrami nie nadaża się w porę. Jutro rano musimy wyruszyć do Zimowej Wody. Ale zanim plan omówimy, chciałbym opowiedzieć, czegośmy się dowiedzieli na zwiadach.

Na zwiadach

Skoro tylko Nijorowie odjechali, biali ruszyli za nimi. Winnetou i
Old Shatterhand wkrótce się przekonali, że Nijorowie posuwają się
naprzód coraz wolniej. Jaki mógł być powód tej domniemanej ocię-
,I
żałości
Obaj mężowie nie mieli zwyczaju zasięga~ rady, lub opinii osób trzecich w kwestiach, które sami mogli wybadać; nie wtajemniczyli więc nikogo, nawet Sama, w treść swego spostrzeżenia. Natężyli tylko uwagę i wkrótce przekonali się, że nie są w błędzie.

- Co powie o tym brat mój Shatterhand? - zapytał Winnetou.
- Że nie śpieszą się do Nawajów - odparł biały.
- Mój brat podziela moje zdanie. Zdaje się, że chcą odłożyć atak na Nawajów. Z tego wynika, że występują przeciwko komuś innemu.

- Przeciwko nam oczywiście?
- T~k. Ale dlaczego? Nie mogą przecież przedsięwziąE nic mą-drzejszego nad szybką napaś~ na Nawajów, dopóki ci są zdezorien-towani brakiem wiadomości od zwiadowców.

- Ale mój brat Winnetou niech rozważy, że jedziemy tuż za nimi i że dosiadamy kilku wyśmienitych koni. Możemy, jeśli nie wszyscy, to przynajmniej niektórzy, dzięki forsownej jeździe przegonić ich drogą okrężną i zawiadomić Nawajów.

- Uff! - potwierdził Apacz. -'Pdk będzie.

387

- Thk, być może. Chcą sobie zabezpieczyć tyły i zapóbiec tej ewentualności. Można przypisać taki plan ich wodzowi. Dlatego zmniejszyli szybkość, aby znaleźć się bliżej nas i, skoro nadarzy się odpowiednie miejsce, nie czekać zbyt długo. Jeśli moje przypuszcze-nie jest słuszne, trzeba się zastanowić, jakie miejsce na naszej drodze jest dla nich najdogodniejsze do ataku.

- Uff! - zawołał Winnetou po chwili. - Istnieje takie miejsce, u którego staną jeszcze przed wieczorem. Mianowicie Zimowa Woda.

- ‘1’dk, może tam będą nas oczekiwać. Czy mamy pójść pod ich strzelby i noże?

- Nie. Musimy ich wyśledzić. Ale który z nas?

- Hm. Zimowa Woda jest dość obszerna. Za wiele mitręgi dla jednego zwiadowcy.

- Pojedziemy obaj.

- T~k. Właściwie powinniśmy zabrać ze sobą jeszcze kogoś. a

- Po co?

- Jeśli na nas zechcą napaść, obronimy się o własnych siłach; ale, jeśli nie mają takich względem nas zamiarów, lecz poprostu wyruszyli ‘ na Nawajów, musimy tamtych zawiadomić. Jednakże nikt z nas dwóch nie może się oddalić. Musimy zatem zabrać ze sobą jeszcze kogoś.

- Winnetou proponuje Szi So. Jest dobrym jeźdźcem i zna tę miejscowość lepiej, niż kto inny. Czy powiadomimy naszych towarzy-szy o celu tej wycieczki?

- Czy mój brat Winnetou sądzi, że lepiej to przed nimi zataić?

- l~k. Nie wszyscy mężowie w naszym gronie są bohaterami, a squaws i dzieciom nie wolno nadaremnie rozpowiadać o niebezpie czefistwach.

Szybko powzięli postanowienie i nie mniej szybko wprowadzili je w czyn. Już po krótkim czasie razem z Szi So galopowali na przedzie, podczas gdy reszta towarzystwa nadal jechała powolnym krokiem. ‘I~ren był gładki. Na lewo ciągnął się płaski nagi step; po prawej stronie płynęła rzeka, obrzeżona pasmem lasu, zagajnika, a następnie 388 murawy. Powietrze, niebywale w tych stronach czyste, udostępniało oczom rozległy widok. Nie zachodziła więc obawa, że z nienacka i niespodzianie można się natknąć na umyślnie, czy nieumyślnie ocią-gających się Nijorów.

Jechano wciąż dalej aż do późnego popołudnia, od czasu do czasu badając uważnie ślady. Widać było, że zbliżano się coraz bardziej do Indian. Dzieliła ich zaledwie godzina jazdy.

Z lewej strony, z południa, ciemne równe pasmo zarośli dokładnie pod kątem prostym przecinało rzekę. W oddali, na południu, składało się z pojedyhczych, suchych roślin mezquito, które następnie łączyły się w zagajniki. Dalej rośliny skupiały się jeszcze bardziej, bardziej soczyste i zielone, niż na południu, gdzie miały szare, wygłodniałe zabarwienie. Im bliżej rzeki, tym roślinność była gęstsza i wspanialsza; las nadbrzeżny sięgał aż nad samą wodę.

‘Ib pasmo roślinności stanowiło brzeg łożyska Zimowej Wody. W krótkiej porze opadów woda skupiała się w tym łożysku i nadawała przez kilka tygodni świeży wygląd roślinom, zazwyczaj suchym, ską-pym i smętnie obumarłym. Im bliżej rzeki, tym dłużej trwała adość życia, najbliższym zaś drzewom udawało się nawet zachować życie przez cały rok. l3rzej jeźdźcy znajdowali się w takiej odległości od wyschłego kory-ta, że można ich było stamtąd zobaczyć. Dlatego byli zmuszeni jechać pod osłoną zagajnika i lasu. Zsiedli teraz z koni i wyszukali kryjówkę dla zwierząt, przy których mieli zostawić Szi So. Dostał także ich brofi, ponieważ strzelba zawadza tylko skradającemu się przez zagajnik, lub pełzającemu zwiadowcy. Następnie Old Shatterhand i Winnetou po-szli dalej wzdłuż rzeki.

Przebywszy połowę drogi, zatrzymali się i Shatterhand zapytał:

- Przekonamy się przede wszystkim, czy Nijorowie zostali nad Zimową Wodą, czy też pojechali dalej?

- 1’ak. Te drzewa są odpowiednio wysokie.
- I gęsto ulistnione, więc nikt nas nie odkryje.

389

Wyszukali dwa drzewa odpowiedniej wysokości, zbliżone do siebie tak, że można było porozumiewać się z nich szeptem. Obaj wspinali się sprawnie i nie minęły dwa pacierze, a siedzieli już u wierzchołków. Widok, który się przed nimi roztoczył, ucieszył ich bardzo: mogli wygodnie

spoglądać ponad drzewami na ciągnącą się po stronie przeciv~ległej równinę. Nie dostrzegli nikogo na całej jej rozciągłości.

- Zaczaili się nad Zimową Wodą - rzekł Old Shatterhand do Winnetou.

-'I~k, bo gdyby pojechali dalej, zobaczylibyśmy ich na stepie, - odpowiedział Apacz. - Mój brat niech odwoła się do swej rury. Old Shatterhand wyjął przedtem lunetę z torby u siodła. 'Ii;raz zwrócił ją ku zagajnikowi i przez chwilę trwał nieruchomo. Następnie odłożył lunetę i oznajmił:

- Obozują po tamtej stronie zagajnika, tuż nad brzegiem Zimo-wej Wody. Właśnie teraz przyprowadzili swoje konie z wodopoju.

- A więc poczekamy do zmroku i podkradniemy się, aby ich pod słuchać!

-'1'dk. Ale nie tutaj na górze, lecz na dole będziemy czekać, tam jest wygodniej.

Chciał już zejść z drzewa, gdy usłyszał okrzyk Apacza:

- Uff!
- Czy mój brat coś spostrzegł? - zapytał.

-'Pdk. Spójrz na tamten brzeg... Długi wąż jeźdźców posuwa się w pobliżu drzew. Mój brat niech poczeka, aż się znowu pokażą. Wkrótce przejadą przez odkrytą równinę, która leży na wprost nas. Obaj westmani z uwagą spoglądali na przeciwległy brzeg. Ukazali się z początku dwaj jeźdźcy; byli to Indianie. Jechali w galopie, przewinęli się kilkakrotnie przez zagajnik. Wreszcie jeden zawrócił i dał znak; nie znaleźli bowiem nic podejrzanego.

- Mój brat niech spojrzy przez szkła; może pozna twarze - powiedział Winnetou.

Old Shatterhand spojrzał. Na znak zwiadowcy z zagajnika wysunęli 390 się jeźdźcy, długi szereg jeźdźców, wymalowańych farbami wojny; nie można było przeto rozpoznać ich twarzy. Na końcu wszakże jechało dwoje nieumalowanych, których Old Shatterhand z miejsca poznał. Byli to Nitsas Ini i jego biała żona. Kiedy skrył ich zagajnik, rzekł Apacz:

- Musieli to być wojownicy Nawajów. Czy poznałeś kogoś?
-'Pdk, Nitsas Ini i jego squaw jechali na końcu.
- Obozowali na pewno nad ujściem rzeki. Czemu opuścili to miejsce?

- I czemu jadą prawym wybrzeżem?
- T~k, to dziwne. Wiedzą przecież, że Nijorów należy szukać na lewym wybrzeżu, gdyż tutaj ciągną się ich tereny.

- Znajduję tylko jedną odpowiedź; król naftowy sprowadził ich na manowce.

- Uff! Na pewno pojechał do nich po broń. Pragnąc zyskać na czasie, skierował Nawajów na złą drogę.

Zeszli z drzew. Wkrótce zapadł zmierzch. Obaj mężowie puścili się w najeżoną niebezpieczeństwami drogę. Z początku wzrok sięgał na odległość sześciu do ośmiu kroków. Kiedy się jednak zbliżyli do Zimowej Wody, było j uż tak ciemno, że nie mogli ufać oczom i musieli zda~ się na zmysł dotyku.

Chelly płynęła tu prawie dokładnie ze wschodu na zachód. Ponie-waż Zimowa Woda ciągnęła się z południa na północ, zatem przeci-nała rzekę pod kątem prostym. Brzegi obu łożysk były obrębione drzewami i dosyć wąskimi zagajnikami. Od brzegu do powierzchi Chelly można było naliczyć sześćdziesiąt stóp. W obecnej porze roku Zimowa Woda składała się z kilku kałuż, nie utrudniających przejścia. Lecz nad ujściem grunt był bardzo skalisty i brzegi spadały tak stromo, że niepodobna było zjechać konno. Kto chciałby się przeprawić na drugą stronę, musiał raczej jechać wzdłuż brzegu do miejsca bardziej pochyłego, do jedynego brodu, który był zarazem najdogodniejszym terenem do napadu, czy zasadzki. Thtaj powinien bywróg czekać, aby 391 w stosownym momencie zamknąć sidła.

Nijorowie nie obozowali jednak nad tym brodem. Obsadzili drugi, lewy brzeg aż do ujścia. Kto chciał napoić konie, musiał zawrócić do brodu i następnie, posuwając się suchym łożyskiem Zimowej Wody, dotrzeć do ujścia Chelly. Była to dosyć uciążliwa wędrówka. Wygod-niej było obozować nad ujściem; ale pozostałyby ślady, których Nijo-rowie nie zdołaliby zatrzeć całkowicie.

Ponieważ obozowali po drugiej stronie, więc Old Shatterhand i Winnetou musieli się na nią przeprawić. Skoro przybyli na wysoki brzeg Zimowej Wody, zobaczyli na drugim wybrzeżu ogniska obozo-we, świecące między wielkimi i licznymi głazami.

- Jakże nieprzezorni! - rzekł Winnetou.
- Tak - potwierdził Old Shatterhand. - Czują się bardzo bez-piecznie.

Doszli do brodu i przeprawili się na drugą stronę; po czym skradali się ku obozowi ze zdwojoną ostrożnością. Sunąc od drzewa do drze-wa, od zagajnika do zagajnika, omijali starannie każde miejsce, na które padał promiefi ogniska.

Kiedy można było rozróżnić poszczególne postacie, Winnetou szepnął:

- Niech brat mój tu poczeka. Wyjdę z zagajnika i podkradnę się do lasu od równiny, aby zbadać, gdzie stoją konie i czy zaciągnięto straże.

Wrócił, gdy upłynęło pół godziny i zameldował:

- Konie stoją po tamtej stronie obozu, a zatem nie zdradzą naszej obecności parskaniem.

- Mój czerwony brat mógł dotrzeć wzrokiem do wnętrza obozu.
Czy widział wodza Mokasziego?

-'Pdk. Siedzi z trzema starymi wojownikami przy szerokim głazie.
- Gdybyśmy mogli się podkraść!
- Będziemy mogli, jeśli zachowamy ostrożność. Wódz i jego towarzysze siedzą tuż przy brzegu. Nie ma tam innych Nijorów. Ja 392 pójdę naprzód, mój brat za mną!

Nie można było nadal poruszać się swobodnie. Położyli się na ziemi, czołgali na brzuchach, szukając osłony za każdym drzewem lub krzewiną, za każdą roślinką, każdym kamieniem.

Celem ich był głaz, o którym wspomniał Winnetou. Dhzgi, a niezbyt szeroki, dwukrotnie przerastał wysokość człowieka. Zarośnięty z wie-rzchu mchem, przez długie lata zatrzymywał na sobie opadające liście. Nie sprzątnięte wiatrem, czas stłamsił w grubą ziemistą warstwę, pokrywającą kamień i zatykającą jego rysy i szpary. Dzięki temu mogło się rozwinąć na głazie kilka krzewów i rozpostrze~ gałęzie ponad całą skałą.

Od stromego brzegu głazów dzieliła wąska przestrzeń, dostateczna dla celów obu wywiadowców. Udało im się niepostrzeżenie dotrzeć do bloku i zaczaić za nim. Wspomniany odstęp był przeciętnej szero-kości człowieka, wskutek czego znaleźli się tuż nad samą krawędzią brzegu. Gdyby krawędź składała się z luźno spojonych grud ziemi, rozstąpiłaby się pod ciężarem obu mężczyzn i runęliby na dół. Przede wszystkim więc zbadali grunt i stwierdzili, że jest skalisty. Postanowili wspiąć się na głaz. Z góry doskonale mogli podsłucha~ Nijorów. Jednego miejsca można się było uchwycić rękami. Old Shatterhand uchwycił się, wszedł na barki Winnetou i wydźwignął się w górę. Było to nader ryzykowne poruszenie, gdyż najdrobniejszy fałszywy krok mógł go zepchnąć w przepaść. Następnie należało umieścić się w miarę, nie za wysoko, aby nie zdradzić się przed Nijorami. Na górze Old Shatterhand położył się na płask, spuścił splecione w pętlę lasso i wciągnął Winnetou do siebie.

Leżeli więc na górze. Za sobą mieli przepaść, a pod sobą obóz, obsadzony trzema setkami Indian.

Leżąc na bloku, ogarnęli wzrokiem, poprzez krzewy, cały obóz. Płonęło nie mniej, niż osiem ognisk, przy których, Indianie przy gotowywali wieczerzę. U stóp skały siedzieli Mokaszi oraz trzej naj-starsi wojownicy, odosobnieni od zwykłych Indian. Zamieniali ze 393 sobą urywane

zdania. Nijorowie różnili się w poglądach. Jeden z nich, stary ale bardzo jeszcze krzepki siwowłosy mężczyzna, rzekł:

- Mokaszi pożałuje, że działał w myśl dzisiejszego postanowienia.

Powinniśmy się byli śpieszyć i czym prędzej odszukać psy Nawajów, aby ich zabić.

- Mój starszy brat nie bierze pod uwagę, że różnica wynosi tylko jeden dzień. Skoro jutro schwytamy białych, wyruszymy natychmiast przeciwko Nawajom.

- Różnica wynosi więcej niż jeden dzień, ponieważ, oczekując zbliżenia się białych, jechaliśmy bardzo wolno.

-Nie szkodzi. Szakale Nawajów nie opuszczą swoich jaskiń przed naszym nadeściem. Nie mogą opuścić obozu, dopóki nie wrócą wo-jownicy, wysłani na zwiady. Mój starszy brat powinien był o tym pomyśleć!

- Pomyślałem; ale rok posiada zimę i lato, i wszystko ma dwie strony. ‘Ib samo stosuje się do naszej sprawy. Mokaszi sądzi, że Nawajowie będą czekać, ponieważ wysłali zwiadowców, a ja sądzę, że wyślą innych, gdyż za długo na tamtych czekają. Nowi zwiadowcy odkryją nasze ślady i doniosą o tym swojemu wodzowi. Nie my napadniemy na Nawajów, lecz oni na nas!

Mówił ostrym tonem, jakim się nie przemawia do wodzów. Dlatego Mokaszi odpowiedział:

- Śnieg starości oprószył głowę mego brata. Widział więcej zim, niż ja i przeżył wiele. Może bez osłonek wypowiada~ swoje zdanie. Atoli nie on jest wodzem, lecz ja. Wysłuchuję wprawdzie zdania doświadczonych mężów, lecz decyzja należy wyłącznie do mnie!

Stary opuścił głowę i rzekł:

- Masz słuszność. ‘I~vojej woli niech się stanie zadość!

-‘Pdk, stanie się jej zadość. A może sądziłeś, że udałoby się nam zaskoczyć Nawajów?

- Niewątpliwie.
- Nie, z myślą o niebezpieczeństwie wysłali straż przednią,

394 podobnie jak my. Musimy ich obóz dopiero ódkryć przez zwiadow-ców. Jakże łatwo można ich podpatrzeć, schwytać, tak jak schwytali-śmy ich zwiadowców. Ale nie jest to rzecz najważniejsza. O jednym, zdaje się, mój starszy brat wcale nie pomyślał. Mianowicie o tym, że Nawajowie wiedzą już o naszej wyprawie.

- Uff! - zawołał stary. - Któż im powiedział?
-‘Iizej biali, którzy zbiegli.
- Uff! uff! Tb prawda! Jeśli pojechali do Nawajbw...

- Na pewno do nich pojechali. Może już nawet dzisiaj natknęli się na nich. W takim razie Nawajowie z miejsca wyruszą na nasze spotkanie. Ale właśnie na to czekam.

- Uff! uff! M6j brat Mokaszi zna przecież stare prawo wojny, że zwycięża ten, kto pierwszy przybywa.

- Nie we wszystkich wypadkach stosuje się to prawo. Nawajowie niechaj przybędą i napadną na nas, ale w miejscu dla nich niekorzy-stnym. Będziemy ich oczekiwali tutaj, nad Zimową Wodą!

- Nie tędy prowadził nas pienwotny plan.

- Nie. Chciałem zaskoczyć N’awajów; teraz muszę wyrzec się tej myśli, ponieważ zawiadomili ich trzej biali zbiegowie. l~zeba więc było koniecznie zmienić plan. Zaczaimy się tutaj, nad Zimową Wodą. Skoro przybędą Nawajowie, pozwolimy im zejś~ z wysokiego wybrze-ża w głąb łożyska, a potem napadniemy na nich. ‘Pdm, na dole, nie potrafią się obronić, ponieważ z boku zamkną ich skały.

- Uff, uff! - zawołał stary z wypogodzoną twarzą. - Nowy plan Mokasziego jest dobry i sądzę, że powinien się udać, jeśli go coś nie pokrzyżuje.

- Tylko jedno może go pokrzyżować i temu właśnie zamierzam jutro zapobiec.

- Teraz pojmuję. Masz na myśli białych?

-'Idk. Jadą za nami; chcą odszukać Nawajów. Jeśli ich przepuś-cimy, wyjawią wrogom, że tutaj na nich czekamy. Byłaby to nie-powetowana sfrata. A więc schwytamy w niewolę Winnetou i Old

Shatterhanda wraz ze wszystkimi ich ludźmi.

- Czy poniosą śmierć?

-'1'dk, jeśli się będą bronić.

- A jeśli nie będą się bronić?

Ę - Weźmiemy ich do niewoli i będą uświetniać nasz powrót. Nie przywiążemy ich do pala męczarni, ponieważ wypaliliśmy z nimi kalumet, ale każemy im walczyć na śmier~ i życie z naszymi wojowni-kami.

- Uff, uff! - oczy starca rozbłysly radością.

Nawet obaj dotychczas milczący czerwonoskórzy nie mogli się powstrzymać od okrzyków zdumienia.

Mokaszi, zadowolony z wrażenia, ciągnął dalej:

- Żadne miejsce nie nadaje się tak świetnie jak Zimowa Woda do zasadzki na wrogów, do schwytania i wytępienia ich bez trudu. Moi bracia zobaczą jutro, jak łatwo schwytamy białych, aczkolwiek prowa-dzą ich najznakomitsi mężowie Zachodu.

Stary znowu się zasępił i odparł:

- Wszakże dlatego plan nasz może się nie udać.

- Bynajmniej! Wiem, że są nader mądrymi ludźmi i przenikają zamysły innych; ale naszego planu nie odgadną. Sądzą, że wyruszy-liśmy na Nawajów i że na nich wcale uwagi nie zwracamy.

- Chciałbym, aby tak było w rzeczywistości; atoli myślę o tym, czegośmy niedawno doświadczyli. Żaden orzeł nie ma tak przenikli-wych oczu, żaden mustang tak czułych uszu, żaden lis tak wielkiej chytrości, jak Old Shatterhand i Winnetou. Czyż nie mieliśmy ich w swej mocy? Czyż nie byli nawet spętani? A jednak się uwolnili!

- Tym razem będziemy mądrzejsi. Wszak już dzisiaj zaczęliśmy rozwijać nasz plan działania. Rozbiliśmy obóz na górze, a nie na dole, gdzie mogliśmy zostawić trop. Skoro biali jutro przybędą, nie dostrze-gą żadnego śladu i bez podejrzeń pojadą na dół, podczas gdy my będziemy tutaj czekali na nich w ukryciu. Pójdą do wody Chelly, aby ł, napoić konie, a wówczas napadniemy na nich znienaćka.

ł

- Przewidujesz więc, że nie pojadą prosto przez bród, lecz zabawią tu chwilę?

- Tak. Na rozległej przestrzeni, na bardzo rozległej, jest to jedyne miejsce, gdzie z wysokiego brzegu łatwo zejść do wody. Nie przepu-szczą tedy sposobności, wloką bowiem ze sobą squaws i dzieci. Kiedy znajdą się na dole, wpadniemy na nich z góry.

-Wszyscy? Musimy zostawić kilku wojowników przy koniach i jeńcach!

- Ani jednego. Przywiążemy jeficów i konie do drzew. Każde dwie ręce przydadzą się do walki. Skoro biali policzą nasze siły, wyrzekną się myśli oporu. Mbj starszy brat niech rozważy, w jakiej sytuacji się znajdą! Z prawej i lewej strony, strome ściany łożyska, przed sobą Chelly,

a za sobą naraz trzystu wrogich wojowników. Byliby chyba obłąkańcami, gdyby chcieli się bronić.
- A jeśli spróbują się salwowaE?
- Nie może to być! Dokąd się zwrócą?
- Do Chelly.
- Do wody? Wiedzą niegorzej od nas, jak łatwo żastrzelić pływa ka. I jakaż to hafiba dla nich, gdyby można było o nich powiedzieć, że opuścili kobiety i dzieci, których bezpieczeństwo było im powierzone!
- Mokaszi ma słuszność. Jego mowa rozproszyła moje wątpliwo-ści. Możemy spokojnie oczekiwać białych, ponieważ będą zmuszeni poddać się bez walki. A następnie to samo powtórzymy z psami Nawa-jów!
- T~k, zwabimy ich do głębokiego łożyska Zimowej Wody i nie wypuścimy stamtąd.
- Uff! 1b dopiero będzie radość, gdy, zaczajeni za skałami, drze-wami i zagajnikami, będziemy mogli ich powystrzelać, jednego po drugim, bez uszczerbku dla siebie. Uff, uff, uff!
Winnetou cofnął się nieco i pociągnął Shatterhanda za rękę.
- Wycofamy się? - zapytał po cichu biały.
-'I~k. Wystarczy nam, co słyszeliśmy. Niech mój brat idzie ża mną.

397

~odpełzli do krawędzi skały. Old Shatterhand opuścił Winnetou na lassie, po czym i sam ześlizgnął się przy pomocy wodza Apaczów. Powinni byli opuścić m~ejsce równie niepostrzeżenie, jak przybyli. Czołgając się, wracali tą samą,drogą i szczęśliwie dotarli do miejsca, gdzie już się mogli swobodnie podnieść. Przeprawiwszy się przez bród, wyszli poza obręb niebezpieczefistwa. 'I1i zatrzymali się i Win-netou rzekł:

- Chcą zastawić na nas pułapkę i ani wątpią, że ją przymkną!
-'Pdk, to świetna pułapka, bardzo dobra! A my wejdziemy!
-'1'dk. Mój brat ma te same myśli, co ja. Sprowadzimy Nawajów; ci zamkną za nami otwartą pułapkę w taki sposób, że Nijorowie sami w niej utkwią. A teraz wróćmy do Szi So! Nie ma potrzeby wysyłać tego młodego, dziarskiego wojownika do Nawajów, albowiem sami ich odwiedzimy.

Chciał się oddalić. Wówczas Old Shatterhand położył mu rękę na ramieniu i rzekł:

- Mój brat niech poczeka chwilę! Jeśli mamy jutro wejść w zasadzkę, to musimy przedtem się upewnić, czy to ta sama, o której teraz słyszeliśmy?

- Mój brat mniema, że Nijorowie mogą coś zmienić?
-'Pdk. W takim razie wejdziemy w pułapkę, nie znając jej za-trzasku.

- Słusznie! A zatem ja pozostanę, aby śledzić Nijorów. Mój brat Old Shatterhand potrafi lepiej ode mnie rozmawiać z białymi mę żami i kobietami. Niech więc do nich jedzie.

- Dobrze! Na noc możesz opuścić to stanowisko; wystarczy; jeśli jutro rano przyjdziesz.

-'Pdk. Muszę zresztą wrócić do swego konia. Przy nim spędzę noc.
- A więc chodź!
Wracali tą samą drogą, którą przybyli, ale tym razem mogli się nie kry~, gdyż osłaniał ich mrok. Szli po otwartym stepie, co pozwalało im na szybszy marsz. Po drodze omawiali sposoby wykonania planu.

398

Wkrótce zbliżyli się do wybrzeża. Zawołali na Szi So; odpowie dział i wyszedł z kofimi z pomiędzy krzewów, wśród których się ukrywał.

- Dobranoc! - rzekł Winnetou, biorąc konia za uzdę i kierując się ku zagajnikowi.

- Dobranoc! - odpowiedział Old Shatterhand, dosiadając swego konia.

Wzięli, oczywiście, także swoje strzelby. Szi So był może zdumiony rozstaniem się obu myśliwych, ale nie śmiał o nic pytać. Dosiadł wierzchowca i pojechał za Old Shatterhandem.

Mknęli jakiś czas w milczeniu. Wreszcie Old Shatterhand zapytał młodziefica:

- Szi So nie wie, co się święci?
- Dowiem się o tym - odpowiedział uprzejmie Indianin.
- Dowiesz się później. Na razie powiem ci tylko coś, co cię bardzo uraduje: widziałem twoich rodziców.

- Naprawdę, naprawdę? Gdzie?
- Na tamtym brzegu. Jechali z licznym oddziałem w poszukiwaniu Nijorów.

- A więc w nocy rozbiją obóz! Gdybym ich mógł powitać!
- Muszę właśnie do nich śpieszyć; możesz mi towarzyszyć. Myślę, że jeszcze w ciągu tej nocy zobaczysz ojca i matkę. Czas nagli. Poje-dziemy galopem!

Jedno krótkie słówko, a rumak pomknął jak strzała; Szi So poje-chał za nim, z radością myśląc o spotkaniu z rodzicami. Odszukanie obozu białych nie wymagało wielkiej przenikliwości, gdyż Old Shatterhand poprzednio z Samem Hawkensem wyznaczył miejsce na jego rozbicie. Przybyli tam po krótkiej, ale szybkiej jeździe.

W pułapce

Niebawem porozumiano się z Nitsas Ini; przystał on całkowicie na plan Shatterhanda. Westman wkrótce potem zalecił uczestnikom wyprawy odpoczynek, ponieważ nazajutrz oczekiwało ich trudne za-danie.

Wódz Nawajów wraz z białą squaw został w obozie osadników, a do swoich pchnął paru czerwonych z rozkazami.

Zaciągnięto straże, po czym wygaszono ogniska i zapanowała ci-sza. Było już dosyć późno; niewiele czasu zostało do świtu. Noc szarzała, kiedy Old Shatterhand obudził śpiących. Gdy weszli do rzeki, aby się umyć, zobaczyli wojowników Nawajów, którzy długim szeregiem pojechali do przeciwległego brzegu, po czym puścili konie wpław ku obozowi białych.

Biali przygotowali się do drogi. Wkrótce potem oddział z Old Shatterhandem i Nitsas Ini na czele ruszył z miejsca. Nitsas Ini wymienił wczorajszym posłaficom, imiona dwóch zwiadowców, mających wyjechać na spotkanie króla naftowego i nie spuszczać go z oka. Zlecił, aby raczej zastrzelili całą trójkę, niż pózwolilijej umknąć. Obaj czernvonoskórzy, przeznaczeni do tego zadania, a należący do najodważniejszych i najzręczniejszych wojowników, jechali przez czas jakiś śladem Nawajów, chcąc ukryć się w miejscu z którego mogliby z daleka zobaczyć trzech białych.

400

Może w pół godziny później ujrzeli, że zagajnik wybrzeża wćzepiał się w otwarty step wąskim długim klinem. Podjechali, zaprowadzili konie do zagajnika, przywiązali je, a sami ukryli się w pobliżu. Otwar-ta równina rozciągała się w dal, dzięki czemu mogli zobaczyć króla naftowego i jego towarzyszy z odległości mili. Byli wielce zadowoleni z kryjówki i nie wątpili o powodzeniu swej misji. Niestety, przewidywania ich nie miały się spełnić! Grinley, Poller i Butter, jak już wspomnieliśmy, nie mogli jechać za Nawajami do samego obozu, gdyż noc ich zaskoczyła w drodze i mrok uniewidocznił ślady. Zsiedli więc z koni i ułożyli się do snu. Ledwo zaczęto szarzeć, znowu już siedzieli na koniach i mknęli przed siebie.

Na otwartej przestrzeni trzymali się tropu Nawajów, objeżdżając wszetkie zagajniki. Wreszcie z dala zobaczyli wyżej opisany klin zaro-śli.

Buttler osadził konia i przyglądał śię zagajnikowi z namysłem.

Następnie rzekł:

- Po tej stronie ciągnie się rozległa równina i jeśli się nie mylę, po drugiej także. Łatwo można nas z daleka dostrzec. Jeśli zastawiono na nas pułapkę, to chyba tam, w zagajniku. Nie powinniśmy się zatem zbliżać otwarcie. Podkradniemy się i biada psom, których tam znaj-dziemy!

Zeskoczył z konia i zaprowadził go ku rzece; towarzysze poszli za jego przykładem. Minąwszy nadbrzeżne drzewa, posuwali się nadal ku wodzie, pod osłoną krzaków. Oczywiście, minęło wiele czasu, zanim doszli do miejsca, skąd klin zagajnika wbijał się w równinę. Przywiązali konie i odeszli od wody, pod kątem prostym, ku klinowi. Działo się to na kilka minut przed nadejściem obu Nawajów z drugiej strony.

Przestrzegali wszelkich środków ostrożności. Nie odkryli nigdzie ludzkiej istoty, ani jej śladu. Ledwo dotarli do klina i ledwie król naftowy zaproponował, aby wrócić do koni i ruszyć dalej, Buttler 401 wyślizgnął się z pomiędzy krzewów i rzekł:

- Uwaga! ‘I~m nadchodzą dwaj czerwonoskórzy! Prawdopodob-nie to nasi tropiciele. Czy pozwolimy im przejść?

- Przejść? - odparł Poller. - Nie chcą wcale przejść, Zbliżają się do nas.

- Stanowczo. Wróćmy! Musimy ich śledzić.

Przykucnęli ostrożnie. Obaj Nawajowie nadeszli, ukryli konie w zagajniku i sami zaszyli się w gąszcz. Obie grupy oddalone były od siebie o dziesięć kroków. Indianie, przeświadczeni, że są tu sami, rozmawiali tak głośno, że biali dokładnie ich słyszeli.

- Czy biali nadejdą? - zapytał jeden.

- Nadejdą - rzekł drugi. - Chcą odzyskać papier i dlatego na pewno wrócą.

- W takim razie idą na spotkanie śmierci. Jeżeli pójdą za naszymi wojownikami, wpadną w ich ręce, jeśli zaś opamiętają się zawczasu i zechcą się wycofać, zastrzelimy ich z miejsca.

- Słyszycie? - szepnął król naftowy. - 1b nam wystarczy.

-‘Pak, wiemy wystarczająco dużo - potwierdził Buttler - Jakże tam?

- Do diabła z nimi!

- Well, jestem gotów! Bierz strzelbę i celuj w lewo! Poller niech przygotuje brofi na wszelki wypadek!

Przyłożył strzelbę do skroni i wycelował w prawego.

- Raz, dwa, trzy!

Huknęły strzały. Zaszemrały gałęzie; rozległo słę krótkie rzężenie i jęk po czym ucichło.

Biali opuścili kryjówkę i podeszli do wrogów, leżących z przebitymi głowami w gęstwinie.

- 1’ak! - roześmiał się król naftowy - Nie będą nas ścigać, ani nas nie zastrzelą. Niechaj tu zostaną dla pożywienia sępów i wilków. Zabierzmy, co nam może się przydać.

‘nzej bandyci splądrowali torby zabitych. Bardzo się im przydał

zapas żywności i amunicji. Oczywiście, zabrali także konie Indian, które mogły się przydać w podróży. Niebawem odjechali. Upewnieni, że nie grozi im ponowna zasadzka, popędzali konie,

dopóki nie dotarli do miejsca nad brzegiem, gdzie Indianie biwakowali nocą. Zeskoczyli z koni i zaczęli badać grunt, ale nie znaleźli nic poza śladami, które prowadziły wzdłuż wybrzeża.

Pojechali za tropem do miejsca, gdzie Nawajowie przeprawiali się przez rzekę. Na drugim brzegu znaleźli wyraźne ślady obozu białych. Znowu zsiedli z rutnaków, aby przyjrzeć się uważnie owym śladom.

- I tu był obóz - rzekł król nafty. - Czy wiecie kto tu obozował?
- Naturalnie Old Shatterhand i jego ludzie - odpowiedział Buttler. - Nikt inny nie mógł tu być. Wyjrzyjcie przez zagajnik! Ślad prowadzi na zachód.

- 'I~k. Nawajowie przeprawili się przez rzekę i natknęli na bia łych. Połączyli się i wszyscy ruszyli na Nijorów. A więc... - urwał i z niekłamanym lękiem spojrzał przed siebie.

- Cóż takiego? - zapytał Buttler.
- Do tysiąca diabłów! Wpada mi myśl do głowy, straszliwa, okro-pna myśl!

- Jaka?
- Jeśli jest tak, jak przypuszczam, to powinniśmy natychmiast zrobić w tył zwrot, jak stare psy, które dostały cięgi, zamiast żarcia. Na pieniądze możemyjuż nie liczyć. Nie tylko dolara, ale nawet centa nie dostaniemy!

- Do pioruna! Dlaczego?
- Ponieważ przekaz jest diabła wart! Nawajowie niewątpliwie opowiedzieli wszystko Old Shatterhandowi i Winnetou!

-'Pdk. Prawdopodobnie powiedzieli im, jak pięknie wystrychnę-liśmy ich na dudków.

- Nie chełp się, teraz my jesteśmy dudkami! Wolf, który nam odebrał czek, oczywiście rozmówił się z bankierem. C6ż więc z tego wynika?

403

- Że on... do kaduka! 'I~raz wiem co masz na myśli! Wolf wręczył przekaz bankierowi.

- Naturalnie! - syknął król naftowy.
- W takim razie wygasła ostatnia nadzieja! Wszystko, wszystko do diabła! Musisz wreszcie przyznać, że popełniłeś głupstwo! Król nafty nie chciał jednak przyznać; w następstwie powstała kłótnia i obaj bracia omal nie skoczyli sobie do oczu. Poller rozdzielił ich i rzekł:

- Nie chcecie chyba się mordować! Nie powetuje to błędu. Nie wiem, dlaczego patrzycie przez czarne szkła i poddajecie się rezygna-cji, jeszcze nic straconego!

- Nie? - krzyknął wściekły Grinley. - Czeku już nie ma!
- Nie, jest. Poprzednio był w posiadaniu Wolfa, teraz jest w posiadaniu Rpllinsa. C6ż to dla nas za rbżnica? Wszystko jedno, kto go posiada, byleby czek istniał.

- Wiem o tym; nikt nie musi mi tłumaczyć. Ale czeku już w ogóle nie ma. Jest prawie pewne, że Rollins natychmiast go zniszczył!

- Zniszczył? Uwierzę dopiero wówczas, kiedy będę miał dowód.
Zniszczył, to ma znaczyć, że rozerwał. Jeśli się rozrywa papier, nie przechowuje się później strzępków, lecz rzuca je gdziekolwiek bądź. Gdzie tu widzicie skrawki papieru? Od wczoraj nie powiał najlżejszy wiaterek, nie uniósł więc papieru; strzępki przekazu leżałyby tutaj. Przeszukajmy jednak starannie także okolicę obozu. Pomimo skrupulatnych poszukiwafi, nic nie znaleźli. Kr61 naftowy odetchnął głęboko, twarz mu się rozjaśniła i rzekł:

- Odzyskuję nadzieję. Poller mówi słusznie. Nie chowa się prze-cież rozerwanego papieru. Bankier zatem nie zniszczył czeku.

-‘I~k jest - potwierdził Poller. - Może nawet dlatego nie zniszczył, aby mieć pamiątkę po niebezpiecznych przeżyciach na Dzikim Zachodzie.

- I to możliwe. Nie traćmy humoru. Lepiej nawet, że bankier ma czek, niż Wolf. Z kieszeni starego wygi wydostalibyśmy go z trudem i

404 drogą morderstwa, bankier natomiast jest niedoświadczonym safan-dułą, który nawet nie będzie śmiał stawiać oporu.

- Bezsprzecznie - potwierdził Buttler. - Z Rollinsem sprawa łatwa. Prędzej z nim dojdziemy do ładu, niż ze starym kojotem prerii. A zatem, powzięliśmy decyzję! Co dalej?

- Pojedźmy w ślad za białymi, połączonymi z Nawajami.
- Zalecam ostrożność!
- Ba, wysłali na przeciw zwiadowców i nie przypuszczają, żeśmy ich zastrzelili. Sądzą raczej, że jesteśmy pod nadzorem i że zwiadowcy uprzedzą ich o naszym przybyciu.

Dosiedli wierzchowców, ujęli oba zdobyte konie za uzdy i ruszyli dalej za tropem Nawajów i białych.

Jechali wciąż wysokim brzegiem rzeki w pobliżu skraju lasu i krzewów; ślad był stale jednakowy, do pewnego miejsca, gdzie pogłę-bił się i rozszerzył. Jakaż była po temu przyczyna? Zatrzymali się i ponownie zeskoczyli na ziemię. W tym miejscu poprzedniego wieczo-ra Szi So czekał na Old Shatterhanda i Winnetou, i tutaj Apacz rano spotkał się z połączonymi oddziałami białych i czerwonych.

- Bawili tu przez dłuższy czas - rzekł Buttler. - Widać to dokładnie. Konie nie przebiegły terenu od razu, lecz stały na miejscu i wydeptały grunt kopytami. Co też mogło ich zatrzymać?

- Kto może wiedzieć! - rzekł król naftowy. - Prawdopodobnie dowiemy się później.

- Chciałbym już teraz wiedzieć. Spójrzcie, ślady prowadzą wprost do zagajnika! Zobaczmy, co tam zaszło!

Pozostawili konie i podeszli do zagajnika. Naraz usłyszeli krzyki w języku niemieckim:

- Rety, rety! Na pomoc, na pomoc, tu chodźcie!

Zatrzymali się i nadstawili uszu.

- Tb nie były słowa angielskie - rzekł Buttler. - Zdaje się, że raczej niemieckie. Nie zrozumiałem znaczenia.

- Ja zrozumiałem - odezwał się Poller. - Ktoś wzywa o pomoc 405 i prosi nas, abyśmy pospieszyli.
- Kto potrzebuje naszej pomocy, ten nie jest dla nas groźny.
- A jeśli to zasadzka, do której chcą nas schwytać?
- Nie przypuszczam. Chodźmy szybciej!

Pośpieszyli śladami, wiodącym do zagajnika, i wnet zobaczyli dwa osiodłane konie, przywiązane do krzaków. Zbliżyli się do wołającego o pomoc tak blisko, ż~ mógł ich zobaczyć, krzyknął bowiem:

-‘Iiitaj, tutaj, panie Poller! Bądź tak łaskaw i odwiąż mnie!
- Do licha! - zawołał Poller. - To głos zwariowanego kantora.

Komponuje operę w dwunastu aktach, innymi słowy, zbija bąki!

Chodźcie! Nie ma się czego lękać.

- Ale - wzdragał się jeszcze król naftowy - należy teraz do kompanii Old Shattrehanda i Winnetou. Kto wie, czy nie jest to pułapka na nas.

- Wątpię, bardzo wątpię! Jestem raczej pewny, że na skutek jakiegoś ponownego głupstwa zostawiono go tutaj samego. Zapuścił się w zagajnik, a za nim obaj towarzysze. Istotnie, okazało

się, że kantor miał ręce skrępowane na plecach i przywiązane do konaru drzewa. Jednak nie narażało go to na szczególne niewygody i bóle. Leżał swobodnie na miękkiej trawie, wsparty plecami o drzewo.

- Pan, panie kantorze? - zapytał Poller - To dziwne!
- Kantor emer~tus, jeśli mogę pana prosić! A to ze względu na dokładność, gdyż emeritus nie jest już aktywny, panie Poller.

- Pańskie położenie wydaje się bardziej pasywne, niż aktywne, to prawda. Jakże pan wpadł w ten stan opłakany?

- Związano mnie,
- To widzę. Ale kto?
- Stone i Parker z rozkazu pana Old Shatterhanda.
- Dlaczego?
- Nic właściwie nie wiem, nescio - rzekł kantor, wstydząc się wymienić istotną przyczynę. - Nie pytaj pan mnie teraz, lecz uwolnij jak najprędzej!

406

- Chętnie, bardzo chętnie, ale, proszę nieco cierpliwości. Old Shatterhand związał pana, aby ustrzec się przed głupstwami, do któ-rych pan jest skory. Ajednak uważam, że nie postąpił słusznie, wiązać pana tu, na pustkowiu,samotnego, bez żadnej ochrony ...

- Samotnego? Nie jestem sam! Dano mi strażnika.
- Któż to taki?
- Pan Rollins, bankier.
-'Idk? - zapytał Poller z uśmiechem. - Tylko on nikt więcej?
- Tylko on. Sam się zaofiarował. Zaklinałem go nieustannie na wszystkie moce niebieskie, aby mnie uwolnił. Cóż, kiedy to niewzru-szony, jak skała, surowy, zimny człowiek.

Pollerowi zdanie kantora o bankierze było na rękę. Starał się go utwierdzić w tej opinii.

-'I~k, okruciefistwo tego człowieka zasługuje na karę. Należy za to pana uwolnić, natomiast jego związać!

- Owszem, to będzie sprawiedliwie! Bardzo bym się cieszył i nie uwalniał go nawet, gdyby usilnie replikował. Zostawię go tutaj w więzach i pojadę w ślad za towarzyszami do Zimowej Wody.

- Ach pojechali nad Zimową Wodę? Czego tam szukają?
- Chcą napaść na Nijorów i wziąć ich do niewoli. Nie zabrali mnie ze sobą, ponieważ sądzili, że ja ... ego enim existimaba tur... że ja hm... Dlatego związali mnie, a bankier wyraził gotowość zostania przy mnie, skoro nie było innych ochotników. Wolał raczej pozostać, niż narażać się na niebezpieczefistwa walki z czerwonymi.

- Bardzo, bardzo roztropnie. Nie widzę go jednak. Gdzież on?
- Siedział na skraju zagajnika i widział, jak przybywacie. Zląkł się i ukrył.

- Czy poznał nas?
- Nie. Byliście zbyt oddaleni. Ale, ponieważ przybyliście z tej strony, a zatem nie od naszych towarzyszy, więc nie uznał was za przyjaciół.

- A więc oddalił się i wie pan dokąd?

407

- O, wiem bardzo dobrze!
- Powiedz nam pan, abyśmy go mogli sprowadzić i dowieść, że mamy względem niego i pana dobre zamiary.

- Dobre zamiary? - odpowiedział kantor, usiłując nadać twarzy wyraz szczwanego lisa. - A więc myśli pan, że ja panu wierzę, czcigodny panie Poller? Ani mi się śni! Nas, miłośników sztuki, nie łatwo oszukać.

- Nie zamierzam pana oszukać. Mówię prawdę i mam dobre względem pana i bankiera zamiary.

- Chyba względem mnie wyłącznie! Oszustwem była cała afera ze źródłem nafty. Chciał go pan naciągnąć na poważną kwotę.

- Głupstwo! Jeśli zbada dokładnie jezioro, orzeknie, że owo źródło naprawdę istnieje. Cóż kiedy nie zna się na tym i dał się przeciw nam podjudzić. Oczywiście, dostanie za to mały upominek; chcemy go związać i pana postawić na straży. Zastanów się pan co za kapitalna scena do opery! Ten, którego pan błagał daremnie, musi teraz przed panem skomleć o uwolnienie! 'Idk nakazuje sprawiedliwość, ten waż-ny czynnik w każdej sztuce teatralnej.

- 'Idk, tak, ma pan słuszność! - zawołał natchniony kantor. - Scena dla mojej opery, wspaniała świetna scena! Z początku ja jego proszę, świetna aria dla barytona. Nie chce spełnić mojej prośby, w drugim basie. A potem baryton jest wolny, a drugi bas spętany! Znowu świetna aria żałoś~i i cała scena koficzy się wielkim, przepysz-nym duetem. Tb wywiera wrażenie! Jestem panu niezmiernie wdzię-czny za pomysł.

- No, dobrze. Więc gdzie jest Rollins?

- Powiedział, że za nami w skale nadbrzeżnej znajduje się szcze-lina, zamaskowana krzewami. Miał się tam właśnie schować. Poller pobieżnie opowiedział towarzyszom treść rozmowy. Roze-śmiali się i wkrótce znaleźli szczelinę, w której przycupnął Rollins.

'IYzymali noże w rękach. Król naftowy zapytał urągliwie:

- Halloo, Rollins, co pan tu robi w tej szparze? Czy szuka pan 408 źródła nafty?

Bankier przestraszył się kiedy go poznał. Nie był bohaterem, a miał przeciwko sobie trzech bandytów.

- Bądź pan łaskaw i wyjdź do nas! - rozkazał król nafty. - Nie spełnia pan obowiązku, który ci powierzyli!

- Obowiązku? - zapytał, wychodząc lękliwie ze szpary.

- 'Pak, sir. Miał pan przecież strzec swego dobrego przyjaciela, kantora. Dlaczego pan umknął?

- Widziałem trzech nadjeżdżających jeźdźców, nie poznałem was jednak.

-'I~k! Gdyby pan nas poznał, nie uciekałbyś?
- Nie.

- Cieszy mnie, że darzy pan nas tak wielkim zaufaniem. Bądź pan łaskawy wróciE wraz z nami do kantora!

Otoczyli go i zaprowadzili do drzewa. „I~m król naftowy wyjął rewolwer , odwiódł kurek, i rzekł:

- Muszę panu powiedzieć coś wesołego. Mimo próśb kantora nie rozwiązałeś go...

- Zabroniono mi! - wtrącił szybko bankier.

- 'Ib nas nie obchodzi! Kantor jest bardzo rozżalony i żąda, abyśmy panu pokazali, jak przyjemnie być spętanym. Jesteśmy łaska-wsi od pana i spełnimy jego skromną prośbę.

- Jak pan to rozumie? - jęknął lękliwie Rollins. - Co to ma znaczyć? Czy chcecie mnie?...

- Pana spętać? 'Idk.
- Słuchajcie, ja tego nie zniosę, messurs!

Wyprostował się, przybierając minę marsową. Atoli król nafty poklepał go ręką po ramieniu i rzekł ze śmiechem:

- Nie nadymaj się daremnie, sir! Znamy pana dokładnie! Chcemy tylko sprawi~ kantorowi przyjemność; przywiązać pana, nic więcej. Skoro oddalimy się, będzie mógł pana zwolnić. A zatem co pan o tym sądzi?

409

Przybrał groźną postawę i przekładał nóż z ręki do ręki. Buttler i Poller naśladowali go. Bankierowi strach patrzaf z oczu. Powściągnąf gniew i lęk, rzekł tonem na pozór żartobliwym:

- Co ja myślę? Nic. Jeśli bawi pana zachcianka tego obłąkańca, to proszę bardzo. Nie będę się oto z wami spierał. ‘ - Bardzo rozumnie, bardzo rozumnie - odparł król naftowy. - A więc do robroty!

Uwolnił kantora. Rollins podszedł do drzewa, wyciągnął ręce i rzekł:

-‘Iania przyjemność, messurs!

Przypuszczał, że go związą tak słabo, jak kantora; ale wkrótce rozczarował się gorzko. Poller uchwycił go za prawą, Butter za lewą rękę. Pchnęli bankiera na drzewo tak brutalnie, że krzyknął z bólu. Przyłożyli jego ręce do pnia, król naftowy związał mu je rzemieniem i rzekł:

-‘Idk panie Rollins zaczyna się tania przyjemność, ale pana może to bardzo drogo kosztować. Jeśli sobie przypominamy, nosi pan w surducie miły portfel z którego pragnę coś wziąć na pamiątkę. Mówiąc to, wpatrywał się w twarz bankiera z szyderczym uśmie chem.

Rollins zbladl.

Król naftowy sięgnął mu do kieszeni, wyrwał portfel i znalazł bez trudu szukany przekaz, który natychmiast schował z triumfalnym westchnieniem ulgi. Po czym rzucił portfel do nóg bankiera. Rollins jęczał z wsciekłości. Usiłował oderwać się, lecz ciasno powiązane rzemienie wpiły się jeszcze bardziej w ciało. Nie mógł się powstrzymać od okrzyków bGlu.

- Milcz pan, uspokój się! - szydził król naftowy. - Odbieram tylko to, co mi w swoim czasie zaofiarowano.

Kantor, który nie rozumiał angielskiego i za bardzo był zajęty sceną teatralną, aby pojąć rozgrywającą się przed jego oczami scenę rzeczy-wistą, zdawał się nawet odczuwać niejaką satysfakcję z powodu złości 410 bankiera. Poller życzył mu powodzenia w zamierzonej świetnej arii na co kantor odpowiedział ukłonem.

‘IYzej bandyci podeszli do koni, dosiedli ich i odjechali. Kompozytor usiadł na wprost bankiera i mierzył go zadowolonym spojrzeniem..Rollins nie mógł pojąć jego postępowania; budziło w nim wściekłość i dlatego pod najstraszliwszą groźbą domagał się uwolnienia. Oczywiście, rozkazywał po angielsku, w języku, którego kantor nie znał.

Było to odwrócenie sceny poprzedniej, kiedy kantor z tym samym powodzeniem błagał bankiera stokrotnie po niemiecku. Podczas gdy Rollins wykrzykiwał wszystkie angielskie przekleń-stwa, kantor siedział naprzeciw i obserwował go spokojnie, gwiżdżąc przez zęby melodię, która miała się rozwinąć w świetną arię. Bankier pienił się ze złości; potem, skoro gniew jego osiągnął najwyższy stopiefi, nastąpiło raptowne zmęczenie. Teraz dopiero zastanowił się nad sytuacją. Od buchaltera Baumgartena nauczył się kilku wyrażeń niemieckich, kantor zaś znał parę słów angielskich. Czyż ten skromny zasób wiadomości lingwistycznych nie mógł od biedy wystarczyć do porozumienia się z kantorem? Bądź co bądź, postanowił spróbować.

- Mister kantor. - zaczął - to unbind, unbind!
- Kantor emeritus, proszę! - brzmiała odpowiedź
- Unbind, unbind!
- Związać? - zapytał kantor. - Chce pan coś związa~? C6ż takiego?

Trzeba wiedzieć, że w języku niemieckim słowo umbinden oznacza „związać” i jest podobne w wymowie do angielskiego to unbind, które to słowo dla odmiany znaczy „rozwiązać”.

W ten sposób porozumiewali się przez kwadrans. Przede wszy-stkim, kantor nie rozumiał bankiera; następnie uważał za rzecz słusz-ną, że ten, który mu pozwolił trwać w pętach, sam powinien doświad-czy~, jak smakują. Aliści w końcu zwyciężyła jego przyrodzona dobro-duszność. Kiedy Rollins ponowił próby wyrwania się z pęt, kantor 411 podszedł doń i z nie lada wysiłkiem rozsupłał specjalnie mocno ściągnięte więzy. Mniewał, że zasłużył na jakieś słowo dziękczynne, atoli mylił się bardzo. Rollins wyprostował się, po czym obdarzył kantora tak mocnym policzkiem, że biedny safanduła zachwiał się i runął w krzewy. Następnie Amerykanin wyprowadził konia z zarośli, dosiadł go i ruszył na zachód.

Kantor podniósł się powoli, pomacał obolałe miejsce i szepnął do siebie:

- Wdzięczność jest rzadką cnotą.

Ponieważ lękał się zostać sam, więc także wyprowadził konia z krzewów, wdrapał się na siodło i pojechał również na zachód, w kierunku białych i Nawajów.

Jak to się stało, że kantora zostawiono po drodze i nawet spętano? Otóż tego samego dnia rano nieszczęśliwiec podszedł do Hobble Franka i zapytał:

- Panie Frank, jeśli mnie dobrze poinformowano, wyrusza się przeciw Nijorom? Jak się zdaje zamierzamy na nich napaść?

- 'Ihk - powiedział Hobble.
-Tb mnie cieszy, to mnie nadzwyczajnie cieszy!
- Dlaczego?

- Nie powinien pan chyba pytać! Wie pan, że komponuję dwuna-stoaktową operę!

- Zdaje się, że pan coś o tym już przebąkiwał

- Na pewno panu mówiłem. Otóż znalazłem tutaj bohaterów, którzy są mi potrzebni; jednakże nie zaprezentowali mi się dotychczas w czynie.

- Nie? No, zdawało mi się, że dokonali czegoś, na co inni nie pokusiliby się nigdy. Pędziliśmy z jednej przygody w objęcia drugiej!

- Chętnie to przyznaję; ale bohaterstwo nie okazało się jeszcze w całej swej przepysznej wspaniałości. Chcę widzieć bitwę, w której człowiek pasuje się z człowiekiem, a bohater kładzie jednego wroga po drugim. Chciałbym przeży~ prawdziwą, krwawą walkę!

412

- Po co? Jeśli nawet szuka pan silnych wstrząsów z miłości dla sceny, to jednak z tego jeszcze powodu nie powinieneś sobie życzyć realnej walki i realnego krwi przelewu.

- A j ednak! Na tle własnych przeżyć o wiele łatwiej komponować.

Zgiełk walki, krzyki i wycie, huk wystrzałów, to wszystko trzeba słyszeć, aby później odpowiednio zaorkiestrować na instrumenty.

- Tb wszystko może pan przypłacić życiem, a wówczas co się stanie z pana piękną operą?

- My, kompozytorzy, cieszymy się szczególną opieką muz; nam nic złego nie może się zdażyć. A może pan słyszał, aby Indianie zastrzelili lub zadźgali jakiegoś znakomitego kompozytora?

- Nie, nie słyszałem.

- A więc! Mnie nic nie może grozić. Czy myśli pan, że dzisiaj dojdzie do rozprawy?

- Hm! Jeśli wszystko się tak odbędzie, jak przewidują Old Shat-terhand i Winnetou, to pokonamy wrogów bez wystrzału. Jeśli zaś nie, może doprawdy wiele krwi spłynąć. Nic nie można

przewidzeć. Jeśli na przykład, Nijorowie spostrzegą, że Nawajowie zastawili sidła, diabli ponwą nasz plan.

- W jaki sposób mogą spostrzec?
- W jakikolwiek. Głupi zawsze pyta więcej, niż może odpowie-dzieć człowiek rozsądny. Powiedziałem, że nic z góry nie można przewidzeć. Na przykład, jeśli u brodu strzeli panu do głowy biec na lewo, zamiast na prawo, wszystko będzie stracone. Hobble Frank powiedział to na poły poważnie, na poły żartobliwie.

Ale twarz kantora przybrała wyraz zadowolenia.

- Ergo - zapytał - na lewo, zamiast na prawo? Czy dobrze zrozumiałem? 'hak?

Skinął z zadowoleniem, co nie uszło uwagi Hobble Franka. Myśli-wy postanowił zwrócić się do Old Shatterhanda, aby unieszkodli-wić krwawą żądzę walki kantora. Zresztą, później kantor wygadał się całkowicie przed panią Rozalią Ebersbach i w ten sposób sam 413 przyczynił się do udaremnienia swych zamiarów.

Wkrótce po tymjeźdźców zatrzymał Winnetou, który wystąpił z zagajnika. Podszedł do Otd Shatterhanda oraz wodza Nawajów i zameldował:

- Nijorowie trwają przy swoim planie i nie zmienili stanowisk.
Moi bracia zatem mogą wykonać, co wczoraj omówiłem z Old Shat-terhandem. Uważam tylko za konieczne wprowadzić drobną zmianę.
- Jaką? - zapytał Old Shatterhand.
- Postanowiliśmy zjechać w wyschnięty bród i potem skierować ' się na prawo, dopóki nie dotrzemy do rzeki. Nijorowie zejdą ku nam z wyżyny i wówczas to zaatakują ich z tyłu Nawajowie. Ale należy doprowadzi~ do tego, aby wróg nie użył broni palnej. Może kogoś z nas zastrzelić, lub zranić. Wobec tego musimy od razu ich przekonaE, że zginą, jeśli wdadzą się w walkę.

- Winnetou ma słuszność. Musimy mieć przy boku paru Nawajów, aby od razu dowieśE Nijorom, że wpadli we własne sidła.

-'I~k też myślę - rzekł wódz Apaczów.
- Ale owi Nawajowie nie powinni przyby~ razem z nami, raczej muszą nas oczekiwać na miejscu w ukryciu przed Nijorami.
- Mój biały brat wyczytał moje my5li.
- Łatwo odgadnąć, co mój czerwony brat ma na myśli. Nijorów jest trzystu, podczas gdy Nawajów sześciuset. Wystarczy, obsadzić tyły wroga pięcioma setkami wojowników, a setka musi tutaj, z wysokiego brzegu, zejść do rzeki i podkraść się aż do ujścia Zimowej Wody. „Pdm wojownicy schronią się w zagajniku i będą oczekiwali naszego przy-l bycia. Kiedy przybędziemy, a Nijorowie zechcą się na nas rzucić, setka owych wojowników wystąpi z ukrycia i przyłączy do nas. Tb wywrze właściwy skutek; wrogowie będą oszołomieni, a nasze posiłki, czyli pięciuset wojowników, będą miały dosyć czasu, aby wpaść na ich tyły.

-'Idk jest. Przyznaję słuszność słowom Old Shatterhanda. Nitsas Ini, mężny wódz Nawajów, niech wybierze setkę wojowników; bez-zwłocznie zaczną się skradać do ujścia Zimowej Wody. Następnie

414 pięciuset pozostałych odjedzie, a skoro tylko, według naszego obli-czenia, dotrą do swoich stanowisk, natychmiast stąd wyruszymy. '1'dk się też stało. Stu Nawajów ukryło się w zaroślach, aby następnie zejść do rzeki. Oczywiście, nie mogli ze sobą zabierać koni, powierzyli ich wodze towarzyszom. Wkrótce potem i reszta Nawajów ruszyła w drogę.

Kiedy więc Nawajowie oddalili się, Old Shatterhand powtórnie wyłożył swój plan przed osadnikami. Nawoływał ich do zachowania ostrożności i spokoju, ostrzegał przed zgubnymi następstawami naj-drobniejszych wykroczeń. Naraz odezwała się pani Rozalia:

- My wszyscy na pewno, jużci, nie popełnimy nic takiego, ale znam jednego, który zaplanował sobie głupi figiel.

- Któż to?

- Któż to? I pan jeszcze pyta! Kiedy mowa o głupich figlach, może pan chyba odgadnąć, kogo mam na myśli. Oczywiście kantora. Chciał mnie namówić do takiego samego głupstwa. Otóż zamierza, skoro przybędziemy nad Zimową Wodę, skierowaE się na lewo.

- Do diabła! Mógłby przekreślić wszystkie nasze rachuby! Czy to prawda, co mówi pani Ebersbach? Pytanie było skierowane do kantora.

-'I~k - odpowiedział kantor półgębkiem.

- Chce pan obrać inny kierunek? Co pana do tego skłoniło.

- Moja opera.

- Opera pana! A więc znowu dla swego urojenia narażasz nas na niebezpieczeństwo! Dlaczego owa znakomita opera nasunęła panu ten pomysł?

Kantor nie mógł wykrztusić wyjaśnienia. Zamiast niego odezwał się Hobble Frank:

- Wiem dobrze, jaki zamiar leży na hipotece jego planu. Kantor powiedział mi poprzednio, że chciałby uzyskać dla swej opery heroi-cznej scenę walki, pojedzie zatem na lewo, aby Nijorowie nas spo-strzegli i aby dzięki temu rozpętała się walka.

415

Wszyscy byli wstrząśnięci okrutną lekkomyślnością kompozytora.

- Straszliwy człowiek! - rozgniewał się Old Shatterhand. - Ale postaramy się, aby nie mógł nam szkodzić. Nie pojedzie z nami; zostanie tutaj.

Kantor z oburzenia odzyskał mowę:

- Nie przyzwalam, panie Shatterhand. Nie jestem żołnierzem, rekrutem, który słuchać musi rozkazów!

- Usłucha pan. Zostanie pan tutaj pod nadzorem.

- Ucieknę.

- Pięknie! W takim razie spętamy pana.

1'ak się też stało, mimo sprzeciwów niezrównoważonego kompo-zytora. Należało powierzyć komuś nadzór. Bankier sam się zaofero-wał, ponieważ nie nęciło go spotkanie z Nijorami. Old Shatterhand zgodził się i surowo zakazał rozwiązywać kantora. Tymczasem oddziały Nawajów skryły się za horyzontem. Należało przypuszczać, że niebawem staną u celu. Old Shatterhand zarządził wymarsz.

Droga oddziału biegła równolegle do rzeki, więc dojechano do Zimowej Wody pod kątem prostym. Sama Hawkensa nie opuszczał dobry humor. Śmiał się głośno i prowokował innych do śmiechu, pragnącw ten sposób wprowadzićwroga w błąd. Przybywszy do brodu, zaczęto zjeżdżać w dół w wyschnięte łożysko. Winnetou i Old Shat-terhand jechali na czele. Nic nie mogło ujść ich przenikliwych oczu, chociaż udawali, iż jazda w wesołej kompanii rozprasza ich uwagę. Na lewo stało kilka głazów. Spoza jednego wyjrzała ostrożnie głowa Nitsas Ini.

Tbwarzystwo skręciło na lewo i pojechało wyschniętym łożyskiem do ujścia Chelly. Z prawej i lewej strony wznosiły się wysokie i strome skały, a z przodu mknęła woda Chelly. Na jej brzegu ciągnął się wąski, ale bardzo gęsty pas zarośli. 'Iinaj się zatrzymano. Old Shatterhand wpatrzył się uważnie w krzewy. 'I~zasnęła jakaś gałązka i na chwilę ukazała się ręka czerwonoskórego. Był to

znak 416 obecniści setki Nawajów. A więc udało się wziąć wroga w kleszcze. Old Shatterhand, wskazując na kąt między skałą nadbrzeżną, a jej występem z lewej strony rzekł:

- Kobiety i dzieci niech się ukryją; nic im tam grozić nie może.

Wymienieni usłuchali rozkazu. Oparła się tylko pani Rozalia.

- Co? Ja miałabym się ukrywać? - rzekła - Co pomyślą o mnie ci Indianie!

Wyrwała strzelbę z ręki męża, uchwyciła za lufę i groźnie wymachi-wała kolbą nad głową.

- Precz ze strzelbą! - ostrzegł Old Shatterhand. - Nijorowie obserwują nas i mogą z tego ruchu wnosić, że spodziewamy się rozprawy; Wkróice nadbiegną z krzykami i wyciem. Wówczas niech każdy przyłoży broń, ale nie strzela. Skoro jednak groźba ich nie powstrzyma, trzeba będzie się bronić. W takim razie strzelajcie na moją komendę, ale starajcie się czerwonych oszczędzać i trafia~ w nogi. A teraz siądźcie sobie najspokojniej w świecie na ziemi. Biali usiedli twarzami zwróceni w kierunku łożyska rzeki, stamtąd bowiem mieli wypaść Nijorowie.

Old Shatterhand i Winnetou stali obok siebie i na pozór beztrosko gawędzili. Zimowa Woda podczas nawodnienia unosiła mnóstwo głazów i osadzała je w pobliżu ujścia. Głazy te mogły służyć za osłonę; należało się spodziewa~, że skorzysta z niej awarigarda Nijorów. Istotnie, wkrótce Winnetou, przyjrzawszy się bacznie jednemu z głazów, rzekł do Old Shatterhanda:

- Za wielkim trójkątnym głazem kryje się nieprzyjaciel! Czy mój brat go dojrzał?

-'Pak. Widziałem, jak pełzał do głazu. To sam wódz Mokaszi.

- A więc nadeszła chwila. Czy mój brat nie sądzi, iż lepiej nie czekać na ich natarcie?

- Czy chcesz z nimi mówić?

- Nie. Niech przemówi mój biały brat. Masz sztucer, który uwa-żają za broń zaczarowaną. A zatem głos twój bardziej zaważy od mego.

14 - Król naftowy 417

- Dobrze, zobaczymy!

Półgłosem wypowiedział kilka słów w kierunku zagajnika, gdzie zaczaiła się setaka Nąwajów i rzekł do białych:

- Nijorowie nadchodzą. Podnieście się i przyłóżcie strzelby do ramion!

Postąpił kilka kroków i przygotowawszy sztucer do strzału, zawołał w kierunku głazu:

- Czemu chowa się Mokaszi, wódz Nijorów, skoro chce nas odwiedzić? Może do nas przybyć otwarcie. Wiemy, że znajduje się tutaj wraz z trzema setkami swych wojowników.

- Uff, uff! - rozległo się za skałą i Mokaszi podniósł się. - Białe psy wiedzą, że jesteśmy? A jednak przybyli tutaj? Czyż Wielki Duch spalił im mózgi, że tak nieliczni ośmielają się stanąć do walki z nami?

- Czy Mokaszi, wbdz Nijorów, stracił wzrok? Czyż nie widzi, że nasi ludzie stoją gotowi zastrzelić każdego wroga? I czy nie widzi zaczarowanej strzelby w mojej ręce?

- Wpadniemy na Old Shatterhanda z takim impetem, że zdąży tylko dwukrotnie, lub trzykrotnie wystrzelić. Zmiażdżą go razy moich wojowników. Biali mają do wyboru albo się poddać, albo zginąć w nurtach rzeki. Widzą chyba, że są otoczeni.

Podniósł rękę wysoko. Na ten znak spoza wszystkich kamieni wyłonili się Nijorowie. Inni, którzy nie znaleźli miejsca za głazami, przybiegli wnet z okrzykiem wojennym na ustach. Nie rzucili się jednak na białych, lecz zatrzymali za swym wodzem, ponieważ Mokaszi również stał na miejscu. Znowu podniósł rękę; natychmiast ucichło i Mokaszi zawołał do Old Shatterhanda:

- Białe twarze widzą, że są zgubieni, jeśli zechcą walczyć. Rozwa-ga nakazuje się poddać.

- My, nieliczni biali, nie lękamy się trzystu Nijorów. Na domiar nie przybyliśmy sami. Skoro Mokaszi podniósł rękę, ukazali się jego wojownicy. A teraz ja podniosę swoją.

Na sygnał Old Shatterhanda z zagajnika wybiegło stu Nawajów, 418 ustawili się w dwuszeregu i skierowali strzelby w Nijorów. Ci wydali okrzyk zaskoczenia. Żaden z nich nie śmiał wycelować strzelby w białych, gdyż ci ich ubiegli, dzięki czemu mieli znaczną przewagę; mogli bowiem wypalić, gdyby tylko Nijorowie podnieśli broń. Old Shatterhand nakazał milczenie.

- Czemu wódz Nijorów spogląda wciąż naprzód? Niechże obejrzy się w tył!

Mokaszi odwrócił się, a wojownicy w ślad za nim. Poprzednio zwrócił całą uwagę na to, co się dzieje przed nimi; teraz w odległości dwudziestu kroków od siebie zobaczyli pięciuset Nawajów, którzy zajęli całą szerokość łożyska w ośmiu, lub dziewięciu rzędach. Przed nimi stał wódz i zawołał do Mokasziego:

-'Iii stoi pięciuset Nawajów, a przed wami stu oraz niezwyciężeni biali mężowie. Czy wódz Nijorów życzy sobie walki? Nijorowie zawyli. Dwukrotnie liczniejsi Nawajowie łatwo ich prze-krzyczeli, okrzykiem zwycięstwa. Old Shatterhand ponownie nakazał milczenie i rzekł podniesionym głosem:

- Pytam Mokasziego, jak pytał Nitsas Ini, czy życzy sobie walki.

Przeszło sześćset kul przebije stłoczony tłum Nijorów. Ilu ujdzie z życiem? Żaden.

Mokaszł~ przez długą chwilę spoglądał przed siebie ponuro, zanim odrzekł:

- Umrzemy. Ale każdy z nas przynajmniej zabije przedtem jed-nego Nawaja.

- Nie wierzysz w swoje własne słowa; jeśli któryś z was podniesie strzelbę , wszycsy wypalimy. Czyście oślepli i ogłuchli, że nie widzie-liście ani nie słyszeliście, jak Winnetou i ja zakradliśmy się wczoraj pod wasz obóz? Siedziałeś ze starymi wojownikami pod skałą, w pobliżu brzegu; my leżeliśmy na jej wierzchołku. Słyszeliśmy każde wasze słowo. Czy nie wiecie, jak trzeba być ostrożnym, gdy topór wojny został wykopany?

- Uff, uff! - zawołał zaskoczony Mokaszi. - Old Shatterhand i

419

Winnetou leżeli na kamieniu, pod którym siedzieliśmy?

-'Pdk. Słyszeliśmy, jak omawialiście plan zasadzki. Po co porwa-liście się na ludzi, o których wiecie, że nie lękają się wszystkich wojowników waszego szczepu razem wziętych?

Mokaszi opuścił strzelbę i rzekł:

- Wielki Manitou był przeciwko nam; nie chciał, abyśmy zwycię-żyli. Old Shatterhand lub Winnetou niech podejdą do mnie, aby ze mną walczyć. Kto z nas zabije przeciwnika, tego plemię ujdzie jako zwycięzkie.

- Czy łudzisz się, że zdołasz pokonać mnie, albo Winnetou? Czy słyszałeś, aby któregoś z nas pokonano?'Ii~oja propozycja nie zmieni waszego losu. Atoli my nie jesteśmy zwolennikami przelewu krwi i dlatego chcemy uniknąć walki.

- Jakże możecie jej uniknąć? Czy przypuszczasz, że się poddamy na waszą łaskę i niełaskę?

- Bynajmniej, gdyż tak nie poddają się mężni, a Nijorowie są mężnymi wojownikami. Czy nie znasz Old Shatterhanda i Winnetou, czy sądzisz, że chcą zgotować wam i waszym potomkom wieczną hańbę?

Mokaszi odetchnął z ulgą i zapytał:

- W jaki więc sposób można uniknąć walki, aby nassce kobiety i dzieci nie wytykały nas palcami?

- Zastanowimy się nad tym. Niech podejdą do mnie Mokaszi, Nitsas Ini i Winnetou. Mokaszi może zabrać ze sobą broń, gdyż nie poddał się jeszcze i uchodzić musi za wolnego człowieka.

- Przyjdę.

Podniósł strzelbę i podszedł do Old Shatterhanda; usiadł przy nim z godnością wodza. Biały myśliwy, Winnetou i Nitsas Ini również usiedli.

Nitsas Ini musiał przejść przez szeregi Nijorów. Przepuścili go bez słowa, aczkolwiek niektórzy wodzili za nim posępnymi spojrzeniami. ‘I~raz mogła się rozpocząć narada. Uczestnicy jej siedzieli może 428 kwadrans w milczeniu, jak wymagał indiafiski zwyczaj. Każdy był pochłonięty własnymi rozważaniami. Old Shatterhand i Winnetou wpatrzyli się uważnie w obu wodzów, jak gdyby pragnąc wyczytać ich najtajniejsze myśli. Następnie porozumieli się krótkim spojrzeniem i Winnetou zagaił obrady:

- Czterej wojownicy zeszli się dla układów. Który z nich ma m6 wić?

Znowu przez chwilę trwało milczenie. Po czym odezwał się Nitsas Ini:

- Nasz brat Old Shatterhand nie chciał przelewu knwi; niechajże zacznie!

-Howgh! -potwierdzili pozostali.

Old Shatterhand również przeczekał chwilę, aby zaakcentować swoje słowa; wreszcie przemówił:

- Moi bracia wiedzą, że jestem przyjacielem czerwonych. Cały kraj od morza do morza należał do Indian, lecz oto przybył biały i odebrał im wszystko, przynosząc w zamian swoje choroby. Indianin przeobraził się w steranego cierpieniami nędzarza, który wkrótce umrze. Biały zgnębił go tym, że zasiał niezgodę i że podszczuwałjedno plemię przeciw drugiemu. Czerwoni mężowie byli tak niemądrzy, że wzajemnie się tępili i nie zmądrzeli dotychczas. Przecież dokonaliby wielkich czynów, gdyby zapomnieli o niesnaskach i rozważyli w du-chu, że są jednak braćmi. Czy mam słuszność?

-Howgh! -rozległo się dokoła.

- ‘Pdk, mam słuszność, gdyż o prawdzie moich słów świadczy rozbrat, panujący między dwoma szczepami Apaczów, którzy tępią na sobie topór wojny. Mój brat Nitsas Ini niech mi powie, z jakiego powodu wyruszył przeciwko Nijorom?

- Ponieważ wykopali przeciwko nam topór wojny.

- Dobrze. A teraz niech mi Mokaszi powie, dlaczego poprowadził swoich wojowników przeciw Nawajom?

- Ponieważ wykopali przeciwko nam topór wojny.

15 - Król naftowy 421

- Czy nie rozumiecie, co chcę powiedzieć? Pytałem o powody za targu, lecz wy nie mogliście ich wymienić; każdy z was podaje tylko fakt, że przeciwnik wykopał topór wojny. Czyż nie tak małe dzieci skaczą sobie do oczu dla kaprysu?

Przeczekał chwilę po czym dodał:

- Mój czerwony bart Nitsas Ini jest nie tylko słynnym i mężnym wojownikiem, ala także rozważnym i mądrym władcą swego plemie nia. Zrozumiał, że czerwony człowiek umrze, jeśli zasklepi się w ciemnocie. Dlatego powziął mądre postanowienie. Poślubił białą squaw; kocha ją i zawdzięcza jej wiele. Wysłał syna za morze, aby się nauczył, jak pustynię można przemienić w żyzny kraj. Nitsas Ini wie, że wojna pociąga za sobą niedolę, że szczęście można osiągnąE jedynie w pokoju. Czyżby się naraz zmienił? Czyżby dzisiaj łaknął krwi swoich czerwonych współbraci?

- Uff! Uff! Nie życzę sobie tego! - zawołał Nawaj.

- Wiedziałem o tym. Gdyby było inaczej, nie nazywałbym się dłużej twoim przyjacielem i bratem. Ale w czym zasmakował Moka-szi, wódz Nijorów? Wyruszył na wojnę bez słusznej przyczyny i nie uzyskał nad wrogiem najmniejszej przewagi. Musi nawet przyznać, że w chwili obecnej znajduje się w opłakanej sytuacji. Czy zechce przy-znać?

- Howgh! - skinął Mokaszi, który zrozumiał intencje Old Shat terhanda.

- A czy człowiek roztropny w chwili takiego niebezpieczeństwa wciąż jeszcze będzie nastawał na życie swoich przeciwników, w któ-rych mocy się znajduje?

- Nie.
- Doskonale, jesteśmy jednomyślni, I Nitsas Ini, i Mokaszi pragną zgody. Chodzi teraz tylko oto, czyja krew się przelała i jakiego żąda powetowania. Czy Mokaszi stracił jakiegoś wojownika i czy zatem pragnie zemsty?

- Nie.

422

- A więc pytam ż kolei swego brata Nitsas Ini.
- Khasti Tino i jego przyjaciel zginęli.
- Czy z rąk Nijorów?
- Nie. Z ręki białego, zwanego królem naftowym.
- Czy za śmierć ich poszukujesz zemsty na Nijorach.
- Nie.
- A więc jesteście skwitowani. Nierówność polega tylko na tym, że Nijorowie są zamknięci i że krew ich popłynie niechybnie, jeżeli dojdzie do walki. Atoli Nitsas Ini oświadczył, że nie pragnie przelewu krwi. Nijorowie zaś mają w swej mocy ośmiu wojowników Nawajów. Czy tych szans nie można zrównać? Nijorowie wydadzą jeficów, a Nawajowie otworzą potrzask. Wówczas zakopie się topór wojny z powrotem. Mam nadzieję, że moi bracia zgodzą się na moją propo-zycję. ‘Ib bowiem należy uczynić!

Wyjął zza pasa kopciuch z tytoniem, zdjął z szyi fajkę pokoju, napełnił ją i położył przed sobą. Następnie zapytał Mokasziego:

- Czy wódz Nijorów przystaje na moją propozycję?
- ‘Pdk - brzmiała odpowiedź. Mokaszi był szczęśliwy, że za tak niską cenę uniknął klęski.

- A co o tym powie wódz Nawajów?
Nitsas Ini nie od razu przystał:

- Propozycja mego brata Old Shatterhanda zapewnie korzyść Nijorom. Skoro moi wojownicy ich otoczyli, łatwo możemy odbić ośmiu jeficów. Wystarczy tylko kilku ludzi wysłać do obozu Nijorów. Powiedz zatem, co zyskujemy na twojej propozycji?

- Zapytam raczej, komu zawdzięczasz przewagę nad Nijorami?
- Tbbie i Winnetou - odpowiedział Nitsas Ini zgodnie z prawdą.
-‘Pdk, nam zawdzięczasz. Nie chełpię się tym bynajmniej, chciał-bym cię tylko skłonić do pobłażliwości w stosunku do twoich czerwo-nych braci. Co na to powie Winnetou?

- Mówiłeś tak, jakbym ja mówił. - odrzekł Apacz.
- A więc słowo ma Nitsas Ini!

423

Wódz zmierzył długim spojrzeniem szeregi swoich wojowników, a potem bezładny oddział wrogów. Nie chciało mu się, oczywiście, zrezygnować z tak ogromnej przewagi. Przez kilka chwil zwlekał z odpowiedzią, wreszcie oświadczył:

- Mój brat Old Shatterhand ma słuszność.

- I jesteś gotów wypalić kalumet z Mokaszim?
-'lhk.
Old Shatterhand podniósł się, zwrócił w stronę Indian i zawołał:

- Wojownicy Nawajów i Nijorów niech tutaj skierują swe uszy i oczy aby usłyszeć i zobaczyć, co postanowili ich wodzowie! Zapalił tytoń i wręczył Nitsas Ini fajkę. 'I~n podniósł się, wypuścił dym ku niebu, ku ziemi i w kierunku czterech stron świata, po czym zawołał głośno, aby wszyscy mogli go słyszeć:

- lbpory wojenne zakopiemy, wypalimy fajkę pokoju. Nijorowie wydadzą jeńców, po czym staną się naszymi braćmi. Palę i mówię w imieniu wszystkich swych wojowników. Znaczy to nie mniej, niż sami wypaliliby kamulet. Powiedziałem. Howgh!

Nawajowie prawdopodobnie nie bardzo byli zadowoleni z takiego rezultatu układów. Ciężko im było wyrzec się plonów oczywistego zwycięstwa. Jednakże, wychowani w żelaznej dyseyplinie, słuchali słów wodza bez szemrania. Kalumet jest dla Indian świętością. Nitsas Ini wręczył fajką Mokasziemu, który z kolei podniósł się, pociągnął sześć razy i oznajmił tak samo głośno, jak Nitsas Ini:

- Słuchajcie, wojownicy Nijorów i Nawajów, topory wojny znów są zakopane. Mężowie Nawajów otworzą pierściefi, w którym nas zamknęli i staną się naszymi braćmi. Potwierdziłem słowa kalume-tem, a więc stało się tak, jak gdyby każdy wojownik z osobna powie dział i wypalił fajkę pokoju. Howgh!

Najbardziej zadowoleni byli Nijorowie; nie spodziewali się takiego wyjścia z niebezpiecznego położenia. Old Shatterhand i Winnetou, jako świadkowie układu, musieli również pociągnąć z fajki pokoju, aczkolwiek w milczeniu.

424

Posiedzenie wodzów było zamknięte. Nawajowie ustąpili ze stano-wisk, a że nad rzeką było ciasno, więc wszyscy udali się do obozu Ni jorów, aby tam uczcić Swięto pokoj u i uwolnić jeńców. Winnetou, Old Shatterhand i Wolf z obowiązku poszli za wodzami, podczas gdy ich towarzysze zostali w wyschniętym łożysku rzeki.

Kara

Z ożywieniem rozprawiano o ubiegłych zdarzeniach; zwłaszcza Frank i pani Rozalia toczyli gorliwy dialog, do którego chwilami dorzucał swoje zdanie Adolf Wolf. Wkrótce jednak udał się do stryja. U brodu natrafił na Nawajów, którzy sprowadzali konie z ukrycia do obozu. Nitsas Ini kierował robotą; stali przy nim Winnetou i Old Shatterhand. Naraz na krawędzi brodu ukazał się jeździec i zawołał:

- Mister Shatterhand, dobrze, że pana widzę!
- Rollins! - odpowiedział zapytany. - Pan tutaj? Powinien pan był zosta~ przy kantorze i czekać na gońca. Dlaczego pan opuścił stanowisko?

- Zaraz panu powiem.
Podjechał powoli, zeskoczył z konia i zawołał podniesionym gło-sem:

- Bodajbym tam nie został, lecz pojechał z wami! Gdyby pan wiedział, co ja przeżyłem!

- Co pan przeżył? Co się stało?
- Rzecz straszna! Kr61 naftowy znowu odebrał mi przekaz!
- Król naftowy? Do pioruna! Odpowiedz pan szybko!
Bankier zdał sprawę z przygody.

- Człowieku, - krzyknął Old Shatterhand - postąpił pan chy-trze, bardzo chytrze! Dlaczego pan nie zniszczył czeku?

426

- ‘Iak, ma pan rację. Chciałem zachować go na pamiątkę; teraz gorzko żah~ję. Odzyskajcie ten blankiet, sir, błagam pana!

-‘Idk, wiecznie mamy naprawiać pana błędy! Czy widział pan, w jakim kierunku pojechali bandyci?

- Z prądem rzeki. Zawrócili w kierunku, skąd przybyli~my.
- A więc w rzeczy samej jechali w ślad za Nawajami, aby napa~ć na Wolfa i odebrać mu przekaz. Przypadek sprzyjał im i ułatwił wykonanie zamiaru. Ile czasu już upłynęlo?

- Sporo. Kantor nie chciał mnie uwolnić.
- A więc musimy ruszyć czym prędzej.
- Czy z prądem rzeki? - zapytał wódz Nawajów.
-‘Pdk, trzeba poszukać ich śladów; chociaż wątpię, czy następnie pojechali przeciw prądowi.

- Musieliby tędy przejechać!
- Nie. Przeprawili się na drugi brzeg.
- Uff! Czy mój brat ma jakieś podstawy do takiego sądu?
-‘Pdk. Mają czek, a zatem pragną czym prędzej dostać się do San Francisco. Muszą więc jechać do Kolorado tą samą drogą, którą obrali, kiedy przybyli do waszego obozu. Nie mogli zaś przejechać tędy, bo dowiedzieli się od kantora, że tutaj jesteśmy. Cofnęli się przeto do miejsca, gdzieśmy wczoraj obozowali, po czym przeprawili się przez rzekę. Niech mój czerwony brat powiedzie swoich wojowni-ków wstecz, aż do miejsca, gdzie można przedostać się na drugi brzeg. ‘1’dm niechaj poszuka ich śladów i zobaczy, czy opuścili już tę miejsco-wość.

- Na pewno opuścili!
- Nie. Należy sądzić, że się ukryli gdzieś, aby śledzić przebieg walki. Mój brat musi tak szeroko obstawić drogę, aby nie mogli się przedostać.

- A co uczyni Old Shatterhand?
- Ja z Winnetou pojedziemy naprzód. ‘Ii~op ich łączy się z naszym, więc trudno go będzie odczytać, dlatego wolelibyśmy sami udać śię

427 na poszukiwania. Musimy jednak zabrać ze sobą kilku towarzyszy.

- Wszak posłałem zwiadowców na spotkanie tych psów! Chyba ich nie spostrzegli.

- Może ich zabili. Niechaj mbj czerwony brat nie zwleka, niech natychmiast jedzie!

Nad brodem znowu ukazał się jeździec; to kantor nadjeżdżał w błogiem poczuciu swej niewinności.

- Wracam - rzekł dobrodusznie.
- Bardzo nas cieszy, że pana widzimy - odpowiedział ironicznie Old Shatterhand. - Związemy pana ponownie.

- Nie ścierpię tego. i~eto. Nie ma pan żadnej nade mną władzy!
- Zaraz się przekonamy.
Szepnął do Nawajów kilka słów, których kantor nie rozumiał; wzięli go między siebie, odwiedli na stronę, mimo sprzeciwów spętali i niezbyt życzliwie wypisali mu na skórze wszystkie jego grzechy. Wkrótce potem Nitsas Ini popędził wraz z dwudziestoma jeźdźcami w górę rzeki. Mokaszi przyłączył się do niego z oddziałem Nijorów. Winnetou, Old Shatterhand i Sam Hawkens pojechali wraz z dziesięcioma Nawajami z prądem rzeki. Z trudem uproszono innych westmanów, aby pozostali w obozie.

Osadnicy siedzieli jeszcze nad wodą; była między nimi biała squaw wodza. Mówili o swej przeszłości i o planach. Wkrótce przyłączył się do nich Wolf. Squaw, rzekła dofi:

- Mówimy o przyszłości naszych ziomków. Przybyli tutaj jako osadnicy. Nie posiadają środków; tylko Ebersbachowie, jedyni z nich majętni, chcą innym dopomóc. Rozmówię się w tej sprawie z moim mężem.

To zbyteczne - uśmiechnął się Maitso.

- Dlaczego?
- Ponieważ ja już rozmawiałem.
- I co oświadczył?
- Chce sprawić pani przyjemność i zatrzyma tych białych na 428 swoich terenach.
- Pięknie! Zb mnie nadzwyczajnie cieszy! Jakże pan sobie wyob-raża ich przyszłość?

-Bardzo prosto. Dostanęwpodarunku ziemię. Starczyjej, starczy lasu, pastwisk i ról. Nasiępnie udamy się do Guayolote, lub La Tinajo, gdzie kupimy narzędzia. Postaramy się takie o konie i bydło. Czy zechcą jednak te dary przyjąć?

Pytanie było skierowane do pionierbw. Pani Rozalia, którą natura obdarzyła elokwencją, uścisnęła białą squaw, podała rękę Wolfowi i zawołała:

-'I~raz niech mi ktoś powie, że dzicy są gorsi od naszych wykształ-a conych inteligentów! U nas tam nigdy i nigdzie nikt nikomu nic! Odtąd jestem z Indianami, a nie z białymi. Mam nadzieję, że kantor nie zechce z nami zostać. Smutne byłoby to nasze szczęście!

- Nie, zabierzemy go ze sobą do La Tinajo ~ zapewnił Wolf. - 'I~n pechowiec może nas tylko narazić na nieprzyjemności. Spodoba się wam u nas. Snujemy tu wielkie plany, przybyliście w sam czas. Tym się poniekąd tłumaczy nasza wspaniałomyślność. Szi So i mój brata-nek mają doprowadzić do kofica dzieło, które myśmy rozpoczęli... Ale uważajcie! Co tam się dzieje na przeciwległym brzegu rzeki? Brzmiało to jak śmiertelny okrzyk! Czyżby król naftowy i jego towarzysze wpadli w ręce naszych ludzi?

Król naftowy oraz jego towarzysze, zgodnie z przypuszczeniami Old Shatterhanda, dojechali do poprzedniego obozowiska Nawajów i tam przeprawili się na drugi brzeg. Chociaż śpieszno im było do Kolorado, postanowili się przekonać, które plemię odniesie zwycię-stwo. Zostali więc nieopodal brzegu i wyszukali miejsce, skąd nie-postrzeżenie mogli śledzić przebieg zdarzeń.

Musieli nadłożyć drogi i dlatego przybyli na miejsce za późno. Wynik, to znaczy pokój, byłjuż faktem dokonanym; czerwoni wycofali się na górę do obozu, gdzie bandyci ich nie mogli dojrzeć. Zobaczyli tylko białe kobiety i mężczyzn, rozmawiających sobie nad Zimną 429 Wodą. Przekonani, że rozstrzygnięcie jeszcze nie nastąpiło, zostali dłużej, niż pozwalało na to bezpieczefistwo. Nie przeczuwali, że Old Shatterhand już ich tropi, że Nitsas Ini i Mokaszi wraz z czterdziestu wojownikami zagrodzili im drogę.

Jak już wspominaliśmy, Buttler i król naftowy postanowili korzy-stać z usług Pollera do czasu, a następnie pozbyć się go na zawsze. Nie ustalili, kiedy to ma nastąpić, wobec czego szukali okazji do rozmó-wienia się na osobności. Aliści Poller nie był złym obserwatorem i zwietrzył niebezpieczefistwo. Podejrzanie wzrosło, skoro obaj wspól-nicy przestępstwa oddalili się. Podczołgał się do nich ukradkiem; zaledwie dwa kroki ich dzieliły. Przez jakiś czas nic nie rozumiał, lecz niebawem król naftowy podniósł nieco głos:

- 'I~raz jest najlepsza okazja. Znienacka zgładzimy go nożem.

Kiedy znajdą go biali, pomyślą, że zamordowali go czerwoni. Poller był tak rozgoryczony, że rezygnując z ostrożności, podniósł się nagle i stanął przed nimi twarzą w twarz.

- Co, chcecie mnie zgładzić! - huknął. - Czy to podziękowanie za ...

Nie mógł dokoficzyć. Jedno ostatnie spojrzenie i Grinley chwycił Pollera za gardło, a Buttler przebił mu nożem pierś. Ofiara zdołała wydać tylko okrzyk śmiertelny. Złoczyńcy ograbili trupa i porzucili. Przez godzinę jeszcze obserwowali wychodźców nad Zimną Wodą. Nic się nie zdarzyło, więc w końcu skoczyli na siodła i trzymając wolne konie za uzdy, pomknęli na równinę.

W pięć minut poźniej nadjechał Old Shatterhand z towarzyszami. Przezwyciężyli wszystkie trudności i jechali śladem łotrów aż do tego miejsca. Zobaczyli odciski stóp i zwłoki ludzkie.

- Mój Boże, to Poller! - krzyknął Shatterhand. - Zamordowali kompana, aby go się pozbyć. Nie żyje i dostał już swoją zapłatę! Stąd nas obserwowali.

- Mój brat niech nie zwleka! - przerwał Winnetou. - Odjechali przed niespełna pięciu minutami. Na kofi! 430

Dopadli wierzchowców i pogalopowali w ślad za obu mordercami.
W dziesięć minut później zobaczyli ich przed sobą na równinie.
Buttler, obejrzawszy się przypadkowo, zauważył prześladowców.
- Na miłość Boską, Old Shatterhand i Winnetou z białymi i czerwonymi! - zawołał. - Szybko, szybko, w cwał! Spięli konie ostrogami, lecz prześladowcy zbliżali się coraz bar-dziej.

- Dogonią nas - krzyknął król naftowy. - Nie ujdziemy... Mu-simy wjechać do zagajnika!

Skierowali się w lewo ku zagajnikowi, który klinem wbijał się w równinę. W zagajniku tym zamordowali zwiadowców Nawajów. 'I~mczasem Nitsas Ini obsadził wojownikami całą równinę. Ponie-waż jednak ścigani mogli umknąć pod osłoną drzew nadbrzeżnych, więc na czele kilku wojowników podążył pieszo ku rzece. Prowadziły stamtąd do zagajnika świeże jeszcze ślady. Idąc za nimi, Nitsas Ini natrafił na ciała zabitych zwiadowców.

Straszliwa nienawiść ogarnęła wodza. Naraz usłyszał tętent kopyt. Pomknął ze swoimi na skraj zagajnika i zobaczył bandytów, uciekają-cych przed pościgiem. Kilka śmiałych susów i znalazł się przy nich. Po chwili siedziałjuż za plecami króla nafty.

- Zemsta za Khasti Tine! - krzyknął, zrywając Grinleyowi kape-lusz z głowy. - Do mnie należy twój skalp!

Zanim przerażony Grinley zdążył się przeciwstawić, ostry nóż wślizgnął się pod skórę jego czaszki.

Nitsas Ini odrzucił brofi i trzymając lewą ręką nieszczęsnego za gardło, prawą zerwał mu z głowy podkrajaną skórę. Kr61 naftowy zawył przeraźliwie. Buttler, który tymczasem wy przedził ich o kilka kroków, obejrzał się z lękiem i zobaczył, jak rumak brata słania się pod ciężarem obu jeźdźców. Przyłożył strzelbę, wyce-lował w Nitsas Ini i wypalił. W tejże jednak chwili skalpowany z bólu i strachu poruszył się tak, że kula ugodziła go śmiertelnie w szyję, runął na ziemię.

431

- Schwytajcie mi drugiego! - zawołał wódz. - Umrze przy palu!

Buttler dosłyszał straszliwą groźbę. Wiedział, że jest zgubiony; straciłjuż nadzieję ratunku. Z krzykiem rozpaczy i wściekłości wyrwał nóż zza pasa i wbił go sobie głęboko w brzuch, konając, zwalił się z konia.

Kiedy nadjechali Old Shatterhand i Winnetflu, zastali Nitsas Ini nad trupami.

- Szkoda, - rzekł wódz - poszło za prędko!

Po chwili odwrócił się do swoich wojowników i rozkazał:

- Weźcie naszych zamordowanych braci i przywiążcie do koni.

Pogrzebiemy ich jako dzielnych synów Nawajów na górze, gdzie obozujemy. 'I~ zaś białe psy niechaj zostaną na miejscu i niech roz-szarpią ich sępy!

Aliści Sam Hawkens szepnął do Old Shatterhanda:

- Wrócimy tu poźniej ukradkiem i pogrzebiemy ich, jeśli się nie mylę. Byli to przestępcy, to prawda, ale niemniej ludzie. Milczące skinienie świadczyło, że Old Shatterhand podziela sąd Hawkensa.

Wkrótce nadciągnęli pozostali czerwoni; niebawem oddział wraz z obu trupami przeprawił się przez rzekę i wrócił do obozu. Widok zabitych zmienił ucztę radości i pojednania w stypę. Rozległy się posępne dźwięki trenów, a przed wieczorem już dwie kamienne mogiły wznosiły się nad poległymi Nawajami.

Plemiona Nawajów i Nijorów rozjechały się po dwóch dniach. Biali wyruszyli wraz z Nawajami ku Rio de Chaco, do siedziby plemienia. Nitsas Ini dotrzymał słowa. Cztery rodziny osadników otrzymały wszystko, co im przyrzekł Wolf nad ujściem Zimnej Wody. Westmani bawili u nich przez dłuższy czas. Po rozstaniu się, wyruszyli do Kali-forni. Była to podróż pełna przygód. W San Francisco nastąpiło pożegnanie z ciotką Droll i Hobble Frankiem, którzy poczuwali się do obowiązku odprowadzenia kantora emerincsa do domu. Przy pożegnaniu zapytał ich Sam Hawkens:

432

- Kiedyż was znowu ujrzymy, wielcy bohaterowie Dzikiego Za-chodu, hihihihi?

- Kiedy się poprawisz, stary filucie, - odpowiedział Hobble Frank. - Przyślij mi do mojej willi „Niedźwiedzie Sadło” list, gdy skonstatujesz w sobie psychologiczną poprawę, a wówczas wrócę do was monumentalnie!

KUNIEC